

VICTORIA
AVEYARD



CZERWONA
KRÓLOWA

POWSTAŃMY!
CZERWONI NICZYM ŚWIT



VICTORIA
AVEYARD

CZERWONA
KRÓLOWA

tłumaczenie
Adriana Sokołowska-Ostapko



Kraków 2015

*Mamie, Tacie i Morganowi,
który chciał wiedzieć, co działo się dalej,
nawet jeśli ja nie byłam tego ciekawa.*

ROZDZIAŁ 1

Nie znoszę tych comiesięcznych piątkowych widowisk. W wiosce robi się tłoczno, a teraz, w samym środku upalnego lata, to akurat najmniej potrzebne. W cieniu, gdzie się chowam, można jeszcze jakoś wytrzymać, ale od odoru spoconych po porannej pracy ciał mleko mogłoby skwaśnieć. Powietrze drga z powodu upału i wilgoci, ciepła jest nawet woda w kałużach stojących po wczorajszej burzy; wirują w niej kolorowe wstęgi oleju i tłuszczu.

Rynek powoli się zwija, wszyscy zamykają kramy, na dziś już koniec harówki. Handlarze są rozkojarzeni, nieuważni i bez trudu wybieram sobie z ich towarów to, na co przyjdzie mi ochota. Po chwili kieszenie mam wypchane świecidełkami, w dłoni ściskam jabłko na drogę. Nieźle, jak na kilka minut pracy. Zwarta ciżba prze coraz bardziej do przodu, ja zaś pozwalam się nieść prądowi ludzkich ciał. Dłonie śmigają mi na prawo i lewo, badając otoczenie krótkimi ruchami. Tu banknot wyjęty z kieszeni jakiegoś mężczyzny, tam bransoletka zsunięta z damskiego nadgarstka – nic wielkiego. Mieszkańcy wioski są zbyt zajęci mozolną przepychanką, aby zwrócić uwagę na kieszonkowca.

Wszędzie dookoła trzy metry nad błotnistą ziemią wznoszą się wysokie budynki na palach, od których osada wzięła swą nazwę (bardzo oryginalną – Pale). Wiosną niżej położony brzeg znajduje się pod wodą, ale teraz mamy sierpień i okoliczną ludność trapi odwodnienie i wypryski słoneczne. Prawie wszyscy z utęsknieniem wyglądają pierwszego piątku miesiąca, kiedy wcześniej kończy się dzień pracy i nauki. Wszyscy, prócz mnie. Ja wolałabym siedzieć w klasie pełnej dzieciaków i nic nie robić.

W sumie posiedzę w tej szkole niezbyt długo. Zbliżają się moje osiemnaste urodziny, a wraz z nimi pobór do wojska. Nie poszłam do terminu, nie mam pracy, zatem wyślą mnie na wojnę tak samo jak wszystkich innych „próżniaków”. Nic dziwnego, że niewiele pracy zostało, skoro każdy mężczyzna, kobieta i dziecko myślą tylko o tym, jak wymigać się od wojska.

Moi bracia poszli na wojnę, kiedy skończyli osiemnaście lat, wszystkich trzech rzucono do walki przeciwko Lakelandczykom. Jedynie Shade potrafi jako tako pisać i wysyła mi listy, kiedy tylko może. Od pozostałej dwójki, Bree i Tramy’ego, nie mam żadnych wieści od ponad roku. Ale brak

wiadomości to dobra wiadomość. Niektóre rodziny latami nie dostają listów, aż w końcu pewnego dnia w progu domu stają ich synowie lub córki, którzy przyjechali na przepustkę albo jakimś cudem zostali zwolnieni ze służby. Zwykle jednak otrzymuje się zawiadomienie na grubym papierze opatrzonym królewską pieczęcią z krótkimi podziękowaniami za służbę dziecka, które zginęło bohaterską śmiercią. Może nawet dostaje się kilka guzików z podartego, zniszczonego munduru.

Miałam trzynaście lat, kiedy Bree wyjechał. Pocałował mnie w policzek, po czym podarował mi i naszej młodszej siostrze Gisie parę kolczyków, którymi miałyśmy się podzielić. Wiszące szklane paciorki w mglistoróżowym kolorze zachodzącego słońca. Jeszcze tego samego wieczoru przebiłyśmy sobie uszy. Tramy i Shade podtrzymali tradycję dawania upominków przed wyjazdem. Teraz jedno moje ucho i jedno ucho Gisy zdobią trzy różne kolczyki, pamiątki po braciach walczących gdzieś na wojnie. Tak naprawdę nie wierzyłam, że będą musieli iść do wojska, dopóki nie zjawiał się legionista w swojej wypolerowanej zbroi i nie zabrał ich, jednego po drugim. A tej jesieni przyjdą po mnie. Zaczęłam już oszczędzać – i kraść – żeby było mnie stać na kolczyki dla Gisy.

„Nie myśl o tym”. Tak powtarza mama, kiedy wspomnę coś o wojsku, o braciach, o czymkolwiek. „Świetna rada, mamó”.

W dole ulicy, na skrzyżowaniu dróg Mill i Marcher, tłum gęstnieje i coraz więcej mieszkańców wioski przyłącza się do pochodu. Banda dzieciaków, złodziejasków przyuczających się do fachu, rzuca się w sam środek ludzkiego wiru i w ruch idą zwinne, lepkie palce. Są za mali, żeby mieć tę sztukę dobrze opanowaną, dlatego strażnicy szybko ich wyłapują.

Nagle czuję delikatny ucisk na wysokości pasa, więc instynktownie się obracam. Szybkim ruchem chwytam dłoń należącą do niemądrego gówniarza, który próbował mnie okraść, i ściskam ją mocno, aby małowat się nie wyrwał. Jednak zamiast wymizerowanego dzieciaka, widzę twarz rozciągniętą w znaczącym uśmiechu.

Kilorn Warren. Uczeń rybaka, sierota wojenna i prawdopodobnie mój jedyny prawdziwy przyjaciel. Jako dzieci tłukliśmy się niemiłosiernie, ale teraz, kiedy dorośliśmy i przewyższa mnie o jakieś trzydzieści centymetrów, staram się unikać kłótni z nim. Ale dalej przydaje się do różnych rzeczy. Na przykład do podawania przedmiotów z najwyższych półek.

– Robisz się coraz szybsza – chichocze, uwalniając się z mojego uchwytu.

– Albo ty coraz wolniejszy.

Przewraca oczami i wyjmuję mi z ręki jabłko.

– Czekasz na Gisę? – pyta, odgryzając spory kęs.

– Jest uziemiona. Pracuje.

– No to ruszajmy. Inaczej przegapimy widowisko.

– I to dopiero byłyby tragedia.

– Nu-nu, Mare – droczy się ze mną i grozi mi palcem. – Przecież robią to specjalnie dla nas, żebyśmy świetnie się bawili.

– Robią to *specjalnie* dla nas, żeby nas ostrzec, ciemniaku.

Kilorn jednak sady już przed siebie długimi krokami, przez co ja muszę niemal biec, aby za nim nadążyć. Idąc, rozstawia szeroko nogi i przechyla się raz w jedną, raz w drugą stronę. „Marynarski chód”, mawia, choć nigdy nie był na otwartym morzu. Jednak godziny spędzone w rybackiej łodzi na rzece najwyraźniej zostawiły swój ślad.

Podobnie jak mój tata, ojciec Kilorna został wysłany na wojnę, ale mój wrócił bez nogi i płuca, a pan Warren w pudełku po butach. Niedługo potem matka Kilorna uciekła, zostawiając synka samemu sobie. Niemal umarł z głodu, ale mimo to cały czas wszczywał ze mną bójki. Dokarmiłam go, żebym nie musiała się bić ze szkieletem, a teraz, dziesięć lat później, proszę, co z niego wyrosło. I na dodatek jest w terminie i nie będzie musiał iść na wojnę.

Docieramy do stóp wzgórza, gdzie tłum jeszcze bardziej gęstnieje, wszyscy się pchają i szturchają. Obecność na pierwszopiętkowym widowisku to obowiązek, z którego są zwolnieni tylko „niezbędni pracownicy”, na przykład moja siostra. Jak gdyby haftowanie jedwabiu było zajęciem niezbędnym. Ale przecież Srebrni uwielbiają swoje jedwabne tkaniny, nieprawdaż? Nawet strażników, przynajmniej niektórych, można przekupić kawałkami materiału wychodzącymi spod ręki Gisy. Choć oczywiście nie znam się na tym.

Gdy wspinamy się po kamiennych schodach wiodących na grzbiet wzgórza, cienie wokoło nas pogłębiają się. Kilorn przesadza po dwa stopnie naraz, ja zostaję z tyłu, ale wtedy on się zatrzymuje i czeka na mnie. Uśmiecha się z wyższością i odgarnia z zielonych oczu kosmyk wypłowiałych od słońca włosów.

– Czasami zapominam, że drepczesz jak dziecko.

– Lepsze to niż myśleć jak dziecko – odburkuję i przechodząc obok niego, klepię go delikatnie w policzek, po czym wspinam się dalej. Dobiega mnie jego śmiech.

– Zrzedzisz bardziej niż zwykle.

– Po prostu nie znoszę tych zbiegowisk.

– Wiem – mamrocze, tym razem z powagą.

Po chwili wychodzimy na arenę, z nieba leje się żar. Wzniesiony dziesięć lat temu amfiteatr to z pewnością największa budowla w Palach. Naturalnie to nic w porównaniu z gigantycznymi arenami budowanymi w miastach, ale mimo to widok strzelistych stalowych łuków i tysięcy metrów zalanych betonem potrafi zaprzeć dech w piersiach dziewczynie ze wsi.

Wokoło roi się od strażników, ich srebrno-czarne mundury wyraźnie odcinają się na tle tłumy. W

końcu mamy pierwszy piątek, a oni wprost nie mogą się doczekać tej uroczystości. Są uzbrojeni, niektórzy mają nawet strzelby lub pistolety, choć tak naprawdę nie potrzebują broni. Zgodnie ze zwyczajem do straży należą jedynie Srebrni, a im nic nie grozi ze strony nas, Czerwonych. Wszyscy o tym wiedzą. Nie jesteśmy im równi, choć nie widać tego na pierwszy rzut oka. Jedyna rzecz, która nas różni, przynajmniej na zewnątrz, to postawa. Srebrni noszą głowy wysoko, a nasze plecy przygniata do ziemi ciężar wytężonej pracy, niezrealizowanych nadziei i rozczarowania nieuniknionym losem, który przypadł nam w udziale.

Wewnątrz amfiteatru panuje prawie taka sama spiekota jak na zewnątrz i Kilorn, zawsze czujny, prowadzi mnie do cienia. Na widowni nie ma krzeseł, siedzimy na długich betonowych ławkach i tylko Srebrni, usadowieni nad nami w chłodnych, komfortowych łóżach, zażywają luksusu. Mają napoje, jedzenie, lód nawet w samym środku lata, wyściełane fotele, lampy elektryczne i inne zbytki, które nigdy nie będą mi dane. Srebrni przyjmują to wszystko bez mrugnięcia okiem i jednogłośnie narzekają na „okropne warunki”. Ja bym im pokazała okropne warunki. Dla nas przygotowano jedynie twarde ławki i kilka ekranów wideo tak jaskrawych i wrzaskliwych, że niemal nie do zniesienia.

– Stawiam dniówkę, że dziś znów wygra jakiś Siłacz – oznajmia Kilorn, celując ogryzkiem jabłka w nieckę areny.

– Nie zakładam się – ucinam. Niektórzy Czerwoni lubią obstawiać walki w nadziei, że wygrana pomoże im przeżyć kolejny tydzień. Ja jednak nie bawię się w to, nawet z Kilornem. Łatwiej zwędzić sakiewkę bukmacherowi niż wzbogacić się na walkach. – Znów wyrzucasz pieniądze w błoto.

– Nie wyrzucam, bo mam rację. *Zawsze* jakiś Siłacz spuszcza reszcie lanie.

Siłacze zwykle zwyciężają w przynajmniej połowie walk, ponieważ dzięki swoim zdolnościom i umiejętnościom chyba najbardziej ze wszystkich Srebrnych nadają się do areny. Wydają się upajać jatką i tym, że przy użyciu nadludzkiej siły miotają innymi czempionami niczym szmacianymi lalkami.

– A co powiesz o pozostałych? – pytam i w myślach przeglądam katalog Srebrnych, którzy mogą się dziś pojawić. Psychicy, Zwinni, Wodniaki, Zieleńce, Twardoskórzy. Na sam ich widok serce podchodzi do gardła.

– Zobaczymy. Oby pokazali coś niezłego. Chcę się dziś dobrze bawić.

Kilorn i ja nie dogadujemy się w sprawie tego, co ja nazywam Pierwszopiątkowymi Pokazami. Nie sprawia mi przyjemności przyglądanie się, jak dwóch mocarzy skacze sobie do gardeł, ale Kilorn to uwielbia. „Niech się tłuką – mówi. – To nie nasi”.

Nie rozumie, o co chodzi w Pokazach. Nie jest to bezmyślna rozrywka mająca zapewnić Czerwonym wytchnienie po codziennej harówce. To wiadomość, chłodna i wyrachowana. Tylko Srebrni walczą na arenie, ponieważ tylko oni mogą wyjść z tych starć cało. Walczą, żeby pokazać

nam swoją siłę i moc. „Nie dorównujecie nam. Jesteśmy od was lepsi. Jesteśmy bogami”. Ten przekaz pobrzmiwa w każdym nadludzkim ciosie wymierzonym przez czempionów.

I oczywiście jest to prawda. W zeszłym miesiącu oglądałam walkę Psychika ze Zwinnym i chociaż ruchy Zwinnego były tak szybkie, że nasze oczy nie mogły za nimi nadążyć, Psychik dał mu radę. Samą tylko siłą swojego umysłu poderwał go z ziemi. Zwinny zaczął się dławić; wydaje mi się, że Psychik w niewidzialny sposób zacisnął mu gardło. Kiedy Zwinny posiniał na twarzy, ogłoszono zwycięzcę pojedynku. Kilorn nie posiadał się z radości. Postawił na Psychika.

– Panie i panowie, Srebrni i Czerwoni, witamy na pokazie w pierwszy piątek sierpnia. – Tubalny głos prezentera odbija się echem od ścian amfiteatru. Jak zwykle wydaje się znudzony i wcale mu się nie dziwię.

Kiedyś pokazy nie były pojedynkami, ale egzekucjami. Więźniów i wrogów państwa przewożono do Archeonu, stolicy, i zabijano na oczach tłumnie zebranych Srebrnych. Przypuszczam, że spodobało się to Srebrnym tak bardzo, że zaczęli urządzać pojedynki. Nie po to, aby zabijać, ale dla rozrywki. Tak powstały pokazy, które przeniosły się również do innych miast, na inne areny, przed inną publiczność. W końcu pozwolono oglądać je również Czerwonym, zepchniętym na najgorsze miejsca. Nie trzeba było długo czekać, żeby Srebrni zaczęli wszędzie budować amfiteatry, nawet we wioskach takich jak Pale, a obecność podczas pojedynków z przywileju stała się obowiązkiem i przekleństwem. Wszystko dlatego, twierdzi mój brat Shade, że dzięki walkom na arenach w miastach znacznie spadła liczba przestępstw popełnianych przez Czerwonych, rzadziej wyrażali oni swoje niezadowolenie, a nawet rzadziej się buntowali. Teraz Srebrni w celu utrzymania spokoju nie musieli urządzać egzekucji, wyprowadzać legionów ani choćby straży; równie skutecznym straszakiem byli walczący czempioni.

Dzisiaj kolejnych dwóch ma wypełnić to zadanie. Pierwszy na posypaną białym piaskiem arenę wkracza Cantos Carros, Srebrny z Wielkiej Zatoki na wschodzie kraju. Na ekranie wyraźnie widać jego sylwetkę. Prezenter nie musi dodawać, że ten wojownik jest Siłaczem. Ma ramiona jak pnie drzew, żylaste, nabrzmiące od mięśni napinających skórę do granic wytrzymałości. Kiedy się uśmiecha, widać, że brakuje mu połowy zębów, zaś druga połowa jest wyszczerbiona. Może jako dziecko jadł za dużo słodczy.

Siedzący obok mnie Kilorn wiwatuje, pozostali mieszkańcy wioski też ryczą z uciechy. Strażnik rzuca tym najgłośniejszym bochenek chleba w nagrodę za entuzjazm. Po lewej stronie inny Srebrny wtyka do ręki wrzeszczącemu dzieciakowi jaskrawożółty papierek. Kartka na prąd – można za to dostać dodatkowy przydział elektryczności. A wszystko po to, żebyśmy bili brawo, wiwatowali i oglądali, nawet jeśli nie mamy na to ochoty.

– Świetnie, niech was usłyszy! – woła prezenter, przeciągając samogłoski i starając się

wykrzesać z siebie choć trochę zapachu. – A teraz powitajmy jego przeciwnika, prosto ze stolicy, Samson Merandus.

Prawdopodobnie jest to jakiś mało znaczący potomek ważnej rodziny, który usiłuje zdobyć sławę na arenie. Wygląda blado i cherlawo w porównaniu ze stojącym naprzeciwko niego mięśniakiem, ale wrażenie robi jego wytworna niebieska stalowa zbroja wypolerowana na wysoki połysk. Mimo że powinien być wystraszony, wydaje się zdumiewająco spokojny.

Jego nazwisko brzmi znajomo, ale to akurat nie dziwi. Wielu Srebrnych należy do słynnych rodów zwanych domami i liczących dziesiątki członków. Naszym regionem, doliną Capital, włada rodzina Welle, ale nigdy w życiu nie widziałam gubernatora Welle. Przyjeżdża z wizytacją nie częściej niż raz czy dwa razy do roku, lecz nawet wtedy nie pofatyguje się zajrzeć do wioski Czerwonych takiej jak moja. Kiedyś widziałam jego statek rzeczny, smukłą łódź ze złotozieloną banderą. Jest Zieleńcem i kiedy przepływał, rosnące na obu brzegach drzewa gwałtownie rozkwitały, a z ziemi nagle wyrastały kwiaty. Patrzyłam jak urzeczona, dopóki jeden ze starszych chłopaków nie zaczął rzucać kamieniami w statek. Nie trafił, kamienie z pluskiem powpadały do wody, ale chłopaka i tak zakuli w dyby.

– Na pewno wygra Siłacz.

Kilorn, marszcząc brwi, spogląda na mniejszego czempiona.

– Skąd wiesz? Jaką moc ma Samson?

– Co za różnica, i tak przegra – pryham i szykuję się do oglądania rozgrywki.

Rozbrzmiewa tradycyjne zawołanie. Wiele osób wstaje, żeby lepiej widzieć, ja jednak nie ruszam się z miejsca, stawiając tym samym niemy opór. Choć staram się panować nad sobą, w środku wszystko we mnie wrze. Gotuję się ze złości. I z zazdrości. Cały czas słyszę w głowie słowa: „Jesteśmy bogami”.

– Czempioni, zajmijcie miejsca.

Wojownicy posłusznie stają po przeciwnych stronach areny. Podczas walki broń palna nie jest dozwolona, Cantos dobywa więc krótkiego miecza o szerokiej głowni. Wątpię, żeby go potrzebował. Samson w ogóle nie wyciąga broni, ramiona ma opuszczone wzdłuż ciała, jego palce ledwie drgają.

W amfiteatrze rozlega się niskie buczenie. „Nie znoszę tego momentu”. Dźwięk wibruje w moich zębach, kościach, wwierca się w mózg, a ja czuję się tak, jak gdyby za chwilę miało mnie rozsadzić od środka. Wtedy dźwięk raptownie się urywa, zostaje po nim jedynie dzwonienie w uszach. „Zaczyna się”. Wypuszczam powietrze z płuc.

Od początku robi się krwawa łaźnia. Cantos szarżuje niczym byk, wzbijając za sobą tumany kurzu. Samson usiłuje odskoczyć, odepchnąć się ramieniem od nacierającego, ale Siłacz jest szybki. Chwyta przeciwnika za nogi i rzuca nim, ten zaś przelatuje przez arenę niczym worek pierza.

Gromkie okrzyki widzów zagłuszają ryk bólu Samsona, który wpada na betonową ścianę, ale grymas na jego twarzy mówi sam za siebie. Wojownik próbuje się pozbierać, jednak Cantos znów okazuje się szybszy i tym razem wyrzuca przeciwnika wysoko w górę. Samson ląduje bezwładnie na piachu, przez moment zdaje się, że została z niego sterta połamanych kości, on jednak znów dźwiga się na nogi.

– To chyba jakiś worek treningowy – śmieje się Kilorn. – Pokaż mu, Cantos!

Kilornowi nie zależy na dodatkowym bochenku chleba ani na paru minutach prądu więcej. Nie dlatego wznosi okrzyki. On naprawdę chce zobaczyć krew, krew Srebrnych, *srebrzystą posokę* na arenie. Nie szkodzi, że to właśnie ta krew decyduje o tym, kim nie jesteśmy, kim nie możemy się stać i kim tak bardzo *pragniemy być*. Kilorn po prostu chce ją zobaczyć i dalej oszukiwać się myślą, że oni są ludźmi, że można ich zranić i pokonać. Ale ja wiem swoje. Ich krew to groźba, ostrzeżenie i obietnica. „Nie jesteśmy tacy sami i nigdy nie będziemy”.

Oczekiwaniom Kilorna staje się zadość. Nawet ci zasiadający w łóżach widzą metaliczny, opalizujący płyn sączący się z ust Samsona. Srebrna smużka, odbijająca promienie niczym wodniste lustro, spływa po szyi na zbroję.

Taka jest prawdziwa różnica między Srebrnymi i Czerwonymi: kolor krwi. Ten jeden szczegół z jakiegoś powodu czyni ich silniejszymi, bystrzejszymi, *lepszymi* od nas.

Samson spluwa, srebrna krew przecina powietrze niczym świetlisty pocisk. Dziesięć metrów dalej Cantos mocniej chwyta miecz, szykując się do obezwładnienia go i zakończenia walki.

– Głupiec – mamrocę pod nosem. Wygląda na to, że Kilorn ma rację. „Worek treningowy”.

Cantos z tupotem biegnie po piasku, jego oczy płoną, unosi miecz. Raptem jednak zamiera w pół kroku, a płyty jego zbroi uderzają o siebie z brzękiem. Stojący na środku areny krwawiący wojownik wskazuje palcem Cantosa i przygważdża go spojrzeniem twardym jak stal.

Następnie Samson pstryka palcami, a wtedy jego przeciwnik powoli rusza przed siebie posłuszny ruchom rywala. Usta ma szeroko otwarte, jak gdyby był obłąkany albo przygłupi. „Jak gdyby odjęło mu rozum”.

Nie wierzę własnym oczom.

W amfiteatrze zapada śmiertelna cisza, wszyscy obserwujemy rozgrywającą się w dole scenę, choć niewiele z niej rozumiemy. Nawet Kilorn nie ma nic do powiedzenia.

– Szeptacz – mamrocę.

Nigdy wcześniej nie widziałam ich na arenie – wątpię, czy ktokolwiek widział. Szeptacze zdarzają się rzadko, są niebezpieczni i potężni, nawet jak na Srebrnych, nawet tych ze *stolicy*. Krążą o nich różne pogłoski, ale można je sprowadzić do jednej prostej i mroźnej krew w żyłach prawdy: potrafią wejść do czyjejś głowy, przeniknąć myśli i *przejąć kontrolę nad umysłem*. Właśnie to robi

Samson, szeptem przebijając się przez zbroję Cantosa, przez jego mięśnie i wnikając do umysłu pozbawionego jakiegokolwiek ochrony.

Cantos unosi miecz, ręce mu drżą. Usiłuje się przeciwstawić Samsonowi, ale chociaż nie brakuje mu siły, jest bezradny wobec wroga gnieźdzącego się w jego głowie.

Samson porusza dłonią i po piasku rozlewa się srebrna krew, gdyż Cantos przecina własną zbroję i zatapia ostrze w swym ciele. Nawet na widowni słychać mdlący chlupot towarzyszący rozplątaniu brzucha.

Z wnętrzości Cantosa tryska krew, po amfiteatrze przebiega szmer tłumionych okrzyków. Nigdy wcześniej nie widzieliśmy tu tyle krwi.

Zapalają się niebieskie światła, arenę zalewa upiorna poświata sygnalizująca koniec pojedynku. Na piasek wbiegają Uzdrowiciele, spiesząc w stronę leżącego Cantosa. Srebrni nie powinni tu umierać. Powinni dzielnie walczyć, dawać popis swoich umiejętności, zapewnić doskonałe widowisko – ale nie *umierać*. Przecież nie są jakimiś tam Czerwonymi.

Strażnicy dwoją się i troją. Kilku z nich to Zwinni, przemykają między nami tak szybko, że wydają się jedynie niewyraźnymi plamami. Zależy im, żeby jak najprędzej nas wyprowadzić. Jeśli Cantos ma umrzeć, nie chcą, abyśmy to widzieli. Tymczasem Samson schodzi z areny niczym bohater. Gdy zahacza spojrzeniem o ciało przeciwnika, spodziewam się wyczytać z jego twarzy skruchę, ona jednak nic nie wyraża, gości na niej obojętność i chłód. Pojedynek nic dla niego nie znaczył. *My* również nic dla niego nie znaczymy.

W szkole uczyliśmy się o świecie, który istniał przed naszym światem, o aniołach i bogach mieszkających w niebie i sprawujących na ziemi mądre rządy łagodną ręką. Niektórzy twierdzą, że to zwykłe bajania, ale ja im nie wierzę.

Bogowie nadal nami rządzą. Przybyli z gwiazd. I nie są już łagodni.

ROZDZIAŁ 2

Nasz dom jest mały, nawet jak na miejscowe normy, ale przynajmniej mamy ładne widoki. Tata podczas jednej z przepustek, jeszcze zanim został ranny, zbudował go tak wysoko, żebyśmy mogli spoglądać na drugi brzeg rzeki. Nawet w letniej mgłę widać połacie nagiej ziemi, pozostałość po lesie wykarczowanym do ostatniego pnia. Wyglądają niczym porażone chorobą, jednak nienaruszone wzgórze rozciągające się na północ i zachód dodają otuchy. „Gdzieś tam jest jeszcze tyle do odkrycia”. Jest coś więcej poza nami, poza Srebrnymi, poza wszystkim, co znam.

Wspinam się do domu po wytartych drewnianych szczeblach dopasowanych kształtem do dłoni i stóp, które codziennie wchodzą po drabinie i z niej schodzą. Z tej wysokości widzę kilka łodzi płynących w górę rzeki oraz dumnie powiewające na nich jaskrawe bandery. „Srebrni”. Tylko ich stać na to, żeby korzystać z prywatnego transportu. Podczas gdy oni podróżują w luksusie statkami, pojazdami na kołach, a nawet wzbijają się pod niebo w swoich sterowcach, nam pozostają jedynie nogi albo rowery, jeśli komuś się poszczęści.

Łodzie z pewnością zmierzają do Summerton, niewielkiego miasta, które ożywa dzięki letniej rezydencji monarchów. Gisa była tam dzisiaj, pomagała szwaczce, u której terminuje. Gdy przyjeżdża król, Gisa i jej mistrzyni często chodzą na targ sprzedawać swoje wyroby Srebrnym kupcom i arystokratom ciągnącym za rodziną królewską niczym pisklęta za kwoką. Sama rezydencja nosi nazwę Palatium Słońca i ponoć jest istnym cudem, ale nie widziałam jej jeszcze na oczy. Nie wiem, po co monarchom drugi dom, zwłaszcza że pałac w stolicy jest niezwykle wytworny i piękny. Jednak działaniami Srebrnych nigdy nie powoduje potrzeba. Tylko zachcianka. I zawsze dostają to, co zechcą.

Zanim otworzę drzwi i zobaczę dobrze znany rozgardiasz, głaskam flagę zawieszoną na werandzie. Trzy czerwone gwiazdy, po jednej na brata, naszyte na poźółkłym materiale, na którym zostało jeszcze trochę miejsca. „Dla mnie”. Większość domów zdobią podobne sztandary, niektóre z czarnymi paskami, ponurymi symbolami upamiętniającymi nieżyjące dzieci.

– Wróciłam – rzucam w przestrzeń. Tata odpowiada machnięciem ręki, mama skinieniem głowy, Gisa nawet nie podnosi oczu znad skrawka jedwabiu.

Ciskam na stół obok niej woreczek ze skradzionym łupem i specjalnie robię to na tyle mocno, żeby monety głośno zabrzęczały.

– Chyba wystarczy na przyzwoity tort urodzinowy dla taty. I na baterie do końca miesiąca.

Gisa mierzy spojrzeniem sakiewkę i krzywi się z niesmakiem. Ma zaledwie czternaście lat, ale jest bystra jak na swój wiek.

– Kiedyś cię dopadną i zabiorą ci wszystko.

– Uważaj, bo zzieleniejesz z zazdrości, Giso. – Przesuwam dłonią po głowie siostry, ta zaś błyskawicznie unosi ręce, żeby zaczesać do tyłu pasma swoich idealnych, lśniących rudych włosów i wetknąć je z powrotem w nienaganny kok.

Zawsze chciałam mieć taki kolor włosów, choć nigdy nie przyznam się do tego na głos. Jej włosy płoną niczym ogień, moje zaś przypominają rzekę błota. Ciemne u nasady, jasne na końcach, gdyż naturalna barwa szybko z nich ucieka przez codzienny znój życia w Palach. Większość kobiet strzyże się na krótko, chcąc ukryć siwiznę, ale ja tego nie robię. Wolę, aby nawet włosy przypominały o tym, że życie nie powinno tak wyglądać.

– Nie jestem zazdrosna – prycha Gisa, wracając do pracy. Wyszywa ogniste kwiaty, każdy niczym żywy płomień połyskujący na tle smoliście czarnego jedwabiu.

– Ale to piękne, Gi. – Przeciagam palcami po jednym z kwiatów i rozkoszuję się jedwabistym dotykiem tkaniny. Siostra spogląda na mnie i łagodnie się uśmiecha, ukazując równe zęby. Choćbyśmy nie wiem ile się sprzeczały, Gisa wie, że jest dla mnie najważniejsza.

„I wszyscy wiedzą, że to ja jestem zazdrośnicą, Giso. Nie umiem robić nic poza okradaniem ludzi, którzy potrafią coś stworzyć”.

Gdy skończy termin, będzie mogła otworzyć własny zakład. Srebrni będą się zjeżdżali z całej okolicy, żeby płacić jej za chusteczki, flagi i ubiory. Gisie uda się to, co udaje się zaledwie garstce Czerwonych – będzie miała dostatnie życie. Zadba o rodziców i zleci mnie i braciom jakieś prace, żebyśmy nie musieli iść na wojnę. Pewnego dnia uratuje nas wszystkich dzięki zwykłej igle i niciom.

– Jak noc i dzień, te moje córki – mruczy mama, przeczesując palcami siwiejące włosy. Nie ma na myśli nic złego, tylko stwierdza drażliwą prawdę. Gisa jest utalentowana, ładna i urocza. Ja jestem trochę bardziej szorstka, jak grzecznie ujmuje to mama. Gisa to promień światła, a ja – czający się za nim cień. Zdaje się, że jedyną rzeczą, jaką mamy wspólną, są kolczyki, pamiątki po braciach.

Z kąta, w którym siedzi tata, dobiega rżenie, a następnie głuchy łomot, gdy ojciec uderza pięścią w piersi. Ten rytuał powtarza się często, ponieważ tata ma tylko jedno prawdziwe płuco. Życie ocaliły mu umiejętności Czerwonego medyka, który zastąpił zapadnięte płuco urządzeniem oddychającym za niego. Nie jest to wynalazek Srebrnych, gdyż oni nie potrzebują takich rzeczy. Mają

Uzdrowicieli. Ci jednak nie marnują czasu na ratowanie Czerwonych czy choćby na służbę na pierwszej linii frontu, gdzie żołnierze padają jak muchy. Większość Uzdrowicieli rezyduje w miastach, zajmując się przedłużaniem życia wiekowych Srebrnych, leczeniem wątrób przeżartych alkoholem i tym podobnych. Musimy więc uciekać się do krążących na czarnym rynku technologii i wynalazków. Niektóre z nich są do niczego, większość w ogóle nie działa – ale ten kawałek szczękającego metalu uratował tatę przed śmiercią. Przez cały czas słyhać cichutkie tykanie, mechaniczny puls umożliwiający tacie zaczerpnięcie kolejnego oddechu.

– Nie chcę tortu – burczy, zerkając na swój coraz bardziej wydatny brzuch.

– No to powiedz, tato, czego chcesz? Nowy zegarek czy...

– Mare, według mnie zegarek skradziony z czyjegoś nadgarstka nie jest *nowy*.

Zanim w domu Barrowów dojdzie do kolejnej kłótni, mama zdejmuje z pieca garnek z potrawką.

– Kolacja gotowa. – Stawia kociołek na stole, a parujący z niego dym leci wprost na mnie.

– Pachnie wspaniale, mamó – kłamie Gisa. Tata wykazuje się nieco mniejszym taktem i krzywi się na widok posiłku.

Nie chcę znów wyjść na najgorszą, siadam więc i wmuszam w siebie kilka łyżek potrawy. Ku swojemu zaskoczeniu i z nie lada przyjemnością zauważam, że nie jest tak ohydna jak zwykle.

– Dodałaś trochę pieprzu, który przyniosłam?

Zamiast przytaknąć i uśmiechnąć się w podziękę za to, że doceniłam jej wysiłek kulinarny, mama tylko się rumieni i nie odzywa ani słowem. Wie, że jak wszystkie moje podarunki również przyprawa była kradziona.

Pochylona nad miską Gisa przewraca oczami, wyczuwając, dokąd zmierza rozmowa.

Można by pomyśleć, że wszyscy powinniśmy już przywyknąć do tego stanu rzeczy, oni jednak bez przerwy okazują mi swoje niezadowolenie.

Mama wzdycha, opiera się łokciami o stół i chowa twarz w dłoniach.

– Mare, wiesz, że jestem wdzięczna... tyle że wolałabym...

Dokańczam zdanie za nią:

– ... żebym była jak Gisa?

Mama kręci głową. Znów kłamie.

– Nie, oczywiście, że nie. Nie o to mi chodzi.

– Jasne. – Bez wątpienia moje rozgoryczenie dałoby się wyczuć aż na drugim końcu wioski. Ze wszystkich sił staram się, aby głos mi nie zdrzął. – Tylko tak mogę pomóc, zanim... zanim wyjadę.

Wzmianka o wojnie to najlepszy sposób, aby zamknąć usta wszystkim domownikom. Nawet rżenie taty cichnie. Mama obraca głowę, policzki pałają jej gniewem. Pod stołem dłoń Gisy zaciska się na mojej.

– Wiem, że robisz, co możesz, i że chcesz dobrze – szepcze mama. Dużo ją kosztuje wypowiedzenie tych słów, ale i tak przynoszą mi pociechę.

Milczę, stać mnie jedynie na potakujące skinienie głową.

Wtedy Gisa podskakuje na krześle, jak gdyby poraził ją prąd.

– Och, prawie zapomniałam. Po drodze z Summerton zjrzałam na pocztę. Przyszedł list od Shade’a.

Nowina działa jak wybuch bomby. Mama i tata rzucają się na pobrudzoną kopertę, którą Gisa wyjmuje z marynarki. Cierpliwie czekam, patrząc, jak przekazują sobie list z rąk do rąk i uważnie go oglądają. Żadne z nich nie potrafi czytać, dlatego starają się ustalić jak najwięcej z samego stanu pisma.

Tata obwąchuje papier, usiłując pochwycić jego zapach.

– Sosna. Nie czuję dymu. To dobrze. Są daleko od Duszni.

Wszyscy oddychamy z ulgą. Dusznią nazywamy zniszczony w bombardowaniach pas ziemi łączący Nortę z Lakelandią, na którym toczy się największa część działań wojennych. Żołnierze spędzają tam większość czasu, chowając się w okopach i czekając, aż wylecą w powietrze lub przypuszczą kolejny szaleńczy szturm, który skończy się masakrą. Pozostałą część granicy stanowią w głównej mierze jeziora, choć na dalekiej północy linia graniczna przebiega przez tundrę, panuje tam jednak zbyt mroźny i surowy klimat, aby można było prowadzić walki. Wiele lat temu tata został ranny w Duszni, gdy na jego oddział spadła bomba. Teraz ten teren jest tak wyniszczony przez toczącą się od dziesięcioleci walkę, że dym wybuchów nieustannie wisi w powietrzu niczym mgła, a na zrytej ziemi nic już nie rośnie. To miejsce martwe i ponure, podobnie jak przyszłość tej wojny.

W końcu list trafia do mnie, ja zaś otwieram go i czytam z ogromną niecierpliwością, a jednocześnie boję się wiadomości o losach Shade’a.

Droga rodzinno, żyję. To chyba jasne.

Tata i ja chichoczymy, nawet Gisa się uśmiecha. Mamy nie rozbawiła ta uwaga, choć Shade każdy list zaczyna w ten sposób.

Wycofano nas z frontu, co Tata pewnie wyniuchał. Fajnie wrócić do głównego obozu. Czerwono tu jak o świcie, Srebrnych oficerów prawie się nie spotyka. Poza tym nie ma dymu i codziennie coraz wyraźniej widać, jak wstaje słońce. Ale nie pobędziemy tu długo. Dowództwo planuje przerobić nas na oddział do walki nawodnej i wysłać na jeden z nowych okrętów wojennych. Spotkałem medyczkę odkomenderowaną z macierzystego oddziału, która powiedziała, że zna Tramy’ego i że ma się on dobrze. Dostał odłamkiem, kiedy wycofywali się z Duszni, ale szybko się wylizał. Nie było zakażenia ani trwałego okaleczenia.

Mama głośno wzdycha, kręcąc głową.

– Nie ma trwałego okaleczenia – zauważa szyderczo.

Wciąż nie wiem nic o Bree, ale nie martwię się. Jest z nas najsilniejszy i niedługo minie mu pięć lat służby, więc czeka go przepustka. Jeszcze trochę i będzie w domu, Mamo, więc przestań się martwić. Nic więcej się nie dzieje, przynajmniej nic takiego, o czym mogę napisać w liście. Giso, nie popisuj się za bardzo, chociaż masz czym. Mare, nie bądź cały czas taka wredna i przestań bić tego chłopaka od Warrenów. Tato, jestem z Ciebie dumny. Cały czas. Kocham Was wszystkich.

Wasz ukochany syn i brat, Shade

Jak zwykle słowa Shade'a poruszają nas do głębi. Wystarczy, że trochę się wysiłę, i niemal słyszę jego głos. Chwilę później lampy nad nami nagle zaczynają buczeć.

– Nikt nie włożył kartek, które przyniosłam wczoraj? – pytam, zanim światło gaśnie, pograżając dom w ciemnościach. Gdy oczy dostosowują mi się do mroku, dostrzegam, że mama kręci głową.

Gisa wydaje jęk.

– O nie, znów się zaczyna? – Odsuwa krzesło ze zgrzytem. – Idę spać. Postarajcie się nie krzyczeć za głośno.

Nam jednak brakuje już sił, żeby krzyczeć. Zdaje się, że tak można pokrótce opisać mój świat – „na wszystko brakuje już sił”. Mama i tata znikają w sypialni, zostawiając mnie samą przy stole. Zwykle wymykam się z domu, teraz jednak jedyne, na co mam ochotę, to pójść się położyć.

Wspinam się po kolejnej drabinie na poddasze, na którym chrapie Gisa. Nie znam drugiej osoby, która tak szybko zapadałaby w sen, wystarczy jej minuta lub dwie, podczas gdy mnie czasami zajmuje to godziny. Osuwam się na łóżko i jestem zadowolona, że mogę sobie poleżeć i potrzymać w dłoniach list od Shade'a. Tak jak powiedział tata, mocno pachnie sosną.

Tego wieczoru przyjemnie słucha mi się rzeki przelewającej się między głazami sterczącymi po obu brzegach, a jej szum kołysze mnie do snu. Nawet stara lodówka, zardzewiały grat na baterie, którego wycie zwykle przyprawia mnie o ból głowy, teraz mi nie przeszkadza. Z objęć snu, w który powoli się osuwam, wytrąca mnie jednak ptasi trel. *Kilorn*.

„Nie. Idź sobie”.

Kolejny trel, tym razem głośniejszy. Gisa porusza się, obraca głowę na poduszce.

Mrucząc coś pod nosem i czując, że najchętniej udusiłabym Kilorna, gramolę się z łóżka i zsuwam po drabinie. Inna dziewczyna zapewne potknęłaby się o sprzęty zagracające duży pokój, ale ja doskonale wyczuwam i omijam wszelkie przeszkody. Doskonale tę umiejętność od kilku lat, umykając przed strażnikami. Sekundę później jestem już na dole, ląduję w błocie, które sięga mi po kostki. Z mroku zalegającego pod domem wyłania się czekający na mnie Kilorn.

– Mam nadzieję, że lubisz kolor śliwkowy, bo z chęcią pokoloruję ci oko na fioletowo za to, że

mnie budzisz...

Patrzę na jego twarz i nieruchomieję.

Płakał. „Kilorn nie płacze”. Ma pokrwawione kłykcie i założę się, że gdzieś w okolicy jakaś ściana jest równie poharatana jak jego dłonie. Wbrew sobie, pomimo że jest prawie środek nocy, natychmiast zaczynam się o niego martwić, a nawet bać.

– O co chodzi? Co się stało? – Bez zastanowienia ujmuję go za rękę, pod palcami czuję jego krew. – Co się dzieje?

Zbiera się przez chwilę, zanim otwiera usta, aby odpowiedzieć. W tym momencie mój lęk zmienia się w przerażenie.

– Mój mistrz odszedł. Umarł. Nie jestem już uczniem.

Usiłuję powstrzymać okrzyk, ale moje stłumione westchnienie i tak się rozlega, szedząc z nas obojga. Chociaż nie musi, chociaż wiem, co usiłuje mi powiedzieć, Kilorn tłumaczy:

– Nie skończyłem terminu i teraz... – zaczyna się. – Mam osiemnaście lat. Inni rybacy mają swoich uczniów. Nie pracuję. Nie mam jak *zdożyć* pracy.

Następne zdanie przeszywa mi serce niczym sztylet. Kilorn z trudem wciąga powietrze, a ja marzę, żeby nigdy nie powiedział tego, co zaraz mam usłyszeć.

– Poślą mnie na wojnę.

ROZDZIAŁ 3

Wojna toczy się przez większą część ostatniego stulecia. Chyba nawet nie można już tego nazwać wojną, ale nie ma innego słowa, które opisałoby tę wyższą formę zniszczenia. W szkole mówili nam, że wybuchła z powodu ziemi. Lakelandia to płaska i żyzna kraina otoczona ogromnymi, pełnymi ryb jeziorami. W niczym nie przypomina kamienistych, porośniętych lasami wzgórz Norty, regionu, w którym ziemia uprawna ledwo jest w stanie nas wykarmić. Nawet Srebrni zaczęli to odczuwać, dlatego król wypowiedział wojnę i pogrążył nas w konflikcie, którego tak naprawdę żadna ze stron nie potrafi wygrać.

Władca Lakelandii, także przedstawiciel Srebrnych, odpowiedział z równą mocą, mając pełne poparcie własnej arystokracji. Im zamarzyły się nasze szlaki wodne prowadzące do morza, które w przeciwieństwie do ich wód nie zamarzają na pół roku, oraz młyny znajdujące się na całej długości rzek. Dzięki młynom wodnym nasz kraj posiada tak silną pozycję. Produkują tyle energii elektrycznej, że nawet Czerwonym trochę się jej dostaje. Słyszałam plotki o miastach daleko na południu, w pobliżu stolicy, Archeonu, w których wyjątkowo zdolni Czerwoni konstruowali maszyny przekraczające moje pojęcie. Pojazdy poruszające się po ziemi, wodzie i niebie oraz broń siejąca zniszczenie wszędzie, gdzie Srebrnym się spodoba. Nauczyciel z dumą twierdzi, że Norta jest światłem tego świata, narodem potężnym dzięki technologii i energii. Mieszkańcy pozostałych państw, takich jak Lakelandia czy leżący na południe od nas Piedmont, są pogrążeni w mrokach niewiedzy. Mamy szczęście, że tu żyjemy. „Szczęście”. Słyszając to słowo, mam ochotę wyć.

Pomimo że mamy prąd, a oni żywność, mamy broń, a oni liczniejszą armię, żadna ze stron nie posiada wyraźnej przewagi. W obydwu wojskach służą Srebrni oficerowie i Czerwoni szeregowcy, a walka toczy się na zdolności, bronie oraz tarcze – bardzo często ludzkie, usypane z tysięcy ciał Czerwonych żołnierzy. Wojna, która miała się skończyć prawie sto lat temu, nadal się ciągnie. Zawsze trochę mnie to śmieszyło, że walczymy o pożywienie i wodę. Nawet wielcy i potężni Srebrni muszą coś jeść i pić.

Teraz jednak, kiedy to mam się pożegnać z Kilornem, wojna nie wydaje mi się w najmniejszym stopniu śmieszna. Zastanawiam się, czy podaruje mi na pamiątkę kolczyk, zanim przyjdzie po niego

legionista w wypolerowanej zbroi.

– Tydzień, Mare. Jeszcze tydzień i po mnie. – Głos mu się załamuje, choć stara się to zatuszować kaszlem. – Nie dam rady. Nie... nie pozwolę, żeby mnie zabrali.

Jednak w jego oczach widzę emocje, które nim targają.

– Trzeba coś zrobić – wyrywa mi się.

– Nic nie można zrobić. Nikomu nie udało się uciec przed poborem i przeżyć.

Nie musi mi tego mówić. Co roku ktoś próbuje zbiec. I co roku zaciągają tego kogoś z powrotem do wioski, na rynek, a potem wieszają.

– Coś wymyślimy.

Nawet teraz znajduje w sobie tyle siły, żeby znacząco się uśmiechnąć.

– *My?*

Gorąco rozchodzi się po moich policzkach szybciej niż płomień.

– Czeka mnie pobór tak samo jak ciebie, ale mnie też nie dostaną. Uciekniemy.

Wojsko zawsze było mi przeznaczone niczym nieuchronna kara, wiem o tym. Ale nie Kilornowi. Wojna zabrała mu już zbyt wiele.

– Nie mamy dokąd uciec – bełkocze, przynajmniej jednak zaczyna się kłócić. Przynajmniej się nie poddaje. – Nie przeżyjemy zimy na północy, na wschodzie jest morze, na zachodzie wojna, południe całe napromieniowane... a wszędzie wokoło roi się od Srebrnych i strażników.

Słowa wylewają się ze mnie niczym potok:

– Tak samo jak we wsi. Tu też roi się od Srebrnych i strażników. A mimo to potrafimy kraść tuż pod ich nosami i uchodzi nam to na sucho. – Tysiące myśli przelatuje mi przez głowę, usiłuję złapać się czegoś, czegokolwiek, z czego mógłby być jakiś pożytek. Nagle doznaję olśnienia. – Czarny rynek, przecież sami go nakręcamy. Szmuglują wszystko, od zboża po żarówki. Kto powiedział, że nie przeszmuglują ludzi?

Kilorn rozdziawia usta, szykując się do podania tysiąca powodów, dla których miałyby się nie udać. Potem jednak uśmiecha się. I przytakuje skinieniem głowy.

Nie lubię mieszać się w nie swoje sprawy. Nie mam na to czasu. A mimo to słyszę, jak wypowiadam trzy słowa, które wszystko przypieczętowują.

– Zostaw to mnie.

*

Towary, których nie można opchnąć zwykłym sklepikarzom, zawsze zanosimy Willowi Pukawce. Jest za stary i za słaby, żeby wykonywać ciężkie prace, więc za dnia zamiata ulice. Zaś wieczorami w swoim zatęchłym krytym wozie sprzedaje wszystko, czego dusza zapagnie, od surowo zabronionej kawy po egzotyczne przedmioty z Archeonu. Miałam dziewięć lat, gdy pierwszy raz przyszłam do

niego z garścią kradzionych guzików. Nie zapytał o nic i dał mi za nie trzy miedziaki. Teraz jestem jego najlepszą klientką i prawdopodobnie jedną z głównych przyczyn, dla których udaje mu się utrzymać interes w takiej dziurze jak nasza. Chwilami mogłabym nawet nazwać go przyjacielem. Minęły lata, zanim się dowiedziałam, że Will jest częścią większego układu. Niektórzy nazywają tę siatkę podziemiem, inni czarnym rynkiem, ale mnie obchodzi tylko to, co mogą zrobić. Mają paserów, takich jak Will, wszędzie. Nawet w Archeonie, choć brzmi to nieprawdopodobnie. Wożą nielegalne towary po całym kraju. Założę się, że mogliby zrobić wyjątek i dla odmiany przewieźć człowieka.

– Wykluczone.

W ciągu ośmiu lat naszej znajomości Will nigdy niczego mi nie odmówił. Teraz zaś stary pomarszczony głupiec niemal zatrząskuje mi przed nosem drzwi swojego wozu. Cieszę się, że poszłam sama i Kilorn nie widzi, jak mój plan zawodzi.

– Will, *proszę*. Wiem, że możesz to zrobić...

Starzec kręci głową, jego biała broda trzęsie się od gwałtownego ruchu.

– Nawet *gdybym mógł*, jestem handlarzem. Ludzie, z którymi pracuję, nie trawią swojego czasu i energii na przewożenie kolejnego zbiega z miejsca na miejsce. To nie ta branża.

Czuję, że wymyka mi się moja jedyna szansa, jedyna szansa Kilorna.

Will zapewne dostrzega w moich oczach rozpacz, ponieważ jego rysy łagodnieją, a on sam opiera się o drzwi wozu. Ciężko wzdycha, po czym rzuca spojrzenie za siebie, w tonące w mroku wnętrze. Następnie obraca się i gestem zaprasza do środka. Z zadowoleniem ruszam za nim.

– Dziękuję, Will – mamroczę. – Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy...

– Siadaj i bądź cicho, dziewczyno – rozlega się wysoki głos.

W wypełniających wóz ciemnościach rozpraszanych jedynie słabym światłem samotnej niebieskiej świeczki z trudem dostrzegam kobietę, która wstaje z miejsca. A może to dziewczyna? Wygląda na niewiele starszą ode mnie. Jest jednak znacznie wyższa i sprawia wrażenie zaprawionej w bojach wojowniczką. Pistolet wetknięty za czerwoną szarfę zdobioną wizerunkami słońca z pewnością nie jest legalny. Dziewczyna ma zbyt jasne włosy i cerę, aby pochodzić z Palów, a patrząc na kropelki potu pokrywające jej twarz, można się domyślić, że nie jest przyzwyczajona do upałów i wilgoci. Jest nietutejsza, to cudzoziemka, na dodatek wyjęta spod prawa. „Takiego kogoś mi trzeba”.

Gestem wskazuje mi ławkę przymocowaną do ściany wozu, czeka, aż usiądę, i dopiero wtedy sama znów siada. Will rusza za mną, sadowi się na zniszczonym krześle, po czym spogląda to na mnie, to na dziewczynę.

– Mare Barrow, poznaj Farley – mamrocze, a nieznajoma zaciska szczęki i przenosi spojrzenie na moją twarz.

– Chcesz przewieźć towar.

– Siebie i chłopaka... – zaczynam, ale dziewczyna ucisza mnie, podnosząc zgrubiałą dłoń.

– *Towar* – powtarza z naciskiem i patrzy na mnie znacząco. Serce podchodzi mi do gardła; ta cała Farley może się okazać pomocna. – Dokąd?

Zachodzę w głowę, usiłując wymyślić bezpieczne miejsce. Przed oczami przesuwa mi się stara szkolna mapa z nakreślonymi liniami brzegowymi i rzekami, z zaznaczonymi miastami i wioskami oraz wszystkim tym, co leży pomiędzy. Od Wielkiej Zatoki po Lakelandię na zachodzie, od północnej tundry po napromieniowane pustkowia Ruin i Mielizny, wszędzie jest niebezpiecznie.

– Gdzieś, gdzie można się bezpiecznie ukryć przed Srebrnymi. To wszystko.

Farley mruży oczy, ale wyraz jej twarzy się nie zmienia.

– Bezpieczeństwo kosztuje, skarbie.

– Wszystko kosztuje, *skarbie* – odpalam, naśladowując jej ton. – Wiem o tym równie dobrze, jak ty.

W wozie zapada przeciągające się milczenie. Mijają kolejne minuty, a każda z nich to strata czasu, bezcennego dla Kilorna. Farley zapewne wyczuwa mój niepokój i niecierpliwość, ale nie spieszy się z przerwaniem ciszy. Dopiero po długiej chwili, która wydaje się wiecznością, cudzoziemka wreszcie się odzywa:

– Szkarłatna Gwardia zgadza się, Mare Barrow.

Ledwo udaje mi się powstrzymać, aby nie podskoczyć z radości. Jednak w tym samym momencie odczuwam ukłucie niepokoju, które sprawia, że na mojej twarzy nie pojawia się nawet cień uśmiechu.

– Opłaty należy dokonać z góry w całości, wynosi ona równowartość tysiąca koron – ciągnie Farley.

Słyszając to, niemal tracę dech w piersiach. Nawet Will wygląda na zaskoczonego, a jego krzaczaste siwe brwi unoszą się i znikają pod grzywką.

– *Tysiąc?* – tylko tyle udaje mi się wykrztusić. Nikt nie obraca takimi sumami, nie tu, w Palach. Za te pieniądze wykarmiłabym rodzinę przez rok. „Przez wiele lat”.

Jednak Farley jeszcze nie skończyła. Odnoszę wrażenie, że dobrze się bawi.

– Można zapłacić banknotami, monetami tetrarchii lub towarami. Oczywiście tysiąc za sztukę.

„Dwa tysiące koron”. Fortuna. Nasza wolność jest warta fortunę.

– Towar zostanie zabrany pojutrze. Należy zapłacić do tego czasu.

Z trudem oddycham. Mam mniej niż dwa dni na zebranie większej ilości pieniędzy niż zdołałam nakraść przez całe życie. „Niewykonalne”.

Kobieta nie zostawia czasu na jakiegokolwiek protesty.

– Przyjmujesz warunki?

– Potrzebuję więcej czasu.

Kręci głową. Następnie nachyla się, a ja czuję owiewający ją zapach prochu strzelniczego.

– Przyjmujesz warunki?

To niemożliwe. To głupie. „To nasza jedyna szansa”.

– Przyjmuję.

*

Następne chwile mijają niczym w malignie, gdy w ciemnościach i błocie wlokę się do domu. Umysł mam rozgrzany do czerwoności. Próbuję wymyślić, na czym mogłabym położyć rękę, żeby uzyskać sumę choć zbliżoną do wyznaczonej przez Farley ceny. W Palach nie ma nic aż tak wartościowego, tego jestem pewna.

Kilorn nadal czeka. Stojąc samotnie w mroku, przypomina małego zagubionego chłopca. I chyba nim jest.

– Złe wiadomości? – pyta, usiłując zachować spokój, ale głos i tak mu drży.

– Podziemie może nas stąd wyciągnąć. – Ze względu na niego staram się nie tracić opanowania, gdy wyjaśniam, jak stoją sprawy. Dwa tysiące koron to niewyobrażalna suma, ale mówię o tym tak, jak gdyby dla nas była to bułka z masłem. – Jeżeli ktoś ma tego dokonać, to tylko my. Tylko my.

– Mare. – W jego głosie pobrzmiwa chłód, bardziej przenikliwy niż zimowy wiatr, jednak gorsze jest puste spojrzenie jego oczu. – To koniec. Przegraliśmy.

– Ale gdybyśmy tylko...

Wyciąga rękę, chwytając mnie za ramiona i mocno ściska. Nie boli mnie, ale i tak milknę.

– Nie rób mi tego, Mare. Nie każ mi wierzyć, że można się z tego wywinąć. Nie dawaj mi nadziei.

Ma rację. Stwarzanie nadziei, gdy w rzeczywistości jej nie ma, to okrucieństwo. Fałszywa wiara wywołuje rozczarowanie, ból i wściekłość, przez co niełatwe sprawy stają się jeszcze trudniejsze.

– Pozwól mi się z tym pogodzić. Może... może uda mi się wtedy jakoś to poukładać w głowie i dobrze się wyszkolić, żebym miał tam chociaż cień szansy.

Unoszę dłonie i zaciskam palce na jego nadgarstkach.

– Mówisz, jak gdybyś już był trupem.

– Może jestem.

– Moi bracia...

– Twój ojciec szykował ich do wyjazdu na długo przed tym, nim nadeszła ich pora. A do tego każdy jest wielki jak stodoła, co pewnie w boju się przydaje. – Krzywi twarz w uśmiechu, próbując mnie rozśmieszyć. Nie udaje mu się. – Dobrze pływam i żegluję. Wezmą mnie na jeziora.

Dopiero gdy obejmuje mnie ramionami i przygarnia do siebie, zauważam, że cała drzę.

– Kilornie... – mamrocę z ustami przyciśniętymi do jego piersi. Nic więcej nie potrafię

powiedzieć. „To powinnam być ja”. Jednak mój czas też szybko się zbliża. Mam jedynie nadzieję, że Kilorn przeżyje wystarczająco długo, abyśmy mogli się ponownie spotkać, w koszarach lub okopach. Może wtedy przyjdą mi do głowy odpowiednie słowa. Może wtedy zrozumiem, co czuję.

– Dziękuję, Mare. Za wszystko. – Odsuwa się, zbyt szybko wypuszczając mnie z objęć. – Jeśli będziesz oszczędzać, zdążysz uzbierać, zanim po ciebie przyjdą.

Żeby go nie martwić, przytakuję skinieniem głowy. Nie zamierzam jednak pozwolić mu samemu walczyć i zginąć.

Jeszcze zanim zacznę się gramolić z powrotem do łóżka, wiem, że tej nocy nie zmruję oka. Musi być jakiś sposób i nawet jeśli zajmie mi to całą noc, coś wymyślę.

Gisa kaszle przez sen, delikatnie, niemalże uprzejmie. Nawet śpiąc, zachowuje się wytwornie. Nic dziwnego, że tak dobrze odnajduje się w towarzystwie Srebrnych. Ma wszystkie te cechy, które arystokraci cenią u Czerwonych: jest cicha, miła i skromna. Dobrze, że to jej przypadło w udziale radzenie sobie z nadludźmi i pomaganie im przy wyborze jedwabiu i innych wykwintnych tkanin na stroje, które ci głupcy założą tylko raz. Mówi, że można do tego przywyknąć, do sum, które są gotowi wydać na takie błahostki. W Wielkich Ogrodach, na placu targowym w Summerton, operuje się kwotami dziesięciokrotnie wyższymi niż tutaj. Razem z mistrzynią Gisa zszywa koronki, jedwabie, futra, wykorzystuje nawet kamienie szlachetne, żeby stworzyć dzieła sztuki krawieckiej, w które stroi się Srebrna elita podążająca wszędzie za rodziną królewską. Gisa nazywa ich paradą, nieskończenie długim orszakiem dumnych nadludzi pyszniących się swoimi strojami niczym pawie i w swej próżności niedorzecznych. Wszyscy Srebrni, wszyscy niemądrzy, wszyscy z obsesją na punkcie pozycji społecznej.

Tej nocy nienawidzę ich bardziej niż zwykle. Pończochy, które giną im w praniu, prawdopodobnie wystarczyłyby, żeby ocalić mnie, Kilorna i połowę Palów przed poborem.

Po raz drugi tego dnia doznaję olśnienia.

– Gisa! Obudź się. – Nie mówię tego szeptem. Siostra zawsze śpi jak zabita. – *Gisa*.

Porusza się i jęczy z twarzą wtuloną w poduszkę.

– Czasami mam ochotę cię zabić – marudzi.

– To miło z twojej strony. A teraz wstawaj!

Oczy ma wciąż zamknięte, gdy skaczę na nią niczym olbrzymi kot. Zanim zdąży wrzasnąć i zbudzić mamę, zasłaniam jej usta dłonią.

– Posłuchaj mnie. Nic nie mów, tylko słuchaj.

Mruczy coś pod moją ręką, ale przytakuje skinieniem głowy.

– Kilorn...

Na dźwięk jego imienia Gisa czerwieni się, a nawet chichocze, czego zwykle nie robi. Nie mam

jednak czasu zajmować się jej młodzieńczym zauroczeniem, nie teraz.

– Przestań, Giso. – Robię krótki wdech. – Kilorn idzie do wojska.

W jednej sekundzie śmiech siostry cichnie. U nas wojsko nie jest powodem do żartów.

– Wymyśliłam, jak można go z tego wyciągnąć, uratować przed wojną, ale potrzebuję twojej pomocy. – Słowa z trudem przechodzą mi przez gardło, ale coś się we mnie przełamuje. – Potrzebuję cię, Giso. Pomożesz mi?

Odpowiada bez wahania, a ja czuję ogromny przypływ siostrzanej miłości.

– Tak.

*

Dobrze, że jestem niska, inaczej nie zmieściłabym się w zapasowy uniform Gisy. Uszyto go z grubego ciemnego materiału, zupełnie nienadającego się na upalne dni. Do tego dochodzą rozgrzane letnim słońcem, parzące skórę guziki i suwaki. Zarzucam na plecy tobołek i niemal przewracam się pod ciężarem materiałów i przyborów do szycia. Gisa również ma na sobie uniform oraz plecak, ale jej zdają się one nie przeszkadzać. Jest przyzwyczajona do wytężonej pracy i dźwigania tobołów.

Większą część drogi w górę rzeki pokonujemy wciśnięte między korce pszenicy na barce należącej do życzliwego chłopca od lat zaprzyjaźnionego z Gisą. Ludzie z okolicy obdarzają ją zaufaniem, którym ja dawno przestałam się cieszyć. Chłop wysadza nas półtora kilometra przed Summerton, nieopodal gościńca, na którym wije się korowód kupców. Wleczeni się razem z nimi w kierunku czegoś, co Gisa nazywa Ogrodową Furta, choć wokoło nie widać żadnych ogrodów. Okazuje się, że jest to brama z lśniącego szkła, które oślepia nas, zanim jeszcze zdążymy przez nią przejść. Pozostała część miejskiego muru wydaje się wykonana z tego samego tworzywa, ale nie chce mi się wierzyć, żeby król Srebrnych był na tyle głupi, aby chować się za szklanymi umocnieniami.

– To nie szkło – wyjaśnia Gisa. – Przynajmniej nie w całości. Srebrni wynaleźli sposób na topienie diamentów i łączenie ich z innymi materiałami. Ten mur jest nie do zdobycia. Nie rozkruszy go żadna bomba.

„Diamentowe mury”.

– Ostrożności nigdy za wiele.

– Pochyl głowę. Ja będę mówić – szepcze siostra.

Trzymam się tuż za nią, wzrok wbijam w drogę, której nawierzchnia w pewnej chwili się zmienia i smolisty spękany asfalt przechodzi w białe kamienie. Są tak gładkie, że niemal się na nich ślizgam, na szczęście Gisa chwyta mnie za rękę i przytrzymuje. Kilorn z łatwością poruszałby się po nich tym swoim marynarskim chodem. Zaraz jednak przypominam sobie, że Kilorn nie mógłby tu być. On już się poddał. „Ja nie mam zamiaru tego robić”.

Gdy dochodzimy do bramy, mrużę powieki, starając się dostrzec, co się dzieje po drugiej stronie.

Chociaż Summerton ożywa jedynie w sezonie letnim i zamiera, zanim nastaną pierwsze przymrozki, jest to największe miasto, jakie kiedykolwiek widziałam. Wszystkie ruchliwe ulice, ludne sklepy, bary, domy i dziedzińce są zwrócone w stronę połyskującego monstrum wykonanego z diamentowego szkła i marmuru. Teraz już wiem, skąd wzięła się jego nazwa. Wznoszący się na wysokość kilkuset metrów, splątany gąszcz iglic i mostów Palatium Słońca lśni niczym olbrzymia gwiazda. Niektóre części budowli wydają się ciemnieć na życzenie mieszkańców spragnionych odrobiny prywatności. Lud nie może się przecież wpatrywać bez końca w króla i jego orszak. Widok pałacu zapiera dech w piersiach, budzi grozę i onieśmiela – a to zaledwie *letnia* rezydencja.

– Imiona i nazwiska – pada szorstka komenda i Gisa zatrzymuje się.

– Gisa Barrow. To moja siostra Mare Barrow. Pomaga mi nieść materiały dla mistrzyni. – Gisa zachowuje kamienną twarz, mówi opanowanym, a nawet znudzonym głosem. Strażnik ruchem głowy pokazuje na mnie, ja zaś ostentacyjnie poprawiam tobolek. Siostra podaje nasze identyfikatory, obydwie ponaddzierane, brudne i niemal rozpadające się, ale muszą wystarczyć.

Strażnik najwyraźniej zna Gisę, ponieważ ledwie rzuca okiem na jej dokument. Natomiast mój ogląda bardzo uważnie, przypatrując się to zdjęciu, to mnie przez dobrą minutę. Zastanawiam się, czy przypadkiem nie jest Szeptaczem i umie czytać w myślach. Gdyby tak było, moja wycieczka zapewne szybko dobiegłaby końca, a ja prawdopodobnie doczekałabym się stryczka.

– Nadgarstki – wzdycha znudzony nami mężczyzna.

Przez chwilę nie wiem, co robić, Gisa jednak bez namysłu wysuwa prawą rękę. Wykonuję ten sam gest, wyciągając ramię w stronę strażnika, on zaś nakłada nam na nadgarstki czerwone opaski. Bransolety kurczą się, dopóki ściśle nie obejmują naszych rąk, niczym kajdany – same nie zdołamy ich zdjąć.

– Ruszać. – Mężczyzna pogania nas leniwym ruchem dłoni. Dwie dziewczyny to według niego żadne zagrożenie.

Gisa dziękuje skinieniem głowy, ale ja nie zginam karku. Ten strażnik nie zasługuje nawet na odrobinę uznania. Brama rozwiera się przed nami. Krew pulsuje mi w uszach, gdy słysząc pierwsze dźwięki dobiegające z Wielkich Ogrodów, przekraczam próg innego świata.

Nigdy wcześniej nie widziałam takiego targu, ozdobionego kwiatami, drzewami, fontannami. Nie ma tu prawie w ogóle Czerwonych, a ci, których dostrzegam, załatwiają sprawunki lub sprzedają towary, wszyscy oznaczeni czerwonymi opaskami. Chociaż Srebrni nie noszą żadnych opasek na nadgarstkach, nie sposób ich przeoczyć. Ich stroje kapią od klejnotów i szlachetnych metali, każdy z nich ma na sobie majątek. Jedna zręczna sztuczka i mogę wracać do domu pewna, że zdobyłam to, po co przyszłam. Srebrni są wysocy, piękni i oziębli, a ich ruchy cechuje niespieszny wdzięk, na który nie stać żadnego z Czerwonych. My po prostu nie mamy czasu poruszać się w ten sposób.

Gisa prowadzi mnie obok cukierni z ciastkami oprószonymi złotą posypką, sklepu z kolorowymi owocami, jakich nigdy wcześniej nie widziałam, i menażerii pełnej dzikich zwierząt, których istnienie nie mieści mi się w głowie. Dostrzegam dziewczynkę, sądząc po ubraniach jedną ze Srebrnych, która karmi kawałkami jabłka łaciatego niby-konia o niezwykle długiej szyi. Kilka alejek dalej wszystkimi barwami tęczy mieni się wystawa sklepu jubilerskiego. Zapamiętuję to miejsce, ale trudno mi tutaj dłużej skupić na czymś uwagę. Powietrze zdaje się pulsować, wszystko wokoło tętni życiem.

Przechodzi mi przez głowę, że nie istnieje nic bardziej niesamowitego niż to miasto, ale wtedy mój wzrok pada na Srebrnych i przypominam sobie, kim tak naprawdę są. Dziewczynka w menażerii jest Psychiczką, a kawałki jabłka, którymi karmi zwierzę o długiej szyi, unoszą się trzy metry nad ziemią. Kwiaciarz przesuwając dłoń nad donicą z białymi kwiatami, które nagle rozwijają się, rosą jak szalone i oplatają mu łokcie. To Zieleniec, zaklinacz roślin i ziemi. Przy fontannie siedzi dwoje Wodniaków, leniwie zabawiając potomstwo tworzeniem kul wodnych ślizgających się po powierzchni basenu. Jeden z nich ma pomarańczowe włosy i nienawistne spojrzenie, nawet gdy tłoczą się wokół niego dzieci. We wszystkich zakątkach placu Srebrni zajmują się swoimi niezwykłymi sprawami. Jest ich całe mnóstwo, każdy wytworny, potężny i zupełnie oderwany od mojej rzeczywistości.

– Tak żyje druga połowa – mruczy Gisa, wyczuwając mój podziw i trwogę. – Na sam widok wszystko się we mnie przewraca.

Ogarnia mnie poczucie winy. Zawsze zazdrościłam Gisie jej talentu i przywilejów, które dzięki niemu zyskuje, ale nigdy nie pomyślałam o cenie, jaką płaci. Nie chodziła zbyt długo do szkoły i prawie nie ma przyjaciół w Palach. Gdyby była zwyczajna, miałaby pełno znajomych. Byłaby uśmiechnięta. Tymczasem ta czternastoletnia dziewczyna po uszy zanurzona w zniechęconym świecie dzielnie nanosi szew za szew, aby igłą i nitką wywalczyć przyszłość rodzinie.

– Dziękuję, Gi – szepczę jej do ucha. Ona wie, że mówię nie tylko o tym, co zrobiła dzisiaj.

– Tutaj jest zakład Salli, ten z niebieską markizą. – Wskazuje boczną alejkę, a w niej sklepik wciśnięty między dwie kawiarenki. – Gdybyś mnie potrzebowała, będę tam cały czas.

– Nie zamierzam zawracać ci głowy – odpowiadam szybko. – Nawet jeśli coś pójdzie nie tak, nie będę cię w to wszystko mieszać.

– Dobrze. – Chwyta mnie za dłoń i ściska ją mocno przez sekundę. – Uważaj. Dziś jest bardziej tłoczno niż zwykle.

– Łatwiej się ukryć. – Uśmiecham się znacząco.

Jednak Gisa przygląda mi się z powagą.

– I łatwiej wpaść na strażników.

Idziemy dalej, z każdym krokiem zbliża się chwila, gdy zostanę sama w tym dziwnym, obcym miejscu. Panika przeszywa mnie niczym prąd, kiedy Gisa delikatnie zdejmuje mi z pleców tobolek. Stoimy przed jej zakładem.

Żeby się uspokoić, mrużę pod nosem:

– Z nikim nie rozmawiam, nie patrzę w oczy. Cały czas idę. Wychodzę tędy, którą przyszedłam, przez Ogrodową Furtę. Strażnik zdejmuje mi opaskę i ruszam dalej. – Słuchając i potakując, siostra ze skupieniem, a może nawet z nadzieją, wpatruje się we mnie szeroko otwartymi oczami. – Piętnaście kilometrów i jestem w domu.

– Piętnaście kilometrów i jesteś w domu – powtarza.

Najbardziej na świecie pragnę tylko tego, aby móc pójść z Gisą, którą odprowadzam spojrzeniem, dopóki nie znika pod niebieskim daszkiem. Zawiodła mnie aż tutaj. Teraz moja kolej.

ROZDZIAŁ 4

Robiłam to setki razy, przepatrywałam tłum niczym wilk obserwujący stado owiec. Szukałam najsłabszych, najwolniejszych, najmniej rozgarniętych. Tyle że teraz to ja najbardziej nadaję się na ofiarę. Może się okazać, iż wybiorę Zwinnego, który złapie mnie w ułamku sekundy, albo – co gorsza – Szeptacza, który prawdopodobnie wyczuje moje zamiary, zanim w ogóle zbliżę się do niego na kilometr. Nawet ta mała Psychiczka z łatwością pokonałaby mnie, gdyby coś poszło nie tak. Dlatego będę musiała być szybsza niż zwykle, bystrzejsza niż zwykle, a przede wszystkim będę musiała mieć o wiele więcej *fartu* niż zwykle. Co za obłąd. Na szczęście nikt nie zwraca uwagi na kolejną Czerwoną służącą, kolejnego robaka kręcącego się u stóp bogów.

Wracam na plac, ręce zwisają mi bezwładnie wzdłuż tułowia, ale trzymam je w pogotowiu. Zwykle poruszam się w tłumie jak w tańcu, prześlizguję się przez najbardziej zatłoczone miejsca, a sakiewki i zawartość kieszeni same wpadają mi w dłonie niczym muchy w pajęczę sieci. Mam jednak tyle rozumu, żeby tutaj tego nie próbować. Wchodzę między ludzi i niesiona ich prądem okrążam plac. Tym razem nie zaślepią mnie cudowne otoczenie, omijam je wzrokiem, skupiając się na szczelinach między kamieniami i ubranych na czarno strażnikach stojących w cieniu na każdym kroku. Niezwykły świat Srebrnych jawi mi się wyraźniej. Zauważam, że nadludzie prawie w ogóle na siebie nie patrzą i *nigdy* się nie uśmiechają. Małą Psychiczką wydaje się nudzić karmienie dziwnego zwierzęcia, a kupcy nie silą się nawet na targowanie. Jedyne Czerwoni wyglądają na żywych, uwijając się między sztywno poruszającymi się mężczyznami i kobietami z lepszego świata. Pomimo upału, słońca i jaskrawych chorągiewek miasto Srebrnych jest najbardziej lodowatym miejscem, jakie widziałam.

Największym niepokojem napawają mnie czarne kamery wideo ukryte w markizach i alejkach. U nas, w Palach, jest ich zaledwie kilka, przy posterunkach straży i na arenie, ale tutaj aż się od nich roi. Słyszę ich szum, który brzmi w moich uszach niczym nieustanne przypomnienie: „Ktoś jeszcze obserwuje tłum”.

Prąd ludzi porywa mnie w dół głównej alei, mijam bary i kawiarnie. Niektórzy Srebrni siedzą w ogródkach, spoglądając na przechodniów i popijając poranne napoje. Część wpatruje się w

zawieszane na ścianach lub zwisające ze sklepionych przejść ekrany wideo. Na każdym ekranie wyświetlają się inne obrazy, od starych pojedynków na arenach, przez wiadomości, po mieniące się krzykliwymi barwami programy, z których nic nie rozumiem; wszystkie one zlewają się w moich oczach w jedno. Wysoki, piskliwy odgłos ekranów i wszechobecny szum elektryczności sprawiają, że huczy mi w głowie. Nie mam pojęcia, jak oni to znoszą. Jednak większość Srebrnych nawet nie zerka w stronę monitorów, jak gdyby w ogóle ich nie zauważali.

Palatium rzuca nad nami migotliwy cień i znów przyglądam się budowli w bezmyślnym zachwycie. Jednak w pewnym momencie wytrąca mnie z niego dziwne buczenie. Z początku przypomina ono sygnał rozlegający się przed pojedynkami na arenie, ale ten odgłos jest inny. Niższy i jak gdyby głębszy. Mimowolnie obracam się w jego stronę.

W barze obok mnie wszystkie ekrany wideo przełączają się na ten sam program. Nie jest to orędzie króla, ale serwis informacyjny. Nawet Srebrni przystają i zaczynają słuchać w nabożnym skupieniu. Gdy buczenie milknie, rozpoczynają się wiadomości. Na monitorach pojawia się wyfiokowana blondynka, bez wątpienia Srebrna. Odczytuje z kartki komunikat i wygląda na przerażoną.

– Srebrni obywatele Norty, przepraszamy za przerwę w transmisjach. Trzydzieści minut temu w stolicy doszło do zamachu terrorystycznego.

Zebrani wokół mnie nadludzie wydają stłumione okrzyki, rozlegają się przestraszone szepty.

Mrugam oczami z niedowierzaniem. Zamach terrorystyczny? Na Srebrnych? „Czy to w ogóle możliwe?”

– Był to zorganizowany zamach bombowy na rządowe budynki w zachodnich dzielnicach Archeonu. Według doniesień Sąd Królewski, Siedziba Rady oraz Pałac Białego Ognia zostały uszkodzone, ale tego ranka nie odbywały się posiedzenia sądu ani rady. – Zmienia się obraz na ekranie, kobieta znika, a zamiast niej zostaje zamieszczony materiał filmowy przedstawiający płonące gmachy. Strażnicy ewakuują ludzi, którzy znajdowali się wewnątrz budynków, podczas gdy Wodniaki polewają płomienie wodą. Między nimi biegają Uzdrowiciele oznaczeni na ramionach czerwono-czarnymi krzyżami. – Rodzina królewska nie przebywała w pałacu i na chwilę obecną nie ma doniesień o ofiarach. W ciągu najbliższej godziny król Tyberiasz wygłosi orędzie.

Stojący obok mnie Srebrny zaciska pięść i uderza nią w kontuar z litego kamienia, który momentalnie pokrywa się pajęczyną spękań. Siłacz.

– To Lakelandczycy! Przegrywają na północy, więc przychodzą tu, na południe, żeby nas postraszyć! – Parę głosów wtóruje jego szyderstwom i przeklina wrogą nację.

– Powinniśmy zmieść ich z powierzchni ziemi, zepchnąć aż na Prerię! – odzywa się inny Srebrny, a wielu głośno mu przytakuje. Z trudem powstrzymuję się, żeby nie warknąć coś w odpowiedzi tym

tchórzom, którzy nigdy nie zobaczą linii frontu ani nie posła własnych dzieci do walki. Za ich Srebrną wojnę płacą swoją krwią Czerwoni.

Gdy wyświetlają się kolejne zdjęcia przedstawiające marmurową fasadę gmachu sądowego, z której po eksplozji nie pozostał kamień na kamieniu, oraz szklano-diaamentowy mur ledwie wytrzymujący siłę wybuchu, część mnie nie posiada się z radości. Srebrni nie są niezwyciężeni. Mają wrogów – wrogów, którzy mogą ich dotkliwie zranić i przed którymi choć raz nie zdołają się ukryć za Czerwoną tarczą.

Na ekranie znów pojawia się twarz spikerki, jeszcze bledszej niż wcześniej. Ktoś poza wizją szepcze coś do niej, na co ona drżącymi rękami przekłada notatki.

– Otrzymaliśmy wiadomość, że do zamachów bombowych w Archeonie przyznała się pewna organizacja – mówi, zacinając się lekko. Rozwrzeszczani Srebrni w barze milkną i pilnie wsłuchują się w płynące z głośników słowa. – Kilka chwil temu terrorystyczne ugrupowanie zwące się Szkarłatną Gwardią udostępniło nagranie, które teraz zaprezentujemy.

– Szkarłatna Gwardia?

– Co, do cholery...?

– Cóż to za sztuczka...? – W barze rozlegają się pytania zdezorientowanych Srebrnych. Nikt wcześniej nie słyszał o Szkarłatnej Gwardii.

„Ale ja słyszałam”.

Tak powiedziała o sobie Farley. O sobie i o Willu. Oni jednak są *przemytnikami*, parą szmuglerów, a nie terrorystami, zamachowcami czy jak tam nazwała ich spikerka. „To zbieg okoliczności, nie może chodzić o nich”, myślę.

Na ekranie ukazuje się dziwny obraz. Przed rozchybotaną kamerą stoi kobieta z twarzą ściśle obwiązaną szkarłatną chustą. Między zwojami pozostała jedynie cienka szpara, z której spoglądają bystre niebieskie oczy. W jednej ręce kobieta trzyma broń, w drugiej obszarpaną czerwoną flagę. Na jej piersiach widnieje brązowa odznaka w kształcie rozerwanego słońca.

– Nazywamy się Szkarłatną Gwardią i walczymy o wolność i równość wszystkich ludzi... – rozlega się kobiecy głos. Poznają go.

„Farley”.

– ... od Czerwonych począwszy.

Przeciętnie inteligentny człowiek domyśliłby się, że bar pełen rozgniewanych, agresywnych Srebrnych to ostatnie miejsce, w którym powinna się teraz znajdować Czerwona dziewczyna. Ja jednak nie potrafię się poruszyć. Nie potrafię oderwać oczu od twarzy Farley.

– Uważacie się za władców świata, ale wasz czas jako królów i bogów dobiega końca. Dopóki nie uznacie nas za *ludzi, za równych sobie*, walka będzie się toczyć u waszych progów. Nie na

polach bitewnych, ale w waszych miastach. Na waszych ulicach. W waszych domach. Nie widzicie nas, choć jesteśmy wszędzie. – W jej głosie pobrzmiwa moc i pewność. – I powstaniemy. Czerwoni niczym świt.

„Czerwoni niczym świt”.

Relacja się urywa, na monitorze pojawia się jasnowłosa spikerka z nieelegancko rozdziawionymi ustami. Ryki zagłuszają dalszy ciąg serwisu, gdy zgromadzeni w barze Srebrni odzyskują głos. Wrzeszczą coś o Farley, nazywając ją terrorystką, morderczynią, Czerwoną diablicą. Zanim skierują uwagę na mnie, wycofuję się na ulicę.

Jednak ze wszystkich barów i kawiarni ciągnących się wzdłuż głównej alei od placu do Palatium wylewają się tłumy Srebrnych. Usiłuję zerwać z nadgarstka czerwoną opaskę, ale to cholerstwo nie chce puścić. Inni Czerwoni pierzchają w boczne uliczki i bramy, próbując uciec, a ja rozsądnie idę w ich ślady. Zanim docieram do najbliższej alejki, rozlegają się krzyki.

Wbrew wszelkim instyktom spoglądam przez ramię i widzę Czerwonego mężczyznę, którego trzyma za kark jeden ze Srebrnych. Czerwony błaga napastnika:

– Proszę, nie wiem, nie mam pojęcia, kim do licha są ci ludzie...!

– Co wiesz o Szkarłatnej Gwardii?! – Srebrny wrzeszczy mu prosto w twarz. Poznaje w nim Wodniaka, który niecałe pół godziny temu bawił się z dziećmi. – Kim oni są?!

Zanim Czerwony mężczyzna zdąży coś powiedzieć, z siłą wodospadu uderza w niego ściana wody. Wodniak unosi rękę i po chwili kolejny strumień zalewa twarz jego ofiary. Wokoło gromadzą się Srebrni, zagrzewając swojego pobratymca do walki gwizdami i szyderstwami. Czerwony charczy i ciężko dyszy, z trudem usiłując nabrać powietrza. Gdy tylko udaje mu się złapać oddech, woła, że jest niewinny, ale woda nie przestaje go zalewać. Jego oprawca wpatruje się w niego szeroko rozwartymi, pełnymi nienawiści oczami i nie wygląda na to, żeby zamierzał ustąpić. Opróżnia fontannę, wszystkie szklanki w okolicy i bombarduje wodnymi pociskami Czerwonego.

Topi go.

*

Mknę pogrążonymi w panice ulicami, wymijając zarówno Czerwonych, jak i Srebrnych i wypatrując niebieskiej markizy. Zwykle zamieszanie to mój sprzymierzeniec, który ułatwia złodziejskie wyczyny. Nikt nie zauważy, że zniknęła mu sakiewka, gdy ucieka przed wzburzonym tłumem. Jednak Kilorn i dwa tysiące koron nie są już dla mnie najważniejsi. Myślę tylko o tym, aby znaleźć Gisę i wydostać się poza miasto, które z pewnością wkrótce stanie się więzieniem. „Jeśli zamkną bramy...” Nie chcę nawet się zastanawiać, co by było, gdybyśmy tu utknęły, za szklanym murem, przez który będzie widać nieosiągalną dla nas wolność.

Strażnicy biegają ulicami tam i z powrotem – nie wiedzą, co robić ani kogo ochraniać. Kilku z

nich okrążyło grupkę Czerwonych, którym kazali uklęknąć. Czerwoni trzęsą się i błagają o litość, powtarzają w kółko, że o niczym nie mają pojęcia. Założę się, iż jestem jedyną osobą w mieście, która przed dzisiejszymi wypadkami *słyszała* cokolwiek o Szkarłatnej Gwardii.

Na tę myśl przeszywa mnie nagły strach. Jeśli mnie złapią, jeśli wyjawię im te parę strzępów informacji, które posiadam – co zrobią z moją rodziną? Z Kilornem? Z Palami?

„Nie mogą mnie dopaść”.

Ukrywając się za straganami, biegnę ile sił w nogach. Na głównej alei rozpętały się prawdziwe zamieszki, ja jednak patrzę przed siebie, nie spuszczam wzroku z niebieskiej markizy majaczącej w uliczce za placem. Mijając sklep jubilerski, zwalniam. Jeden klejnot ocaliłby Kilorna. Jednak w tej samej sekundzie, w której przystaję, obsypują mnie odłamki stłuczonego szkła. Stojący na ulicy Psychik wpatruje się we mnie i przygotowuje do kolejnego ataku. Nie zamierzam na niego czekać, puszczam się pędem przed siebie, prześlizguję między płachtami, straganami, wyciągniętymi ramionami i po chwili znajduję się z powrotem na placu. Nie wiem, kiedy docieram do fontanny i przebiegam przez nią, rozchlapując wodę na wszystkie strony.

Nagle spieniona fala zwala mnie z nóg, wpadam prosto we wzburzoną fontannę. Basen jest płytki, ma nie więcej niż pół metra głębokości, ale wypełniająca go woda tężeje, a ja czuję, jak gdybym zastygła w płynnym ołowiu. Nie mogę się poruszyć, nie mogę pływać, „nie mogę oddychać”. Nie mogę myśleć. W głowie rozbrzmiewa mi tylko jedno słowo: „Wodniak”, i przypomina mi się Czerwony topiący się na środku alei. Uderzam skronią o kamienne dno, przed oczami wirują mi gwiazdy, *iskry*, każdy skrawek mojej skóry wydaje się naelektryzowany. Wtem woda znów się rozrzedza, faluje, a wtedy odruchowo się prostuję i wynurzam na powierzchnię. Powietrze wdziera się w moje płuca, nos i gardło potwornie pieką, ale to nic. „Żyję”.

Mała silna ręka chwyta mnie za kołnierz i próbuje wyciągnąć z fontanny. „Gisa”. Odpycham się stopami od dna i razem z siostrą przewracamy się na ziemię.

– Musimy uciekać! – wrzeszczę, stając na nogi.

Gisa biegnie już przede mną, kierując się w stronę Ogrodowej Furty.

– Słuszna uwaga! – woła przez ramię.

Ruszam za nią, ale nie potrafię się powstrzymać, żeby nie obrócić głowy i nie spojrzeć na plac, który zostawiam za sobą. Tłum Srebrnych wyległ na targowisko i rzucił się na stragany niczym wataha wygłodniałych wilków. Garstka Czerwonych, którzy nie zdążyli uciec, kuli się na ziemi, błaga o litość. Na powierzchni wody w fontannie, w której przed chwilą ledwo uszłam z życiem, twarzą do dołu unosi się ciało mężczyzny z pomarańczowymi włosami.

Cała dygoce, pali mnie każdy mięsień, gdy pędzimy w stronę bramy. Gisa trzyma mnie za rękę, ciągnie między ludźmi.

– Piętnaście kilometrów i jesteśmy w domu – mamrocze. – Masz, po co przyszedłeś?

Czuję przytłaczający wstyd, gdy muszę pokręcić przecząco głową. Nie było czasu. Ledwie weszłam na ulicę, a pojawiły się doniesienia o zamachach. „Nie dałam rady nic zrobić”.

Na twarzy siostry maluje się zdumienie, między brwiami pojawia się pojedyncza zmarszczka.

– Coś wymyślimy – mówi Gisa, ale w jej głosie pobrzmiewa taka sama rozpacz, jaka przepełnia mnie w tej chwili.

Przed nami wyłania się brama, z każdą sekundą robi się coraz większa. Na jej widok ogarnia mnie przerażenie. Kiedy przez nią przejdziemy, kiedy opuścimy miasto, Kilorn nie będzie miał już żadnych szans.

I chyba dlatego Gisa decyduje się to zrobić.

Zanim zdołam ją powstrzymać, chwycić albo odciągnąć, mała zręczna dłoń Gisy wsuwa się do czyjejś torby. Nie do byle jakiej torby, ale do torby uciekającego Srebrnego. Mężczyzny o grafitowych oczach, ostrym nosie i szerokich ramionach, którego wygląd zdaje się wysyłać ostrzeżenie: „Nie zadzieraj ze mną”. Gisa może po mistrzowsku władać igłą i nitką, ale nie jest kieszonkowcem. Srebrnemu potrzeba całej sekundy, żeby się zorientować, co się dzieje. W następnej sekundzie ktoś chwyta Gisę i podrywa ją z ziemi.

Ten sam Srebrny. Jest ich *dwóch*? „Bliźnięta?”

– Nie najlepszy moment na okradanie Srebrnych – odzywają się chóralnie bliźniacy. Nagle jest ich już trzech, czterech, pięciu, sześciu, otaczają nas ze wszystkich stron. „Pomnażają się. To Kloniarz”.

Kręci mi się w głowie.

– Ona nie chciała zrobić nic złego, to tylko głupi dzieciak...

– Jestem tylko głupim dzieciakiem! – wrzeszczy Gisa, usiłując kopnąć tego, który ją trzyma.

Srebrni jednogłośnie wybuchają przerażającym śmiechem.

Skaczę do Gisy, próbuję ją uwolnić, ale jeden z klonów odpycha mnie. Łąduję na twardych kamieniach, tracę oddech i z trudem usiłuję złapać powietrze, a w tym czasie inny Srebrny klon następuje mi na brzuch i przygważdża mnie do ziemi.

– Proszę... – udaje mi się wykrztusić, ale nikt mnie już nie słucha. Wycie, które słyszę w głowie, narasta, gdyż wszystkie kamery zwracają się w naszą stronę. Znów włoski na ciele stają mi dęba, tym razem ze strachu o siostrę.

Strażnik, ten który wpuścił nas rano do miasta, zbliża się z bronią w rękę.

– Co się dzieje? – warczy, omiatając spojrzeniem identyczne twarze zebranych Srebrnych.

Sześciioraczki jeden po drugim stapiają się znów ze sobą i pozostaje ich jedynie dwóch: ten, który trzyma Gisę, i ten, który mnie przygniata.

– To złodziejka. – Srebrny mężczyzna potrząsa moją siostrą. Z uznaniem stwierdzam, że Gisa nie wydaje z siebie najmniejszego jęku.

Strażnik rozpoznaje ją, kamienna twarz na ułamek sekundy pochmurnieje.

– Znasz zasady, dziewczyno.

Gisa pochyla głowę.

– Znam zasady.

Szamoczę się ze wszystkich sił, próbując powstrzymać to, co ma nastąpić. Słysząc brzęk tłuczonego szkła, gdy w przetaczających się po ulicy rozruchach są rozbijane kolejne ekrany. Strażnik jednak nie zwraca na to uwagi, chwyta moją siostrę i przyciska ją do ziemi.

W otaczającym zgiełku rozlega się mój krzyk:

– To ja! To mój pomysł! Ukarzcie mnie! – Ale nikt mnie nie słucha. Nikogo to nie obchodzi.

Mogę się jedynie przyglądać, jak strażnik kładzie siostrę obok mnie. Patrzymy sobie w oczy, podczas gdy Srebrny spuszcza kolbę karabinu na dłoń Gisy, miażdżąc jej rękę, która potrafi wyszywać cuda.

ROZDZIAŁ 5

Kilorn znalazłby mnie, gdziekolwiek bym się schowała, biegnę więc przed siebie. Pędzę, jak gdybym chciała zostawić jak najdalej za sobą to, co zrobiłam Gisie, to, że zawiodłam Kilorna i że wszystko zrujnowałam. Nie potrafię jednak uciec od spojrzenia mamy, które przywitało nas, gdy stanęłyśmy z siostrą w drzwiach. W jej oczach dojrzałam beznadzieję i czmychnęłam, zanim do izby wtoczył się tata. Nie byłam w stanie stawić czoła im obojgu. „Jestem tchórzem”.

Biegnę więc do utraty tchu, niemalże do utraty przytomności, dopóki z mojej głowy nie ulatują wszystkie myśli i wspomnienia, i jedyne, co czuję, to rwący ból w mięśniach. Wmawiam sobie, że wilgotne smugi na policzkach to nie łzy, ale krople potu.

Kiedy w końcu zwalniam, aby nabrać powietrza, jestem już poza granicami wioski, kilka kilometrów poniżej, nieopodal przekłętego północnego gościńca. Między kępą drzew za zakrętem przeświecają światła zajazdu, jednego z wielu pobudowanych przy starych drogach. Jak zwykle latem gospoda jest zatłoczona, pełna sług i robotników sezonowych, którzy podążają za królewskim dworem. Nie mieszkają w Palach, nie znają mnie z widzenia, stanowią więc dla mnie łatwy łup. Przychodzę tu co roku, ale zawsze towarzyszył mi Kilorn, uśmiechał się pod nosem, przyglądając się mojej pracy. „Już niedługo jego uśmiech będę mogła zobaczyć tylko we wspomnieniach”.

W nocnym powietrzu rozlega się ryk śmiechu, gdy kilku pijanych i szczęśliwych mężczyzn wytacza się z zajazdu. W kieszeniach pobrząkują im sakiewki ciężkie od monet. „Pieniądze Srebrnych”. Zapłata za cały dzień usługiwania, uśmiechania i kłaniania się potworom przebranym za wielkich panów.

Wyrządziłam dzisiaj mnóstwo krzywdy, zraniłam tych, których najbardziej kocham. Powinnam obrócić się, pójść do domu i zdobyć się choć na tyle, aby spojrzeć im w oczy. Mimo to wolę się przyczaić w mrocznych zakamarkach zabudowań gospody zadowolona z osłony, którą zapewnia mi noc. „Nadaję się chyba tylko do tego, żeby krzywdzić innych”.

Po niedługim czasie kieszenie kurtki mam już pełne. Pijani klienci co kilka minut wychodzą na zewnątrz, a wtedy ocieram się o nich, po czym uśmiecham przepaszająco, aby odwrócić uwagę od tego, co robią moje dłonie. Nikt się mną nie przejmuje, nikogo nie obchodzi, gdy ponownie znikam w

ciemnościach. Jestem niczym cień, a nikt nie pamięta cieni.

Mija północ, a ja nadal stoję i czekam. Zawieszony na niebie księżyc przypomina mi o upływającym czasie, o tym, jak długo nie ma mnie już w domu. „Ostatni raz – powtarzam sobie. – Jeszcze jeden i wracam”. Powtarzam to przez ostatnią godzinę.

Nie zastanawiam się, gdy zajazd opuszcza kolejny klient. Spogląda w niebo i nie zauważa mnie. Bez trudu wyciągam rękę, bez trudu zahaczam palcem o sznurek obwiązujący sakiewkę. Powinnam wiedzieć, że nic nie przychodzi bez trudu, ale zamieszki i puste spojrzenie Gisy sprawiły, iż rozpacz odebrała mi rozum.

Palce mężczyzny zaciskają się na moim nadgarstku, jego uchwyt jest mocny, a dłoń wydaje się dziwnie gorąca, gdy szarpnięciem zmusza mnie, żebym wyszła z ukrycia. Usiłuję mu się wyrwać, uwolnić rękę i uciec, on jednak jest silniejszy. Kiedy się obraca, dostrzegam w jego oczach błysk, który napawa mnie lękiem podobnym do tego, jaki poczułam rano. Jednak gdzieś w głębi duszy godzę się z tym, że wreszcie spotka mnie kara. Zasłużyłam na nią.

– Złodziejka – mówi, a w jego głosie pobrzmiewa zaskoczenie.

Przyglądam mu się i z trudem powstrzymuję się od śmiechu. Nawet nie mam siły zaprzeczyć.

– Najwyraźniej.

Przypatruje mi się, omiata spojrzeniem całą moją sylwetkę, od znoszonych butów po twarz, wprawiając mnie tym w zakłopotanie. Po dłuższej chwili wzdycha głęboko i puszcza mnie. Wpatruję się w niego osłupiała. Gdy chwilę później w moją stronę leci srebrna moneta, ledwie starcza mi przytomności, żeby ją złapać. „Tetrarcha. Srebrna tetrarcha warta całą koronę”. O wiele więcej niż kradzione grosze pobrzękujące mi w kieszeni.

– Powinno wystarczyć ci na przeżycie – mówi, zanim zdążę się odezwać. W świetle padającym przez szyby gospody jego oczy mienią się miedzianozłotym blaskiem, kolorem ciepła. Wyrobiona przez lata umiejętność błyskawicznej oceny ludzi nie zawodzi mnie nawet w tak pełnej napięcia chwili. Czarne włosy mężczyzny są nazbyt lśniące, a skóra zbyt blada, żeby był kimś innym niż sługą. Jednak z postury bardziej przypomina drwala, jest barczysty, ma mocno zbudowane nogi. Jest również młody, niewiele starszy ode mnie, choć za bardzo pewny siebie jak na dziewiętnastolatka czy dwudziestolatka przystało.

Powinnam całować go po stopach za to, że puszcza mnie wolno, a do tego obdarowuje tak hojnie, ale zwycięża we mnie ciekawość. Jak zwykle.

– Dlaczego? – Pytanie brzmi twardo i szorstko. Po takim dniu, jak dzisiejszy, nie potrafię być inna.

Moje słowa zaskakują go i w odpowiedzi wzrusza ramionami.

– Potrzebujesz ich bardziej niż ja.

Mam ochotę cisnąć mu monetą prosto w twarz, powiedzieć, że potrafię o siebie zadbać, ale coś mnie powstrzymuje. „Niczego się dzisiaj nie nauczyłam?”

– Dziękuję – cedzę przez zaciśnięte zęby.

Widząc moją wymuszoną wdzięczność, mężczyzna niespodziewanie wybucha śmiechem.

– Nie nadwyreżaj się. – Następnie postępuje krok w moją stronę. Myślę sobie, że to *najdziwniejszy człowiek, jakiego spotkałam*. – Mieszkasz w wiosce, prawda?

– Tak – odpowiadam i szerokim ruchem ręki wskazuję swój wygląd. Wyblakłe włosy, brudne ubranie i przygnębione spojrzenie powinny mówić same za siebie. Mężczyzna wygląda zupełnie inaczej w swojej wytwornej i czystej koszuli, w miękkich lśniących skórzanych butach. Porusza się niespokojnie pod moim wzrokiem, bawi się kołnierzykiem.

W blasku księżyca robi się jeszcze bledszy, zerka na mnie nerwowo.

– Podoba ci się? – pyta, kierując rozmowę na inne tory. – Życie tutaj?

Jego pytanie rozśmiesza mnie, on jednak nie wygląda na rozbawionego.

– Czy komukolwiek może się tu podobać? – odpowiadam w końcu, zastanawiając się do czego, do cholery, zmierza.

Zamiast jednak błyskawicznie zripostować, odszczekać się, jak zrobiłby to Kilorn, mężczyzna milczy. Jego twarz pochmurnieje.

– Wracasz do domu? – pyta raptownie, gestem wskazując gościniec.

– A co, boisz się ciemności? – kpię, krzyżując ręce na piersiach. W głębi ducha zastanawiam się jednak, czy to nie ja powinnam się obawiać. „Jest silny, szybki, a ty jesteś tu całkiem sama”.

Odpowiada uśmiechem, który dodaje mi otuchy, choć to wydaje mi się niepokojące.

– Nie, ale chcę się upewnić, że do końca wieczoru będziesz trzymała ręce przy sobie. Nie mogę pozwolić, żebyś oskubała pół gospody, prawda? Tak w ogóle, nazywam się Cal – dodaje, wyciągając do mnie rękę.

Nie wymieniam z nim uścisku dłoni, ponieważ pamiętam gorąco jego dotyku. Obracam się i szybko, po cichu ruszam przed siebie drogą.

– Mare Barrow – rzucam przez ramię. Cal kilkoma długimi krokami zrównuje się ze mną.

– Zawsze jesteś taka uprzejma? – drąży, a ja czuję się jak podczas przesłuchania. Jednak trzymam nerwy na wodzy, gdyż ściskając w dłoni zimną srebrną monetę, przypominam sobie, czym mogą być wypełnione kieszenie mojego dziwnego towarzysza. „Srebro dla Farley. Przyda się jak znalazł”.

– Wielcy panowie pewnie dobrze ci płacą, skoro nosisz całe korony – odparowuję w nadziei, że Cal zmieni temat. Sztuczka działa i mężczyzna wycofuje się.

– Mam dobrą pracę – wyjaśnia pokrótce.

– Miło słyszeć, że przynajmniej jedno z nas ma dobrą pracę.

– Ale ty...

– Mam siedemnaście lat – kończę zdanie za niego. – Do poboru zostało mi jeszcze trochę czasu.

Mężczyzna mruży oczy, wykrzywia usta w ponurym grymasie. W jego głosie pobrzmiwa nowa nuta, słowa wydają się ostrzejsze.

– Trochę, to znaczy ile?

– Z każdym dniem mniej. – Wystarczy wypowiedzieć prawdę na głos, żeby skrzyły mi się wnętrzności. „A Kilorn ma jeszcze mniej czasu”.

Cal milknie, znów obraca głowę i wpatruje się we mnie, podczas gdy maszerujemy przez las.
Myśli.

– Nie ma pracy – mamrocze, bardziej do siebie niż do mnie. – Nie ma szans, żebyś uniknęła poboru.

Jego zdumienie jest dla mnie zastanawiające.

– Może w twoich stronach wygląda to inaczej.

– Zatem kradniesz.

„Kradnę”.

– Do niczego innego się nie nadaję – wymyka mi się. Ponownie przypominam sobie, że jedyne, co potrafię, to ranić innych. – Ale moja siostra ma dobrą pracę – dodaję bez namysłu i dopiero po chwili przytomnieję: „Nie, nie ma już pracy. Przeze mnie”.

Cal spostrzega, że walczę ze sobą, nie wiedząc, czy się poprawiać, czy nie. Z trudem zachowuję obojętny wyraz twarzy, trzymam się w garści, żeby się nie rozkleić przed zupełnie obcym człowiekiem. On jednak na pewno widzi, co próbuję ukryć.

– Byłaś dziś w Summerton? – pyta, choć wydaje mi się, że dobrze zna odpowiedź. – Wybuchły straszne zamieszki.

– To prawda. – Ledwie wydobywam z siebie głos.

– Czy... – naciska delikatnie, ale konsekwentnie, a ja czuję się tak, jak gdyby jego pytania wydrążyły dziurę w tamie, za którą narastały moje przeżycia. Nie potrafiłabym, nawet gdybym chciała, zatrzymać potoku słów, który zaczyna się ze mnie wylewać.

Nie wspominam nic o Farley, Szkarłatnej Gwardii ani nawet o Kilornie. Mówię tylko o siostrze, która przemyciła mnie do Wielkich Ogrodów, żebym mogła ukraść pieniądze na życie. Opowiadam o błędzie Gisy, zmiażdżonej dłoni i o tym, co to wszystko dla nas oznacza. O tym, co zrobiłam swojej rodzinie. I o tym, co robiłam przez ostatnie lata, przynosząc matce rozczarowanie, a ojcu wstyd, ponieważ okradałam ludzi z najbliższego otoczenia, sąsiadów. Tutaj, na pustej drodze, pod osłoną nocy wyznaję obcemu człowiekowi najokropniejszą prawdę o sobie. Cal nie zadaje pytań, nawet jeśli w pewnych momentach bełkoczę zupełnie nieskładnie. Cały czas tylko mnie słucha.

– Do niczego innego się nie nadaję – powtarzam, zanim głos zupełnie odmawia mi posłuszeństwa.

Kątem oka dostrzegam kolejny srebrny błysk. Mężczyzna wyjmuję następną monetę. W blasku księżyca widzę zarys płomiennej królewskiej korony wytłoczonej na metalowym krążku. Gdy Cal wciska mi monetę w dłoń, spodziewam się znów poczuć dotyk gorąca, jednak jego ręce zrobiły się zimne.

Mam ochotę krzyknąć, że nie chcę jego litości, ale byłoby to głupotą. Za te pieniądze będę mogła kupić to, na co Gisa nie może już zarobić.

– Naprawdę mi przykro, Mare. Świat nie powinien tak wyglądać.

Nie potrafię się nawet zdobyć na zmarszczenie brwi.

– Niektórzy mają jeszcze gorzej. Nie musisz współczuć akurat mnie.

*

Rozstajemy się na skraju wioski, pozostałą część drogi biegnącą między domami wybudowanymi na palach mam pokonać sama. Jest w naszym błocie i zalegającym pod chatami mroku coś takiego, co sprawia, że Cal czuje się nieswojo i znika, zanim zdążę się obejrzeć i podziękować swojemu dziwnemu towarzyszowi.

Zbliżając się do domu, widzę, że jest w nim cicho i ciemno, mimo to zaczynam drżeć ze strachu. Wydaje mi się, iż od poranka minęło setki lat, że zdarzył się on w innym życiu, w którym byłam bardzo głupia i bardzo samolubna, ale może trochę szczęśliwa. Teraz nie pozostało mi już nic poza przyjacielem, który za parę dni idzie na wojnę, i siostrą z roztrzaskaną ręką.

– Nie powinnaś pozwalać, żeby matka tak bardzo się o ciebie martwiła – zza jednego z pali dobiega mnie głos taty. Nie pamiętam, ile lat temu ostatni raz widziałam, żeby ojciec znalazł się na dole, na ziemi.

Ze zdumienia i strachu odzywam się piskliwie:

– Tata? Co ty tu robisz? Jak się tu...? – A wtedy ojciec wskazuje kciukiem za siebie na spuszczaną platformę przymocowaną do ściany domu. Po raz pierwszy z niej skorzystał.

– Wsiadł prąd. Pomyślałem, że rzucę okiem – odpowiada jak zwykle szorstko. Przejeżdża na wózku obok mnie i zatrzymuje się przy wkopanej w ziemię skrzynce. Podobne stoją przy każdej chacie, montuje się je, żeby regulować pobór prądu.

Tata rzeźbi po swojemu, każdemu oddechowi towarzyszy szczęknięcie mechanizmu w piersiach. Może Gisa stanie się teraz taka jak on, w jej dłoń trzeba będzie powtykać kawałki metalu, a w jej myśli wkradnie się gorycz i tęsknota za tym, czego nie będzie jej dane osiągnąć.

– Dlaczego nie weźmiesz kartek na prąd, które dostałeś ode mnie?

W odpowiedzi tata wyjmuje z kieszeni koszuli papiery i wkłada je do skrzynki. Zwykle

urządzenie ożywiłoby się, ale teraz nic się nie dzieje. „Zepsute”.

– Do niczego – wzdycha tata, odsuwając się i bezradnie opadając na oparcie wózka. Oboje wpatrujemy się w skrzynkę, nie wiemy, co powiedzieć, nie chce nam się ruszać, nie chce nam się wracać na górę. Tata uciekł tak samo jak ja, nie wytrzymał w domu, w którym mama z pewnością rozpaczała nad Gisą, opłakiwała utracone marzenia, natomiast siostra robiła, co mogła, żeby jej nie wtórować.

Uderza w skrzynkę, jak gdyby potrząsanie tym cholernym ustrojstwem mogło nagle przywrócić światło, ciepło i nadzieję. Jego ruchy robią się gwałtowne, bardziej zdesperowane, emanuje z nich gniew. Nie jest to gniew na mnie czy na Gisę, ale na świat. Dawno temu tata nazwał nas mrówkami, czerwonymi mrówkami prażącymi się w srebrnym słońcu. Niszczy nas potęga innych, przegrywamy walkę o nasze prawa, ponieważ nie jesteśmy *nadzwyczajni*. Nie ewoluowaliśmy tak jak oni, nie uzyskaliśmy zdolności ani mocy przekraczających granice naszej wyobraźni. Pozostaliśmy tacy sami, niezmienni w naszych ciałach. „Świat naokoło się zmienił, a my pozostaliśmy niezmienni”.

Wtedy czuję, że gniew ogarnia również mnie, przeklinam w duchu Farley, Kilorna, pobór, wszystko, co przychodzi mi do głowy. Metalowa skrzynka jest chłodna w dotyku, dawno przestała ją ogrzewać praca urządzenia przesyłającego elektryczność. Jednak głęboko w trzewiach mechanizmu nadal można wyczuć wibracje, jak gdyby tylko czekał, aż ponownie zostanie załączony. Koncentruję swoje myśli na prądzie, na tym, aby znów popłynął i udowodnił, że choć jedna rzecz na tym świecie może działać tak jak trzeba. W koniuszkach palców czuję ukłucie, które wstrząsa całym moim ciałem. „Chyba jakaś końcówka kabla – myślę – albo ułamany przełącznik”. Jak gdyby dotknęło mnie coś ostrego, coś jak igła, ale za tym dotykiem nie poszedł impuls bólu.

Lampa na werandzie nad nami zaczyna cicho buczeć i jaśnieje.

– No proszę – mamrocze tata.

Zakręca w błocie, wjeżdża z powrotem na spuszczoną platformę. Idę za nim w milczeniu, nie chcę nawet wspominać o tym, z jakiego powodu obydwójce tak bardzo obawiamy się powrotu do domu.

– Nie uciekaj więcej – szepcze, przypinając się do wyciągu.

– Nie ucieknę – obiecuję bardziej sobie niż jemu.

Lina jęczy z wysiłku, wciągając wózek na górę. Wspinam się szybko po drabinie, staję na werandzie pierwsza i czekam na ojca, po czym bez słowa pomagam mu się odpiąć.

– Co za cholerstwo – burczy tata, rozpinając ostatnią sprzączkę.

– Mama będzie zadowolona, że wychodzisz z domu.

Spogląda na mnie surowo i chwyta mnie za rękę. Chociaż od dawna nie pracuje ciężko, zajmuje się głównie naprawą świecidełek i struganiem zabawek dla dzieci, dłonie ma nadal szorstkie i

stwardniałe, jak gdyby dopiero co wrócił z linii frontu. „Wojna nigdy nie przemija”.

– Nie mów matce.

– Ale...

– Wiem, to może wyglądać na nic takiego, ale z tego wielkie coś. Matka pomyśli, że to dopiero pierwszy krok i że będą następne, rozumiesz? Że najpierw wychodzę z domu nocą, potem w dzień, a chwilę później jeżdżę z nią na rynek jak dwadzieścia lat temu. I że w końcu wszystko wraca do normy, że będzie jak kiedyś – mówi cichym, spokojnym tonem, ale z trudem panuje nad głosem, a jego oczy coraz bardziej pochmurnieją. – Nigdy mi się nie poprawi, Mare. Nigdy nie poczuję się lepiej. Nie mogę dać jej na to nadziei, skoro wiem, że tak się nigdy nie stanie. Rozumiesz?

„Aż nazbyt dobrze, tato”.

Przypomina sobie, jak bardzo zaszkodziła mi nadzieja, i łagodnieje.

– Żałuję, że nie jest inaczej.

– Wszyscy żalujemy.

Pomimo panujących ciemności po wejściu na poddasze widzę strzaskaną dłoń Gisy. Zwykle siostra śpi zwinięta w kłębek pod cienkim kocem, teraz jednak leży na plecach z ręką położoną na stercie szmat. Mama poprawiła prowizoryczną szynę, którą jej założyłam, usiłując choć trochę pomóc, zmieniła również bandażę. Nie trzeba jasnego światła, abym wiedziała, że dłoń poczerniała jej od siniaków. Śpi niespokojnie, rzuca się na posłaniu, ale nie porusza ręką. Nawet we śnie ją boli.

Chcę do niej podejść, dotknąć jej, ale czy mogę w jakikolwiek sposób wynagrodzić jej to, co się stało?

Wyjmuję list od Shade’a z pudełka, w którym przechowuję całą korespondencję od niego. Jeśli nic innego nie przynosi mi ulgi, może lektura listu mnie uspokoi. Żarty brata, jego słowa, głos skryty między wierszami zawsze dodają mi otuchy. Jednak tym razem im dłużej czytam, tym bardziej ściska mnie w brzuchu ze strachu.

„Czerwono tu jak o świcie...”, pisze Shade. Czarno na białym, te same słowa, które Farley wypowiedziała w swojej odezwie, zawołanie Szkarłatnej Gwardii, napisane ręką mojego brata. To wyrażenie jest zbyt dziwne, żeby uznać je za przypadkowe, zbyt rzadkie, żeby je zlekceważyć. W następnym zdaniu Shade pisze: „coraz wyraźniej widać, jak wstaje słońce...”. Mój brat jest bystrym, ale praktycznym człowiekiem. Nie obchodzą go za bardzo wschody ani zachody słońca, ani też piękne wyrażenia. Rozbrzmiewa mi w głowie słowo „wstaje”, ale zamiast głosu Farley, słyszę Shade’a: „Powstaniemy. Czerwoni niczym świt”.

Shade wiedział. Wiele tygodni wcześniej, zanim doszło do zamachów bombowych, zanim Farley wystąpiła w telewizji z odezwą, Shade wiedział o Szkarłatnej Gwardii i próbował nam o tym powiedzieć. „Dlaczego? Ponieważ jest jednym z nich”.

ROZDZIAŁ 6

Gdy o świcie drzwi otwierają się z trzaskiem, nie przestrasza mnie to. Rewizje przeprowadzane przez straż nie są niczym niezwykłym, chociaż zwykle zdarzają się raz lub dwa razy w roku. Ta będzie trzecia.

– Wstawaj, Gi – mamroczę, pomagając siostrze dźwignąć się z posłania i zejść po drabinie. Gisa porusza się ostrożnie, opierając się na zdrowej ręce. Na dole czeka na nas mama, która obejmuje ramieniem moją siostrę, ale patrzy na mnie. Z zaskoczeniem zauważam, że nie wygląda na rozgniewaną ani nawet na rozczarowaną. W jej spojrzeniu jest łagodność.

Przy drzwiach czeka dwóch strażników z bronią. Poznają ich, służą na miejscowym posterunku, obok nich stoi jednak jeszcze jedna osoba, młoda kobieta odziana na czerwono z trójkolorową odznaką przyszytą nad sercem. „Jest w królewskiej służbie, to Czerwona, która służy królowi”, dociera do mnie i powoli zaczynam rozumieć. To nie jest zwykła rewizja.

– Zgadzamy się na przeszukanie i zatrzymanie – mamrocze ojciec zwyczajową formułkę. Jednak strażnicy nie rozdzielają się, żeby rozpocząć grzebanie w naszych rzeczach, tylko dalej stoją na baczność.

Młoda kobieta wysuwa się naprzód i ku mojemu przerażeniu zwraca się do mnie:

– Mare Barrow, zostałeś wezwana do Summerton.

Zdrowa dłoń Gisy zaciska się na mojej, jak gdyby siostra pragnęła mnie zatrzymać.

– Co? – tylko tyle udaje mi się wyjąkać.

– Zostałeś wezwana do Summerton – powtarza kobieta i wskazuje drzwi. – Odprowadzimy cię.

Pójdziesz z nami.

Wezwanie. Dla Czerwonej. Nigdy w życiu o czymś takim nie słyszałam. Dlaczego ja? Co zrobiłam, aby zasłużyć na taki los?

Po namyśle dochodzę do wniosku, że jestem przestępczynią i prawdopodobnie uznano mnie za terrorystkę z powodu mojego kontaktu z Farley. Ciarki przechodzą mi po całym ciele, mięśnie napinają się. Muszę uciekać, chociaż wyjście zastawiają strażnicy. „Dotarcie do okna graniczy z cudem”.

– Spokojnie, wczorajsza sytuacja została opanowana – chichocze kobieta, mylnie interpretując mój niepokój. – Palatium i targ są pod kontrolą. *Proszę z nami*. – Ogarnia mnie zdumienie, gdy widzę, że Czerwona uśmiecha się, nawet gdy strażnicy chwytają za broń. Ten widok ścina mi krew w żyłach.

Zlekceważenie straży, zlekceważenie *królewskiego wezwania* równałoby się wyrokowi śmierci, i to nie tylko dla mnie.

– Dobrze – mamroczę, uwalniając rękę z uścisku Gisy. Siostra chce mnie chwycić, ale mama ją przytrzymuje. – Do zobaczenia?

Pytanie wisi w powietrzu, a ja czuję ciepły dotyk taty, który gładzi mnie po ręce. „To pożegnanie”. Oczy mamy zaszklily się, Gisa wlepia we mnie wzrok, jak gdyby chciała na zawsze wryć sobie w pamięć mój obraz. „Nawet nie mam niczego, co mogłabym jej zostawić”, myślę. Nie zdążam jednak przedłużyć pożegnania ani się rozplakać, ponieważ jeden ze strażników chwyta mnie za ramię i wyprowadza.

Słowa same cisną się na usta, z zaciśniętego gardła dobywa się szept:

– Kocham was.

Zaraz potem zatrząskują się za mną drzwi, odcinając mnie od domu i całego mojego życia.

Strażnicy prowadzą mnie drogą przez wioskę w stronę rynku. Mijamy rozlatującą się chatę Kilorna. Zwykle o tej porze już nie spał, maszerował nad rzekę, żeby rozpocząć pracę, zanim nastanie upał, ale te czasy minęły. Teraz pewnie śpi do południa, dogadzając sobie, na ile to możliwe, przed poborem. Chociaż z jednej strony chcę się z nim pożegnać, coś mnie powstrzymuje. Przyjdzie po mnie później, a wtedy Gisa wszystko mu powie. W duchu ogarnia mnie pusty śmiech, gdy przypominam sobie, że dziś Farley będzie czekać na mnie i na zgromadzony przeze mnie majątek. Trochę się zawiedzie.

Na rynku stoi lśniący czarny pojazd. Cztery koła, szklane szyby zaokrąglające się przy ziemi – wygląda jak bestia gotowa mnie pożreć. Za sterem siedzi jeszcze inny strażnik, który odpala silnik, kiedy się zbliżamy, a pojazd wyrzuca w poranne powietrze smugę czarnego dymu. Bez słowa sadzają mnie z tyłu i gdy tylko młoda kobieta zajmuje miejsce koło mnie, transportowiec rusza i pędzi drogą z niewyobrażalną dla mnie szybkością. „Jadę czymś takim po raz pierwszy i ostatni”.

Chcę coś powiedzieć, zapytać, co się dzieje, jak zamierzają mnie ukarać za wszystkie przewinienia, ale wiem, że nikt się nie pofatyguje, aby mi odpowiedzieć. Wyglądam więc przez okno i patrzę za znikającą za nami wioską, podczas gdy pojazd zagłębia się w las, pędząc znajomym północnym gościńcem. Na drodze nie jest tak tłoczno jak wczoraj, co pewien czas mijamy strażników. „Palatium jest pod kontrolą”, powiedziała kobieta. Zdaje się, że to właśnie miała na myśli.

Przed nami połyskuje mur z diamentowego szkła, odbijając słońce, które wyłania się z lasu. Powstrzymuję odruch, aby zmrużyć powieki. Oczy muszę mieć tutaj cały czas szeroko otwarte.

Przy bramie roi się od czarnych mundurów, strażnicy dwukrotnie sprawdzają każdą wchodzącą do miasta osobę. Gdy się zatrzymujemy i wysiadamy, Czerwona ciągnie mnie obok kolejki prosto do bramy. Nikt nie protestuje, nikt nawet nie zwraca sobie głowy sprawdzeniem naszych dokumentów. Muszą ją tutaj znać.

Kiedy jesteśmy już w mieście, zerka na mnie.

– Jestem Ann, ale zwykle wołają nas po nazwisku. Nazywam się Walsh.

„Walsh”. Brzmi znajomo. W połączeniu z jej rozjaśnionymi od słońca włosami i opaloną skórą może to znaczyć tylko jedno.

– Pochodzisz z...?

– Palów, tak samo jak ty. Znałam twojego brata Tramy’ego i niestety również Bree. Ten to dopiero potrafił zawrócić w głowie. – Zanim poszedł na wojnę, był znanym w wiosce uwodzicielem. Powiedział mi kiedyś, że boi się poboru mniej niż inni, ponieważ kilkanaście dziewcząt o złamanych sercach, które zostawiał w Palach, jest znacznie groźniejsze niż walka na froncie. – Ciebie jednak nie znam. Ale to się z pewnością zmieni.

Nie potrafię się powstrzymać od burknięcia:

– O co ci chodzi?

– Chodzi mi o to, że będziesz pracować od świtu do nocy. Nie wiem, kto cię zatrudnił ani co ci powiedzieli o twoich obowiązkach, ale na pewno nie będzie łatwo. To więcej niż zwykle przebieranie pościeli i mycie talerzy. Trzeba obserwować, nie będąc widzianym, słuchać, nie będąc słyszonym. Jesteśmy jak przedmioty, żywe posągi przeznaczone do usługiwania. – Wzdycha i obraca się, otwierając drzwi wbudowane w bok bramy. – Zwłaszcza teraz, gdy zaczęło się całe to zamieszanie ze Szkarłatną Gwardią. Czerwonym nigdy nie jest lekko, ale teraz będzie jeszcze ciężiej.

Wchodzi przez drzwi w coś, co wygląda na litą ścianę. Dopiero po chwili orientuję się, że schodzi po stopniach i znika w panującym wewnątrz półmroku.

– Praca? – dopytuję. – Jak to? Jaka praca?

Walsh obraca się i spogląda na mnie, niemalże przewracając oczami.

– Dostałaś posadę – mówi, jak gdyby wygłaszała najbardziej oczywistą prawdę świata.

„Praca. Posada”. Na samą myśl kolana mi miękną.

„Cal”. Powiedział, że ma dobrą pracę – pociągnął za parę sznurków, żeby zdobyć mi podobną. Może nawet będziemy pracować razem. Serce podskakuje mi z radości, gdyż doskonale wiem, co to oznacza. „Nie umrę. Nie pójdę na wojnę. Będę pracować i przeżyję. A później, gdy odnajdę Cala, przekonam go, żeby zrobił to samo dla Kilorna”.

– Dalej, nie mam czasu prowadzić cię za rękę!

Ruszam za nią, zagłębiając się w niespodziewanie ciemny tunel. Na ścianach błyszczą niewielkie lampy, które rozpraszają mrok, żeby było cokolwiek widać. Pod stropem biegną rury, dochodzi z nich szum wody i prądu.

– Dokąd idziemy? – odzywam się w końcu szeptem.

W głosie Walsh pobrzmiewa niemalże niepokój, gdy zdezorientowana obraca się do mnie.

– Do Palatium Słońca, a gdzieżby indziej?

Palcem stuka w przyszytą do uniformu odznakę. W przyćmionym świetle na jej piersi mieni się emblemat w kształcie korony.

– Od dziś służysz królowi.

*

Mają dla mnie gotowy uniform, ale ja ledwo zwracam na to uwagę. Jestem zbyt oszołomiona tym, że nagle znalazłam się w domu króla, w jakimś bocznym korytarzu o ścianach z piaskowca i lśniącej mozaikowej posadzce. Wokół mnie uwijają się inni służący w rozmaitych czerwonych uniformach. Przypatruję się mijanym twarzom, szukając Cala, gdyż chcę mu podziękować, ale nigdzie go nie widzę.

Walsh trzyma się blisko mnie i szeptem przekazuje mi wskazówki.

– Masz niczego nie mówić. Niczego nie słyszeć. Nie odzywać się do nikogo, ponieważ oni nie będą się odzywali do ciebie.

Jej słowa docierają do mnie z trudem; ostatnie dwa dni przypominały kataklizm. Jak gdyby los postanowił utopić mnie w wirze zdarzeń, który raptem utworzył się na płynącej w miarę spokojnie rzece mojego życia.

– Zjawiasz się w pracowity dzień, być może najcięższy ze wszystkich, jakie przyjdzie nam oglądać.

– Widziałam statki i sterowce. Srebrni od tygodni ciągną w górę rzeki – mówię. – Więcej ich niż zwykle o tej porze roku.

Walsh popędza mnie, wciska mi w rękę tacę z błyszczącymi filiżankami. Z pewnością ta cenna zastawa mogłaby kupić wolność mnie i Kilornowi, ale w Palatium każde drzwi i każde okno są strzeżone. Pomimo wszystkich swoich umiejętności nie zdołałabym się prześliznąć niepostrzeżenie między tyłoma strażnikami.

– Co się dziś dzieje? – pytam w osłupieniu. Kilka włosów wpada mi do oczu i zanim zdążam zaczesać je do tyłu, Walsh szybkim precyzyjnym ruchem odgarnia niesforny kosmyk i przypina go maleńką wsuwką. – Czy to głupie pytanie?

– Nie, ja też nic nie wiedziałam, dopóki nie zaczęły się przygotowania. W końcu nie mieliśmy

takiego wydarzenia od dwudziestu jeden lat, odkąd wybrano królową Elarę. – Kobieta mówi tak szybko, że jej słowa niemal się zlewają. – Dzisiaj odbędzie się Królewska Próba. Dziewczęta pochodzące ze Szlacheckich Domów, najznamienitszych rodów Srebrnych, przyjechały pokazać się księciu. Wieczorem wydajemy wielką ucztę, ale teraz zaproszone panny są w Spiralnych Ogrodach, szykują się do prezentacji i każda ma nadzieję, że zostanie wybrana. Jedna z nich będzie następną królową i każda zabiłaby, żeby tylko padło na nią.

Wyobrażam sobie gromadę napuszonych strojnisz.

– I co będą robić, paradować przed księciem, pleść trzy po trzy, trzepotać powiekami?

Walsh prychna i kręci głową.

– Nie do końca. – W jej oczach pojawia się błysk. – Zresztą będziesz miała służbę, więc sama zobaczysz.

Przed nami pojawiają się drzwi wykonane z rzeźbionego drewna i ozdobnego szkła. Jeden ze służących otwiera je szeroko, rząd czerwonych uniformów rusza do przodu i po chwili nadchodzi moja kolej.

– Nie idziesz? – słyszę pobrzmiewające w moim głosie desperację i niemalże błaganie, aby Walsh ze mną została. Ona jednak się cofa, zostawiając mnie samą. Wiem, że jeśli będę zwlekać choć sekundę dłużej, popsuję cały szyk, zmuszam się więc do postawienia kolejnego kroku i wyjścia na słońce świecące nad Spiralnymi Ogrodami.

Na początku wydaje mi się, że znajduję się na widowni areny podobnej do tej, która jest u nas w Palach. Budowla przypomina kształtem ogromny amfiteatr, jednak zamiast kamiennych ławek na obniżających się tarasach umieszczono stoły i obite pluszem krzesła. Poszczególne loże oddzielono ozdobnymi roślinami i wodnymi kaskadami, które łączą się na samym dole w strumień opływający okrągłą trawiastą arenę udekorowaną kamiennymi posągami. Przedem mną widnieje obszerniejsza od innych loża ozdobiona zwojami czerwonego i czarnego jedwabiu. Stoją na niej cztery fotele z kutego żelaza zwrócone przodem do areny.

„Cóż to, do cholery, za miejsce?”

Swoją pracę wykonuję mechanicznie, biorąc przykład z innych Czerwonych. Jestem częścią obsługi kuchennej, do moich obowiązków należy sprzątanie, pomoc kucharzom, teraz zaś przygotowanie areny na nadchodzące wydarzenie. Nie bardzo rozumiem, po co rodzinie królewskiej arena. W Palach służy ona jedynie do pojedynków, w których Srebrni walczą przeciwko sobie, ale do czego może być potrzebna tutaj? To pałac. Nie toczy się tutaj krwawych bojów. Niemniej amfiteatr wywołuje we mnie złe przeczucia. Powracają ciarki, co pewien czas odczuwam podskórne mrowienie. Gdy zbliża się godzina rozpoczęcia Królewskiej Próby, kończę przygotowania i wracam do wejścia dla służby.

Inni służący również opuszczają widownię i przechodzą na podwyższenie zasłonięte przezroczytymi kotarami. Ruszam za nimi, ustawiam się w szeregu i w tym samym momencie otwierają się drzwi umieszczone między królewską lożą i wejściem dla służby. „Zaczyna się”.

Przypominają mi się Wielkie Ogrody i piękne, okrutne istoty nazywające siebie ludźmi. Wszystkie napuszone i próżne, o twardych spojrzeniach i paskudnych charakterach. Ci Srebrni, przedstawiciele Szlachejnych Domów, jak mówiła o nich Walsh, będą tacy sami. „Może nawet gorsi”.

Napływają tłumnie, rozlewają się po Spiralnych Ogrodach niczym wielobarwna rzeka, bije od nich chłód i dystynkcja. Łatwo rozróżnić poszczególne domy – członkowie jednego rodu noszą stroje w jednakowym kolorze. Fioletowe, zielone, czarne, żółte postacie zmierzają w stronę przeznaczonych im łóż. Widownia mieni się dziesiątkami odcieni i wkrótce tracę rachubę. „Ile może być tych domów?” Pojawiają się coraz to nowi Srebrni, niektórzy przystają, aby porozmawiać, inni obejmują się sztywno. Dla nich to coś *jak przyjęcie*, uzmysławiam sobie. Większość prawdopodobnie nie liczy na to, że ich kandydatka zostanie królową, i bawi się jak na wakacjach.

Jednak kilka rodów nie wydaje się w nastroju do zabawy. Srebrnowłosa rodzina odziana w czarne jedwabne stroje zasiada po prawej stronie królewskiej loży w pełnym skupienia milczeniu. Mężczyzna stojący na czele rodu ma spiczastą bródkę i czarne oczy. Poniżej szepczą między sobą przedstawiciele domu w barwach granatowo-białych. Ku swojemu zdumieniu poznaję jednego z nich. To Samson Merandus, Szeptacz, którego pojedynek oglądałam kilka dni temu. W przeciwieństwie do pozostałych wpatruje się z pochmurną miną w arenę, najwyraźniej nieobecny myślami. Zapamiętuję go sobie, żeby przypadkiem nie wejść mu w drogę i nie musieć na własnej skórze doświadczyć jego zabójczych zdolności.

O dziwo nie widzę żadnych dziewcząt w wieku odpowiednim, by nadawały się na małżonkę księcia. Być może przygotowują się gdzieś indziej i już nie mogą się doczekać swojej szansy na zdobycie korony.

Od czasu do czasu któryś Srebrny naciska kwadratowy metalowy przycisk, zapalając lampkę, która jest sygnałem dla obsługi. Stojący najbliżej drzwi Czerwony biegnie wtedy, aby odpowiedzieć na wezwanie, a pozostali przesuwają się, czekając, aż nadejdzie ich kolej. Oczywiście, gdy tylko stają najbliżej drzwi, przeklęty Srebrny o czarnych oczach wciska przycisk na stoliku.

Na szczęście na swoich nogach zawsze mogłam polegać. Błyskawicznie przeciskam się przez tłum, lawirując między kręcącymi się ludźmi, serce łomocze mi w piersiach. Zamiast okradać Srebrnych, służę im. Jeszcze tydzień temu Mare Barrow nie wiedziałaaby, czy śmiać się, czy płakać z takiego obrotu spraw. „Ale tamta Mare była głupią kozą i teraz przyszło jej za to zapłacić”.

– Panie? – Staję naprzeciwko patriarchy, który wezwał obsługę. Przeklinam się w duchu. „Nic

nie mówić”, zasada numer jeden, a już zdążyłam ją złamać.

Mężczyzna zdaje się jednak nie zauważać tego i ze znużonym wyrazem twarzy wyciąga rękę z pustą szklanką na wodę.

– Bawią się nami, Ptolemejuszu – mruczy do siedzącego obok umięśnionego młodego mężczyzny. Zakładam, że to właśnie owego młodzieńca unieszczęśliwiono imieniem Ptolemejusz.

– Demonstracja siły, ojczy – odpowiada młodzian, opróżniając swoją szklankę. Podaje mi ją, a ja natychmiast po nią sięgam. – Kazań nam czekać, ponieważ mogą sobie na to pozwolić.

„Oni”, czyli rodzina królewska, która dotąd się nie pojawiła. Jednak to, że Srebrni odnoszą się do monarszego rodu z taką pogardą, jest dla mnie zdumiewające. My, Czerwoni, przy każdej możliwej okazji przeklinamy króla i arystokrację, ale w naszej sytuacji nie powinno to dziwić. Natomiast ci ludzie nie cierpieli ani jednego dnia w życiu. Jakże zatem mogą mieć do siebie urazy?

Chciałabym zostać i posłuchać, ale nawet ja zdaję sobie sprawę z tego, że byłoby to wbrew zasadom. Obracam się i wspinam po schodach wiodących z ich łoża do przejścia. Za kępą kwiatów o jaskrawych barwach dostrzegam ukryty kran, zapewne więc nie muszę wracać do wejścia dla służby, żeby napełnić szklanki. Właśnie w tym momencie powietrze przeszywa ostry metaliczny dźwięk, bardzo podobny do tego, który otwiera pierwszopiątkowe widowiska. Rozbrzmiewa kilkakrotnie niczym fanfary obwieszczające nadejście ważnej osobistości, prawdopodobnie króla. Wszystkie Szlachetne Domy mniej lub bardziej chętnie wstają. Zauważam, że Ptolemejusz ponownie szepcze coś do ojca.

Stoję w dogodnym miejscu: ukryta za kwiatami, na tym samym poziomie, co królewska łoża, i nieco z tyłu. Mare Barrow znajduje się w odległości kilkunastu metrów od króla. Ciekawe, co powiedziałyby na to moja rodzina albo Kilorn? Ten ktoś posyła nas na śmierć, a ja z własnej woli zgodziłam się na służbę u niego. Robi mi się niedobrze.

Król wchodzi żwawym krokiem, ramiona ma szerokie i proste. Nawet z tyłu widać, że jest grubszy niż wydaje się w telewizji lub na wizerunkach, które widnieją na monetach. Ma na sobie czarno-czerwony wojskowy mundur, chociaż wątpię, żeby spędził choć jeden dzień w okopach, w których giną Czerwoni. Na piersiach połyskują mu odznaki i medale symbolizujące bohaterskie czyny, których nigdy nie dokonał. Mimo że ma doskonałą ochronę, u boku nosi połączany miecz. Świetnie znam kształt korony spoczywającej na jego głowie: wykonana z poskręcane go złotego i czarnego żelaza, o czubkach przypominających języki ognia. Osadzona na atramentowoczarnych, przyprószonych siwizną włosach wydaje się płonąć żywym ogniem. Dość fortunnie, ponieważ król jest Płomiennym, podobnie jak jego ojciec, ojciec jego ojca i tak dalej. Należy do niszczycielskiego, potężnego szczepu władców gorąca i ognia. Kiedyś nasi królowie spopielali dotykiem tych, którym nie podobały się ich rządy. Być może ten tutaj już nie spala Czerwonych, ale nadal zabija nas,

posyłając na wojnę i skazując na bytowanie w nieludzkich warunkach. Znam jego imię od dzieciństwa, odkąd trafiłam do szkolnej klasy jeszcze jako mała dziewczynka pełna zapału do nauki, jak gdyby wiedza mogła zapewnić mi lepszy los. „Tyberiasz Calore Szósty, Król Norty, Płomień Północy”. Przydługie, choć nawet gdyby brzmiało normalnie, nic by to nie zmieniło. I tak miałabym ochotę splunąć za każdym razem, kiedy je wymówię.

Za monarchą idzie królowa, skinieniem głowy pozdrawiając zebranych. Podczas gdy mundur monarchy jest ciemny i ma prosty krój, jego małżonka ubrana jest w biało-granatową, lekką i zwiewną suknię. Ukłon składa jedynie przed domem Samsona Merandusa i wtedy dociera do mnie, że nosi te same kolory, co oni. Na pewno jest ich krewną, świadczy o tym również fizyczne podobieństwo. Ma takie same jasnopolielate włosy, niebieskie oczy i dwuznaczny uśmiech, który nadaje jej wygląd dzikiego drapieżnego kota.

Sama para królewska budzi olbrzymi respekt, jednak jeszcze większą obawą napawa widok mężczyzn, którzy podążają tuż za nimi. Chociaż jestem zwykłą Czerwoną urodzoną w błotnistej wiosce, doskonale wiem, kim oni są. Wszyscy wiedzą, jak wyglądają wartownicy, ponieważ wszyscy pragną uniknąć spotkania z nimi. Stoją u boku króla podczas każdego telewizyjnego orędzia, przemówienia i wystąpienia. Jak zwykle ich mundury przypominają mieniące się czerwonym i pomarańczowym blaskiem płomienie, a oczy złowrogo lśnią, spoglądając zza czarnych, przerażających masek. Każdy wartownik jest uzbrojony w czarny karabin zakończony srebrzyście połyskującym bagnetem, który z łatwością przeciąłby kość. Jeszcze bardziej niż wygląd owych wojowników przeraża świadomość umiejętności, jakie posiadają – są doborową kompanią Srebrnych mężczyzn wywodzących się z różnych rodów, szkolonych od najmłodszych lat i zaprzysiężonych w służbie króla do końca życia. Widząc ich, mimo woli zaczynam drżeć. Jednak członkowie Szlachetnych Domów w ogóle nie okazują przed nimi lęku.

Gdzieś z dalszych łóż dobiega okrzyk:

– Śmierć Szkarłatnej Gwardii! – a pozostali zaczynają wtórować. Przechodzi mnie dreszcz, gdy przypominam sobie wydarzenia, które teraz wydają się odległe, ale rozegrały się przecież nie dalej niż wczoraj. Cały ten tłum mógłby w okamgnieniu zmienić swoje oblicze...

Król blednie, wygląda na zdegustowanego. Nie jest przyzwyczajony do tego typu wybuchów i niemal wywołują one jego złość.

– Rozprawimy się ze Szkarłatną Gwardią i wszystkimi innymi wrogami! – grzmi Tyberiasz, a jego głos odbija się echem od ścian amfiteatru, uciszając okrzyki zebranych niczym trzaśnięcie bata. – Jednak przybyliśmy tutaj w innej sprawie. Dzisiaj oddamy cześć naszej tradycji i żaden Czerwony diabeł nam w tym nie przeszkodzi. Rozpoczynamy rytuał Królewskiej Próby, aby wyłonić najbardziej uzdolnioną córę, która poślubi najszlachetniejszego syna. W tym tkwi nasza siła wiążąca Szlachetne

Domy i potęga zapewniająca rządy Srebrnych po kres dni oraz zwycięstwo nad wrogami na terenie królestwa i poza jego granicami.

– Siła! – rozbrzmiewa przerażający ryk tłumu. – Potęga!

– Ponownie nadszedł czas dokonać obrzędu i obydwaj moi synowie gotowi są dopełnić uświęconego zwyczaju. – Król wykonuje gest dłonią, a wtedy do przodu wysuwają się dwaj młodzieńcy i stają po bokach ojca. Nie widzę ich twarzy, ale obydwaj są wysocy, mają ciemne włosy, tak jak Tyberiasz, i podobnie jak on noszą wojskowe mundury. – Książę Maven, potomek domów Calore i Merandus, syn mojej małżonki, królowej Elary.

Drugi książę, bledszy i drobniejszy od brata, unosi dłoń w oszczędnym geście pozdrowienia. Obraca się na prawo i lewo, dzięki czemu mogę się przyjrzeć jego twarzy, na której maluje się poważny, pełen dostojeństwa wyraz, chociaż młodzian nie wygląda na więcej niż siedemnaście lat. Ma ostre rysy, niebieskie oczy, a jego lodowaty uśmiech zmroziłby najgorętsze płomienie – wyraźnie pogardza tą całą galą. Pod tym względem mamy podobne odczucia.

– Oraz książę następcy tronu, potomek domów Calore i Jacos, syn mojej zmarłej małżonki, królowej Coriane, przysły władca Królestwa Norty i spadkobierca Płonącej Korony, Tyberiasz Siódmy.

Niedorzeczność całego tego miana tak bardzo mnie rozbawia, że z początku nawet nie patrzę na machającego i uśmiechającego się młodzieńca. W końcu podnoszę wzrok, żeby móc kiedyś powiedzieć, iż widziałam przyszłego króla z odległości kilkunastu metrów. Jednak to, co widzę, przerasta moje oczekiwania.

Upuszczam szklany kielich, który trzymam w dłoni, ale na szczęście naczynie bezpiecznie ląduje w napełnionym wodą zlewie.

Znam ten uśmiech i te oczy. Wpatrywały się we mnie wczorajszej nocy. To on zapewnił mi tę posadę, ocalił mnie przed poborem. Był jednym z nas. „Jak to możliwe?”

Wtedy książę obraca się przodem do mnie, pozdrawiając wszystkich zebranych. Nie ma mowy o jakiegokolwiek pomyłce.

„Cal jest następcą tronu”.

ROZDZIAŁ 7

Wracam na podest dla służby, czując w środku pustkę. Zniknęła ta odrobina radości, która przez chwilę pojawiła się we mnie. Nie potrafię się zmusić, żeby obejrzeć się za siebie i zobaczyć go stojącego w wytwornym odzieniu, ze wstęgami, medalami, w zniechęconych królewskich barwach. Podobnie jak Walsh nosi odznakę płonącej korony, tyle że jego została wykonana z czarnego gagatu, diamentów i rubinów, które skrzą się w blasku słońca na tle głębokiej czerni munduru. Teraz, gdy nie ma już na sobie zwykłego szarego stroju, dzięki któremu mógł się wmieszać między pospólstwo, takie jak ja, wygląda w każdym calu na przyszłego króla, Srebrnego od stóp do głów i na wylot. Pomyśleć, że obdarzyłam go zaufaniem.

Inni służący przepuszczają mnie, wlokę się więc na koniec kolejki, czując, że kręci mi się w głowie. Załatwił mi tę posadę, uratował mnie, uratował moją rodzinę – i jest jednym z nich. A nawet gorzej. Jest księciem. Następcą tronu. Człowiekiem, dla którego wszyscy zebrali się w tym gigantycznym kamiennym amfiteatrze.

– Przybyliście, aby uhonorować mojego syna i królestwo, pozwólcie zatem, że wpierw ja uhonoruję was. – Tubalny głos króla Tyberiasza sprawia, iż moje myśli pierzchają niczym stado spłoszonych ptaków. Monarcha unosi rękę i pozdrawia wypełnione do ostatniego miejsca łóża. Chociaż ze wszystkich sił staram się patrzeć tylko na króla, nie mogę się powstrzymać, aby nie zerknąć na Cala. Uśmiecha się, ale w jego oczach nie widać radości. – Honoruję wasze prawo do władzy. Przyszły król, syn mojego syna, będzie zrodzony tak samo z waszej, jak i z mojej srebrnej krwi. Który dom deklaruje przystąpienie do obrzędu?

Srebrnowłosa patriarcha woła w odpowiedzi:

– Przystępuję do Królewskiej Próby!

Cały amfiteatr rozbrzmiewa chóralnym okrzykiem przywódców poszczególnych domów:

– Przystępuję do Królewskiej Próby! – powtarzają zgodnie ze zwyczajem, którego nie rozumiem.

Tyberiasz uśmiecha się i przytakuje skinieniem głowy,

– Zatem niech się zaczyna. Lordzie Provos, bardzo proszę.

Król obraca się w miejscu, spoglądając w stronę łóża zajmowanej prawdopodobnie przez dom

Provos. Zebrani w amfiteatrze również kierują swoje spojrzenia na rodzinę ubraną w złote szaty poprzecinane czarnymi prążkami. Starszy mężczyzna o szarych włosach przetykanych białymi pasmami postępuje krok do przodu. W swoim dziwnym odzieniu przypomina osę, która jest gotowa użądlić. Porusza dłonią, a ja nie bardzo wiem, czego się spodziewać.

Nagle podest drga, po czym przesuwa się w bok. Podskakuję ze strachu i niemal przewracam stojącego obok mnie służącego. Cały czas suniemy po niewidzialnym torze. Serce podchodzi mi do gardła, gdy dostrzegam, że pozostała część Spiralnych Ogrodów również zaczyna się poruszać. Lord Provos jest Psychikiem, przemieszcza poszczególne części budowli po specjalnie przygotowanych torach samą tylko potęgą swojego umysłu.

Na jego życzenie cały amfiteatr przesuwa się tak, aby trawiasta arena powiększyła się i utworzyła ogromny krąg. Niższe tarasy cofają się i zrównują z wyższymi poziomami, przez co budowla przybiera kształt otwartego u góry cylindra. W czasie gdy tarasy odjeżdżają, arena osuwa się w dół i zatrzymuje sześć metrów poniżej łóż mieszczących się na parterze. Fontanny przemieniają się w wodospady, które spływają z samej góry cylindra do jego podnóży i wypełniają wodą głębokie, wąskie baseny. Nasz podest zatrzymuje się zaraz nad królewską lożą, dzięki czemu roztacza się przed nami doskonały widok na cały amfiteatr z areną w dole. To wszystko nie trwa nawet minutę, ale tyle wystarcza, żeby lord Provos przeobraził Spiralne Ogrody w budowlę znacznie bardziej złowrogą.

Provos ponownie zajmuje swoje miejsce, jednak zmiana otoczenia następuje dalej. Buczenie prądu elektrycznego nasila się, powietrze dookoła zaczyna trzaskać od wyładowań, podnoszą mi się włoski na skórze. Nieco ponad areną błyska fioletowo-białe światło dobywające się z maleńkich niewidocznych punktów w kamiennej ścianie. Nie widzę, żeby któryś ze Srebrnych wstał, tak jak wcześniej zrobił to Provos, i swoimi umiejętnościami wywołał to zjawisko. Dopiero po chwili pojmuję, co się dzieje. Tym razem zadziałała nie moc Srebrnych, ale potęga techniki, energii elektrycznej. „Błyskawica bez grzmotu”. Snopy światła krzyżują się i przecinają, przeplatają się między sobą, tworząc lśniącą, oślepiającą sieć. Sam jej widok sprawia, że ból przeszywa mi gałki oczne, promieniuje w głąb czaszki. Nie mam pojęcia, jak inni mogą to znieść.

Srebrni wydają się pod ogromnym wrażeniem, zaintrygowani siłą, której nie potrafią kontrolować. Natomiast my, Czerwoni, wpatrujemy się w to cudo oniemiały ze strachu i podziwu.

Snopy prądu rozszerzają się, łączą i sieć powoli się krystalizuje. Wtedy równie nagle, jak się zaczął, dziwny odgłos milknie. Błyskawica zastyga w bezruchu, tworząc w powietrzu przejrzyste fioletowe pole ochronne rozciągające się między areną a nami. Między nami i *tym*, co może się pojawić na dole.

W głowie huczy mi od myśli, zastanawiam się, przed czym trzeba się chronić za tarczą z błyskawicy. Na pewno nie przed niedźwiedziami, watahą wilków czy jakimkolwiek dzikim

zwierzęciem z lasu. Nawet stwory znane z opowieści – wielkie koty, rekiny czy smoki – nie mogłyby wyrządzić krzywdy zebranym w amfiteatrze Srebrnym. I po co w ogóle zwierzęta miałyby się pojawiać podczas Królewskiej Próby? To ceremonia, podczas której wybiera się królową, a nie walczy z potworami.

Jak gdyby w odpowiedzi na moje pytania krąg ziemi między posągami, który teraz stanowi niewielkie centrum szerokiej areny, otwiera się. Niewiele myśląc, pcham się do przodu w nadziei, że będę mieć lepszy widok. Pozostali służący tłoczą się razem ze mną, usiłując dojrzeć, jakie to okropieństwa mogą wyleźć z mrocznych czeluści.

Z ciemności wyłania się najdrobniejsza dziewczyna, jaką kiedykolwiek widziałam.

Rozlegają się okrzyki i wiwaty, gdy ubrani w brązowe jedwabie i czerwone kamienie szlachetne przedstawiciele jednego z domów witają swoją córę.

– Rohr, potomkini domu Rhambos! – wołają członkowie rodu, przedstawiając krewniaczkę zebranej arystokracji.

Dziewczyna, nie więcej niż czternastoletnia, podnosi głowę i uśmiecha się do rodziny. W porównaniu z posągami jest malutka i choć dłonie ma nieproporcjonalnie duże, sama wygląda tak, jak gdyby mógł ją przewrócić byle silniejszy podmuch wiatru. Okrąża posągi, przez cały czas patrząc w górę i uśmiechając się. Zatrzymuje wzrok na Calu, to znaczy księciu, i próbuje uwieść go spojrzeniem sarnich oczu, raz po raz odrzucając do tyłu włosy w kolorze miodu. Krótko mówiąc, wygląda idiotycznie. Dopóki nie podchodzi do statuy z litego kamienia i jednym uderzeniem dłoni nie odrąbuje jej głowy.

Członkowie domu Rhambos znów się odzywają:

– Siłaczka.

Pod nami mała Rohr w mgnieniu oka obraca arenę w perzynę, z posągów zostaje zaledwie kupka szarego prochu, a ziemia pod jej stopami pęka. Dziewczyna jest niczym tornado, które przechodząc, niszczy wszystko na swojej drodze.

Tak zatem wygląda ich konkurs piękności.

Dość brutalny, przedstawiający nie tylko urodę i wdzięk kandydatek, ale przede wszystkim ich moc. „Najbardziej uzdolniona córa”. To pokaz siły, który ma na celu wyłonienie najsilniejszej dziewczyny, aby potomstwo jej i księcia było jeszcze potężniejsze. Na dodatek tradycja ta ma już setki lat.

Nawet nie chcę myśleć, ile siły drzemie w najmniejszym palcu Cala.

Następca tronu uprzejmie klaszcze, gdy pokaz zorganizowanej destrukcji dobiega końca i Rohr wraca na podest, który tym razem obniża się. Dom Rhambos nagradza krewniaczkę brawami i wiwatuje, podczas gdy dziewczyna znika pod areną.

Po niej wychodzi Heron, potomkini domu Welle, córka gubernatora mojej prowincji, wysoka, o ptasim profilu. Zniszczona ziemia wokół jej stóp porusza się, gdy dziewczyna zaczyna przywracać arenie poprzedni wygląd.

– Strażniczka Zieleni! – woła jej rodzina. „Zieleniec”. Na jej życzenie w jednej sekundzie z gleby wyrastają wysokie drzewa, których czubki zahaczają o pole ochronne. W miejscu, gdzie korony dotykają tarczy, zaczyna ona iskrzyć, a świeże liście zajmują się płomieniami. Następna dziewczyna, Wodniaczka z domu Osanos, staje na wysokości zadania. Korzystając z fontann, gasi pożar lasu, spienionymi strumieniami wody zalewa płonące drzewa, z których zostają jedynie zwęglone kikuty sterczące ze spalonej ziemi.

Pokaz wydaje się ciągnąć godzinami. Każda kandydatka dowodzi swojej wartości, każda zastaje coraz bardziej zdewastowaną arenę, ale dziewczyny są nauczone radzić sobie niezależnie od sytuacji. Różnią się wiekiem i wyglądem, jednak wszystkie są oszałamiające. Pewna dziewczynka, zaledwie dwunastoletnia, wysadza w powietrze wszystko, czego dotknie, jak gdyby była chodzącą bombą.

– Niwecznik! – woła rodzina, obwieszczając jej moc. Podczas gdy dziewczynka unicestwia ostatnią białą rzeźbę, tarcza z błyskawic pozostaje nienaruszona, choć syczy w zderzeniu z siłą kolejnych ataków, a ten odgłos rozsadza mi bębunki w uszach.

Energia elektryczna, Srebrni, różne odgłosy i okrzyki zlewają się w moim umyśle w dziwną całość, zamazaną plątaninę dźwięków i obrazów. Oglądam kolejne Wodniaczki, Zieleńce, Zwinne, Siłaczki, Psychiczki i sama nie wiem, ile jeszcze innych Srebrnych dokonujących popisów pod osłoną tarczy. Popisów, których nigdy nie spodziewałam się zobaczyć na własne oczy: dziewczęta zmieniające własną skórę w kamień lub krzykiem roznoszące w pył szklane ściany. Srebrni są silniejsi i potężniejsi niż myślałam, posiadają umiejętności, o których istnieniu nie miałam nawet pojęcia. Jak to możliwe, że ci ludzie istnieją naprawdę?

„Przeszłam tak daleką drogę i nagle znów jestem w amfiteatrze, patrząc na Srebrnych, którzy reprezentują wszystko to, czym my nigdy nie będziemy”.

Zastygam w podziw, gdy Żywiaczka władająca zwierzętami przywołuje tysiące przelatujących w górze gołębi. Kiedy jednak stado ptaków bez wahania wlatuje prosto w pole ochronne, które zmienia się w krwawą masę piór i rozbłysków elektrycznych, podziw przechodzi w odrazę. Tarcza ponownie się roziskrza, spalając wszystko to, co pozostało z gołębi, po czym znów nieskazitelnie błyszczy. Mam ochotę zwymiotować, gdy słyszę owacje dla bezlitosnej Żywiaczki znikającej pod areną.

Kolejna dziewczyna, przy odrobinie szczęścia ostatnia, wkracza na pobojuwisko.

– Evangeline, potomkini domu Samos! – woła patriarcha srebrnowłosej rodziny. Przemawia tylko on, a jego głos odbija się echem od ścian Spiralnych Ogrodów.

Zauważam, że król i królowa prostują się na swoich krzesłach. Evangeline zdążyła już przykuć ich uwagę. Dla odmiany Cal spuszcza wzrok i ogląda swoje dłonie.

Inne kandydatki były przeważnie ubrane w jedwabne suknie, kilka miało na sobie dziwne, połączone zbroje, tymczasem Evangeline występuje w czarnym skórzanym stroju złożonym z kurtki, spodni i wysokich butów, a wszystko to nabijane srebrnymi ćwiekami. Nie, nie srebrnymi. Żelaznymi. Srebro nie jest tak matowe i twarde. Rodzina dziewczyny zrywa się na nogi i wiwatuje na jej cześć. Jest krewniaczką Ptolemeusza i jego ojca, jednak pozostałe rody również zaczynają wznosić entuzjastyczne okrzyki. Chcą, żeby Evangeline została ich królową. *Jest faworytką.* Dziewczyna przykładła dwa palce do brwi i salutuje, najpierw członkom rodziny, a następnie królewskiej loży. Monarsza para odwzajemnia gest, wyraźnie faworyzując tę kandydatkę.

Być może dzisiejsze wydarzenie jest bardziej podobne do pierwszopiątkowych widowisk niż z początku mi się zdawało. Tyle że tutaj zamiast pokazywać Czerwonym, gdzie jest ich miejsce, król pokazuje swoim potężnym poddanym, gdzie jest *ich* miejsce. „Hierarchia w hierarchii”.

Jestem tak bardzo zajęta oglądaniem popisów, że prawie nie zauważam, gdy znów nadchodzi moja kolej, aby obsłużyć gości. Zanim zdążę dostać ponaglącego kuksańca, ruszam pędem do odpowiedniej loży i w panującej wrzawie z trudem wyławiam słowo, które pada z ust patriarchy rodu Samos.

– Żeleźczyni. – Wydaje mi się, że to właśnie słyszę, ale nie mam pojęcia, co mogłoby to oznaczać.

Sunę wąskimi korytarzami, które wcześniej były odkrytymi przejściami, w kierunku wzywających obsługę Srebrnych. Ich loża mieści się na samym dole, ale jestem szybka i docieram na miejsce błyskawicznie. Okazuje się, że przyszło mi obsłużyć klan tłuściochów ubranych w jaskrawożółte jedwabne szaty ozdobione okropnymi piórami. Wszyscy raczą się olbrzymim tortem, a po całej loży walają się talerze i puste filiżanki, które zaczynam sprzątać zręcznymi, wprawnymi ruchami. W loży ryczy nastawiony na cały regulator ekran, na którym widnieje stojąca bez ruchu Evangeline.

– Co za farsa – mamrocze jedna z nalanych matron, opychając się ciastem. – Córka Samosa i tak już zwyciężyła.

„Dziwne. Wydaje się najsłabsza ze wszystkich”.

Układam talerze jeden na drugim, nie odrywam jednak oczu od ekranu i patrzę, jak dziewczyna krąży po zniszczonej arenie. Nie wygląda na to, żeby zostało do zrobienia coś, dzięki czemu będzie mogła ujawnić swoje zdolności, ale ona zdaje się tym nie przejmować. Z jej twarzy ani na chwilę nie schodzi znaczący uśmiešek, jak gdyby Evangeline była absolutnie przekonana o własnej wyższości. *Mnie wcale nie wydaje się wspaniała.*

Wtedy żelazne ćwieki na jej kurtce zaczynają się poruszać. Twarde metalowe kulki odrywają się

od skórzanego materiału, unoszą w powietrze, po czym wystrzelają niczym pociski, wbijając się w ziemię, ściany, a nawet w tarczę z błyskawicy.

„Panuje nad metalem”.

Kilka rodów nagradza ją oklaskami, ona jednak dopiero się rozgrzewa. Gdzieś z głębi budowli dobiegają nas zgrzyty i szczęknięcia. Nawet rodzina grubasów przestaje zajadać i rozgląda się ze zdumieniem. Są zdezorientowani i zaintrygowani, ja jednak czuję, że posadzka pod moimi stopami drży, i wiem, iż należy się bać.

Z ogłuszającym hałasem metalowe rury tkwiące do tej pory w trzewiach konstrukcji przebijają się przez arenę i wychodzą na wierzch. Rozłupują ściany, otaczają Evangeline splątaną koroną z szarego i srebrnego metalu. Dziewczyna wygląda, jak gdyby się śmiała, ale jej głos ginie w przeraźliwym zgrzycie żelaza. Z tarczy sypią się snopy iskier, Evangeline jednak bez zmużenia oka tworzy sobie osłonę z kawałka złomu. Na jej czoło nie wystąpiła nawet kropelka potu. W końcu pozwala, aby całe żelastwo runęło na ziemię z potwornym hukiem, po czym spogląda w górę, w stronę łóż. Otwiera szeroko usta, ukazując małe ostre zęby. „Wydaje się wygłodniała”.

Zaczyna się powoli: najpierw delikatne zachwianie równowagi, potem jednak następuje gwałtowne szarpnięcie i cała łoża przechyla się. Talerze z brzękiem lądują na podłodze, szklane kubki toczą się w stronę poręczy, przelatują przez nią i roztrzaskują na polu ochronnym. Evangeline przyciąga do siebie naszą łożę, wygina ją w dół, a my zsuwamy się razem z nią. Srebrni wokół mnie wrzeszczą i rozpaczliwie próbują się czegoś uchwycić, ich zachwyt momentalnie przeradza się w panikę. Nie jesteśmy jedyni – każda łoża w naszym rzędzie przesuwa się w dół. Pod nami Evangeline marszczy brwi i w skupieniu porusza rękoma. Tak samo jak Srebrni wojownicy podczas pojedynków pragnie pokazać światu, na co ją stać.

Jest to ostatnia myśl, która przychodzi mi do głowy, zanim uderza we mnie żółta kula ludzkiego sadła i sztucznych piór, strącając mnie w dół razem ze srebrnymi platerami.

Gdy spadam, widzę jedynie zbliżającą się fioletową tarczę. Syczy od wyładowań elektrycznych, przypala powietrze. Nie mam czasu na rozważania, ale wiem, że pokryte żyłkami błyskawic pole ochronne usmaży mnie żywcem w moim czerwonym uniformie. Założę się, że Srebrni będą się martwić jedynie o to, kiedy przyjdzie ktoś, kto posprząta moje zwęglone szczątki.

Uderzam głową o tarczę, przed oczami stają mi gwiazdy. Nie, nie gwiazdy. „Iskry”. Błyskawica robi, co do niej należy, i poraża mnie prądem. Uniform zaczyna się przypalać, czarnieje i dymi, za moment to samo stanie się z moją skórą. „Poczuję swąd własnego palonego ciała”. Jednak spodziewany ból nie nadchodzi. „Pewnie tak bardzo mnie boli, że nic nie czuję”.

To nie do końca prawda. Coś czuję. Czuję gorące iskry przeszywające moje ciało niczym ogniście dreszcze, ale nie jest to nic strasznego. Prawdę mówiąc, mam wrażenie, że... no tak, żyję. Jak

gdybym do tej pory błąkała się po świecie po omacku i dopiero teraz otworzyła oczy. Coś porusza się pod moją skórą, ale to nie iskry. Spoglądam na dłonie, ręce, podziwiam prześlizgującą się po mnie błyskawicę. Ubrania palą się, zostają z nich szerniałe resztki, ale moja skóra pozostaje nienaruszona. Tarcza próbuje mnie zabić, jednak nie daje rady.

Wszystko jest nie tak.

„Nadal żyję”.

Pole ochronne dymi na czarno, jego powierzchnia zaczyna się załamywać i pękać. Iskry robią się jaśniejsze, skaczą jeszcze wścieklej, ale są coraz słabsze. Usiłuję się podeprzeć i wstać, jednak tarcza pode mną pęka, a wtedy znów spadam, koziółkując w powietrzu.

Udaje mi się wylądować na kupie pyłu niepokrytej odłamkami metalu. Na pewno jestem posiniaczona, poobijana, ale poza tym cała i zdrowa. Znacznie gorzej wygląda mój uniform, z którego został zwęglony łachman.

Dźwigam się na nogi, czuję, że złuszcza się ze mnie kolejny kawałek spalonego materiału. Nad nami w galeriach Spiralnych Ogrodów rozlegają się szepty i stłumione okrzyki. Wszystkie oczy spoczywają na mnie, przysmalonej dziewczynie z Czerwonych. Ludzkim piorunochronie.

Evangeline wpatruje się we mnie szeroko rozwartymi oczami. Na jej twarzy malują się gniew, dezorientacja i... strach.

„Przede mną”. Z jakiegoś powodu zaczęłam wzbudzać w niej strach.

– Cześć – rzucam głupio.

Evangeline w odpowiedzi ciska we mnie chmurą ostrych, śmiertcionośnych metalowych odłamków, które prują powietrze, celując prosto w moje serce.

Odruchowo wyciągam przed siebie ręce w beznadziejnej próbie obronienia się przed zabójczym gradem. Jednak zamiast dziesiątek ostrz zanurzających się w moim ciele znów czuję coś zupełnie niezrozumiałego. Po raz kolejny przechodzą mnie ogniste dreszcze, jak gdyby wszystkie moje nerwy stanęły w płomieniach. Wewnętrzny ogień porusza się we mnie, przesuwając za oczami, pod skórą, aż czuję się kimś więcej niż sobą. Wtedy tryska ze mnie palący strumień, czysta moc i energia.

Strumień światła, nie – *błyskawica*, wylatuje z moich rąk i uderza w chmurę metalu. Odłamki wydają gwizd, zaczynają się dymić i pękają z gorąca, po czym unieszkodliwione opadają na ziemię, podczas gdy błyskawica trafia w przeciwległą ścianę. Wybija w niej szeroką na ponad metr dziurę, a po drodze o mały włos nie trafia w Evangeline.

Dziewczyna ze zdumienia rozdziawia usta. Podejrzewam, że wyglądam tak samo, gdy patrzę na swoje dłonie, zastanawiając się, co się, do cholery, stało. Wysoko nad nami setka najpotężniejszych Srebrnych zadaje sobie podobne pytanie. Podnoszę głowę i widzę, że wszyscy patrzą na mnie.

Nawet król przechyla się przez barierkę łoża, płonąca korona odcina się wyraźnie na tle nieba.

Obok niego stoi Cal, wpatrując się we mnie okrągłymi ze zdziwienia oczami.

– Warta.

Głos króla jest ostry jak brzytwa, pobrzmiwa w nim groźba. Nagle czerwono-pomarańczowe mundury wartowników pojawiają się w prawie każdej loży. Elitarny oddział czeka na kolejne słowo, kolejny rozkaz.

Jestem dobrą złodziejką, ponieważ wiem, kiedy brać nogi za pas. Bez wątpienia teraz nadeszła na to pora.

Zanim monarcha zdąży ponownie się odezwać, rzucam się przed siebie, mijam oszołomioną Evangeline i wślizguję się do włazu w arenie, który cały czas pozostawał otwarty.

– Brać ją! – rozbrzmiewa komenda, podczas gdy ja znikam w pomieszczeniu pod areną. Popisy Evangeline sprawiły, że metalowe rury powybijały w suficie dziury. Widać przez nie Spiralne Ogrody, które ku mojemu przerażeniu zaczynają przypominać kamiennego kolosa oblezonego przez gigantyczne czerwone mrówki, gdyż wokoło zaroilo się od wartowników skaczących z łóż i pędzących w moją stronę.

Nie tracąc chwili na zastanowienie, rzucam się do ucieczki.

Pomieszczenie pod areną łączy się z ciemnym i pustym przejściem. Czarne pudła kamer obserwują mnie, gdy najszybciej jak mogę, mknę przed siebie, skręcając w kolejne korytarze. Wyczuwam je, tak samo jak czuję pościg wartowników, który zbliża się z każdą chwilą. „Biegnij – powtarza głos w mojej głowie. – Biegnij, biegnij, biegnij”.

Muszę znaleźć drzwi, okno, coś, co pomoże mi się zorientować, gdzie jestem. Jeśli uda mi się wydostać na zewnątrz, dotrzeć do targu, mogę mieć jakieś szanse. *Być może*.

Pierwsze schody prowadzą na górę do długiego korytarza o lustrzanych ścianach. Tu jednak również są kamery przyczajone w rogach pod sufitem niczym wielkie czarne pluskwy.

Rozlega się strzał, kula przelatuje mi nad głową, zmuszając, abym padła na podłogę. Dwóch wartowników ubranych w mundury w barwach ognia rozbija lustrzane ściany, wskakuje na korytarz i rusza prosto na mnie. „Są tacy sami jak strażnicy – wmawiam sobie. – Nieudacznicy, którzy nic o mnie nie wiedzą. Nie wiedzą, co potrafię... Ja sama nie wiem, co potrafię”.

Spodziewają się, że będę uciekać, robię więc coś zupełnie innego, zwracam się przodem do nich i biegnę w ich kierunku. Karabiny są duże i potężne, ale nieporęczne. Wartownicy wykonują ruch, jak gdyby zamierzali złożyć się do strzału, ale zanim zdolają wycelować lub dźgnąć mnie bagnetami, opadam na kolana i sunąc po gładkiej marmurowej posadzce, wślizguję się między nich. Jeden woła coś za mną, a jego głos rozbija w drobny mak kolejne lustro. Olbrzymi mężczyźni zatrzymują się i zawracają, ale wtedy ja jestem już daleko.

Gdy w końcu docieram do okna, zatrzymuję się przed ogromną szybą z diamentowego szkła.

Rozpościera się przede mną widok, który równie dobrze może być zbawieniem, jak i zgubą. Po drugiej stronie, na wyciągnięcie ręki, tuż za twardszą od skały ścianą, leży bezkresny las. „No dobrze, ręce, to doskonała okazja, żebyście pokazały, na co was stać”, mówię do siebie. Oczywiście nic się nie dzieje. Nic się nie dzieje wtedy, kiedy trzeba.

Uderzenie gorąca zupełnie mnie zaskakuje. Obracam się, widzę zbliżający się czerwono-pomarańczowy mur i już wiem – znaleźli mnie wartownicy. Jednak ten mur jest gorący, migotliwy i niemal jednolity. „Ogień”. Sunie na mnie ściana ognia.

Głos mam cichy i słaby, gdy zrezygnowana wzdycham:

– No to pięknie.

Obracam się, żeby biec dalej, ale wpadam prosto na drugą ścianę, tym razem z czarnego sukna. Wokół mnie zamykają się silne ramiona, które mnie przytrzymują, gdy usiłuję się wyrwać. „Poraż go, spal”, nakazuję sobie w myślach. Nic jednak się nie dzieje. Tym razem nie ocali mnie żaden cud.

Gorąco narasta, zapiera mi dech w piersiach. Przeżyłam dziś zderzenie z błyskawicą; być może limit szczęśliwych trafów na dziś się wyczerpał.

Nie pociesza mnie nawet myśl, że nie zdążę spłonąć, gdyż prędzej zabije mnie dym. Gęsty, czarny i wszechogarniający, udusi mnie za kilka sekund. Świat wiruje mi przed oczami, powieki ciężko opadają. Słyszę kroki, wołanie, ryk ognia i w tej samej chwili wszystko tonie w ciemnościach.

– Przepraszam – dobiega mnie głos Cala. Chyba śnię.

ROZDZIAŁ 8

Jestem na werandzie, patrzę, jak mama żegna się z moim bratem Bree. Płacze, tuląc go z całej siły do siebie, i gładzi jego świeżo ostrzyżone włosy. Shade i Tramy stoją obok gotowi podtrzymać ją, gdyby zasłabła. Wiem, że im również chce się płakać na myśl, iż najstarszy brat odchodzi, jednak powstrzymują się ze względu na mamę. Tata siedzi przy mnie w milczeniu i świdruje wzrokiem legionistę. Nawet w zbroi ze stalowych płyt i kuloodpornego materiału żołnierz wydaje się ułomkiem w porównaniu z moim bratem. Bree mógłby pożreć go żywcem, nie robi tego jednak. Nie robi nic, gdy legionista chwyta go za rękę i odciąga od nas. Najstarszy brat odchodzi, a w ślad za nim leci cień o ciemnych, przerażających skrzydłach. Świat wokół mnie wiruje, w następnej chwili spadam.

Ląduję rok później, pod nogami mlaska mi błoto. Stoję przed domem, teraz mama przytula Tramy'ego, zaklina legionistę, żeby go nie zabierał. Shade musi ją odciągać. Nie widzę Gisy, ale słyszę, jak szlocha za ukochanym bratem. Tata i ja milczymy, nie płaczemy. Cień powraca, tym razem krąży nade mną, przesłaniając niebo i słońce. Zaciskam powieki, mając nadzieję, że zostawi mnie w spokoju.

Gdy znów otwieram oczy, jestem w objęciach Shade'a, wczepiona w niego z całych sił. Nie obciął jeszcze włosów, więc jego długie kosmyki opadają mi na głowę. Wtulam twarz w jego piersi i krzywię się. Ucho mnie piecze, cofam się, na koszuli brata widzę czerwone ślady krwi. Gisa i ja znów przekłułyśmy sobie uszy maleńkimi podarunkami, tym razem od Shade'a. Zdaje się, że źle to zrobiłam, ponieważ zawsze wszystko robię źle. Teraz wyczuwam cień, jeszcze zanim go widzę. Wydaje się wściekły.

Ciągnie mnie przez gąszcz wspomnień, tych bolesnych niczym niezagojone rany. Niektóre z nich to bardziej sny niż wspomnienia. Złe sny. Moje najgorsze koszmary.

Wokół mnie pojawia się nowy świat, mroczny krajobraz wypełniony dymem i pyłem. „Dusznia”. Nigdy tam nie byłam, ale słyszałam wystarczająco wiele, żeby móc ją sobie wyobrazić. Teren jest płaski, poznaczony kraterami po wybuchach tysięcy bomb. W każdym z nich kulą się żołnierze w poplamionych czerwonych mundurach, leżą na dnie niczym krew wypełniająca ranę. Przelatuję nad nimi, przyglądam się ich twarzom, szukam braci zagubionych w kłębach dymu i prochu.

Pierwszy wyłania się Bree, siłuje się z umundurowanym na niebiesko Lakelandczykiem. Chcę mu pomóc, ale cały czas leczę i tracę go z oczu. Zaraz potem pojawia się Tramy, pochyla się nad rannym żołnierzem, próbuje zatamować upływ krwi, żeby ranny nie wykrwawił się na śmierć. Jego łagodną twarz, tak podobną do Gisy, wykrzywia grymas cierpienia. Nigdy nie zapomnę okrzyków bólu i rozpacz. Podobnie jak w wypadku Bree, jemu również nie mogę pomóc.

Shade czeka na linii frontu, wysunięty dalej niż najdzielniejsi wojownicy. Stoi na krawędzi okopu, nie zważając na wybuchy bomb ani świst pocisków wystrzelanych przez Lakelandczyków przyczajonych za umocnieniami po drugiej stronie. Ma nawet czelność uśmiechać się do mnie. Nie mogę zrobić nic, tylko się przyglądać, gdy ziemia u jego stóp wybucha, a on sam ginie w chmurze pyłu.

– Nie! – wołam, wyciągając ręce w stronę słupa dymu, który kiedyś był moim bratem.

Wirujący w powietrzu proch przybiera postać skrzydlatego cienia, ponownie ogarniają mnie ciemności, a po chwili zalewa kolejna fala wspomnień. Powrót ledwie żywego taty. Pobór Kilorna. Dłoń Gisy. Obrazy zamazują się, zlewają w jaskrawą mozaikę, od której bolą mnie oczy. „Coś jest nie tak”. Wspomnienia cofają się w czasie, jak gdybym oglądała własne życie od końca do początku. Pojawiają się wydarzenia, których nie mogę pamiętać: nauka chodzenia, pierwsze słowa, bracia, którzy podają mi sobie z rąk do rąk, podczas gdy mama ich łaja. „To niemożliwe”.

– Niemożliwe – odzywa się cień. Ostry głos wwierca mi się w czaszkę i mam wrażenie, że za chwilę rozłupie ją na pół. Osuwam się na kolana, uderzam w twardą posadzkę, być może betonową.

Nagle wszystko znika. Bracia, rodzice, siostra, wspomnienia, koszmary – nie ma ich. Wokoło pojawiają się beton i stalowe pręty. „Klatka”.

Dźwigam się na nogi, ręką przytrzymuję obolałą głowę, podczas gdy otoczenie nabiera ostrości. Zza prętów patrzy na mnie jakaś osoba. Na jej głowie lśni korona.

– Ukłoniłabym się, ale boję się, że upadnę – oznajmiam królowej Elarze i natychmiast żałuję, iż nie ugryzłam się w język. Jest *Srebrną*, nie mogę odnosić się do niej w ten sposób. Może zakuć mnie w dyby, odebrać racje żywnościowe, ukarać mnie i moją rodzinę. „Nie – zaczynam myśleć coraz jaśniej i opada mnie coraz większe przerażenie. – To królowa. Może mnie najzwyczajniej w świecie zabić. Może zabić nas wszystkich”.

Królowa nie wydaje się jednak urażona. Na dodatek uśmiecha się lekko, znacząco. Gdy nasze spojrzenia krzyżują się, ogarnia mnie fala mdłości i znów zginam się wpół.

– To wygląda mi na ukłon – mówi miękkiem głosem i dobrze się bawi, widząc, jak skręcam się z bólu.

Udaje mi się powstrzymać wymioty, wyciągam ręce i chwytam za kraty. Zaciskam pięści na zimnej stali.

– Co ty mi robisz?

– Teraz już nic. Ale to... – wsuwa dłoń między pręty, aby dotknąć mojej skroni. Pod wpływem jej dotyku ból zwiększa się trzykrotnie i znów klękam pokonana cierpieniem, od którego niemal tracę przytomność. – ... to ma cię powstrzymać od niemądrych zachowań.

Łzy napływają mi do oczu, mrużę powieki, żeby je powstrzymać.

– Takich jak stanie na nogach? – cedzę. Z bólu ledwie potrafię zebrać myśli i nie silę się już na uprzejmość, ale jakimś cudem panuję nad sobą na tyle, aby nie bluznąć stekiem przekleństw. „Na litość boską, Mare Barrow, przymknij się”.

– Takich jak porażanie prądem – rzuca królowa.

Ból ustępuje, pozwalając mi doczłapać do metalowej ławki. Gdy opieram głowę o chłodną kamienną ścianę, docierają do mnie słowa monarchini. „Porażanie prądem”.

Pojedyncze wspomnienia przelatują mi przez umysł niczym oderwane fragmenty układanki. Evangeline, pole ochronne z błyskawic, iskry, ja. „To niemożliwe”.

– Nie należysz do Srebrnych. Twoi rodzice są z Czerwonych, ty jesteś z Czerwonych i twoja krew jest czerwona – wylicza cicho królowa, przechadzając się tam i z powrotem przed klatką. – Jesteś cudem, Mare Barrow, czymś niemożliwym. Czymś, czego nawet ja nie jestem w stanie pojąć, choć przejrzałam cię całą.

– To byłaś ty? – niemal krzyczę, dotykając głowy. – Ty byłaś w moich myślach? We wspomnieniach? *Koszmarach?*

– Jeśli znamy czyjeś lęki, wiemy o nim wszystko. – Przygląda mi się, jak gdybym była jakąś bezrozumną istotą. – A ja muszę wiedzieć, z jakim tworem mamy do czynienia.

– Nie jestem żadnym *tworem*.

– Czym jesteś, to się dopiero okaże. Ale powinnaś się cieszyć z jednego, dziewczusko od błyskawic. – Przysuwa twarz do prętów i uśmiecha się szyderczo. Nagle nogi odmawiają mi posłuszeństwa, tracę w nich czucie, jak gdybym źle usiadła. „Jak gdybym była sparaliżowana”. Czuję ucisk strachu w piersiach, gdy dociera do mnie, że nie mogę ruszyć nawet palcem. Tak pewnie czuje się tata, bezużyteczny i beznadziejny. Mimo to wstaję, nogi poruszają się i same niosą mnie w stronę krat. Zza klatki przygląda mi się królowa, mrugając oczami w rytm moich kroków.

„Jest Szeptaczką i bawi się mną”. Gdy znajduję się wystarczająco blisko, obejmuje moją twarz dłońmi. Ból w głowie potęguje się, aż w końcu wydaję z siebie krzyk. Wiele oddałabym teraz za to, żeby znieść los zwykłego poborowego. – Dałaś popis na oczach setek Srebrnych, ludzi, którzy będą zadawać pytania, ludzi o dużych wpływach – syczy mi prosto do ucha, a jej słodki oddech owiewa mi twarz. – Tylko dlatego jeszcze żyjesz.

Zaciskam pięści, pragnąc, żeby błyskawice znów się pojawiły, ale moc nie przychodzi. Królowa

wie, co próbuję zrobić, i śmieje się w głos. W mojej głowie trwa eksplozja, przed oczami wirują mi setki gwiazd i nie widzę nic prócz nich, słyszę jednak szelest jedwabiu i odgłos kroków. Odzyskuję wzrok w chwili, gdy suknia monarchini znika za rogiem, a ja zostaję w celi zupełnie sama. Z trudem wlokę się na ławkę i zwalczam odruch wymiotny.

Zmęczenie napływa powoli, rodzi się w mięśniach, po chwili przenika do kości. Jestem jedynie człowiekiem, a ludzie nie są od tego, żeby przeżywać to, co przeżyłam dzisiaj. Nagle orientuję się, że nadgarstek mam goły. Nie ma na nim czerwonej opaski, zdjęto mi ją. Co to może oznaczać? Oczywiście pieką mnie od napływających łez, nie będę jednak płakać. Zostało mi jeszcze trochę dumy.

Potrafię powstrzymać łzy, ale nie pytania ani wątpliwości, które zaczynają mnie nurtować. „Co się ze mną dzieje? Czym jestem?”

*

Otwieram oczy i widzę strażnika spoglądającego na mnie zza krat. Srebrne guziki munduru lśnią w przygaszonym świetle, ale jeszcze większa jasność bije od jego łysiny.

– Musicie dać znać mojej rodzinie, gdzie jestem – wyrywa mi się, gdy siadam na ławce. „Przynajmniej powiedziałam im, że ich kocham”, przypominam sobie, wracając myślami do pożegnania.

– Jedyna rzecz, jaką muszę, to zaprowadzić cię na górę – odpowiada strażnik, ale w jego głosie nie słychać zgryźliwości. Wydaje się oazą spokoju. – Przebierz się.

Dopiero teraz zauważam, że nadal zwisa ze mnie w strzępach na wpół spalony uniform. Mężczyzna wskazuje leżącą obok prętów stertę starannie złożonych ubrań, po czym obraca się, zapewniając mi namiastkę prywatności.

Odzienie jest proste, ale wykonane z wykwintnych, miękkich materiałów, jakich w życiu nie dotykałam. Na strój składają się biała koszula oraz czarne spodnie, przyozdobione pojedynczym srebrnym pasem ciągnącym się wzdłuż rękawów i nogawek. Całości dopełnia para czarnych lśniących skórzanych butów do kolan. Ku swojemu zdumieniu na ubraniach nie zauważam ani śladu czerwonego koloru. Nie rozumiem, dlaczego go tam nie ma. Hasła: „nie wiem” i „nie mam pojęcia”, powinny się stać moim nowym mottem życiowym.

– Gotowe – mruczę, naciągając drugi but. Gdy kończę go poprawiać, strażnik obraca się. Nie słyszę pobrzękiwania kluczy, ale nie widzę również zamka. Nie wiem, jak zamierza wypuścić mnie z klatki pozbawionej drzwi.

Mężczyzna nie otwiera jednak żadnej ukrytej furtki, ale przekręca w powietrzu dłoń, a wtedy metalowe pręty rozsuwają się. Oczywiście, strażnik jest...

– Tak, jestem Żeleźcem – przyznaje, poruszając nieznacznie palcami. – I uprzedzę twoje następne pytanie: dziewczyna, którą prawie usmażyłaś, jest moją kuzynką.

Wstrzymuję oddech, niemal dusząc się na własne życzenie, gdyż nie wiem, co odpowiedzieć.

– Przykro mi – wykrztuszam wreszcie, choć w moim głosie pobrzmiwa wahanie.

– Powinno być ci przykro, że nie trafiłaś – mówi strażnik zupełnie poważnie. – Evangeline to złośliwa suka.

– Czy to cecha rodzinna? – rzucam, zanim zdążę pomyśleć, po czym zaciskam szczęki, zdając sobie sprawę z tego, co właśnie palnęłam.

Jednak zamiast ukarać mnie za niewyparzony język, do czego miałby prawo, mężczyzna krzywi twarz w grymasie przypominającym delikatny uśmiech.

– Być może niedługo sama się przekonasz – odpowiada, patrząc na mnie uważnie. – Jestem Lucas Samos. Chodź za mną.

Nie muszę pytać, aby wiedzieć, że nie pozostaje mi nic innego, jak go posłuchać.

Wyprowadza mnie z celi, wspinamy się po krętych schodach i wchodzimy do pomieszczenia, w którym czeka na nas dwunastu strażników. Bez słowa otaczają mnie, formując wyćwiczony szyk, i zmuszają, abym maszerowała wraz z nimi. Lucas zostaje przy mnie i dotrzymuje mi kroku. Wszyscy strażnicy trzymają w rękach broń, jak gdyby byli gotowi w każdej chwili odeprzeć atak. Coś mi mówi, że mają za zadanie dbać nie o moje bezpieczeństwo, ale o bezpieczeństwo wszystkich wokół.

Gdy dochodzimy do wytworniejszych górnych pięter, szklane ściany stają się nienaturalnie czarne. „Przyciemniane”, tłumaczę sobie w myślach, gdyż przypomina mi się, co Gisa mówiła o Palatium Słońca. Diamentowe szkło ciemnieje na rozkaz, żeby ukryć to, czego nie powinni oglądać ludzie z zewnątrz. Najwyraźniej ja zaliczam się do tego typu przypadków.

Ze zdumieniem spostrzegam, że kolor szkła zmienia się nie pod wpływem działania jakiegoś mechanizmu, ale rudowłosej strażniczki. Kobieta wykonuje gest dłonią przy każdej mijanej ścianie i dzięki posiadanej mocy zatrzymuje światło, pokrywając szkło cieniem.

– To Cienista, potrafi zakrzywiać promienie światła – szepcze Lucas, zauważając moje zdziwienie.

Tutaj również co chwila napotykam kamery. Czuję na sobie ich spojrzenia i przechodzą mnie ciarki. Zwykle rozbolałaby mnie głowa z powodu nadmiernej dawki energii elektrycznej, jednak ból tym razem nie nadchodzi. Kontakt z tarczą coś we mnie zmienił. A może coś uwolnił, jakąś część mnie, która do tej pory była zablokowana. „Czym jestem?” Znowu słyszę w głowie to samo pytanie, ale teraz brzmi ono groźniej niż wcześniej.

Dopiero gdy przechodzimy przez gigantyczne drzwi, ustępują dreszcze wywołane obecnością prądu. „Tutaj nie widzą mnie oczy kamer”. W sali, w której się znajduję, zmieściłoby się dziesięć moich domów razem z palami, werandą i wszystkim. Naprzeciwko wejścia z utkwionym we mnie palącym spojrzeniem siedzi król rozparty na tronie z diamentowego szkła rzeźbionego w języki ognia.

Za nim szklana ściana przepuszczająca dzienne światło szybko ciemnieje. Być może były to ostatnie promienie słońca, jakie przyszło mi oglądać.

Lucas i pozostali strażnicy podprowadzają mnie do przodu, ale zaraz potem cofają się. Lucas rzuca za siebie jedno spojrzenie, po czym wyprowadza moją eskortę.

Król siedzi przede mną, po jego lewej stronie stoi królowa, po prawej zaś księżęta. Nie chcę patrzeć na Cala, ale wiem, że na pewno gapi się na mnie. Wbijam wzrok w czubki swoich butów i koncentruję się na ich wypolerowanej powierzchni, aby nie poddać się paralizującemu strachowi.

– Uklęknij – szepcze królowa głosem delikatnym niczym aksamit.

Powinnam uklęknąć, ale nie pozwala mi na to duma. Nawet tutaj, w obecności Srebrnych, w obecności samego *króla*, nie zginam kolan.

– Nie – odpowiadam, zdobywając się na odwagę, aby podnieść wzrok.

– Podoba ci się w celi, dziewczyno? – mówi Tyberiasz, a jego tubalny głos dociera do najodleglejszych kątów sali. Groźba jest aż nadto czytelna, ja jednak nadal stoję. Król przekrzywia głowę i wpatruje się we mnie, jak gdybym była jakimś dziwnym, zagadkowym okazem.

– Co chcecie ze mną zrobić? – udaje mi się wykrztusić.

Królowa nachyla się do męża.

– Mówiłam ci, to Czerwona w każdym calu... – Król jednak zbywa ją machnięciem ręki niczym natrętną muchę. Kobieta ściąga usta i prostuje się, mocno splatając dłonie. „Dobrze jej tak”.

– Tego, co chcę z tobą zrobić, zrobić nie mogę – odpowiada Tyberiasz. Jego oczy płoną, jak gdyby pragnął mnie spopielić ich spojrzeniem.

Przypominają mi się słowa królowej.

– Nie powiem, żeby było mi przykro, że nie możesz mnie zabić.

Król parska śmiechem.

– Nie mówili mi, że jesteś bystra.

Po moim ciele rozlewa się uczucie ulgi orzeźwiającej jak podmuch wiatru w upalny dzień. Nie czeka mnie tu śmierć. Jeszcze nie teraz.

Król rzuca na podłogę plik dokumentów. Na pierwszej kartce widnieją podstawowe informacje na mój temat, między innymi imię i nazwisko, data urodzenia, imiona rodziców oraz niewielka brązowa plamka, zaschnięta kropla krwi. Znajduje się tam również moje zdjęcie, takie samo jak na identyfikatorze. Patrząc na swój wizerunek, znudzoną minę i twarz znużoną oczekiwaniem w kolejce do fotografa. Chciałabym móc wskoczyć do tego zdjęcia, z powrotem znaleźć się w ciele dziewczyny, której największymi zmartwieniami był zbliżający się pobór i pusty brzuch.

– Mare Molly Barrow, urodzona 17 listopada 302 roku Nowej Ery, córka Daniela i Ruth Barrowów – recytuje z pamięci Tyberiasz, streszczając moje życie. – Nie masz zawodu i w dniu

następnych urodzin masz wstąpić do wojska. Chodzisz do szkoły nieregularnie, osiągasz słabe wyniki i masz na swoim koncie wykroczenia, za które w większości miast trafiłabyś do więzienia. Kradzieże, przemyt, stawianie oporu podczas aresztowania to zaledwie początek listy. Ogólnie rzecz biorąc, jesteś biedna, nieokrzesana niemoralna, mało inteligentna, zgorzkniała, uparta i przynosisz hańbę swojej wiosce i królestwu.

Ta surowa ocena jest niczym cios między oczy, ale gdy pierwszy szok mija, nie podejmuję dyskusji. W sumie wszystko się zgadza.

– A mimo to jest w tobie coś więcej. – Król wstaje, ja zaś przyglądam się z bliska jego koronie. Jej końce są nieprzeciętnie ostre. Jak sztylety. – Coś, czego nie mogę pojąć. Jesteś jednocześnie Czerwoną i Srebrną. Ta osobliwość pociąga za sobą potworne konsekwencje, których nie jesteś w stanie zrozumieć. Co zatem mam z tobą począć?

„Czyżby to pytanie było skierowane do mnie?”

– Możesz mnie puścić. Nie powiem ani słowa.

Przerywa mi ostry śmiech królowej.

– A co ze Szlachetnymi Domami? Czy oni również zachowają milczenie? Zapomną o ubranej w czerwony uniform dziewczuszce od błyskawic?

„Nie. Nie zapomną”.

– Znasz moje zdanie w tej sprawie, Tyberiaszu – dodaje królowa, przenosząc wzrok na męża. – I moja propozycja rozwiązałaby obydwie nasze problemy.

Ta propozycja musi być paskudna, ponieważ Cal zaciska pięści. Ten gest zwraca moją uwagę i w końcu kieruję wzrok na niego. Stoi nieruchomo, opanowany i cichy, zapewne nauczony zachowywać się w ten sposób, jednak jego oczy płoną. Przez chwilę nasze spojrzenia spotykają się, odwracam jednak wzrok, zanim przychodzi mi do głowy, żeby prosić go o pomoc.

– Zgadza się, Elaro. – Król przytakuje skinieniem. – Nie możemy cię zabić, Mare Barrow. – Zawiesza głos, jak gdyby powstrzymując się, żeby nie dopowiedzieć: „jeszcze nie teraz”. – Dlatego ukryjemy cię, ale tak, żeby mieć cię na oku, abyśmy mogli cię obserwować, *chronić* i próbować zrozumieć.

Jego oczy lśnią w taki sposób, że zaczynam się czuć jak smaczny kąsek, na który wkrótce wszyscy się rzucą.

– Ojczy! – woła Cal, ale jego brat, bledszy, szczuplejszy książę, chwyta go za rękę i przytrzymuje, aby zapobiec dalszym protestom. Udaje mu się to i Cal odzyskuje panowanie nad sobą.

Tyberiasz ciągnie, nie zwracając uwagi na wybuch syna.

– Nie jesteś już Mare Barrow, Czerwoną pochodzącą z Palów.

– W takim razie kim jestem? – pytam głosem drżącym z przerażenia, a do głowy przychodzą mi

przeróżne potworności, które mogą mnie spotkać z rozkazu króla.

– Twoim ojcem był Ethan Tytaniusz, generał Żelaznego Legionu, który poległ na polu chwały, gdy byłaś jeszcze niemowlęciem. Żołnierz, jeden z Czerwonych, przygarnął cię i wychował jak swoją, nie mówiąc ci o twoim prawdziwym pochodzeniu. Dorastałaś, myśląc, że jesteś nikim, ale teraz, dzięki zbiegowi okoliczności, znów wracasz na należne ci miejsce. Jesteś Srebrną, potomkinią Szlachetnego Domu, arystokratką o potężnej mocy, a w niedalekiej przyszłości staniesz się księżniczką Norty.

Choć staram się ze wszystkich sił, nie potrafię powstrzymać okrzyku zdumienia.

– Srebrną... księżniczką?

Zdradzają mnie oczy, które mimowolnie biegną w stronę Cala. „Księżniczka jest żoną księcia”.

– Poślubisz mojego syna Mavena i zrobisz to bez słowa protestu.

Mogłabym przysiąc, że słyszę, z jakim hukiem szczęka opada mi na podłogę. Z moich ust dobywa się żalony, żenujący dźwięk, gdy próbuję coś wydukać, ale autentycznie odbiera mi mowę. Stojący przede mną młodszy książę wygląda na równie osłupiałego i tak samo jak ja bełkocze coś niezrozumiale. Tym razem to Cal powstrzymuje brata, choć jednocześnie nie odrywa ode mnie oczu.

Młodszy książę wreszcie odzyskuje głos:

– Nie rozumiem – wyrzuca z siebie i wyszarpuje się z uchwytu brata. Szybkim krokiem podchodzi do ojca. – Ona jest... dlaczego...? – W zwykłych okolicznościach poczułabym się urażona, ale teraz w pełni się zgadzam z zastrzeżeniami księcia.

– Spokój – warczy jego matka. – Będziesz posłuszny.

Młodzieniec rzuca jej gniewne spojrzenie dorastającego syna, który buntuje się przeciwko rodzicielskiej władzy. Jednak twarz królowej twardnieje i książę cofa się, podobnie jak ja doskonale znając siłę jej gniewu i mocy.

Odzywam się słabym, ledwie słyszalnym głosem:

– To trochę... za wiele. – Nie potrafię ująć tego inaczej. – Chyba nie zamierzacie na serio zrobić ze mnie arystokratki, a do tego księżniczki.

Twarcz Tyberiasza wykrzywia się w ponurym uśmiechu. Jego zęby, tak samo jak zęby jego małżonki, lśnią oślepiającą bielą.

– Ależ owszem, zamierzamy całkiem serio, moja droga. Po raz pierwszy twoje życie nabierze jakiegoś sensu. – Uwaga zabolęła niczym policzek. – Pewnie się orientujesz, że w ostatnich dniach mamy do czynienia z zarzewiem buntu, do którego dochodzi zupełnie nie w porę. Banda terrorystów, bojowników o wolność, jak lubią się nazywać ci skretyniali Czerwoni, umyśliła sobie wysadzać domy w imię wolności.

– Szkarłatna Gwardia. – „Farley. Shade”. Łapię się na tym, że przechodzą mi przez myśl te dwa

imiona, i natychmiast zaczynam się modlić, żeby królowa Elara przypadkiem akurat teraz nie grzebała mi w głowie. – Podłożyli bomby...

– W stolicy, owszem. – Król wzrusza ramionami i drapie się w kark.

Wiele się nauczyłam, pracując przez lata na ulicy. Wiem, kto nosi przy sobie najbardziej pękata sakiewkę, kto nie zauważy, gdy do niego podejde, i jak wyglądają kłamcy. „Król kłamie”, wnioskuje, patrząc na kolejne wymuszone wzruszenie ramion. Udaje, że lekceważy zamachowców, ale nie wychodzi mu to. Z jakiegoś powodu obawia się Farley i Szkarłatnej Gwardii. Z powodu o wiele ważniejszego niż parę wybuchów.

– A ty – ciągnie monarcha, pochylając się do przodu – mogłabyś się okazać przydatna w wytępieniu tych szkodników.

Wybuchłabym śmiechem, gdyby nie zżerał mnie strach.

– Przydatna? Dlatego że wyjde za mąż za... wybac, zapomniałam, jak masz na imię.

Młodszy książę blednie i domyślam się, iż w ten sposób Srebrni oblewają się rumieńcem. W końcu ich krew ma srebrny kolor.

– Nazywam się Maven – odpowiada cichym, łagodnym głosem. Podobnie jak ojciec i starszy brat ma czarne lśniące włosy, ale na tym podobieństwa między nimi się kończą. Król i Cal są barczyści, umięśnieni, natomiast Maven ma szczupłą sylwetkę, oczy zaś przejrzyste jak woda. – I nadal nic nie rozumiem.

– Ojciec chce przez to powiedzieć, że pojawienie się tej dziewczyny to dla nas doskonała okazja – wtrąca się Cal. W przeciwieństwie do brata przemawia silnym, władczym tonem. Tonem króla. – Gdy Czerwoni ją zobaczą, Srebrną z urodzenia, ale Czerwoną z usposobienia, żyjącą między nami, można będzie ich ugłaskać. Historia jak w bajce, dziewczyna z ludu zostaje księżniczką. Będzie ich bohaterką. Będą mogli podziwiać ją zamiast terrorystów. – Po czym cichym głosem dodaje jedno krótkie, ale kluczowe zdanie: – Będzie rozrywką.

Dla mnie jednak nie jest to bajka ani nawet sen. „To koszmar”. Do końca swoich dni będę bez przerwy pilnowana, zmuszona do życia nie swoim życiem. „Zmuszona do bycia jedną z nich. Marionetką. Widowiskiem, które ma uszczęśliwiać, ogłupiać i zniewalać”.

– A jeżeli dobrze ułożymy tę historię, Szlachetne Domy również będą zadowolone. Jesteś zaginioną córką bohatera wojennego. Czyż możemy uhonorować cię bardziej?

Patrzę mu w oczy z niemym błaganiem. Już raz mi pomógł, może znów to zrobi. Jednak Cal powoli porusza głową, kręci nią przecząco. „Nie wyciągnie mnie z tego”.

– To nie jest prośba, panno Tytaniusz – oznajmia Tyberiasz. Zwraca się do mnie moim nowym nazwiskiem i tytułem. – Odegrasz tę rolę i zrobisz to *jak należy*.

Królowa Elara kieruje na mnie spojrzenie swoich wodnistych oczu.

– Zgodnie ze zwyczajem jako narzeczona księcia zamieszkaż tutaj. Każdego dnia będziesz wykonywała plan zajęć, który dla ciebie ułożę, będziesz się również uczyć wszystkiego, czego trzeba, abyś stała się... – przygryza wargę, szukając najlepszego słowa – ... odpowiednia. – Nie chcę się zastanawiać, co to znaczy. – Będziesz pod nieustannym nadzorem. Od tej pory stąpasz po kruchym lodzie. Jeden fałszywy krok, jedno nieodpowiednie słowo, i gorzko pożałujesz.

Czuję dławienie w gardle, jak gdyby na szyi zaciskała mi się pętla narzucona przez króla i królową.

– A co z moim życiem...?

– Jakim życiem? – drwi Elara. – Dziewczyno, przytrafia ci się cud, los, o jakim inni nawet nie śmia pomarzyć.

Cał mruży na chwilę oczy, jak gdyby śmiech królowej sprawiał mu ból.

– Ma na myśli rodzinę. Mare... ta dziewczyna ma rodzinę.

„Gisa, mama, tata, chłopaki, Kilorn – całe utracone życie”.

– Och, to – sapie król, osuwając się z powrotem na tron. – Myślę, że wypłacimy im zadośćuczynienie, aby siedzieli *cicho*.

– Chcę, żeby bracia wrócili z wojny do domu. – Choć raz czuję, iż mówię do rzeczy. – I jeszcze mój przyjaciel, Kilorn. On też ma zostać w domu.

Tyberiasz odpowiada, zanim zdąży zamknąć usta. Los paru Czerwonych żołnierzy znaczy dla niego tyle, co nic.

– Zgoda.

W moich uszach brzmi to nie jak ułaskawienie, ale jak wyrok śmierci.

ROZDZIAŁ 9

„Panna Mareena Tytaniusz, córka wielmożnych Nory Nolle Tytaniusz i Ethana Tytaniusza, generała Żelaznego Legionu. Spadkobierczyni Domu Tytaniuszy. Mareena Tytaniusz. Tytaniusz”.

Moje nowe imię rozbrzmiewa mi w głowie, podczas gdy Czerwone służące szykują mnie do zbliżającej się pierwszej potyczki. Wszystkie trzy pokojówki pracują szybko i sprawnie, nie zamieniając ze sobą ani jednego słowa. Nie zadają mi również żadnych pytań, mimo że z pewnością pali je ciekawość. „Nic nie mówić”, przypominam sobie. Nie wolno im się odzywać w mojej obecności i bez wątpienia zabroniono im także rozmawiać na mój temat z innymi. Chociaż jestem pewna, że dostrzegają różne dziwne rzeczy, rzeczy świadczące o mojej Czerwonej naturze.

Robią, co mogą, żeby zrobić ze mnie „odpowiednią” przyszlą księżniczkę. Udręka trwa nieskończenie długo, służące kąpią mnie, czeszą i *malują*, dopóki nie wyglądam jak skończona idiotka. Najgorszy jest makijaż, a zwłaszcza gęste białe smarowidło, które nakładają mi na skórę. Zużywają trzy słoiki, żeby pokryć mi twarz, szyję, dekolt i ręce lśniącem wilgotnym proszkiem. W lustrze wyglądam tak, jak gdyby puder wysał ze mnie całe ciepło. Wydaję stłumiony okrzyk, ponieważ dociera do mnie, że to celowy zabieg, który ma ukryć różowy odcień mojej skóry, moją czerwoną *krw*. Mam udawać Srebrną i gdy pokojówki kończą malować mi twarz, rzeczywiście zaczynam się nadawać do tej roli. Z bladą cerą, z podkreślonymi oczami i ustami wyglądam na oziębłą, okrutną, żywą lalkę. Wyglądam jak Srebrna. Wyglądam pięknie. I nienawidzę swojego nowego wyglądu.

Jak długo to potrwa? Narzeczona księcia. Nawet gdy o tym myślę, brzmi to niedorzecznie. Bo to jest niedorzeczne. Żaden Srebrny przy zdrowych zmysłach nie chciałby mnie poślubić, a co dopiero książę Norty. Na pewno nie po to, żeby zdławić bunt albo ukryć moją tożsamość, za żadne skarby.

Po co więc to wszystko?

Gdy służące wciągają na mnie suknię, czuję się jak zwłoki ubierane przed pogrzebem. Na dodatek wiem, że myśląc w ten sposób, wcale nie mijam się za bardzo z prawdą. Czerwone dziewczęta nie wychodzą za mąż za Srebrnych książąt. Nigdy nie założę korony ani nie zasiądę na tronie. Coś się stanie, może jakiś *wypadek*. Jedno kłamstwo stworzyło moje nowe życie, drugie

kłamstwo może mi je odebrać.

Dotykam ciemnofioletowej nakrapianej srebrem sukni uszytej z jedwabiu i koronki. „Wszystkie domy mają swoje barwy”, przypominam sobie i wracam pamięcią do tęczowego korowodu sunącego tarasami Spiralnych Ogrodów. Kolorami Tytaniuszy, *mojego domu*, zapewne są fiolet i srebro.

Gdy jedna z pokojówek wyciąga rękę po kolczyki, usiłując odebrać mi ostatni kawałek mojego starego życia, czuję nagły przypływ strachu.

– Łapy precz!

Dziewczyna odskakuje, mrugając szybko oczami, pozostałe dwie nieruchomieją w reakcji na mój wybuch.

– Przepraszam, ja... – „Srebrni nie przepraszają”. Odchrząkuję, próbując wziąć się w garść. – Zostawcie kolczyki. – Mój głos brzmi mocno, twardo, *władczo*. – Możecie zmienić wszystko inne, ale zostawcie kolczyki.

Trzy tanie kawałki metalu, każdy na pamiątkę jednego brata, zostają ze mną.

– Do twarzy ci w tym kolorze.

Obracam się i widzę pokojówki zgięte w głębokim ukłonie. Przed nimi stoi Cal. Nagle bardzo się cieszę, że makijaż pokrywa rumieniec, który oblewa mi twarz.

Księżę wykonuje nieznaczny gest dłonią, na co służące uciekają z pokoju niczym myszy czmychające przed kotem.

– Nie znam się za bardzo na pałacowej etykiecie, ale na pewno nie powinieneś tu być. W moim pokoju – mówię, siląc się na pogardliwy ton. W końcu to przez niego tkwię po uszy w tym bagnie.

Cal zbliża się do mnie, a ja instynktownie cofam się o krok. Nadeptuję jednak na rąbek sukni i mam do wyboru albo się zatrzymać, albo przewrócić. Nie wiem, która z tych opcji jest gorszym rozwiązaniem.

– Przyszedłem przeprosić, a nie mogę tego zrobić publicznie. – Staje, zauważając moje skrępowanie. Spogląda na mnie i pojedynczy mięsień w jego policzku zaczyna drgać. Zapewne przypomniał sobie beznadziejną dziewczynę, która próbowała go okraść nie dalej niż minionej nocy. Teraz w niczym jej już nie przypominam. – Przepraszam, że cię w to wciągnąłem, Mare.

– *Mareena*. – To imię nawet *smakuje* ohydnie. – Tak się teraz nazywam, zapomniałeś?

– Dobrze się zatem składa, Mare to odpowiednie zdrobnienie.

– Nie sądzę, żeby cokolwiek w mojej osobie było *odpowiednie*.

Oczy Cala wędrują po moim ciele, a ja czuję, że moja skóra płonie pod jego spojrzeniem.

– Jak ci się podoba Lucas? – pyta w końcu, po czym uprzejmie postępuje krok do tyłu.

Strażnik z rodu Samos, pierwszy przyzwoity Srebrny, jakiego tu poznałam.

– Wydaje się normalny. – Być może królowa go odwoła, jeśli zdradzę się z tym, jaki miły był dla

mnie.

– Lucas to dobry człowiek. Jego rodzina uważa go za słabeusza z powodu jego dobroci – dodaje, a oczy mu pochmurnieją. Jak gdyby wiedział, jak to jest. – On będzie ci jednak pomocny i oddany. Dopilnuję tego.

„Cóż za troskliwość. Wsadził mnie do klatki i przydzielił dobrotliwego strażnika”. Gryzę się jednak w język. Nic mi nie przyniesie szydzenie z jego łaskawości.

– Dziękuję, Wasza Wysokość.

W jego oczach ponownie rozpała się błysk, a po wargach błądzi znaczący uśmiech.

– Wiesz, że mam na imię Cal.

– A ty wiesz, jak ja mam na imię, prawda? – odpowiadam z goryczą. – Wiesz, skąd pochodzę.

Przytakuje ledwo zauważalnym skinieniem głowy, jak gdyby się wstydył.

– Musisz o nich zadbać. – „O moją rodzinę”. Przed oczami przesuwiają mi się ich twarze, już teraz wydają się tak bardzo odległe. – O nich wszystkich, tak długo, dopóki będziesz mógł.

– Oczywiście. – Zbliża się do mnie o krok, zmniejszając dzielący nas dystans. – Przepraszam – powtarza. To słowo rozbrzmiewa w mojej głowie i przywołuje wspomnienia.

„Ściana ognia. Duszący dym. Przepraszam, przepraszam, przepraszam”.

To Cal mnie złapał, nie pozwolił mi uciec z tego okropnego miejsca.

– Przepraszasz, że pozbawiłeś mnie jedynej szansy na ucieczkę?

– Co nazywasz ucieczką? To, że gdybyś przedarła się przez wartowników, strażników, mury, las i dotarła do wioski, po paru godzinach albo dniach dopadłaby cię tam królowa? – spokojnie odpowiada na moje oskarżenie. – Jediną szansą dla ciebie i twojej rodziny było to, żebym cię zatrzymał.

– Mogłam uciec. Nie znasz mnie.

– Znam królową i wiem, że przewróciłaby świat do góry nogami, by odnaleźć dziewczuszkę od błyskawic.

– Nie nazywaj mnie tak. – Przezwisko drażni mnie bardziej niż fałszywe imię, do którego jeszcze nie przywykłam. „Dziewuszka od błyskawic”. – Twoja matka tak o mnie mówi.

Cal śmieje się z goryczą.

– To nie moja matka. Jest matką Mavena, ale nie moją. – Wystarczy jeden rzut oka na jego zaciśnięte szczęki, abym wiedziała, że nie należy ciągnąć tego tematu.

– Och – mówię jedynie, a mój głos szybko cichnie, odbijając się słabym echem od sklepionego sufitu. Wyciągam szyję i rozglądam się po swoim nowym pokoju po raz pierwszy, odkąd się w nim znalazłam. Nigdy nie widziałam piękniejszego miejsca: wszystko w marmurach, szkle, jedwabiach i piórach. Światło się zmienia, przybierając pomarańczowy odcień zmierzchu. Nadchodzi noc. A wraz

z nią reszta mojego życia. – Obudziłam się rano sobą – mamroczę, bardziej do siebie niż do niego – a teraz mam być zupełnie kimś innym.

– Dasz radę. – Czuję, że przysuwa się o krok, jego gorąco wypełnia cały pokój w taki sposób, że ciarki przebiegają mi po skórze. Nie podnoszę jednak wzroku. Nie i już.

– Skąd wiesz?

– Ponieważ *musisz* dać radę. – Przygryza wargę, przesuwając wzrokiem. – Ten świat jest równie piękny, jak niebezpieczny. Ludzi, którzy nie są przydatni, którzy popełniają błędy, po prostu się eliminuje. *Ciebie* również mogą wyeliminować.

„I tak właśnie się stanie. Pewnego dnia”. Na dodatek to nie jedyne niebezpieczeństwo, jakie mi grozi.

– Czyli mój pierwszy błąd może okazać się ostatnim?

Cal milczy, ale odpowiedź wyczytuję z jego oczu. „Tak”.

Bawię się srebrnym paskiem, zaciskam go mocno w talii. Gdyby to był sen, obudziłabym się w końcu, ale ja nie śnię. „To się dzieje naprawdę”.

– A co ze mną? – Wyciągam przed siebie ręce i wpatruję się w te swoje piekielne dłonie – Z tym?

W odpowiedzi Cal się uśmiecha.

– Myślę, że wkrótce się przyzwyczaisz.

Potem unosi swoją dłoń. Dziwna ozdoba, którą ma na nadgarstku, coś jak bransoleta z dwoma metalowymi końcami, *wydaje szczęknięcie* i wytwarza iskry. Zamiast jednak zniknąć w okamgnieniu, iskry żarzą się i po chwili buchają czerwonym płomieniem, od którego bije fala gorąca. „Jest Płomiennym, kontroluje ciepło i ogień – przypominam sobie. – Jest księciem, do tego śmiertelnie niebezpiecznym”. Jednak płomień znika równie szybko, jak się pojawił. Widzę jedynie pokrzepiający uśmiech Cala i słyszę szum ukrytych gdzieś obserwujących wszystko kamer.

*

Zamaskowani wartownicy, których kątem oka widzę cały czas, bez przerwy przypominają mi o mojej nowej pozycji. Jestem przyszłą księżniczką, narzeczoną drugiego najbardziej pożądanego kawalera w królestwie. Jestem też oszustką. Cal poszedł dawno temu, zostawiając mnie z wartownikami. Lucas nie jest taki zły, pozostali jednak wyglądają surowo, milczą i nie patrzą mi w oczy. Wszyscy oni, nawet Lucas, mają za zadanie pilnować, abym nie uciekła z więzienia, jakim stało się dla mnie moje własne ciało; jestem Czerwoną więźniarką ukrytą za srebrną kotarą, której pod żadnym pozorem nie wolno odsunąć. Jeśli zawiodę, jeśli się potknę, zapłacę za to głową. „A wraz ze mną i inni”.

Podążając z eskortą w stronę sali, w której odbywa się uczta, powtarzam w myślach historię,

którą wbijała mi do głowy królowa, bajeczkę stworzoną na potrzeby dworu. Jest prosta, łatwa do zapamiętania, ale mimo to wzdrygam się, gdy o niej myślę.

„Urodziłam się na froncie. Rodzice zginęli w ataku przypuszczonym na nasz obóz. Czerwony żołnierz uratował mnie z pobojowiska i zabrał do domu, gdzie zajęła się mną jego żona, która zawsze pragnęła córki. Wychowali mnie w wiosce zwanej Palami i nie zdawałam sobie sprawy z własnego pochodzenia ani umiejętności do dzisiejszego ranka. Teraz wracam, aby zająć należne mi miejsce”.

Czuję, że robi mi się niedobrze. Należne mi miejsce to mój dom, rodzice, Gisa i Kilorn. Tam jest moje miejsce. „Nie tutaj”.

Wartownicy prowadzą mnie przez labirynt korytarzy położonych na górnych piętrach pałacu. Podobnie jak w Spiralnych Ogradach wszystko tu jest zbudowane z kamienia, szkła i metalu, a przejścia wyginają się i łagodnym łukiem wznoszą się spiralnie w górę. Wszędzie dookoła są szklane ściany, z których rozciąga się oszałamiający widok na targ, dolinę rzeki i ciemniejące za nią lasy. Z tej wysokości widzę wzgórza, o których istnieniu nie miałam pojęcia. Odcinają się daleko na horyzoncie od nieba barwionego zachodem słońca.

– Na ostatnich dwóch piętrach znajdują się królewskie apartamenty – mówi Lucas, wskazując pnący się i zakręcający korytarz. Promienie słońca migoczą niczym burza ognia, rzucając na nas cętki pomarańczowego światła. – Winda zwiezie nas na dół, do sali balowej. – Lucas wyciąga rękę, zatrzymując się obok metalowej ściany. Widzę w niej nasze odbicie, ale już po sekundzie ściana rozsuwa się, gdy strażnik porusza dłonią.

Moja eskorta wprowadza nas do ciasnego zatopionego w ostrym świetle pomieszczenia bez okien. Staram się oddychać spokojnie, choć wolałabym jak najszybciej wyjść z tej olbrzymiej metalowej trumny.

Podskakuję, gdyż winda nagle się *porusza*. Serce zaczyna mi łomotać, z trudem łapię powietrze i rozglądam się szeroko otwartymi oczami, spodziewając się, że inni zareagują w podobny sposób. Jednak nikomu zdaje się nie przeszkadzać to, że pokój, w którym jesteśmy, *spada*. Jedynie Lucas zauważa mój strach i zwalnia ruch pomieszczenia.

– Winda jeździ w górę i w dół, żebyśmy nie musieli chodzić. Pałac jest bardzo duży, panno Tytaniusz – mamrocze, a po jego twarzy przewija się cień uśmiechu.

Gdy spadamy, czuję pomieszanie zdumienia i lęku i oddycham z ulgą, gdy Lucas otwiera drzwi windy. Pobite lustra są już całe – wszystko wygląda tak, jak gdyby nic się tu nie wydarzyło.

Gdy zza rogu wyłania się królowa Elara w towarzystwie własnych wartowników, Lucas składa głęboki ukłon. Teraz władczyni ma na sobie strój w czerni, czerwieni i srebrze, barwach rodowych męża. Przy jej jasnych włosach i bladej cerze wygląda wręcz upiornie.

Chwyta mnie za rękę, przyciąga do siebie. Nie porusza ustami, a mimo to słyszę jej głos, który

rozbrzmiewa w mojej głowie. Tym razem obecność królowej w moich myślach nie sprawia mi bólu ani nie wywołuje mdłości, ale cały czas czuję się przez to ohydnie. Nie mogę jednak zrobić nic, mogę jedynie jej nienawidzić.

„Rodzina Tytaniuszy była Niwecznikami – słyszę głos królowej wszędzie wokoło. – Wyszadzali za pomocą dotyku, tak samo jak córka Leloranów podczas Królewskiej Próby”. Gdy próbuję przypomnieć sobie wspomnianą kandydatkę, Elara ukazuje mi jej obraz. Pojawia się w moich myślach jedynie na chwilę, ale dostrzegam dziewczynkę w pomarańczowym stroju wysadzającą głazy i piasek niczym żywa bomba. „Twoja matka, Nora Nolle, pochodziła z rodu Burzowców. Burzowcy do pewnego stopnia potrafią kontrolować pogodę. Nie zdarza się to często, ale czasami połączenie dwóch umiejętności skutkuje wykształceniem się nowych zdolności. Tak było w tym wypadku i dlatego posiadasz niepowtarzalne umiejętności panowania nad energią elektryczną. Jeśli ktoś będzie cię dopytywał, nic więcej nie mów”.

„Czego tak naprawdę ode mnie chcecie?” Nawet w myślach mój głos drży.

Czaszka niemal eksploduje mi od śmiechu królowej, jedynej odpowiedzi, którą uzyskuję.

„Pamiętaj, kim masz być, zapamiętaj to sobie dobrze – ciągnie, lekceważąc moje pytanie. – Udajesz osobę wychowaną przez Czerwonych, ale Srebrną z urodzenia. Od tej pory myślisz jak Czerwona, ale z natury jesteś Srebrna”.

Przechodzi mnie dreszcz strachu.

„Od tej pory do końca swoich dni musisz kłamać. Od tego zależy twoje życie, dziewczusko od błyskawic”.

ROZDZIAŁ 10

Elara zostawia mnie na środku korytarza pogrążoną w rozmyślaniach nad tym, co od niej usłyszałam.

Wcześniej sądziłam, że istnieje tylko jeden podział: na Srebrnych i Czerwonych, bogatych i biednych, królów i niewolników. Jest jednak tego o wiele więcej i są to sprawy, których nie rozumiem, a na dodatek trafiłam w sam ich środek. Dorastałam w świecie, w którym codziennie się zastanawiałam, czy będę miała co jeść na kolację; teraz znalazłam się w świecie, w którym to ja mogę zostać żywcem zjedzona.

Zdanie „Myślisz jak Czerwona, ale z natury jesteś Srebrna” utkwiło mi w pamięci i służy za drogowskaz. Oczy mam szeroko otwarte, gdy rozglądam się po wspaniałym pałacu, o którym ani Mare, ani Mareena nawet nie śniły, ale usta mam zaciśnięte. Mareena jest pod wrażeniem, nie traci jednak panowania nad emocjami. Jest zimna i nieczuła.

Drzwi na końcu korytarza otwierają się, ukazując największą salę, jaką w życiu widziałam, większą nawet od sali tronowej. Wątpię, żebym kiedykolwiek przyzwyczaiła się choćby do samych rozmiarów pałacu. Przekraczam próg i zatrzymuję się na podeście schodów wiodących w dół, na salę, w której zebrali się przedstawiciele wszystkich domów i z wrodzoną powściągliwością oczekują werdyktu. Arystokraci, cały czas ubrani w rodowe barwy, siedzą sztywno i patrzą przed siebie. Kilku szepcze coś między sobą, prawdopodobnie na temat mnie i pokazu, który dałam. Król Tyberiasz i królowa Elara stoją przodem do poddanych na podium umieszczonym około metra nad podłogą. „Nie przepuszczą żadnej okazji, żeby się wywyższyć nad innych”. Albo są bardzo prózni, albo przebiegli. Potężni są ci, którzy wyglądają na potężnych.

Książęta tak samo jak para królewska mają na sobie czerwono-czarne szaty ozdobione wojskowymi medalami. Cal stoi po prawej stronie ojca, na jego twarzy maluje się spokój i obojętność. Jeśli wie, kogo przyjdzie mu poślubić, nie wydaje się zbytnio zadowolony z wyboru. Na twarzy Mavena stojącego na lewo od matki odbijają się najrozmaitsze emocje. Młodszy brat nie potrafi tak dobrze jak starszy ukrywać uczuć.

„Przynajmniej nie będę musiała mieć do czynienia z wytrawnym kłamcą”.

– Obyczaj Królewskiej Próby jest zawsze radosnym wydarzeniem, przypomina o przyszłości naszego wspaniałego królestwa i o więziach, które jednoczą nas w obliczu zagrożeń ze strony naszych wrogów – zaczyna król, zwracając się do zgromadzonych. Zebrani jeszcze mnie nie zauważyli, ponieważ nadal stoję na podeście schodów u wejścia i obserwuję wszystko z góry. – Jednak dziś okazało się, że Królewska Próba wskazała nam nie tylko przyszłą królową.

Obraca się do Elary, która chwyta dłoń męża i uśmiecha się niczym oddana żona. Na moich oczach przechodzi zdumiewającą przemianę i z bezdusznej intrygantki staje się skromną królową małżonką.

– Wszyscy pamiętamy światło nadziei rozpraszające swego czasu mroki wojennej zawieruchy, naszego kapitana i *przyjaciela*, generała Ethana Tytaniusza – podejmuje Elara.

W sali rozlegają się pomruki wyrażające sympatię i smutek. Nawet patriarcha domu Samosów, okrutny ojciec Evangeline, pochyla głowę.

– Poprowadził Żelazny Legion do zwycięstwa, przesuwał linię frontu z miejsca, w którym walki toczyły się od stu lat. Lakelandczycy lękali się go, nasi żołnierze uwielbiali. – Szczerze wątpię, żeby którykolwiek z Czerwonych szeregowców darzył ich Srebrnego generała miłością. – Szpiegzy Lakelandczyków przekradli się za nasze linie i zabili Ethana, naszego ukochanego przyjaciela i jedyną nadzieję na upragniony pokój. Jego żona Nora, dobra i sprawiedliwa kobieta, poniosła śmierć wraz z nim. Tamtego pamiętnego dnia szesnaście lat temu dom Tytaniuszy został zgładzony. Straciliśmy przyjaciół. Rozlano srebrną krew.

Na sali zapada cisza, podczas gdy królowa przerywa, żeby chusteczką dotknąć kącików oczu, ocierając udawane i wymuszone łzy. Kilka dziewcząt, uczestniczek Królewskiej Próby, kręci się na krzesłach. Nie obchodzi ich zmarły generał i królowa tak naprawdę również o niego nie dba. Chodzi jej tylko o mnie, chce przemycić dziewczynę z Czerwonych do królewskiej rodziny w taki sposób, aby nikt tego nie zauważył. Trzeba nie lada magika, żeby dokonać tej sztuczki, jednak królowa jest wytrawnym sztukmistrem.

Jej wzrok spoczywa na mnie, przygważdżając mnie do podestu u wejścia, a oczy zebranych wędrują za spojrzeniem władczyni. Niektórzy wydają się zaskoczeni, inni poznają we mnie sprawczynię porannego zamieszania. Paru przygląda się mojej sukni. Są to ci, którzy pamiętają barwy domu Tytaniuszy lepiej niż ja i w lot pojmują, kim jestem. Lub raczej za kogo się podaję.

– Tego ranka byliśmy świadkami cudu. Widzieliśmy dziewczynę z Czerwonych, która spadła na arenę niczym błyskawica i wykazała się mocą, jakiej nie powinna posiadać. – Szepty, które znów się rozlegają, są głośniejsze, kilku Srebrnych nawet podnosi się z miejsc. Evangeline wydaje się wściekła, zatapia we mnie spojrzenie czarnych oczu. – Razem z królem przeprowadziłem długą rozmowę z ową dziewczyną, usiłując dociec źródeł jej zdolności. – „Długa rozmowa” – niezłe

określenie na babranie mi w głowie. – Nie jest Czerwoną, ale jest cudem. Przyjaciele, powitajmy, proszę, wśród nas pannę Mareenę Tytaniusz, córkę Ethana Tytaniusza. Zaginioną i po latach odnalezioną.

Gestem nakazuje mi podejść bliżej. Posłusznie wykonuję polecenie.

Gdy schodzę po schodach, towarzyszą mi nieśmiałe brawa, ale ja bardziej niż na nich koncentruję się na tym, żeby się nie potknąć. Jednak krok mam pewny, oblicze spokojne i powoli zanurzam się w tłumie setek twarzy wpatrujących się we mnie z zaskoczeniem, niedowierzaniem i podejrzliwością. Lucas i wartownicy nie idą za mną, zostają przy wejściu. Stoję sama oko w oko z elitą Srebrnych i pomimo warstw pudru i ubrań czuję się zupełnie naga. Znowu dziękuję w duchu za to, że mam na sobie makijaż. To moja tarcza, zasłona chroniąca mnie przed nimi i ukrywająca prawdę o mnie. Prawdę, której nawet ja sama nie rozumiem.

Królowa wskazuje wolne miejsce w pierwszym rzędzie, zmierzam więc w jego kierunku. Kandydatki biorące udział w Królewskiej Próbie przypatrują mi się i zastanawiają, dlaczego tu jestem i z jakiego powodu nagle stałam się taka ważna. Kieruje jednak nimi tylko zwykła niezaprawiona złością ciekawość. Patrzą na mnie z litością, współczując mi smutnego losu na tyle, na ile potrafią. Wyjątkiem jest Evangeline Samos. Gdy w końcu zajmuję miejsce tuż obok niej, piorunuje mnie spojrzeniem. Przebrała się ze skór i ćwieków w suknię z połączonych metalowych kółek. Widząc jej splecione palce, odnoszę wrażenie, że najbardziej w tym momencie pragnie zacisnąć mi dłoń na gardle.

– Panna Mareena nie podzieliła losu rodziców, została zabrana z linii frontu i przewieziona do wioski Czerwonych leżącej niewiele ponad piętnaście kilometrów stąd – odzywa się król, podejmując opowieść w chwili, gdy zbliża się zaskakujący zwrot akcji. – Wychowali ją Czerwoni rodzice, pracowała jako Czerwona służąca. I do dzisiejszego ranka myślała, że jest jedną z Czerwonych. – Dobiegające z sali stłumione okrzyki sprawiają, że mimowolnie zaciskam zęby. – Mareena była nieoszlifowanym diamentem; córka mojego zmarłego przyjaciela pracowała w pałacu tuż pod moim nosem. Jednak te dni się skończyły. Żeby wynagrodzić jej moją ignorancję, a jej ojcu i rodowi Tytaniuszy odwdziaczyć się za wierną służbę dla dobra królestwa, niniejszym ogłaszam połączenie domu Calore ze wskrzeszonym domem Tytaniuszy.

Rozlega się następna fala stłumionych okrzyków, tym razem ze strony uczestniczek Królewskiej Próby. „Myślą, że odbieram im Cala. Mają mnie za rywalkę”. Przenoszę wzrok na króla, zaklinając go w duchu, żeby ciągnął, zanim któraś z dziewczyn zamorduje mnie spojrzeniem.

Niemal czuję chłód metalowych ostrzy przeszywających moje ciało. Evangeline spleta palce jeszcze ciaśniej, jej kłykcie bieleją, gdy ze wszystkich sił próbuje powstrzymać się przed tym, żeby na oczach wszystkich nie obdrzeć mnie ze skóry. Złowrogi ojciec siedzący po drugiej stronie

dziewczyny uspokajającym gestem kładzie dłoń na rękę córki.

Kiedy Maven wysuwa się do przodu, napięcie wśród zebranych opada. Młody książę zacina się lekko, myli się tu i ówdzie, recytując wyuczone słowa, ale udaje mu się wygłosić swoją kwestię do końca.

– Panno Mareeno.

Robię, co mogę, żeby powstrzymać dygotanie, gdy podnoszę się i staję naprzeciwko niego.

– W obecności mojego ojca, króla, i szlacheckiego dworu proszę cię, abys została moją żoną.

Pragnę połączyć swój los z twoim, Mareeno Tytaniusz. Czy przyjmujesz me oświadczenia?

Serce wali mi jak młotem podczas tej krótkiej przemowy. Chociaż na jej końcu pada pytanie, wiem, że w rzeczywistości nie mam wyboru. Chcę odwrócić wzrok, ale siłą woli zmuszam się, aby cały czas patrzeć na Mavena. Książę posyła mi ledwie widoczny pokrzepiający uśmiech. Zastanawiam się, którą dziewczynę wybrano by dla niego. „Kogo ja bym wybrała?”. Gdyby nie doszło do tego wszystkiego, gdyby mistrz Kilorna nie umarł, gdyby dłoń Gisy nie została połamana, gdyby nigdy nic się nie zmieniło. *Gdyby*. Najgorsze słowo świata.

„Pobór. Powrót z wojny. Dzieci o zielonych oczach, biegające tak szybko jak ja i noszące nazwisko Kilorna”. Nawet wcześniej ta wersja przyszłości wydawała się prawie niemożliwa; teraz to jedynie mrzonki.

– Pragnę połączyć swój los z twoim, Mavenie Calore – odpowiadam, wbijając ostatni gwóźdź do własnej trumny. Głos mi drży, ale dokańczam: – Przyjmuję.

Te słowa zabrzmiały jak ostateczny wyrok, jak trzaśnięcie drzwi, które zamykają się za mną i do końca życia mają się nie otworzyć. Czuję, że zaraz się rozpadnę, ale jakimś cudem daję radę usiąść z gracją.

Maven opada na krzesło zadowolony, że przestaje być w centrum uwagi. Matka poklepuje go po ramieniu, aby dodać mu otuchy, i spoglądając na niego, uśmiecha się łagodnie. Nawet Srebrni kochają swoje dzieci. Kiedy jednak królowa spogląda w stronę Cala, jej rysy ponownie twardnieją, a uśmiech momentalnie znika.

Zdaje się, że w sali zaczyna brakować powietrza, gdy dziewczęta robią głęboki wdech, czekając na decyzję następcy tronu. Wątpię, aby miał on wiele do powiedzenia w kwestii wyboru przyszłej królowej, ale dobrze odgrywa swoją rolę, podobnie jak Maven i ja. Uśmiecha się promiennie, ukazując białe zęby, na których widok rozlegają się ciche westchnienia, ale jego oczy pozostają potwornie poważne.

– Jestem następcą ojca, urodzonym, aby osiąść zaszczyty, władzę i potęgę. Jesteście mi winni lojalność, ja zaś jestem wam winny całe moje życie. Moim obowiązkiem jest służyć wam i królestwu ze wszystkich sił, a nawet wtedy, gdy sił mi braknie. – Jego mowa również jest przygotowana i

przećwiczona, jednak zapał, z jakim Cal ją wygłasza, nie może być udawany. Wierzy w siebie i w to, że będzie dobrym królem albo umrze, starając się takim królem być. – U mego boku powinna zasiadać królowa gotowa poświęcić tyle samo, ile ja, aby utrzymać ład, sprawiedliwość i równowagę.

Dziewczęta biorące udział w Królewskiej Próbie pochylają się do przodu, nie mogąc się doczekać słów, które za chwilę padną z ust następcy tronu. Jednak Evangeline nawet nie drgnie, a jej twarz wykrzywia ohydny uśmiech wyższości. Dom Samosów wydaje się równie spokojny. Brat dziewczyny, Ptolemeusz, powstrzymuje ziewnięcie. „Wiedzą, kto został wybrany”.

– Panno Evangeline.

Nie słysząc stłumionych okrzyków, Evangeline nie okazuje zaskoczenia ani przesadnej radości. Nawet pozostałe dziewczyny, choć rozczarowane, jedynie wzruszają ramionami i z rezygnacją poprawiają się na krzesłach. Wszyscy się domyślali, że tak się to skończy. Przypominam sobie pulchną rodzinę ze Spiralnych Ogrodów i ich narzekanie, że Evangeline Samos i tak ma wygraną w kieszeni. „Mieli rację”.

Pełna chłodnego wdzięku Evangeline płynnym ruchem wstaje z miejsca. Ledwie rzuca okiem na Cala, za to szerokim szyderczym spojrzeniem omiata zawiedzione dziewczyny. Chce, żeby widziały, jak triumfuje. Chce, żeby wszyscy widzieli, na co ją stać. Po jej wargach przewija się cień uśmiechu, gdy jej wzrok ląduje na mnie. Mojej uwadze nie umyka złowrogi błysk jej zębów.

Gdy w końcu się obraca, Cal powtarza wyrecytowaną wcześniej przez brata formułkę:

– W obecności mojego ojca, króla, i szlacheckiego dworu proszę cię, abyś została moją żoną. Pragnę połączyć swój los z twoim, Evangeline Samos. Czy przyjmujesz me oświadczenie?

– Pragnę połączyć swój los z twoim, książę Tyberiaszu – odpowiada głosem zaskakująco wysokim i piskliwym, niepasującym do jej surowego wyglądu. – Przyjmuję.

Wyraźnie zadowolona z siebie siada z powrotem, Cal również wraca na swoje miejsce. Z jego twarzy nie schodzi uśmiech przytwierdzony do ust niczym zbroja do ciała, Evangeline wydaje się jednak nie zwracać na to uwagi.

Nagle czuję na swojej ręce obcą dłoń i paznokcie, które wrzynają mi się w skórę. Z trudem się powstrzymuję, żeby nie podskoczyć na krześle. Evangeline nie porusza się, nadal patrzy prosto przed siebie na ściany pałacu, który pewnego dnia będzie należał do niej. Gdybyśmy były w Palach, dałabym jej w zęby. Palce wpijają się coraz głębiej w moje ciało. Jeśli zrani mnie do krwi, do czerwonej krwi, nasza gra się skończy, zanim na dobre zdąży się zacząć. Evangeline jednak puszcza mnie w ostatnim momencie, zostawiając jedynie siniaki, które pokojówki będą musiały ukryć pod dodatkową warstwą pudru.

– Wejdiesz mi w drogę, a zabiję cię, dziewczuszko od błyskawic – cedzi, uśmiechając się

nieprzerwanie. „Dziewuszek od błyskawic”. To przezwisko naprawdę zaczyna działać mi na nerwy.

Żeby nie pozostawić żadnych wątpliwości, porusza gładką metalową bransoletą, z której w mgnieniu oka wyskakują szpikulce. Ich ostre czubki połyskują niczym spragnione krwi kły dzikiego zwierzęcia. Przełykam ślinę, usiłując nawet nie drgnąć. Evangeline jednak błyskawicznie cofa rękę i kładzie ją z powrotem na swoim kolanie, przybierając pozę niewinnej panny ze Srebrnego rodu. W życiu nie spotkałam osoby, która bardziej zasługiwałaby na to, żeby oberwać łokciem prosto w twarz.

Jedno spojrzenie na zgromadzony tłum wystarczy, aby dostrzec, że dwór nagle sposepniał. Niektóre dziewczęta mają łzy w oczach i sztyletują wzrokiem Evangeline, a nawet mnie. Prawdopodobnie czekały na ten dzień od wielu lat, teraz zaś spotkała je życiowa porażka. Z radością odwołałabym swoje zaręczyny i oddała upragnionego narzeczonego którejś z nich, nie mogę jednak się z tym zdradzić. Muszę wyglądać na szczęśliwą. Muszę *udawać*.

– Choć dzisiejszy wspaniały dzień obfituje w radosne chwile – oświadcza król Tyberiasz, ignorując atmosferę przygnębienia panującą na sali – muszę wam przypomnieć, dlaczego dokonujemy tego wyboru. Moc domu Samos i mojego syna, a także moc jego potomków, będzie prowadzić nasz naród. Wszyscy wiecie, w jak trudnej sytuacji znajduje się królestwo nękanie wojną na północy i wybrykami ekstremistów, wrogów naszego sposobu życia, którzy usiłują zakłócić ład i porządek wewnątrz kraju. Szkarłatna Gwardia może się wydawać nieszkodliwa i mało znacząca dla nas, ale za jej przyczyną sprawy mogą przybrać niebezpieczny obrót dla naszych Czerwonych braci. – Słyszac określenie „bracia”, sporo osób prychnęło drwiąco, ja również.

„Nieszkodliwi i mało znaczący”. Dlaczego więc mnie potrzebują? Dlaczego chcą mnie wykorzystać, skoro Szkarłatna Gwardia nie jest dla nich żadnym problemem? „Król kłamie”, myślę w duchu. Nadal jednak nie wiem, co próbuje ukryć. Być może siłę Gwardii. Być może mnie.

„Prawdopodobnie i jedno, i drugie”. – Jeśli buntownicze nastroje nie zostaną poskromione – ciągnie król – doprowadzą do rozlewu krwi i rozłamu wewnątrz kraju, a do tego nie mogę dopuścić. Musimy utrzymać równowagę. Evangeline i Mareena pomogą tego dokonać dla dobra nas wszystkich.

Po słowach króla przez salę przetacza się pomruk. Niektórzy przytakują skinieniem głowy, inni wyglądają na zezłoszczonych wynikiem Królewskiej Próby, jednak nikt nie wyraża sprzeciwu. Nikt nie protestuje. Nawet gdyby ktoś próbował, nikt by go nie słuchał.

Uśmiechnięty król Tyberiasz kiwa głową. Wygrał i dobrze o tym wie.

– Siła i potęga – kończy. Motto odbija się echem od pałacowych murów, gdy każda obecna na sali osoba je powtarza.

Słowa stają mi w gardle, płaczą język niczym obca mowa. Cał patrzy na mnie, gdy skanduję razem z innymi, chociaż nienawidzę się za to:

– Siła i potęga.

*

Uczta jest dla mnie jednym wielkim pasmem udręki. Patrzę, ale nie widzę, słucham, ale nie słyszę. Nawet jedzenie, góry jedzenia, wydaje się nie mieć smaku. Powinnam się nim opychać, korzystać z najwspanialszego posiłku w swoim dotychczasowym życiu, ale nie potrafię. Nie potrafię nawet wydobyć z siebie głosu, gdy Maven odzywa się do mnie spokojnym szeptem.

– Dobrze ci idzie – dodaje mi otuchy, ale ja próbuję nie zwracać na niego uwagi. Tak samo jak brat nosi na ręce metalową bransoletę krzeszącą ogień. Patrząc na nią, przypominam sobie, kim właściwie jest Maven: potężnym niebezpiecznym Płomiennym, jednym ze Srebrnych.

Siedząc przy kryształowym stole i sącząc złocisty musujący napój, od którego kręci mi się w głowie, czuję się jak zdrajca. „Co jedzą dziś na kolację moi rodzice? Czy w ogóle wiedzą, gdzie jestem? Czy może mama siedzi na werandzie i czeka, aż wrócę do domu?”

Tymczasem tkwię w sali pełnej arystokratów, którzy udusiliby mnie gołymi rękami, gdyby znali prawdę. Nie mówiąc już o członkach rodziny królewskiej, którzy zabiliby mnie, gdyby tylko mogli, i prawdopodobnie pewnego dnia dopną swego. Przerobili mnie: Mare na Mareenę, złodziejkę na szlachciankę, bawełnę na jedwab, *Czerwoną na Srebrną*. Rano byłam służącą, wieczorem jestem księżniczką. „Ile jeszcze czeka mnie zmian? Co jeszcze stracę?”

– Wystarczy już tego – mówi Maven, a jego głos dociera do mnie poprzez gwar biesiady. Książę odsuwa ode mnie fantazyjny kielich i podaje mi szklanekę z wodą.

– Smakował mi ten napój. – Wypijam jednak wodę łąpczywie i czuję, że rozjaśnia mi się w głowie.

Maven kwituje moją uwagę wzruszeniem ramion.

– Podziękujesz mi później.

– Dziękuję – odpowiadam zgryźliwie. Nie zapomniałam, w jaki sposób patrzył na mnie tego ranka, jak gdybym była czymś, co przyczepiło mu się do podeszwy, i należy to jak najszybciej zeszkrobać i wyrzucić. Teraz jednak jego spojrzenie jest łagodniejsze, uważniejsze, bardziej przypomina wzrok Cala.

– Przykro mi, że wcześniej zachowywałem się wobec ciebie nieodpowiednio, Mareeno.

„Mam na imię Mare”.

– Nie wątpię – odburkuję.

– Naprawdę mi przykro – powtarza, nachylając się do mnie. Siedzimy obok siebie przy głównym stole przeznaczonym dla członków rodziny królewskiej. – Chodzi o to, że... zwykle młodszy książę rzeczywiście może wybierać. Jedną z zalet niebycia następcą tronu – dodaje z wymuszonym uśmiechem. „Aha”.

– Nie wiedziałam o tym – mruczę, ponieważ nie za bardzo wiem, co powiedzieć. Być może powinnam mu współczuć, ale jakoś nie potrafię wykrzesać z siebie ani odrobiny współczucia dla księcia.

– No tak, skąd miałybyś wiedzieć. To nie twoja wina.

Obraca głowę w stronę sali biesiadnej i omiata ją szerokim spojrzeniem. Zastanawiam się, czyjej twarzy szuka.

– Czy ona tu jest? – pytam cicho i staram się, aby w moim głosie pobrzmiwała choć nutka skruchy. – Dziewczyna, którą wybrałbyś?

Maven waha się, po czym kręci głową.

– Nie, nie miałem na myśli nikogo konkretnego. Ale mimo to przyjemnie było wiedzieć, że jakikolwiek wybór istnieje, rozumiesz?

„Nie, nie rozumiem. Nigdy nie zaznałam luksusu, jakim jest wybór. I nigdy go nie zaznam”.

– Mój brat to co innego. Od małego wiedział, że nie będzie miał nic do powiedzenia w sprawie swojej przyszłości. Przynajmniej w końcu posmakuję trochę jego losu.

– Ty, książę, i twój brat macie wszystko – szepczę tak żarliwym tonem, jak gdybym odmawiała modlitwę. – Mieszkacie w pałacu, jesteście silni, sprawujecie *władzę*. Nie macie bladego pojęcia o tym, jak smakuje ciężkie życie. Więc wybacz, jeśli nie potrafię się zlitować nad żadnym z was.

Znów najpierw mówię, potem myślę. Gdy to do mnie dociera, dopijam resztę wody, żeby ochłonać, Maven zaś wpatruje się we mnie oziębłe. Jednak po chwili jego rysy łagodnieją, a chłód z jego spojrzenia znika.

– Masz rację, Mare. Nie ma powodu, żeby mi współczuć. – W jego głosie pobrzmiwa rozgoryczenie. Zerka na Cala, a mnie przesywa dreszcz. Cal promienieje niczym słońce, śmiejąc się razem z ojcem. Gdy Maven znów obraca się do mnie, zdobywa się na kolejny uśmiech, ale w jego oczach czai się zdumiewający smutek.

Chociaż staram się ze wszystkich sił, nie potrafię zlekceważyć nagłego przypływu współczucia, które czuję dla zapomnianego księcia. Uczucie to jednak szybko mija, gdy przypominam sobie, kim jest on i kim jestem ja.

Jestem dziewczyną z Czerwonych w gnieździe Srebrnych żmij i nie mogę sobie pozwolić na współczucie dla nikogo, a już na pewno nie dla syna najjadowitszego z gadów.

ROZDZIAŁ 11

Na zakończenie uczyty zebrani wznoszą toasty, kierując kielichy w stronę głównego stołu. Rusza rundka umizgów do króla i jego rodziny – odziani w tęczowe barwy arystokracji wstają po kolei i próbują się wkupić w łaski władców. Wkrótce będę musiała znać ich wszystkich na pamięć, umieć dopasować poszczególne barwy do domów, a nazwy domów do ludzi. Maven szeptem podaje mi ich imiona, choć i tak nie jestem teraz w stanie wszystkich zapamiętać. Z początku ogarnia mnie irytacja, ale dość szybko przysuwam się bliżej księcia, chcąc lepiej słyszeć padające nazwiska.

Ostatni podnosi się wielmożny Samos, a wtedy zapada cisza. Ten mężczyzna wzbudza respekt nawet wśród innych nadludzi. Mimo że jego czarne szaty są proste, obszyte zwykłym jedwabiem, pozbawione kosztownych ozdób czy wspaniałych odznak, niewątpliwie wyczuwa się jego potęgę. Maven nie musi mi mówić, że jest to przedstawiciel najbardziej nobliwego ze Szlachetnych Domów, osoba, przed którą najbardziej trzeba się mieć na baczności.

– Volvo Samos – szepcze Maven. – Głowa domu Samos. Jest właścicielem kopalni żelaza. Każdy karabin na tej wojnie pochodzi z jego włości.

„Nie jest więc zwykłym arystokratą. Jest ważny nie tylko ze względu na posiadane tytuły”.

Volvo wznosi krótki i rzeczowy toast.

– Za moją córkę – rozlega się jego niski, pewny, silny głos. – Przyszłą królową.

– Za Evangeline! – woła Ptolemeusz, zrywając się na nogi z krzesła obok ojca. Toczy po sali wzrokiem, rzucając wyzwanie każdemu, kto ośmieliłby się mu sprzeciwić. Kilka wielmożów i dam wygląda na zirytowanych, a nawet rozgniewanych, podnoszą jednak kielichy razem z pozostałymi, oddając cześć nowej księżniczce. Ich puchary odbijają światło i lśnią niczym gwiazdy w rękach bogów.

Gdy toast zostaje spełniony, królowa Elara i król Tyberiasz wstają i uśmiechają się do tłumnie przybyłych gości. Podnosi się również Cal, za nim Evangeline, Maven, a po chwili wahania także ja. Arystokraci idą w nasze ślady, rozlega się ostry zgrzyt setek krzeseł przesuwanych po marmurowej posadzce. Na szczęście król i królowa jedynie się kłaniają i zaraz potem schodzą z podium, na którym umieszczono główny stół. „Koniec”. Udało mi się przeżyć pierwszy wieczór w pałacu.

Cal ujmuję Evangeline za rękę i prowadzi ją za królewską parą, na końcu zaś idziemy Maven i ja. Gdy młody książę chwyta moją dłoń, jego skóra wydaje mi się zdumiewająco zimna w dotyku.

Srebrni tłoczą się po obu stronach przejścia, obserwują nas w milczeniu. Na niektórych twarzach maluje się ciekawość, inne są przebiegłe, jeszcze inne okrutne, ale każdy fałszywy uśmiech jest niczym przypomnienie: *nie spuszczają nas z oka*. Każdy z nich patrzy również na mnie, szuka wad i niedociągnięć, ja zaś, choć wiję się pod ich spojrzeniami, muszę wytrzymać.

Nie mogę się potknąć. Ani teraz, ani nigdy w przyszłości. Jestem jedną z nich. Jestem wyjątkowa. „Jestem dziełem przypadku. Jestem oszustką. A moje życie zależy od tego, czy zdołam wytrwać w kłamstwie”.

Maven mocniej zaciska palce na mojej dłoni, zmuszając mnie do ostatniego wysiłku.

– Już prawie po wszystkim – szepcze, gdy zbliżamy się do przeciwległego końca sali. – Prawie jesteśmy na miejscu.

Uczucie przytłoczenia mija, gdy zostawiamy za sobą biesiadę i ucztujących, ale wciąż czuję na sobie baczny wzrok kamer. Im bardziej o tym myślę, tym czujniejsze staje się ich spojrzenie, aż w końcu wyczuwam obecność elektrycznych obserwatorów, zanim jeszcze zobaczę charakterystyczne czarne skrzynki. Być może to wynik nowych okoliczności. Może nigdy wcześniej nie miałam do czynienia z tyloma urządzeniami elektrycznymi naraz i tutaj wszyscy czują podobnie do mnie. „A może po prostu pomału wariuję”.

Grupa wartowników czeka w korytarzu, by odprowadzić nas na górę. Co może grozić takim ludziom, jak rodzina królewska? Cal, Maven i król Tyberiasz sprawują władzę nad ogniem. Elara kontroluje *cudze myśli*. Czego mogą się obawiać?

„Powstaniemy. Czerwoni niczym świt”. Przypomina mi się głos Farley, słowa mojego brata, motto Szkarłatnej Gwardii. Zdołali zaatakować stolicę; Palatium może stanowić ich kolejny cel. Ja mogę stać się celem. Farley może obnażyć mnie podczas kolejnej pirackiej transmisji, zdemaskować przed całym światem, aby podważyć autorytet Srebrnych. „Spójrzcie, jak kłamią, spójrzcie na to kłamstwo”, powie, przystawiając moją twarz do kamery i puszczając na oczach wszystkich moją czerwoną krew.

Przez głowę przelatują mi coraz bardziej szalone i przerażające myśli, jedna bardziej dziwaczna od drugiej. „To miejsce już po jednym dniu doprowadza mnie do obłądu”.

– Dobrze poszło – oznajmia Elara, oswobadzając swoją dłoń z uchwytu męża, gdy docieramy do apartamentów. Król zdaje się w ogóle nie zwracać uwagi na szorstki gest żony. – Odprowadźcie dziewczęta do pokoi.

Nie kieruje polecenia do nikogo konkretnego, ale czterech wartowników natychmiast wysuwa się do przodu. Ich oczy lśnią za czarnymi maskami.

– Ja to zrobię – odzywają się jednocześnie Cal i Maven, po czym patrzą na siebie ze zdumieniem. Elara unosi idealnie ukształtowaną brew.

– To byłoby niestosowne.

– Ja odprowadzę Mareenę, a Mavey może towarzyszyć Evangeline – podsuwa szybko Cal. Maven zaciska usta, słysząc przydomek. „Mavey”. Pewnie w ten sposób Cal wołał na brata, gdy ten był jeszcze chłopcem, i zdrobnienie przyłgnęło, na każdym kroku przypominając, kto tu jest młodszy, zawsze w cieniu, zawsze drugi.

Król wzrusza ramionami.

– Zgódź się, Elaro. Dziewczęta powinny się dobrze wyspać, a wartownicy każdą młodą damę przyprawiliby o koszmary – zauważa żartobliwie i chichocząc, wskazuje zamaskowaną obstawę. Mężczyźni nie odpowiadają, milczą jak zakłęci. Nie wiem, czy w ogóle wolno im się odzywać.

Zapada pełna napięcia cisza i po chwili królowa obraca się na pięcie.

– Dobrze. – Jak każda żona nie znosi, gdy mąż kwestionuje jej polecenia, i podobnie jak każda królowa nie znosi, gdy król pokazuje, że ma nad nią władzę. „Fatalne połączenie”.

– Do łóżek – nakazuje monarcha silnym, niedopuszczającym sprzeciwu głosem. Wartownicy zostają przy królewskiej parze, po czym rozdzielają się, gdy król rusza w jedną, a królowa w drugą stronę. Chyba nie śpią w jednej sypialni, ale nie bardzo mnie to dziwi.

– Gdzie właściwie znajduje się mój pokój? – pyta Evangeline, obrzucając Mavena gniewnym spojrzeniem. Po skromnej przyszłej królowej nie został nawet ślad, jej miejsce zajęła przebiegła diablica, którą zdążyłam już poznać.

Maven przełyka ślinę, widząc jej nowe oblicze.

– Uch, tędy, panienko... panno... wielmożna panno. – Służy jej ramieniem, ale ona mija go niedbałym krokiem. – Dobranoc, Cal, dobranoc, Mareeno – wzdycha Maven, spoglądając na mnie nieco dłużej, niż wymaga tego okoliczność.

Potrafię się zdobyć jedynie na pożegnalne skinienie głową. „Mój narzeczony”. Na samą myśl robi mi się niedobrze. Mimo że wydaje się uprzejmy, a nawet sympatyczny, jest *Srebrnym*. Do tego synem Elary, co wróży jeszcze gorzej. Nie przykryją tego ani jego uśmiechy, ani miłe słówka. Cal to taki sam nikczemnik, wychowany na władcę, którego zadaniem jest utrzymanie podziału na świecie.

Odprowadza wzrokiem Evangeline, a jego spojrzenie ślizgające się po znikającej sylwetce dziewczyny z jakiegoś powodu mnie drażni.

– Wytypowałeś rasową czempionkę – mruczę, gdy przyszła królowa odchodzi na tyle daleko, żeby nas nie słyszeć.

Uśmiech znika z twarzy Cala, jego usta zaciskają się i księżę rusza w dół spiralnego korytarza, prowadząc mnie w stronę pokoju. Z trudem dotrzymuję mu kroku, gdy sady przed siebie długimi

susami, on jednak zdaje się tego nie zauważać, tak bardzo jest pogrążony w rozmyślaniach.

W końcu zatrzymuje się i obraca, a jego oczy żarzą się niczym dwa węgle.

– Nikogo nie wytypowałem. Wszyscy o tym wiedzą.

– Przynajmniej wiedziałeś, co cię czeka. Kiedy ja obudziłam się dziś rano, nie miałam nawet chłopaka. – Cał wzdryga się, słysząc moje słowa, ale nie obchodzi mnie to. Nie zamierzam znosić jego uzalania się nad sobą. – A poza tym pewnie pamiętasz, że wszystko przez to, że za jakiś czas zostaniesz królem. Słaba, bo słaba, ale zawsze to jakaś pociecha, prawda?

Z jego gardła wydobywa się zdławiony chichot, w którym jednak nie słyhać wesołości. Twarz mu pochmurnieje. Postępuje krok w moją stronę i mierzy mnie spojrzeniem. Nie przygląda mi się jednak krytycznie, w jego wzroku czai się smutek. Gdzieś z głębi miedzianożółtych oczu spogląda na mnie zagubiony chłopiec czekający na kogoś, kto go uratuje.

– Jesteś bardzo podobna do Mavena – mówi po długiej chwili milczenia, w której moje serce zdążyło przyspieszyć i teraz bije dwukrotnie szybciej.

– Chodzi o zgodę na zaręczyny z osobą, której właściwie się nie zna? Rzeczywiście, to nas łączy.

– Oboje jesteście bardzo bystrzy. – Nie potrafię się powstrzymać, aby nie parsknąć. Cał najwyraźniej nie wie, że od pewnego czasu bezskutecznie próbuję zdać egzamin z matematyki dla czternastolatków. – Znasz się na ludziach, rozumiesz ich, umiesz przejrzeć ich na wylot.

– Oczywiście, zeszłego wieczoru dałam prawdziwy popis. Od razu wiedziałam, że jesteś następcą tronu. – Aż trudno uwierzyć, że poznaliśmy się nie dalej niż poprzedniej nocy. „Tyle może się zmienić w ciągu jednego dnia”.

– Wiedziałaś, że jestem z innego świata.

Zaraża mnie swoim smutkiem, nagle przeszywa mnie dotkliwy żal.

– Teraz role się odwróciły.

Nagle pałac przestaje mi się wydawać bajecznie piękny i wspaniały. Twardy metal i kamień są zbyt surowe, zbyt jasne, nienaturalne, zamykają się wokół mnie niczym pułapka. A do tego bez przerwy przesładuje mnie natrętne buczenie kamer. Nie jest to nawet dźwięk, ale doznanie, które odczuwam pod skórą, w kościach, we krwi. Mój umysł jak gdyby instynktownie poszukuje energii elektrycznej. „Przestań – powtarzam sobie. – Przestań”. Włoski jeżą mi się na rękach, coś gromadzi się pod skórą, jakaś trzaskająca energia, nad którą nie potrafię zapanować. Oczywiście wraca teraz, w chwili kiedy najmniej jej potrzebuję.

To wrażenie jednak mija równie szybko, jak się pojawiło, dźwięk pracujących kamer znów cichnie, przechodząc w jednostajne buczenie, a świat wokół wraca do normy.

– Dobrze się czujesz?

Cał patrzy na mnie, zmieszany.

– Przepraszam – mamroczę, kręcąc głową. – Zamyśliłam się.

Przytakuje skinieniem i wygląda, jak gdyby chciał mnie za coś przeprosić.

– Myślisz o rodzinie?

Jego słowa są niczym policzek. W ostatnich godzinach myśl o najbliższych ani razu nie przeszła mi przez głowę i czuję się przez to okropnie. „Pół dnia w jedwabiach i na królewskich salonach i już zdążyłam się zmienić”.

– Wydałem nakaz zwolnienia ze służby wojskowej dla twoich braci i przyjaciela, wysłałem też strażnika, żeby powiadomił twoich rodziców, gdzie jesteś – ciągnie Cal, chcąc mnie uspokoić. – Nie możemy jednak powiedzieć im wszystkiego.

Mogę sobie jedynie wyobrazić, jakby to wyglądało. „Dzień dobry. Wasza córka jest teraz Srebrną i ma wyjść za mąż za księcia. Nigdy więcej jej nie zobaczycie, ale będzie przysyłać wam pieniądze na utrzymanie. Sprawiedliwa wymiana, prawda?”

– Wiedzą, że dla nas pracujesz i że musisz tu mieszkać, ale nadal myślą, że jesteś służącą. Przynajmniej na razie. Kiedy staniesz się osobą publiczną, będziemy musieli coś wymyślić, żeby jakoś to z nimi załatwić.

– Mogę chociaż do nich napisać? – Listy od Shade’a potrafiły rozjaśnić najbardziej mroczne dni. Może moje dokonywałyby tego samego.

Cal jednak kręci głową.

– Przepraszam, to niemożliwe.

– Tak myślałam.

Wprowadza mnie do pokoju, który błyskawicznie ożywa. Światła włączają się, chyba w reakcji na ruch. Tak samo jak przed chwilą w korytarzu moje zmysły nagle wyostrzają się, a urządzenia elektryczne w najbliższym otoczeniu sprawiają, że odczuwam mrowienie w mózgu. Od razu wiem, iż w moim pokoju są przynajmniej cztery kamery, i wywołuje to we mnie odruch obrzydzenia.

– To dla twojego dobra, żeby cię ochronić. Jeśli ktokolwiek przechwyciłby te listy i dowiedział się o tobie...

– Czy kamery zamontowano tutaj również po to, *żeby mnie ochronić*? – pytam, wskazując ściany. Spojrzenia obiektywów wwiercają mi się w skórę, świdrują mnie na wylot. Doprowadzają mnie do szaleństwa i po tak ciężkim dniu, jak dzisiejszy, to więcej niż mogę znieść. – Siedzę zamknięta w tym koszmarnym pałacu, otoczona murami, strażami i ludźmi, którzy chętnie rozszarpaliby mnie na kawałki, i nawet we własnym pokoju nie mogę mieć chwili spokoju.

Zamiast coś odburknąć, Cal wygląda na zdumionego. Rozgląda się gorączkowo. Kamer nie widać, ale na pewno on również wyczuwa ich obecność. Jak można nie czuć tych przeszywających spojrzeń?

– Mare, tu nie ma żadnych kamer.

Zbywam jego słowa lekceważącym machnięciem. Elektryczne drgania cały czas drażnią mi skórę.

– Nie udawaj idioty. Przecież je czuję.

Teraz Cal wygląda na zupełnie ogłupiałego.

– Czujesz je? Co masz na myśli?

– Ja... – Słowa jednak więzną mi w gardle, gdy dociera do mnie, że on nic nie czuje. Nie ma pojęcia, o czym mówię. W jaki sposób mam mu to wytłumaczyć, jeśli do tej pory sam się nie przekonał, jak to jest? Jak mu powiedzieć, że wyczuwam w powietrzu drgania energii niczym tętno, jak gdyby była to część mnie? Coś jak dodatkowy zmysł? Czy potrafiłby zrozumieć? Czy ktokolwiek mógłby to zrozumieć? – Czy to... nienormalne?

W jego oczach pojawia się dziwny błysk, gdy się namyśla, stara się znaleźć odpowiednie słowa, aby mi powiedzieć, że jestem inna. Nawet tu, między Srebrnymi, jestem odmieńcem.

– Nigdy o czymś podobnym nie słyszałem – mówi w końcu.

Mój głos wydaje się słaby, nawet mnie samej.

– Mam wrażenie, że cała ja i wszystko wokół mnie przestało być normalne.

Otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale po chwili zastanowienia znów je zamyka. Żadne jego zapewnienia nie mogą sprawić, że poczuję się lepiej. Nie może dla mnie zrobić zupełnie nic.

W baśniach ubogie wieśniaczki uśmiechają się promiennie, gdy zostają księżniczkami. Ja w tym momencie wątpię, czy jeszcze kiedyś zdołam przywołać uśmiech na usta.

ROZDZIAŁ 12

Twój rozkład zajęć przedstawia się następująco: 7.30 – śniadanie, 8.00 – protokół, 11.30 – lunch, 13.00 – lekcje, 18.00 – kolacja. Lucas będzie cię odprowadzał na zajęcia. Plan dnia nie podlega dyskusji.

Jej Królewska Wysokość Królowa Elara z domu Merandus

Wiadomość jest krótka i zwięzła, a przy tym niegrzeczna. Kręci mi się w głowie na myśl o lekcjach trwających *pięć godzin*, ponieważ przypomina mi się codzienna mordęga w szkole. Z jękiem rzucam liścik z powrotem na nocny stolik. Jak na złość spada na sam środek smugi złocistego porannego światła.

Tak samo jak wczoraj cicho niczym szept zakradają się do pokoju trzy służące. Piętnaście minut później, po przejściu istnych mąk, jakimi były przymiarki obcisłych skórzanych getrów, drapowanej sukni i innych dziwnych niepraktycznych strojów, decydujemy się na najprostsze rzeczy, które znajduję w szafie pełnej cudactw. Wkładam rozciągliwe, ale solidne czarne spodnie, fioletową kurtkę ze srebrnymi guzikami i wyczyszczone do połysku szare wysokie buty. Jeśli nie liczyć lśniących włosów i makijażu, prawie przypominam dawną siebie.

Lucas czeka pod drzwiami, jedną nogą postukuje w kamienną posadzkę.

- Minuta spóźnienia – oznajmia, gdy wychodzę na korytarz.
- Będiesz niańczył mnie codziennie czy tylko dopóki nie nauczę się tego labiryntu na pamięć? Wyrównuje ze mną krok, taktownie kierując mnie w odpowiednią stronę.
- A jak myślisz?
- Zdaje się, że to początek pięknej przyjaźni, wielmożny Lucasie Samosie.
- Mam podobne odczucia, wielmożna panno.
- Nie nazywaj mnie tak.
- Jak sobie życzysz, wielmożna panno.

W porównaniu z wczorajszą wieczorną ucztą śniadanie wydaje się ubogie. „Mała” jadalnia, z której rozciąga się widok na rzekę, dla mnie jest oczywiście ogromna, jednak stół nakryto dla zaledwie trzech osób. Niestety pozostałymi dwoma biesiadniczkami okazują się Elara i Evangeline,

które w chwili, gdy stoję w drzwiach, prawie kończą swoje porcje sałatek owocowych. Elara ledwo zaszczyca mnie spojrzeniem, za to Evangeline nadrabia za nie obie, wlepiając we mnie badawczy wzrok. Refleksy słoneczne skaczące po jej metalowym wdzianku sprawiają, że jaśniej niczym oślepiająca gwiazda.

– Jedz szybko – mówi królowa, nie podnosząc oczu. – Pani Blonos nie toleruje opieszałości.

Siedząca naprzeciwko mnie Evangeline śmieje się, zasłaniając usta dłonią.

– Nadal uczysz się protokołu?

– A ty nie? – Serce skacze mi z radości na myśl, że nie będę musiała znosić jej obecności podczas zajęć. – Doskonale.

Evangeline lekceważy przytyk i oznajmia drwiąco:

– Tylko dzieci uczą się protokołu.

Ku mojemu zdziwieniu królowa bierze moją stronę.

– Panna Mareena dorastała w okropnych warunkach. Nie wie nic o naszych zwyczajach i oczekiwaniach, którym musi sprostać. Z pewnością rozumiesz jej sytuację, Evangeline?

Przygana, choć wygłoszona spokojnym cichym głosem, zabrzmiała niemal jak groźba. Uśmiech znika z twarzy Evangeline i dziewczyna przytakuje skinieniem głowy, nie wając się spojrzeć królowej w oczy.

– Lunch zostanie dziś podany na Szklanym Tarasie, podejmiemy nim panny, które uczestniczyły w Królewskiej Próbie, oraz ich matki. Postarajcie się nie wyjść na chełpliwe – dodaje Elara, choć mnie nigdy nie przyszłoby do głowy cieszyć się z czyjegoś niepowodzenia. Natomiast Evangeline blednie ze wstydu.

– One nadal tu są? – pytam odruchowo. – Mimo że... nie zostały wybrane?

Elara przytakuje.

– Nasi goście będą u nas bawić przez nadchodzące tygodnie, aby w stosowny sposób uhonorować księcia i uczcić jego zaręczyny. Wyjadą dopiero po Pożegnalnym Balu.

Serce podchodzi mi do gardła i coś ściska mnie w żołądku. Przede mną cała seria wieczorów takich samych jak wczorajszy: tłok, gwar i natarczywe spojrzenia. Zaczną się również pytania, na które będę musiała jakoś odpowiedzieć.

– Cudownie.

– Po balu wyjeżdżamy razem z nimi – ciągnie Elara, manipulując nożem. – Wracamy do stolicy.

Stolica. *Archeon*. Wiem, że rodzina królewska na koniec każdego lata wraca do Pałacu Białego Ognia, i teraz dołączę do ich świty. Będę musiała wyjechać i świat, którego nie pojmuję, stanie się moją jedyną rzeczywistością. Nigdy nie wrócę do domu. „Wiedziałaś o tym – powtarzam sobie – zgodziłaś się na to”. Ale ta myśl wcale nie sprawia, że boli mnie mniej.

Uciekam z powrotem na korytarz i Lucas prowadzi mnie w dół. Maszerując u mojego boku, zerka na mnie i uśmiecha się.

– Masz na twarzy kawałek arbuza.

– Jasne – odburkuję, ocierając usta rękawem.

– Pani Blonos czeka tam. – Wskazuje przeciwległy koniec rozległego holu.

– Czym mnie zaskoczy? Potrafi latać albo wyhodować kwiaty w uszach?

Lucas uśmiecha się, żeby poprawić mi humor.

– Niekoniecznie. Jest Uzdrowicielką. Istnieją dwa rodzaje Uzdrowicieli: ciała i krwi. Wszyscy potomkowie domu Blonos to Uzdrowiciele Krwi, co oznacza, że mogą uleczyć samych siebie. Nawet jeśli zepchnąłbym ją z samego czubka Palatium i tak wyszłaby z tego bez szwanku.

Chciałabym przeprowadzić kiedyś taki eksperyment, ale nie mówię o tym głośno.

– Nigdy wcześniej nie słyszałam o Uzdrowicielach Krwi.

– Nic dziwnego, nie mogą walczyć na arenach. Po prostu nie ma sensu, żeby stawali z kimkolwiek do pojedynku.

Super. Kolejni niepokonani Srebrni.

– Jeśli więc będę miała, hmm, napad...

Lucas łagodnieje, rozumiejąc, co usiłuję powiedzieć.

– Nic jej się nie stanie. Chociaż z zasłon w sali...

– Dlatego mi ją przydzielili. Ponieważ jestem niebezpieczna.

Lucas jednak kręci głową.

– Panno Tytaniusz, wysłano cię do niej, ponieważ masz fatalną postawę i jesz jak prosię. Bess Blonos nauczy cię, jak być *prawdziwą damą*, ale nikt nie będzie miał ci za złe, jeśli parę razy ją porazisz.

„Jak być prawdziwą damą... To będzie straszne”.

Lucas stuka do drzwi, a ja się wzdrygam. Drzwi otwierają się bezgłośnie na dobrze naoliwionych zawiasach, ukazując zalane słońcem pomieszczenie.

– Wrócę po ciebie na lunch – zapowiada Lucas. Nie ruszam się, nogi mam jak z ołowiu, ale mój towarzysz delikatnie popycha mnie naprzód do budzącej postrach sali.

Drzwi zamykają się, odcinając mnie od korytarza – jedynej drogi ratunku. Pokój jest wytworny, ale prosty, nie ma w nim nic poza szklaną ścianą okna. Wyczuwam charakterystyczne drganie, brzęczenie kamer i świateł. *Energia elektryczna* wibruje w powietrzu, niemal je podpalając. Jestem pewna, że królowa mnie obserwuje, licząc, iż będzie miała niezły ubaw z moich wysiłków zmierzających do nabrania ogłady.

– Dzień dobry? – mówię i oczekuję na odpowiedź, która nie nadchodzi.

Podchodzę do szklanej ściany i wyglądam na zewnątrz. Ze zdumieniem stwierdzam, że okno wychodzi nie na dziedzińiec czy kolejny cudowny ogród, ale na inne ogromne białe pomieszczenie.

Podłoga tego miejsca znajduje się siedem pięter poniżej mojego, a okala ją bieżnia. Pośrodku sali porusza się i obraca dziwne wirujące wokół własnej osi urządzenie o długich metalowych ramionach. Ubrani w kombinezony mężczyźni i kobiety robią uniki, uciekając przed wirującą maszyną. Urządzenie nabiera prędkości, kręci się coraz szybciej, dopóki nie zostaje tylko dwóch zawodników. Są szybcy, uchylają się i odskakują lekko i zwinnie. Przy każdej zmianie kierunku maszyna przyspiesza, aż po określonej liczbie rund w końcu zwalnia i zatrzymuje się. „Pokonali ją. Pewnie to jakiś trening strażników albo wartowników”.

Kiedy jednak dwóch uczestników szkolenia zaczyna ćwiczenie w strzelaniu do celu, uświadamiam sobie, że nie są to żadni strażnicy. Obydwaj mężczyźni miotają jaskrawoczerwonymi pociskami ognia w latające kule, które wybuchają w zderzeniu z płonącymi pociskami. Każdy strzał idealnie sięga celu i nawet patrząc z góry, poznaję te uśmiechnięte twarze. „Cal i Maven”.

Tym więc zajmują się w ciągu dnia. Nie uczą się, jak rządzić, jak być królem czy dobrym możnowładcą, ale szkolą się do walki. Cal i Maven to śmiertelnie niebezpieczne istoty, żołnierze. Ale ich walka nie toczy się jedynie na linii frontu. Również tutaj, w pałacu, podczas transmisji telewizyjnych, a także w sercach i umysłach poddanych. Będą rządzić nie tylko dlatego, że mają prawo do tronu, ale także dlatego, że są potężni. „Siła i potęga”. Tylko to wzbudza respekt wśród Srebrnych i tylko tyle wystarczy, żeby całą resztę zniewolić.

Po nich do ćwiczenia przystępuje Evangeline. Gdy kule wzbijają się do góry, wypuszcza serię metalowych strzał, które jedna po drugiej rozłupują ruchome cele. Nic dziwnego, że śmiała się ze mnie i z moich lekcji protokołu. Podczas gdy ja uczę się, jak ładnie jeść, ona uczy się zabijać.

– Podoba ci się pokaz, panno Mareeno? – rozlega się za mną piskliwy głos. Obracam się, czując w ciele lekkie mrowienie ze zdenerwowania. To, co widzę, wcale mnie nie uspokaja.

Pani Blonos wygląda strasznie i tylko dlatego, że nabrałam już trochę ogłady, udaje mi się powstrzymać od rozdziawienia ust. „Uzdrowicielka Krwi potrafi sama siebie uzdrowić”. Teraz rozumiem, co to oznacza.

Pewnie przekroczyła pięćdziesiątkę, jest starsza od mojej matki, skórę jednak ma gładką i dziwnie napiętą, jak gdyby siłą naciągniętą na kości. Jej włosy są śnieżnobiałe, zaczesane do tyłu, a łukowate brwi na pozbawionym zmarszczek czole układają się w wyraz nieustannego zdziwienia. Wszystko w jej wyglądzie jest sztuczne, począwszy od zbyt pełnych ust, a na ostrym, nienaturalnie ukształtowanym nosie skończywszy. Jedynie ciemnoszare oczy wyglądają na żywe. Reszta, uświadamiam sobie, jest *nieprawdziwa*. Dzięki swojej mocy potrafiła się uzdrowić, a raczej zmienić

w tę potworną żywą lalkę, i wszystko po to, żeby wyglądać młodziej, ładniej, *lepiej*.

– Przepraszam – wykrztuszam z siebie w końcu – przyszłam i nie było nikogo...

– Przyglądałam się – ucina krótko, od początku darząc mnie głęboką niechęcią. – Trzymasz się prosto jak trzcina na wietrze.

Chwyta mnie za ramiona i odciąga je do tyłu, zmuszając mnie, żebym się wyprężyła.

– Nazywam się Bess Blonos i spróbuję uczynić z ciebie damę. Pewnego dnia będziesz księżniczką i nie możemy pozwolić, żebyś zachowywała się jak dzikuska, prawda?

Dzikuska. Przez ułamek chwili mam ochotę plunąć tej głupiej kobiecie w twarz. „Ale co dalej? Co by mi to dało? Tylko udowodniłabym, że ma rację”. Na dodatek dociera do mnie, iż jej potrzebuję. Dzięki jej lekcjom uniknę potknięć, a przede wszystkim – *przeżyję*.

– Prawda – rozbrzmiewa głucho mój głos. – Nie możemy.

*

Dokładnie trzy i pół godziny później pani Blonos wypuszcza mnie ze swoich szponów i wracam pod opiekę Lucasa. Bolą mnie plecy od nauki dobrej postawy, ćwiczeń odpowiedniego siadania, wstawania, chodzenia, a nawet spania („na plecach, ręce wzdłuż boków, nieruchomo”), ale to nic w porównaniu z wysiłkiem umysłowym, do którego mnie zmusiła. Wbiła mi do głowy zasady obowiązujące na dworze, faszerowała nazwiskami, regułami, etykietami. W ciągu kilku godzin przesłam intensywny kurs wszystkiego, co powinna wiedzieć młoda arystokratka. Zaczynam pomалу pojmować hierarchię Szlachetnych Domów, ale jestem przekonana, że i tak coś poplączę. Zdołałam zaledwie liznąć nieco protokołu, przynajmniej jednak idąc na kolejne idiotyczne przyjęcie królowej, wiem choć trochę, jak się zachowywać.

Szklany Taras leży stosunkowo blisko, tylko dwa piętra niżej i korytarz dalej, nie zostaje mi zatem zbyt wiele czasu na to, żeby zebrać się w sobie przed ponownym spotkaniem z Elarą i Evangeline. Tym razem, gdy przechodzę przez drzwi, wita mnie orzeźwiający podmuch świeżego powietrza. Po raz pierwszy odkąd zostałam Mareeną, przebywam na wolnym powietrzu i teraz, wdychając zapach wiatru i wystawiając twarz do ciepłych promieni słońca, czuję się znów jak Mare. Gdy zamknę oczy, mogę udawać, że moje życie się nie zmieniło, jest takie same jak dawniej. „Ale to nieprawda”.

W przeciwieństwie do sali lekcyjnej pani Blonos Szklany Taras jest bogato zdobiony i okazuje się godny swojego miana. Nad nami rozciąga się wsparty na przezroczystych, mistrzowsko oszlifowanych kolumnach szklany dach rozszczepiający światło słońca na milion roztańczonych barwnych promieni pasujących do tęczy sukien zebranych kobiet. Wygląda przepięknie i sztucznie, podobnie jak wszystko inne w świecie Srebrnych.

Zanim zdążę chwilę odetchnąć, podchodzą do mnie dwie dziewczyny. Na ich twarzach goszczą

udawane i oziębłe uśmiechy, ich spojrzenia są równie chłodne. Patrząc na barwy ich strojów (jedna ma na sobie granat i czerwień, druga czerni), zgaduję, że należą do domów Iral i Haven. „Jedwabiści i Cieniści”, przypominam sobie ich umiejętności, o których mówiła na lekcji pani Blonos.

– Panno Mareeno – odzywają się jednocześnie młode damy i sztywno się kłaniają. Robię to samo, pochylając głowę tak, jak pokazywała mi nauczycielka.

– Jestem Sonia z domu Iral – mówi pierwsza, dumnie prostując kark. Ruchy ma sprężyste i kocie. „Jedwabiści są szybcy, cisi i zwinni, doskonale utrzymują równowagę”.

– A ja jestem Elane z domu Haven – dodaje druga, ścisząc głos niemal do szeptu. Sonia ma ciemną, mocno opaloną skórę i czarne włosy, natomiast bladą twarz Elane okalają lśniące rude loki. Plamki słońca mieniące się na skórze dziewczyny otaczają jej postać świetlistą aureolą i nadają cerze nieskazitelny wygląd. „Cienista potrafi zaginać promienie światła”. – Chciałyśmy cię powitać.

Jednak ich dwuznaczne uśmiechy i zwężone oczy sprawiają, że przywitanie wcale nie wydaje się serdeczne.

– Dziękuję. To bardzo miło z waszej strony. – Odchrząkuję, żeby wzmocnić głos, co nie uchodzi uwadze młodych dam, które wymieniają znaczące spojrzenia. – Wy również brałyście udział w Królewskiej Próbie? – pytam szybko, w nadziei że odwrócę ich uwagę od moich gaf.

To pytanie zdaje się tylko je rozsierdzać. Sonia krzyżuje ramiona, ukazując ostre paznokcie w kolorze żelaza.

– Brałyśmy. Jak widać miałyśmy mniej szczęścia niż ty czy Evangeline.

– Przykro mi... – wrywa mi się. „Mareena nie przepraszałyby”. – To znaczy, wiecie, że nie miałam zamiaru...

– To, jakie masz zamiary, dopiero się okaże – mruczy Sonia, która z każdą sekundą coraz bardziej przypomina kota. Gdy się obraca i pstryka palcami, jej paznokcie ocierają się o siebie niczym dwa pilniki, a ja się wzdrygam. – Babciu, podejdz, proszę, poznać pannę Mareenę.

„Babcia”. Z mojej piersi niemalże dobywa się westchnienie ulgi na myśl o tym, że dobrotliwa matrona, która przydrepcze, uratuje mnie przed tymi zjadliwymi pannicami. Bardzo się jednak myślę.

Zamiast pomarszczonej staruszki staję oko w oko z onieśmielającą kobietą twardą jak stal i pochmurną. Podobnie jak Sonia ma ciemną karnację i włosy, choć jej fryzurę przetykają pojedyncze srebrne pasma. Mimo że ma swoje lata, jej brązowe oczy iskrzą się życiem.

– Panno Mareeno, poznaj moją babcię, panią Arę, głowę domu Iral. – Sonia przedstawia nas, a z jej ust nie schodzi dwuznaczny uśmiešek. Starsza kobieta mierzy mnie wzrokiem jeszcze bardziej przeszywającym niż spojrzenia kamer. – Być może znasz ją pod innym imieniem jako Panterę?

– Pantera? Raczej nie...

Sonia jednak ciągnie i z przyjemnością obserwuje, jak wiję się pod spojrzeniem jej babci.

– Wiele lat temu, gdy działania wojenne zaczęto prowadzić z mniejszą intensywnością, agenci wywiadu stali się ważniejsi niż żołnierze. Pantera była najlepsza z nich.

„Szpieg. Stoję naprzeciwko szpiega”.

Zmuszam się do uśmiechu, rozpaczliwie usiłując zatuszować strach. Dłonie zaczynają mi się pocić i mam nadzieję, że nie będę musiała podać jej ręki na powitanie.

– Bardzo mi miło panią poznać.

Ara wita mnie zwyczajnym skinieniem głowy.

– Znałam twojego ojca, Mareeno. I twoją matkę.

– Bardzo za nimi tęsknię – odpowiadam, chcąc ją jakoś obłaskawić.

Pantera jednak wygląda na zdumioną i przekrzywia głowę. Przez ułamek sekundy widzę w jej oczach tysiące sekretów, które posiadała podczas swojej szpiegowskiej kariery.

– Pamiętasz ich? – dopytuje, jak gdyby instynktownie wyczuła kłamstwo.

Głos zaczyna mi drżeć, muszę jednak odpowiedzieć, kłamać dalej.

– Nie, ale tęsknię za tym, żeby mieć rodziców. – Przed oczami stają mi mama i tata, natychmiast jednak odsuwam ich obraz od siebie. Ostatnią rzeczą, o której mogę teraz myśleć, jest moja Czerwona przeszłość. – Bardzo bym chciała, aby byli przy mnie i pomogli mi to wszystko zrozumieć.

– Hmm. – Pantera namyśla się, ponownie świdrując mnie spojrzeniem. Jej podejrzliwość sprawia, że mam ochotę rzucić się z balkonu. – Twój ojciec miał niebieskie oczy, twoja matka również.

„A ja mam brązowe”.

– Różnię się od nich pod wieloma względami, których na razie jeszcze nie pojmuję – wykrztuszam, w nadziei że to wyjaśnienie ją zadowoli.

Choć raz obecność królowej staje się dla mnie wybawieniem.

– Usiądziemy, drogie panie? – pyta, a jej głos wybija się ponad gwar rozmów. Dzięki temu mogę opuścić towarzystwo Ary, Soni oraz cichej Elane i udać się na swoje miejsce, gdzie wydaję ciche westchnienie ulgi.

W połowie lunchu znów zaczyna ogarniać mnie spokój. Zwracałam się do wszystkich odpowiednio i zgodnie z poleceniem odzywałam się tylko tyle, ile musiałam. Evangeline mówiła za nas obie, racząc kobiety zapewnieniami o swojej „dozgonnej” miłości do Cala i o tym, jak bardzo zaszczycona czuje się jego wyborem. Spodziewałam się, że pozostałe mniej fortunne kandydatki skrzykną się i uduszą ją gołymi rękami, jednak ku mojemu zmartwieniu nie zrobiły tego. Jedynie babcia Iral i Sonia zdawały się w ogóle zauważać moją obecność, chociaż nie kontynuowały przesłuchania. „Na pewno jednak kiedyś nastąpi ciąg dalszy”.

Gdy po zakończonym lunchu przemierzam korytarze w drodze na kolejne zajęcia, nagle zza

jednego z zakrętów wyłania się Maven. Jestem tak dumna z tego, że z powodzeniem przebrnęłam przez lunch, iż widok księcia w ogóle mnie nie drażni. Prawdę mówiąc, odczuwam nawet lekką ulgę i pozwalam sobie na to, aby choć na chwilę przestać odgrywać rolę oziębłej damy. Maven uśmiecha się i kilkoma długimi krokami pokonuje dzielący nas dystans.

– Żyjesz? – pyta. W porównaniu z potomkiniami domu Iral wydaje się przyjazny niczym szczeniak.

Nie potrafię powstrzymać uśmiechu.

– Powinniście odesłać panią Iral z powrotem na wojnę. Lakelandczycy poddadzą się góra po tygodniu.

Z jego piersi dobywa się głuchy śmiech.

– To prawdziwa hetera. Najwyraźniej nie dociera do niej, że nie jest już na służbie. Rozmawiała z tobą?

– Raczej prowadziła przesłuchanie. Chyba jest zła, że pokonałam jej wnuczkę.

W oczach Mavena dostrzegam strach i doskonale go rozumiem. „Jeśli Pantera zacznie węszyć wokół mnie...”

– Nie powinna cię niepokoić – mruczy. – Powiadomię matkę i ona się tym zajmie.

Chociaż ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzę, jest jego pomoc, nie widzę innego wyjścia z tej sytuacji. Kobieta pokroju Ary z łatwością mogłaby dostrzec luki w mojej historii, a wtedy byłabym skończona.

– Dzięki, to by... dużo ułatwiło.

Dostrzegam, że Maven przebrał się z munduru w swobodny strój dostosowany do półoficjalnych okazji. Pokrzepia mnie myśl, iż nie tylko ja wolę zwykłe ubrania. Nie mogę jednak pozwolić, aby jego zachowanie uspiło moją czujność. „Jest jednym z nich. Nie wolno mi o tym zapomnieć”.

– Skończyłaś na dzisiaj? – pyta, a jego twarz rozchmurza się. – Mógłbym cię oprowadzić po pałacu, jeśli chcesz.

– Nie – odpowiadam szybko. Maven poważnieje i marszczy brwi, co porusza mnie równie mocno, jak jego wcześniejszy uśmiech. – Przede mną jeszcze lekcje – dodaję, żeby złagodzić cios. Właściwie nie wiem, dlaczego obchodzą mnie jego uczucia. – Twoja matka uwielbia harmonogramy.

Księżę przytakuje skinieniem głowy i wygląda, jak gdyby nieco się rozpogodził.

– To prawda. Cóż, nie będę cię zatrzymywał.

Delikatnie ujmuje mnie za rękę. Zimno, które wcześniej czułam, dotykając jego dłoni, zniknęło, a jego miejsce zajęło przyjemne ciepło. Zanim mam szansę cofnąć rękę, Maven odchodzi.

Lucas daje mi chwilę na ochłonięcie, po czym zauważa:

– Wiesz, doszlibyśmy do celu o wiele szybciej, gdybyś ruszyła się z miejsca.

– Zamknij się, Lucas.

ROZDZIAŁ 13

Mój kolejny nauczyciel czeka na mnie w klasie zavalonej od podłogi po sam sufit stosami książek. Nigdy wcześniej nie widziałam tylu książek naraz, nie przypuszczałam nawet, że tyle *istnieje*. Wydają się stare i absolutnie bezcenne. Pomimo mojej niechęci do szkoły i wszelkiego rodzaju opasłych tomów ciągnie mnie do tych pożółkłych stron. Tytuły i kartki są jednak zapisane w niezrozumiałym dla mnie języku i pewnie nigdy nie pojmę sensu, jaki kryje się w tej plątanie znaków.

Równie intrygujące jak książki są zawieszona na ścianie mapy królestwa i innych krain, dawnych i obecnych. W przeciwległym końcu sali wisi oprawiona w ramy i ukryta za szybą olbrzymia kolorowa mapa złożona z kilku osobnych kart. Jest co najmniej dwa razy większa ode mnie i przykuwa uwagę najbardziej ze wszystkich przedmiotów znajdujących się w klasie. Wyblakła i pomarszczona, poznaczona czerwonymi liniami granic, niebieskimi szlaczkami wybrzeży, zielonymi plamami lasów i żółtymi cętkami miast. To dawny świat, świat, który przeminął, ze starymi nazwami i starymi granicami, z których nie ma już pożytku.

– Dziwne uczucie patrzeć na to, jaki kiedyś był świat – rozlega się głos nauczyciela, który wyłania się zza sterty książek. Żółte szaty, przebarwione i spłowiałe ze starości, sprawiają, że ona sam wygląda niczym karta wyjęta z jednej z książek. – Potrafisz pokazać, gdzie się znajdujemy?

Same rozmiary mapy sprawiają, że nerwowo przełykam ślinę, ale jestem pewna, iż to kolejny ze sprawdzianów, które napotykam tu na każdym kroku.

– Mogę spróbować.

„Norta leży na północnym wschodzie. Pale leżą nad rzeką Capital, a rzeka wpada do morza”. Po minucie mozolnych poszukiwań w końcu odnajduję rzekę i odnogę w pobliżu mojej wioski.

– Tutaj – mówię, wskazując położony odrobinę wyżej punkt, w którym – jak przypuszczam – może znajdować się Summerton.

Mężczyzna przytakuje skinieniem głowy zadowolony, że nie trafiła mu się skończona idiotka.

– Poznajesz jeszcze jakieś miejsca?

Jednak podobnie jak książki oznaczenia na mapie napisano w nieznanym języku.

– Nie potrafię tego przeczytać.

– Nie pytałem, czy potrafisz przeczytać – odpowiada nauczyciel w dalszym ciągu uprzejmym tonem. – Poza tym słowa mogą kłamać. Spójrz poza nie.

Wzdycham i zmuszam się, aby jeszcze raz popatrzeć na mapę. Nigdy nie byłam dobrą uczennicą i ten człowiek niedługo się o tym przekona. Jednak o dziwo podoba mi się to zadanie. Wpatrywanie się w mapę, wyszukiwanie znanych charakterystycznych kształtów.

– To może być Wielka Zatoka – mruczę w końcu, pokazując niebieską plamę przy zakrzywionym przylądku.

– Zgadza się – przytakuje nauczyciel, a wraz z uśmiechem na jego twarzy pojawiają się bruzdy. Zmarszczki wokół oczu pogłębiają się, podkreślając jego wiek. – Teraz to miasto nazywa się Delphie – dodaje, wskazując miejscowość na południu. – A tutaj jest Archeon.

Kładzie palec nad rzeką Capital, kilka kilometrów na północ od miasta, które wydaje się największe na mapie, największe w całym kraju za dawnych czasów. „Ruiny”. Słyszałam tę nazwę wymawianą szeptem przez starsze dzieci, wspominał ją również mój brat Shade. „Miasto Popiołów, Gruzowisko”, mówił. Dreszcz przechodzi mi po plecach na myśl o miejscu, nad którym nadal unoszą się dym i mrok pozostałe po wojnie sprzed tysiąca lat. „Czy nasz świat również będzie tak wyglądał, jeśli wojna się nie skończy?”

Nauczyciel cofa się i daje mi czas na przemyślenia. Jego metody nauczania są bardzo dziwne: jak tak dalej pójdzie, moim jedynym zadaniem będzie gapienie się przez cztery godziny na ścianę.

Nagle jednak moja uwaga koncentruje się na buczeniu kamer. A raczej na jego braku. Przez cały dzień czułam na sobie ciężar elektrycznych spojrzeń i zdążyłam już do nich tak bardzo przywyknąć, że przestałam zwracać na nie uwagę. Pomyślałam o nich dopiero teraz, kiedy przestałam je wyczuwać. „Zniknęły”. Czuję pulsowanie energii wywołane zapalonymi lampami, ale nie wyczuwam kamer. Ich spojrzeń. Elara nie widzi mnie tutaj.

– Dlaczego nikt nas nie obserwuje?

Mężczyzna bacznie mi się przygląda.

– Zatem istnieje różnica – mruczy. Nie wiem, co ma na myśli, i doprowadza mnie to do szału.

– *Dlaczego?*

– Mare, mam za zadanie nauczyć cię historii, nauczyć cię, jak być Srebrną i, no tak, jak być *przydatną* – mówi, a jego twarz wykrzywia się w kwaśnym grymasie.

Wpatruję się w niego oszołomiona. Przeszywa mnie lodowaty dreszcz strachu.

– Nazywam się Mareena. – Nauczyciel zbywa jednak moje nieudolne tłumaczenia machnięciem ręki.

– Ale zamierzam również spróbować zrozumieć, jak to się stało, że nabyłaś swoje umiejętności, i

na jakiej zasadzie one działają.

– Nabyłam swoje umiejętności, ponieważ... ponieważ jestem Srebrną. Umiejętności moich rodziców połączyły się... mój ojciec był Niwecznikiem, a matka Burzowcem – jąkam się, płacząc w wyjaśnieniach, które wbijała mi do głowy Elara. – Jestem Srebrną, proszę pana.

Ku mojemu przerażeniu nauczyciel kręci głową.

– Nie, nie jesteś Srebrną, Mare Barrow, i nigdy nie wolno ci o tym zapomnieć.

„On wie. Jestem skończona. Po wszystkim”. Powinnam błagać, zaklinać, żeby nie wyjawiał nikomu mojej tajemnicy, ale słowa więzną mi w gardle. Zbliża się mój kres, a ja nie potrafię nawet otworzyć ust, aby temu zapobiec.

– Nie musisz się obawiać – ciągnie, widząc, co się ze mną dzieje. – Nie zamierzam nikogo informować o twoich *korzeniach*.

Ulga, którą odczuwam, szybko przemienia się w kolejną obawę.

– Dlaczego nie? Czego ode mnie chcesz?

– Jestem przede wszystkim człowiekiem ciekawym. Kiedy zatem pojawiłaś się na Królewskiej Próbie jako Czerwona służąca, a wyszłaś z niej jako cudem odnaleziona Srebrna szlachcianka, wzbudziło to moją ciekawość.

– To dlatego nie ma tu żadnych kamer? – obruszam się, odsuwając się od nauczyciela. Zaciskam pięści i marzę, żeby pojawiła się błyskawica, która mnie ochroni przed tym człowiekiem. – Żeby nie pozostał żaden ślad po twoich *badaniach* nade mną?

– Nie ma tu żadnych kamer, ponieważ w mojej mocy jest je wyłączyć.

Pojawia się we mnie iskierka nadziei zaskakująca niczym światełko migoczące w absolutnych ciemnościach.

– Jaką masz moc? – pytam drżącym głosem. „Może jest taki jak ja”.

– Mare, kiedy Srebrny mówi o mocy, ma na myśli *potęgę, siłę*. Umiejętność to określenie na te wszystkie głupie sztuczki, które potrafimy robić. – „Głupie sztuczki”. Takie jak łamanie drugiego człowieka na pół albo topienie go na samym środku miejskiego rynku. – Mówię o tym, że moja siostra była kiedyś królową i że dzięki temu nadal tu coś znaczę.

– Pani Blonos nie nauczyła mnie tego.

Mężczyzna chichocze.

– Pewnie dlatego, że pani Blonos uczy cię bzdur. Ja nie zajmuję się bzdurami.

– Skoro więc królowa *była* twoją siostrą, to ty jesteś...

– Julian Jacos, do usług. – Składa mi żartobliwie niski ukłon. – Głowa domu Jacos, spadkobierca majątku składającego się z kilku starych ksiąg. Moją siostrą była zmarła królowa Coriane, a ksiązę Tyberiasz Siódmy, nazywany przez nas Calem, jest moim siostrzeńcem.

Teraz, gdy to mówi, zaczynam dostrzegać pewne podobieństwo. Cal ma włosy i karnację po ojcu, ale łagodny wyraz twarzy i ciepło widoczne w spojrzeniu musiał odziedziczyć po matce.

– Nie stanę się więc jakimś eksperymentem naukowym przeprowadzanym na polecenie królowej?
– pytam, nadal nieufna.

Julian zamiast się obrazić, śmieje w głos.

– Moja droga, królowa niczego nie pragnie bardziej niż tego, żeby się ciebie pozbyć. Badanie twojej natury, okazanie ci pomocy, byś mogła ją zrozumieć, to *ostatnia* rzecz, której Elara sobie życzy.

– Ale ty i tak zamierzasz to zrobić?

W jego oczach połyskuje coś, co przypomina gniew.

– Wpływy królowej nie sięgają tak daleko, jakby chciała. Pragnę się dowiedzieć, kim jesteś, i jestem pewien, że ty również tego chcesz.

Jeszcze chwilę wcześniej umierałam z przerażenia, teraz zaś umieram z ciekawości.

– Oczywiście, że chcę.

– Tak myślałem. – Uśmiecha się do mnie zza stosu ksiąg. – Przykro mi to mówić, ale muszę również wykonywać zadanie, które mi powierzono, czyli przygotować cię do dnia, w którym wyjdiesz z cienia.

Mina mi rzędzie, przypominam sobie słowa, które Cal wypowiedział w sali tronowej. „Będziesz ich bohaterką. Srebrną z urodzenia, Czerwoną z usposobienia”.

– Chcą mnie wykorzystać do zdławienia buntu. W jakiś sposób.

– Tak, mój drogi szwagier i jego królowa uważają, że możesz tego dokonać, jeśli odpowiednio się tobą pokieruje. – Każde jego słowo ocieka goryczą.

– To idiotyczny pomysł i niemożliwy do wykonania. Niczego nie będę potrafiła zrobić, a wtedy...
– głos mi się załamuje. „Wtedy mnie zabiją”.

Julian nadąża za moim tokiem myślenia.

– Mylisz się, Mare. Nie pojmujesz, jaką teraz masz władzę, ile od ciebie zależy. – Ciasno splata dłonie za plecami. – Szkarłatna Gwardia jest dla większości zbyt radykalna, chcą zbyt wiele w zbyt szybkim tempie. Ty jednak jesteś zmianą kontrolowaną, kimś, komu ludzie mogą zaufać. Jesteś kroplą, która draży skałę i która jest w stanie ugasić rewolucyjny ogień kilkoma przemówieniami i uśmiechami. Możesz przemawiać do Czerwonych, powiedzieć im, jak szlachetni, jak życzliwi, jak *dobrzy* są król i Srebrni. Możesz się porozumieć z uciśnionym ludem, wśród którego się wychowałaś. Możesz także przekonać tych Srebrnych, którzy kwestionują rządy króla i mają wątpliwości. A wtedy świat pozostanie taki sam.

Ze zdumieniem zauważam, że Julian wydaje się zniechęcony tą wizją. Nie słysząc buczenia

kamer, zapominam się i na mojej twarzy pojawia się szyderczy uśmiech.

– A ty tego nie chcesz? Jesteś Srebrnym, powinieneś *nienawidzić* Szkarłatnej Gwardii... i mnie.

– Uznawanie wszystkich Srebrnych za złych jest taką samą niesprawiedliwością jak uznawanie Czerwonych za gorszych – oświadcza poważnie. – To, co mój lud wyrządza tobie i twojemu ludowi, jest zaprzeczeniem podstawowych zasad człowieczeństwa. Wykorzystujemy was, nie pozwalamy wam się wyrwać z zaklętego kręgu biedy i śmierci tylko dlatego, że uważamy was za *innych*. To z gruntu *niesprawiedliwe i złe*. I jak przyzna każdy badacz historii, to nie może się dobrze skończyć.

– Ale my jesteśmy inni. – Wystarczyło spędzić dzień w ich świecie, żebym się o tym przekonała.

– Nie jesteśmy sobie równi.

Julian pochyla się, patrzy mi głęboko w oczy.

– Przede mną stoi dowód na to, że się mylisz.

„Przed tobą, Julianie, stoi dziwoląg”.

– Pozwolisz mi dowieść, że się mylisz, Mare?

– I co to da? I tak nic się nie zmieni.

Julian wzdycha z irytacją. Przeczesuje palcami rzednące orzechowe włosy.

– Od setek lat Srebrni stąpali po ziemi niczym żywi bogowie, a Czerwoni uwijali się u ich stóp jak insekty. Dopóki nie zjawiałaś się ty. Jeżeli tego nie można nazwać zmianą, to sam już nie wiem, co można nią nazwać.

„Pomoże mi przetrwać w pałacu. A może nawet przeżyć”.

– Jaki więc masz plan?

*

Moje dni toczą się utartym rytmem zgodnie z tym samym grafikiem. Protokół rano, lekcje po południu, a między nimi lunche i kolacje, w których biorę udział pod okiem Elary. Pantera i Sonia wciąż wydają się przyglądać mi nieufnie, ale nie odezwały się do mnie od pierwszego spotkania. Pomoc Mavena chyba podziękowała, choć przyznaję to z niechęcią.

Podczas następnego wspólnego posiłku, tym razem wydanego w prywatnej jadalni królowej, panie z domu Iral zupełnie ignorują moją obecność. Pomimo lekcji protokołu uroczysty lunch w dalszym ciągu jest dla mnie przytłaczającym wydarzeniem i gorączkowo usiłuję przypomnieć sobie, czego się nauczyłam. „Osanos, Wodniaki, kolory niebieski i zielony. Welle, Strażnicy Zieleni, zielony i złoty. Lerolan, Niweczniczy, pomarańczowy i czerwony. Rhambos, Tyros, Nornus, Iral i inni”. Nie mam pojęcia, jak ktokolwiek może to wszystko spamiętać.

Jak zwykle siedzę obok Evangeline. Widok metalowych sztuców na stole niezmiennie napawa mnie niepokojem, ponieważ doskonale wiem, że każdy z nich w rękach bezdusznej przyszłej królowej może się zamienić w śmiercionośną broń. Za każdym razem, gdy podczas posiłku chwytą

nóż, moje ciało się napręża w oczekiwaniu na cios. Elara oczywiście potrafi przejrzeć moje myśli, ale z uśmiechem na ustach podtrzymuje konwersację przy stole. To może nawet gorsze od obecności Evangeline – świadomość, że królowa czerpie przyjemność z obserwowania naszej cichej wojny.

– Jak się czujesz w Palatium Słońca, panno Tytaniusz? – pyta dziewczyna siedząca naprzeciwko mnie: „Atara, dom Viper, zielony i czarny. Żywiaczka, która zabiła gołębie”. – Przypuszczam, że nie ma porównania do... wioski, w której wcześniej mieszkałaś. – Słowo „wioska” wypowiada z odrazą, a na jej wargach błąka się uśmiech wyższości.

Pozostałe kobiety śmieją się razem z nią, kilka szepcze głosami pełnymi zgorznienia.

Odpowiadam dopiero po chwili, gdy udaje mi się opanować wzburzenie.

– Palatium i Summerton są zupełnie inne od miejsc, do których jestem przyzwyczajona – wykrztuszam.

– Oczywiście. – Do rozmowy włącza się inna kobieta. Zgaduję, że należy do domu Welle, ponieważ ma na sobie zielono-złotą tunikę. – Jakiś czas temu wybrałam się na wycieczkę po dolinie Capital i muszę przyznać, że wioski Czerwonych są po prostu w opłakanym stanie. Nie mają nawet przyzwoitych dróg.

„Nie stać nas na to, żeby się najeść, a co dopiero utwardzać drogi”. Zaciskam szczęki tak mocno, że jeszcze chwila, a połamię sobie zęby. Usiłuję się uśmiechnąć, ale udaje mi się jedynie wykrzywić twarz w nieokreślonym grymasie, podczas gdy inne kobiety potakują zgodnie.

– A Czerwoni, cóż, myślę, że nie mogą osiągnąć nic więcej – ciągnie pani Welle, marszcząc nos. – Są przystosowani do takiego życia.

– Nie nasza wina, że urodzili się na służących – dorzuca beztrosko ubrana w brązy przedstawicielka domu Rhambos, jak gdyby komentowała dzisiejszą pogodę lub serwowane dania. – Taka ich natura.

Rozpala się we mnie gniew, ale jedno spojrzenie królowej mówi mi, że nie mogę dać mu się ponieść. Muszę odgrywać swoją rolę. Muszę kłamać.

– Owszem, taka natura – słyszę swój głos. Zaciskam pod stołem pięści i czuję, że serce lada chwila mi pęknie.

Kobiety przy stole uważnie przysłuchują się wymianie zdań. Wiele z nich uśmiecha się, jeszcze więcej przytakuje skinieniem głowy, podczas gdy ja utwierdzam je w bezsensownych przekonaniach na temat moich pobratymców. Widząc miny zebranych dam, mam ochotę wrzeszczeć.

– Oczywiście – ciągnę, ponieważ nie potrafię się powstrzymać. – Każdy, kogo zmuszano by do życia w takich warunkach, bez chwili wytchnienia, bez możliwości ucieczki, bez nadziei, zamieniłby się w sługę.

Z twarzy kobiet znikają uśmiechy, a ich miejsce zajmuje wyraz zdumienia.

– Panna Tytaniusz pobiera lekcje u najlepszych nauczycieli, którzy pomogą jej odpowiednio się przystosować do nowych warunków – odzywa się szybko Elara, przerywając mi. – Zaczęła już zajęcia z panią Blonos.

Starsze damy mamroczą słowa uznania, podczas gdy dziewczyny wymieniają spojrzenia i przewracają oczami. Ta chwila wystarczy, żebym doszła do siebie i odzyskała opanowanie, które pomoże mi dotrwać do końca posiłku.

– Co Jego Królewska Mość zamierza zrobić z buntownikami? – rozlega się nagle szorstki kobiecy głos. Przy stole zapada cisza i zainteresowanie moją osobą opada.

Wszystkie oczy kierują się w stronę ubranej w wojskowy mundur kobiety, która zadała pytanie. Kilka innych dam również ma na sobie mundury, ale to na jej piersi mieni się najwięcej medali i wstęg. Paskudna blizna biegnąca w dół piegowatej twarzy świadczy o tym, że akurat ta kobieta mogła na wszystkie te odznaczenia zasłużyć. Tutaj w pałacu łatwo zapomnieć o toczących się walkach, ale po jej udręczonym spojrzeniu można poznać, że ona nie zapomina, *nie może* zapomnieć.

Królowa Elara odkłada łyżkę z wyćwiczoną wdziękiem i posyła umundurowanej damie równie wystudiowany uśmiech.

– Pułkownik Macanthos, nie nazwałabym tej bandy buntownikami...

– Oficjalnie przyznali się tylko do zamachu w stolicy – odparowuje pani pułkownik, wpadając w słowo królowej – ale co z wybuchem w Wielkiej Zatoce oraz incydentem na lotnisku w Delphie? Trzy odrzutowce zniszczone, a dwa następne ukradzione z naszej bazy!

Oczy otwierają mi się szeroko, wydaję stłumiony okrzyk, kilka innych kobiet również nie potrafi powstrzymać emocji. „Kolejne zamachy?” Jednak podczas gdy pozostałe damy z przerażeniem zasłaniają usta, ja z trudem powstrzymuję uśmiech cisnący mi się na wargi. „Farley nie próżnowała”.

– Pułkownik Macanthos, czy jest pani inżynierem? – Elara pyta ostrym, oziębłym i niedopuszczającym dyskusji tonem, po czym nie daje pani pułkownik czasu choćby na to, żeby mogła pokręcić przecząco głową. – W takim razie nie może pani wiedzieć, że przyczyną eksplozji w zatoce był wyciek gazu. I proszę przypomnieć, czy dowodzi pani oddziałami sił powietrznych? Ależ nie, jest pani żołnierzem sił lądowych. Do incydentu na lotnisku doszło w ramach ćwiczeń nadzorowanych przez samego wielmożnego generała Larisa. Osobiście zapewnił on Jego Królewską Wysokość o tym, że baza w Delphie jest całkowicie bezpieczna.

Gdyby utarczka toczyła się na neutralnym gruncie, Macanthos prawdopodobnie rozszarpałaby Elarę gołymi rękami. Teraz jednak to królowa rozszarpała panią pułkownik samymi tylko słowami. Na dodatek dopiero się rozgrzewała. W myślach wrócił do mnie głos Juliana: „słowa mogą kłamać”.

– Krzywdzą niewinnych cywilów, Srebrnych i Czerwonych, aby wywołać strach i panikę. To garstka tchórzy ukrywających się przed sprawiedliwością, jaką niechybnie wymierzy im mój mąż.

Przypisywanie każdego wypadku i nieporozumienia działaniom tej bandy pomaga im się postrach wśród mieszkańców naszego królestwa. Nie przyczyniajmy się do tego, aby ich nikczemne zamysły się powiodły.

Kilka kobiet klaszcze i potakuje, przyznając rację królowej, która w sposób oczywisty kłamie. Evangeline przyłącza się do owacji i po chwili wszystkie damy prócz pani pułkownik i mnie biją brawo. Widzę, że pułkownik Macanthos nie wierzy ani jednemu słowu królowej, nie może jednak nazwać jej kłamcą. Nie tutaj, na jej terenie.

Chociaż z całej duszy pragnę siedzieć bez ruchu, wiem, że nie mogę. Jestem Mareeną, nie Mare, dlatego muszę popierać królową i jej naciągane wywody. Składam więc ręce i zaczynam przyklaskiwać kłamstwom Elary, podczas gdy zbesztana pani pułkownik pochyła głowę.

*

Mimo że bez przerwy otaczają mnie służący i Srebrni, zaczyna mi doskwierać samotność. Nie widuję często Cala, który prawie cały czas poświęca na ćwiczenia i treningi. Zdarza się również, że wyjeżdża z Palatium, aby przemawiać do żołnierzy w pobliskiej bazie lub towarzyszyć ojcu w podróży w sprawach państwowych. Mogłabym rozmawiać z uśmiechającym się znacząco Mavenem o niebieskich oczach, ale wciąż nie nabrałam do niego zaufania. Na szczęście nigdy nie zostajemy tylko we dwoje. Wszystko przez śmieszny dworską tradycję, zgodnie z którą nie należy narażać młodych arystokratów i arystokratki na różne *pokusy*, jak ujmuje to pani Blonos, chociaż w takim razie ta dziwna zasada nie powinna mnie obejmować.

Prawdę mówiąc, przez większość czasu w ogóle nie pamiętam, że pewnego dnia mam poślubić Mavena. Ta wizja jest dla mnie zupełnie nierealna. Nie jesteśmy nawet przyjaciółmi, a co dopiero partnerami życiowymi. Chociaż syn Elary wydaje się miły, instynkt podpowiada mi, że bym miała się przed nim na baczności, że on coś ukrywa. Nie mam jednak pojęcia, co by to mogło być.

Życie w pałacu jest znośne głównie dzięki lekcjom z Julianem; nauka, której kiedyś nie cierpiałam, stała się najjaśniejszym punktem moich ponurych dni. Poza zasięgiem kamer i czujnych oczu Elary możemy się oddawać odkrywaniu mojej prawdziwej natury. Idzie nam jednak powoli, co wywołuje frustrację zarówno we mnie, jak i w moim nauczycielu.

– Zdaje się, że wiem, w czym problem – oznajmia Julian pod koniec pierwszego tygodnia. Stoję kilka metrów dalej z wyciągniętymi przed siebie ramionami i wyglądam jak ostatnia idiotka. U moich stóp leży dziwne urządzenie elektryczne, które co pewien czas strzela iskrami. Julian chce, że bym je okiełznała, wykorzystana, ale po raz kolejny nie udaje mi się wytworzyć błyskawicy, przez którą wpakowałam się w te tarapaty.

– Może muszę się znajdować w śmiertelnym niebezpieczeństwie – wzdycham. – Pożyczmy karabin od Lucasa?

Moje żarty zwykle go rozśmieszają, ale teraz za bardzo pograżył się w rozmyślaniach.

– Jesteś jak dziecko – odzywa się w końcu. Marszczę nos, odbierając jego słowa jako zniewagę, ale on nie przejmuje się i ciągnie: – Właśnie tak dzieje się z dziećmi na samym początku, kiedy nie potrafią jeszcze nad sobą panować. Ich zdolności przejawiają się w chwilach stresu lub strachu, dopóki nie nauczą się panować nad tymi emocjami i wykorzystywać ich zgodnie z własną wolą. Każdy z nas ma jakiś swój wyzwalacz i ty musisz odkryć swój.

Przypominam sobie, jak się czułam w Spiralnych Ogrodach, gdy spadałam przekonana, że lecę prosto w objęcia śmierci. Gdy jednak zderzyłam się z tarczą z błyskawicy, wypełniło mnie nie obezwładniające uczucie strachu, ale spokój. Świadomość, że nadszedł mój koniec, i akceptacja tego, że nie mogę zrobić nic, aby temu zapobiec – pogodzenie się.

– Warto przynajmniej spróbować – zachęca mnie Julian.

Z jękiem znów obracam się do ściany. Julian ustawił pod nią kilka kamiennych regałów, oczywiście pustych, żebym miała jakiś cel. Kątem oka widzę, że nauczyciel cofa się, a jednocześnie nie spuszcza ze mnie wzroku.

„Pogódź się, odpuść”, słyszę szept w swojej głowie. Koncentruję się, przymykam powieki i pozwalam odpłynąć myślom, tak aby umysł samoistnie sięgnął po elektryczność, której pożąda. Dreszcz energii przebiega mi raz po raz pod skórą, ożywiając i wprawiając w drganie wszystkie moje mięśnie i nerwy. Zwykle w tym momencie, gdzieś na krawędzi czucia, to doznanie się kończy, jednak teraz jest inaczej. Zamiast próbować zatrzymać to wrażenie, zmusić energię do uległości, odpuszczam jej. Wtedy ogarnia mnie uczucie, którego nie potrafię wytłumaczyć, coś, co jest wszystkim i niczym, światłem i ciemnością, gorącem i zimnem, życiem i śmiercią. Wkrótce moją głowę wypełnia jedynie moc, wypierając wszelkie myśli i wspomnienia. Przystają dla mnie istnieć nawet Julian i kamienne regały. Mój umysł jest czysty, to czarna otchłań hucząca od mocy. Teraz gdy próbuję uchwycić to wrażenie, ono nie znika, ale porusza się wewnątrz mnie, przesuwa się od oczu do koniuszków palców. Stojący po mojej lewej stronie Julian wydaje stłumiony okrzyk.

Otwieram oczy i widzę fioletowo-białe iskry krążące między moją dłonią a leżącym na podłodze urządzeniem, przeskakujące niczym prąd między drutami.

Choć raz Julianowi odebrało mowę. Mnie również.

Nie poruszam się z obawy, że każde najmniejsze drgnięcie może sprawić, iż błyskawica zniknie. Tak się jednak nie dzieje. Ona cały czas jest, podskakuje i wije się w mojej dłoni niczym kłębek wełny w łapach kota. Wydaje się nieszkodliwa, ale doskonale pamiętam, co niemalże zrobiła z Evangeline. „Ta moc może niszczyć, jeśli jej pozwolę”.

– Spróbuj ją przesunąć – szepcze podekscytowany Julian, obserwując mnie szeroko otwartymi oczami.

Gdzieś w środku czuję, że błyskawica mnie posłucha. Jest częścią mnie, kawałkiem mojej duszy, który wydostał się na zewnątrz.

Zaciskam mocno pięść, a im bardziej napinam mięśnie, tym więcej iskier przybywa, robią się coraz jaśniejsze i przeskakują coraz szybciej. Dotykają rękawa mojej koszuli i w mgnieniu oka przypalają materiał. Wtedy jak dziecko bawiące się piłką biorę zamach i wyrzucam ramię przed siebie, w ostatniej chwili rozcapierzając palce. Błyskawica otoczona kręgiem jasnych iskier leci prosto i trafia w sam środek ustawionych pod ścianą regałów.

Rozlegający się *huk* sprawia, że z krzykiem odskakuję i wpadam na ustawioną za moimi plecami stertę książek. Przewracam się na podłogę i z biciem serca patrzę na kłęby gęstego dymu i rozlatujące się kamienne półki. Po szczątkach regałów przez chwilę jeszcze skaczą pojedyncze iskry, aż w końcu znikają, zostawiając jedynie stertę gruzu.

– Przepraszam za półki – odzywam się spod stosu rozrzuconych książek. Przypalony rękaw nadal dymi, jednak to nic w porównaniu z mrowieniem, które odczuwam w dłoni. Nerwy są wciąż pobudzone, przebiegają po nich ostatnie drgania mocy – to było *przyjemne*.

W unoszącym się pyłe dostrzegam sylwetkę Juliana, który śmieje się serdecznie, widząc rezultaty mojej pracy na lekcji. Jego białe zęby połyskują w szerokim uśmiechu.

– Będziemy potrzebować większej klasy.

*

Nie myli się. Z każdym dniem nauki jesteśmy zmuszeni przenosić się do coraz to nowych i przestronniejszych pomieszczeń, aż w końcu po tygodniu znajdujemy odpowiednie miejsce w podziemiach pałacu. Wykonane z metalu i betonu ściany są mocniejsze niż te z ozdobnego kamienia i drewna na wyższych piętrach. Trafianie do celu wciąż jeszcze jest – łagodnie rzecz ujmując – moją słabą stroną i Julian trzyma się z daleka przez cały czas moich ćwiczeń, za to z coraz większą łatwością przywołuję błyskawicę.

Julian ciągle prowadzi notatki, zapisując dosłownie wszystko, od mojego tętna począwszy, a na temperaturze porażonej przeze mnie filizanki skończywszy. Każde nowe odkrycie wywołuje na jego twarzy uśmiech zdziwienia i radości, chociaż nie mówi mi, czym jest to spowodowane. Wątpię, żebym zrozumiała, nawet gdyby informował mnie o wszystkim.

– Fascynujące – mruczy, odczytując zapis na kolejnym metalowym urządzeniu, którego nazwy nie pamiętam. Ponoć służy ono do mierzenia energii elektrycznej, ale nie mam pojęcia, w jaki sposób to robi.

Składam ręce, „wyłączając moc”, jak nazywa to Julian. Tym razem rękawy pozostały nietknięte dzięki temu, że mam nowe ubranie. Zostało uszyte z ognioodpornego materiału, takiego samego, z jakiego są wykonane stroje Cala i Mavena, choć podejrzewam, że moje odzienie powinno się

nazywać wstrząsoodpornym.

– Co jest fascynujące?

Waha się, jak gdyby nie chciał mi powiedzieć, jak gdyby *nie powinien* mi mówić, ale w końcu wzrusza ramionami.

– Zanim poraziłaś i usmażyłaś ten nieszczęsny posążek – wskazuje dymiącą kupkę gruzu, która przed chwilą była popiersiem jakiegoś króla – zmierzyłem napięcie elektryczne w sali. Pochodzące ze świateł, kabli i tak dalej. A teraz zmierzyłem tylko ciebie.

– No i?

– Wydzielasz *dwa razy więcej* energii, niż zarejestrowałem wcześniej – odpowiada z dumą, ale ja nie mam pojęcia, co w tym nadzwyczajnego. Julian szybkim ruchem wyłącza urządzenie wytwarzające iskry, które na własny użytek nazwałam iskrownikiem. Czuję, jak z urządzenia odpływa prąd. – Spróbuj raz jeszcze.

Prycham z niezadowoleniem, ale znów się koncentruję. Po chwili skupienia wywołuję iskry równie silne jak poprzednio. Jednak tym razem pochodzą ze mnie.

Julian uśmiecha się od ucha do ucha.

– A więc...?

– A więc tym sposobem potwierdza się moje przypuszczenie. – Czasami zapominam, że Julian jest nauczycielem i naukowcem w jednej osobie. Kiedy jednak tak się dzieje, on szybko mi o tym przypomina. – Wytwarzasz energię elektryczną.

Teraz już zupełnie nic nie rozumiem.

– Zgadza się. Na tym polega moja *umiejętność*, Julianie.

– Nie, sądziłem, że twoja *umiejętność* polega na kontrolowaniu energii, a nie na jej wytwarzaniu – odpowiada i nagle poważnieje. – Nikt nie potrafi *wytwarzać*, Mare.

– Przecież to nie ma sensu. Wodniaki...

– Kontrolują wodę, która już istnieje. Nie mogą wykorzystać tego, czego nie ma.

– A co w takim razie z Calem? Mavenem? Jakoś nie widziałam, żeby potrzebowali burzy ognia, aby strzelać pociskami z płomieni.

Julian uśmiecha się, kręcąc głową.

– Zwróciłaś uwagę na ich bransolety, prawda?

– Zawsze je noszą.

– Bransolety wytwarzają iskry, małe płomyki, które książęta mogą wykorzystać. Bez źródła ognia są bezsilni. Wszyscy władcy żywiołów cechują się tym samym, potrafią panować nad metalem, wodą albo roślinnością, które istnieją. Ich siła bierze się z otoczenia. W przeciwieństwie do twojej, Mare.

„W przeciwieństwie do mnie. Jestem inna niż wszyscy”.

– Co to oznacza?

– Tego jeszcze nie wiem. Jesteś kimś zupełnie innym. Ani Czerwoną, ani Srebrną. Kimś innym. Kimś więcej.

– Kimś innym. – Spodziewałam się, że badania Juliana przybliżą mnie do rozwiązania zagadki, ale jedyne, co dzięki nim zyskałam, to kolejne pytania. – Czym jestem, Julianie? Co jest ze mną nie tak?

Nagle nie potrafię złapać oddechu, oczy mi wilgotnieją. Muszę zamrużyć, aby powstrzymać napływające łzy i ukryć je przed Julianem. Czuję, że nagle wszystko mnie przerasta. Lekcje, protokół, to miejsce, w którym nikomu nie mogę zaufać, gdzie nie mogę być nawet sobą. Duszę się. Chcę krzyknąć, ale wiem, że nie mogę.

– Nie ma nic złego w tym, że jest się innym – słyszę głos Juliana, jednak jego słowa ledwie do mnie docierają. Zagłuszają je moje własne myśli, wspomnienia domu, Gisy i Kilorna. – Mare? – Nauczyciel postępuje krok w moją stronę, na jego twarzy maluje się troska, ale nie podchodzi do mnie bliżej niż na odległość wyciągniętej ręki. Nie ze względu na mnie, ze względu na siebie. Na własne bezpieczeństwo. Wydaję stłumiony okrzyk, widząc, że iskry wróciły, skaczą po moich przedramionach gotowe otoczyć całą mnie jasną kulą energii. – Mare, skup się na mnie. Mare, zapanuj nad tym.

Mówi łagodnie, spokojnie, ale stanowczo. Wygląda, jak gdyby *przestraszył* się mnie.

– *Opanuj to*, Mare.

Ja jednak nad niczym już nie panuję. Ani nad własną przyszłością, ani nad własnymi myślami, nawet nie nad tą całą *umiejętnością*, przez którą zaczęły się wszystkie moje problemy.

W tym momencie pozostaje mi tylko jedna rzecz, nad którą wciąż panuję. Moje nogi.

Jak żalosny tchórz, którym zresztą jestem, uciekam.

Korytarze są puste, gdy gnam przez nie co tchu, czuję jednak na sobie ciężar niewidzialnych spojrzeń tysiąca kamer. Nie mam zbyt wiele czasu, zanim dopadnie mnie Lucas lub – co gorsza – wartownicy. Potrzebuję jedynie zaczerpnąć świeżego powietrza. Potrzebuję zobaczyć nad sobą niebo, a nie szkło.

Stoję na balkonie pełne dziesięć sekund i dopiero wtedy uzmysławiam sobie, że pada deszcz, który studzi mój rozpalony gniew. Iskry zniknęły, zastąpiły je zawzięte, brzydkie łzy spływające mi po policzkach. Gdzieś w oddali przetacza się grzmot, powietrze jest ciepłe, ale wcześniejsza duchota ustąpiła. Upały się skończyły i niedługo skończy się również lato. Czas biegnie. Życie toczy się dalej, niezależnie od tego, jak bardzo chciałabym, żeby się nie zmieniało.

Gdy wokół mojego ramienia zaciska się czyjaś silna dłoń, wzdrygam się i z trudem tłumię okrzyk.

Nade mną stoi dwóch wartowników, patrzą na mnie chmurnie zza masek. Są dwarazy więksi ode mnie i bezduszni, przyszli zaciągnąć mnie z powrotem do mojego więzienia.

– Wielmożna panno – warczy jeden z nich, ale w jego głosie nie słychać szacunku.

– Zostawcie mnie. – Polecenie wydaję słabym głosem, niemalże szeptem. Rozpaczliwie wciągam powietrze, jak gdybym się topiła. – Dajcie mi pięć minut, proszę...

Jednak nie jestem ich panią. Nie podlegają mi. Nikt mi nie podlega.

– Słyszeliście moją narzeczoną – pada rozkaz wydany stanowczym, twardym tonem, tonem władcy. „Maven”. – Zostawcie ją.

Gdy księżę wychodzi na balkon, nie potrafię zapanować nad uczuciem ulgi, które mnie ogarnia. Wartownicy prostują się i witają go skinieniem głowy, po czym odzywa się ten, który mnie trzyma:

– Musimy dopilnować, żeby panna Tytaniusz brała udział w zaplanowanych zajęciach – tłumaczy, rozluźnia jednak uchwyt. – Takie mamy rozkazy, jaśnie panie.

– W takim razie teraz macie nowe rozkazy – oznajmia Maven lodowato. – Odprowadzę pannę Mareenę na zajęcia.

– Tak jest, jaśnie panie – odpowiadają jednym głosem wartownicy, nie mogąc się sprzeciwić księciu.

Płomienne peleryny ociekają deszczem, gdy mężczyźni maszerują z powrotem do pałacu, a ja wydaję głośnie westchnienie. Wcześniej nie zwróciłam na to uwagi, ale teraz czuję, że ręce mi się trzęsą, i muszę zacisnąć pięści, aby powstrzymać drżenie. Maven jest jednak bardzo uprzejmy i udaje, że niczego nie zauważa.

– Wiesz, pryszniczynie mamy również *wewnątrz* pałacu.

Wierzchem dłoni ocieram oczy, choć łzy dawno zmieszały się z kroplami deszczu, zostawiając jedynie czarne ślady po resztkach makijażu i żenująco zasmarkany nos. Na szczęście srebrny puder się nie rozpuścił. Jest wytrzymalszy ode mnie.

– Pierwszy deszcz tego lata – wyduszam z siebie, siląc się na swobodny ton. – Musiałam to zobaczyć.

– Jasne. – Maven podchodzi, aby stanąć koło mnie. Odwracam głowę w nadziei, że uda mi się ukryć twarz choć chwilę dłużej. – Wiesz, rozumiem cię.

„Naprawdę, księżę? Rozumiesz, jak to jest zostać oderwanym od wszystkiego, co się kocha, i zmuszonym do bycia kimś innym? Codziennie kłamać, od rana do nocy, przez resztę życia? Wiedzieć, że coś jest z tobą nie tak?”

Nie mam siły znosić jego znaczących uśmiechów.

– Możesz przestać udawać, że wiesz cokolwiek o mnie i moich uczuciach.

Słyszając mój ton, Maven wykrzywia twarz w kwaśnym grymasie.

– Myślisz, że nie wiem, jak trudno tu żyć? Z tymi ludźmi? – Zerka przez ramię, jak gdyby się martwił, że ktoś mógłby nas podsłuchać. Jednak naszej rozmowie nie przysłuchuje się nikt poza deszczem i błyskawicami. – Nie mogę mówić, co chcę, robić, co chcę. W towarzystwie matki nie mogę nawet *myśleć*, co chcę. Do tego jeszcze mój brat...!

– Co z nim?

Słowa więzną mu w gardle. Chociaż nie chce ich wypowiedzieć, same cisną mu się na usta.

– Jest silny, utalentowany, potężny... a ja jestem jego cieniem. Cieniem płomienia.

Oddycha powoli, a ja zdaję sobie sprawę, że powietrze wokół nas zrobiło się dziwnie gorące.

– Wybacz – rzuca, odsuwając się o krok i pozwalając, aby powietrze ostygło. Przyglądam się, jak łagodnieje i z powrotem przeistacza się w Srebrnego księcia przyzwyczajonego do bankietów i mundurów galowych. – Nie powinienem był tego mówić.

– W porządku – mamrocę. – Dobrze słyszeć, że nie tylko ja źle się tu czuję.

– Powinnaś się dowiedzieć czegoś o nas, Srebrnych. Zawsze jesteśmy samotni. Tutaj i tutaj. – Wskazuje najpierw głowę, potem serce. – Dzięki temu jesteśmy silni.

Błyskawice trzaskają nad naszymi głowami, oświetlając jego niebieskie oczy, które zdają się jarzyć.

– To głupie – oświadczam, na co Maven ponuro chichocze.

– Lepiej głęboko ukryj to swoje serce, panno Tytaniusz. Nie doprowadzi cię do niczego dobrego.

Jego słowa przyprawiają mnie o ciarki. Nagle przypominam sobie o deszczu i o tym, w jak opłakanym stanie muszę się znajdować.

– Powinnam wracać na lekcje – mruczę, zamierzając zostawić księcia samego na balkonie. On jednak chwyta mnie za ramię.

– Myślę, że mogę ci pomóc uporać się z twoim problemem.

Unoszę brew.

– Z jakim problemem?

– Nie wyglądasz na dziewczynę, która płacze z byle powodu. Tęsknisz za domem. – Unosi dłoń, zanim zdążę zaprotestować. – Mogę coś na to poradzić.

ROZDZIAŁ 14

Gwardziści dwójkami patrolują korytarz przed moim pokojem, ale nie zatrzymują mnie, ponieważ idę wsparta na ramieniu Marena. Chociaż jest już późny wieczór i dawno powinnam być w łóżku, nikt nie zwraca mi uwagi. Nikt nie sprzeciwia się księciu. Nie wiem, dokąd mnie prowadzi, ale obiecał, że mnie tam zabierze. *Do domu.*

Milczy, jednak w jego postawie wyczuwa się zdecydowanie, a po jego wargach przewija się cień uśmiechu. Nie mogę się powstrzymać, żeby nie odpowiedzieć mu tym samym. „Może wcale nie jest taki zły”. Jednak zatrzymujemy się o wiele wcześniej, niż się spodziewałam – nie opuściliśmy nawet pięter mieszkalnych.

– Jesteśmy – oznajmia i stuka do drzwi.

Te po chwili się uchylają, ukazując Cala. Jego wygląd sprawia, że cofam się o krok. Ma obnażony tors, a od pasa zwisa z niego jego dziwna zbroja – wplecione w materiał metalowe płyty, niektóre poznaczone wgnieceniami. Mojej uwadze nie umyka fioletowy siniak nad sercem ani kilkudniowy zarost pokrywający policzki Cala. Widzę go po raz pierwszy od ponad tygodnia i najwyraźniej zjawiam się nie w porę. Z początku mnie nie zauważa, koncentruje się na dalszym zdejmowaniu zbroi. Przełykam ślinę.

– Przygotuj planszę, Mavey... – zaczyna, ale urywa, gdy podnosi głowę i widzi mnie u boku brata. – Mare, jak mogę, uch, w czym mogę ci pomóc? – Zacina się i choć raz brakuje mu słów.

– Właściwie sama nie wiem – odpowiadam, przenosząc spojrzenie z niego na Marena. Mój narzeczony uśmiecha się tylko i lekko unosi brew.

– Mój brat jest dobrym synem, dlatego ma pewne przywileje – mówi zaskakująco żartobliwym tonem. Nawet Cal uśmiecha się nieznacznie i przewraca oczami. – Chciałaś odwiedzić dom, Mare, więc przyprowadziłem cię do kogoś, kto już wcześniej tam bywał.

Po chwili konsternacji dociera do mnie, co mówi Maren, i to, jaka byłam głupia, że wcześniej się nie domyśliłam. „Cal pomoże mi się stąd wydostać. Był w zajeździe... wykrada się z pałacu, więc teraz może się wykraść razem ze mną”.

– Maren – Cal pochmurnieje i cedzi przez zaciśnięte zęby. – Wiesz, że ona nie może. To nie jest

dobry pomysł...

Pora się odezwać, aby dopiąć swego.

– Kłamca – rzucam.

Patrzy na mnie płonącymi oczami, świdruje wzrokiem na wylot. Mam nadzieję, że widzi moją determinację, rozpacz, potrzebę.

– Odebraliśmy jej wszystko, bracie – mówi cicho Maven, podchodząc bliżej. – Moglibyśmy podarować jej chociaż to.

Powoli, niechętnie Cal przytakuje skinieniem głowy i gestem zaprasza mnie do pokoju. Z wrażenia kręci mi się w głowie i spiesznie, niemalże w podskokach, wchodzi do środka.

„Wracam do domu”.

Maven nie rusza się spod progu, jego uśmiech przygasa, gdy zostawiam go samego na korytarzu.

– Ty nie idziesz... – zawieszam głos, ale nie jest to pytanie.

Księżę odpowiada ledwie dostrzegalnym przeczącym ruchem głowy.

– Będziecie mieli dość zmartwień i bez mojego towarzystwa.

Nie trzeba geniusza, aby zrozumieć, że ma rację. Jednak to, iż nie idzie z nami, nie oznacza, że zapomnę, co dla mnie zrobił. Bez namysłu zarzucam Mavenowi ręce na szyję. Przez chwilę nie reaguje, ale zaraz potem pomału obejmuje mnie ramieniem. Kiedy się cofam, na jego policzkach maluje się większa niż zwykle bladość. Czuję, że ja również pokrywam się gorącym rumieńcem, a krew pulsuje mi w uszach.

– Nie zabawcie za długo. – Odrywa ode mnie oczy, aby spojrzeć na Cala.

Cal rozciąga wargi w znaczącym półuśmiechu.

– Mówisz, jak gdybym robił to pierwszy raz.

Księżęta chichoczą, śmiejąc się – podobnie jak moi bracia – z sobie tylko znanych powodów. Gdy drzwi za Mavenem się zamykają, a ja zostaję sama z Caliem, czuję, że mimo woli jest we mnie mniej wrogości wobec obydwu królewskich synów.

Pokój Cala jest dwa razy większy od mojego, ale tak zagracony, że wydaje się mniejszy. Wnęki w ścianach wypełniają zbroje, mundury i stroje do walki ponakładane na manekiny zapewne wzorowane na sylwetce następcy tronu. Otaczają mnie niczym pozbawione twarzy duchy, wpatrują się we mnie niewidzialnymi oczami. Większość pancerzy jest lekka, zrobiona ze stalowych płyt i grubej tkaniny, ale kilka wygląda na bardzo wytrzymałe, przeznaczone nie do ćwiczeń, lecz do walki. Do jednego dołączono nawet lśniący metalowy hełm z przyłbicą z barwionego szkła. Na rękawie połyskują emblematy naszyte na ciemnoszary materiał. Czarna płonąca korona i srebrne skrzydła. Wolę się nie zastanawiać, co to znaczy, po co mu te mundury i co dokładnie Cal robił, gdy miał je na sobie.

Podobnie jak w klasie Juliana, w pokoju Cala zalegają stosy książek wylewających się z różnych kątów strumieniem papieru i atramentu. Nie są jednak tak stare jak księgi jego wuja – większość wygląda na oprawione w nowoczesny sposób, napisane na maszynie i przedrukowane na kartkach o plastikowych wykończeniach zapewniających większą trwałość. Wszystkie są napisane w mowie wspólnej – języku Norty, Lakelandii i Piedmontu. Podczas gdy Cal kieruje się do garderoby, zdejmując po drodze pozostałą część zbroi, przeglądam jego książki. Są dziwne, pełne planów, schematów i tabel – podręczniki do nauki straszliwej sztuki wojennej. Każdy z nich to świadectwo narastającej agresji i przemocy. Zawierają szczegółowe opisy posunięć militarnych z ostatnich lat i z dalszej przeszłości. Wielkie zwycięstwa, krwawe porażki, bronie i manewry w takim natężeniu, że zaczyna mi się robić niedobrze. Jeszcze bardziej przerażające są notatki Cala wskazujące taktyki, które mu się podobają i które – jego zdaniem – są warte ofiar. Na rysunkach maleńkie kwadraty przedstawiają żołnierzy, ja jednak widzę tam moich braci, Kilorna i wszystkich, którzy dzielą ich los.

Za książkami, pod oknem, stoi niewielki stolik i dwa krzesła. Na blacie leży rozłożona plansza z porozstawianymi pionkami. Nie poznaję tej gry, ale wiem, że partnerem Cala miał być Maven. Pewnie spotykają się co wieczór, żeby grać i śmiać się, jak to zwykle bracia.

– Nie będziemy mieli zbyt dużo czasu! – woła nagle Cal, a ja aż podskakuję. Spoglądam w stronę garderoby, gdzie książkę naciąga koszulę, i dostrzegam jego rosłe, muskularne plecy. Widnieją na nich kolejne siniaki oraz blizny, chociaż z pewnością na jedno jego skinienie armia Uzdrowicieli gotowa byłaby wszystko to usunąć. Jednak z jakiegoś powodu woli zostawić ślady walki.

– Wystarczy mi tylko tyle, żebym mogła się zobaczyć z rodziną – odpowiadam, odsuwając się tak, by na niego nie patrzeć.

Cal wychodzi z garderoby przebrany w prosty strój. Po chwili uświadamiam sobie, że to samo odzienie miał na sobie w tamten wieczór, gdy go poznałam. Sama sobie się dziwię, iż już wtedy nie zorientowałam się, kim jest: wilkiem w owczej skórze. Teraz zaś to ja jestem owcą udającą wilka.

*

Nikt nas nie zatrzymuje, gdy opuszczamy piętra mieszkalne; bycie następcą tronu najwyraźniej ma swoje zalety.

Cal skręca za róg i prowadzi nas do szerokiego betonowego pomieszczenia.

– Tutaj.

Sala wypełniona rzędami dziwnych obiektów przykrytych płachtami z płótna przypomina magazyn. Niektóre przedmioty są większe, inne mniejsze, ale wszystkie zakryte.

– Stąd nie ma wyjścia – protestuję. Pomieszczenie ma tylko jedno drzwi, te, którymi weszliśmy.

– Tak, Mare, nie ma wyjścia – wzdycha Cal, podchodząc do jednego z rzędów. Płachty marszczą się, gdy przechodząc, zahacza o nie, i pod jedną dostrzegam lśnienie metalu.

– Kolejne zbroje? – Dotykam jednego z przedmiotów. – Właśnie chciałam ci powiedzieć, że przydałoby ci się kilka więcej. Trochę mało tych na górze. W sumie dobry pomysł, mógłbyś narzucić którąś na siebie. Moi bracia to potężne chłopy i mają gorącą krew. – Chociaż przypominając sobie kolekcję książek i mięśnie Cala, jestem przekonana, że poradziłby sobie sam. „Zwłaszcza jeśli dorzuci do tego te swoje ogniste umiejętności”.

Księżę tylko kręci głową.

– Myślę, że obejdę się bez zbroi. Poza tym wyglądałbym jak wartownik, a chyba nie chcemy, żeby twoja rodzina źle odebrała całą sytuację, prawda?

– A jak mają odebrać tę całą sytuację? Raczej nie mogę przedstawić cię z imienia i nazwiska.

– Pracujemy razem, dostaliśmy przepustkę na jeden wieczór. Proste. – Wzrusza ramionami. „Kłamstwo przychodzi im z ogromną łatwością”.

– Dlaczego zabrałam cię ze sobą? Jak to wyjaśnić?

Z chytrym uśmiechem Cal wskazuje stojący obok zakryty płótnem kształt.

– Podrzuciłem cię.

Odrzuca płachtę, odsłaniając lśniąca metalową maszynę pokrytą w niektórych miejscach czarną farbą. Dwa gumowe koła, lustrzane chromowe części, światła, długie skórzane siedzenie – nigdy wcześniej nie widziałam takiego pojazdu.

– To motor – objaśnia Cal, przesuwając dłonią po srebrnej kierownicy niczym ojciec dumny ze swojego dziecka. Zna i kocha każdy skrawek tej metalowej bestii. – Szybki, zwrotny i dociera tam, gdzie inne maszyny nie dają rady.

– Wygląda jak... wyrok śmierci – oznajmiam, nie potrafiąc ukryć niepokoju.

Cal ze śmiechem zdejmuje kask z tylnego siedzenia. Mam nadzieję, że nie każe mi go założyć, ani tym bardziej wsiąść na to coś.

– Ojciec i pułkownik Macanthos też tak stwierdzili. Nie chcą rozpocząć masowej produkcji na potrzeby armii, ale przekonam ich. Ani razu się nie rozbiłem, odkąd udoskonaliłem koła.

– Ty go zbudowałeś? – pytam z niedowierzaniem, na co Cal wzrusza ramionami, jak gdyby to było nic takiego. – Rany.

– Poczekaj, aż się przejedziesz. – Podaje mi kask. Jak na zawołanie ściana na końcu hali drga i ze szczękiem niewidocznego metalowego mechanizmu zaczyna się przesuwać, ukazując ciemności panujące na zewnątrz.

Wybucham śmiechem i cofam się o krok od śmiercionośnej maszyny.

– To nie dzieje się naprawdę.

Cal jednak uśmiecha się znacząco i przerzuca nogę, aby usadowić się na siedzeniu. Silnik pod nim ożywia się z warkotem, wibruje od krążącej w nim energii. Wewnątrz maszyny wyczuwam

baterię, która napędza pojazd. Bestia drży z niecierpliwości, nie może się doczekać, aż zostanie spuszczone z łańcucha i rzuci się przed siebie, w drogę, która zaprowadzi mnie do domu. „Do domu”.

– To absolutnie bezpieczne, przyrzekam! – księżę przekrzykuje ryk silnika. Światła zapalają się, rozpraszając nocny mrok. Spojrzenie miedzianozłotych oczu spotyka się z moim, Cal wyciąga rękę. – Mare?

Chociaż czuję straszliwy ucisk w żołądku, nasuwam kask na głowę.

*

Nigdy nie leciałam sterowcem, ale jestem pewna, że to podobne uczucie. Uczucie wolności. Motor Cala pokonuje znaną drogę, kreśląc zgrabne łuki. Księżę jest dobrym kierowcą, muszę mu to przyznać. Stary gościniec poznały koleiny i dziury, on jednak z łatwością je wymija, choć czasami jego manewry sprawiają, że serce podchodzi mi do gardła. Dopiero gdy zwalniamy i zatrzymujemy się kilometr przed wioską, uzmysławiam sobie, że wczepiłam się w niego tak mocno, iż musi się wyprostować, aby zdjąć mnie ze swoich pleców. Nagle robi mi się zimno, gdy nie czuję jego ciepła, ale odsuwam od siebie tę myśl.

– Nieźle, prawda? – rzuca, wyłączając silnik. Nogi i plecy mam obolałe od dziwnego małego siedzenia, Cal jednak zwinnie zeskakuje z motoru.

Ja również zsiadam, choć przychodzi mi to z większym trudem. Kolana mi się trzęsą, w uszach nadal dudni pulsująca krew, ale poza tym chyba nic mi nie jest.

– Nie będzie to raczej mój ulubiony środek transportu.

– Przypomnij mi, żebym zabrał cię kiedyś na pokład sterowca. Przeprosisz się wtedy z motorem – odpowiada, sprowadzając maszynę z drogi pod osłonę lasu. Narzuca na nią kilka porośniętych liśćmi gałęzi, po czym cofa się, żeby obejrzeć rezultat swojej pracy. Gdybym nie wiedziała, gdzie szukać, w ogóle nie zauważyłabym ukrytego motoru.

– Zdaje się, że faktycznie to nie twój pierwszy raz.

Cal obraca się do mnie plecami, jedną rękę trzyma w kieszeni.

– W pałacach robi się czasem... duszno.

– A w zatłoczonych knajpach, knajpach dla Czerwonych, nie jest duszno? – drążę. Cal jednak rusza w stronę wioski, narzucając szybkie tempo, jak gdyby chciał uciec przed pytaniem.

– Nie chodzę tam, żeby się napić, Mare.

– To po co? Łapać złodziei i dawać pracę każdej napotkanej pindzi?

Kiedy się zatrzymuje i obraca przodem do mnie, wpadam na niego i przez chwilę czuję mur, jaki tworzy jego muskularna sylwetka. Uzmysławiam sobie również, że Cal trzęsie się od śmiechu.

– Powiedziałaś „pindzi”? – Chichocze.

Czerwienię się pod warstwą makijażu i lekko go popycham. „Co za słownictwo”, upominam się

w duchu.

– Odpowiedz na moje pytanie.

Uśmiech na jego twarzy pozostaje, chociaż chichot cichnie.

– Nie robię tego dla siebie – oświadcza. – Musisz zrozumieć, Mare. Ja nie... któregoś dnia zostanę królem. Nie mogę sobie pozwolić na luksus bycia egoistą.

– Myślałam, że król to jedyna osoba, która *może sobie pozwolić* na ten luksus.

Kręci głową i patrzy na mnie ze smutkiem.

– Chciałbym, żeby tak było.

Rozwiera i zaciska pięści, a po jego skórze niemalże zaczynają skakać płomienie gniewu, który się w nim rozpałił. Wściekłość jednak szybko przechodzi i po chwili w spojrzeniu księcia tli się jedynie żal. Cal podejmuje wędrówkę, tym razem w nieco bardziej miłosiernym tempie.

– Król powinien znać swój lud. Dlatego się wymykam – mówi cicho. – W stolicy też tak robię, na froncie również. Chcę wiedzieć, jak rzeczywiście stoją sprawy w królestwie, a nie wysłuchiwać jedynie sprawozdań doradców i dyplomatów. Tak powinien robić dobry władca.

Zachowuje się, jak gdyby wstydział się swojego pragnienia, aby być dobrym królem. Może jego ojciec i inni dworscy głupcy uważają, że należy się tego wstydzić. Cala od małego uczono, że liczą się siła i potęga. Nie dobroć. Nie życzliwość. Nie empatia ani odwaga, ani sprawiedliwość, ani żadna inna wartość, do której władca powinien dążyć.

– I co widzisz, Cal? – pytam, wskazując w stronę wioski wyłaniającej się zza drzew. Serce skacze mi z radości, gdy uświadamiam sobie, jak blisko już jestem.

– Widzę świat na krawędzi. Jeżeli równowaga zostanie zachwiana, wszystko runie. – Wzdycha, wiedząc, że nie taką odpowiedź chciałabym usłyszeć. – Nie zdajesz sobie sprawy, jak niepewna jest sytuacja, jak niewiele dzieli nas od katastrofy. Ojciec robi wszystko, żeby nas ochronić, i ja również zamierzam tak postępować.

– W moim świecie katastrofa już nastąpiła. – Kopniakiem rozbryzguję leżące pod nogami grudki ziemi. Las pomału rzednie, odsłaniając błotniste ulice wsi, którą nazywam domem. W porównaniu z Palatium pewnie wygląda jak chlew, jak piekło. „Dlaczego on tego nie widzi?” – Twój ojciec ochrania *twój* lud, nie mój.

– Przemiany kosztują, Mare – oświadcza. – Wielu straciłoby życie, przede wszystkim Czerwoni. A i tak nie wywalczylibyście zwycięstwa, nie dla siebie. Nie wiesz, jak to wszystko naprawdę wygląda.

– W takim razie powiedz mi – obruszam się, wściekła na to, co słyszę. – Powiedz, jak to wszystko wygląda.

– U Lakelandczyków jest tak samo jak u nas, panuje monarcha, rządzą arystokraci, elita

Srebrnych. A książęta z Piedmontu, nasi sprzymierzeńcy, nie poparliby kraju, w którym Czerwoni mieliby równe prawa. Tak samo zareagowaliby władcy Prerii i Tiraksu. Nawet gdyby Norta zaczęła się zmieniać, pozostała część kontynentu dopilnowałaby, żeby zatrzymać przemiany. Czekałby nas najazd, rozbiór, upadek królestwa. Jeszcze więcej walk, jeszcze więcej śmierci.

Przypominam sobie mapę Juliana, rozległy świat istniejący poza naszym królestwem. W całości kontrolowany przez Srebrnych, pozbawiony sprzymierzeńców.

– A jeśli się mylisz? Jeśli Norta to dopiero początek? Zmiana, na którą czekają inni? Nie wiadomo, dokąd doprowadzi wolność.

Cal nie znajduje odpowiedzi na moje słowa i zapada dojmująca cisza.

– To tutaj – mamroczę, zatrzymując się przed znajomą sylwetką domu.

Stąпам po werandzie cicho niczym kot, zupełnie inaczej niż Cal, pod którego ciężkimi krokami uginają się i trzeszczą deski. Emanuje od niego znajome gorąco i nagle wyobrażam sobie, jak w ułamku sekundy puszcza z dymem cały dom. Książę wyczuwa moje zdenerwowanie i kładzie mi na ramieniu ciepłą dłoń, ale to mnie nie uspokaja.

– Poczekam na dole, jeżeli chcesz – szepcze niespodziewanie. – Mogą mnie rozpoznać, lepiej nie ryzykujemy.

– Nie ryzykujemy. Chociaż bracia służyli w wojsku i mogli cię widzieć, zwróciliby na ciebie tyle uwagi, ile na posąg. – „Shade mógłby go poznać, ale ma dość rozumu, żeby nie pisnąć słówka”. – Poza tym mówiłeś, że chcesz wiedzieć, za co nie warto walczyć.

Po tych słowach otwieram drzwi i przekraczam próg domu, który nie jest już mój. Mam wrażenie, jak gdybym cofnęła się w czasie.

Chatę wypełnia szmer pochrapywań, które dobiegają nie tylko z sypialni rodziców, ale także od strony zwalistego kształtu majaczącego w kącie pokoju. Rozparty na wyściełanym krześle drzemie Bree, a jego potężną sylwetkę opatula cienki koc. Ciemne włosy ma wciąż ogolone na żołnierską modłę tuż przy głowie, na jego twarzy i ramionach widnieją blizny świadczące o przebytych walkach. Pewnie przegrał jakiś zakład z Tramym, dlatego to ten drugi przewraca się teraz nad nami na moim pościeliu. Nigdzie nie widzę Shade’a, ale on rzadko przesypiał całe noce w domu. Założę się, że wyszedł odwiedzić we wsi jakąś dawną dziewczynę.

– Pobudka! – Śmieję się i jednym ruchem wyszarpuję koc, w który zaplątał się Bree.

Brat ląduje na podłodze tuż pod moimi nogami, prawdopodobnie wyrządzając tym więcej krzywdy deskom niż sobie. Przez pół sekundy wydaje się, że ma ochotę ponownie zasnąć.

Potem jednak mruga i patrzy na mnie zaczerwienionymi, zdumionymi oczami. Jednym słowem nic się nie zmienił.

– Mare?

– Zamknij się, Bree, inni chcą spać! – z ciemności dobiega jęk Tramy’ego.

– WSZYSCY BĄDŹCIE CISZEJ! – ryczy z sypialni tata, a my aż podskakujemy.

Nawet nie przypuszczałam, że tak bardzo za tym tęskniłam. Bree dźwiga się na nogi, mruga powiekami, odganiając resztki snu, po czym zgniata mnie w uścisku i aż się trzęsie ze śmiechu. Niedawne stuknięcie oznacza, że Tramy zerwał się z łóżka na poddaszu i zwinnym ruchem zeskokczył do nas.

– To Mare! – Bierze mnie w ramiona i podrywa z podłogi. Jest szczuplejszy od Bree, ale już nie taki chuderlawy, jakim go zapamiętałam. Na jego ramionach i plecach czuć twarde gruzły mięśni; musiał wiele przejść w ostatnich latach.

– Dobrze cię widzieć, Tramy – szepczę, czując, że serce niemal pęka mi ze wzruszenia.

Drzwi do sypialni otwierają się z hukiem i staje w nich mama w obszarpanej podomce. Rozchyła wargi, żeby złajać chłopaków, ale na mój widok słowa zamierają jej na ustach. Sekundę później uśmiecha się i splata dłonie.

– Och, w końcu przyszedł nas odwiedzić!

Słyszę świszczący oddech i tuż za mamą do salonu wtacza się tata. Ostatnia budzi się Gisa, ale ona wystawia jedynie głowę przez dziurę wiodącą na poddasze i patrzy na nas z góry.

Tramy w końcu mnie puszcza i stawia na podłodze obok Cala, który wygląda na skrajnie zakłopotanego i speszonego.

– Słyszeliśmy, że złapałaś niezłą posadkę – przekomarza się ze mną Tramy i daje mi kuksańca.

Bree z chichotem mierzwi mi włosy.

– W wojsku i tak by jej nie chcieli, oskubałaby swój legion do ostatniego grosza.

Uśmiecham się i trącam go pięścią w ramię.

– Zdaje się, że was też nie chcieli. Zwolnili was, co?

Tata podjeżdża bliżej i odpowiada za chłopaków:

– W liście napisali, że było jakieś losowanie. Chłopcy wygrali honorowe zwolnienie ze służby. I do tego dostają zapomogę. – Widzę, że nie wierzy w ani jedno słowo ze wspomnianego pisma, ale na razie tego nie mówi. Za to mama najwyraźniej połknęła haczyk.

– Wspaniale, prawda? Rząd w końcu dla nas coś zrobił – zachwyca się, po czym całuje Bree w policzek. – A teraz ty masz jeszcze pracę. – Promienieje radością, jakiej u niej nigdy nie widziałam na mój widok; zwykle pękała z dumy, patrząc na Gisę. „Jest dumna z oszustwa”. – Najwyższy czas, żeby naszą rodzinę spotkało trochę szczęścia.

Słyszę nad nami prychnięcie Gisy. Nie mam jej tego za złe. Moje szczęście splotło się z jej strzaskaną ręką i zrujnowaną przyszłością.

– Tak, mamy ogromne szczęście – sapie i w końcu podnosi się z posłania, żeby do nas dołączyć.

Schodzi po drabinie powoli, przytrzymując się jedną ręką. Gdy staje między nami, dostrzegam, że łubki ma owinięte kolorową tkaniną. Ze ściśniętym sercem uzmysławiam sobie, iż to kawałek haftu, którego nigdy nie skończy.

Podchodzę do niej, żeby ją objąć, ona jednak odsuwa się i przenosi spojrzenie na Cala. Zdaje się, że tylko ona go zauważyła.

– Kto to?

Rumienię się, ponieważ zupełnie o nim zapomniałam.

– Och, to jest Cal. Służy razem ze mną w pałacu.

– Cześć – wykrztusza Cal i w powitalnym geście lekko macha ręką, co wychodzi idiotycznie.

Mama chichocze jak nastolatka i odpowiada machnięciem, a jej oczy zatrzymują się na umięśnionych ramionach mojego towarzysza. Jednak tata i bracia nie podzielają jej życzliwości.

– Nie jesteś stąd – mruczy tata, wpatrując się w Cala jak w jakiegoś robaka. – Czuć to z daleka.

– Długo służy na dworze, tato... – zaczynam tłumaczyć, ale Cal mi przerywa.

– Jestem z Wielkiej Zatoki – oznajmia, wymawiając słowa z charakterystycznym dla tamtych stron akcentem. – Zacząłem służbę w królewskiej rezydencji nad morzem, a teraz podróżuję razem z całym dworem. – Kątem oka rzuca mi znaczące spojrzenie. – Duża część służby ma taki obowiązek.

Mama głośno wciąga powietrze i chwyta mnie za rękę.

– Ty też? Musisz wyjechać z *tymi* ludźmi, kiedy skończy się lato?

Pragnę im powiedzieć, że wcale tego nie chcę, że nie opuszczam ich z własnej woli. Muszę jednak kłamać, dla ich dobra.

– Tylko taką posadę mieli. Poza tym dobrze mi za to płacą.

– Chyba się domyślam, o co tak naprawdę chodzi – rzuca Bree i podchodzi do Cala, stając z nim twarzą w twarz. Cal jednak niewiele sobie z tego robi, co mi się podoba.

– O nic nie chodzi – odpowiada spokojnie. Wytrzymuje twarde spojrzenie mojego brata i patrzy na niego z równą stanowczością. – Mare zdecydowała się pracować w pałacu. Podpisała kontrakt na roczną służbę i to wszystko.

Bree odchrząkuje i cofa się.

– Woląłem chłopaka od Warrenów – mruczy.

– Nie bądź dzieckiem, Bree – warczę. Mama wzdryga się, słysząc mój chropawy głos, jak gdyby trzy tygodnie wystarczyły, żeby zapomniała jego brzmienie. Nie wiedzieć czemu jej oczy zachodzą łzami. „Zapomina mnie. Dlatego chce, żebym została. Żeby nie zapomniała”. – Mamo, nie płacz. – Zbliżam się do niej i obejmuję ją. Wydaje się taka drobna w moich ramionach, drobniejsza niż wcześniej. A może to ja nie zauważyłam przedtem, jak słaba się stała.

– Nie chodzi tylko o ciebie, kochanie... – Odwraca wzrok, patrzy na tatę. W jego oczach

dostrzegam ból, którego nie rozumiem. Pozostali nie potrafią spojrzeć na mamę. Nawet tata wpatruje się w swoje bezwładne nogi. Powietrze w domu wydaje się gęstnieć i przytłaczać nas niewidzialnym ciężarem.

Wtedy dociera do mnie, o co chodzi, co próbują ukryć przede mną.

Głos mi drży, gdy w końcu zadaję pytanie, na które znam odpowiedź.

– Gdzie jest Shade?

Mama wiotczeje, z trudem udaje jej się dojść do krzesła przy kuchennym stole, a gdy się na nie osuwa, wybucha szlochem. Bree i Tramy nie patrzą na nią, odwracają wzrok. Gisa w bezruchu wpatruje się w podłogę, jak gdyby chciała się pod nią zapaść. Nikt się nie odzywa, słysząc jedynie szloch mamy i ciężki oddech taty, które usiłują zapełnić pustkę po moim bracie. „Mój brat, mój najukochańszy brat”.

Cofam się, potykam i niemal przewracam, ale Cal mnie przytrzymuje. Wolałabym, żeby tego nie robił. Wolałabym upaść, uderzyć o coś twardego, żeby ból w ciele zagłuszył ból, który czuję w sercu. Bezwiednie unoszę rękę do ucha, dotykam trzech kolczyków, z którymi nigdy się nie rozstaję. Trzeci, ten od Shade’a, wydaje się najzimniejszy.

– Nie chcieliśmy, żebyś się dowiedziała z listu – szepcze Gisa, skubiąc materiał owinięty wokół łubków. – Zginął, zanim przyszło zwolnienie.

Nigdy wcześniej nie doświadczyłam tak ogromnego pragnienia, aby wydobyć z siebie błyskawicę, wyrzucić gniew i żal w formie pocisku groźnej energii. „Opanuj to”, mówię sobie. Jaka byłam naiwna, martwiąc się, że Cal może spalić chatę; „błyskawica niszczy równie łatwo jak płomień”.

Połykając łzy, Gisa ciągnie:

– Próbował uciec. Został ścięty.

Nogi uginają się pode mną tak szybko, że Cal nie ma szansy mnie złapać. Przestaję słyszeć, przestaję widzieć, potrafię jedynie *czuć*. Ogarniają mnie zdumienie, żal, ból i wydaje mi się, że cały świat wiruje wraz ze mną. Żarówki brzęczą, przepływający przez nie prąd woła mnie tak głośno, iż głowa zaczyna mi pękać. Stojąca w kącie lodówka trzeszczy, jej stara gasnąca bateria pulsuje niczym konające serce. Wszystkie te urządzenia kuszą mnie, wabiają, usiłują złamać. Ja jednak się im nie dam. *Nie dam się*.

– Mare – Cal szepcze mi prosto do ucha, czuję wokół siebie ciepło jego ramion, ale równie dobrze mógłby do mnie mówić z drugiego brzegu oceanu. – Mare!

Z trudem wciągam powietrze, usiłując nabrać tchu. Policzki mam mokre, choć nie przypominam sobie, żebym płakała. „Ścięty”. Krew zaczyna mi wrzeć. „To kłamstwo. Nie uciekł. Należał do Gwardii. Dowiedzieli się o tym i zabili go. Zamordowali”.

Nigdy wcześniej nie zaznałam takiego gniewu. Ani wtedy, gdy bracia szli na wojnę, ani wtedy, gdy Kilorn powiedział o poborze. Ani nawet wtedy, gdy strażnik pogruchotał Gisie dłoń.

W domu rozlega się ogłuszające wycie. Przez lodówkę, żarówki i instalację w ścianach przepływa coraz więcej mocy. Słyszę buczenie elektryczności, dzięki której ozywam, staję się coraz bardziej gniewna i niebezpieczna. Teraz to ja wytwarzam energię i wlewam ją w dom, tak jak nauczył mnie Julian.

Cal krzyczy, potrząsa mną, usiłuje jakoś do mnie dotrzeć. To jednak niemożliwe. Wypełnia mnie moc i nie chcę, żeby odeszła. Wolę odczuwać ją niż ból.

Sypią się na nas odłamki szkła, żarówki wybuchają, strzelają niczym prązna na patelni kukurydza. *Trach, trach, trach*. Niemal zagłuszają krzyk mamy.

Ktoś szarpie mnie brutalnie i podnosi na nogi. Czuję na twarzy dotyk czyichś dłoni, słyszę czyjeś słowa. Nie są to słowa otuchy ani współczucia, to słowa otrzeźwienia. „Wszędzie poznałabym ten głos”.

– Mare, weź się w garść!

Spoglądam w górę i widzę zielone oczy i zmartwioną twarz.

– Kilorn.

– Wiedziałem, że w końcu do nas doczłapiesz – mruczy. – Miałem oczy szeroko otwarte. – Jego dłonie są szorstkie, ale ich dotyk uspokaja. Przywraca mnie do rzeczywistości, do świata, w którym mój brat nie żyje. Ostatnia żarówka kołysze się nad nami, jej słaby blask oblewa pokój i moją osłupiałą rodzinę.

Nocne ciemności rozświetla jednak coś jeszcze.

Fioletowo-białe iskry skaczą mi po dłoniach, z każdą chwilą robią się mniejsze, ale widać je wyraźnie. Błyskawica. „Z tego tak łatwo się nie wykręcę”.

Kilorn sadza mnie na krześle, po jego twarzy przewijają się najrozmaitsze uczucia. Pozostali patrzą na mnie bez ruchu i serce ściska mi się z żalu, gdy uzmysławiam sobie, że wzbudzam w nich lęk. Mój przyjaciel jednak się nie boi – jest zły.

– Co oni ci zrobili? – grzmi, stojąc tuż nade mną. Iskry nikną, jedynym śladem, jaki po nich pozostaje, jest drżenie palców.

– Nic mi nie zrobili. – „Szkoda, że to nie ich wina. Szkoda, że nie mogę obarczyć ich za to odpowiedzialnością”. Spoglądam ponad Kilornem, odszukuję oczy Cala. Księżę nieznacznie pochyła głowę, z jego twarzy znika wcześniejsze napięcie i rozumiemy się bez słów. „Nie muszę kłamać w tej sprawie”. – Zawsze taka byłam.

Kilorn pochmurnieje jeszcze bardziej.

– Jesteś jedną z nich? – Nie sądziłam, że w zdaniu może się zmieścić tyle gniewu i *odrazy*. Mam

ochotę umrzeć. – *Gadaj.*

Mama pierwsza dochodzi do siebie i bez cienia lęku chwyta mnie za dłoń.

– Mare to moja córka, Kilornie – oznajmia i z siłą, o którą w życiu jej nie posądzałam, przygważdża mojego przyjaciela spojrzeniem. – Wszyscy o tym wiemy.

Ojciec, siostra i bracia zgodnie przytakują i przysuwają się bliżej mnie, ale Kilorna to nie przekonuje. Patrzy na mnie, jak gdybym była kimś obcym, jakbyśmy nie znali się od małego.

– Podaj mi nóż i wyjaśnijmy to raz na zawsze. – Rzucam mu wyzywające spojrzenie. – Pokażę ci, jaki kolor ma moja krew.

Kilorn wygląda, jak gdyby trochę ochłonał, i cofa się.

– Po prostu... nie rozumiem.

„No to jest nas dwoje”.

– Co prawda, to prawda. Wiemy, kim jesteś, Mare, ale... – Bree urywa, szukając odpowiednich słów. Wyrażanie myśli nigdy nie było jego mocną stroną. – *Jak?*

Nie bardzo wiem, co powiedzieć, jednak najlepiej jak potrafię, próbuję wszystko wytłumaczyć. Oczywiście aż nazbyt dobrze pamiętam o tym, że Cal stoi obok i przysłuchuje się mojej opowieści, dlatego pomijam szczegóły związane z Gwardią i odkryciami Juliana. Staram się jednak jak najwierniej streścić wydarzenia z ostatnich trzech tygodni. Udaję, że jestem Srebrną, zaręczyłam się z księciem, uczę się panować nad sobą – to wszystko brzmi niedorzecznie, ale oni słuchają mnie uważnie.

– Nie mamy pojęcia jak ani dlaczego, wiemy tylko, że to istnieje – kończę, podając mamie drugą rękę. Zauważam, że Tramy się wzdraga. – Możemy się nigdy nie dowiedzieć, co to oznacza.

Mama pokrzepiająco ściska mnie za dłoń. Ten mały gest czyni cuda. Nadal kipi we mnie gniew i czuję się zrozpaczona, ale palące pragnienie, aby coś zniszczyć, znika. Odzyskuję jako taką równowagę, dzięki której jestem w stanie zapanować nad sobą.

– To chyba cud – mamrocze, siląc się na uśmiech. – Zawsze marzyliśmy o lepszej przyszłości dla was i teraz nasze marzenie się spełniło. Bree i Tramy są bezpieczni, Gisa nie będzie musiała się martwić, wszyscy możemy spokojnie żyć, a ty – spogląda na mnie zażawionymi oczami – ty, kochanie, będziesz kimś wyjątkowym. Czy matka może chcieć więcej?

Wiem, że to wszystko oszustwo, ale uśmiecham się ze względu na najbliższych. Kłamię coraz sprawniej i rodzina zdaje się brać moje słowa za dobrą monetę. Ale nie Kilorn. Wciąż wrze z oburzenia i z trudem się powstrzymuje, żeby znów nie wybuchnąć.

– Jaki on jest, ten książę? – dopytuje mama. – Maven?

Śliski grunt. Czuję, że Cal nadstawia uszu, czekając na to, co mam do powiedzenia o jego młodszym bracie. Co im powiedzieć? Że jest życzliwy? Że zaczynam go lubić? Że nadal nie wiem,

czy mogę mu zaufać? Lub, co gorsza, że już nigdy nie będę mogła nikomu w pełni zaufać?

– Jest inny, niż się spodziewałam.

Gisa zauważyła moje skrepowanie i przenosi spojrzenie na Cala.

– Kim w takim razie on jest? Twoją ochroną? – płynnie zmienia temat.

– Tak – odpowiada za mnie Cal. Wie, że nie chcę okłamywać rodziny bardziej niż to konieczne. –

I przykro mi, ale wkrótce musimy wracać.

Słyszając to, czuję dławienie w gardle, jednak muszę się podporządkować.

– Dobrze.

Mama stoi przy mnie, ściska moją dłoń tak mocno, że jeszcze chwila i połamię mi kości.

– Oczywiście nic nikomu nie powiemy.

– Ani słówka – potwierdza tata. Rodzeństwo potakuje, przyrzekając milczenie.

Tylko z twarzy Kilorna nie schodzi ponury grymas. Z jakiegoś powodu jego gniew nie mija, ale nie mam pojęcia, o co chodzi. „Mój gniew również nie minął”. Śmierć Shade’a ciąży mi na sercu kamieniem.

– Kilorn?

– Jasne, nic nie powiem – prychna. Zanim zdążam go zatrzymać, zrywa się z krzesła i wypada z domu jak burza. Drzwi wejściowe trzaskają z mocą, od której drżą ściany. Jestem przyzwyczajona do emocji Kilorna, parę razy widziałam go zrozpaczonego, ale jeszcze nie widziałam wściekłości, która tak bardzo roznosiłaby go. Nie wiem, jak sobie z nią poradzić.

Dotyk siostry wyrywa mnie z zamyślenia, przypominając, że nadszedł czas rozstania.

– To prawdziwy dar – szepcze mi do ucha. – Nie zmarnuj go.

– Wrócisz, prawda? – pyta Bree, gdy Gisa się cofa. Po raz pierwszy odkąd wyruszył na wojnę, dostrzegam w jego oczach strach. – Jesteś teraz księżniczką i wszyscy mają się ciebie słuchać.

„Gdyby tylko tak to wyglądało”.

Wymieniamy z Caliem spojrzenia, porozumiewając się bez słów. Widzę jego zaciśnięte usta, chmurny wzrok i wiem, co powinnam odpowiedzieć.

– Postaram się – szepczę, a głos mi się łamie. Jedno kłamstwo więcej nie zaszkodzi.

*

Choć docieramy już do obrzeży Palów, przed oczami cały czas stoi mi pożegnanie z Gisą. W jej spojrzeniu nie dostrzegłam wyrzutu, chociaż przeze mnie straciła wszystko. Nie słyszę nic poza szumem wiatru i jej ostatnimi słowami. „Nie zmarnuj go”.

– Przykro mi z powodu twojego brata – odzywa się nagle Cal. – Nie wiedziałem, że...

– Że już nie żyje? – „Ścięty za dezercję. Kolejne kłamstwo”. Znow wzbiera we mnie gniew i nawet nie *chce mi się* nad nim panować. Co jednak mogę zrobić? Jak pomścić śmierć brata albo

przynajmniej spróbować ocalić innych?

„Nie zmarnuj go”.

– Muszę zajrzeć w jeszcze jedno miejsce. – Zanim usłyszę słowa protestu, uśmiecham się najmilej, jak potrafię. – To potrwa tylko chwilę, obiecuję.

Ku mojemu zaskoczeniu Cal przytakuje skinieniem głowy.

*

– Posada w Palatium, cóż za prestiż – rechocze Will, gdy siadam w jego budzie. Stara niebieska świeczka wciąż jeszcze się pali, rzucając migotliwy blask. Tak jak przypuszczałam, Farley dawno już wyjechała.

Upewniam się, że drzwi i okna są szczelnie zamknięte, po czym zniżam głos.

– Nie pracuję tam, Will. Oni...

Urywam ze zdumieniem, gdy Will zbywa mnie machnięciem ręki.

– Och, wiem już o wszystkim. Herbaty?

– Eee, nie. – Z wrażenia ledwo udaje mi się wydobyć głos. – Skąd się...?

– W zeszłym tygodniu te padalce wybierały swoją królową i oczywiście musiały to wszystko pokazywać w Srebrnych miastach – odzywa się głos zza kotary. Z ciemności wyłania się niewiarygodnie tykowata postać. Gdyby nieznajomy się wyprostował, głową zahaczałby o sufit, dlatego pochyła się i kuli w niewygodnej pozie. Ma długie czerwone włosy, których odcień pasuje do przewieszanej przez ramię wstęgi biegnącej na ukos przez tors i zebranej u biodra odznaką w kształcie słońca; taką samą, jaką Farley miała na sobie podczas występu w telewizji. Dostrzegam także pas pełen świecących naboju i zatknięte za niego dwa pistolety. Kolejny członek Szkarłatnej Gwardii. – Oglądali cię na ekranach wszyscy Srebrni, *panno Tytaniusz*. – Wymawia mój tytuł niczym przekleństwo. – Ciebie i tę córkę Samosa. Powiedz, jest tak samo paskudna, jak wygląda?

– To jest Tristan, jeden z poruczników Farley – wtrąca się Will, a następnie upomina mężczyznę:

– Spokojnie, Tristan.

– Dlaczego? – pryham. – Evangeline Samos to krwiożercza pijawka.

Tristan uśmiecha się i rzuca Willowi triumfujące spojrzenie.

– Chociaż nie wszyscy są padalcami – dodaję cicho, przypominając sobie życzliwe słowa wypowiedziane dziś rano przez Mavena.

– Masz na myśli księcia, z którym jesteś zaręczona, czy tego, który czai się w lesie? – pyta Will spokojnie, jak gdyby dowiadywał się o cenę mąki.

Za to Tristan aż podskakuje na krześle. Ja również się zrywam, zastępuję mu drogę do drzwi i wyciągam przed siebie ręce. Na szczęście nie tracę panowania nad sobą. Tego mi tylko brakowało, żeby porazić porucznika Szkarłatnej Gwardii.

– Przyprowadziłaś tu Srebrnego? – syczy Tristan. – *Księcia*? Wiesz, co moglibyśmy zrobić, gdybyśmy go pojмали? Jaką mielibyśmy kartę przetargową?

Chociaż góruje nade mną posturą, nie cofam się.

– Zostaw go w spokoju.

– Kilka tygodni pławienia się w luksusie i już krew w twoich żyłach zdążyła zmienić kolor – cedzi, patrząc na mnie jak na ohydneho robaka, którego należy rozdeptać. – Co teraz, zamierzasz mnie usmażyć?

Dotyka mnie swoimi słowami do żywego i dobrze o tym wie. Opuszczam ręce w obawie, że mimo wszystko nie zdołam nad nimi zapanować.

– Nie staram się ochronić jego, ale *ciebie*, ty głupcze. Cał to urodzony wojownik, od małego szkolony, żeby zabijać. Mógłby spalić całą tę wioskę, gdyby tylko chciał. – Oczywiście nie zrobiłby tego. „Mam nadzieję”.

Dłonie Tristana wędrują w stronę pistoletów.

– Niech tylko spróbuje.

Jednak w tym momencie Will kładzie pomarszczoną dłoń na ramieniu mężczyzny. Ten gest wystarcza, żeby porucznik ochłonął.

– Dość – szepcze Will. – Po co przyszłaś, Mare? Kilorn jest bezpieczny, twoi najbliżsi również.

Oddycham głęboko, nie spuszczaając oczu z Tristana. Przed sekundą groził, że porwie Cala dla okupu, i z jakiegoś powodu myśl o tym poruszyła mnie do głębi.

– Mój... – przerywam, jeszcze się nie nauczyłam, jak o tym mówić. – Shade należał do Gwardii.

– Nie jest to pytanie, ale stwierdzenie oczywistego faktu. Will opuszcza wzrok, nawet Tristan zwiesza głowę. – Zabili go za to. Zabili mojego brata, a teraz chcą, żebym tańczyła, jak mi zagrają, jak gdyby nigdy nic się nie stało.

– Zginiesz, jeśli im się sprzeciwisz – Will wypowiada kolejną oczywistość.

– Nie chcę się sprzeciwiać. Będę mówiła to, co chcą usłyszeć. Ale... – zawieszam głos, jak gdybym zawahała się tuż przed skokiem w przepaść. – Mieszkam w pałacu, w samym centrum ich świata. Działam szybko, po cichu i mogę się przydać sprawie.

Tristan z sykiem wciąga powietrze i wypręża się jak struna. Mimo że jeszcze przed chwilą kipiał wściekłością, teraz z jego oczu błyska coś na kształt dumy.

– Chcesz się do nas przyłączyć.

– Tak.

Will zaciska szczękę, przeszywa mnie spojrzeniem.

– Mam nadzieję, że wiesz, do czego się zobowiązujesz. To nie będzie już tylko moja wojna czy wojna Farley i Szkarłatnej Gwardii, to będzie również twoja wojna. Do samego końca. I nie będziesz

jej toczyć, żeby pomścić brata, ale by pomścić nas wszystkich. Będziesz walczyć za tych, którzy polegli przed nami, i za tych, którzy nadejdą po nas.

Wyciąga do mnie sękatą dłoń i po raz pierwszy dostrzegam tatuaż wokół jego nadgarstka: czerwoną opaskę. Podobną do tych, które Srebrni każą nam zakładać. Tyle że on będzie nosił swoją już na zawsze. Jest jego częścią, tak jak płynąca w nas krew.

– Jesteś z nami, Mare Barrow? – pyta, ujmując mnie za rękę. „Jeszcze więcej walk, jeszcze więcej śmierci”, powiedział Cal. „Ale być może się myli. Może uda nam się to zmienić”.

Zaciskam palce na dłoni Willa. Czuję znaczenie tej chwili, ogromną wagę tego małego gestu.

– Jestem z wami.

– Powstaniemy – jednym głosem szepczą mężczyźni. Przypominam sobie słowa i dokańczam razem z nimi: – Czerwoni niczym świt.

W migotliwym blasku świecy nasze cienie na ścianie przypominają olbrzymy.

*

Gdy wracam do Cala czekającego na obrzeżach osady, czuję się lżejsza, ośmielona swoją decyzją i perspektywą tego, co może się stać. Cal idzie obok, zerka na mnie od czasu do czasu, ale nie odzywa się. W chwilach, gdy ja naciskałabym i drażyła, żeby siłą wydobyć z kogoś odpowiedź, on zachowuje się zupełnie inaczej. Może postępuje zgodnie z wojskową taktyką, którą wyczytał w jednej ze swoich książek: „pozwól, aby to wróg przyszedł do ciebie”.

„Ponieważ tym właśnie jestem. Jego wrogiem”.

Zadziwia mnie, podobnie jak jego brat. Obydwaj są życzliwi, chociaż wiedzą, że jestem Czerwona i nie powinni w ogóle się mną przejmować. A jednak Cal zaprowadził mnie do domu, zaś Maven zorganizował tę wizytę, ponieważ chciał mi pomóc. „Dziwne z nich chłopaki”.

Gdy ponownie zagłębiamy się w las, Cal nagle poważnieje, jak gdyby zamierzał poruszyć istotny temat.

– Muszę porozmawiać z królową o zmianie twojego planu zajęć.

– Dlaczego?

– Niemal wybuchłaś – tłumaczy łagodnie. – Musisz zacząć trenować razem z nami, aby coś takiego więcej się nie powtórzyło.

„Trenuję z Julianem”. Jednak w głębi duszy wiem, że ćwiczenia z nim nie zastąpią szkolenia, które przechodzą Cal, Maven i Evangeline. Jeśli nauczę się choć *połowy* tego, co oni potrafią, kto wie, jak bardzo będę mogła się przydać Gwardii? I jak skutecznie pomścić Shade’a?

– Jeśli dzięki temu dadzą mi spokój z protokołem, nie odmówię.

Zbliżyliśmy się do zamaskowanego motoru. Cal zamierza zdjąć gałęzie zakrywające pojazd, raptem jednak odskakuje. Jego ręce płoną i podobny ogień błyszczy w jego oczach.

– Ktoś nas obserwuje.

Nie wątpię w jego słowa. Wierzę, że jego wyostrzona latami szkoleń czujność nie zawodzi, ale co może mu tutaj zagrozić? Czego może się obawiać w lesie nieopodal zapadłej, pogrążonej we śnie wioski? „W której roi się od buntowników”, przypominam sobie.

Jednak zamiast Farley czy bandy uzbrojonych rebeliantów, z krzaków wyłania się Kilorn. Zapomniałam już, jaki jest zwinny i jak sprawnie się porusza w ciemnościach.

Dłonie Cala gasną, po groźnych płomieniach pozostają jedynie obłoczki jasnego dymu.

– Och, to ty.

Kilorn odrywa ode mnie spojrzenie i przenosi chmurne oczy na Cala, po czym pochyla głowę w szyderczym ukłonie.

– Proszę wybaczyć, Wasza Wysokość.

Zamiast zaprzeczyć, Cal jeszcze bardziej się prostuje. Biję od niego królewska godność. Nie odpowiada, obraca się do motoru i zaczyna zdejmować zakrywające pojazd gałęzie. Czuję jednak na sobie jego wzrok i wiem, że bacznie obserwuje wszystko, co dzieje się między Kilornem a mną.

– Naprawdę to zrobisz? – pyta Kilorn, który wygląda niczym ranne zwierzę. – Naprawdę nas zostawisz? Żeby stać się jedną z nich?

Jego słowa bolą bardziej niż policzek. Chcę mu powiedzieć, że *nie mam żadnego wyboru*.

– Widziałeś, co się stało w domu, do czego jestem zdolna. Oni mi *pomogą*. – Nie mogę się nadziwić, z jaką łatwością przychodzą mi kłamstwa. Pewnego dnia może nawet uda mi się okłamać samą siebie, że jestem szczęśliwa. – Odchodzę tam, gdzie moje miejsce.

Mój przyjaciel kręci głową i chwytą mnie za rękę, jak gdyby pragnął pociągnąć mnie ze sobą w przeszłość, do czasów, gdy nasze zmartwienia i problemy były o niebo prostsze.

– Twoje miejsce jest tutaj.

– Mare. – Cal cierpliwie czeka, opierając się o siedzenie motoru, ale głos ma stanowczy, pobrzmiwa w nim ostrzeżenie.

– Muszę iść. – Usiłuję wyminąć Kilorna, zostawić go za sobą, on jednak mnie nie puszcza. Zawsze był silniejszy ode mnie. I chociaż z całego serca pragnę zostać przy nim, wiem, że to niemożliwe.

– Mare, proszę...

W tym momencie uderza nas fala gorąca niczym snop nagle zapalonego światła.

– Puść ją – warczy Cal, zbliżając się do mnie. Od ciepła, które wydziela, zaczyna drgać powietrze. Dostrzegam, że coraz trudniej mu zapanować nad sobą, jeszcze chwila i coś się w nim przevaży.

Kilorn prycha, w nim również wszystko się gotuje, jest jednak taki sam jak ja. Jesteśmy

złodziejami, *szczurami*. Wiemy, kiedy walczyć, a kiedy uciekać. Niechętnie się cofa, przeciągając palcami po mojej ręce, dłoni, palcach. Być może widzimy się po raz ostatni.

Powietrze stygnie, ale Cal nie rusza się z miejsca. Jestem narzeczoną jego brata – musi mnie strzec.

– O mnie również się upomniałaś, ocaliłaś mnie przed poborem – odzywa się Kilorn łagodnie. Nareszcie zrozumiał cenę, jaką zapłaciłam. – Ratowanie mojej skóry weszło ci w nawyk.

Potrafię się zdobyć za ledwie na skinienie głową i szybko nakładam kask, żeby ukryć łyzy, które zakreśliły mi się w oczach. Idę sztywno za Calem, osuwam się na siedzenie za jego plecami.

Kilorn postępuje krok do tyłu i wzdraga się, gdy silnik zaczyna warczeć. Potem jednak uśmiecha się znacząco, a na jego twarzy pojawia się ten sam wyraz, za który zawsze miałam ochotę rozkwasić mu nos.

– Pozdrowię od ciebie Farley.

Motor ryczy jak dzikie zwierzę, zrywa się i pędzi przed siebie, zabierając mnie od Kilorna, Palów i dawnego życia. Strach rozlewa się po moich żyłach niczym trucizna, po chwili czuję, że lęk wypełnia całe moje ciało. Nie boję się jednak o siebie. Już nie. Drzę o Kilorna, który zamierza zrobić coś zupełnie idiotycznego.

Znajdzie Farley. „I przyłączy się do niej”.

ROZDZIAŁ 15

Następnego ranka otwieram oczy i widzę nad sobą jakąś postać. „To koniec. Opuściłam pałac, złamałam zasady i teraz za to zapłacę.

Ale nie wezmą mnie bez walki”.

Zanim napastnik zdąży wykonać jakikolwiek ruch, wyskakuję z łóżka, gotowa zaciekle się bronić. Napinam mięśnie i czuję, jak ożywa we mnie cudowne drganie energii. Okazuje się jednak, że przede mną stoi nie zabójca, ale ubrana w czerwony uniform kobieta. A w następnej sekundzie poznaję jej twarz.

Walsh nic się nie zmieniła, choć ona z pewnością nie mogłaby powiedzieć tego samego o mnie. Stoi obok metalowego stolika na kółkach, na którym znajdują się herbata, chleb i różne smakołowki – cokolwiek mogłabym sobie zażyczyć na śniadanie. Chociaż pozostaje sumienną służącą i nie odzywa się ani słowem, natarczywie wpatruje się we mnie rozszerzonymi oczami. Spogląda na moją dłoń i znane mi aż nazbyt dobrze iskry pełzające po palcach. Zrzucam je z siebie, strzepując zaczątki błyskawicy, która momentalnie znika pod skórą.

– Bardzo cię przepraszam! – wołam, przyskakując do znajomej służącej. – Walsh...

Kobieta w milczeniu zaczyna się krzątać przy stoliku, jednak ku mojemu zdumieniu odwraca twarz w moją stronę i porusza ustami, bezgłośnie wymawiając cztery słowa. Słowa, które tkwią mi już w pamięci jak modlitwa – albo jak przekleństwo. „Powstaniemy, Czerwoni niczym świt”.

Nim zdołam coś powiedzieć, nim otrząsnę się ze zdziwienia, Walsh wciska mi w dłoń filiżankę herbaty.

– Czekał... – Wyciągam do niej rękę, ale ona cofa się i składa niski ukłon.

– Pani – mówi, po czym odwraca się do wyjścia, gwałtownie ucinając naszą rozmowę.

Pozwalam jej odejść, odprowadzam ją wzrokiem, dopóki nie zamykają się za nią drzwi. Znowu zostaję sama, a pustkę wokół mnie wypełnia jedynie echo jej niewypowiedzianych słów.

„Walsh również należy do Gwardii”.

Filiżanka herbaty, którą trzymam, jest zimna w dotyku. Zbyt zimna.

Zaglądam do niej i widzę, że wypełnia ją nie ciepły napar, ale woda. Na dnie naczynia leży

kawałeczek papieru, z którego powoli znika atrament. Ciemna smużka miesza się z wodą stopniowo wysysającą napis, dopóki jedynym śladem, jaki po nim pozostaje, nie jest mętny szary płyn i zwinięta karteczka. Zniknął jedyny dowód mojego pierwszego działania w ruchu oporu.

Wiadomość nie była trudna do zapamiętania. Zawarto ją w jednym słowie.

Północ.

Świadomość, że tak łatwo nawiązałam kontakt z Gwardią, powinna mnie podnosić na duchu, jednak z jakiegoś powodu cała drzę. „Może obserwują mnie tutaj nie tylko kamery”.

I nie jest to jedyna informacja, która czeka mnie tego ranka. Na nocnym stoliku leży nowy plan dnia nakreślony irytująco nienagannym charakterem pisma królowej.

Zmienił się twój rozkład zajęć: 6.30 – śniadanie, 7.00 – trening, 10.00 – protokół, 11.30 – lunch, 13.00 – protokół, 14.00 – lekcje, 18.00 – kolacja. Lucas będzie cię odprowadzał na zajęcia. Plan dnia nie podlega dyskusji.

Jej Królewska Wysokość Królowa Elara

*

– W końcu dorzucili ci trening? – Lucas uśmiecha się do mnie, a w jego głosie pobrzmiwa duma, gdy odprowadza mnie na pierwszą sesję. – Albo byłaś bardzo grzeczna, albo bardzo niegrzeczna.

– Pół na pół.

„Chyba jednak bardziej niegrzeczna”, przypominam sobie incydent podczas wczorajszych odwiedzin w domu. Wiem, że nowy plan dnia to sprawka Cala, ale nie spodziewałam się, iż tak szybko wprowadzi swój pomysł w życie. Szczerze mówiąc, cieszę się na myśl o treningu. Jeśli będzie choć trochę przypominał to, co widziałam w wykonaniu Cala i Mavena – zwłaszcza ich ćwiczenia praktyczne – na pewno będę daleko w tyle za wszystkimi, ale przynajmniej będę miała z kim zamienić choć parę słów. A jeśli mi się poszczęści, okaże się, że Evangeline śmiertelnie zachoruje i do końca swoich marnych dni będzie przykuta do łóżka.

Lucas kręci głową, tłumiąc chichot.

– Uważaj. Instruktorzy są znani z tego, że potrafią złamać nawet najmocniejszych żołnierzy. I nie przypadnie im do gustu twój niewyparzony język.

– A mnie nie przypadnie do gustu, jeśli ktoś będzie próbował mnie złamać – odparowuję. – Jak wyglądały twoje treningi?

– Cóż, kiedy skończyłem dziewięć lat, poszedłem od razu do wojska, więc przebiegało to trochę inaczej. – Jego oczy pochmurnieją.

– *Dziewięć?* – Wydaje mi się to niemożliwe. Nie bierze się dzieci do wojska, niezależnie od tego, czy mają umiejętności, czy nie.

Lucas jednak wzrusza ramionami, jak gdyby mówił o czymś normalnym.

– Najlepiej trenuje się na froncie. Nawet księżęta przechodzą tam szkolenie.

– Ale teraz jesteś tutaj – mówię. Przyglądam się mundurowi Lucasa, czarno-srebrnym barwom przypisanym strażnikom. – Nie jesteś już żołnierzem.

Po raz pierwszy delikatny uśmiech Lucasa znika zupełnie.

– Wojna zostawia ślad – przyznaje, bardziej przed sobą niż przede mną. – Ludzie nie powinni walczyć za długo.

– A Czerwoni? – pytam bez zastanowienia. „Bree, Tramy, Shade, tata, ojciec Kilorna. I tysiące innych. Miliony innych”. – Znoszą wojnę lepiej niż Srebrni?

Lucas milczy. Dopiero gdy docieramy do sali ćwiczeń, w końcu odpowiada, a w jego głosie słychać skrepowanie.

– Tak jest urządzony ten świat. Czerwoni służą, Czerwoni pracują, Czerwoni walczą. Do tego się nadają. Do tego są *stworzeni*. – Muszę przygryźć język, żeby nie wrzasnąć z oburzenia. – Nie każdy może być wyjątkowy.

Wzbiera we mnie gniew, ale nie odzywam się słowem. Gdybym straciła panowanie nad sobą, choćby i w obecności Lucasa, na pewno nie zostałyby to dobrze odebrane.

– Dalej poradzę sobie sama – oznajmiam chłodno.

Strażnik zauważa zmianę w moim tonie i pochmurnieje. Kiedy się odzywa, mówi cicho i szybko, jak gdyby nie chciał, aby usłyszał go ktoś poza mną.

– Nie mogę sobie pozwolić na zadawanie pytań – mamrocze, przeszywając mnie świdrującym spojrzeniem czarnych oczu. – Podobnie jak ty.

Serce podchodzi mi do gardła, gdy uzmysławiam sobie ukryte znaczenie jego słów. „Lucas wie, że jestem kimś więcej niż głosi wersja oficjalna”.

– Lucas...

– Nie jestem tu od zadawania pytań. – Marszczy brwi, jak gdyby usiłował mi coś przekazać, uspokoić mnie. – Panno Tytaniusz. – Wymawia mój tytuł z mocą, która sprawia, że brzmi on inaczej niż do tej pory, jakby przestał być jedynie tajną bronią w rękach królowej, a stał się również moją tarczą.

„Lucas nie będzie o nic pytał”. Chociaż ma ciemne oczy, Srebrną krew i pochodzi z rodu Samosów, nie zrobi niczego, co rzuciłoby cień na mój wizerunek, od którego zależy całe moje życie.

– Proszę postępować zgodnie z rozkładem, wielmożna panno. – Odnosi się do mnie bardziej oficjalnie niż kiedykolwiek wcześniej. Skinieniem głowy wskazuje drzwi, pod którymi czeka Czerwony służący. – Przyjdę po zakończeniu treningu.

– Dziękuję, Lucasie – tylko tyle daję radę wykrztusić. Dostałam od niego o wiele więcej, niż

mogłam się spodziewać.

Służący wręcza mi rozciągliwy czarny strój w fioletowe i srebrne pasy, po czym wskazuje niewielkie pomieszczenie, w którym szybko przebieram się w kombinezon treningowy. Przypomina on moje dawne ubrania – te, które miałam w Palach: znoszone, ale schludne, dopasowane do ciała, ale niekrępujące ruchów.

Gdy wchodzę na salę, doskonale wiem, że spojrzenia wszystkich oczu kierują się na mnie, podobnie zresztą jak obiektywy zamontowanych w pomieszczeniu kamer. Podłoga jest miękka i sprężysta, amortyzuje każdy krok. Wysoko nad nami widnieje ogromny świetlik, który jak gdyby specjalnie mi na złość ukazuje błękitne letnie niebo i pierzaste chmury. Kręte schody prowadzą na zawieszane na różnych wysokościach kolejne poziomy wyposażone w różnorakie sprzęty. W ścianach sali znajduje się także wiele okien. Jedno z nich to okno klasy pani Blonos, nie mam jednak pojęcia, do jakich pomieszczeń należą pozostałe i kto może z nich oglądać trening.

Powinnam się denerwować, wchodząc do hali pełnej nastoletnich wojowników, z których każdy jest lepiej wyszkolony ode mnie. Tymczasem moje myśli krążą tylko wokół jednej osoby – lodowatej jak sople i nieznośnej jak zgrzyt metalu Evangeline Samos. Jeszcze zanim dojdę do połowy sali, przyszła królowa rzuca pierwszą ociekającą jadem uwagę:

– Tak szybko ukończyłaś kurs protokołu? Czyżbyś zdążyła już opanować arcytrudną sztukę zakładania nogi na nogę podczas siedzenia? – szydzi, wychylając się spod sprzętu służącego do podnoszenia ciężarów. Srebrne włosy ma zaczesane do tyłu i misternie zaplecione w wymyślny warkocz, który mam ochotę odciąć jednym błyskawicznym ruchem, jednak widok metalowych ostrzy połyskujących u jej pasa szybko wybija mi ten pomysł z głowy. Podobnie jak ja i wszyscy pozostali ma na sobie kombinezon ozdobiony rodowymi barwami. W czerni i srebrze wygląda zabójczo.

Sonia i Elane stoją u jej boków, a na ich twarzach malują się uśmiechy pełne wyższości. Teraz, gdy nie czuję się już onieśmielona w ich towarzystwie, zauważam, że starają się podlizać przyszłej władczyni.

Próbuję zlekceważyć wszystkie trzy dziewczyny i rozglądam się za Mavenem. Siedzi w kącie, z dala od innych. „Przynajmniej będziemy mogli być przez chwilę sami”. Gdy ruszam w jego kierunku, odprowadzają mnie szepty i spojrzenia młodych arystokratów. Kilka osób uprzejmie pochyla głowy, ale większość przygląda mi się z rezerwą. Szczególnie podenerwowane wydają się dziewczęta; w końcu sprzątnęłam im sprzed nosa jednego z książąt.

– Nie spieszyłaś się – chichocze Maven, kiedy siadam obok niego. Nie wygląda na to, żeby trzymał się blisko z innymi, ani na to, żeby chciał z nimi trzymać. – Gdybym nie znał cię lepiej, pomyślałbym, że nas unikasz.

– Tylko jednej z was – odpowiadam, zerkając na Evangeline, która popisuje się przed ścianą z

tarczami. Otoczona wianuszkami koleżanek daje oszałamiający pokaz swoich umiejętności, ze świstem posyłając metalowe noże w sam środek celu.

Maven przygląda mi się w zamyśleniu.

– Kiedy wrócimy do stolicy, nie będziesz musiała często się z nią spotykać – mówi cicho. – Ona i Cal będą mieli pełne ręce roboty, czekają ich wyjazdy, różne obowiązki. Nas zresztą również.

Cieszy mnie świadomość rychłego uwolnienia się od towarzystwa Evangeline, ale przypominam sobie również o zbliżającym się wyjeździe. Niedługo będę zmuszona opuścić Palatium, dolinę, rodzinne strony.

– Wiesz, kiedy dokładnie wracacie... – urywam i zaraz się poprawiam – to znaczy, kiedy wracamy do stolicy?

– Po Pożegnalnym Balu. Słyszałaś o nim?

– Tak, twoja matka wspominała coś na ten temat, a pani Blonos próbuje nauczyć mnie tańczyć. – Milknę nieco speszona. Wczoraj nauczycielka usiłowała pokazać mi kilka kroków, ale skończyło się na potknięciach, deptaniu po palcach i upadku. Złodziejstwo opanowałam, ale wirowanie na parkiecie wydaje się poza moimi możliwościami. – Z naciskiem na słówko: „próbuję”.

– Nie przejmuj się, i tak to nie my będziemy mieli najgorzej.

Na myśl o tańcu dostaję gęsiej skórki, ale staram się zapanować nad strachem.

– A kto będzie miał najgorzej?

– Cal – odpowiada bez wahania. – Braciszek będzie musiał znieść mnóstwo głupich rozmów i obtańcować całą gromadę denerwujących pannic. Pamiętam, jak w zeszłym roku... – urywa, śmiejąc się w głos na samo wspomnienie – Sonia Iral cały wieczór za nim chodziła, bawiła się w odbijanego, próbowała odciągnąć go na bok, żeby mieli odrobinę „prywatności”. Musiałem wkroczyć do akcji i przetańczyć z nią całe dwa tańce, żeby dać Calowi trochę odetchnąć.

Wybucham śmiechem, gdy wyobrażam sobie braci jednoczących siły przeciwko armii zdesperowanych dziewcząt oraz podstępny, do jakich się uciekali, żeby wybawiać się nawzajem z opresji. Kiedy jednak ja się rozweselam, Maven poważnieje.

– Teraz przynajmniej na każdym kroku będzie mu towarzyszyć wielmożna panna Samos. Pozostałe nie odważą się wejść jej w drogę.

Prycham, przypominając sobie jej dotkliwy uścisk i ślady po ostrych paznokciach na mojej ręce.

– Biedny Cal.

– Jak udały się wczorajsze odwiedziny? – pyta Maven, mając na myśli moją wizytę w domu. „Zatem Cal o niczym mu nie powiedział”.

– Było ciężko. – Nie potrafię opisać tego inaczej. Teraz moja rodzina wie, kim jestem, a Kilorn rzucił się na pożarcie lwom. No i jeszcze śmierć Shade’a. – Jeden z moich braci został ścięty, zanim

przyszedł nakaz zwolnienia.

Maven porusza się, prawdopodobnie czuje się nieswojo. Słusznie, w końcu zrobili to jego pobratymcy. Czuję dotyk jego dłoni, którą przykrywa moją dłoń.

– Przykro mi, Mare. Na pewno nie zasłużył na taki koniec.

– To prawda, nie zasłużył – szepczę, doskonale pamiętając, dlaczego brat zginął. Teraz wkroczyłam na tę samą ścieżkę.

Maven wpatruje się we mnie uważnie, jak gdyby usiłował wyczytać z moich oczu tajemnice, które się w nich skrywają. Choć raz cieszę się, że pobieram nauki u pani Blonos, inaczej mogłabym pomyśleć, iż księżę tak samo jak królowa potrafi czytać w myślach. To jednak niemożliwe, jest Płomiennym i do tego ograniczają się jego umiejętności. Mało który Srebrny dziedziczy zdolności po matce i żaden nie posiada więcej niż jednej umiejętności. Dlatego moja tajemnica, przynależność do Szkarłatnej Gwardii, jest bezpieczna.

Gdy księżę wyciąga rękę, żeby pomóc mi się podnieść, opieram się na niej. Pozostali uczestnicy treningu rozgrzewają się, większość wykonuje ćwiczenia rozciągające lub biega naokoło sali, jednak niektórzy wolą bardziej imponującą rozgrzewkę. Sylwetka Elane, która zagina promienie świetlne, raz po raz traci wyrazistość, aż w końcu zupełnie znika. Oliver z domu Laris, Wietrzyc, tworzy między dłońmi miniaturową trąbę powietrzną, wzbijając w górę pyłki kurzu. Sonia prowadzi leniwą wymianę ciosów z Androsem Eagrie, niskim, ale muskularnym osiemnastolatkiem. Jako jedna z Jedwabistych Sonia jest brutalna, zręczna, szybka i powinna zwyciężyć przeciwnika, ale Andros wytrwale odpiera jej ataki, wirując niczym w tańcu. Srebrni z domu Eagrie są Dalekowzroczni, co oznacza, że potrafią przewidzieć najbliższą przyszłość, i Andros doskonale wykorzystuje swój talent. W pojedynku, który prowadzi z Sonią, żadnej ze stron nie udaje się zyskać przewagi, a ich wyrównane starcie bardziej niż zaciętą walkę przypomina widowiskowy pokaz.

Mogę sobie tylko wyobrazić, co pokazałiby, gdyby na serio się do tego przyłożyli. Są tak silni, tak potężni, a do tego jeszcze nie są dorośli. W tym momencie nadzieja, którą przez krótką chwilę czułam, znika, a jej miejsce zajmuje strach.

– Zbiórka – rozlega się cichy głos, nieomal szept.

Na salę, milcząc, wchodzi mój nowy instruktor, u jego boku kroczy Cal, za nimi zaś maszeruje Psychik z domu Provos. Cal, jak przystało na dobrze wyszkolonego żołnierza, idzie krok w krok z trenerem, który wydaje się mały i niepozorny w porównaniu z barczystym przysłym królem. Na bladej twarzy instruktora rysują się liczne zmarszczki, jego włosy są równie białe jak strój, który nosi. „Dom Arven, ród Uciszaczy”, przypominam sobie wiadomości z lekcji pani Blonos. Jeden z najznamienitszych domów, silny i potężny, czyli dokładnie taki, jakie považają Srebrni. Pamiętam tego mężczyznę z czasów, zanim zostałam Mareeną Tytaniusz i byłam zaledwie kilkuletnią

dziewczynką. Nadzorował transmitowane w telewizji egzekucje w stolicy, prowadził na śmierć Czerwonych, a nawet Srebrnych. Teraz już wiem, dlaczego jemu przypadła ta rola.

Potomkini rodu Haven nagle pojawia się przed naszymi oczami, znów widzialna, wiatr wirujący między dłońmi Olivera uspokaja się. Tnące powietrze noże Evangeline raptem spadają na podłogę i nawet ja czuję, że spowija mnie kojąca nicość obezwładniająca mój elektryczny zmysł.

Instruktor Rane Arven sprowadza ciszę. Sprawia, że Srebrni stają się tacy sami jak ci, których najbardziej nienawidzą: Czerwoni. Umie *wyłączać* ich umiejętności. Przemieniać ich w *normalnych* ludzi.

Podczas gdy wpatruję się w trenera, Maven prowadzi mnie na zbiórkę i ustawia tuż za sobą. Cal zajmuje miejsce na samym początku szeregu, zaś Evangeline stoi na przodzie drugiego rzędu utworzonego równoległe do naszego, i choć raz wydaje się nie zwracać na mnie uwagi. Nie odrywa oczu od Cala, który porusza się pewnie i z godnością, doskonale czując się w roli przywódcy.

Arven nie traci czasu na powitania i zaznajamianie się ze mną. Prawdę mówiąc, zdaje się ledwo zauważać moją obecność na treningu.

– Rundy – rzuca ostrym niskim głosem.

„Dobrze. W końcu coś, co potrafię”.

Ruszamy jeden za drugim i okrążamy salę spokojnym truchtem w rozkosznym milczeniu. Przyspieszam zadowolona, że nareszcie zażywam trochę ruchu, którego bardzo mi brakowało, i po chwili zrównuję się z Evangeline. Mija kolejna chwila i biegnę już tylko z Caliem, dyktując tempo całej reszcie. Cal uśmiecha się lekko, gdy widzi, jak biegam. To akurat umiem i lubię robić.

Dziwnie się czuję, gdy miękkie podłoże ugina się lekko pod stopami, ale krew pulsująca w uszach, pot i rytmiczny oddech są mi dobrze znane. Kiedy zamknę oczy, mogę udawać, że jestem z powrotem w wiosce, z Kilornem, braćmi albo zupełnie sama. Po prostu wolna.

Uczucie wolności opuszcza mnie dopiero wtedy, gdy kawałek ściany wysuwa się i trafia mnie prosto w brzuch.

Uderzenie zwala mnie z nóg, padam na podłogę jak długa, ale tak naprawdę cierpi na tym głównie moja duma. Grupa biegaczy wymija mnie, Evangeline zerka przez ramię i rzuca mi uśmiech pełen wyższości, gdy zostaję z tyłu. Jedynie Maven zwalnia i czeka, aż go dogonię.

– Witamy na treningu – chichocze, patrząc, jak wstaję i omijam przeszkodę.

Na całej sali fragmenty ścian poruszają się, tworząc tor przeszkód dla biegaczy. Wszyscy uczestnicy treningu natychmiast się do tego dostosowują; są przyzwyczajeni do tego typu ćwiczeń. Cal i Evangeline biegną na przodzie, pokonując górą lub dołem kolejne utrudnienia. Kątem oka zauważam Psychika z domu Provos przestawiającego kawałki ścian. Wydaje mi się nawet, że spogląda na mnie z ukosa i uśmiecha się złośliwie.

Mam ochotę warknąć coś do niego, powstrzymuję się jednak i wracam do truchtu, Maven biegnie tuż obok, nie oddala się bardziej niż na krok, i zaczyna mnie to dziwnie złościć. Przyspieszam stopniowo, aż w końcu mknę i przeskakuję przeszkody najszybciej jak potrafię. Jednak Maven to nie to samo, co strażnicy w Palach – trudno mu uciec.

Gdy biegniemy ostatnią rundę, jedynie Cal nie jest zlany potem. Nawet Evangeline wygląda na wymęczoną, chociaż próbuje to ukryć. Ja dyszę głośno, ale jestem z siebie dumna. Pomimo trudnego początku nadążyłam za innymi.

Instruktor Arven przygląda nam się przez chwilę, jego spojrzenie spoczywa na mnie, po czym zwraca się do Psychika.

– Poproszę o cele, Theo – znów odzywa się szeptem. Czuję, jak moje umiejętności wracają niczym promienie słońca, które po odsłonięciu kotary zalewają mroczne wnętrza.

Asystent – Psychik – wykonuje gest dłonią i część podłogi odsuwa się, ukazując dziwną broń, którą widziałam z okna klasy pani Blonos. Uzmysławiam sobie, że nie jest to żadna maszyna, ale zwykły walec poruszający się nie dzięki pracy jakiegoś mechanizmu, tylko poleceniom Psychika. „Umiejętności to jedyne, co posiadają”.

– Panno Tytaniusz – mówi cicho Arven, a mnie przechodzą ciarki. – Słyszałem, że dysponujesz interesującą zdolnością.

Ma na myśli błyskawicę, niszczycielskie fioletowo-białe pociski, ale mnie przychodzi do głowy to, co usłyszałam wczoraj od Juliana. „Nie tylko kontroluję, ale wytwarzam. Jestem wyjątkowa”.

Wszystkie spojrzenia kierują się na mnie, jednak zaciskam szczęki, nakazując sobie spokój.

– Moja zdolność jest interesująca, ale nie niespotykana – odpowiadam. – Z chęcią nauczę się czegoś na jej temat, wielmożny panie.

– Możesz zacząć naukę już teraz – odpowiada trener, a stojący za nim Psychik napina się.

Na dany znak w powietrze wylatuje kulisty cel, pędząc szybciej, niż się spodziewałam.

„Opanuj – powtarzam w duchu słowa Juliana. – Skoncentruj się”.

Tym razem czuję szarpnięcie, gdy zaczynam wysysać elektryczność z powietrza i ze swojego wnętrza. Energia gromadzi się między moimi rękami w postaci przeskakujących iskier, jednak zanim zdążam wypuścić pocisk, rozsypuje się on na setki ogników, które spadają na ziemię i znikają. Evangeline rzy za moimi plecami, ale gdy się obracam, żeby spiorunować ją spojrzeniem, mój wzrok pada na Mavena. Księżę wykonuje nieznaczne skinienie głową, zachęcając mnie do kolejnej próby. Obok niego stoi Cal z rękami skrzyżowanymi na piersiach, a na jego twarzy maluje się wyraz, którego nie potrafię odczytać.

Kolejny cel wystrzela i koziołkuje w powietrzu. Tym razem iskry pojawiają się szybciej, ożywają i jaśnieją w chwili, gdy kula znajduje się w najwyższym punkcie toru lotu. Podobnie jak robiłam to

podczas zajęć z Julianem, zaciskam pięść i czując przepływającą przeze mnie moc, rzucam.

Błyskawica kreśli piękny, widowiskowy łuk i trafia w bok zniżającego się celu, który w zderzeniu z moją mocą rozsypuje się na kawałki. Odłamki kuli, iskrząc się i dymiąc, spadają na podłogę.

Nie potrafię powstrzymać uśmiechu zadowolenia, który rozlewa mi się po twarzy. Za mną Maven i Cal biją brawo, do aplauzu przyłącza się kilka innych osób. Na pewno nie są to Evangeline i jej koleżanki – wyglądają na niemal obrażone moim sukcesem.

Jednak instruktor Arven nie komentuje, nie zadaje sobie nawet tyle trudu, żeby mi pogratulować. Patrzy nade mną na resztę grupy.

– Następny.

*

Trening nas wykańcza, instruktor każe wykonywać różne, coraz bardziej mordercze ćwiczenia, które mają udoskonalić nasze umiejętności. Oczywiście zostaję w tyle za wszystkimi, ale widzę również, że robię postępy. Pod koniec sesji ociekam potem i jestem obolała na całym ciele. Lekcja z Julianem przynosi mi ulgę, mogę w końcu usiąść i odzyskać siły. Jednak nawet poranny trening nie jest w stanie całkiem pozbawić mnie energii – *zbliża się północ*. Im szybciej czas ucieka, tym bliżej do wyznaczonego spotkania, do następnego kroku w kierunku przejęcia kontroli nad własnym losem.

Julian nie zauważa mojego niepokoju, prawdopodobnie dlatego, że jest po uszy pogrążony w lekturze książek, które wyglądają na nowe. Każda ma około dwóch i pół centymetra grubości, na ich okładkach widnieją starannie wykaligrafowane cyfry oznaczające kolejne lata, ale poza tym nie są opatrzone żadnymi napisami. Nie mam pojęcia, co to za księgi.

– Co to jest? – pytam, podnosząc jedną z nich. Wewnątrz znajdują się same spisy: wykaz imion i nazwisk, dat, miejscowości oraz przyczyn zgonów. Większość z tych ostatnich to utrata krwi, ale zdarzają się również choroby, uduszenie, utonięcie i różne inne makabryczne przypadki. Krew ścina mi się w żyłach, gdy uświadamiam sobie, co czytam. – Czarna lista.

Julian przytakuje skinieniem głowy.

– Upamiętnia każdą osobę, która zginęła, walcząc przeciwko Lakelandczykom.

„Shade”, myślę i czuję, że przewracają mi się wnętrzności. Coś mi mówi, że jego nazwisko nie znajdzie się na tego typu liście. Dezerterzy nie zasługują na to, aby uwieczniać ich imiona. Ogarnia mnie złość i pozwalam sobie pobiec myślami do lampki, przy której czytam. Zasilający ją prąd przywołuje mnie drganiem tak znajomym jak bicie serca. Samym tylko umysłem sprawiam, że światło lampki mruga w rytm przyspieszonego tętna.

Julian zauważa migające światło i ściera wargi.

– Coś się stało, Mare? – pyta oschle.

„Wszystko się stało”.

– Nie podoba mi się zmiana planu zajęć – odpowiadam wymijająco i przestaję się bawić lampką. Nie kłamię, ale nie mówię też całej prawdy. – Nie będziemy mogli trenować.

Julian tylko wzrusza ramionami, jego szaty koloru pergaminu falują. Wydają się nieco bardziej przybrudzone, jak gdyby on sam coraz bardziej przypominał kartę ze starych ksiąg.

– Z tego, co słyszałem, potrzeba ci więcej praktycznych wskazówek, niż mogę ci zaoferować.

Zaciskam zęby, przeżuważając w ustach słowa, zanim je z siebie wyrzucę.

– Cał powiedział ci, co się stało?

– Owszem – odpowiada spokojnie. – I słusznie zrobił. Nie miej mu tego za złe.

– Mogę mieć mu za złe wszystko, co mi się podoba – prychem, przypominając sobie książki o tematyce wojennej i poradniki uśmiercania rozrzucone po jego pokoju. – Jest taki sam jak inni.

Julian otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili rozmyśla się i wraca do studiowania książek.

– Mare, nie nazwałbym tego, co robimy, treningiem. Poza tym bardzo dobrze poszła ci dzisiejsza sesja.

– Widziałeś ją? Jak to?

– Poprosiłem o pozwolenie, żeby obserwować.

– Co...?

– Nieważne. – Podnosi wzrok i patrzy mi prosto w oczy. Jego głos nagle staje się melodyjny, wibrują w nim głębokie, uspokajające tony. Wypuszczam powietrze z płuc i uświadamiam sobie, że ma rację.

– Nieważne – powtarzam. Chociaż Julian nie mówi nic więcej, echo jego słów nadal wisi w powietrzu niczym kojąca bryza. – Czym się dzisiaj zajmiemy?

Nauczyciel uśmiecha się pod nosem do siebie.

– Mare.

Jego głos, znów zwyczajny, normalny i znajomy, rozprasza dziwne echa, które rozchodzą się niczym chmury rozgonione wiatrem.

– Co... co to, do cholery, było?

– Zdaje się, że pani Blonos nie opowiadała ci zbyt wiele o domu Jacos? – Nadal uśmiecha się nieznacznie. – Dziwię się, że sama nigdy nie zapytałaś.

Prawdę mówiąc, nie zastanawiałam się do tej pory nad umiejętnościami Juliana. Uznałam, że są mało znaczące, ponieważ on sam nie wydaje się tak napuszony, jak pozostali – jednak wygląda na to, że się myliłam. Jest silniejszy i bardziej niebezpieczny, niż przypuszczałam.

– Potrafisz wpływać na ludzi. Jesteś jak *ona*. – Na myśl o tym, że Julian, który mnie wspiera i

wyduje się dobrym człowiekiem, jest podobny do królowej, cała się trzęsę.

On jednak najwyraźniej nie przejmuje się oskarżeniem i znów przenosi spojrzenie na karty ksiąg.

– Nie jestem jak ona. Nie dorównuję jej siłą. Ani okrucieństwem. – Wzdycha głośno, po czym zaczyna tłumaczyć: – Nazywają nas Pieśniarzami. A przynajmniej nazywaliby, gdyby było nas więcej. Jestem ostatni z rodu i ostatni, no cóż, ze swojego rodzaju. Nie potrafię czytać w myślach, panować nad nimi ani przemawiać prosto do czyjegoś umysłu. Potrafię jednak śpiewać i jeżeli ktoś słyszy mój śpiew, a ja patrzę mu w oczy, mogę nakłonić taką osobę, żeby postępowała zgodnie z moim życzeniem.

Przechodzą mnie ciarki. „Nawet Julian”.

Powoli się odchyłam, pragnąc odsunąć się od niego. Nauczyciel oczywiście to zauważa, ale nie wydaje się, aby mój odruch go rozgniewał.

– Masz rację, że mi nie ufasz – mówi cicho. – Nikt mi nie ufa. Z jakiegoś powodu moimi jedynymi przyjaciółmi są książki. Ja jednak korzystam ze swojej umiejętności tylko w ostatecznych wypadkach i nigdy ze złych pobudek. – Parska ponurym śmiechem. – Gdybym naprawdę chciał, mógłbym wyśpiewać sobie drogę do tronu.

– Jednak tego nie zrobiłeś.

– Nie. Ani moja siostra, niezależnie od tego, co mówią inni.

„Matka Cala”.

– Raczej nikt tu o niej nie wspomina. Przynajmniej nie przy mnie.

– Ludzie nie lubią rozmawiać o zmarłych królowych – rzuca, odwracając się ode mnie. – Gadali jednak za jej życia. Coriane Jacos, Królowa Pieśniarka. – Nigdy nie widziałam takiego Juliana. Zwykle jest cichy, spokojny, może trochę szalony, ale nigdy nie bywał rozgniewany. Ani rozzalony. – Nie została wybrana podczas Królewskiej Próby. Nie wyłoniono jej w tradycyjnym obrzędzie tak jak Elarę, Evangeline czy choćby ciebie. Nie, Tybi poślubił moją siostrę, ponieważ ją kochał, a ona kochała jego.

„Tybi”. Określenie Tyberiasza Calore Szóstego, Króla Norty, Płomienia Północy mianem krótszym niż złożonym z siedmiu wyrazów wydało mi się śmieszne. Jednak on także kiedyś był młody. Był jak Cal – chłopak urodzony, żeby zostać władcą.

– Nienawidzili jej, ponieważ pochodziła z niskiego domu, ponieważ nie byliśmy tak silni i potężni jak inni, nie mieliśmy żadnej z tych cech, które im imponują – ciągnie Julian, nadal na mnie nie patrząc. Jego ramiona unoszą się w rytm ciężkiego oddechu. – A gdy moja siostra została królową, zaczęła być zagrożeniem dla ustalonego porządku rzeczy. Kierowało nią dobro i współczucie, mogła wychować Cala na monarchę, który potrafiłby zjednoczyć nas wszystkich. Na króla, który nie obawiałby się zmiany. Tak się jednak nie stało.

– Wiem, jak to jest stracić kogoś z rodzeństwa – szepczę, wspominając Shade’a. Cała ta sprawa wydaje mi się nierealna, jak gdyby wszyscy naokoło kłamali i tak naprawdę mój ukochany brat był teraz w domu, cały i zdrowy. Wiem jednak, że tak nie jest. Dowodem na to może być jego ciało, które gdzieś zakopano razem z odciętą głową. – Dowiedziałam się wczoraj w nocy. Mój brat zginął na froncie.

Julian w końcu się obraca, patrzy na mnie szklanymi oczami.

– Przykro mi, Mare. Nie wiedziałem.

– Skąd miałbyś wiedzieć? Wojsko nie wspomina o egzekucjach na swoich listach chwały.

– Dokonano na nim egzekucji?

– Za dezercję. – To słowo ma posmak krwi, kłamstwa. – Chociaż on by nigdy nie zdezerterował.

Po długiej chwili milczenia Julian kładzie dłoń na moim ramieniu.

– Wygląda na to, że mamy więcej wspólnego, niż ci się wydaje, Mare.

– Co przez to rozumiesz?

– Moją siostrę również zabito. Stała im na drodze, więc ją usunęli. I wierz mi – zniża głos – zrobią to ponownie, jeśli uznają to za konieczne. Nawet jeżeli będzie chodziło o Cala czy Mavena, a tym bardziej jeżeli będzie chodziło o *ciebie*.

„Tym bardziej jeżeli będzie chodziło o mnie. O dziewczynkę od błyskawic”.

– Myślałam, że zależy ci na zmianie.

– Zależy, to prawda. Jednak tego typu sprawy wymagają czasu, planowania i niewiarygodnego szczęścia. – Mierzy mnie spojrzeniem, jak gdyby wiedział, że postawiłam już pierwszy krok na tej zgubnej ścieżce. – Nie chcę, żebyś w coś się zamieszła.

„Za późno”.

ROZDZIAŁ 16

Od tygodnia wieczór w wieczór wpatruję się w zegar w oczekiwaniu na północ i zaczynam tracić nadzieję. Oczywiście, że Farley nie uda się do nas przedostać. Nawet ona nie jest na tyle przebiegła. Jednak dziś w nocy, gdy wsłuchuję się w tykanie zegara, nagle, po raz pierwszy od Królewskiej Próby, nie wyczuwam nic. Ani kamer, ani elektryczności, *nic*. Wyłączono prąd. Już wcześniej zdarzały się przerwy w dostawie energii elektrycznej, ale ta jest inna. Nieprzypadkowa. Przeznaczona specjalnie dla mnie.

Szybkimi ruchami naciągam buty, które zdążyłam przez ostatnie tygodnie rozchodzić, i ruszam do drzwi. Gdy tylko wychodzę na korytarz, tuż przy moim uchu rozlega się gorączkowy szept Walsh, która łapie mnie za rękę i ciągnie w mrok.

– Nie mamy zbyt wiele czasu – przynagla mnie po cichu. Wchodzimy na klatkę schodową dla służby. Wokoło panują nieprzeniknione ciemności, ale Walsh wie, dokąd idzie, ja zaś wierzę, że doprowadzi mnie do celu. – Jeśli nam się poszczęści, włączą prąd dopiero za piętnaście minut.

– A jeśli nam się nie poszczęści? – pytam cicho.

Przewodniczka sprowadza mnie w dół i otwiera ramieniem drzwi.

– To mam nadzieję, że nie jesteś zbyt przywiązana do swojej głowy.

Uderza mnie zapach wilgotnej gleby i wody, który momentalnie przywołuje wspomnienie dawnego życia wśród lasów. Jednak mimo że otaczają nas stare sękaty drzewa i setki innych roślin przybierających w blasku księżyca barwy granatu i czerni, nad nami unosi się szklany dach. To *oranżeria*. Po ziemi wiją się groźne cienie. W każdym kącie widzę strażników i wartowników, którzy tylko czekają, żeby się na nas rzucić i zamordować tak samo jak zamordowali mojego brata. Jednak zamiast potwornych czarnych masek i płomiennych mundurów w zaroślach czają się jedynie kwiaty.

– Wybacz, że nie dygnę. – Najpierw dobiega mnie głos i dopiero po chwili zza usianej białymi pąkami magnolii wyłania się postać o niebieskich oczach, które odbijając światło księżyca, płoną w ciemnościach zimnym ogniem. „Farley ma prawdziwy talent do efektownych wejść”.

Podobnie jak podczas transmisji telewizyjnej czerwona chusta zasłania jej twarz. Nie zakrywa jednak paskudnej blizny biegnącej wzdłuż szyi i znikającej pod kołnierzem koszuli. Blizna wygląda

na świeżą, ledwie zagojoną. Od naszego ostatniego spotkania wojownicza najwyraźniej nie próżnowała. Ja zresztą również.

– Farley. – Pochyliłam głowę w powitalnym geście.

Wojownicza nie odwzajemnia gestu, ale wcale tego nie oczekiwałam. Łączą nas wspólne interesy, nie przyjaźń.

– Gdzie ten drugi? – pyta cicho.

„Drugi?”

– Przyprowdzi go Holland. Będą lada chwila. – Walsh wydaje się przejęta, a wręcz podekscytowana przyjściem tego, na kogo czekamy. Nawet oczy Farley lśnią.

– O co chodzi? Kto jeszcze się przyłącza? – Nie odpowiadają mi, tylko wymieniają spojrzenia. Przychodzi mi do głowy kilka osób, służących i kuchennych, które mogłyby poprzeć naszą sprawę.

Jednak ten, kto się pojawia, nie jest żadnym służącym. Nie jest nawet Czerwonym.

– *Maven*.

Nie wiem, czy krzycheć, czy od razu rzucić się do ucieczki, kiedy z mroku wyłania się mój narzeczony. To książę, Srebrny, wróg, a jednak stoi tu, między nami, naprzeciw przywódczyni Szkarłatnej Gwardii. Jego towarzysz zwany Hollandem, leciwy Czerwony służący od lat pracujący na dworze, wydaje się pękać z dumy.

– Mówiłem ci, że nie jesteś sama, Mare – odzywa się Maven, ale na jego twarzy nie pojawia się uśmiech, a spuszczone wzdłuż boku ręka drga: jest cały w nerwach. Farley go *przeraza*.

Nic dziwnego. Wojownicza postępuje krok w naszą stronę, w rękę trzyma pistolet, jednak wydaje się równie zdenerwowana, jak książę. Mimo to głos ma pewny.

– Chcę to od ciebie usłyszeć, piękny książę. Powiedz mi to samo, co powiedziałaś jemu. – Ruchem głowy wskazuje Hollanda.

Na słowa „piękny książę” Maven uśmiecha się szyderczo i krzywi z niesmakiem, ale nie odpowiada na zaczepkę.

– Chcę wstąpić do Gwardii – oświadcza z przekonaniem.

Farley reaguje błyskawicznie, odbezpiecza pistolet i celuje jednym płynnym ruchem. Mam wrażenie, że serce mi staje, gdy przywódczyni Gwardii opiera lufę o skroń Mavena, ale on nawet nie drgnie.

– Dlaczego? – cedzi wojownicza.

– Ponieważ ten świat jest zły. To, co robi mój ojciec i co zamierza robić mój brat, *jest złe*. – Mówi spokojnie, chociaż do głowy ma przystawiony pistolet, ale po karku spływa mu pot. Farley nie cofa się, czeka na dalsze wyjaśnienia, i ja również.

Maven rozgląda się, patrzy na mnie i przełyka ślinę.

– Kiedy miałem dwanaście lat, ojciec posłał mnie na front, żeby mnie zahartować, żebym bardziej przypominał mojego brata. Cal jest idealny, dlaczego zatem ja nie miałbym być taki sam?

Mimo woli wzdrygam się na te słowa, wyczuwając ukryty w nich ból. „Żyłam w cieniu Gisy, a on w cieniu Cala. Wiem, jak wygląda takie życie”.

Farley kręci głową i niemalże szydzi:

– Z zazdrosnych chłoptasiów nie ma większego pożytku.

– Chciałbym, żeby przywiodła mnie tu zwykła zazdrość – odpowiada cicho Maven. – Spędziłem trzy lata w koszarach, chodziłem wszędzie z Calem, oficerami i generałami, patrzyłem, jak żołnierze walczą i umierają na wojnie, w którą nikt nie wierzy. Podczas gdy Cal widział honor i lojalność, ja widziałem głupotę. Marnotrawstwo. Krew po obydwu stronach barykady, a najwięcej przelewali wasi ludzie.

Przed oczami stają mi książki w pokoju Cala, zawarte w nich taktyki i manewry przedstawione niczym zasady gry. Na samo wspomnienie robi mi się niedobrze, ale dopiero kolejne słowa Mavena mrozą mi krew w żyłach.

– Był tam pewien chłopak, zaledwie siedemnastoletni, Czerwony z mroźnej północy. W przeciwieństwie do wszystkich nie oceniał mnie po pozorach, tylko traktował zwyczajnie. Jak człowieka. Chyba był moim pierwszym prawdziwym przyjacielem. – Może to tylko zwodniczy blask księżycy, ale odnoszę wrażenie, że w oczach księcia lśnią łzy. – Miał na imię Thomas i widziałem, jak umiera. Mogłem go ocalić, ale straż mnie przytrzymały. Jego życie nie jest warte tego, żebym się narażał, usłyszałem. – Łzy znikają, dostrzegam za to zaciśnięte pięści, a w głosie słyszę niezłomną wolę. – Cal nazywa to równowagą, gdy Srebrni stoją nad Czerwonymi. Jest dobrym człowiekiem i będzie sprawiedliwym władcą, ale nie uważa, żeby warto było ponosić koszty przemiany – ciągnie. – Próbuję wam powiedzieć, że nie jestem taki sam, jak pozostali. Uważam, że wasze życie jest warte tyle samo, co moje, i jestem gotowy je oddać, jeśli doprowadzi to do zmiany.

Jest księciem, co gorsza – synem królowej. Właśnie dlatego nie chciałam mu wcześniej zaufać, z powodu tajemnic, które skrywał. „Ale może przez cały czas skrywał właśnie to... swoje serce”.

Chociaż ze wszystkich sił usiłuje zachować kamienną twarz, trzymać głowę wysoko podniesioną i powstrzymać drżenie warg, widzę chłopaka, który chowa się pod całą tą maską. Nagle czuję, że pragnę go objąć, pocieszyć, ale zanim zdążę wykonać jakikolwiek ruch, gest Farley przywołuje mnie do porządku. Wojowniczką opuszcza pistolet, powoli, ale zdecydowanie, ja zaś wypuszczam z płuc powietrze i dopiero teraz uzmysławiam sobie, że wstrzymywałam oddech.

– Mówi prawdę – odzywa się Holland, Czerwony służący. Podchodzi do księcia i staje obok niego niczym opiekun. – Od wielu miesięcy ma w sobie takie przekonanie, odkąd wrócił z frontu.

– A ty po kilku wieczorach płaczliwych zwierzeń postanowiłeś mu o nas powiedzieć? – szydzi

Farley, przenosząc złowrogie spojrzenie na służącego. Mężczyzna pozostaje jednak niewzruszony.

– Znam księcia od małego. Każdy z jego najbliższego otoczenia widzi, że się zmienił. – Holland spogląda na Mavena, jak gdyby przypominał sobie szczeniące lata księcia. – Pomyślcie, jakim byłby sprzymierzeńcem. Ile mógłby zdziałać.

„Maven jest inny”. Wiedziałam o tym od początku, ale coś mi mówi, że moje słowa nie przekonają Farley. Może to zrobić jedynie sam książę.

– Przysięgnij na swoje barwy – warczy wojowniczką.

Pani Blonos wspominała o tej pradawnej tradycji. To jakby przysiąc na własne życie, życie całej rodziny i potomków, którzy jeszcze się nie narodzili. Maven zaś nie waha się tego zrobić.

– Przysięgam na swoje barwy – oznajmia, pochylając głowę. – Przysięgam wierność i służbę Szkarłatnej Gwardii. – Słowa przyrzeczenia przypominają oświadczyzny, które niedawno składał, ale mają o wiele większą wagę i są o wiele bardziej niebezpieczne.

– Witaj w Szkarłatnej Gwardii – oświadcza Farley i zdejmuje chustę.

Przesuwam się szybko po wykafelkowanej podłodze, aby ująć Mavena za rękę. Jego dłoń promieniuje ciepłem, które teraz już wydaje mi się znajome.

– Dziękuję, Maven – szepczę. – Nie wiesz, ile to dla nas znaczy.

„Ile to dla mnie znaczy”.

Myśl o tym, że właśnie pozyskało się dla swojej sprawy Srebrnego, na dodatek *członka rodziny królewskiej*, niejednego wprowadziłaby w zachwyt, ale Farley wydaje się nieporuszona.

– Jaką pomoc chcesz nam okazać?

– Mogę przekazywać wam informacje, zostać wywiadowcą, zapewnić wszystko, co potrzeba, żebyście kontynuowali swoje dzieło. Zasiadam z ojcem w radzie podatkowej...

– Nie obchodzą nas podatki – odburkuje Farley. Rzuca mi rozgniewane spojrzenie, jak gdyby to była moja wina, że nie podoba jej się to, co książę ma do zaoferowania. – Potrzebujemy nazwisk, miejsc, *celów*. Musimy wiedzieć, w co uderzać i kiedy, żeby spowodować największe szkody. Możesz nam to zapewnić?

Maven porusza się niespokojnie.

– Wolałbym mniej brutalne działania – mamrocze. – Swoimi drastycznymi metodami nie zjednujecie sobie przyjaciół.

Farley parska, a jej śmiech niesie się po oranżerii.

– Twoi ludzie są tysiąc razy brutalniejsi i okrutniejsi od moich. Od wieków żyjemy pod jarzmem Srebrnych i nie uda nam się go zrzucić, jeśli naszą jedyną bronią będą *uprzejme uśmiechy*.

– Masz rację – mruczy Maven. Domyślam się, że myśli o Thomasie, o wszystkich, których śmierć widział na własne oczy. Cofa się i staje blisko mnie, dotykając ramieniem mojego ramienia. Farley

zauważa to i niemal wybucha śmiechem.

– Książątko i dziewczuszka od błyskawic – rechocze. – Pasujecie do siebie. Jeden tchórz, a druga... – Przenosi na mnie palące spojrzenie stalowoniebieskich oczu. – Ostatnim razem, kiedy się widziałyśmy, modliłaś się o cud.

– I go dostałam – odpowiadam. Żeby nie pozostawić żadnych wątpliwości, przywołuję iskry, które sypią mi się z dłoni, oblewając nas fioletowym blaskiem.

Panujące wokoło ciemności zdają się poruszać i powoli spomiędzy drzew i krzewów w złowróżbnym szyku wyłaniają się członkowie Szkarłatnej Gwardii. Twarze mają zasłonięte chustami, ale kawałki materiału nie maskują wszystkiego. Po wzroście i długich kończynach rozpoznaję górującego nad innymi Tristana. Wszyscy gwardziści stoją naprężeni, gotowi do działania i widać, że się boją. Jednak wyraz twarzy Farley się nie zmienia. Wie, że ludzie, którzy mają ją ochraniać, są bez szans w starciu z Mavenem czy choćby ze mną, ale nie wygląda na przestraszoną. Ku mojemu zdumieniu jej rysy rozciągają się w uśmiechu. Jest to uśmiech przerażający, obnażający białe zęby wojowniczkę, które lśnią niczym kły wygłodniałego wilka.

– Możemy wysadzić w powietrze i puścić z dymem każdą chałupę i każdy pałac w tym królestwie – oznajmia cicho Farley, obrzucając nas dumnym spojrzeniem – ale nigdy nie zdołamy wyrządzić tylu szkód, ile wy dwoje. Srebrny książę, który obraca się przeciwko własnemu rodowi, i dziewczyna z Czerwonych, która posiada niezwykle umiejętności. Co powiedzą ludzie, gdy zobaczą was w naszych szeregach?

– Sądziłem, że chcesz... – zaczyna Maven, ale Farley lekceważącym gestem zbywa jego słowa.

– Zamachy bombowe mają jedynie zwrócić na nas uwagę. Kiedy już nam się to uda, kiedy oczy każdego Srebrnego w tym przeklętym królestwie będą w nas utkwione, musimy im coś pokazać. – Mierzy nas wyrachowanym spojrzeniem, jak gdyby szacowała naszą wartość według sobie tylko znanej skali. – Myślę, że wasza dwójka doskonale się nada.

Głos mi drży z obawy przed tym, co mogę za chwilę usłyszeć.

– Do czego mamy się nadać?

– Do tego, żeby zostać twarzami naszej wspaniałej rewolucji – oznajmia z mocą i odrzuca głowę do tyłu. Jej złociste włosy połyskują w świetle księżyca, przez sekundę wydaje się, że na jej głowie lśni korona. – Kroplami, które przepełnią kielich.

Maven przytakuje z zapalem.

– Od czego więc zaczniemy?

– Chyba najwyższy czas wziąć przykład z Mare i zrobić sztuczkę nie do podrobienia.

– O czym ty mówisz? – Nie rozumiem, o co chodzi, ale Maven z łatwością nadąża za tokiem rozumowania Farley.

– Mój ojciec zatuszował inne zamachy przeprowadzone przez Gwardię – wyjaśnia.

Przypominam sobie pułkownik Macanthos i jej wybuch podczas uroczystego lunchu.

– Lotnisko, Delphie, Wielka Zatoka.

Maven przytakuje skinieniem głowy.

– Nazwał je wypadkami, ćwiczeniami, *atakami pozorowanymi*. Kiedy jednak objawiłaś się podczas Królewskiej Próby, nawet moja matka nie potrafiła znaleźć na to żadnej wymówki. Musimy wymyślić coś podobnego, coś, czego nie będzie można zatuszować. Trzeba pokazać światu, że Szkarłatna Gwardia naprawdę istnieje i stanowi realne zagrożenie.

– Ale przecież takie wydarzenie będzie miało swoje konsekwencje. – Przed oczami stają mi obrazy z rozruchów w mieście, niewinni ludzie torturowani i zabijani przez bezmyślną horde. – Srebrni będą się mścić na nas, sytuacja jeszcze się *pogorszy*.

Farley odwraca wzrok, nie wytrzymując mojego spojrzenia.

– Dlatego coraz więcej ludzi zacznie się do nas przyłączać. Coraz więcej ludzi zobaczy, że to, co się dzieje na świecie, jest *złe* i że można coś zrobić, aby to odmienić. Zbyt długo siedzieliśmy cicho; czas podnieść głowy, przygotować się na ofiary i ruszyć do boju.

– Czy mój brat był tą ofiarą, o której mówisz? – Czuję, jak rozpala się we mnie gniew. – Czy twoim zdaniem warto było ją ponieść?

Wojowniczką nie próbuje kłamać, co akurat dobrze o niej świadczy.

– Shade wiedział, w co się pakuje.

– A pozostali? Dzieci, starcy i inni, którzy nie mają ochoty brać udziału w waszej „wspaniałej rewolucji”? Co jeśli wartownicy zaczną karać ich, skoro nie będą mogli was dopaść?

Przy moim uchu rozlega się ciepły i cichy głos Mavena:

– Pomyśl o historii, Mare. Czego nauczył cię Julian?

„Uczył mnie o śmierci. O dawnych czasach. O wojnach”. Ale oprócz tego w czasach, kiedy świat się kształtował, dochodziło do rewolucji. Ludzie buntowali się, imperia upadały, rzeczywistość zmieniała. Wolność była niczym fala przyływu i odpływu, która w zależności od epoki zajmowała raz większy, raz mniejszy obszar.

– Aby rozpocząć rewolucję, potrzebna jest iskra – mruczę, powtarzając słowa zasłyszane na lekcji od Juliana.

Farley uśmiecha się.

– Powinnaś o tym wiedzieć lepiej niż inni.

Wciąż jednak nie jestem przekonana. Ból, który odczuwam po stracie Shade’a i na myśl o cierpieniu moich rodziców, będzie zwielokrotniony. Ilu jeszcze Shade’ów zginie?

O dziwo to nie Farley, ale Maven stara się mnie namówić.

– Cal uważa, że nie warto ryzykować zmiany – mówi. Jego głos drży ze zdenerwowania i emocji.
– Pewnego dnia zasiądziesz na tronie. Chcesz pozwolić, żeby to on rządził i wpływał na naszą przyszłość?

Choć raz odpowiedź przychodzi mi łatwo.

– Nie.

Farley przytakuje z zadowoleniem.

– Walsh i Holland – wskazuje służących skinieniem głowy – mówią, że niedługo szykuje się tu impreza.

– Bal – uściśla Maven.

– To beznadziejny cel – odburkuję. – Wszyscy będą z obstawą, królowa natychmiast *wyczuje*, jeśli coś będzie nie tak...

– *Niczego* nie wyczuje – przerywa mi Maven, niemalże drwiąc z mojego przekonania. – Moja matka nie jest wszechmocna, chociaż marzy jej się, żeby o niej tak myślano. Nawet ona ma pewne ograniczenia.

„Królowa? Ma ograniczenia?” Dziesiątki myśli kłębią mi się w głowie.

– Co ty mówisz? Przecież wiesz, co potrafisz...

– Wiem, że w samym środku balu, gdy wokół niej będzie wirowało setki głosów i myśli, jej umiejętności będą *nieprzydatne*. I jeżeli nie będziemy wchodzić jej w drogę ani dawać powodów do tego, żeby nas wybadać, o niczym się nie dowie. Podobnie Dalekowzroczni z rodu Eagrie. Nie będą się spodziewali żadnych problemów, więc nie będą się wysilali, żeby je zobaczyć. – Obraca się do Farley wyprężony jak struna. – Srebrni są silni, ale nie niezwyciężeni. Można tego dokonać.

Wojowniczką przytakuje i znów wyszczerza zęby w uśmiechu.

– Skontaktujemy się z wami, gdy rozpoczniemy przygotowania.

– Czy mogę w zamian o coś poprosić? – Wyskakuję nagle i chwytam Farley za ramię. – Mój przyjaciel, ten, o którym rozmawiałam z tobą wcześniej, chce wstąpić do Gwardii. Nie pozwól mu na to. Po prostu dopilnuj, żeby w nic się nie wmieszał.

Przywódczyni delikatnie zdejmuje moje palce ze swojej ręki, a jej oczy przyćmiewa żal.

– Mam nadzieję, że nie mówisz o mnie.

Ku mojemu przerażeniu jeden z otaczających nas w półmroku gwardzistów wysuwa się naprzód. Czerwony łachman przewiązany wokół twarzy nie zasłania szerokich ramion ani zszarganej koszuli, którą widziałam tysiące razy. Jednak stalowe spojrzenie, determinacja pasująca nie do chłopca, ale do dojrzałego mężczyzny, to coś zupełnie nowego. Kilorn zmienił się nie do poznania, jakbyśmy nie widzieli się całe lata. Stał się zagorzałym gwardzistą gotowym walczyć i umrzeć dla dobra sprawy. „Czerwony niczym świt”.

– Nie – szepczę, cofając się. Teraz widzę jedynie Kilorna pędzącego na łeb na szyję prosto ku swojej zagładzie. – Wiesz, co się stało z Shade’em. Nie możesz tego zrobić.

Zsuwa chustę i wyciąga do mnie rękę, ja jednak postępuję krok do tyłu. Jego dotyk wydaje się dotykiem zdrajcy.

– Mare, nie musisz cały czas starać się mnie ratować.

– Muszę, dopóki ty nie zaczniesz dbać o siebie. – Chyba nie spodziewa się, że będzie kimś więcej niż ludzką tarczą? „Jak mógł to zrobić?” Gdzieś z oddali dobiega mnie narastające z każdą sekundą buczenie, ale ja ledwo zwracam na nie uwagę. Ze wszystkich sił koncentruję się na tym, żeby nie rozpłakać się na oczach Farley, gwardzistów i Mavena. – Kilorn, proszę.

Słyszając moje słowa, pochmurnieje, jak gdyby były one nie dziewczęcym błaganiem, ale obelgą.

– Ty dokonałaś swojego wyboru, ja dokonuję swojego.

– Ja dokonałam swojego, żeby ochronić *ciebie* – rzucam. To zdumiewające, jak szybko zaczynamy dawnym zwyczajem się kłócić. Tym razem jednak stawka jest o niebo większa. Nie mogę ot tak popchnąć go prosto w błoto i sobie pójść. – Oddałam swój los za twój.

– Robisz to, co uważasz za słuszne, żeby mnie ochronić, Mare – mówi cicho, ale jego głos przetacza się niczym grzmot. – W takim razie pozwól mi robić co w mojej mocy, żeby ochronić ciebie.

Zaciskam powieki, czuję, że serce pęka mi z bólu. Troszczyłam się o Kilorna od dnia, gdy zostawiła go matka i gdy prawie umarł z głodu pod moim domem. Teraz zaś on mi na to nie pozwala, chociaż nasza przyszłość maluje się w barwach bardziej ponurych nie kiedykolwiek wcześniej.

Powoli otwieram oczy.

– Rób, co chcesz, Kilorn. – Mój głos jest zimny i mechaniczny, jak gdyby wydobywał się z blaszanego pudła pełnego kabli i przełączników. – Niedługo znów podłączą prąd. Musimy iść.

Pozostali natychmiast przystępują do działania, wojownicy znikają w mroku oranżerii, zaś Walsh bierze mnie pod ramię. Kilorn cofa się wraz z innymi, ale nie odrywa ode mnie oczu.

– Mare! – woła za mną. – Przynajmniej się pożegnaj.

Ale ja już odchodzę, obok mnie kroczy Maven, prowadzi nas Walsh. Nie obejrzę się, nie ma mowy; nie po tym, jak pokazał, że ma za nic wszystko, co dla niego zrobiłam.

*

Czas mija powoli, gdy czekamy na coś miłego, dlatego nie dziwię się, że dni dzielące nas od budzącego postrach balu przelatują nie wiadomo kiedy. Przez tydzień nikt się z nami nie kontaktuje, więc ani Maven, ani ja nie wiemy, jak stoją sprawy. Codziennie trening, codziennie protokół, codziennie idiotyczne lunche, które niemal zawsze doprowadzają mnie do łez. Za każdym razem muszę kłamać, wychwalać Srebrnych i pomstować na swoich. Sił dodaje mi jedynie myśl o Gwardii.

Pani Blonos upomina mnie, twierdząc, że nie skupiam się odpowiednio podczas zajęć. Nie mam serca jej powiedzieć, że skupiona czy nie, nigdy się nie nauczę kroków, które uparcie ćwiczymy przed Pożegnalnym Balem. Chociaż jestem zwinna, wykonywanie ruchów w rytm muzyki wychodzi mi beznadziejnie. Tymczasem trening, którego wcześniej się obawiałam, okazuje się idealnym sposobem na rozładowanie gniewu i napięcia. Podczas ćwiczeń mogę się wybiegać i razem z iskrami wyrzucić z siebie wszystko, co mnie dręczy.

Jednak pewnego dnia, gdy w końcu zaczynam się czuć na treningu jak u siebie, atmosfera na sali radykalnie się zmienia. Evangeline i jej koleżanki przestają mi dogryzać i wydają się całkowicie skoncentrowane na rozgrzewce. Nawet Maven rozciąga się staranniej niż zwykle, jak gdyby przygotowywał się do czegoś.

– Co się dzieje? – pytam go, skinieniem głowy wskazując pozostałych. Zatrzymuję spojrzenie na Calu, który robi pompki i jak zawsze jest w doskonałej formie.

– Zobaczysz za chwilę – odpowiada Maven niespodziewanie ponurym głosem.

Gdy na salę wchodzi Arven i Provos, nawet oni poruszają się wyjątkowo sprężyście. Nie pada zwyczajowa komenda nakazująca nam wykonać parę rundek. Zamiast tego instruktor podchodzi bliżej i zatrzymuje się naprzeciwko nas.

– Tirana – mówi cicho.

Dziewczyna w niebieskim prążkowanym kombinezonie, Wodniaczka z domu Osanos, staje na baczność, po czym rusza na środek sali i zatrzymuje się, jak gdyby na coś czekała. Wygląda na podekscytowaną i wystraszoną jednocześnie.

Arven obraca się i przygląda naszym twarzom. Jego spojrzenie pada na mnie, ale na szczęście przenosi się na Mavena.

– Książę Maven, bardzo proszę. – Instruktor gestem wskazuje Tiranę.

Maven przytakuje skinieniem głowy i staje obok dziewczyny. Oboje są spięci, palce im drżą w oczekiwaniu na to, co ma nadejść.

Nagle podłoga wokół nich porusza się, zaczyna się wznosić, ściany się rozsuwają. Po raz kolejny Provos unosi ręce, aby za pomocą swoich zdolności przeobrazić otoczenie. Serce zaczyna mi łomotać, gdy uzmysławiam sobie, jaki kształt przybiera sala.

„Arena”.

Cał szybko i cicho przesuwa się w moją stronę i zajmuje zwolnione przez Mavena miejsce u mojego boku.

– Nic im nie będzie – wyjaśnia. – Arven powstrzyma ich, zanim naprawdę zdołają wyrzucić sobie krzywdę, a poza tym mamy pod ręką Uzdrawicieli.

– Rzeczywiście pocieszające – wykrztuszam.

Na środku tworzącego się pola walki Maven i Tirana przygotowują się do pojedynku. Bransoleta na nadgarstku księcia krzesze iskry, a w jego dłoniach pojawiają się płomienie sięgające łokci, podczas gdy Wodniaczka czerpie z powietrza wilgoć, skraplając ją i formując przerażający wir. Oboje wyglądają na gotowych do starcia.

Mój niepokój wzbudza zainteresowanie Cala.

– Martwisz się o Mavena, czy chodzi o coś jeszcze?

„Gdyby tylko wiedział, o co naprawdę chodzi...”

– Pani Blonos daje mi ostatnio popalić. – Nie kłamię, ale na mojej liście problemów nauka tańca zajmuje ostatnie miejsce. – Zdaje się, że taniec idzie mi jeszcze gorzej niż zapamiętywanie dworskiej etykiety.

Ku mojemu zdziwieniu Cal śmieje się w głos.

– Pewnie masz dwie lewe nogi.

– Trudno nauczyć się tańczyć bez partnera – odparowuję ze złością.

– To prawda.

Ostatnie dwa fragmenty ścian zachodzą na siebie, zamykając arenę, a na niej Mavena i jego przeciwniczkę. Teraz oddziela ich od nas gruba tafla szkła, a ja czuję się, jak gdybym znajdowała się w miniaturowym amfiteatrze. „Ostatni raz, gdy oglądałam pojedynki Srebrnych, jeden z nich o mało nie umarł”.

– Kto ma przewagę? – pyta Arven pozostałych uczestników treningu. Wszyscy prócz mnie podnoszą ręce. – Elane?

Potomkini rodu Haven dumnie unosi brodę.

– Tirana ma przewagę. Jest starsza i bardziej doświadczona – oświadcza, jak gdyby wygłaszała najbardziej oczywiste stwierdzenie. Maven blednie z zażenowania, chociaż próbuje to ukryć. – A woda gasi ogień.

– Bardzo dobrze. – Arven przenosi spojrzenie na Mavena, czekając na jego odpowiedź. On jednak się nie odzywa, zamiast niego przemawiają rosnące z każdą sekundą płomienie. – Pokażcie, na co was stać.

Ścierają się ze sobą niczym burzowe chmury, ogień i woda splatają się w gwałtownym pojedynku żywiołów. Tirana osłania się przed płomiennymi atakami Mavena tarczą z wody, która okazuje się nieprzenikalna. Za każdym razem, gdy książę zbliża się do niej, ciskając kulami ognia, zostaje po nich jedynie chmura dymu. Walka wygląda na wyrównaną, choć szala zwycięstwa wydaje się nieznacznie przechylać na stronę Mavena. To on atakuje i powoli przypiera przeciwniczkę do muru.

Wszyscy dookoła wiwatują, zagrzewają walczących do boju. Kiedyś tego typu widowiska wzbudzały we mnie obrzydzenie, ale teraz trudno mi spokojnie wysiedzieć. Gdy Maven wyprowadza

kolejne ataki i coraz bardziej przygważdża Tiranę, ledwie się powstrzymuję, aby nie wznosić okrzyków razem z pozostałymi.

– To pułapka, Mavey – szepcze Cal, bardziej do siebie niż do mnie.

– Co się dzieje? Co ona robi?

Cal kręci głową.

– Zaraz zobaczysz. Dopadła go.

Tirana nie wygląda jednak na zwyciężczynię. Stoi oparta plecami o ścianę i z trudem utrzymuje wodną tarczę, w którą łomoczą kolejne pociski.

Jednak w pewnym momencie Wodniaczka odmienia swój los. Błyskawicznym ruchem chwytą Mavena za rękę, pociąga go i obraca, przez co w mgnieniu oka zamieniają się miejscami. Teraz to księżę znajduje się za ścianą wody, nad którą jednak nie potrafi zapanować. Tarcza naciska na niego, gasi ogniste pociski, które Maven usiłuje wystrzelić. Woda oblewa jego gorącą skórę, syczy i gotuje się.

Tirana cofa się i z uśmiechem na twarzy obserwuje szamoczącego się przeciwnika.

– Poddajesz się?

Z wypełnionych wodą ust Mavena wylatują bąbelki. *Poddaje się.*

Ściana wody rozpada się na krople wilgoci, które wyparowują w powietrze. Na sali rozbrzmiewa burza oklasków. Provos ponownie porusza rękami i jedna ze ścian areny odsuwa się na bok. Tirana kłania się nieznacznie, gdy przemoczony, przygnębiony Maven zwleka się z pola walki.

– Wyzynam Elane Haven – rzuca szybko Sonia Iral, zanim instruktor zdąży dobrać ją w parę z kimś innym. Arven przytakuje skinieniem głowy, zgadzając się na wyzwanie, po czym przenosi spojrzenie na Elane. Ku mojemu zdumieniu dziewczyna uśmiecha się i wolnym krokiem zmierza w stronę areny, a jej długie rude włosy kołyszą się w rytm niespiesznych ruchów.

– Przyjmuję wyzwanie – odpowiada Elane, zajmując miejsce na środku pola. – Mam nadzieję, że przygotowałaś jakieś nowe sztuczki.

W oczach Soni igra rozbawienie, a gdy staje naprzeciwko koleżanki, wybucha śmiechem.

– Myślisz, że powiedziałabym ci, jeśli by tak było?

Dziewczęta chichoczą i uśmiechają się, dopóki Elane Haven nie znika zupełnie, po czym chwytą przeciwniczkę za gardło. Sonia zaczyna się dławić, z trudem łapie powietrze, ale udaje jej się wyśliznąć z niewidzialnego uścisku. Pojedynek szybko przeradza się w brutalną zabawę w kotka i niewidzialną myszkę.

Mavena nie obchodzi tocząca się walka, jest na siebie zły za to, co pokazał na arenie.

– Tak? – rzuca do brata, a wtedy Cal ściszone głosem zaczyna wykład. Odnoszę wrażenie, że to normalna sytuacja między nimi.

– Nie przypieraj do muru kogoś, kto jest lepszy od ciebie, gdyż robi się on przez to niebezpieczniejszy. – Starszy brat obejmuje ramieniem młodszego i tłumaczy mu na ucho. – Jeśli nie możesz pokonać przeciwnika umiejętnościami, pokonaj go sprytem.

– Będę o tym pamiętał – odburkuje Maven, z niechęcią przyjmując uwagi brata.

– Ale idzie ci coraz lepiej. – Cal poklepuje go po ramieniu. Ma dobre intencje, ale wychodzi na to, że odnosi się do młodszego brata protekcyjnie. Dziwię się, iż Maven się nie odgryza: najwyraźniej jest do takiego zachowania przyzwyczajony, tak samo jak ja byłam przyzwyczajona do Gisy.

– Dzięki Cal. Chyba wyraziłeś się dość jasno – odzywam się za Mavena.

Cal nie jest głupi, pojmuje, co chcę mu dać do zrozumienia, i marszczy brwi. Ogląda się na mnie przez ramię, po czym bez słowa rusza w stronę Evangeline. Żałuję, że to robi, wolałabym nie musieć oglądać jej pełnych wyższości i chępliwości uśmiezków. Nie wspominając już o dziwnym ucisku, który czuję w żołądku za każdym razem, gdy Cal na nią patrzy.

Kiedy zostajemy z Mavensem sami, trącam go ramieniem.

– On ma rację, wiesz? Takich ludzi trzeba po prostu przechytrzyć.

Przed nami Sonia chwytą coś, co wygląda jak powietrze, i rzuca tym o ścianę. Tryska srebrna posoka, Elane znów robi się widzialna, z nosa leci jej krew.

– On zawsze ma rację, jeśli chodzi o walkę na arenie – mruczy Maven dziwnie podenerwowany.

– Zaraz zobaczysz.

Po drugiej stronie sali Evangeline uśmiecha się, oglądając brutalny pojedynek rozgrywający się na naszych oczach. Nie wiem, jak może się spokojnie przyglądać przyjaciółce, która zakrwawiona leży na podłodze. „Srebrni są inni – przypominam sobie. – Nie pamiętają bólu. Ich blizny znikają”. Wiedzą, że w odwodzie mają Uzdrowicieli, dlatego inaczej niż my traktują przemoc. Nie szkodzi, że komuś pęknie kręgosłup, ktoś skończy z rozplatanym brzuchem. Wszystko można odwrócić, naprawić. Nie wiedzą, czym jest niebezpieczeństwo, strach czy cierpienie. Tak naprawdę można zranić jedynie ich dumę.

„Jesteś Srebrną. Jesteś Mareeną Tytaniusz. Podoba ci się to”.

Cal przenosi spojrzenie z jednej dziewczyny na drugą, przygląda im się jak interesującej książce lub fascynującemu obrazowi, a nie dwóm zakrwawionym, pokiereszowanym istotom ludzkim. Napina mięśnie pod czarnym kombinezonem, czekając na swoją kolej.

A gdy ta nadchodzi, dociera do mnie, co miał na myśli Maven.

Instruktor Arven wystawia przeciwko Calowi dwoje przeciwników, Wietrzyca Olivera i Cyrine Macanthos, dziewczynę, która potrafi przemieniać swoją skórę w kamień. Rozpoczyna się coś, co jedynie z nazwy jest pojedyńkiem. Mimo że przeciwnicy mają przewagę liczebną, walka z nimi to dla

Cała zwykła zabawa. Unieszkodliwia ich jednego po drugim, otacza Olivera wirem ognia, z Cyrine zaś wymienia ciosy. Dziewczyna przypomina żywy posąg z litej skały, ale Cal jest silniejszy. Uderzeniami rozbija w drzazgi kamienną skórę, każdy kolejny cios sprawia, że na jej stwardniałym ciele pojawiają się pęknięcia. Księżę wydaje się traktować pojedynek jak zwykłe ćwiczenie, sprawia wrażenie niemal znudzonego. Kończy efektownym akcentem, przemieniając arenę w rozszalałe morze ognia, na którego widok nawet Maven się cofa. Zanim ogień zdąży zgasnąć, a dym się rozwiać, Oliver i Cyrine poddają się. Skórę mają szerniałą i popękaną od oparzeń wnikaających głęboko w ciało, ale żadne z nich nie krzyczy z bólu.

Cal odwraca się i zostawia ich na arenie, nie zwracając uwagi na Uzdrowicieli, którzy natychmiast się pojawiają, żeby uleczyć zranionych wojowników. Ocalił mnie, zaprowadził do domu, złamał dla mnie zasady, ale jest bezwzględny żołnierzem, następcą splamionego krwią tronu.

Krew Cala może i jest srebrna, ale jego serce jest czarne niczym zwęglona skóra.

Kiedy jego oczy odnajdują moje, zmuszam się, żeby odwrócić spojrzenie. Nie chcę pozwolić, aby zwiodły mnie jego ciepło, jego dziwna troska, wolę zapamiętać piekło ognia, które potrafi rozpętać. „Cal jest bardziej niebezpieczny niż wszyscy oni razem wzięci. Nie wolno mi o tym zapomnieć”.

– Evangeline, Andros. – Arven skinieniem głowy pokazuje dwie wezwane osoby.

Andros wydaje się przygnębiony, niemal zezłoszczony perspektywą pojedynku – i porażki – z Evangeline, ale posłusznie człapie w stronę areny. Ku mojemu zdumieniu Evangeline nie rusza się z miejsca.

– Nie – oznajmia hardo.

Arven błyskawicznie obraca się do niej, a jego głos, po raz pierwszy głośniejszy od szeptu, przecina powietrze niczym brzytwa.

– Słucham, panno Samos?

Evangeline kieruje swoje czarne oczy na mnie i sztyletuje mnie spojrzeniem.

– Wyzywam Mareenę Tytaniusz.

ROZDZIAŁ 17

– Wykluczone – grzmi Maven. – Mareena trenuje dopiero od dwóch tygodni, rozerwiesz ją na strzępy.

W odpowiedzi Evangeline jedynie wzrusza ramionami i pozwala, aby leniwy uśmiech wypłynął jej na twarz. Przebiera palcami u rąk, a ja niemal czuję, jak zaciska je niczym szpony na mojej skórze.

– No i co z tego? – wtrąca się Sonia, a w jej oku dostrzegam błysk podobny do tego, który rozświetlał oczy jej babci. – Mamy Uzdrowicieli. Nie stanie jej się krzywda. Poza tym, skoro ma z nami trenować, niech robi to jak należy, prawda?

„Nie stanie się krzywda – pryham w myślach. – Żadna krzywda, oprócz tego, że wszyscy zobaczą moją krew”. Z każdą sekundą serce bije mi coraz szybciej, jego łomotanie czuję aż w głowie. Palące się nad nami lampy oblewają arenę jasnym światłem; nie ukryję koloru krwi i wszyscy zobaczą, kim naprawdę jestem. Czerwoną, oszustką, złodziejką.

– Jeśli można, wołałabym jeszcze trochę poobserwować, zanim wejdę na arenę – odpowiadam, starając się brzmieć jak Srebrna. Mimo to głos mi drży, a Evangeline z miejsca to wychwytuje.

– Boisz się walczyć? – drwi i leniwie porusza dłonią. Jedno z ostrzy, maleńkie niczym srebrny ząb, powoli okrąża jej nadgarstek, otwarcie mi grożąc. – Biedna dziewczuszka od błyskawic.

„Tak – chcę wrzasnąć. – Tak, boję się”. Jednak Srebrni nie przyznają się do takich rzeczy. Są dumni i silni – i nic poza tym.

– Przystępuję do walki po to, żeby wygrać – odpowiadam. – Nie jestem głupia, Evangeline, i wiem, że teraz jeszcze nie stać mnie na wygraną.

– Żeby wygrać, trzeba grać, Mareeno – mruczy Sonia, z radością czepiając się mojego wykrętu. – Instruktor zapewne zgodzi się ze mną. Jak można oczekiwać zwycięstwa, skoro nawet nie staje się do walki?

Arven wie, że jestem w jakiś sposób inna, że za moimi umiejętnościami i siłą kryje się coś dziwnego. Nie ma pojęcia, co to może być, i oczy błyszczą mu ciekawością. On również chce mnie zobaczyć na arenie. Moi jedyni sprzymierzeńcy, Cal i Maven, wymieniają pełne niepokoju

spojrzenia, zastanawiając się, jak wymanewrować z tak niepewnej sytuacji. „Nie mogli tego przewidzieć? Nie spodziewali się, że do tego dojdzie?”

A może od początku właśnie taki był plan. Przypadkowa śmierć podczas treningu, kolejne kłamstwo przyszykowane przez królową, koniec w sam raz dla dziewczyny, która znalazła się w nieodpowiednim miejscu. To pułapka, w którą weszłam z własnej woli”.

– Panna Tytaniusz to córka bohatera wojennego, który oddał życie za królestwo, wasze złośliwości nic dla niej nie znaczą – grzmi Cal i rzuca drwiącym ze mnie dziewczynom mordercze spojrzenie. One jednak zdają się tego nie zauważać i niemal wybuchają śmiechem, słysząc jego nieporadną mowę obronną. Może i urodził się żołnierzem, ale mówca z niego kiepski.

Sonia zapala się jeszcze bardziej, ze zdwojoną energią rzuca się w wir dyskusji. Podczas gdy Cal jest doskonałym wojownikiem, ona specjalizuje się w szermierce słownej i z przerażającą łatwością przekręca sens jego wypowiedzi.

– Córka generała powinna więc bez trudu poradzić sobie na arenie. Jeśli ktoś tu powinien się bać, to Evangeline.

– Nie mów głupstw, nie wychowała się w domu generała... – parska Maven. Jest znacznie lepszy w pojedynkach słownych, ale nie potrzebuję, żeby mnie bronił. Na pewno nie przed tymi dziewczuszkami.

– Nie będę walczyć – powtarzam. – Wyzwij kogoś innego.

Gdy Evangeline uśmiecha się, obnażając białe, ostre zęby, moje dawne instynkty dźwięczą mi w głowie niczym sygnał ostrzegawczy. Błyskawicznie padam na podłogę, dzięki czemu w ostatniej chwili unikam ostrza, które ze świstem przelatuje nade mną, przesywając powietrze w miejscu, gdzie sekundę wcześniej znajdowała się moja szyja.

– Wyzywam ciebie – warczy dziewczyna, posyłając w moją stronę następny nóż. Od jej pasa odrywają się kolejne ostrza gotowe pokroić mnie na plasterki.

– Evangeline, przestań... – woła Maven, podczas gdy Cal stawia mnie na nogi. W jego oczach widzę autentyczną troskę. Krew pulsuje mi w żyłach, w uszach słyszę szum adrenaliny. Serce łomocze mi tak głośno, że prawie nie docierają do mnie wypowiedziane szeptem słowa Cala:

– Jesteś szybsza. Zmusz ją do biegania. *Nie bój się.* – Jeszcze jeden nóż przemyka obok, tym razem wbijając się w podłogę pod moimi stopami. – Nie pozwól, żeby zobaczyła twoją krew.

Nad ramieniem księcia widzę Evangeline chodzącą tam i z powrotem niczym drapieżny kot, wokół jej dłoni krąży chmura lśniących metalowych ostrzy. W tym momencie wiem, że nikt i nic jej nie powstrzyma. Nawet królewscy synowie. A ja nie mogę dać jej zwyciężyć. „Nie mogę przegrać”.

Wylatuje pierwsza błyskawica, która na mój rozkaz przecina powietrze i uderza Evangeline w pierś. Dziewczyna się zatacza i wpada na ścianę, jednak zamiast gniewu na jej twarzy maluje się

złośliwa satysfakcja.

– To nie potrwa długo, dziewczuszko od błyskawic – warczy, ocierając smużkę srebrnej krwi.

Wokoło wszyscy zebrani cofają się i spoglądają to na mnie, to na moją przeciwniczkę. Być może widzą mnie żywą po raz ostatni. „Nie – powtarzam w myślach. – Nie mogę przegrać”. Koncentruję się jeszcze bardziej, przywołuję moc, która narasta, wypełnia mnie, a wreszcie pochłania do tego stopnia, że ledwie zauważam ruch ścian. Provos ponownie tworzy arenę, zamykając na niej nas dwie, Czerwoną dziewczynę i uśmiechniętego Srebrnego potwora.

Potwór wpatruje się we mnie i wyszczerza zęby. W tym momencie cienkie jak żyłki kawałki metalu odrywają się od podłogi, po czym zwijają się i wyginają, przybierając obmyślane przez Evangeline koszmarne kształty. Przestały ją interesować zwykłe ostrza, odrzuciła je na bok, pragnąc wypróbować nową taktykę. Ohydne metalowe stwory biegną teraz w stronę swojej pani i zatrzymują się u jej stóp. Każdy z nich ma osiem nóg, cienkich i okrutnie ostrych, i wszystkie drżą, nie mogąc się doczekać, kiedy będą mogły się rzucić na mnie, aby pociąć mnie na kawałki. „Pająki”. Cierpnie mi skóra i czuję się tak, jak gdyby dosięgły mnie już ich mordercze odnóża.

Iskry w moich dłoniach ożywają, tańczą między palcami. Lampy migoczą, gdy wysysam z najbliższego otoczenia energię i nasiąkam nią niczym gąbka wodą. W moim ciele krąży moc, a jej nieprawdopodobne natężenie to wynik mojej siły – i determinacji. „Nie umrę tutaj”.

Po drugiej stronie szklanej ściany Maven uśmiecha się do mnie, policzki jednak ma blade, boi się. Obok niego stoi Cal z kamiennym wyrazem twarzy. Dopóki bitwa nie zostanie rozstrzygnięta, żołnierz ma być z kamienia.

– Kto ma przewagę? – pyta instruktor Arven. – Mareena czy Evangeline?

Nikt nie podnosi ręki. Nawet przyjaciółki Evangeline. Jedyne przenoszą spojrzenia to na mnie, to na nią, patrząc, jak nasze umiejętności przybierają na sile.

Uśmiech Evangeline przeradza się w szyderczy grymas. Przywykła do tego, że zawsze ją faworyzowano, zawsze jej się obawiano. Dlatego teraz przepelnia ją wściekłość.

Lampy znów migają, a moje ciało huczy niczym przeciążony mocą kabel. W ciemnościach raz po raz rozświetlanych rozbłyskami światła koszmarne pająki ruszają przed siebie, drapiąc podłogę metalowymi odnóżami.

W następnym momencie czuję gwałtowny przypływ strachu, mocy i energii.

Mrok i jasność przeplatają się w szaleńczym tańcu, przez co nasz pojedynek przypomina obraz drgający na popsutym monitorze. Błyskawice raz po raz przeszywają ciemność, w ich fioletowo-białym świetle metalowe stwory rozpadają się na drobne kawałki. Cały czas rozbrzmiewają mi w głowie słowa Cala, dlatego biegnę, nie zatrzymuję się ani na sekundę, aby nie dać Evangeline szansy na to, żeby mnie zraniła. Dziewczyna lawiruje między swoimi pająkami, unikając moich pocisków.

Odłamki metalu trafiają mnie w ręce, ale nie przebijają się przez skórzany kombinezon. Evangeline jest szybka, ja jednak jestem szybsza, chociaż u moich stóp roją się pająki o nogach z żyłek. W pewnym momencie doprowadzający mnie do szału srebrny warkocz prześlizguje mi się między palcami, ale sekundę później znów znajdujemy się daleko od siebie. Udaje mi się jednak zmusić ją do nieustannego ruchu. „Wygrywam”.

Ponad ohydny zgrzytem metalu słyszę Mavena i innych Srebrnych, którzy wiwatują i okrzykami zachęcają mnie, żebym skończyła z przeciwniczką. Światła błyskają, trudno dostrzec ją wyraźnie, ale przez chwilę wiem, jak to jest być jedną z nich. Czuć wypełniającą mnie siłę i potęgę, wiedzieć, że potrafię coś, czego miliony ludzi nie potrafią. Evangeline czuje się tak codziennie, teraz zaś przyszła kolej na mnie. „Pokażę ci, co to znaczy się bać”.

Uderzenie pięścią trafia mnie prosto w krzyż, ból promieniuje na całe ciało. Kolana mi się uginają, padam na podłogę. Evangeline staje nade mną, jej uśmiechniętą twarz okalają potargane srebrne włosy.

– Tak jak mówiłam – cedzi. – Będzie szybko.

Nogi poruszają się same, odruchowo wykonują manewr, który setki razy praktykowałam w bocznych uliczkach Palów. Ze dwa razy nawet na Kilornie. Stopą podcinam jej nogi i Evangeline upada na podłogę tuż obok mnie. Pomimo paraliżującego bólu w plecach w ciągu sekundy jestem na niej. W dłoniach trzeszczy mi energia, ale tym razem korzystam tylko z pięści. Czuję ból w kłykciach, on mnie jednak nie zatrzymuje, chcę zobaczyć jej piękną srebrną krew.

– Chciałabyś, żeby było szybko – ryczę, wymierzając kolejny cios.

Jakimś cudem Evangeline wybucha śmiechem. Odgłos jej rechotu zagłusza zgrzyt metalu. Wokół nas kawałki roztrzaskanych błyskawicą pajaków drgają, ponownie budząc się do życia. Metalowe skrawki łączą się jednak w inny kształt, tworząc przerażającą dymiącą bestię.

Potwór porusza się z zaskakującą szybkością i zrzuca mnie ze swojej pani. Teraz to ja leżę przygwożdżona do podłogi i patrzę w falujące, poskręcane kawałki metalu. Iskry w moich dłoniach gasną, jestem zbyt zmęczona i przerażona, żeby je przywołać. „Nawet Uzdrowiciele nie zdołają mnie po tym wszystkim uratować”.

Zakończona żyłką łapa jednym pociągnięciem rozcina mi twarz. Podłużną ranę natychmiast wypełnia czerwona gorąca krew. Słyszę swój krzyk, nie jest to jednak wrzask bólu, ale rozpacz. „To koniec”.

Chwilę potem oślepiający ognisty pocisk uderza w metalowego potwora, zrzucając go ze mnie i przemieniając w kupkę zwęglonych resztek. Czyjeś silne ręce stawiają mnie na nogi, a następnie dotykają moich włosów i przesuwają je na twarz, aby zakryć czerwone skaleczenie, które mogłoby mnie zdradzić. Obracam się do Mavena i pozwalam mu się wyprowadzić z sali. Jestem cała

rozdygotana, tylko dzięki jego mocnym ramionom dają radę utrzymać równowagę i iść. Zbliża się do nas Uzdrowiciel, ale Cal odsyła go i zasłania przed nim moją twarz.

Zanim zdążą się zamknąć za nami drzwi, słyszę krzyki Evangeline i głos Cala, zwykle spokojny, teraz jednak podniesiony i miotający gromy.

*

Kiedy w końcu się odzywam, głos mi się łamie.

– Kamery, kamery widziały.

– Kamery obsługują wartownicy zaprzysiężeni mojej matce, wierz mi, akurat nimi nie powinniśmy się przejmować – mówi szybko Maven, niemal połykając słowa. Trzyma mnie mocno za rękę, jak gdyby się obawiał, że ktoś mnie wyrwie z jego uścisku. Przeciąga dłońią po mojej twarzy, ocierając krew rękawem. „Jeżeli ktoś zobaczy...”

– Zaprowadź mnie do Juliana.

– Julian to głupiec – odburkuje księżę.

Na końcu korytarza pojawiają się jakieś postacie, dwóch spacerujących arystokratów, a wtedy Maven skręca w przejście dla służby, żeby uniknąć spotkania z nimi.

– Julian wie, kim jestem – odpowiadam szeptem i mocno się w niego wczepiam. On wzmacnia uścisk, a ja wzmacniam swój. – Będzie wiedział, co robić.

Maven patrzy na mnie, targają nim sprzeczne uczucia, ale w końcu przytakuje skinieniem głowy. Po drodze do apartamentów Juliana krwawienie ustaje, jednak twarz nadal mam potwornie pokiereszowaną.

Pukamy raz i nauczyciel natychmiast otwiera drzwi. Tradycyjnie wygląda jak osoba, która nie przywiązuje większej wagi do powierzchowności. Ze zdumieniem zauważam, że pochmurnieje na widok mojego towarzysza.

– Księżę Maven – wita się, składając sztywny, niemal obraźliwy ukłon. Maven nie odpowiada, przeciska się obok Juliana i wprowadza mnie prosto do salonu.

Pokoje nauczyciela są niewielkie, a wydają się jeszcze mniejsze przez panujące w nich półmrok i duchotę. Kotary są zaciągnięte, nie przepuszczają popołudniowego światła, na podłodze zaś leżą rozrzucone kartki papieru, na których łatwo można się pośliznąć. W rogu syczy czajnik postawiony na podłączonym do prądu kawałku metalu mającym zastąpić kuchenkę. Nic dziwnego, że nie widuję Juliana poza lekcjami; zdaje się mieć u siebie wszystko, czego mu trzeba.

– Co się dzieje? – pyta, wskazując nam dwa zakurzone krzesła. Najwyraźniej niezbyt często podejmuje gości. Siadam, ale Maven nie korzysta z zaproszenia i nadal stoi.

Odsuwam na bok włosy, ukazując lśniący czerwony emblemat mojej przynależności.

– Evangeline trochę poniosło.

Julian porusza się niespokojnie, jak gdyby czuł się nieswojo. Krępuje go jednak obecność nie moja, ale Mavena. Nauczyciel i księżę wpatrują się w siebie gniewnie, chociaż nie mam pojęcia, skąd bierze się ich wrogość. Po chwili Julian spogląda na mnie.

– Nie jestem Uzdrowicielem Ciała, Mare. Jedyne, co mogę zrobić, to oczyścić twoją ranę.

– Mówiłem ci – prycha Maven. – On nic nie może.

Nauczyciel wykrzywia usta w grymasie.

– Znajdź Sarę Skonos – rzuca, po czym zaciska szczęki, czekając, aż Maven wykona jego polecenie. Nigdy wcześniej nie widziałam Mavena tak rozzłoszczonego, do tego stopnia z równowagi nie wyprowadził go nawet Cal. Jednak z Mavena i Juliana emanuje nie gniew, ale *nienawiść*. Gardzą sobą nawzajem. – Zrób, o co proszę, księżę. – Tytuł wymówiony przez Juliana brzmi jak obelga.

Maven w końcu ustępuje i wychodzi z pokoju.

– Co się między wami dzieje? – pytam szeptem, wskazując drzwi, które przed chwilą zamknęły się za Mavenem.

– Powiem ci później – odpowiada Julian i podaje mi białą ścierkę, którą ocieram twarz. Na materiale zostają ciemnoczerwone plamy.

– Kim jest Sara Skonos?

Julian znów się waha.

– Uzdrowicielką Ciała. Zajmie się tobą. – Wzdycha. – Jest również przyjaciółką. Zaufaną przyjaciółką.

Nie wiedziałam, że Julian ma przyjaciół poza mną i książkami, ale nie wypytuję go dalej.

Gdy kilka chwil później Maven z powrotem pojawia się w salonie, twarz mam już czystą, choć nadal lepką i opuchniętą. Jutro będę musiała ukryć kilka siniaków i nie chcę nawet się zastanawiać, jak teraz wyglądają moje plecy. Ostrożnie dotykam guza rosnącego w miejscu, gdzie uderzyła mnie Evangeline.

– Sara nie jest... – Maven urywa, szukając odpowiednich słów. – Nie wybrałbym jej do tego zadania.

Zanim zdążę zapytać dlaczego, drzwi się otwierają i w progu staje kobieta, na którą zapewne czekamy. Wchodzi po cichu, oczy ma spuszczone. W przeciwieństwie do innych Uzdrowicieli, na przykład kobiet z rodu Blonos, nie ukrywa swojego wieku, ale dumnie prezentuje go w każdej zmarszczce na twarzy, w zapadniętych policzkach. Wydaje się rówieśniczką Juliana, ale ramiona ma przygarbione, jak gdyby lata, które na nich dźwiga, stanowiły większy ciężar niż te, które on nosi na swoich barkach.

– Jestem zaszczycona, wielmożna pani Skonos – mówię spokojnym głosem, jak gdybym zaczynała

rozmowę o pogodzie. Lekcje protokołu chyba jednak robią swoje.

Sara nie odpowiada, ale podchodzi prosto do mnie, przykłęka i szorstkimi dłońmi obejmuje moją twarz. Jej chłodny dotyk koi niczym woda oblewająca poparzoną skórę, a palce z zadziwiającą delikatnością suną po ranie biegnącej wzdłuż policzka. Uzdrowicielka pracuje sumiennie, lecz po kolei wszystkie siniaki na mojej twarzy. Zanim zdążę wspomnieć o plecach, kładzie dłoń na moim krzyżu i mam wrażenie, że topi się na nim kostka lodu wnikażąca w stłuczone miejsce i uśmierzająca ból. Kilka minut później jest już po wszystkim, a ja czuję się jak wtedy, gdy przyszedłam tu po raz pierwszy. Prawdę mówiąc, nawet lepiej. Zniknęły wszystkie dawne dolegliwości i siniaki.

– Dziękuję – mówię, ale kobieta znów nie odpowiada.

– Dziękuję, Saro – szepcze Julian, a wtedy jej szare oczy szybkim ruchem wędrują do jego oczu. Uzdrowicielka nieznacznie pochyla głowę, składając ledwie dostrzegalny ukłon. Julian wyciąga rękę, delikatnie ujmując Sarę pod ramię, pomagając jej podźwignąć się z klęczek. Oboje poruszają się niczym partnerzy w tańcu, w rytm melodii, której nikt inny nie słyszy.

Ciszę zakłóca głos Mavena:

– To wszystko, Skonos.

Spokój Sary przemienia się w ledwie skrywany gniew. Kobieta wywija się z uchwytu Juliana i mknie do wyjścia niczym ranione zwierzę. Drzwi za nią zatrząskują się, wprawiając w drżenie uwięzione za szkłem mapy. Drżą również dłonie Juliana, trzęsą się jeszcze długo po jej odejściu, jak gdyby cały czas ją czuł.

Usiłuje to ukryć, ale nie wychodzi mu: Julian był w niej kiedyś zakochany, a może nadal jest. Wpatruje się w drzwi udręczonym spojrzeniem, jak gdyby czekał na jej powrót.

– Julianie?

– Im dłużej cię nie ma, tym bardziej ludzie będą gadali – mówi cicho i gestem nakazuje nam wyjść.

– To prawda. – Maven rusza do drzwi, żeby je otworzyć i wyprowadzić mnie na zewnątrz.

– Jesteś pewny, że nikt nie widział? – Podnoszę rękę do policzka, teraz już gładkiego i czystego.

Maven przystaje i namyśla się.

– Nikt, kto mógłby to rozpowiedzieć.

– Tajemnice nie utrzymują się tutaj długo – mruczy Julian. W jego głosie pobrzmiwa niespotykany gniew. – Wasza Wysokość doskonale o tym wie.

– A ty powinieneś doskonale wiedzieć, jaka jest różnica między tajemnicą a kłamstwem – odburkuje Maven.

Chwyta mnie za nadgarstek i ciągnie z powrotem na korytarz, nie dając mi czasu na to, żebym zapytała, o czym mówią. Udaje nam się przejść zaledwie kilka kroków, gdy zaczepia nas znajoma

postać.

– Jakieś kłopoty, kochanie?

Królowa Elara, zjawiskowa piękność w jedwabnej sukni, zwraca się do swojego syna. O dziwo jest sama, bez eskorty wartowników. Zatrzymuje spojrzenie na dłoni Mavena, który nadal trzyma mnie za rękę. Choć raz nie czuję, że królowa zakrada się w moje myśli. „Jest teraz w głowie syna”.

– Nic, z czym nie dałbym sobie rady – mówi Maven, zacieśniając uchwyt, jak gdybym była jego kotwicą.

Królowa unosi brew, nie wierząc jego zapewnieniom, ale nie dopytuje. Wątpię, czy kiedykolwiek musi dopytywać; „zna odpowiedzi na wszystkie pytania”.

– Proszę się pośpieszyć, panno Mareeno, inaczej spóźnisz się na lunch – radzi, w końcu przenosząc wzrok na mnie. A wtedy mocniej ściskam dłoń Mavena. – I doradzam więcej ostrożności podczas treningów. Czerwoną krew trudno zmyć.

– Wy wiecie o tym najlepiej – rzucam, przypominając sobie Shade’a. – Chociaż się staracie, nie chce zejść z waszych rąk.

Elara otwiera szeroko oczy zdumiona moim wybuchem. Nie sędzę, żeby ktokolwiek ośmielił się zwracać do niej w ten sposób, i przez chwilę czuję się jak zwycięzca. Ale uczucie to nie trwa długo.

Nagle odczuwam ostre szarpnięcie, moje ciało leci do tyłu i z łoskotem uderza w ścianę korytarza. Królowa kieruje moimi ruchami niczym lalkarz marionetką. Kości mi grzechoczą, szyja trzeszczy, a głowa wali w ścianę. Przed oczami wirują mi gwiazdy, lodowato niebieskie gwiazdy.

„Nie, nie gwiazdy. Oczy. To jej oczy”.

– Matko! – woła Maven, ale jego głos wydaje się dobiegać z oddali. – Matko, przestań!

Jakaś dłoń zamyka się na moim gardle, przytrzymuje mnie, a ja mam coraz mniejszą władzę nad własnym ciałem. Owiewa mnie słodki oddech, nieznośnie słodki.

– Nigdy więcej nie odezwiesz się do mnie w ten sposób – cedzi Elara zbyt wściekła, żeby trudzić się wchodzeniem w moje myśli. Zacieśnia uchwyt, przez co nie mogę przytaknąć, nawet gdybym chciała.

„Dlaczego po prostu mnie nie zabije? – zastanawiam się, z trudem łapiąc oddech. – Skoro jestem takim ciężarem, takim problemem, dlaczego po prostu mnie nie zabije?”

– Dość tego! – ryczy Maven, a jego gniew rozlewa się falą gorąca po korytarzu. Nawet poprzez mgłę, którą zaszyły mi oczy, widzę, jak z zadziwiającą siłą i odwagą odciąga ode mnie matkę.

Elara przestaje się koncentrować na mnie, pozwala, żebym osunęła się po ścianie na podłogę, sama zaś niemal się potyka i zatacza ze zdumienia. Piorunuje wzrokiem własnego syna, który obrócił się przeciwko niej.

– Wróć do swoich zajęć, Mare – dyszy Maven, nie odrywając spojrzenia od matki. W tym

momencie Elara na pewno jest już w jego głowie i wrzeszczy na niego za to, że mnie obronił. – Idź!

Wokoło czuć coraz większe gorąco promieniujące ze skóry księcia i natychmiast przypomina mi się powściągliwość Cala. Wygląda na to, że w Mawenie również drzemie ogień, może nawet silniejszy, i jeśli wybuchnie, wolę znajdować się daleko.

Ruszam przed siebie, usiłując jak najszybciej zostawić za sobą królową, ale nie potrafię się powstrzymać, żeby nie obrócić się i raz jeszcze spojrzeć na nich oboje. Stoją naprzeciwko i wpatrują się w siebie, tocząc pojedynek, którego nie rozumiem.

*

W pokoju czekają na mnie służące z kolejną pozłocaną suknią, którą trzymają przewieszoną na rękach. Podczas gdy jedna stroi mnie w jedwabie i fioletowe kamienie szlachetne, pozostałe poprawiają mi włosy i makijaż. Jak zwykle nie mówią ani słowa, chociaż po tak obfitującym we wrażenia poranku przedstawiam sobą obraz nędzy i rozpacz.

Lunch okazuje się kolejnym wyzwaniem. Zwykle kobiety jedzą osobno i w trakcie posiłku plotkują o zbliżających się ślubach i innych bzdurach, o których lubią rozmawiać bogate panie, jednak dziś jest inaczej. Znów jesteśmy na tarasie wychodzącym na rzekę, przez tłum co chwila przemykają służący w czerwonych uniformach, ale o wiele bardziej rzucają się w oczy mundury wojskowe, których jest znacznie więcej niż zazwyczaj. Można by pomyśleć, że na lunch sproszone cały legion.

Cal i Maven również są obecni, na ich piersiach mienią się medale, oni zaś z uśmiechem prowadzą uprzejme rozmowy, podczas gdy sam król ściska dłonie żołnierzom. Wszyscy wojskowi są młodzi, mają na sobie szare mundury ozdobione srebrnymi emblematami, które w niczym nie przypominają złachanych czerwonych mundurów polowych przydzielonych moim braciom i innym Czerwonym poborowym. Ci Srebrni owszem, idą na wojnę, ale nie zaznają prawdziwej walki. To synowie i córki możnowładców i dla nich wyprawa na front to kolejna wycieczka. Następne ćwiczenie do zaliczenia, konieczne, aby ukończyć trening. Dla nas, do niedawna również dla mnie, to koniec. Śmierć.

Teraz jednak muszę pamiętać o swoich obowiązkach, uśmiechać się, ściskać ich dłonie i dziękować im za odwagę i poświęcenie. Z każdym wypowiedzianym słowem czuję coraz większą gorycz w ustach, aż w końcu uciekam od tłumy i ukrywam się we wnęce do połowy przysłoniętej roślinami. Gwar głosów nadal wypełnia zalany słońcem taras, ale tu przynajmniej mogę swobodnie oddychać. Choć przez sekundę.

– Wszystko w porządku?

Obok mnie stoi Cal, wygląda na zmartwionego, ale i dziwnie rozluźnionego. Lubi przebywać w towarzystwie żołnierzy; zdaje się, że to jego naturalne otoczenie.

Chociaż marzę o tym, żeby zniknąć, prostuję się.

– Nie jestem wielbicieleką konkursów piękności.

Cał pochmurnieje.

– Mare, oni idą na wojnę. Myślę, że kto jak kto, ale ty mogłabyś pożegnać ich odpowiednio.

Mój urywany śmiech rozbrzmiewa niczym terkot karabinu.

– Z jakiego powodu sądzisz, że powinna mnie *obchodzić* banda smarkaczy wybierająca się na wojnę jak na jakieś wakacje?

– To, że zgłosili się na służbę dobrowolnie, wcale nie znaczy, że są mniej odważni.

– Cóż, mam nadzieję, że spodobają im się luksusowe koszary, obfite racje żywnościowe, wolne popołudnia i wszystkie inne rzeczy, które moim braciom nigdy nie przysługiwały. – Wątpię, czy tym ochotnikom będzie tam brakowało czegokolwiek prócz ptasiego mleka.

Chociaż Cał wygląda, jak gdyby chciał na mnie krzyknąć, powstrzymuje się. Teraz, gdy już trochę znam jego charakter, jestem zdziwiona, że w ogóle potrafi zapanować nad sobą.

– To pierwszy złożony w całości ze Srebrnych legion, który idzie na front – odpowiada spokojnie. – Będą walczyć na pierwszej linii razem z Czerwonymi, ubrani jak Czerwoni. Gdy dojdą do Duszni, Lakelandczycy nie będą wiedzieli, z kim mają do czynienia. A kiedy spadną bomby i nieprzyjaciel przypuści kolejny atak, stawią opór, jakiego nikt się nie będzie spodziewał, po czym przeprowadzą kontratak. Legion Cienia zwycięży na całej linii.

Nagle robi mi się gorąco i zimno jednocześnie.

– Oryginalny pomysł.

Cał jednak nie triumfuje. Wręcz przeciwnie, wygląda na smutnego.

– Ty mi go podsunęłaś.

– Słucham?

– Kiedy spadłaś na arenę podczas Królewskiej Próby, nikt nie wiedział, co robić. Jestem pewny, że Lakelandczycy będą tak samo zmieszani.

Chociaż próbuję się odezwać, nie potrafię wydobyć z siebie dźwięku. Nigdy nie byłam dla nikogo natchnieniem, a już na pewno nie stanowiłam źródła inspiracji dla manewrów taktycznych. Cał wpatruje się we mnie, jak gdyby chciał dodać coś jeszcze, ale nie odzywa się. Żadne z nas nie wie, co powiedzieć.

W tym momencie Oliver, Wietrzyc, który trenuje razem z nami, kładzie dłoń na ramieniu Cala, w drugiej zaś ściska prawie pusty kielich. On również jest ubrany w mundur. „Też będzie walczyć”.

– Co się tak chowasz, Cał? – chichocze, po czym wskazuje tłum gości. – W porównaniu z Lakelandczykami ta banda to bułka z masłem.

Cał patrzy na mnie, srebrny rumieniec oblewa mu policzki.

– Lakelandczycy nie są mi straszni – oznajmia, nie odrywając ode mnie oczu.

– Idziesz na front razem z nimi?

Oliver, uśmiechając się o wiele za szeroko jak na chłopaka, który ma wyruszyć na wojnę, odpowiada za Cala.

– Czy idzie? – dziwi się. – Cal nas prowadzi! Poprowadzi swój legion do boju.

Cal spokojnym ruchem uwalnia się z uchwytu Olivera. Podpity Wietrzyca wydaje się tego nie zauważać i papla dalej:

– Będzie najmłodszym generałem w historii i pierwszym księciem walczącym na linii frontu.

„I pierwszym, który zginie”, w mojej głowie odzywa się ponury głos. Chociaż wiem, że nie powinnam, wyciągam rękę do Cala, on zaś nie cofa się i pozwala, abym ujęła jego dłoń. W tym momencie wygląda nie jak księżę, generał czy Srebrny arystokrata, ale jak chłopak z zajazdu, ten, który chciał mnie ocalić.

Mówię cicho, ale z mocą:

– Kiedy?

– Gdy ruszycie do stolicy, po balu. Wy pojedziecie na południe – szepcze – a ja na północ.

Przeszywa mnie zimny dreszcz strachu, jak wtedy, gdy Kilorn pierwszy raz powiedział mi, że idzie na wojnę. Ale Kilorn to rybak, złodziej, dziecko ulicy, które wie, jak przetrwać, jak wybrnąć z najgorszych tarapatów. Cal jest inny. Jest żołnierzem, który umrze, jeśli będzie trzeba. Odda życie za swoją wojnę. I sama nie wiem, dlaczego mnie to przeraża. Dlaczego w ogóle mnie to obchodzi.

– Gdy Cal pójdzie na front, ta wojna wreszcie się skończy. Gdy będzie tam Cal, w końcu zwyciężymy – grzmi Oliver, szczerząc się idiotycznie. Znów chwyta księcia za ramię, na co ten ujmuje Wietrzyca pod rękę i odprowadza go w stronę tłumu, ja zaś zostaję sama.

Ktoś wciska mi zimnego drinka, którego wypijam jednym haustem.

– Powoli – mruczy Maven. – Nadal martwisz się dzisiejszym porankiem? Nikt nie widział twojej twarzy, rozmawiałem z wartownikami.

Jest to jednak ostatnia rzecz, o której myślę, gdy patrzę na Cala wymieniającego uścisk ręki z ojcem. Na jego twarzy maluje się wspaniały uśmiech, lecz wiem, że to maska, którą tylko ja potrafię przeniknąć.

Maven podąża za moim wzrokiem i wydaje się czytać w moich myślach.

– Chciał to zrobić. To był jego wybór.

– Co nie znaczy, że ma nam się on podobać.

– Mój syn, generał! – oznajmia z dumą król Tyberiasz, a jego tubalny głos przebija się przez gwar rozmów. W chwili gdy przyciąga do siebie Cala i obejmuje go ramieniem, zapominam, że patrzę na króla i następcę tronu, i niemal rozumiem ogromną potrzebę starszego syna, aby zadowolić ojca.

„Ile bym dała wtedy, gdy byłam jeszcze zwykłą złodziejką, żeby moja matka patrzyła na mnie w ten sposób? Ile dałabym teraz?”

Ten świat jest Srebrny, ale też szary. Nie czarno-biały.

*

Gdy wieczorem, dawno po kolacji, ktoś puka do drzwi mojego pokoju, spodziewam się Walsh i kolejnej tajnej wiadomości zatopionej w filizance wody, okazuje się jednak, że w progu stoi Cal. Bez munduru i zbroi wygląda na zwykłego chłopaka, którym właściwie jest. „Ma zaledwie dziewiętnaście lat i wkrótce czeka go śmierć lub sława, a może jedno i drugie”.

Kulę się w mojej pidżamie i żałuję, że nie narzuciłam szlafroka.

– Cal? O co chodzi?

Wzrusza ramionami i uśmiecha się nieznacznie.

– Evangeline niemal wykończyła cię dzisiaj na arenie.

– No i?

– No i nie chcę, żeby wykończyła cię na parkiecie.

– Czeka mnie kolejna niespodzianka? Podczas balu też trzeba walczyć?

Wybucha śmiechem i opiera się o futrynę, jednak nie przesuwa stóp ani o centymetr do przodu, jak gdyby nie chciał postawić nogi w moim pokoju. Albo nie powinien. „Będę żoną jego brata. A on idzie na wojnę”.

– Nie będziesz musiała, jeżeli nauczysz się tańczyć.

Przypominam sobie, że napomykałam mu, iż kiepsko mi idzie nauka kroków, a pod okiem pani Blonos to już w ogóle, ale jak Cal może mi pomóc w tej sprawie? I dlaczego miałby chcieć to zrobić?

– Jestem zadziwiająco dobrym nauczycielem – dodaje z szelmowskim uśmiechem. Kiedy wyciąga do mnie rękę, cała drzę.

Wiem, że nie powinnam. Wiem, że najlepiej byłoby zamknąć drzwi i nie przekraczać granicy bezpieczeństwa.

„Ale on idzie na wojnę, być może z niej nie wróci”.

Dygocąc na całym ciele, podaję mu dłoń i pozwalam się wyciągnąć z pokoju.

ROZDZIAŁ 18

Na podłogę pada światło księżyca, wystarczająco jasne, żeby rozproszyć nocne ciemności. W srebrzystej poświacie moja różowa skóra wydaje się blada – wyglądam jak Srebrna. Krzesła szurają po drewnianym parkiecie, gdy Cal przestawia meble w salonie, żebyśmy mieli gdzie poćwiczyć. Sala leży na uboczu, ale buczenie kamer nie milknie. Ludzie Elary cały czas obserwują, nikt jednak nie przychodzi nas powstrzymać. A raczej – powstrzymać Cala.

Książkę wyjmuję z kieszeni małe pudełko, które stawia na podłodze. Wpatruje się wyczekująco w to dziwne urządzenie, jak gdyby lada chwila coś miało się zdarzyć.

– Czy to ustrojstwo nauczy mnie tańczyć?

Cal kręci głową, z jego twarzy nie znika uśmiech.

– Nie, ale będzie pomocne.

Nagle z pudełka dobiega pulsujący rytm i uzmysławiam sobie, że to głośnik, podobny do tych, które zamontowano w amfiteatrze w Palach. Tyle że ten przekazuje muzykę, a nie głosy zagrzewające do walki. Zapowiada życie, nie śmierć.

Melodia, która z niego płynie, jest lekka niczym bicie serca. Stojący naprzeciwko mnie Cal uśmiecha się jeszcze szerzej i wystukuje rytm stopą. Nie potrafię się powstrzymać i moje stopy również poruszają się do taktu. Muzyka jest pełna wigoru i radości, zupełnie inna niż chłodne, sztywne melodie puszczane w klasie przez panią Blonos czy żałosne pieśni, które pamiętam z domu. Przesuwam nogi, usiłując odtworzyć kroki zapamiętane z lekcji protokołu.

– Nie zwracaj sobie tym głowy, ruszaj się po swojemu – śmieje się Cal. Bębny przyspieszają, a wtedy książkę robi obrót i zaczyna nucić. Po raz pierwszy nie wygląda na człowieka, na którego barkach spoczywa ciężar władania królestwem.

Ja również czuję, że moje obawy i zmartwienia znikają, choćby na parę chwil. Znowu powraca znajome uczucie wolności, takie jak wtedy, gdy pędziłam z Cal'em na motorze.

Idzie mu o wiele lepiej niż mnie, ale i tak wygląda głupio; wolę sobie nie wyobrażać, jak idiotycznie wyglądam wobec tego ja sama. Mimo to robi mi się smutno, gdy piosenka się kończy. Ostatnie nuty szybko cichną, a ja czuję się, jak gdybym znowu zderzyła się z rzeczywistością. Wracają

myśli, od których sztywnieję; „Nie powinnam tu być”.

– To chyba nie najlepszy pomysł, Cal.

Przechyliła głowę na bok i przygląda mi się z zadowoleniem.

– Dlaczego?

„Zmusza mnie, żebym powiedziała to na głos”.

– Nie powinnam przebywać sam na sam nawet z Mavenem. – Zacinam się, czuję, że się rumienię.

– Nie wiem, czy tańczenie z tobą w ciemnej sali jest czymś odpowiednim.

Zamiast się ze mną sprzeczać, Cal jedynie wybuchu śmiechem i wzrusza ramionami. W pokoju rozbrzmiewa kolejna melodia, wolniejsza, bardziej przejmująca.

– Moim zdaniem wyświadczam bratu przysługę. – Uśmiecha się szelmowsko. – Chyba że chcesz przez cały wieczór deptać mu po palcach?

– Dziękuję za troskę, ale potrafię się *doskonale* poruszać – oznajmiam, krzyżując ręce na piersiach.

Powoli, delikatnie, ujmuje mnie za rękę.

– Może na arenie – odpowiada. – Na parkiecie niekoniecznie.

Kieruję spojrzenie w dół, na jego stopy przesuwające się w rytm muzyki. Przygarnia mnie do siebie, zmuszając, żebym dotrzymywała mu kroku, i chociaż staram się, jak mogę, od razu się o niego potykam.

Uśmiecha się zadowolony, gdy okazało się, że ma rację. Jest w każdym calu żołnierzem, a żołnierze lubią wygrywać.

– Ta piosenka ma taki sam rytm jak większość melodii, które usłyszysz podczas balu. To łatwy taniec, nietrudno się go nauczyć.

– Na pewno uda mi się coś pokręcić – gderam, ale pozwalam, aby prowadził mnie po parkiecie. Nasze stopy w kółko powtarzają te same ruchy, a ja staram się nie myśleć o bliskości jego ciała i o zgrubieniach na jego dłoniach. O dziwo w dotyku przypominają moje: stwardniałe od lat pracy.

– Nie wątpię – mruczy, ale w jego głosie nie słychać już śmiechu.

Jestem przyzwyczajona do Cala, który góruje nade mną posturą, ale teraz wydaje mi się drobniejszy. Może przez te ciemności, a może przez taniec. Jest taki sam, jak podczas naszego pierwszego spotkania; nie książkę, ale człowiek.

Przypatruje się mojej twarzy, ogląda policzek, przez który biegła rana.

– Maven doprowadził cię do porządku. – W jego głosie pobrzmiwa niezrozumiała gorycz.

– Raczej Julian. I Sara Skonos. – Reakcja Cala jest mniej gwałtowna niż jego brata, ale on również zaciska szczękę. – Dlaczego jej nie lubicie?

– Maven ma swoje powody, dobre powody – mamrocze. – Ale nie będę mówić za niego. A ja...

nie chodzi o to, że *nie lubię* Sary. Po prostu nie lubię o niej myśleć.

– Dlaczego? Co ci zrobiła?

– Mnie nic – wzdycha. – Wychowała się z Julianem i moją matką – wspominając mamę, zniża głos. – Była jej najlepszą przyjaciółką. A kiedy matka umarła, Sara pogrążyła się w rozpacz. Julian był zdruzgotany, ale Sara... – urywa, zastanawiając się, jak opowiedzieć to, co się wydarzyło. Zwalniamy, aż w końcu zatrzymujemy się, choć muzyka dalej rozbrzmiewa wokół nas. – Nie pamiętam matki – oznajmia ostro, jak gdyby próbował się wytłumaczyć. – Miałem niecały rok, kiedy umarła. Znam ją tylko z opowiadań ojca i Juliana. A żaden z nich nie mówi o niej chętnie.

– Na pewno Sara mogłaby opowiedzieć ci o niej, skoro się przyjaźniły.

– Sara Skonos nie może mówić, Mare.

– W ogóle?

Cał ciągnie powoli, spokojnym wyrównanym tonem, który często słyszę u jego ojca.

– Powiedziała coś, czego nie powinna, straszliwe kłamstwa, i została za to ukarana.

Ogarnia mnie przerażenie. „Nie może mówić”.

– Co takiego powiedziała?

W mgnieniu oka skóra Cala staje się lodowata w dotyku. Księżę cofa się, wyplątuje się z moich ramion, podczas gdy muzyka w końcu cichnie. Szybkim ruchem chowa głośnik z powrotem do kieszeni i w ciszy, która zapanowała na sali, nie słychać nic prócz bicia naszych serc.

– Nie chcę więcej o niej rozmawiać. – Oddycha ciężko. Jego oczy wydają się dziwnie błyszczące, gdy przenosi je ze mnie na wypełnione księżycowym blaskiem okno.

Czuję ukłucie w sercu; cierpienie, które wypełnia jego głos, sprawia mi ból.

– Dobrze.

Szybkimi stanowczymi krokami zmierza w stronę drzwi, jak gdyby ze wszystkich sił powstrzymywał się przed tym, aby nie rzucić się do ucieczki. Kiedy jednak się obraca i staje naprzeciwko mnie, wygląda tak samo jak zwykle – spokojny, opanowany, obojętny.

– Ćwicz kroki – rzuca, a mówiąc to, przypomina panią Blonos. – Jutro o tej samej porze. – Następnie znika, zostawiając mnie samą w pokoju rozbrzmiewającym echem naszego spotkania.

– Co ja tu, do cholery, robię? – mruczę sama do siebie.

*

Wchodzę do pokoju, ruszam w stronę łóżka i w połowie drogi uzmysławiam sobie, że coś jest nie tak: kamery nie działają. Nie słyszę ani jednej, żadna nie obserwuje mnie swoim elektrycznym okiem ani nie nagrywa każdego mojego ruchu. Jednak tym razem nie jest to wynik przerwy w dostawie prądu, ponieważ wszystko wokół pulsuje energią. Wyczuwam elektryczność we wszystkich pomieszczeniach naokoło, tylko nie w moim pokoju.

„Farley”.

Z ciemności wyłania się jednak nie rewolucjonistka, ale Maven. Odsuwa kotarę, żeby wpuścić do wnętrza księżycowy blask.

– Wieczorna przechadzka? – Uśmiecha się gorzko.

Otwieram usta, usiłując wymyślić coś, co mogłabym powiedzieć.

– Wiesz, że nie powinieneś tutaj być. – Zmuszam się do uśmiechu w nadziei, że zaraz odzyskam panowanie nad sobą. – Pani Blonos byłaby zgorszona. Ukarze nas oboje.

– Ludzie matki są mi winni parę przysług. – Wskazuje miejsca, w których ukryto kamery. – Blonos nie będzie miała dowodów na nasze przestępstwo.

Jego słowa nie dodają mi otuchy. Przechodzą mnie ciarki, nie jest to jednak dreszcz strachu, tylko emocji. Dreszcze potęgują się, elektryzują moje zmysły niczym błyskawica, gdy Maven powoli zbliża się do mnie.

Z zadowoleniem przygląda się rumieńcom, które występują mi na policzki.

– Czasami zapominam – mówi cicho. Podnosi rękę, dotyka mojej twarzy i przez chwilę jej nie cofa, jak gdyby chciał poczuć ciepło krwi pulsującej w moich żyłach. – Wolałbym, żeby nie malowali cię codziennie.

Dotyk jego palców sprawia, że czuję mrowienie, ale staram się nie zwracać na nie uwagi.

– Czyli jest nas już dwoje.

Wykrzywia usta, siląc się na uśmiech, nie wychodzi mu to jednak.

– Co się stało?

– Farley znów się skontaktowała. – Cofa się i wsuwa rękę do kieszeni, żeby ukryć drżenie palców. – Nie było cię.

„Takie już mam zezowate szczęście”.

– Co mówiła?

Maven wzrusza ramionami. Podchodzi do okna i spogląda na nocne niebo.

– Więcej pytała, niż mówiła.

Cele. Na pewno na niego naciskała, żeby wydobyć informacje, których nie chciał zdradzić. Widzę jego przygarbione plecy, słyszę drżący głos i domyślam się, że wyjawiał więcej, niż zamierzał. *O wiele więcej.*

– Kto? – Moje myśli biegną do Srebrnych, których tu poznałam, tych, którzy na swój sposób okazali mi życzliwość. Czy któryś z nich stanie się ofiarą jej rewolucji? Na kogo padnie? – Maven, kogo wydałeś?

Obraca się gwałtownie, a w jego oczach płonie wściekłość, jakiej nigdy nie widziałam. Przez chwilę obawiam się, że on, a wraz z nim cały pokój, stanie w płomieniach.

– Nie chciałem, ale ona ma rację. Nie możemy siedzieć z założonymi rękami, musimy *działać*. A jeśli to oznacza, że trzeba podać nazwiska, podam je. Przyjdzie mi to z trudem, ale to zrobię. Już zrobiłem.

Podobnie jak Cal wciąga głęboko powietrze, żeby się uspokoić.

– Zasiadam w radach razem z ojcem, w radzie podatkowej, bezpieczeństwa i obrony. I wiem, z czyją stratą będzie trudno się pogodzić moim... będzie trudno się pogodzić Srebrnym. Podałem cztery nazwiska.

– *Jakie?*

– Reynald Iral, Ptolemeusz Samos, Ellyn Macanthos, Belicos Lerolan.

Wydaję stłumiony jęk, po czym bezwiednie potakuję. Śmierć tych osób nie przejdzie bez echa. Brat Evangeline, pani pułkownik – „z ich stratą na pewno trudno będzie się pogodzić”.

– Pułkownik Macanthos wiedziała, że twoja matka kłamie. Wie o pozostałych zamachach...

– Dowodzi połową legionu i stoi na czele rady wojennej. Bez niej na froncie zapanuje całkowity chaos.

– Na froncie? – „Cal. Jego legion”.

Maven przytakuje.

– Ojciec nie wyśle go po tym wszystkim na wojnę. Jeżeli zamach nastąpi tak blisko domu, wątpię, czy wypuści go poza mury stolicy.

Zatem jej śmierć uratuje Cala. I pomoże Gwardii.

„Shade umarł za sprawę. Jego walka jest teraz moją walką”.

– Dwie pieczenie na jednym ogniu – szepczę, czując, że do oczu napływają mi gorące łzy. Chociaż to nieludzko trudne, wymienię jej życie na życie Cala. Bez wahania.

– Twój przyjaciel również będzie w to zaangażowany.

Kolana uginają się pode mną ze strachu, ale udaje mi się ustać na nogach. Gniew walczy we mnie z lękiem, podczas gdy Maven z ciężkim sercem, ale rzeczowo wyjaśnia mi cały plan.

– A jeżeli nam się *nie uda*? – Kiedy kończy, zadaję pytanie, które cały czas omijał z daleka.

Ledwo dostrzegalnie kręci głową.

– Uda się.

– A jeżeli nie? – Nie jestem księżniczką, moje życie nie było bajką i wiem, że nie zawsze przytrafiają się szczęśliwe zakończenia. – Jeżeli coś sknocimy, Maven, co wtedy?

Ze świstem wciąga powietrze, usiłując zachować spokój.

– Wtedy zostaniemy uznani za zdrajców, obydwójce. Rozprawa, wyrok... i egzekucja.

*

Podczas następnej lekcji z Julianem nie potrafię się skupić. Nie umiem myśleć o niczym innym

prócz nadchodzących wydarzeń. Tyle rzeczy może się nie udać, a stawka jest tak wysoka. Moje życie, życie Kilorna, Mavena – wszyscy nadstawiamy karku.

– Wiem, że to nie moja sprawa, ale... – zaczyna Julian, wrywając mnie z zamyślenia. Spoglądam na niego w obawie, że coś wyczuł. – Wydajesz się, cóż, bardzo *związana* z księciem Mavenem.

Ogarnia mnie ulga i niemal wybucham śmiechem, ale jednocześnie czuję się urażona. Maven to ostatnia osoba, której powinnam się strzec w tym gnieździe żmij. Sama wzmianka na ten temat sprawia, że się obruszam.

– Jestem z nim zaręczona – staram się odpowiedzieć najuprzejmiej, jak potrafię.

Julian jednak nie zmienia tematu i drażny dalej. Jego łagodny sposób bycia, który zwykle mi odpowiada, teraz wyprowadza mnie z równowagi.

– Staram się tylko pomóc. Maven jest synem swojej matki.

Tym razem nie potrafię się powstrzymać.

– Nic o nim nie wiesz – rzucam ostro. „Maven to mój przyjaciel. Ryzykuje więcej niż ja”. – Ocenianie go po tym, co robią jego rodzice, jest tak samo sprawiedliwe jak ocenianie mnie po kolorze krwi. To, że nienawidzisz króla i królowej, nie znaczy, że musisz od razu nienawidzić jego.

Julian wpatruje się we mnie spokojnym, ale płomiennym wzrokiem. Kiedy się odzywa, jego głos przypomina warkot.

– Nienawidzę króla, ponieważ nie potrafił ocalić mojej siostry, ponieważ zastąpił ją tą żmiją. Nienawidzę królowej, ponieważ zniszczyła Sarę Skonos, ponieważ złamała życie dziewczynie, którą kiedyś kochałem. Ponieważ wycięła Sarze *język*. – Groźny pomruk przemienia się w cichy skowyt. – Miała taki piękny głos.

Ogarnia mnie fala mdłości. Nagle uparte milczenie Sary, jej zapadnięte policzki nabierają zupełnie innego znaczenia. Nic dziwnego, że Julian poprosił ją o pomoc; nikomu nie powie prawdy na mój temat.

– Ale... – odzywam się nieśmiało i ochryple, jak gdyby mnie również odebrano głos – ... przecież jest Uzdrowicielką.

– Uzdrowiciele Ciała nie mogą uleczyć samych siebie. A nikt nie odważy się sprzeciwić karze, którą nałożyła królowa. Dlatego Sara musi tak żyć, zhańbiona, do końca swoich dni. – Jego słowa są ciężkie, obrzmiałe od wspomnień, bolesnych i strasznych. – My, Srebrni, nie boimy się bólu, ale jesteśmy dumni. Duma, godność, honor; tych przymiotów nie zastąpią żadne umiejętności.

Chociaż historia Sary poruszyła mnie do głębi, czuję również strach o siebie. „Odcięli jej język za to, co powiedziała. Co mogą zrobić ze mną?”

– Zapominasz, kim naprawdę jesteś, dziewczuszko od błyskawic.

Przydomek, który wymawia, otrzeźwia mnie niczym policzek.

– To nie jest twój świat. Nauczyłaś się kłaniać, ale to nic nie zmienia. *Nie rozumiesz gry, którą prowadzimy.*

– Ponieważ dla mnie to nie jest gra, Julianie. – Popycham w jego stronę księgę z czarną listą, a karty z nazwiskami martwych żołnierzy zsuwają mu się na kolana. – To życie i śmierć. Nie prowadzę gry o tron, koronę czy rękę księcia. Nie prowadzę żadnej gry. Jestem *inna*.

– Jesteś – szepcze i przeciąga palcem po stronach księgi. – Dlatego niebezpieczeństwo czyha tutaj na ciebie z każdej strony. Nawet ze strony Mavena. Nawet z mojej strony. *Każdy może zdradzić każdego.*

Odpływa myślami, jego wzrok pochmurnieje. W popołudniowym świetle wydaje się starym, poszarzałym i zgorzkniałym mężczyzną; człowiekiem widmem dręczonym wspomnieniami o zmarłej siostrze, nękanym miłością do złamanej kobiety i skazanym na nauczanie dziewczyny, która potrafi tylko kłamać. Spoglądam ponad jego ramieniem na mapę tego, co było przed nami. „Ten świat jest prześladowany przez widma”.

Nagle przychodzi mi do głowy myśl najstraszniejsza ze wszystkich. „Shade już stał się widmem, które mnie prześladowuje. Kto jeszcze do niego dołączy?”

– Nie popełnij błędu, dziewczyno – szepcze w końcu. – Bierzesz udział w tej grze jako pionek w rękach innych zawodników.

Nie mam siły sprzeczać się z nim. „Myśl sobie, co chcesz, Julianie. Nie jestem taka głupia”.

*

„Ptolemeusz Samos. Pułkownik Macanthos”. Ich twarze przesuwają się przed moimi oczami, gdy razem z Calem wiruję na parkiecie w salonie. Dziś wieczorem księżyc się skurczył, jego blask jest słabszy, ale nadzieja wewnątrz mnie płonie silniej niż kiedykolwiek wcześniej. Bal odbędzie się jutro, a później, cóż, nie mam pojęcia, dokąd zaprowadzi mnie ścieżka, na którą wstąpiłam. Będzie to jednak nowa ścieżka, nowa droga wiodąca do lepszej przyszłości. Na skutek działań wojennych dojdzie do zniszczeń i strat wśród ludności cywilnej, jak ujął to Maven. Wiemy, jakie są koszty. Jeśli jednak wszystko pójdzie zgodnie z planem, Szkarłatna Gwardia uniesie sztandar wysoko, tak by wszyscy mogli go zobaczyć. Farley wyda po zamachu kolejny komunikat, w którym wyszczególni nasze żądania. „Równość, sprawiedliwość, wolność”. Lepiej tak niż miałyby wybuchnąć prawdziwe powstanie.

Gdy moje ciało przechyla się do tyłu i zniża powoli, wyginając się w łuk, wydaję cichy okrzyk. Silne ramiona Cala natychmiast zamykają się wokół mnie i podciągają do góry.

– Przepraszam – mówi zażenowany. – Myślałem, że jesteś na to gotowa.

„Nie jestem gotowa. Jestem przerażona”. Wymuszam śmiech, żeby ukryć prawdę.

– Nie, to moja wina. Znów odpłynęłam myślami.

Niełatwo go zbyć. Przekrzywia nieco głowę i zagląda mi w oczy.

– Nadal przejmujesz się balem?

– Bardziej niż ci się zdaje.

– Najtrudniejszy pierwszy krok. – Uśmiecha się pod nosem i wraca do prostszych kroków. –

Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale nie zawsze byłem wyśmianym tancerzem.

– Doprawdy szokujące – odpowiadam i uśmiecham się tak samo jak on. – Myślałam, że księżęta od urodzenia potrafią tańczyć i prowadzić puste dyskusje.

Cal znów chichocze, po czym przyspiesza tempo.

– Ja nie. Gdybym mógł ułożyć to po swojemu, całymi dniami przesiadywałbym w warsztacie albo w koszarach, konstruując i trenując. W przeciwieństwie do Mavena. On jest o wiele lepszym księciem, niż ja kiedykolwiek będę.

Myślę o Mawenie, przypominają mi się jego życzliwe słowa, nieskazitelne maniery, doskonała znajomość dworu – wszystko to, co robi, żeby ukryć swoją prawdziwą naturę i dobre serce. „Rzeczywiście idealny książę”.

– Jednak on zawsze będzie tylko księciem – mówię cicho, niemal z żalem w głosie. – A ty zostaniesz królem.

Cal również zniża głos, jego wzrok pochmurnieje. Jest w nim smutek, który narasta z każdym dniem. „Może wcale nie lubi wojny tak bardzo, jak mi się zdaje”.

– Czasami wolałbym, żeby było inaczej.

Szepcze, ale jego słowa rozbrzmiewają w mojej głowie głośnym echem. Chociaż wisi nad nami widmo jutrzejszego dnia, w tym momencie myślę tylko o Calu, o jego dłoniach i nikłej woni dymu ze spalanego drewna, która zawsze go owiewa. Ten zapach przywodzi mi na myśl ciepło, jesień, dom.

Nagle serce zaczyna mi bić szybciej, składam to na karb ożywionej melodii. Nie wiedzieć czemu dzisiejszy wieczór przypomina mi lekcje Juliana, jego opowieści o świecie istniejącym przed naszym światem. Świecie imperiów, zepsucia, wojen – i wolności, której nigdy nie zaznam. Jednak ludzie z tamtych czasów nie żyją, ich marzenia legły w gruzach, odnaleźć je można jedynie w kłębach dymu i kupach popiołu.

„Taka jest nasza natura – powiedział Julian. – Niszczymy. To cecha charakterystyczna rodzaju ludzkiego. Niezależnie od koloru krwi, zawsze upadamy”.

Kilka dni temu nie rozumiałam jego słów, ale teraz, gdy Cal trzyma moją dłoń i delikatnie mnie prowadzi, zaczynam pojmować, co nauczyciel miał na myśli.

Czuję, że sama zaczynam upadać.

– Naprawdę wyruszysz z legionem? – Sam dźwięk tych słów sprawia, że ogrania mnie

przerażenie.

Cal przytakuje nieznacznym skinieniem głowy.

– Miejsce generała jest wśród jego żołnierzy.

– Miejsce księcia jest przy księżniczce. Przy Evangeline – dodaję szybko. „Nieźle, Mare”, ganię się w duchu.

Powietrze wokół nas gęstnieje od gorąca, chociaż Cal nawet nie drgnie.

– Myślę, że sobie poradzi. Nie jest ze mną zbyt mocno związana. Mnie również nie będzie jej brakowało.

Nie umiem spojrzeć mu w oczy, koncentruję się więc na tym, co przede mną. Niestety tak się składa, że jest to jego klatka piersiowa okryta cienką, niemal przejrzystą koszulą. Nade mną Cal wciąga powietrze.

Nagle jego palce odnajdują mój podbródek i unoszą go do góry tak, żebym spojrzała mu w oczy. Połyskują w nich złociste płomienie, w których widać ukryte gorąco.

– Będzie mi ciebie brakowało, Mare.

Chociaż pragnę znieruchomić, zatrzymać czas i sprawić, że ta chwila będzie trwała wiecznie, wiem, iż to niemożliwe. Cokolwiek czuję czy myślę, Cal nie jest księciem, któremu zostałam przyrzeczona. Co więcej – stoi po drugiej stronie barykady. Jest moim wrogiem. Jest zakazany.

Dlatego niechętnie, z wahaniem wyplątnę się z jego objęć i cofam z kręgu ciepła, do którego tak bardzo przywykłam.

– Nie mogę – tylko tyle potrafię z siebie wykrztusić, chociaż wiem, że oczy mnie zdradzają. Nawet teraz czuję łzy gniewu i żalu, łzy, których przyrzekałam nie uронić.

Być może zbliżający się wymarsz na wojnę sprawia, że Cal robi się nagle zupełnie inny niż do tej pory, zuchwały i lekkomyślny. Chwyta mnie za rękę i przyciąga do siebie. Zdradza własnego brata. Ja zdradzam swoją sprawę, Mavena i siebie, ale nie chcę się zatrzymać. „Każdy może zdradzić każdego”.

Jego usta przywierają do moich, twarde, ciepłe, natarczywe. Ich dotyk elektryzuje mnie, jednak w inny sposób, niż przywykłam. Iskra, która przebiega po moim ciele, nie jest iskrą zniszczenia, ale iskrą życia.

Mimo że pragnę się odsunąć, nie potrafię. Cal jest niczym urwisko, z którego się rzucam, nie zastanawiając się, co ten skok może oznaczać dla nas obojga. Pewnego dnia się zorientuje, że jestem jego wrogiem, i to wszystko pozostanie jedynie odległym wspomnieniem. Ale jeszcze nie teraz.

ROZDZIAŁ 19

Mijają godziny, zanim zostanę pomalowana i wyszykowana na arystokratkę, w którą mam się wcielić, jednak odnoszę wrażenie, że to zaledwie kilka chwil. Kiedy służące prowadzą mnie przed lustro i w milczeniu czekają na moją aprobatę, potrafię jedynie skinąć głową. Dziewczyna w zwierciadle jest piękna i przerażona tym, co ma nadejść, zakuta w kajdany z jedwabiu. Muszę ją ukryć, schować tę przestraszoną istotę; muszę się uśmiechać, tańczyć i wyglądać na jedną z nich. Niemal nadludzkim wysiłkiem odsuwam od siebie strach. „Strach mnie zabije”.

Maven czeka na mnie na końcu korytarza, ciemna postać w galowym mundurze. Czarny materiał munduru kontrastuje z bladą cerą księcia i sprawia, że jego niebieskie oczy są jeszcze bardziej wyraziste, promienne. Nie wygląda na przestraszonego, ale w końcu jest królewskim synem. Srebrnym. Potrafi zachować kamienną twarz.

Podsuwa mi ramię, a ja skwapliwie się na nim wspieram. Spodziewam się, że dzięki temu poczuję się silniejsza i bardziej bezpieczna, ale jego dotyk przypomina mi o Calu i o zdradzie, której się dopuściliśmy. Wracają wspomnienia z poprzedniego wieczoru, przed oczami przesuwają się kolejne, coraz wyraźniejsze obrazy, w pamięci staje każdy oddech. Chwilowo Maven nie zauważa jednak mojego niepokoju. Głowę zaprzątają mu znacznie ważniejsze sprawy.

– Wyglądasz pięknie – mówi cicho i skinieniem głowy wskazuje moją suknię.

Nie zgadzam się z nim. To głupia, przesadnie strojna kreacja usiana fioletowymi klejnotami, które mienią się z każdym moim ruchem, przez co wyglądam jak lśniący żuk. Mimo to dziś wieczorem mam być damą, przyszłą księżniczką, przytakuję więc i uśmiecham się z wdzięcznością. Nie potrafię odsunąć od siebie myśli, że usta, które teraz posyłają uśmiech Mavenowi, wczoraj wieczorem całowały jego brata.

– Pragnę tylko, żeby było już po wszystkim.

– To nie skończy się dzisiaj, Mare. Jeszcze przez długi czas nie będzie po wszystkim. Wiesz o tym, prawda? – Mówi, jak gdyby był mądrym, doświadczonym mężczyzną, a nie siedemnastoletnim chłopakiem. Kiedy się waham, nie wiedząc tak naprawdę, co myśleć, jego szczęki zaciskają się. – Mare? – powtarza, a w jego głosie słyszę drżenie.

– Boisz się, Maven? – pytam słabo, niemalże szeptem. – Ja tak.

Jego oczy twardnieją, zmieniają się w błękitną stal.

– Boję się porażki. Boję się, że przypadnie niepowtarzalna szansa. I boję się tego, co się stanie, jeśli nic na tym świecie się nie zmieni. – Jego skóra robi się gorąca, wyczuwam w nim ogień niezłomnego postanowienia. – Przeraza mnie to bardziej niż śmierć.

Trudno odmówić mu racji, przytakuję więc skinieniem. Jakże mogłabym się wycofać? „Będę niezłomna”.

– Powstaniemy – szepcze tak cicho, że ledwie go słyszę. „Czerwoni niczym świt”.

Chwyta mnie mocniej, gdy wchodzimy do holu z windami. Król i królowa czekają na nas w otoczeniu wartowników. Nie widzę Cala ani Evangeline i mam nadzieję, że nieprędko ich zobaczę. Im dłużej nie muszę ich razem oglądać, tym lepiej dla mnie.

Królowa Elara ma na sobie iskrzące się szkaradzieństwo w barwach domów swojego i męża: czerwonej, czarnej, białej i niebieskiej. Na jej wargi wypływa uśmiech, gdy omijając mnie wzrokiem, spogląda na syna.

– Jesteśmy – mówi Maven, puszczając moją rękę i stając u boku matki. Robi mi się dziwnie zimno, gdy nie czuję jego dotyku. – Jak długo będziemy musieli tam być? – Zaczyna narzekać, dobrze odgrywając swoją rolę. Im bardziej zaabsorbuję i odwróci uwagę matki, tym większe mamy szanse. Wystarczy, że Elara zajrzy na chwilę do nieodpowiedniej głowy, i diabli wezmą cały plan. „Nas przy okazji też”.

– Maven, nie możesz przychodzić i wychodzić, kiedy ci się zachce. Masz do wypełnienia pewne obowiązki i zostaniesz tak długo, jak będzie trzeba. – Obraca się do niego, aby poprawić mu kołnierzyk, medale, rękawy, a ja zdumiewam się na ten widok. To ta sama kobieta, która wdarła się w moje myśli i odebrała mi dawne życie, kobieta, której *nienawidzę*, a mimo to jest w niej jakiś okrucieństwo. Kocha swojego syna. A Maven, pomimo wszystkich jej wad, kocha ją.

Król Tyberiasz dla odmiany wydaje się w ogóle nie zwracać uwagi na syna. Ledwie na niego zerka.

– Chłopak po prostu się nudzi. Za mało ma rozrywek, nie to, co na froncie – oświadcza, gładząc się po starannie przystrzyżonej brodzie. – Potrzebny ci jakiś cel w życiu, Mavey.

Na ułamek sekundy z twarzy Mavena znika maska kapryśnego chłopca. „Mam cel”, zdają się krzyknąć jego oczy, ale usta pozostają zaciśnięte.

– Cal ma legion, wie, co robi, czego *chce*. Musisz wymyślić, co chcesz zrobić ze swoim życiem, wiesz?

– Tak, ojczyźnie – odpowiada Maven. Chociaż usiłuje to ukryć, po jego twarzy przemyka cień.

Dobrze znam to spojrzenie. Pamiętam je z czasów, gdy rodzice wspominali, że powinnam być

bardziej jak Gisa, chociaż to było niemożliwe. Codziennie wieczorem pastwiłam się nad sobą, nienawidziłam się za to, że nie potrafię się zmienić, że nie mogę być równie cicha, zdolna i ładna jak siostra. Nie znam większego bólu niż to uczucie. Jednak król nie zauważa cierpienia młodszego syna, tak samo jak rodzice nie zauważali mojego.

– Maven pomaga mi jak może dostosować się do nowej roli i sądzę, że to wystarczająco trudne zadanie – oświadczam w nadziei, że uda mi się zakończyć krytyczną tyradę króla. Gdy Tyberiasz odwraca się do mnie, Maven wzdycha i posyła mi pełen wdzięczności uśmiech.

– Zdaje się, że wykonał dobrą robotę – oznajmia król, omiatając mnie spojrzeniem. Wiem, że w tym momencie przypomina sobie prostą dziewczynę z Czerwonych, która nie chciała mu się pokłonić. – Z tego, co słyszę, jesteś już prawie damą.

Rozciąga usta w uśmiechu, jednak jego oczy pozostają poważne i bez wątpienia czai się w nich podejrzliwość. Jakiś czas temu w sali tronowej pragnął mnie zabić, żeby zachować władzę i równowagę w kraju, i nie sądzę, aby to pragnienie kiedykolwiek zniknęło. Jestem zagrożeniem, ale również inwestycją. Wykorzysta mnie, kiedy będę mu przydatna, i zabije, kiedy przyjdzie na to pora.

– Mam dobrych nauczycieli, królu. – Składam ukłon, udając, że jego słowa mi pochlebiły, choć w rzeczywistości nie dbam o to, co myśli. Jego zdanie obchodzi mnie mniej niż rdza na wózku mojego ojca.

– Wszyscy gotowi? – rozlega się głos Cala, wrywając mnie z zamyślenia.

Reaguję instynktownie i obracam się w stronę wejścia. Czuję ucisk w żołądku, ale nie z podniecenia, ze zdenerwowania czy z innych powodów, o których paplają dziewczyny. Robi mi się niedobrze przez to, co zrobiłam, na co pozwoliłam – przez to, co *chciałam* zrobić. Chociaż Cal usiłuje spojrzeć mi w oczy, przenoszę wzrok na Evangeline, która wisi u jego ramienia. Znow ma na sobie kostium z metalu i mimo że jej usta nawet nie drgną, przewija się po nich cień pełnego wyższości uśmiechu.

– Wasza Królewska Mość – mówi, składając irytująco perfekcyjny ukłon.

Tyberiasz uśmiecha się do niej, do swojej przyszłej synowej, po czym kładzie dłoń na ramieniu Cala.

– Czekaliśmy tylko na was, synu – rechocze.

Gdy stoją obok siebie, nie sposób nie dostrzec rodzinnego podobieństwa – mają takie same włosy, miedzianożłote oczy, nawet taką samą posturę. Maven przygląda im się swoimi niebieskimi, łagodnymi, zamyślonymi oczami, podczas gdy matka nie wypuszcza jego ręki ze swojej. Cal, którego otaczają z jednej strony Evangeline, z drugiej zaś ojciec, nie może zrobić nic więcej niż spojrzeć mi w oczy. Nieznacznie pochyła głowę, a ja wiem, że to jedyne powitanie, na jakie zasługuję.

Pomimo zmiany dekoracji sala balowa wygląda tak samo jak nieco ponad miesiąc wcześniej, gdy

królowa po raz pierwszy wpełchnęła mnie w tendziwny świat, oficjalnie odbierając mi imię i tożsamość. Zadano mi tu pierwszy dotkliwy cios i teraz nadeszła pora na rewanz.

„Dziś wieczorem poleje się krew”.

Teraz jednak nie mogę o tym myśleć. Muszę stać razem z innymi i rozmawiać z setkami arystokratów, którzy ustawili się w rzędzie, aby zamienić parę słów z rodziną królewską i jedną Czerwoną oszustką. Omiatam spojrzeniem kolejną dworzan, usiłując wyłowić z tłumu twarze wybranych – tych, których Maven wskazał Gwardii jako cele; iskier mających rozpalić ogień. „Reynald, pani pułkownik, Belicos... i Ptolemeusz”. Srebrnowłosa, ciemnooki brat Evangeline.

To on wita się z nami jako jeden z pierwszych, zaraz po swoim srogim ojcu, który spieszy prosto do córki. Kiedy Ptolemeusz podchodzi do mnie, z trudem opanowuję mdłości. Nigdy nie stanęłam przed większym wyzwaniem niż to – spojrzeć w oczy człowieka skazanego na śmierć.

– Gratuluję – mówi głosem twardym jak skała. Uścisk dłoni ma równie mocny. Zamiast munduru wojskowego nosi czarny lśniący strój wykonany z nakładających się na siebie gładkich metalowych łusek. Jest wojownikiem, ale nie żołnierzem. Ptolemeusz, podobnie jak w przeszłości jego ojciec, stoi na czele straży miejskiej Archeonu, której celem jest czuwanie nad bezpieczeństwem stolicy. „Głowa węża – mówił o nim Maven. – Wystarczy ją odciąć, a reszta uschnie”. Młodzieniec przenosi jastrzębie oczy na siostrę, jeszcze zanim puszcza moją rękę. Następnie zdawkowo wita się z Mavenem i Callem, po czym obejmuje Evangeline z niespotykaną u Srebrnych wylewnością. Zastanawiam się, jak to możliwe, że ich metalowe wdzianka nie zahaczą się o siebie.

„Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, nigdy więcej nie uściśnie siostry”. Evangeline straci brata, podobnie jak ja. Mimo że wiem, jaki to ból, nie potrafię jej współczuć. Zwłaszcza w tej chwili, gdy stoi wczepiona w Cala jak pijawka. Wyglądają, jak gdyby stanowili swoje zupełne przeciwieństwa: on w prostym mundurze, ona w lśniącym niczym gwiazda stroju z żyłek i szpikulców. Pragnę ją zabić, pragnę być nią. Nie mogę jednak nic zrobić. Poza tym Evangeline i Cal to mój najmniejszy problem tego wieczoru.

Ptolemeusz znika, jego miejsce zajmują następni, padają kolejne ostre słowa i chłodne uśmiechy, a mnie coraz bardziej pochłania wir zdarzeń. Po Samosach nadchodzi kolej domu Iral. Sprężystym, leniwym krokiem wiedzie ich Ara, Pantera. Ku mojemu zdumieniu kłania mi się nisko i uśmiecha się do mnie. Jest w niej jednak coś dziwnego, odnoszę wrażenie, że kobieta wie więcej, niż daje po sobie poznać. Oszczędza mi kolejnych pytań i nie zamienia ze mną ani słowa.

Za Panterą idzie jej wnuczka w towarzystwie drugiego celu: Reynalda Irala, swojego kuzyna. Maven powiedział mi, że jest on doradcą finansowym, geniuszem, który dzięki operacjom finansowym i handlowym utrzymuje armię. Jego koniec będzie oznaczał koniec dopływu pieniędzy, a tym samym koniec wojny. Jeśli taki będzie skutek, gotowa jestem poświęcić życie jednego poborcy

podatkowego. Kiedy Reynald ujmuję mnie za rękę, zauważam, że spojrzenie ma lodowate, a dłonie miękkie. Nigdy więcej nie poczuję ich dotyku.

O wiele trudniej zlekceważyć myśl o śmierci pani pułkownik Macanthos. Blizna na jej policzku dzisiaj, kiedy wszyscy naokoło są wystrojeni do granic możliwości, przykuwa uwagę jeszcze bardziej niż zwykle. Być może nie popiera Gwardii, ale nie wierzy ślepo w słowa królowej. Nie połączyła gładko kłamstw, którymi Elara karmiła nas wszystkich.

Mocno ujmuję mnie za rękę, gdy wymieniamy uścisk dłoni; choć raz ktoś nie traktuje mnie, jak gdybym była ze szkła.

– Wszystkiego najlepszego, panno Mareeno. Dobrana z was para. – Wskazuje skinieniem Mavena. – Nie to, co ci drudzy – dodaje żartobliwie szeptem. – Panna Samos będzie nieszczęśliwą królową, a ty szczęśliwą księżniczką, zapamiętaj moje słowa.

– Zapamiętam – mówię cicho. Udaje mi się uśmiechnąć, choć wiem, że to ostatnie chwile pani pułkownik. Niezależnie od tego, ile miłych słów jeszcze powie, jej koniec zbliża się wielkimi krokami.

Kiedy Macanthos podchodzi do Mavena i podając rękę, zaprasza go, żeby za tydzień dokonał razem z nią inspekcji oddziałów, widzę, że jest on równie poruszony. Pani pułkownik rusza dalej, a wtedy dłoń Mavena odnajduje moją i ściska ją w pokrzepiającym geście. Wiem, że żałuje, iż wydał właśnie Macanthos, ale tak samo jak zabójstwo Reynalda i Ptolemejusza jej śmierć również będzie służyć sprawie. W ostatecznym rozrachunku okaże się, że warto było poświęcić jej życie.

Następny cel stoi o wiele dalej w kolejce arystokratów, ponieważ wywodzi się z niższego domu. Radośnie uśmiechnięty Belicos Leloran ma kasztanowe włosy i ubrania w barwach zachodzącego słońca. W przeciwieństwie do innych Srebrnych, którzy witali się ze mną dziś wieczorem, Belicos wydaje się ciepły i miły. Uśmiech goszczący w jego oczach jest równie szczery jak uścisk dłoni.

– To zaszczyt, panno Mareeno. – Pochyliła głowę w ukłonie uprzejmym aż do przesady. – Oddaję się do usług na nadchodzące lata.

Uśmiecham się, udając, że nadejdą dla niego kolejne lata, jednak coraz trudniej przychodzi mi zachowanie pozorów. Gdy pojawia się jego żona razem z dwójką chłopców, bliźnięt, chce mi się wyć. Czterolatki, popiskujący jak szczenięta, wdrapują się tacie na nogi. Belicos patrzy na swoich synków i uśmiecha się do nich łagodnie.

Dyplomata, opowiadał o nim Mavenu, ambasador w sprzymierzonym z nami Piedmoncie. Bez niego nasza więź z tym leżącym na dalekim południu krajem ulegnie rozluźnieniu, przez co Norta zostanie osamotniona w walce przeciwko Czerwonemu świtowi. To kolejna ofiara, którą należy złożyć, kolejne nazwisko, które trzeba poświęcić. Ale on ma dzieci. „Ma dzieci, a my go zabijemy”.

– Dziękuję, Belicos. – Mavenu podaje rękę ambasadorowi i usiłuje prędko pożegnać jego rodzinę,

zanim załamie się na oczach wszystkich zebranych.

Próbuję coś powiedzieć, ale potrafię myśleć tylko o tym, że zabiorę tym maluchom ojca. Przypomina mi się płaczący po śmierci taty Kilorn. „Miał chyba tyle samo lat”.

– Prosimy o wybaczenie – głos Mavena wydaje się dobiegać z daleka. – Mareena nie przywykła jeszcze do emocji towarzyszących tak podniosłym wydarzeniom.

Zanim zdążę jeszcze raz spojrzeć na skazanego na śmierć ojca dwójki dzieci, mój narzeczony spiesznie wyprowadza mnie z sali. Parę osób śledzi nas spojrzeniem, czuję na sobie wzrok Cala. Niemal się potykam, ale Maven podtrzymuje mnie i wyciąga na balkon. Zwykle świeże powietrze poprawia mi nastrój, teraz jednak wątpię, aby cokolwiek mogło mnie podnieść na duchu.

– Dzieci – wykrztuszam. – On jest *ojcem*.

Opieram się ciężko o poręcz balkonu, Maven mnie puszcza, ale nie odsuwa się. W świetle księżycy jego oczy lśnią lodowato, gdy wpija je we mnie z mocą. Wyciąga ręce i kładzie dłonie na moich ramionach, przytrzymując mnie i zmuszając, żebym go wysłuchała.

– Reynald też jest ojcem. Pani pułkownik ma dzieci. Ptolemeusz jest zaręczony z dziewczyną z domu Haven. Wszyscy oni mają bliskich, mają kogoś, kto będzie ich opłakiwał. – Wyrzuca słowa z trudem; jest równie rozdarty jak ja. – Nie ma innego sposobu, żeby pomóc sprawie, Mare. Nie możemy wybierać i przebierać. Musimy robić to, co konieczne, bez względu na cenę.

– Nie mogę im tego zrobić.

– Myślisz, że ja chcę im to zrobić? – szepcze, a jego twarz znajduje się zaledwie parę centymetrów od mojej. – Znam ich wszystkich, boli mnie, że muszę ich zdradzić, *ale tak trzeba*. Pomyśl, co ich śmierć przyniesie, do czego się przyczyni. Ilu twoich ludzi zostanie ocalonych? Myślałem, że to rozumiesz!

Urywa, zaciska na chwilę powieki. Kiedy odzyskuje panowanie, unosi dłoń i drżącym palcem przeciąga po moim policzku.

– Przepraszam, po prostu... – Głos mu się łamie. – Może nie pojmujesz do końca, co zapoczątkuje ten wieczór, ale ja wiem. Wiem, że wszystko się zmieni.

– Wierzę ci – mamroczę. Unoszę dłoń, chwytam go za rękę. – Po prostu chciałabym, żeby nie musiało tak być.

Za nim, w sali balowej, do rodziny królewskiej podchodzą się przywitać ostatni goście. Kończą się wymiany uprzejmości i wieczorne przyjęcie zaczyna się na dobre.

– Ale tak musi być, Mare. Zaufaj mi, *trzeba*, żebyśmy tak zrobili.

Chociaż serce mi pęka, przytakuję skinieniem głowy.

– Dobrze.

– Wszystko w porządku?

Cal odchrząkuje, ponieważ jego głos zabrzmiał dziwnie wysoko, po czym zagląda na balkon. Zatrzymuje spojrzenie na mojej twarzy.

– Jesteś gotowa, Mare?

Maven odpowiada za mnie:

– Jest gotowa.

Zostawiamy za sobą balustradę, ciemność nocy i ostatnią chwilę ciszy przed burzą, która lada moment się rozpęta. Gdy wchodzimy na salę, czuję muśnięcie na ramieniu: *Cal*. Oglądam się i widzę, że stoi z wyciągniętą ręką i nadal na mnie patrzy. Oczy ma pochmurniejsze niż kiedykolwiek wcześniej, iskrzą się w nich emocje, których nie rozumiem. Zanim jednak się odzywa, u jego boku pojawia się Evangeline. Kiedy ujmuję jej dłoń, odwracam wzrok.

Maven prowadzi nas na środek pustego parkietu.

– Teraz będzie najtrudniejsza część – uprzedza mnie.

Koncentruję się i dreszcze, które mną wstrząsały, przechodzą.

Rozpoczynamy pierwszy taniec, dwoje książąt i ich narzeczone, na oczach wszystkich gości. Kolejny pokaz siły i potęgi, zaprezentowanie dwóch zwycięskich dziewcząt rodzinom, które przegrały. Wirowanie po parkiecie to ostatnia rzecz, na jaką mam w tej chwili ochotę, ale wiem, że tego wymaga sprawa. Gdy rozbrzmiewają pierwsze dźwięki elektronicznej muzyki, której nie znoszę, uzmysławiam sobie, że przynajmniej rozpoznaję ten taniec.

Maven spogląda na mnie z uznaniem, gdy wprawnie przyjmuję odpowiednią pozę.

– Ćwiczyłaś?

„Z twoim bratem”.

– Trochę.

– Jesteś pełna niespodzianek – oznajmia, znajdując siłę na uśmiech.

Obok nas Cal okręca Evangeline i przygarnia ją do siebie. Wyglądają tak jak powinni wyglądać król i królowa: dostojnie, chłodno i pięknie. Spojrzenia moje i Cala spotykają się w tym samym momencie, gdy jego dłoń łączy się z jej dłonią, a wtedy targają mną tysiące emocji i żadna z nich nie jest przyjemna. Nie pozwalam jednak, żeby mnie sparaliżowały, tylko przysuwam się do Mavena, który spogląda na mnie szeroko otwartymi niebieskimi oczami. Melodia rozbrzmiewa coraz głośniej i Cal rusza z Evangeline do tańca, którego mnie uczył. Ona jest znacznie lepsza ode mnie, porusza się z elegancją i dystynkcją. Znów mam wrażenie, że za chwilę się rozpadnę.

Przesuwamy się po parkiecie w takt muzyki, spojrzenia wszystkich zebranych są skierowane na nas. Teraz poznają już twarze. Znam nazwy domów, ich barwy, umiejętności, historie. Wiem, kogo się obawiać, a komu współczuć. Wpatrują się w nas pożądliwie, a ja rozumiem dlaczego. Uważają, że jesteśmy ich przyszłością: Cal, Maven, Evangeline i nawet ja. Sądzą, że patrzą na króla i królową,

księcia i księżniczkę. Jest to jednak przyszłość, do której nie zamierzam dopuścić.

W świecie moich marzeń Maven nie będzie musiał ukrywać swojego serca, a ja nie będę musiała ukrywać tego, kim naprawdę jestem. Nie będzie korony, którą mógłby założyć Cal, nie będzie tronu, na którym mógłby zasiąść. Nie będzie murów, za którymi mogliby się ukrywać ci ludzie.

„Dla was wszystkich nadchodzi świt”.

Tańczymy do kolejnych dwóch utworów i powoli na parkiet wychodzą inne pary. Kolorowy wir oddziela nas od Cala i Evangeline i po chwili wydaje mi się, że zostaliśmy na parkiecie sami, tylko ja i Maven. W pewnym momencie jego rysy przemieniają się w moich oczach w rysy Cala i mam wrażenie, iż znów znajduję się w salonie zalanym poświatą księżyca.

Jednak Maven nigdy nie będzie Calem, chociaż ich ojciec bardzo tego pragnie. Nie jest żołnierzem, nie zostanie królem, ale jest śmiałkiem. I jest gotów postępować słusznie.

– Dziękuję, Maven – mój szept niemal ginie w brzęku okropnej muzyki.

Bez zbędnych pytań rozumie, co mam na myśli.

– Nie musisz mi dziękować. – Jego oczy ciemnieją, a głos brzmi dziwnie głęboko. – Nigdy i za nic.

Pierwszy raz znajduję się tak blisko niego, nosem niemal dotykam jego szyi. Pod dłonią wyczuwam bicie jego serca uderzającego w tym samym rytmie, co moje. „Maven jest synem swojej matki”, powiedział kiedyś Julian. Nawet nie przypuszcza, jak bardzo się pomylił.

Maven kieruje nas na skraj parkietu, na którym tłoczą się teraz prawie wszyscy możnowładcy. Nikt nie zauważy, że odeszliśmy na bok.

– Napoje? – pyta służący, podsuwając tacę z kieliszkami złotego musującego płynu. Unoszę dłoń, chcąc go odprawić, i dopiero wtedy dostrzegam zielone oczy.

Przygryzam język, żeby nie zawołać do niego na głos po imieniu. „Kilorn”.

O dziwo czerwony uniform mu pasuje i choć raz zdołał doczyścić twarz, zeskrobując z niej cały brud. Wygląda na to, że młody rybak, którego znałam, zniknął zupełnie.

– To wdzianko gryzie – marudzi pod nosem. „No, może niezupełnie zniknął”.

– Niedługo będziesz mógł je zdjąć – odpowiada Maven. – Wszystko na miejscu?

Kilorn przytakuje skinieniem głowy, omiata spojrzeniem tłum.

– Góra gotowa.

Nad nami wartownicy obserwują salę z antresoli zawieszanej wzdłuż wszystkich czterech ścian. Jednak cienie poruszające się nad nimi w rzeźbionych okiennych wnękach i na niewielkich balkonach nie są ani wartownikami, ani strażnikami.

– Musicie tylko dać sygnał. – Podaje nam tacę z kielichami złocistego płynu.

Maven prostuje się, dotyka ramieniem mojego ramienia, aby dodać mi odwagi.

– Mare?

„Moja kolej”.

– Jestem gotowa – mówię cicho i powtarzam w myślach plan, który kilka nocy temu przekazał mi szeptem Maven. Drżąc na całym ciele, pozwalam, aby przeszedł mnie znajomy dreszcz energii. Po chwili wyczuwam obecność każdej lampy i każdej kamery, a wtedy sięgam po kielich i upijam duży łyk.

Kilorn szybko odbiera prawie pusty kieliszek.

– Jedna minuta. – Jego słowa brzmią jak wyrok.

Znika razem z tacą, miesza się z tłumem i wkrótce tracę go z oczu. „Biegnij”, zaklinam go w duchu i modlę się, żeby nie zawiodły go nogi. Maven również mnie zostawia, odchodzi, żeby wypełnić własne zadanie u boku matki.

Zmierzam w stronę środka sali, czując, że moc energii elektrycznej za chwilę mnie pochłonie. Nie mogę jednak jeszcze jej uwolnić. Muszę czekać na ich ruch. „Trzydzieści sekund”.

Dostrzegam przed sobą króla Tyberiasza, który śmieje się razem ze swoim ulubionym synem. Wygląda, jak gdyby opróżnił już kilka kielichów i policzki mu pobladły od srebrnego rumieńca, natomiast Cal spokojnie sączy wodę ze szklanki. Z lewej strony dobiega mnie przenikliwy śmiech Evangeline, która prawdopodobnie dobrze się bawi w towarzystwie brata. Ludzie na całej sali biorą ostatni oddech.

Pozwalam, aby uderzenia serca odliczyły ostatnie sekundy. Cal zauważa mnie w tłumie i na jego twarz wypływa uśmiech, który uwielbiam. Rusza w moją stronę, nie dotrze jednak do mnie; nie dotrze wcześniej, niż dokona się to, co ma się dokonać. Świat zwalnia, a ja poddaję się mocy, którą wyczuwam w ścianach dookoła. Tak samo jak podczas treningu, tak samo jak na lekcjach z Julianem, uczę się nad nią panować.

Padają cztery strzały, wysoko nad nami widać cztery rozbłyski.

Potem rozlegają się krzyki.

ROZDZIAŁ 20

Krzyczę razem ze wszystkimi, światła gasną i zapalają się, potem szybko migają, a na koniec zupełnie wysiadają.

Minuta ciemności. Tyle muszę im zapewnić. Krzyki, wrzaski, tupot setek nóg rozpraszają mnie, zmuszam się jednak do koncentracji. Światła, które najpierw migają, a potem zgasły, sprawiają, że ludzie na sali właściwie nie mogą się poruszać. „Za to moi przyjaciele zdołają się wymknąć”.

– We wnękach! – słychać ryk wybijający się ponad ogólny harmider.

– Uciekają! – Rozlegają się kolejne okrzyki, nie poznaję głosów, ale w panującym na sali chaosie wszystkie dźwięki brzmią inaczej, obco.

– Znaleźć ich! Zatrzymać ich! Zabić ich!

Wartownicy na antresolach, którzy wydają się teraz skłębioną masą mrocznych sylwetek, pozdejmowali karabiny i ruszyli w pościg. „Walsh pomaga naszym”, przypominam sobie. Jeśli ona i inni służący zdołali przemycić Farley i Kilorna do pałacu, będą potrafili wyprowadzić ich poza mury. Ukryją się albo uciekną. Nic im nie będzie.

„Ocalą ich ciemności”.

Z tłumu wystrzela pojedynczy płomień, który wije się w powietrzu niczym ognisty wąż. Sycząc, rozprasza mrok, oblewa czerwonym blaskiem zwrócone ku górze twarze i ożywia splątane cienie tańczące na ścianach w koszmarnej parodii balu. Gdzieś obok krzyczy Sonia pochylona nad ciałem Reynalda. Żywotna babka Ara odrywa wnuczkę od zwłok i wyprowadza ją ze środka kotłowniny. Szkliste oczy Reynalda wpatrują się w sufit, odbija się w nich czerwone światło ognia.

Koncentruję się dalej, wszystkie mięśnie mam twarde i napięte.

Gdzieś w pobliżu źródła ognia dostrzegam osobistych strażników króla wyprowadzających monarchę z sali. Tyberiasz usiłuje im się wyrwać, woła, że chce zostać, ale choć raz nie słuchają jego rozkazów. Elara idzie tuż za nim przynaglana przez Mavena. Wielu arystokratów bierze przykład z królewskiej pary i pragnie się znaleźć jak najdalej od niebezpieczeństwa, od pałacu.

Strażnicy biegną pod prąd, wpadają na salę z rumorem, wokoło rozbrzmiewają ich okrzyki. Arystokraci przepychają się, spiesząc do wyjścia, potracają mnie, jednak nie ruszam się z miejsca i

koncentruję się ze wszystkich sił. Nikt nie próbuje mnie odciągnąć, nikt w ogóle nie zwraca na mnie uwagi. „Boją się”. Pomimo swojej siły, swojej potęgi, znają smak strachu. I wystarczyło zaledwie kilka kul, żeby wywołać w nich przerażenie.

Jakaś rozszlochana kobieta wpada na mnie i tracę równowagę. Upadam na podłogę tuż obok zwłok, moja twarz ląduje przy twarzy przeciętej długą blizną. Srebrna krew sączy się z głowy pułkownik Macanthos, spływa po jej czole na posadzkę. Otwór po kuli jest mały, otacza go szare, skamieniałe ciało. „To Twardoskóra”. W ostatniej chwili życia próbowała się ochronić, powstrzymać pocisk. Ale kuli nie dało się zatrzymać. Pułkownik zginęła.

Odsuwam się od zamordowanej kobiety, ale dłonie zaczynają mi się ślizgać w kleistej mieszance srebrnej krwi i wina. Wrzeszczę, wydaję przeraźliwy okrzyk, w którym pobrzmiewają złość i żal. Krew zostaje mi na rękach, jakby wiedziała, co zrobiłam. Jest lepka, zimna i wydaje się napływać ze wszystkich stron, jak gdyby chciała mnie utopić.

– MARE!

Silne ramiona przesuwają mnie po podłodze, odciągając od kobiety, której pozwoliłam umrzeć.

– Mare, proszę... – zaklina czyjś głos, ale nie mam pojęcia, o co chodzi.

Ryczę z bezsilności i przegrywam bitwę. Światła zapalają się, ukazując pobojuwisko, nad którym unosi się szelest jedwabiu i zapach śmierci. Kiedy usiłuję się dźwignąć na nogi, żeby się upewnić, czy wszystko zostało wykonane jak należy, czyjaś ręka ciągnie mnie z powrotem w dół.

Mówię to, co muszę, aby do końca odegrać swoją rolę.

– Przepraszam... światła... nie potrafię... – Lampy nad nami znów mrugają.

Cał ledwo mnie słyszy i opada na kolana obok mnie.

– Gdzie cię trafili?! – woła, dotykając mnie w taki sposób, w jaki zapewne go nauczono. Palcami obmacuje moje ramiona i nogi, szukając rany, z której wypłynęło tyle krwi.

Mój głos brzmi obco. Jest łagodny. Zrezygnowany.

– Nic mi nie jest. – Znów mnie nie słyszy. – Cał, nic mi nie jest.

Na jego twarzy odmalowuje się ulga i przez sekundę wydaje mi się, że mnie pocałuje. Dochodzi jednak do siebie szybciej niż ja.

– Na pewno?

Ostrożnie unoszę rękaw poplamiony srebrzystą posoką.

– Czy to może być moje?

„Moja krew ma inny kolor. Wiesz o tym”.

Przytakuje nieznacznym skinieniem głowy.

– Oczywiście – szepcze. – Po prostu... zobaczyłem cię na podłodze i myślałem... – urywa, a w jego oczach pojawia się ogromny smutek. Szybko jednak znika, ustępując miejsca zdecydowaniu. –

Lucas! Zabierz ją stąd!

Mój osobisty strażnik przedziera się przez panujące wokoło zamieszanie, broń trzyma w pogotowiu. Chociaż ma na sobie ten sam mundur i wysokie buty, nie jest to Lucas, którego znam. Jego czarne oczy – *oczy Samosów* – są mroczne jak noc.

– Zaprowadzę ją do pozostałych – melduje, podnosząc mnie z podłogi.

Mimo że wiem lepiej niż ktokolwiek inny, że niebezpieczeństwo minęło, nie potrafię się powstrzymać, aby nie złapać Cala za rękę.

– A ty?

Z zadziwiającą łatwością wyslizguje się z mojego uchwytu.

– Ja nie uciekam.

Po tych słowach obraca się i prężnym krokiem rusza w stronę grupy wartowników. Przystępuje nad zwłokami, unosi głowę w stronę sufitu. Jeden z wartowników rzuca mu krótki karabin, on zaś łapie go pewnie i kładzie palec na spuście. Z drugiej ręki bucha mu ogień, okręcając się wokół jego dłoni i palców ciemnym, śmiercionośnym płomieniem. Stojąc w otoczeniu wartowników, wśród ciał leżących na podłodze, wydaje się zupełnie innym człowiekiem.

– Ruszamy na polowanie – rzuca ostro i pędzi schodami na górę. Wartownicy i strażnicy biegną za nim niczym chmura czerwono-czarnego dymu, ciągnąca się za płomieniem. Zostawiają za sobą zakrwawioną salę balową nieprzytomną od pyłu i krzyku.

Na samym jej środku leży Belicos Lerolan przeszyty nie kulą, ale srebrnym grotem. Zastrzelony z kuszy, podobnej do tych używanych przy łowieniu wielkich ryb... Z końca strzały zwisa obszarpana szkarłatna szarfa, która pomimo panującego wokół zamętu prawie się nie porusza. Na wstędze widnieje symbol – pęknięte słońce.

W następnej chwili sala balowa znika, przemienia się w ciemne ściany przejścia dla służby. Podłoga pod naszymi stopami dudni, a wtedy Lucas błyskawicznie popycha mnie na ścianę i zasłania własnym ciałem. Po budynku rozchodzi się głuchy grzmot, od którego trzęsie się sufit. Ze stropu odkruszają się kawałki kamienia i spadają nam na głowy. Drzwi, przez które weszliśmy, rozpadają się trafione od zewnątrz ognistym podmuchem. U wlotu korytarza widać czarne kłęby dymu wypełniające salę balową. „Wybuch”.

– Cal... – próbuję wyrwać się Lucasowi, pobiec z powrotem na salę, ale on przyciska mnie mocniej do muru. – Lucas, musimy mu pomóc!

– Wierz mi, bomba nic nie zrobi księciu – warczy i prowadzi mnie w głąb przejścia.

– Bomba? – „Tego nie było w planie”. – Wybuchła bomba?

Lucas odsuwa się ode mnie, drży z gniewu.

– Widziałas tę przeklętą czerwoną szarfę. To Szkarłatna Gwardia, a *tamto* – wskazuje na salę

balową nadal ciemną od ognia i dymu – to ich dzieło.

– To bez sensu – mruczę do siebie, powtarzając w myślach poszczególne części planu. Maven nie wspominał o bombie. *Ani razu*. A Kilorn nie pozwoliłby mi wplątać się w to, gdyby wiedział, że znajdę się w niebezpieczeństwie. „Nie zrobiliby mi tego”.

Lucas chowa broń do kabury, jego głos przypomina warkot.

– Mordercy nie muszą działać sensownie.

Oddech więźnie mi w gardle. Ilu zostało na sali? Ile dzieci, ile niepotrzebnej śmierci?

Lucas uznaje moje milczenie za oznakę wstrząsu, ale się myli. Ogarnia mnie gniew.

„Każdy może zdradzić każdego”.

*

Strażnik prowadzi mnie do podziemi, przechodzimy przez co najmniej troje drzwi grubych na trzydzieści centymetrów i wykonanych ze stali. Nie mają zamków, otwierają się na skinienie ręki Lucasa. Przypomina mi się nasze pierwsze spotkanie, kiedy gestem odgiął pręty w mojej celi.

Zanim zdołam dostrzec pozostałych, dobiegają mnie ich głosy odbijające się od metalowych ścian. Król pomstuje, a jego słowa sprawiają, że przechodzą mnie dreszcze. Przemierza schron długimi krokami, przyczepiona do ramion peleryna powiewa, a jego wściekłość wydaje się wypełniać każdy centymetr pomieszczenia.

– Macie ich znaleźć. Macie przyłożyć im noże do pleców i postawić przede mną, a wtedy te tchórzliwe gnidy wyśpiewają wszystko! – Zwraca się do wartowniczkę, ale zamaskowana kobieta nawet nie drgnie. – Chcę wiedzieć, *co się dzieje!*

Elara siedzi na krześle, jedną rękę trzyma na sercu, drugą kurczowo ściska dłoń syna.

Na mój widok Maven podrywa się.

– Nic ci nie jest? – szepcze, obejmując mnie śpiesznie.

– Jestem tylko wstrząśnięta – wykrztuszam, usiłując porozumieć się z nim półsłówkami. Jednak w pobliżu Elary nie mogę pomyśleć, a co dopiero powiedzieć za wiele. – Po strzałach doszło do wybuchu. Bomba.

Maven marszczy brwi, ale szybko przykrywa zmieszanie wściekłością.

– Łajdaki.

– Barbarzyńcy – król Tyberiasz cedzi przez zaciśnięte zęby. – Gdzie mój syn?

Spoglądam na Mavena, ale zaraz uzmysławiam sobie, że król wcale nie ma na myśli jego. Maven przyjmuje to spokojnie. Przyzwyczał się do tego, iż jest pomijany.

– Cał ruszył za zamachowcami. Wziął ze sobą paru wartowników. – Przypominam go sobie, pochmurnego i rozjuszonego niczym ogień, i ogarnia mnie strach. – Potem na sali balowej wybuchła bomba. Nie wiem, ile osób wciąż... wciąż tam było.

– Czy widziałaś coś jeszcze, skarbie? – Czułe słowo padające z ust Elary poraża mnie niczym prąd. Królowa wydaje się bledsza niż kiedykolwiek wcześniej, oddech ma krótki i urywany. „Boi się”. – Coś, co utkwilo ci w pamięci?

– Szarfa, przywiązana do włóczni. Zrobiła to Szkarłatna Gwardia.

– Gwardia? – Królowa unosi brew. Z trudem się powstrzymuję, żeby nie zrobić kroku w tył. Wiem, że zaraz wśliźnie się do mojej głowy, aby wyciągnąć prawdę.

Elara jednak obraca się do króla.

– Widzisz, do czego doprowadziłeś? – Wykrzywia wargi, odsłaniając zęby. W sztucznym świetle połyskują niczym zwierzęce kły.

– Ja? To ty nazywałaś Gwardię garstką bezsilnych wyrzutków, ty okłamywałaś naszych ludzi! – wrzeszczy Tyberiasz. – To twoje działania sprawiły, że nie zapobiegliśmy niebezpieczeństwu, nie moje.

– A gdybyś ty zajął się nimi w *odpowiednim czasie*, pozostałoby garstką wyrzutków i nie doszłoby do tego wszystkiego!

Skaczą sobie do gardeł jak wygłodzone psy żądne krwi przeciwnika.

– Wtedy jeszcze nie byli terrorystami, Elaro. Nie mogłem marnować żołnierzy i oficerów na ściganie Czerwonych wypisujących bzdury w jakichś broszurach. Byli nieszkodliwi.

Królowa powoli wskazuje sufit.

– Rozumiem, że to również – twoim zdaniem – jest nieszkodliwe? – Król nie znajduje na to odpowiedzi, a wtedy jego żona uśmiecha się z wyższością i rozkoszuje wygraną sprzeczką. – Pewnego dnia wy, mężczyźni, nauczycie się słuchać mądrych słów i wtedy zadrzy cały świat. Szkarłatna Gwardia to choroba, której pozwoliłeś się rozpanoszyć. Czas dotrzeć do jej źródła i tam ją zdławić.

Elara zbiera się w sobie i wstaje z krzesła.

– To Czerwone diabły i na pewno mają sprzymierzeńców w pałacowych murach. – Staram się nawet nie drgnąć, spojrzenie mam utkwione w podłódze. – Chyba warto zamienić *parę słów* ze służbą. Oficerze Samos, pozwolisz?

Lucas staje na baczność, po czym otwiera drzwi, żeby wypuścić królową. Elara niczym wściekły huragan wypada ze schronu w obstawie dwóch wartowników. Lucas idzie razem z nią i rozsuwa kolejne drzwi, a metaliczne szczęknięcia zamków rozbrzmiewają coraz dalej. Nie wiem, co królowa robi służącym, ale wiem, że będzie to okrutne i bezowocne – nie znajdzie nic. Walsh i Holland zgodnie z planem uciekli razem z Farley. Przewidywali, że po balu zrobi się tu dla nich zbyt niebezpiecznie – i nie mylili się.

Grube stalowe drzwi przez kilka chwil pozostają zamknięte, ale wkrótce znów się otwierają.

Przesuwa je kolejny Żeleziec: *Evangeline*. Wygląda paskudnie. Ostre blaszki i szpikulce zdobiące jej balowy strój splątały się i przy każdym ruchu zgrzytają niemiłosiernie. Jeszcze gorszy widok przedstawia jej twarz ociekająca czarnymi smugami rozmazanych łez i makijażu oraz patrzące błędnie oczy. „Ptolemeusz. Opłakuje zmarłego brata”. Chociaż powtarzam sobie, że nic mnie to nie obchodzi, w pierwszym odruchu najchętniej podeszłabym do niej i pocieszyła ją. Jednak ta niespodziewana chęć szybko przechodzi, gdy do schronu wpada jej narzeczoną.

Skórę i galowy mundur ma pobrudzone od dymu i sadzy. W innej sytuacji wstrząsnęłoby mną oszalałe, pełne nienawiści spojrzenie Cala, ale teraz coś innego sprawia, że strach przeszywa mnie na wylot. Na czarnym suknie widnieją plamy krwi, która spływa mu na rękę. Nie ma koloru srebrnego. „Czerwona. Krew jest czerwona”.

– Mare – zwraca się do mnie, ale w jego głosie nie ma ani odrobiny ciepła. – Chodź ze mną. Natychmiast.

Polecenie dotyczyło tylko mnie, ale wszyscy obecni w schronie ruszają za nami, przeciskając się przez korytarze wiodące do celi. Serce wali mi młotem, mam wrażenie, że za chwilę wybuchnie. „Nie Kilorn. Tylko nie on”. Maven kładzie dłoń na moim ramieniu, idzie tuż przy mnie. Z początku myślę, że chce w ten sposób dodać mi otuchy, ale w pewnym momencie przytrzymuje mnie mocniej: pilnuje, żebym nie wyrwała się do przodu.

– Powinieneś był zabić go na miejscu – syczy *Evangeline* do Cala. Szarpie palcami czerwoną plamę na jego koszuli. – Nie pozwoliłabym temu Czerwonemu diabłu żyć ani chwili dłużej.

„Zabić go”. Przygryzam mocno wargę, żeby nie wymknęła mi się żadna głupia uwaga. Dłoń Mavena zaciska się na moim ramieniu niczym szpon i czuję, że jego tętno przyspiesza. Wszystko wskazuje na to, iż nasza gra dobiega końca. Elara wróci i rozsadzi ich umysły, aby w rumowisku myśli odkryć, jak głęboko sięgał ich spisek.

Klatki schodowe prowadzące do cel położonych na najniższych poziomach Palatium liczą tyle samo stopni, ile pozostałe, ale wydają się ciągnąć w nieskończoność. Wreszcie naszym oczom ukazuje się loch, przed którym trzyma straż co najmniej sześciu wartowników. Przeszywa mnie lodowaty dreszcz, ale moje ciało nie drży. Jest nieruchome, prawie jak sparaliżowane.

W celi znajdują się cztery osoby, zakrwawione i posiniaczone. Pomimo przyćmionego światła poznaję je wszystkie. Walsh ma jedno oko zamknięte opuchlizną, ale poza tym wydaje się cała. W przeciwieństwie do Tristana, który opiera się o ścianę, żeby zdjąć ciężar ciała z zalanej krwią nogi. Ranę ma owiniętą prowizorycznym bandażem wyglądającym na kawałek materiału oddartego od koszuli Kilorna. Ku mojej uldze wydaje się, że mój przyjaciel wyszedł z tego wszystkiego bez szwanku. Przytrzymuje *Farley*, która ma zwichnięty obojczyk, jej ręka zwisa pod dziwnym kątem. Mimo to wojowniczką posyła nam szyderczy uśmiech i spluwa między kratami, a mieszanka krwi i

ślizgi lądują wprost pod stopami Evangeline.

– Oderżnę ci za to język – warczy Evangeline. Rusza w stronę krat, chwytając metalowe pręty, ale zatrzymuje się. Chociaż mogłaby jedną myślą rozerwać kraty i wszystkie stojące za nimi osoby, hamuje się.

Farley nie odwraca wzroku, a wybuch Srebrnej przyjmuje z kamiennym wyrazem twarzy. Jeśli to ma być jej koniec, na pewno odejdzie z podniesioną głową.

– Trochę nieokrzesana jak na księżniczkę.

Zanim Evangeline straci panowanie nad sobą, Cal odciąga ją od krat. Następnie powoli unosi rękę i wyciąga palec.

– Ty.

Serce mi zamiera, gdy uzmysławiam sobie, że palec wskazuje Kilorna. Kilorn nie odrywa spojrzenia od podłogi, ale pojedynczy mięsień w policzku zaczyna mu drgać.

„Cal go pamięta. Widział go u mnie w domu”.

– Mare, jak to wyjaśnisz?

Otwieram usta w nadziei, że wydobędzie się z nich jakaś niesamowita zmyślona historia, jednak nie pada ani słowo.

Oczy Cala pochmurnieją.

– To twój przyjaciel. *Jak to wyjaśnisz?*

Evangeline wydaje stłumiony okrzyk i patrzy na mnie z wściekłością.

– Ty go tu przyprowadziłaś! – wrzeszczy, przyskakując do mnie. – Ty to zrobiłaś?!

– Nic nie zrobiłam! – Zacinam się, czując, że skierowały się na mnie wszystkie oczy. – To znaczy znalazłam mu tutaj posadę. Pracował w tartaku, to ciężka, zabójcza praca... – kłamstwa wylatują ze mnie jedno za drugim. – Jest... był moim przyjacielem w wiosce. Chciałam się upewnić, że nic mu nie będzie. Załatwiłam mu posadę służącego tak samo jak... – Spoglądam na Cala. Oboje pamiętamy nasze pierwsze wieczorne spotkanie i to, co się stało następnego dnia. – Myślałam, że mu pomagam.

Maven postępuje krok w stronę celi i patrzy na naszych znajomych, jak gdyby nigdy wcześniej nie widział ich na oczy. Wskazuje czerwone uniformy.

– Wydają się zwykłymi sługami.

– Powiedziałbym to samo, gdyby nie fakt, że znaleźliśmy ich uciekających rurami kanalizacyjnymi – odburkuje Cal. – Trochę nam zajęło, zanim ich stamtąd wyciągnęliśmy.

– Czy to wszyscy? – pyta król Tyberiasz, zaglądając za kraty.

Cal kręci głową.

– Było ich więcej, ale zdołali się przedostać do rzeki. Nie wiem, ilu dokładnie.

– W takim razie dowiedzmy się tego – oświadcza Evangeline, unosząc brwi. – Wezwijcie

królową. A tymczasem... – Obraca się twarzą do króla, ten zaś rozciąga wargi w nieznacznym uśmiechu i przytakuje skinieniem głowy.

Nie muszę pytać, o czym oboje myślą. „Tortury”.

Czworo więźniów stoi nieruchomo, żaden z nich nawet nie drgnie. Maven nerwowo zaciska szczęki, usiłując znaleźć wyjście z sytuacji, ale wie, że takie nie istnieje. Pozostaje nam liczyć tylko na jedno: że zdołają skłamać. „Ale jak możemy ich o to prosić? Jak możemy się przyglądać, podczas gdy oni będą wyc z bólu?”

Odpowiedź na moje pytania zdaje się znać Kilorn. Nawet w tym okropnym miejscu jego zielone oczy świecą dawnym blaskiem. „Dla ciebie będę kłamał”.

– Cal, czynь honory – oznajmia król, kładąc dłoń na ramieniu syna. Mogę jedynie posyłać błagalne spojrzenia i modlić się, żeby Cal nie spełnił ojcowskiego polecenia.

Cal zerka na mnie, jak gdyby chciał przeprosić, po czym zwraca się do najniższej w gronie wartowników postaci. Jej szare oczy połyskują zza maski.

– Wartowniczo Gliacon, przydałoby się trochę lodu.

Nie mam pojęcia, co to oznacza, ale Evangeline zaczyna chichotać.

– Dobry wybór.

– Nie musisz na to patrzeć – mamrocze Maven, usiłując mnie odciągnąć, ja jednak nie mogę zostawić Kilorna. Nie teraz. Ze złością strącam z ramienia jego dłoń i nie odrywam oczu od przyjaciela.

– Niech zostanie – skrzeczy Evangeline, ciesząc się z mojej udreki. – To ją oduczmy traktować Czerwonych jak przyjaciół. – Odwraca się do celi, rozsuwa kraty, po czym wyciąga swój biały palec i wskazuje: – Zaczniście od niej. Trzeba ją złamać.

Wartownicza przytakuje skinieniem głowy, chwytając Farley za nadgarstek i wyciąga ją z celi. Pręty wskakują z powrotem na miejsce, zamykając pozostałych. Walsh i Kilorn podchodzą do krat, na ich twarzach maluje się przerażenie.

Wartownicza zmusza Farley, żeby uklęknęła, i czeka na kolejny rozkaz.

– Tak?

Cal staje nad nią, ciężko oddycha. Waha się, ale kiedy wreszcie się odzywa, głos ma mocny.

– Ilu was jest?

Farley zaciska szczęki, zwiera zęby. Prędzej umrze niż powie cokolwiek.

– Zaczynaj od ręki.

Wartownicza nie jest delikatna, wykręca zwichnięte ramię Farley. Wojownicza jęczy z bólu, ale nic nie mówi. Ze wszystkich sił powstrzymuję się, żeby nie uderzyć zamaskowanej kobiety.

– I wy nazywacie nas barbarzyńcami – syczy Kilorn, opierając czoło o kraty.

Wartownicza powoli podwija przesiąknięty krwią rękaw Farley i przykładą bladą, okrutną dłoń do zaróżowionej skóry. Farley zaczyna wrzeszczeć, chociaż nie mam pojęcia dlaczego.

– Gdzie są pozostali? – pyta Cal, przyklękając, żeby zajrzeć wojownicze w oczy. Farley na chwilę milknie, z trudem wciąga powietrze. Cal pochyla się, cierpliwie czeka, aż kobieta się ugnie.

Farley jednak rzuca się nagle do przodu i z całej siły uderza głową w twarz księcia.

– Jesteśmy wszędzie. – Śmieje się, ale jej śmiech momentalnie przechodzi w skowyt, gdy tortura znów się zaczyna.

Księżę szybko dochodzi do siebie, jedną dłonią dotyka złamanego nosa. Ktoś inny mógłby oddać cios, on jednak tego nie robi.

Na ręce Farley, wokół miejsca, gdzie wartownicza przyłożyła dłoń, występują czerwone punkciki. Punkciki pomału rosną, przemieniając się w kolce, lśniące i czerwone, wystające ze skóry, która zdążyła zsinieć. „Wartownicza Gliacon. Dom Gliacon. – Wracam myślami do lekcji protokołu, do zajęć na temat domów. – Mroźni”.

Przewracają mi się wnętrzności i odwracam wzrok.

– To krew – szepczę, nie potrafiąc się zmusić, aby spojrzeć na rozgrywającą się przede mną scenę. – Ona zamraża jej krew. – Maven przytakuje skinieniem głowy, w jego oczach malują się powaga i smutek.

Za nami wartownicza nie przerywa pracy, przesuując dłoń coraz wyżej po ramieniu Farley. Czerwone sople ostre jak żyłki przebijają jej ciało, przeszywając każdą komórkę niewyobrażalnym bólem. Wojownicza oddycha ze świstem przez zaciśnięte zęby. Wciąż milczy. Serce bije mi coraz szybciej, zastanawiam się, kiedy wróci królowa i kiedy nasza gra naprawdę się skończy.

W końcu Cal wstaje.

– Starczy.

Inna wartownicza, Uzdrawicielka Ciała z domu Skonos, kuca przy Farley. Wojownicza jest ledwie przytomna, wpatruje się obojętnie w rękę podziurawioną szpikulcami zamarznętej krwi. Uzdrawicielka szybko, wprawnymi ruchami leczy jej rany.

Farley ponuro chichocze, czując ciepło powracające do ramienia.

– Tylko po to, żeby znów zacząć, co?

Cal splota ręce za plecami. Wymienia spojrzenia z ojcem, który przytakuje skinieniem głowy.

– Owszem – wzdycha Cal i przenosi wzrok na Mroźną. Jednak wartownicza nie zdążyła ponownie przystąpić do dzieła.

– GDZIE ONA JEST?! – ze schodów dobiega nas przeraźliwy wrzask.

Evangeline gwałtownie się obraca i podbiega do wejścia.

– Jestem tutaj! – krzyczy.

Gdy z korytarza wyłania się Ptolemeusz Samos, który bierze w objęcia siostrę, wbijam paznokcie w dłonie, żeby powstrzymać targające mną emocje. Jednak przeżył, stoi tam cały, zdrowy i potwornie wściekły. Siedząca na podłodze Farley przeklina pod nosem.

Ptolemeusz zatrzymuje się przy siostrze tylko na chwilę, potem zaś puszcza ją i omiata pomieszczenie wzrokiem, w którym płonie gniew. Jego opancerzony strój jest zniszczony na ramieniu, przebity przez kulę. Jednak ciało pod spodem wydaje się nienaruszone. „Został uleczony”. Długimi krokami idzie w stronę celi, zamykając i rozwierając pięści. Metalowe pręty drżą, ze zgrzytem zaczynają przesuwac się po betonie.

– Ptolemeuszu, jeszcze nie teraz... – grzmi Cal i chwyta go za ramię, ale brat Evangeline odpycha księcia. Cal, pomimo swej postury i siły, zatacza się do tyłu.

Evangeline podbiega do brata, ciągnie go za rękę.

– Nie, musimy zmusić ich do gadania! – Jednym ruchem Ptolemeusz uwalnia się z jej uchwytu. Nawet ona nie potrafi przemówić mu do rozsądku.

Pręty łamią się, ustępując pod naporem jego mocy, cela staje przed nim otworem. Wartownicy również nie dają rady go powstrzymać, gdy błyskawicznym, wyćwiczonym ruchem wpada do środka. Kilorn i Walsh cofają się w popłochu pod kamienne ściany, ale Ptolemeusz to drapieźnik, a drapieźniki wybierają najsłabsze ofiary. Unieruchomiony przez połamaną nogę Tristan nie ma żadnych szans.

– Nigdy więcej nie zdołacie zagrozić mojej siostrze! – ryczy Ptolemeusz, unosząc wyłamane metalowe pręty. Jeden z nich przecina powietrze i przebija pierś Tristana. Mężczyzna wydaje stłumiony okrzyk, dławiąc się własną krwią i *umierając*. Usta Ptolemeusza rozciągają się w uśmiechu.

Kiedy obraca się do Kilorna i kieruje na niego mordercze spojrzenie, nie wytrzymuje.

Pod skórą czuję iskrzenie. Obejmuję dłonią muskularny kark Ptolemeusza i uwalniam energię. Błyskawica poraża go, rozchodzi się po jego mięśniach, które sztywnieją pod moim dotykiem. Metalowy strój wibruje, dymi, a mężczyzna niemal gotuje się w nim żywcem. W następnej sekundzie potężny wojownik osuwa się na podłogę, a jego ciałem nadal wstrząsają dreszcze wywołane moimi iskrami.

– Ptolemeusz! – Evangeline rzuca się w stronę brata, dotyka jego twarzy i w tym momencie prąd łaskocze ją w koniuszki palców. Dziewczyna odskakuje, marszcząc brwi, po czym odwraca się do mnie z wściekłością. – Jak *śmiesz*...!

– Nic mu nie będzie. – Poraziłam go na tyle słabo, żeby nie zrobić mu krzywdy. – Sama powiedziałaś, że musimy zmusić ich do gadania. Martwi nie gadają.

Pozostali wpatrują się we mnie szeroko otwartymi oczami, z których wyziera wiele różnych

emocji, między innymi strach. Cal, chłopak, którego pocałowałam, żołnierz, barbarzyńca, w ogóle nie potrafi spojrzeć mi w oczy. Rozpoznaję wyraz malujący się na jego twarzy – wstyd. Nie wiem jednak, czy wstydzi się tego, że zranił Farley, czy tego, że nie potrafił zmusić jej do mówienia. Przynajmniej Maven, który nie odrywa spojrzenia od ciągle krwawiącego ciała Tristana, ma na tyle przyzwoitości, żeby okazywać smutek.

– Matka może zająć się więźniami później – oznajmia, zwracając się do króla. – Z pewnością zaś ludzie, którzy zostali na górze, chcieliby teraz zobaczyć swojego władcę i upewnić się, że jest bezpieczny. Zbyt wielu dziś zginęło. Powinieneś pocieszyć pozostałych, ojciec. Ty również, Cal.

„Gra na zwłokę”. Genialny Maven usiłuje stworzyć nam sposobność.

Chociaż czuję, że przechodzą mnie dreszcze, wyciągam rękę, aby dotknąć ramienia Cala. Niedawno mnie pocałował. Być może będzie gotowy mnie wysłuchać.

– On ma rację, Cal. To może poczekać.

Evangeline, która nadal kuca przy leżącym na podłodze bracie, obnaża zęby.

– Sędziowie będą chcieli usłyszeć konkretne odpowiedzi, a nie słowa otuchy! Trzeba to zrobić teraz! Wasza Królewska Mość, wydrzyj od nich prawdę.

Jednak nawet Tyberiasz przyznaje Mavenowi słusność.

– Ci tutaj mogą poczekać. Poznamy prawdę jutro.

Mocniej zaciskam rękę na ramieniu Cala i czuję, jak jego mięśnie rozluźniają się pod moim dotykiem, a on sam wygląda, jak gdyby z jego barków spadł ogromny ciężar.

Wartownicy stają na baczność i wciągają Farley z powrotem do zdemolowanej celi. Wojowniczką nie spuszcza ze mnie wzroku, zastanawiając się, co – do cholery – knuję. „Sama chciałabym to wiedzieć”.

Evangeline wyciąga Ptolemeusza i zamyka za sobą kraty.

– Jesteś słaby, książę – syczy Calowi do ucha.

Powstrzymuję się, żeby nie obejrzeć się na Kilorna, którego słowa cały czas rozbrzmiewają mi w głowie. „Nie musisz cały czas starać się mnie ratować”.

„Muszę”.

*

Gdy maszerujemy do sali tronowej, z rękawa skapuje mi krew, zostawiając na posadzce srebrne plamy. Przed ogromnymi drzwiami stoją wartownicy i strażnicy, broń trzymają uniesioną, wycelowaną w korytarz. Gdy ich mijamy, nie poruszają się, jak gdyby zamienili się w słup soli. Mają rozkaz wypatrywać wroga i jeśli zajdzie taka potrzeba – zabijać. Sala za nimi pogrążona jest w smutku i gniewie. Chciałabym poczuć się choć trochę jak zwycięzca, ale myśl o uwięzionym za kratami Kilornie nie pozwala, aby ogarnęło mnie choćby śladowe zadowolenie. Na dodatek cały czas

prześladuje mnie wspomnienie szklistych oczu pani pułkownik.

Przysuwam się bliżej Cala. On ledwie to zauważa, spojrzenie ma wbite w podłogę.

– Ilu zginęło?

– Na razie wiemy o dziesięciu – odpowiada cicho. – Trzech od strzałów, siedmiu w wyniku wybuchu. Piętnaście osób jest rannych. – Wylicza, jak gdyby mówił o kolejnych pozycjach na liście zakupów, a nie o ludziach. – Ale tych można wyleczyć.

Porusza kciukiem, wskazując Uzdrowicieli krążących między rannymi. Wypatrzyłam wśród nich dwoje dzieci. Dalej, przed królewskim tronem, ułożono ciała zmarłych. Obok Belicosa Lerolana leżą obydwaj jego synowie, czteroletni bliźniacy, nad nimi zaś pochyła się dławiąca się od szlochów matka.

Zakrywam dłonią usta, żeby stłumić okrzyk. „Nie chciałam tego”.

Czuję na ręce ciepły dotyk dłoni Mavena, który odciąga mnie od makabrycznej sceny i pomaga dotrzeć na należne nam miejsce obok tronu. Cal staje blisko nas i usiłuje oczyścić ręce z plam czerwonej krwi, które nie chcą zejść.

– Pora otrzeć łzy – rozlega się tubalny głos Tyberiasza, a jego dłonie zaciskają się w pięści. Szlochy i jęki Srebrnych zebranych na sali cichną jak nożem uciął. – Teraz oddamy cześć poległym, uleczymy rannych i *pomścimy zmarłych*. Jestem królem. Niczego nie zapominam. Niczego nie wybaczam. W przeszłości okazywałem pobłażliwość, pozwalałem naszym Czerwonym braciom wieść dobre, godne życie. Oni jednak plunęli nam w twarz, odrzucili nasze miłosierdzie i sami sobie zgotowali najgorszy z najgorszych losów.

Wykrzywia twarz, po czym rzuca przed siebie srebrną włócznię przewiazaną czerwoną szarfą. Broń toczy się po posadzce z brzękiem, który przypomina dźwięk pogrzebowego dzwonu. Rozdarte słońce wpatruje się w nas wyzywająco.

– Tym głupcom, tym terrorystom, tym *mordercom* zostanie wymierzona sprawiedliwość. I wszyscy oni umrą. Przysięgam na koronę, na tron, na głowy moich synów. *Wszyscy oni umrą*.

Po sali przetacza się groźny pomruk Srebrnych poruszonych słowami władcy. Zdrowi i ranni stoją ramię w ramię, tworząc zwarty mur. Metaliczny zapach krwi jest niemal nie do wytrzymania.

– Siła! – rozlega się chóralny okrzyk. – Potęga! *Śmierć!*

Maven spogląda na mnie szeroko otwartymi, przerażonymi oczami. Wiem, o czym myśli, ponieważ w tym momencie myślę o tym samym.

„Cośmy narobili?”

ROZDZIAŁ 21

Po powrocie do pokoju zrzucam z siebie zniszczoną jedwabną suknię i zostawiam ją na podłodze. Bez przerwy słyszę w głowie słowa króla i co chwila wracają do mnie obrazy z tej potwornej nocy. Najwyraźniej widzę płonące zielonym ogniem oczy Kilorna. Ich spojrzenie przeszywa mnie na wylot. „Muszę go uratować, ale jak?” Gdybym tylko mogła jeszcze raz ofiarować siebie za niego, swoją wolność za jego wolność. Gdyby tylko to wszystko było takie proste. Wydaje mi się, że dopiero teraz w pełni rozumiem słowa zasłyszane podczas lekcji Juliana: „Przeszłość jest o wiele wspanialsza od przyszłości”.

Julian. *Julian.*

W korytarzach królewskich apartamentów roi się od wartowników i strażników, wszyscy zostali postawieni w najwyższy stopień gotowości. Ja jednak od dawna doskonaliłam umiejętność przemykania się niezauważoną, a pokoje Juliana mieszczą się niedaleko. Mimo późnej pory nauczyciel nie śpi, ślęczy nad książkami. Pomieszczenie wygląda, jak gdyby nic się nie stało. Może Julian jeszcze o niczym nie wie. Wtedy jednak zauważam, że na stole, w miejscu zwykle zajęтым przez filiżankę herbaty, stoi butelka wypełniona brązowym alkoholem. „Oczywiście, że wie”.

– Biorąc pod uwagę ostatnie zdarzenia, sądziłem, że nasze lekcje zostaną zawieszono – odzywa się znad książki, którą w następnej sekundzie zamyka z trzaskiem, po czym odwraca się do mnie. – A już na pewno nie spodziewałem się, że zostaną wznowione w środku nocy.

– Potrzebuję cię, Julianie.

– Czy może w sprawie związanej ze Szkarłatną Masakrą? Tak, zdążyli już wymyślić chwytliwą nazwę. – Wskazuje zamontowany w rogu ciemny ekran wideo. – Od kilku godzin mówią o tym w wiadomościach. Rano król zwróci się z orędziem do narodu.

Przypominam sobie blondynkę o puszystej fryzurze, donoszącą ponad miesiąc temu o zamachu bombowym, do którego doszło w stolicy. Wtedy zaledwie kilka osób odniosło obrażenia, a na ulicach zawrzało. Co będzie teraz? Ilu niewinnych Czerwonych zapłaci?

– Czy może w sprawie czterech terrorystów uwięzionych w podziemiach pałacu? – ciągnie Julian, przyglądając mi się uważnie. – Przepraszam, chciałem powiedzieć trzech. Ptolemeusz Samos

dowiodł, że jest godnym potomkiem swojego bezwzględного rodu.

– To nie są terroryści – nie dają się wyprowadzić z równowagi i odpowiadam spokojnie.

– Mam ci przeczytać definicję terroryzmu, Mare? – pyta, a jego ton dotyka mnie do żywego. – Ich cele mogą być szczytne, ale metody... poza tym nie ma żadnego znaczenia to, co ty o tym myślisz. – Ponownie wskazuje ekran. – Oni przedstawią swoją wersję prawdy i tylko tę wersję poznają ludzie.

Zaciskam usta, zęby zgrzytają boleśnie.

– Pomożesz mi czy nie?

– Chyba zapomniałaś, że jestem zwykłym nauczycielem i jeszcze zwykleszym wyrzutkiem. Co niby mogę zrobić?

– Julianie, proszę. – Czuję, że ostatnia szansa wymyka mi się z rąk. – Jesteś Pieśniarzem, możesz powiedzieć strażnikom... *zmusić ich*, żeby robili to, co chcesz. Możesz uwolnić więźniów.

On jednak nie rusza się, sięga po kielich i spokojnie pociąga z niego kolejny łyk. Nie krzywi się jak ludzie nieprzyzwyczajeni do mocnych trunków. Ostry smak alkoholu jest mu dobrze znany.

– Jutro zaczną ich przesłuchiwać. I chociażby byli nie wiem jak silni, chociażby wytrzymali nie wiem jak długo, w końcu prawda wyjdzie na jaw. – Powoli wyciągam rękę i ujmuję dłoń Juliana chropawą niczym karta starej księgi. – To był mój plan. Jestem jedną z nich. – Nie wspominam nic o Mawenie. Gdyby Julian dowiedział się o nim, wpadłby w jeszcze większy gniew.

Półprawda wywarła odpowiednie wrażenie. Poznają to po spojrzeniu nauczyciela.

– Ty? Ty to zrobiłaś? – wykrztusza. – Strzały, bomba...?

– Bomba była... nieplanowana. – „Nieplanowana tragedia”.

Mruży oczy, a ja wyobrażam sobie ciężką pracę trybów obracających się w jego umyśle. W następnej chwili Julian nie wytrzymuje i wybucha.

– Mówiłem ci, mówiłem, żebyś się w to nie mieszała! – Wali pięścią w stół. Nie widziałam go jeszcze tak rozwścieczonego. – A teraz – dodaje cicho i wpatruje się we mnie z tak ogromnym smutkiem, że serce mi się ściska – teraz będę musiał się przyglądać, jak idziesz na dno.

– Gdyby udało im się uciec...

Jednym haustem wypija zawartość kielicha, po czym gwałtownym ruchem ciska szklane naczynie na ziemię. Kielich się roztrzaskuje, a ja wzdrygam się.

– I co dalej? Co będzie ze mną? Nawet jeśli unieszkodliwimy kamery, odbierzemy strażnikom wspomnienia, zatrzymamy za sobą wszelkie ślady, królowa się dowie. – Julian wzdycha i kręci głową. – Wyłupi mi za to oczy.

„I Julian do końca życia niczego już nie przeczyta. Jak mogę go o to prosić?”

– W takim razie pozwól mi umrzeć. – Słowa więzną mi w gardle. – Zasługuję na to samo, co oni.

„Nie da mi umrzeć. Nie da. Jestem dziewczuszką od błyskawic i przeze mnie zmieni się cały świat”

Po dłuższej chwili Julian odzywa się pustym głosem:

– Powiedzieli, że moja siostra popełniła samobójstwo. – Powoli przeciąga palcem po nadgarstku, rozpamiętując dawno minione zdarzenia. – To było kłamstwo i wiedziałem o tym. Od zawsze nosiła w sobie smutek, ale nigdy nie zrobiłaby czegoś takiego. Na pewno nie wtedy, gdy pojawił się Cal i gdy był przy niej Tybi. Została zamordowana, a ja nie odezwałem się ani słowem. Bałem się, pozwoliłem, aby po śmierci okryto ją hańbą. Od tamtej pory staram się to naprawić, żyję na uboczu tego potwornego świata i czekam, aż nadejdzie moment, gdy będę mógł ją pomścić. – Podnosi na mnie wzrok. W jego oczach lśnią łzy. – Zdaje się, że od tego mógłbym zacząć.

Opracowanie planu nie zajmuje Julianowi dużo czasu. Do jego wykonania potrzebny jest Żelaziec i niedziałające kamery, ale na szczęście mogę zapewnić i jedno, i drugie.

Lucas puka do drzwi mojego pokoju niecałe dwie minuty po tym, jak go wzywam.

– Co mogę dla ciebie zrobić, Mare? – pyta bardziej nerwowo niż zwykle. Domyślam się, że nadzorowanie prowadzonych przez królową przesłuchań służby nie jest łatwym zadaniem. Przynajmniej jednak jest zbyt podenerwowany, aby zauważyć moje roztrzęsienie.

– Jestem głodna. – Przygotowane wcześniej kłamstwo przychodzi mi łatwiej niż powinno. – Nie zdążyliśmy zjeść kolacji, więc...

– Czy wyglądam na kucharza? Powinnaś wezwać służbę, to ich zadanie.

– Wiem, ale tak sobie pomyślałam, że to niezbyt odpowiednia pora na to, by kręcili się tu służący. Wszyscy są spięci i nie chciałabym, aby komuś stała się krzywda tylko dlatego, że zgłodniałam. Wystarczy, jeśli odprowadzisz mnie do kuchni. Kto wie, może tobie też zapachnie coś smacznego.

Lucas wzdycha niczym poirytowany nastolatek, po czym nadstawia ramię. Gdy biorę go pod rękę, kieruję myśli w stronę zamontowanych na korytarzu kamer i wyłączam je. „Zaczynamy”.

Powinnaś mieć wyrzuty sumienia z powodu tego, że wykorzystuję Lucasa. Przekonałam się na własnej skórze, jak to jest, gdy ktoś bawi się cudzymi myślami, ale robię to wszystko, żeby uratować Kilorna. Lucas opowiada mi o czymś, gdy skręcamy za róg i wpadamy na Juliana.

– Wielmożny Jacos... – Mój towarzysz pochyla głowę, ale Julian ujmuje go pod brodę, a jego ruchy cechuje szybkość, jakiej wcześniej u niego nie widziałam. Zanim Lucas zdoła zrobić cokolwiek, Pieśniarz spogląda mu w oczy i wszelkie zarodki oporu, którego strażnik nie zdążył jeszcze stawić, zostają stłumione w zarodku.

Następnie rozlegają się słowa nauczyciela – słodkie jak miód, gładkie jak masło i nieugięte jak stal.

– Zaprowadź nas do celu. Korzystaj z przejść dla służby. Omijaj patrole. Nie zapamiętuj tego zdarzenia.

Lucas, zwykle roześmiany i sypiący dowcipami, wpada w dziwny stan półhipnozy. Oczy robią mu

się szkliste i nie zwraca uwagi na to, że Julian wyjmuje mu zza pasa broń. Mimo to rusza naprzód, prowadząc nas przez labirynt pałacowych korytarzy. Przed każdym zakrętem czekam, aż wyczuję buczenie elektrycznych spojrzeń, a następnie wyłączam je. Podobną pracę wykonuje Julian, przekonując mijanych strażników, aby nas nie pamiętali. Razem stanowimy zespół nie do pokonania i wkrótce zatrzymujemy się na szczycie schodów wiodących do lochów. Na dole spotkamy wartowników i będzie ich zbyt wielu, żeby Julian mógł sam się z nimi uporać.

– Nie odezwij się słowem – syczy nauczyciel do Lucasa, a ten przytakuje skinieniem głowy.

Teraz moja kolej. Spodziewam się, że ogarnie mnie strach, ale półmrok i późna pora sprawiają, że sytuacja wydaje mi się znajoma. Przecież robię to od lat – prześlizguję się, kłamie i kradnę.

Gdy zostaje nam do pokonania kilka ostatnich stopni, rozlega się wołanie:

– Kto idzie? Podaj imię i cel wizyty! – Poznaje ten głos, należy do Gliacon, Mroźnej, która torturowała Farley. „Może namówię Juliana i tak jej zaśpiewa, że dziewczyna rzuci się w przepaść”.

Prostuję się i naprężam jak struna, chociaż najważniejszy jest ton, którym przemówię.

– Panna Mareena Tytaniusz, narzeczona księcia Mavena – odwarkuję, schodząc ze schodów z największym wdziękiem, na jaki mnie stać. Głos mam zimny i ostry, podobny do głosów Elary i Evangeline. „Ja również jestem silna i potężna”. – I nie spowiadam się ze swoich zamiarów wartownikom.

Na mój widok czterech wartowników wymienia spojrzenia, jak gdyby bezgłośnie naradzali się między sobą. Jeden z nich, barczysty mężczyzna o świńskich oczkach, obrzuca mnie z góry na dół nieuprzejmym spojrzeniem. Za kratami Kilorn i Walsh wstają. Farley nie podnosi się, siedzi w kącie celi, oplatając ramionami kolana. Dochodzę do wniosku, że śpi, ale w tym momencie wojowniczką porusza się, a w jej niebieskich oczach odbija się światło.

– Muszę znać cel wizyty, wielmożna panno – odpowiada Gliacon niemalże ze skruczą. Ruchem głowy wskazuje Juliana i Lucasa, którzy idą tuż za mną. – To samo tyczy się również ich.

– Zamierzam odbyć prywatną rozmowę z tymi... – staram się, aby w moim głosie pobrzmiwała odraza – ... kreaturami. Chcemy poznać odpowiedzi na pewne pytania i wyrównać rachunki. Nieprawdaż, Julianie?

Mój nauczyciel uśmiecha się szyderczo, doskonale odgrywając swoją rolę.

– Nietrudno będzie ich przekonać, żeby wszystko wyśpiewali.

– To niemożliwe, wielmożna panno – prycha Świńskie Oczka. Mówi z twardym nadmorskim akcentem, najwyraźniej pochodzi z Wielkiej Zatoki. – Mamy rozkaz nie ruszać się stąd na krok przez całą noc. Nie robimy wyjątków.

Kiedyś pewien chłopak z Palów nazwał mnie podłą flirciarą po tym, jak zdołałam go tak omamić, że podarował mi zupełnie dobrą parę butów.

– Chyba zdajecie sobie sprawę z mojej pozycji, prawda? Wkrótce zostanę księżniczką, a względy księżniczki to *bezczenna* rzecz. Poza tym Czerwone szczury zasłużyły na nauczkę. Bolesną.

Świńskie Oczka mruga ospale i zastanawia się nad tym, co usłyszał. Julian stoi tuż za mną gotowy w każdej chwili wspomóc mnie miodopłynnymi słowami. Po krótkiej chwili wartownik przytakuje skinieniem głowy i macha do pozostałych.

– Możemy wam dać pięć minut.

Uśmiecham się tak szeroko, że zaczynają mnie boleć policzki.

– Bardzo dziękuję. Jestem wielce zobowiązana, wam wszystkim.

Wartownicy ustawiają się w rzędzie i odmaszerowują z głośnym tupotem. Gdy znikają na schodach, pozwalam, aby zapaliła się we mnie iskierka nadziei. „Pięć minut to aż za wiele”.

Kilorn prawie wskakuje na kraty, nie mogąc się doczekać, kiedy ucieknie z celi, podczas gdy Walsh pomaga Farley dźwignąć się na nogi. Ja jednak nie wykonuję żadnego ruchu. Nie zamierzam ich uwolnić, jeszcze nie teraz.

– Mare... – szepcze Kilorn zaskoczony moim niezdecydowaniem, ale uciszam go spojrzeniem.

– Bomba. – Przed oczami stają mi dym i ogień, przypominam sobie chwilę, gdy sala balowa wyleciała w powietrze. – Co miała znaczyć ta bomba?

Spodziewam się, że zaczną mnie przeproszać, błagać o przebaczenie, oni jednak spoglądają po sobie ze zdumieniem. Farley opiera się o kraty, jej oczy płoną.

– Nic nie wiem o bombie – syczy ledwo słyszalnym głosem. – Nie upoważniłam nikogo do zamachu bombowego. To miała być akcja zorganizowana, z jasno wyznaczonymi celami. Nie zabijamy bez sensu przypadkowych ludzi.

– A zamachy bombowe w stolicy...?

– Wiesz, że tamte budynki były puste. Nikt wtedy nie stracił życia, nie z powodu naszych zamachów – odpowiada spokojnie. – Przysięgam, Mare, nie zrobiliśmy tego.

– Naprawdę myślisz, że wysadzilibyśmy naszą największą nadzieję? – dodaje Kilorn. Nie muszę pytać, żeby wiedzieć, co ma na myśli: mnie.

W końcu odwracam głowę i patrzę na Juliana.

– Otwórz celę. Po cichu – szepcze Julian, trzymając w dłoniach twarz Lucasa.

Żeleziec wykonuje polecenie, wyginając pręty na tyle szeroko, aby uwięzieni za nimi wojownicy mogli wyjść. Pierwsza przedostaje się Walsh, wpatrując się w nas oczami szeroko otwartymi ze zdumienia. Następny wychodzi Kilorn, który pomaga precyzyjnie się Farley. Ręka przywódczyni Szkarłatnej Gwardii zwisa bezwładnie – Uzdrowicielka najwidoczniej ominęła to obrażenie.

Gestem wskazuję ścianę i uwolnieni gwardziści, poruszając się bezszelestnie, przywierają do muru. Walsh, choć nie odrywa spojrzenia od Tristana, którego ciało zostało w celi, zajmuje miejsce

obok Farley. Julian ustawia Lucasa obok Walsh, sam zaś wysuwa się naprzód i zatrzymuje u stóp schodów.

Ja wciskam się obok Kilorna. Mimo że noc spędził w lochu w towarzystwie trupa, wciąż pachnie tak samo – domem.

– Wiedziałem, że przyjdiesz – szepcze mi na ucho. – Wiedziałem.

Nie ma jednak czasu na miłe słówka i świętowanie. Przyjdzie na to pora, gdy bezpiecznie się stąd wydostaną.

Przyczajony przy wejściu na klatkę schodową Julian daje mi znak skinieniem głowy. Możemy zaczynać.

– Wartowniczo Gliacon, czy mogę prosić na słowo?! – wołam w górę schodów, zwabiając w pułapkę naszą pierwszą ofiarę. Słyszę szuranie i wiem, że Mroźna połknęła haczyk.

– O co chodzi, wielmożna panno?

Gdy schodzi z ostatniego stopnia i jej spojrzenie pada na otwartą celę, wydaje pod maską stłumiony okrzyk. Julian okazuje się jednak szybszy nawet od wartowniczk.

– Poszłaś się przejść. Po powrocie zobaczyłaś to wszystko. Nie pamiętasz nas. Wezwij na dół *jednego* z pozostałych – intonuje cichym, strasznym głosem.

– Wartowniku Tyros, do mnie! – woła beznamiętnie Gliacon.

– Teraz zaśniesz.

Kobieta wiotczeje niemal w tym samym momencie, w którym Julian przestaje mówić, Pieśniarz zdąża jednak ją przytrzymać, obejmuje ją w talii i delikatnie kładzie na podłodze za sobą. Zdumiony Kilorn głośno wypuszcza powietrze. Jest pod wrażeniem umiejętności Juliana, który pozwala sobie na nieznaczny, pełen zadowolenia uśmiech.

Następny na schodach pojawia się Tyros, zdezorientowany, ale chętny do wypełnienia swoich obowiązków. Julian powtarza swoją sztuczkę, ściszone głosem błyskawicznie wyśpiewuje polecenia. Nie podejrzewałam, że wartownicy okażą się tak naiwni, ale właściwie nie powinno to dziwić. Od dzieciństwa szkolono ich w sztukach walki; logiczne myślenie i inteligencję rozwijano u nich w nieco mniejszym stopniu.

Jednak ostatnia dwójka, Świńskie Oczka i Uzdrowiciel, są trochę bystrzejsi. Gdy Tyros wzywa Uzdrowiciela Ciała, aby zszedł na dół, słysząc, że wymienia on uwagi z drugim wartownikiem.

– Czy już kończycie, panno Tytaniusz? – Z góry dobiega nieufny głos Świńskich Oczek.

Nie namyślając się długo, odkrzykuję:

– Tak, kończymy! Wasi towarzysze wrócili na stanowiska, chcę się upewnić, że wy również wrócicie!

– Wrócili? To prawda, Tyros?

Z oszałamiającą prędkością Julian klęka przy nieprzytomnym Tyrosie, otwiera mu oczy i przytrzymuje powieki.

– Powiedz, że wróciłeś na stanowisko. Powiedz, że wielmożna panna skończyła.

– Wróciłem na stanowisko – recytuje Tyros. Przy odrobinie szczęścia długa klatka schodowa i kamienne ściany zniekształcą jego głos. – Wielmożna panna skończyła.

Świńskie Oczka mruczy do siebie:

– Doskonale.

Schodzi razem z Uzdrowicielem, słysząc tupot ich butów na schodach. „Dwójka. Julian nie poradzi sobie sam z dwoma naraz”. Czuję, że stojący obok mnie Kilorn napina się, zaciska pięści, szykując się na to, co może nastąpić. Niewiele myśląc, jedną ręką przyciskam go do ściany, do drugiej zaś przywołuję iskry.

Odgłosy kroków milkną, wartownicy zatrzymują się parę stopni nad nami. Nie widzę ich, Julian również nie może ich jeszcze dostrzec, słyszymy za to oddech Świńskich Oczek, który dyszy niczym pies. Uzdrowiciel również się przyczaił tuż poza naszym zasięgiem. W zupełnej ciszy, która zapanowała, trudno nie usłyszeć szczęku wyciąganej broni.

Oczy Juliana rozwierają się szeroko, jednak on sam nawet nie drgnie, tylko jego dłoń wędruje do pasa i zaciska się na skradzionej broni. Wiem, że stoimy nad krawędzią przepaści, i boję się nawet głośniejszym odetchnąć. Ściany wokół nas wydają się przybliżać, jak gdyby chciały nas zamknąć w kamiennej trumnie.

Odczuwam dziwny spokój, gdy wysuwam się do przodu, kryjąc za plecami roziskrzoną dłoń. Czekam, aż przeszyje mnie pocisk, ale ból, którego się spodziewam, nie nadchodzi. Nie strzelą do mnie, dopóki nie dam im do tego dobrego powodu.

– Jakiś problem, wartownicy? – Uśmiecham się szyderczo i unoszę jedną brew w grymasie, który setki razy widywałam na twarzy Evangeline. Powoli wspinam się na pierwszy stopień, żeby zobaczyć dwójkę przyczajonych na klatce schodowej mężczyzn. Stoją ramię w ramię z wyciągniętymi rękami i palcami na spuście. – Wolalabym, żebyście nie celowali we mnie.

Świńskie Oczka obrzuca mnie gniewnym spojrzeniem, ale nie dają się wyprowadzić z równowagi. „Jesteś damą. Zachowuj się jak dama. Od tego zależy twoje życie”.

– Gdzie twój towarzysz, wielmożna panno?

– Och, już idzie. Jedna z więźniarek ma niewyparzony język. Trzeba jej poświęcić trochę więcej uwagi. – Kłamstwo przychodzi mi z wyjątkową łatwością. Praktyka rzeczywiście czyni mistrza.

Uśmiechając się szeroko, Świńskie Oczka obniża nieco broń.

– Ta wiedźma z bliźną? Sam też musiałem parę razy wbić jej trochę rozumu do głowy – chichocze. Wtóruję mu, a jednocześnie wyobrażam sobie wyraz jego małych bladych oczek, gdy

przeszywa go moja błyskawica.

Kiedy podchodzę bliżej, Uzdrowiciel Ciała kładzie jedną dłoń na metalowej poręczy, zastawiając mi drogę. Naśladuję jego gest. Poręcz jest zimna i twarda w dotyku. „Powoli i ostrożnie” napominam się w duchu, po czym wlewam w iskry trochę więcej energii. Nie tyle, żeby spalić czy okaleczyć, ale wystarczająco, żeby unieszkodliwić stojącą przede mną dwójkę. To jak nawlekanie nitki i choć raz to ja jestem mistrzynią igły.

Stojący nade mną Uzdrowiciel nie podziela wesołości swojego towarzysza. Jego oczy lśnią srebrzyście, a czarna maska i płomienny płaszcz sprawiają, że wartownik przypomina demona z koszmaru.

– Co trzymasz za plecami? – cedzi.

Wzruszam ramionami, pozwalając sobie na kolejny krok w górę.

– Nic, wartowniku Skonos.

Następne słowo, które pada, jest urwane.

– Kłamiesz.

Reagujemy w tej samej sekundzie. Pocisk trafia mnie w brzuch, zaś błyskawica biegnie wzdłuż poręczy, przenika przez skórę Uzdrowiciela i poraża jego mózg. Świńskie Oczka krzyczy i naciska spust. Kula chybia o kilka centymetrów i dziurawi ścianę. Ja jednak nie chybiam i ciskam w niego roziskrzonym pociskiem, który przygotowałam za plecami. Wartownicy padają u moich stóp, obydwa nieprzytomni, a ich ciałami wstrząsają dreszcze powstałe w wyniku porażenia.

W następnej chwili kolana uginają się pode mną.

Przez sekundę zastanawiam się, czy czaszka mi pęknie w zderzeniu z kamienną posadzką. Pewnie lepiej umrzeć tak, niż wykrwawić się na śmierć. Nie zdążam się jednak o tym przekonać, ponieważ łapią mnie czyjeś silne ręce.

– Mare, nic ci nie będzie – szepcze Kilorn. Przyciska dłonie do mojego brzucha, usiłując zatamować krwawienie. Oczy ma zielone jak trawa. Widzę je wyraźnie, podczas gdy świat dookoła powoli ciemnieje. – To nic takiego.

– Przebierzcie się – Julian przynagła pozostałych. Farley i Walsh przemykają obok mnie, żeby założyć ogniste peleryny i maski. – Ty też!

Nauczyciel odciąga ode mnie Kilorna, w pośpiechu niemal przenosząc go z miejsca na miejsce.

– Julian... – wykrztuszam, usiłując chwycić go za rękę. „Muszę mu podziękować”.

Nie dosięgam go jednak, ponieważ nauczyciel klęczy już obok Uzdrowiciela, otwiera mu powieki i śpiewem przywraca przytomność. W następnej chwili Uzdrowiciel przygląda mi się i kładzie dłonie na mojej ranie. Po zaledwie kilku sekundach czuję, że świat znów wraca do normy. Stojący w rogu Kilorn oddycha z ulgą i naciąga przez głowę pelerynę.

– Ją również. – Wskazuję Farley. Julian zgadza się i kieruje Uzdrowiciela do wojowniczkii.

Rozlega się suchy *trzask* i bark Farley wraca na swoje miejsce.

– Najmocniej dziękuję – oznajmia wojowniczka, po czym zasłania twarz maską.

Walsh stoi parę stopni nad nami, w rękę trzyma maskę, którą zapomniała włożyć. Z szeroko otwartymi ustami wpatruje się w leżących wartowników.

– Nie żyją? – pyta szeptem wystraszonego dziecka.

Julian, który właśnie skończył śpiewać polecenia Świńskim Oczkom, podnosi wzrok.

– Skądże znowu. Za kilka godzin się ockną i jeśli wam się poszczęści, dopiero wtedy wszyscy się dowiedzą o waszej ucieczce.

– Kilka godzin to aż nadto. – Farley klepie Walsh w policzek, wyrывая ją z odrętwienia. – Weź się w garść, dziewczyno, przed nami bieg na długi dystans.

Szybko przekradamy się przez kilka ostatnich korytarzy, ale mimo to z każdą sekundą narasta we mnie strach, dopóki nie docieramy do garażu Cala. Zahipnotyzowany Lucas rozrywa metalowe drzwi z łatwością, jak gdyby rozdzierał kartkę, ukazując panujący na zewnątrz mrok.

Walsh niespodziewanie mnie obejmuje.

– Nie wiem, jak miałyby do tego dojść – mówi cicho – ale mam nadzieję, że pewnego dnia zostaniesz królową. Wyobraź sobie, czego wtedy mogłabyś dokonać. Czerwona królowa.

Uśmiecham się, słuchając jej mrzonki.

– Idź, zanim wezmę twoje brednie na serio.

Farley nie jest skora do uścisków, ale poklepuje mnie po ramieniu.

– Wkrótce znów się spotkamy.

– Oby w innych okolicznościach.

Jej twarz rozjaśnia się w szczerym uśmiechu, który rzadko u niej widywałam. Uzmysławiam sobie, że pomimo blizny wojowniczka jest bardzo ładna.

– Oby – powtarza, po czym znika razem z Walsh w ciemnościach.

– Wiem, że nie mogę cię prosić, żebyś poszła ze mną – mamrocze Kilorn, kierując się w stronę wyjścia. Wpatruje się w swoje dłonie i przygląda bliznom, które znam na pamięć. „Spójrz na mnie, idioto”, mówię w duchu.

Wzdycham i zmuszam się, żeby popchnąć go w stronę wolności.

– Muszę tu zostać dla dobrej sprawy. Dla twojego dobra.

– To, co jest dla mnie dobre, a to, czego chcę, to często dwie różne rzeczy.

Chcę się roześmiać, ale nie mam siły.

– To jeszcze nie koniec, Mare – szepcze Kilorn, obejmując mnie. Chichocze, jego pierś trzęsie się od tłumionego śmiechu. – Czerwona Królowa, brzmi nieźle.

– Aleś ty głupi, lepiej już uciekaj. – Nigdy wcześniej nie uśmiechałam się tak promiennie, podczas gdy serce pękało mi z żalu.

Kilorn zerka na mnie ostatni raz, po czym skinieniem głowy żegna Juliana i daje nura w mrok. Odgięty metal wraca na swoje miejsce, zasłaniając przede mną uciekających przyjaciół. Nie chcę nawet wiedzieć, dokąd zmierzają.

Julian musi mnie odciągać, ale nie gani mnie za przedłużone pożegnanie. Zdaje się, że bardziej zajmuje go Lucas, który pozostając cały czas w stanie oszołomienia, zaczął się ślinić.

ROZDZIAŁ 22

Tej nocy śni mi się, że przychodzi do mnie Shade. Pachnie prochem strzelniczym. Kiedy jednak otwieram oczy, mój brat znika, a wszystko we mnie krzyczy coś, o czym przecież doskonale wiem. „Shade nie żyje!”

Rankiem ze snu wyrywają mnie odgłosy szurania i trzaskania. Podnoszę się gwałtownie, spodziewając się zobaczyć wartowników, Cala lub krwiożerczego Ptolemejusza gotowego rozszarpać mnie za to, co zrobiłam, jednak widzę jedynie pokojówki uwijające się między szafami. Wyglądają na bardziej zabiegane niż zwykle, gdy w pośpiechu zdejmują z wieszaków kolejne stroje.

– Co się dzieje?

Służące nieruchomości. Kłaniają się, nie wypuszczając z rąk jedwabnych sukien i płóciennej bielizny. Gdy do nich podchodzę, dostrzegam kilka skórzanych kufrów stojących na podłodze.

– Wyjeżdżamy gdzieś?

– Jedynie wypełniamy polecenia, wielmożna panno – odzywa się jedna z nich, nie wając się podnieść na mnie oczu. – Poza tym nic nie wiemy.

– Oczywiście. Cóż, w takim razie chyba się ubiorę. – Sięgam po najbliższej leżący strój, zamierzając choć raz zająć się samodzielnie poranną toaletą, ale pokojówki mnie ubiegają.

Pięć minut później jestem już pomalowana i ubrana w dziwne skórzane spodnie oraz falbaniastą koszulę. Najlepiej czułabym się w kombinezonie treningowym, ale najwyraźniej poza salą ćwiczeń jest to „nieodpowiednie” ubranie.

– Lucas? – Rozglądam się po pustym korytarzu, jak gdybym liczyła na to, że strażnik zaraz wychynie z jakiejś wnęki.

Nigdzie go nie widać, ruszam więc na zajęcia z protokołu, spodziewając się spotkać z nim gdzieś po drodze. Kiedy jednak tak się nie dzieje, przechodzi mnie dreszcz strachu. Julian kazał mu zapomnieć o wydarzeniach ostatniej nocy, ale być może coś nam umknęło. Może wezwano Lucasa na przesłuchanie i ukarano za noc, której nie pamięta, i wszystko, do czego go zmusiliśmy.

Brak towarzystwa nie doskwiera mi jednak zbyt długo. W korytarzu pojawia się Maven, na którego twarzy gości lekkie rozbawienie.

– Wcześniej wstałaś. – Nachyliła się, mówiąc głębokim szeptem. – Biorąc pod uwagę to, jak późno się położyłaś, chyba nie jesteś wyspana.

– Nie wiem, o czym mówisz – siłą się na niewinny ton.

– Więźniowie zniknęli. Cała trójka wyparowała.

Kładę rękę na sercu i udaję wzburzenie, mając na względzie kamery.

– Doprawdy? Uciekło nam tych kilku Czerwonych? To wydaje się niemożliwe.

– Doprawdy. – Chociaż uśmiech nie znika z twarzy Mavena, jego oczy pochmurnieją. –

Oczywiście nasuwa się z tego powodu wiele pytań. Zwłaszcza o przyczyny przerw w dostawie prądu, awarii systemu bezpieczeństwa, że o oddziale wartowników z lukami w pamięci nie wspomnę. – Wpatruje się we mnie znacząco.

Nie odwracam wzroku, pozwalając, aby dostrzegł w moich oczach niepokój.

– Twoja matka... przesłuchiwała ich.

– Owszem.

– A czy będzie rozmawiała z... – starannie dobieram słowa – ... kimś jeszcze na temat tej ucieczki? Z żołnierzami, strażnikami...?

Maven powoli przytakuje skinieniem głowy.

– Ktokolwiek tego dokonał, zrobił to dobrze. Pomagałem podczas przesłuchań i skierowałem podejrzenia na właściwe osoby. – „Skierował podejrzenia. Odsunął je ode mnie”. Wydaję nieznaczne westchnienie ulgi i ściskam go za rękę, dziękując za ochronę. – Poza tym możemy nigdy się nie dowiedzieć, czyja to sprawa. Od wczoraj mnóstwo ludzi uciekło i wciąż ucieka. Uważają, że w Palatium nie jest już bezpiecznie.

– Po tym, co się wydarzyło zeszłego wieczoru, wcale im się nie dziwię. – Chwytam go pod ramię i przysuwam się do niego. – Czego dowiedziała się twoja matka w sprawie bomby?

Maven zniża głos do szeptu.

– Nie było żadnej bomby. – „Co takiego?” – Doszło do wybuchu, ale to był wypadek. Kula uszkodziła biegnącą pod podłogą rurę gazową i kiedy Cal wzniecił ogień... – księżę milknie i wymownym gestem dokańcza urwaną wypowiedź. – To matka wpadła na pomysł, żeby ten wypadek, hmm, wykorzystać do naszych celów.

„Nie zabijamy bez sensu”.

– Chce z gwardzistów zrobić potwory.

Przytakuje ponuro.

– Nikt nie weźmie ich strony. Nawet Czerwoni.

Czuję, jak burzy się we mnie krew. „Następne kłamstwa”. Zadaje nam kolejny cios, nie dobywając miecza ani nie oddając choćby jednego strzału. Jej orężem są słowa. A teraz mam

wniknąć jeszcze głębiej w jej świat, przenieść się do Archeonu.

„Nie zobaczę więcej rodziny. Gisa wydorosłeje i zmieni się tak, że przestanę w niej poznawać moją młodszą siostrę. Bree i Tramy ożenią się, będą mieli dzieci i zapomną o mnie. Tata będzie umierał powoli, udusi się przez wojenne rany, a kiedy odejdzie, mama również zgaśnie”.

Maven nie wrywa mnie z zamyślenia, spogląda na mnie z troską, widząc emocje malujące się na mojej twarzy. Czasami jego milczenie przynosi mi więcej ulgi niż słowa pocieszenia, z którymi pospieszyłby ktoś inny.

– Ile czasu zostało do wyjazdu?

– Wyruszamy dziś po południu. Większość dworu wyjedzie wcześniej, ale my musimy popłynąć statkiem. Przestrzeganie tradycji pozwoli zachować choć odrobinę spokoju w całym tym obłędzie.

Kiedy byłam dzieckiem, siadałam na werandzie i podziwiałam piękne łodzie płynące w dół rzeki do stolicy. Shade śmiał się ze mnie, że chcę zobaczyć króla. Nie zdawałam sobie wtedy sprawy z tego, iż jest to kolejne widowisko, które tak samo jak pojedynki na arenie ma na celu pokazać nam, jak mało znaczymy wobec potęgi możnych tego świata. Teraz znów mam się przyglądać tej ceremonii, jednak tym razem od wewnątrz.

– Przynajmniej znów zobaczysz dom, choć na chwilę – dodaje, starając się być delikatny. „Tak, Mavenie, właśnie o tym marzę. Stać i przyglądać się, jak mój dom i całe moje dawne życie przepływają obok i zostają za mną”.

Jednak taki jest koszt moich działań. Wyprowadzenie z pałacu Kilorna i pozostałych oznaczało skrócenie o kilka dni pobytu w mojej dolinie, ale to niewielka cena za ich wolność.

Rozmowę przerywa łoskot, który dobiega z pobliskiego korytarza prowadzącego do pokoju Cala. Maven reaguje szybciej ode mnie, wysuwa się naprzód i zerka w głąb przejścia, jak gdyby chciał mnie ochronić przed ewentualnym niebezpieczeństwem.

– Źle spałeś, bracie? – pyta zaniepokojony tym, co widzi.

W odpowiedzi Cal wmaszerowuje na korytarz, dłonie ma zaciśnięte, jak gdyby usiłował nad nimi zapanować. Zamiast poplamionego krwią munduru ma na sobie zbroję przypominającą pancerz Ptolemeusza, tyle że w rudawym odcieniu.

W pierwszym odruchu chcę uderzyć go w twarz, rzucić się na niego z krzykiem i pięściami za to, co zrobił Farley, Tristanowi, Kilornowi i Walsh. Czuję, że wzbierają we mnie iskry i tylko czekają, aż je uwolnię. Czego innego jednak mogłam się spodziewać? Dobrze wiem, kim jest i w co wierzy – Czerwonych nie warto oszczędzać. Dlatego odzywam się najuprzejmiej jak potrafię.

– Wyruszasz razem ze swoim legionem? – pytam, chociaż patrząc na gniew płonący w jego oczach, znam odpowiedź. Wcześniej obawiałam się jego wymarszu, a teraz niczego nie życzyłabym sobie bardziej. „Trudno uwierzyć, że zależało mi na tym, aby przeżył. Trudno uwierzyć, że w ogóle

poświęcałam mu tyle uwagi”.

Cał ciężko dyszy.

– Legion Cienia nigdzie nie wyrusza. Ojciec na to nie pozwolił. Nie teraz. Jest zbyt niebezpiecznie i jestem *zbyt cenny*.

– Wiesz, że ma rację. – Maven kładzie dłoń na ramieniu brata, próbując go uspokoić. Pamiętam, że zwykle to Cał w ten sposób przywoływał do rozsądku Mavena, teraz jednak role się odwróciły. – Jesteś następcą tronu. Nie może stracić również ciebie.

– Jestem żołnierzem – prychnął Cał i gwałtownym ruchem ramion zrzucił z barków rękę brata. – Nie potrafię siedzieć beczynnym i przyglądać się, jak inni walczą za mnie. Wykluczone.

Mówi jak dziecko domagające się zabawki, którą mu zabrano – najwyraźniej lubi zabijać. Robi mi się niedobrze. Nie odzywam się, pozwalając, żeby Maven dyplomatycznie porozmawiał z bratem. On zawsze wie, co powiedzieć.

– Znajdź sobie inny cel. Zaprojektuj kolejny motor, ćwicz dwa razy więcej, musztruj legion, *przygotuj się* do chwili, gdy niebezpieczeństwo minie. Cał, możesz robić tysiąc innych pożytecznych rzeczy, które nie skończą się tym, że zginiesz w jakiejś zasadzce! – Maven świdruje brata spojrzeniem, po czym uśmiecha się lekko, usiłując rozluźnić atmosferę. – Nigdy się nie zmienisz, Cał. Nie potrafisz usiedzieć ani chwili.

Zapada ciężka cisza. Przerywa ją Cał, po którego wargach przewija się cień uśmiechu.

– Nigdy. – Zerka na mnie, ale nie dam się więcej omamić jego złotawobrazowym spojrzeniem.

Odwracam głowę, udając, że studiuję obraz zawieszony na ścianie.

– Ładna zbroja – rzucam szyderczo. – Będzie pasowała do twojej kolekcji.

Wydaje się, że moja uwaga dotknęła, a nawet zawstydziła Cała, książę jednak szybko dochodzi do siebie. Uśmiech znika z jego twarzy, oczy się zwężają, a szczęki zaciskają. Palce stukają o pancerz; rozlega się dźwięk przypominający drapanie pazurów o kamień.

– To podarunek od Ptolemeusza. Wygląda na to, że mam teraz wspólny cel z bratem mojej narzeczonej. – „Mojej narzeczonej”. Myśli, że wzbudzi moją zazdrość?

Maven przygląda się zbroi nieufnie.

– Co masz na myśli?

– Ptolemeusz dowodzi strażą w stolicy. Razem z moim legionem możemy się do czegoś przydać nawet w Archeonie.

Zimny strach zakrada się do mojego serca, zamrażając delikatną nadzieję i radość wywołane pomyślnie przeprowadzoną ucieczką.

– Do czego na przykład? – Słyszę swój odrętwiały głos.

– Jestem dobrym myśliwym. On jest dobrym zabójcą. – Cał cofa się o krok, zbierając się do

odejścia.

Czuję, że oddaliśmy się od siebie, nie tylko dlatego, iż zamierza wyruszyć do swoich obowiązków, ale również dlatego, że aby je wypełnić, wkracza na ciemną, krętą drogę. Zaczynam się bać o chłopaka, który nauczył mnie tańczyć. „Nie, nie boję się o niego. Boję się *jego*”. A uczucie to jest gorsze niż wszelkie inne dręczące mnie obawy i koszmary.

– Razem wytropimy Szkarłatną Gwardię i ukręcimy jej łeb, raz na zawsze.

*

Dzisiaj plan zajęć nie obowiązuje, ponieważ wszyscy są zbyt zajęci przygotowaniami do wyjazdu, żeby zawracać sobie głowę treningiem czy lekcjami. Gdy stojąc w holu wejściowym, przyglądam się gorączkowej krzątaninie, odnoszę jednak wrażenie, że zebrani na dworze goście nie wyjeżdżają, ale najzwyczajniej w świecie *uciekają*. Kiedyś myślałam, że Srebrni są niczym bogowie, którym nic nie może zagrozić i których nic nie jest w stanie wystraszyć. Teraz się przekonałam, iż to nieprawda. Od wielu lat żyli na szczycie władzy, chronieni i odcięci od reszty świata, i zdążyli zapomnieć, że im również grozi upadek. Ich siła stała się ich największą słabością.

Kiedyś bałam się tych murów, przerażało mnie ich piękno. W tej chwili widzę w nich rysy i pęknięcia. Podobnie czułam się w dzień zamachów bombowych, kiedy zdałam sobie sprawę z tego, że Srebrni nie są niezwyciężeni. Wtedy wybuchy, teraz zaś kilka kul zdołały skruszyć ściany z diamentowego szkła i odsłonić ukryte za nimi strach i paranoję. Srebrni uciekają przed Czerwonymi – lwy umykają przed myszami. Król i królowa występują przeciwko sobie, dworzanie tworzą rozmaite układy, a Cal, idealny książę i dobry żołnierz, jest straszliwym, bezlitosnym wrogiem. „Każdy może zdradzić każdego”.

Cal i Maven żegnają się z odjeżdżającymi, do końca wypełniając swoje obowiązki i starając się nadać pozory ładu chaosowi, który panuje wokoło. Statki powietrzne czekają niedaleko, warkot silników słychać nawet wewnątrz pałacu. Mam ochotę zobaczyć z bliska te ogromne maszyny, ale gdybym wyszła na zewnątrz, musiałabym stawić czoła tłumowi arystokratów, a nie zniosę spojrzeń ludzi pogrążonych w żalobie. Wczorajszego wieczoru życie straciło dwanaście osób, ale nie chcę poznać imion ich wszystkich. Nie chcę brać na siebie tego ciężaru, nie w chwili gdy potrzebuję być bardziej przytomna niż kiedykolwiek wcześniej.

Kiedy nie mogę już patrzeć na przygotowania do odjazdu, nogi same niosą mnie przed siebie, w głąb pustych, teraz już dobrze mi znanych korytarzy. Mijam komnaty zamykane na wiele miesięcy, dopóki znów nie powróci tu dwór. „Ja nie wrócę”, wiem o tym. Służba okrywa białymi płachtami meble, obrazy i posągi, aż cały pałac zaczyna przypominać zamczysko nawiedzane przez duchy.

Po chwili uzmysławiam sobie, że stoję przed drzwiami dawnej klasy Juliana, i doznaję wstrząsu, zaglądając do znajomego wnętrza. Regały z książkami, biurko, a nawet mapy zniknęły. Pokój zrobił

się bardziej przestronny, ale wydaje się mniejszy. Kiedyś mieścił się w nim cały świat, teraz zaś zostały zaledwie kurz i zmięte kartki. Zatrzymuję spojrzenie na ścianie, na której jeszcze niedawno wisiała olbrzymia mapa. Dawniej nie potrafiłam jej odczytać; teraz jej kontury mam wyryte w pamięci niczym rysy twarzy starego dobrego przyjaciela.

„Norta, Lakelandia, Piedmont, Preria, Tiraks, Montfort, Ciron i wszystkie sporne terytoria między nimi”. Inne państwa, inni ludzie, ale tak samo jak my podzieleni kolorem krwi. „Czy jeśli dokonamy zmiany, oni pójdą w nasze ślady? Czy będą próbowali nas zniszczyć?”

– Mam nadzieję, że pamiętasz nasze lekcje. – Głos Juliana wrywa mnie z zamyślenia i znów znajduję się w pustej klasie. Nauczyciel stoi za mną, jego wzrok biegnie za moim spojrzeniem i zatrzymuje się na ścianie. – Przykro mi, że nie zdołałem nauczyć cię więcej.

– Będziemy mieli dużo czasu na naukę w Archeonie.

W jego uśmiechu jest tyle gorzkości, że trudno na niego patrzeć. Nagle uzmysławiam sobie, że po raz pierwszy w tym pomieszczeniu czuję spojrzenia kamer.

– Julianie?

– Archiwiści w Delphie zaproponowali mi pracę przy porządkowaniu starych tekstów. – Kłamstwo jest tak wyraźne jak plamy na jego szacie. – Zdaje się, że przeczesywali Mieliznę i natknęli się na bunkry magazynowe. Widocznie znaleźli całe góry papierów.

– Będziesz w swoim żywiole. – Głos więźnie mi w gardle. *Wiedziałałam, że będzie musiał odejść. Zmusiłam go do tego, co zrobił ostatniej nocy, naraziłam go na śmiertelne niebezpieczeństwo dla Kilorna.* – Będziesz przyjeżdżał czasami w odwiedziny?

– Tak, oczywiście. – Kolejne kłamstwo. Elara wkrótce odkryje, jaką rolę odegrał w ucieczce więźniów, i wtedy sam będzie musiał uciekać. Dlatego lepiej, żeby zniknął już teraz. – Mam coś dla ciebie.

Tysiąc razy bardziej wolałabym usłyszeć, że zostaje, niż że przygotował dla mnie pożegnalny prezent, ale staram się wyglądać na wdzięczną.

– Pewnie dobrą radę?

Uśmiecha się i kręci głową.

– Przekonasz się co, kiedy dotrzesz do stolicy. – W następnej chwili wyciąga do mnie ramiona. – Muszę już iść, więc pożegnaj się ze mną jak należy.

Obejmując go, czuję się, jak gdybym przytulała się do ojca lub braci, których nigdy więcej nie zobaczę. Nie chcę, żeby wyjeżdżał, ale oboje zdajemy sobie sprawę z tego, że na dworze zrobiło się dla niego zbyt niebezpiecznie.

– Dziękuję, Mare – szepcze mi do ucha. – Bardzo mi ją przypominasz. – Nie muszę pytać, aby wiedzieć, że mówi o Coriane, siostrze, którą stracił dawno temu. – Będę za tobą tęsknił, dziewczusko

od błyskawic.

W jego ustach przezwisko nie brzmi aż tak źle.

*

Nie mam siły zachwycać się statkiem napędzanym silnikiem elektrycznym. Na każdym maszcie powiewają czarne, srebrne i czerwone flagi oznaczające królewską jednostkę. Kiedy byłam mała, zastanawiałam się, dlaczego król wybrał sobie nasz kolor na jedną ze swoich barw. To przecież odcień niegodny monarchy. Teraz jednak wiem, że sztandary są czerwone, ponieważ jest to kolor płomieni, którymi włada król, kolor zniszczenia, które sieje, oraz ludzi, których kontroluje.

– Wartownicy pełniący służbę tej nocy zostali *przeniesieni* – mówi szeptem Maven, gdy idziemy wzdłuż pokładu.

Przeniesienie w dyplomatycznym języku oznacza ukaranie. Przypominam sobie Świńskie Oczka i sposób, w jaki na mnie patrzył, i wcale nie jest mi przykro.

– Dokąd ich posłano?

– Na front, oczywiście. Zostaną przydzieleni do jakiegoś kłopotliwego oddziału z rannym lub nieudolnym kapitanem albo niepokornymi żołnierzami. Zwykle takie formacje wysyła się na pierwszy ogień do okopów. – Jego oczy pochmurnieją i uświadamiam sobie, że przekonał się o tym wszystkim osobiście.

– Na pewną śmierć.

Maven przytakuje ponuro.

– A Lucas? Nie widziałam go od wczoraj...

– Nic mu nie jest. Wyjechał z domem Samos, ochrania rodzinę. Po wczorajszym zamachu wszyscy wpadli w panikę, nawet Szlachetne Domy.

Ogarnia mnie ulga, ale i smutek. Będzie mi brakowało Lucasa, cieszę się jednak, że jest bezpieczny i z dala od wścibskiej Elary.

Maven przygryza wargę, nagle wydaje się przygaszony.

– Ale to jedynie cisza przed burzą. Wkrótce posypią się gromy.

– Co masz na myśli?

– W lochach znaleziono krew. Czerwoną krew.

Po ranie postrzałowej w moim brzuchu nie ma nawet śladu, ale wspomnienie bólu pozostało.

– A zatem?

– A zatem wkrótce będzie wiadomo wszystko o tym z twoich przyjaciół, który został ranny. Baza krwi pracuje na pełnych obrotach.

– Baza krwi?

– Baza próbek krwi. Każdemu Czerwonemu urodzonemu w promieniu stu pięćdziesięciu

kilometrów od cywilizacji pobiera się próbkę krwi. Zaczęto to robić w ramach projektu badawczego mającego na celu dokładne określenie różnic między naszą i waszą krwią, ale z czasem program naukowy stał się kolejną metodą na utrzymanie was w ryzach. W większych miastach na identyfikatorach Czerwonych zamiast zdjęć widnieją próbki krwi. Pobiera im się je przy bramach podczas każdego wejścia i wyjścia, aby w razie potrzeby można było ich wytropić niczym zwierzęta.

Przed oczami stają mi stare dokumenty, które król rzucił mi pod nogi w sali tronowej. Było w nich moje imię, zdjęcie i plama krwi.

„Moja krew. Mają moją krew”.

– I mogą... mogą sprawdzić, czyja to krew, tak po prostu?

– To trochę potrwa, około tygodnia, ale owszem, tak to powinno działać. – Spogląda na moje drżące ręce i nakrywa je swoimi, rozgrzewając lodowatą skórę moich dłoni. – Mare?

– Postrzelił mnie – szepczę. – Wartownik mnie postrzelił. Krew, którą znaleźli, należy do mnie.

W tym momencie jego dłonie stają się równie lodowate jak moje.

Maven, zwykle tryskający pomysłami, tym razem milczy jak zaklęty. Wpatruje się tylko we mnie i jedyne, co słyszę, to jego krótki, płytki, wystraszony oddech. Rozpoznaję wyraz malujący się na jego twarzy; wyglądam podobnie, gdy muszę się z kimś pożegnać.

– Szkoda, że nie zostaliśmy choć trochę dłużej – mamroczę, spoglądając na rzekę. – Wolałabym umrzeć blisko domu.

Kolejny podmuch wiatru rozwiewa mi włosy, które zasłaniają moją twarz, ale Maven odgarnia je i nagle przyciąga mnie do siebie ze zdumiewającą gwałtownością.

„Och”.

Całuje inaczej niż brat. Pocałunek jest bardziej desperacki i wydaje się zaskakiwać nie tylko mnie, ale także jego samego. Wie, że idę na dno niczym kamień rzucony w wodę. „I chce utonąć razem ze mną”.

– Załatwię to – szepcze, muskając wargami moje wargi. Nigdy jeszcze jego oczy nie płonęły tak jasnym i silnym ogniem. – Nie pozwolę, żeby cię skrzywdzili. Masz moje słowo.

Gdzieś w głębi duszy pragnę mu wierzyć.

– Maven, nie jesteś w stanie załatwić wszystkiego.

– Masz rację, *ja* nie jestem w stanie – odpowiada ostrym tonem. – Ale mogę przekonać kogoś, kto jest potężniejszy ode mnie.

– Kogo?

Gdy temperatura wokół nas rośnie, Maven cofa się i mocno zaciska szczęki. Widząc błysk w jego oczach, mam wrażenie, że najchętniej rzuciłby się na tego, kto śmiał nam przeszkodzić. Nie odwracam się, głównie dlatego, iż straciłam czucie w nogach. Cała zdrętwiałam, choć w wargach

wciąż czuję mrowienie. Nie wiem, co to oznacza. I nie ogarniam swoich uczuć.

– Królowa prosi o przybycie na pokład widokowy. – Głos Cala przypomina zgrzyt kamieni. Brzmi niemal tak, jak gdyby był zły, ale w jego złotawobrazowych oczach czai się smutek, a nawet przygnębienie. – Mijamy Pale, Mare.

Tak, linia brzegowa robi się znajoma. Poznaję ułamany pień, kawałek plaży oraz charakterystyczny odgłos pił i zwalanych drzew. „To mój dom”. Z ogromnym trudem zmuszam się do tego, aby odwrócić się od relingu i spojrzeć na Cala, który wydaje się prowadzić niemą rozmowę z bratem.

– Dziękuję, Cal – szepczę, chociaż wciąż jeszcze nie doszłam do siebie po pocałunku Mavena i wiadomości o moim zbliżającym się końcu.

Cal odchodzi przygarbiony, mimo że zazwyczaj trzyma się prosto. Każdy jego krok jest jak wyrzut sumienia, wracają do mnie wspomnienia naszego tańca i pocałunku. „Ranię wszystkich, a zwłaszcza siebie”.

Maven spogląda za wycofującym się bratem.

– Nie lubi przegrywać. – Zniża głos i podchodzi do mnie. Stoi tak blisko, że widzę maleńkie srebrne plamki w jego oczach. – Ja również. Nie stracę cię, Mare. *Nie pozwolę na to.*

– Nigdy mnie nie stracisz.

Kolejne kłamstwo. Oboje zdajemy sobie z tego sprawę.

*

Taras widokowy góruje nad przednią częścią pokładu, otacza go szyba zamykająca się z dwóch boków. Pomału robią się widoczne brązowe konstrukcje wzniesione na brzegu rzeki, a znad drzew wyłania się wiekowe wzgórze, na którym leży amfiteatr. Jesteśmy zbyt daleko, żeby dostrzec cokolwiek wyraźnie, ale natychmiast poznaję swój dom. Nad werandą wciąż powiewa stara flaga z trzema czerwonymi wyhaftowanymi gwiazdami. Jedną gwiazdę przecina czarny pasek na cześć poległego Shade’a. „Shade został stracony. Powinno się oderwać gwiazdę”. Rodzice jednak tego nie zrobili. Obnoszenie się z pamięcią o nim to ich mały prywatny gest buntu.

Chcę pokazać swój dom Mavenowi, opowiedzieć mu o wiosce. Poznałam jego życie i teraz pragnę, by zobaczył choć kawałek mojego. Jednak na pokładzie panuje cisza, wszyscy spoglądają na wioskę, obok której przepływamy. „Ludzie z Palów mają was gdzieś – mam ochotę wrzasnąć. – Tylko głupcy przyjdą was oglądać. Tylko głupcy będą marnować na was czas”.

Gdy łódź powoli zrównuje się z wioską, zaczynam sądzić, że mieszkają tam sami głupcy. Wygląda na to, że całe dwa tysiące mieszkańców wyległo na brzeg. Niektórzy stoją po kostki w wodzie. Z tej odległości wszyscy wydają się tacy sami. Mają jednakowo spłowiałe włosy, znoszone ubrania i pokrytą plamami skórę, są jednakowo zmęczeni i głodni – tak samo jak jeszcze niedawno

ja.

Są też *wściekli*. Nawet na łodzi wyczuwam ich wściekłość. Nie wiwatują, nie pozdrawiają nas radosnymi okrzykami. Nikt nam nie macha. Nikt nawet się nie uśmiecha.

– O co chodzi? – wyrywa mi się pytanie, na które nie spodziewam się odpowiedzi.

Królowa jednak z lubością zaspokaja moją ciekawość.

– Jakimż marnotrawstwem byłoby skazywać tak piękną ceremonię na brak widzów. Udało nam się więc temu problemowi zaradzić.

Coś mi mówi, że podziwianie naszego statku to kolejna obowiązkowa uroczystość, tak samo jak oglądanie pojedynków czy wysłuchiwanie orędzi. Strażnicy ściągnęli schorowanych staruszków z łóżek, wycieńczonych robotników z zakładów i zmusili ich do przypatrywania się naszej paradzie.

Gdzieś z tłumu dobiega nas *trzask* bata, po którym rozlega się krzyk kobiety.

– Trzymać szyk! – rozbrzmiewa komenda. Mieszkańcy wioski nawet nie drgną, patrzą prosto przed siebie, więc nie mogę dostrzec, w którym miejscu powstało zamieszanie. „Dlaczego są tacy ulegli? Co im zrobiono?”

Łzy napływają mi do oczu. Słyszę kolejne uderzenia batem, płacz dzieci, ale nikt na brzegu nie protestuje. Nagle jestem na samym skraju tarasu i czuję, że każdy mój mięsień pragnie rozbić otaczające nas szkło.

– Wybierasz się dokądś, Mareeno? – mruczy Elara, która stojąc u boku króla, spokojnie sący napój i przygląda mi się sponad krawędzi kielicha.

– Dlaczego to robicie?

Z rękami skrzyżowanymi na swej wspaniałej sukni Evangeline mierzy mnie szyderczym spojrzeniem.

– Dlaczego cię to obchodzi? – pyta, ja jednak zbywam jej słowa milczeniem.

– Wiedzą, co się wydarzyło w Palatium, być może nawet są z tego zadowoleni, dlatego muszą zobaczyć, że nie zostaliśmy pokonani – tłumaczy cicho Cal, nie odrywając oczu od brzegu. Nie potrafi nawet spojrzeć mi w oczy, tchórz. – Nie utoczono z nas nawet kropli krwi.

Znów rozlega się *trzask* bata, a ja wzdrygam się, niemal czując uderzenie na własnej skórze. Kiedy jednak kolejny mieszkaniec wioski krzyczy z bólu, Cal przymyka powieki.

– Proszę się odsunąć, panno Tytaniusz. – Głos króla brzmi niczym odległy grom, a rzekoma prośba ma w sobie moc rozkazu. Jestem prawie pewna, że na twarzy Tyberiasza gości triumfalny uśmiech, gdy cofam się, stając znów obok Mavena. – To wioska Czerwonych, znasz ją lepiej niż ktokolwiek z nas. To tutaj terroryści znajdują schronienie, tutaj się ich karmi, chroni, tutaj się *mnożą*. Ci ludzie to dzieci, które zrobiły coś złego. I trzeba dać im nauczkę.

Otwieram usta, żeby zaprotestować, ale w tej samej chwili królowa obnaża zęby.

– Być może znasz kogoś, kogo warto by przykładowo ukarać? – cedzi, wskazując linię brzegową.

Słowa więzną mi w gardle, jej groźba podziałała.

– Nie, Wasza Królewska Mość, nie znam.

– Zatem cofnij się i milcz. – Wykrzywia wargi w uśmiechu. – W odpowiednim czasie będziesz miała okazję się odezwać.

„Dlatego mnie potrzebują. Dla takich chwil, gdy szala zwycięstwa może się przechylić na ich niekorzyść”. Nie mogę się jednak im przeciwstawić. Mogę jedynie wykonywać polecenia i patrzeć, jak mój dom niknie w oddali. Na zawsze.

*

W miarę jak zbliżamy się do stolicy, wioski robią się coraz większe. Wkrótce krajobraz się zmienia i zamiast osad drwali i rolników pojawiają się pierwsze miasta. Tworzą je przede wszystkim skupione naokoło ogromnych hal zakładowych ceglane domy i bloki, w których mieszkają Czerwoni robotnicy. Tak samo jak osadników i wieśniaków, mieszkańców miast również wygnano na ulice, żeby patrzyli, jak przepływamy. Strażnicy wyrzaskują komendy, baty trzaskają, a ja nie umiem się do tego przyzwyczaić. Wzdrygam się za każdym razem, gdy słyszę świst i krzyk.

Po pewnym czasie miasta ustępują miejsca rozległym posiadłościom i dworom przypominającym letnią rezydencję króla. Każdy kolejny pałacyk wzniesiony z kamienia, szkła i wzorzystego marmuru wydaje się wspanialszy od poprzedniego. Otaczające je trawniki opadają łagodnie w stronę rzeki, ukazując naszym oczom cudowne ogrody stworzone przez Strażników Zieleni i ozdobione przepięknymi fontannami. Jednak te cuda architektury, które zdają się dziełami rąk nie ludzkich, lecz boskich, zieją pustką. Okna rezydencji są ciemne, drzwi pozamykane. Podczas gdy mijane wioski i miasta były pełne ludzi, posiadłości wydają się pozbawione życia. Jedynie po flagach powiewających wysoko nad każdym pałacem można poznać, że ktoś tu w ogóle mieszka. Niebieski sztandar symbolizuje rodzinę Osanos, srebrny – Samos, brązowy to kolor rodu Rhambo... Barwy poszczególnych domów znam już na pamięć i potrafię dopasować osoby do każdej z pogrążonych w martwocie rezydencji. „Niektórzy właściciele tych pałaców rzeczywiście są martwi, przeze mnie”.

– Zielone Nabrzeże – objaśnia Maven. – Wiejskie posiadłości, w których zaszywiają się arystokraci, gdy chcą uciec przed miejskim zgiełkiem.

Zatrzymuję wzrok na rezydencji rodziny Iral, otoczonym kolumnadą pałacu zbudowanym z czarnego marmuru. Wejścia pilnują kamienne pantery szczerzące kły do nieba. Na widok posągów przechodzi mnie dreszcz, przypominam sobie Arę Iral i jej natarczywe pytania.

– Nikogo tu nie ma.

– Domy przez większą część roku stoją puste, teraz zaś, gdy zaczęło się to całe zamieszanie z Gwardią, nikt nie odważy się opuścić stolicy. – Na jego wargi wypływa słaby, gorzki uśmiech. –

Wolą się chować za diamentowymi murami i pozwolić, żeby mój brat walczył za nich.

– A ja wolałabym, żeby w ogóle nikt nie walczył.

Maven kręci głową.

– Marzenia nie przynoszą nic dobrego.

Patrzemy w milczeniu na Zielone Nabrzeże, które powoli przesuwa się i zostaje za nami, przed nami zaś na brzegu rzeki wyłania się kolejny las. Rosną w nim dziwne drzewa, bardzo wysokie, o czarnej korze i czerwonych liściach. Wokoło panuje głucha, zupełnie nienaturalna cisza, której nie zakłóca choćby pojedynczy ptasi trel. Niebo ciemnieje, jednak nie ma to nic wspólnego ze słabnącym popołudniowym światłem. Nad lasem pojawiają się czarne chmury, które wisząc nisko nad drzewami, przykrywają ich korony grubym kłębiastym dywanem.

– Co to jest? – Nawet mój głos jest stłumiony i nagle odczuwam ulgę na myśl, że pokład widokowy chronią szklane ściany i sufit. Cieszę się również, że pozostali pasażerowie opuścili taras, chociaż nie mam pojęcia, z jakiego powodu zostawili mnie i Mavena sam na sam z ponurą okolicą.

Księżę spogląda na las, wykrzywia twarz z niesmakiem.

– Drzewa graniczne. Powstrzymują rozprzestrzenianie się zanieczyszczeń. Dawno temu stworzyli je Strażnicy Zieleni z domu Welle.

Brunatna, pokryta pianą woda obmywa naszą łódź, zostawiając na lśniącem stalowym kadłubie tłustą warstwę brudu. Wszystko wokoło nabiera dziwnych odcieni, jak gdybym patrzyła na świat przez barwione na brązowo szkło. Wkrótce okazuje się, że opary spowijające korony drzew to nie chmury, ale przesłaniający niebo dym wyrzucany przez tysiące kominów. Tutaj nie ma już ani drzew, ani trawy – to kraina pyłu i popiołu.

– Szare Miasto – oznajmia cicho Maven.

Fabryki ciągną się po sam horyzont, zwaliste, brudne, huczące od elektryczności. Ogrom mocy uderza we mnie niczym pięść i niemal zwała mnie z nóg. Serce usiłuje nadążyć za pulsującą wokoło nieziemską energią, krew szybciej krąży mi w żyłach i muszę usiąść.

Uważałam, że moje życie jest inne niż powinno, że na świecie panuje niesprawiedliwość. Nigdy jednak nawet mi się nie śniło, iż istnieją miejsca takie jak Szare Miasto.

Elektrownie żarzą się w półmroku, pulsują jasnoniebieskim i niezdrowo zielonym światłem, raz po raz wydobywając z ciemności rozwieszoną w powietrzu pajęczynę kabli. Po drogach biegnących na usypanych wałach toczą się pojazdy obciążone wyrobami przewożonymi z jednej fabryki do drugiej. Krążą ospale niczym czarna krew z trudem włączana do szarych żył, a towarzyszy temu zgiełk i szcęk przypominający mozolną pracę metalowego płuca mojego ojca. Najbardziej przygnębiający widok stanowią otaczające każdą fabrykę kwadratowe osiedla złożone z bud ustawionych jedna na drugiej w wąskich rzędach oddzielonych ciasnymi uliczkami. „Slumsy”.

Wątpię, by robotnicy żyjący pod zadymionym niebem kiedykolwiek widzieli światło dzienne. Dzielą życie między fabrykę i nędzną budę, która służy im za dom, wychodzą na ulicę tylko wtedy, gdy kończy się jedna i zaczyna druga zmiana. Nie widać tu strażników, nie słysząc trzasków bata, nie czuć pustych spojrzeń. Nikt nie zmusza tych ludzi, żeby na nas patrzyli. „Król nie musi się silić na pokaz siły – uzmysławiam sobie. – Mieszkańcy Szarego Miasta są złamani na duchu od urodzenia”.

– To technicy – szepczę ochryple, przypominając sobie nazwę od czasu do czasu niefrasobliwie rzucaną przez Srebrnych. – Produkuje lampy, kamery, ekrany wideo...

– ... broń, kule, bomby, okręty, pojazdy – dodaje Maven. – Obsługują elektrownię. Oczyszczają wodę. Robią dla nas wszystko.

„A w zamian dostają jedynie dym”.

– Dlaczego nie odejdą?

Książę wzrusza ramionami.

– Nie znają innego życia. Większość techników nigdy nie opuści ulicy, na której się urodziła. Nie mogą nawet zaciągnąć się do wojska.

„Nie mogą nawet zaciągnąć się do wojska”. Ich los jest tak straszny, że wojna wydaje się przywilejem, w dodatku niedostępnym dla nich.

Podobnie jak wcześniejsze okolice, fabryki również po chwili zostają za nami, jednak obrazy, które zobaczyłam, zapadają mi głęboko w serce. „Nie wolno mi o tym zapomnieć – podpowiada wewnętrzny głos. – Nie wolno mi o nich zapomnieć”.

Gdy mijamy kolejny las granicznych drzew, wita nas rozgwieżdżone niebo, a pod nim: Archeon. Z początku nie dostrzegam stolicy, biorąc jej światła za migotanie wyjątkowo jasnej konstelacji. Kiedy jednak podpływamy bliżej, otwieram usta ze zdumienia.

Trzydziomowy zawieszony na wysokości kilkuset metrów most spina dwie części miasta rozłożone po obu stronach szeroko rozlanej rzeki. Długa na kilka kilometrów konstrukcja tętni życiem, pulsuje od światła i energii elektrycznej. Mieści się na niej mnóstwo sklepów i bazarów i wyobrażam sobie Srebrnych, którzy racząc się wykwintnymi daniami, spoglądają z góry na świat rozpościerający się u ich stóp. Po najniższym poziomie przemykają pojazdy, a ich światła przypominają czerwone i białe komety przecinające nocne niebo.

Z obu stron wejść na Most strzegą bramy, a dzielnice położone na lądzie są ogrodzone murami. Nad wschodnią częścią miasta górują strzeliste metalowe wieże przypominające ostrza wymierzone prosto w niebo, a na szczycie każdej z nich lśnią gigantyczne drapieżne ptaki. Tłumy przechodniów i pojazdów przelewają się po wybetonowanych ulicach, które pnąc się po stromym brzegu rzeki, łączą budynki z Mostem i bramami miasta.

Mury okalające stolicę podobnie jak mury Palatium są wykonane z diamentowego szkła, jednak

co pewien czas wyrastają z nich podświetlane metalowe wieże i inne budowle. Po murach maszerują patrole, ale mundury, które dostrzegam, są inne niż ogniście czerwone peleryny wartowników czy czarne jak atrament uniformy strażników. Są to mundury w kolorze przyciemnianego srebra i bieli, przez co niemal wtapiają się w miejski pejzaż. „Mundury żołnierzy, i to nie takich, którzy zajmują się jedynie obtańcowywaniem dam na balach. Stolica Norty jest fortecą”.

Archeon zbudowano na czasy wojny, nie pokoju.

Na zachodnim brzegu majaczą sylwetki gmachów Sądu Królewskiego i Siedziby Rady, które widziałam w relacjach filmowych z zamachów. Obydwa budynki wzniesione z białego marmuru są już całkowicie odremontowane, mimo że bomby zdemolowały je nieco ponad miesiąc temu. *Wydaje się, że od tamtego czasu minęły już całe wieki.* Urzędowe gmachy sąsiadują z Pałacem Białego Ognia. Siedzibę króla poznaję od razu. Nauczyciel w Palach opowiadał, że wydrążono ją w zboczu wzgórza i jest stworzona z jednolitego masywu białego granitu. Szczyty murów okalających pałac wieńczą płomienie wykonane ze złota i pereł.

Usiłuję to wszystko przetrwać, przenoszę spojrzenia z miejsca na miejsce, jednak mój umysł nie jest w stanie ogarnąć tego, co widzę. Po czarnym niebie nad nami majestatycznie suną sterowce, a jeszcze wyżej śmigają odrzutowce szybkie niczym spadające gwiazdy. Do tej pory uznawałam Palatium Słońca za istny cud; najwyraźniej niewiele wiem na temat cudów.

Jednak nie potrafię się tu niczym zachwycić, przeszkadza mi w tym świadomość, że zaledwie przed chwilą mijałam ciemne fabryki wypływające w niebo kłęby dymu. Kontrast między miastem Srebrnych i slumsami Czerwonych sprawia, iż wszystko we mnie wrze. Właśnie ten świat chcę obalić, świat, który chce zniszczyć mnie i wszystko, co jest mi drogie. Dopiero teraz w pełni uzmysławiam sobie, z czym walczę, i jak trudne, jak mało prawdopodobne jest zwycięstwo. Nigdy wcześniej nie czułam się mniejsza niż teraz, gdy wyłania się przed nami gigantyczny Most. Wydaje się, że w każdej chwili gotów jest połknąć mnie w całości.

Ja jednak muszę spróbować. Choćby dla Szarego Miasta, dla tych, którzy nigdy nie widzieli słońca.

ROZDZIAŁ 23

Gdy statek przybija do zachodniego brzegu i schodzimy z powrotem na ląd, wokoło panuje już noc. W domu o tej porze wyłączaliśmy prąd i kładliśmy się spać, jednak w Archeonie późny wieczór wygląda zupełnie inaczej. Podczas gdy resztę świata spowija mrok i sen, miasto zdaje się ożywać i rozjaśniać. Rozlega się huk sztucznych ogni, rozkwitające na niebie kolorowe kwiaty fajerwerków oblewają światłem Most, a nad pałacem rozwijają się czerwone i czarne sztandary. „Król powrócił do stolicy”.

Na szczęście nie czeka nas już tutaj żadna parada; witają nas jedynie opancerzone pojazdy, którymi mamy przebyć ostatni odcinek drogi, z portu do pałacu. Ku mojej wielkiej radości Maven i ja jedziemy tylko we dwoje, jeśli nie liczyć eskorty w postaci dwóch wartowników. Mój towarzysz opowiada mi o mieście i wydaje się, że zna historię każdego posągu i każdej mijanej ulicy. Wspomina nawet o swojej ulubionej piekarni, chociaż ta akurat leży po drugiej stronie rzeki.

– Most i Wschodni Archeon są przeznaczone dla cywili, zwykłych Srebrnych, choć wielu z nich jest bogatszych niż niektórzy arystokraci.

– Zwykli Srebrni? – Niemal wybucham śmiechem. – Istnieje coś takiego?

Maven wzrusza ramionami.

– Oczywiście. To kupcy, ludzie interesu, żołnierze, strażnicy, właściciele sklepów, politycy, właściciele ziemscy, artyści i intelektualiści. Niektórzy przez małżeństwo wchodzą w Szlachetne Domy, niektórzy w inny sposób podnoszą swoją pozycję społeczną, ale w ich żyłach nie płynie szlachetna krew i ich umiejętności nie są aż tak, hmm, *silne*.

„Nie każdy jest wyjątkowy”. Powiedział mi to kiedyś Lucas. Nie wiedziałam, że ma na myśli również Srebrnych.

– Zachodni Archeon zajmują Srebrni związani z królewskim dworem – ciągnie Maven. Przejeżdżamy przez uliczkę, wzdłuż której ciągną się urocze kamienice i równo przycięte, kwitnące drzewa. – Wszystkie Szlachetne Domy mają tu swoje rezydencje, aby być blisko króla i rządu. Prawdę mówiąc, gdyby zaszła taka potrzeba, z tego brzegu można by sprawować władzę nad całym krajem.

Teraz już jest jasne, dlaczego serce stolicy umieszczono właśnie tutaj. Zachodni brzeg rzeki wznosi się stromo, tworząc zbocze wysokiego wzgórza. Na jego szczycie znajdują się otoczone jeszcze jednym murem pałac i budynki rządowe, z których rozciąga się widok na Most. Gdy przejeżdżamy przez bramę w wewnętrznym murze, ledwo się powstrzymuję, żeby nie gapić się z rozdziawioną buzią na wyłożony ceramicznymi płytkami plac rozmiarów areny w amfiteatrze. Maven tłumaczy, że jest to *plac Cezara* nazwany na cześć pierwszego króla z jego dynastii. Julian wspominał coś o królu Cezarze, ale mówił o nim dość pobieżnie; podczas lekcji nie zdołaliśmy dojść dalej niż do Pierwszego Rozłamu, kiedy to czerwony i srebrny zaczęły oznaczać coś więcej niż nazwy kolorów.

Pałac Białego Ognia tworzy południową ścianę placu, który z pozostałych stron otaczają gmachy sądów, skarbnicy i administracji publicznej. Widząc oddział odbywający musztrę w rogu skweru, dochodzę do wniosku, że w jednym z budynków mieszczą się również koszary. To dowodzony przez Cala Legion Cienia, który przybył do miasta przed nami. „Ku pokrzepieniu serc arystokracji”, podsumował Maven. Na wypadek kolejnego zamachu wysłano za wewnętrzny mur elitarną jednostkę wojskową.

Pomimo późnej pory plac tętni życiem, tłum Srebrnych ciągnie w stronę sąsiadującego z koszarami budynku o surowym wyglądzie. Z kolumn zwisają czerwone i czarne sztandary ozdobione mieczem – symbolem wojska. Przed gmachem dostrzegam niewielkie podium, otaczające go reflektory rzucają snopy jasnego światła, a zebrana wokół niego ludzka ciżba gęstnieje z sekundy na sekundę.

Nagle spojrzenia kamer robią się cięższe niż te, do których przywykłam, zatrzymują się na naszym pojeździe i podążają za nim oraz za pozostałymi wehikułami jadącymi kolumną w stronę sceny. Na szczęście mijamy podium, przejeżdżamy przez kolejną bramę i zatrzymujemy się dopiero na niewielkim dziedzińcu.

– Co to takiego? – szepczę, chwytając Mavena za ramię. Do tej pory udawało mi się panować nad strachem, ale teraz, gdy zobaczyłam te wszystkie światła, kamery i zgromadzony tłum, spokój zaczyna mnie opuszczać.

Maven wzdycha ciężko i wydaje się przede wszystkim mocno podirytowany.

– Zapewne ojciec wygłasza przemówienie. Zwykle pobrzękiwanie szabelką, które zawsze uszczęśliwia masy. Nic nie raduje ich bardziej niż przywódca obiecujący zwycięstwo.

Maven wysiada i prowadzi mnie za sobą. Mimo że mam na sobie wytworny strój i makijaż, nagle czuję się zupełnie naga. „To orędzie będzie transmitowane w całym kraju. Obejrzą je tysiące, miliony ludzi”.

– Nie martw się, wystarczy po prostu stać i wyglądać srogo – szepcze mi na ucho.

– Zdaje się, że Cal opanował to do perfekcji. – Skinieniem głowy wskazuję naburmuszonego następcę tronu i wciąż przyklejoną do niego Evangeline.

Maven prycha.

– Uważa, że przemówienia to strata czasu. Cal woli czyny niż słowa.

„Czyli jest nas już dwoje”, ale nie chcę przyznać nawet sama przed sobą, że mogę mieć cokolwiek wspólnego ze starszym bratem Mavena. Może kiedyś tak mi się zdawało, ale teraz już przestało. I nigdy nie będzie.

Zaaferowany sekretarz przywołuje nas skinieniem. Ma na sobie szaty w niebiesko-szarych kolorach domu Macanthos. Być może znał panią pułkownik, może był jej bratem albo kuzynem. „Przestań, Mare. Nie możesz sobie pozwolić na to, by stracić zimną krew właśnie w tej chwili”. Sekretarz nie ma czasu choćby na nas spojrzeć, gdy zatrzymujemy się za Calem i Evangeline, aby zamknąć krótki pochód, na którego czele stoją król i królowa. O dziwo Evangeline nie jest tą samą co zwykle zdystansowaną i pewną siebie arystokratką; widzę, że jej dłonie drżą. „Boi się. Chciała się znaleźć w centrum uwagi, pragnęła zostać narzeczoną Cala, a teraz się boi. Jak to możliwe?”

W tym momencie ruszamy, wchodzimy do budynku, w którym roi się od wartowników i służby. Wewnątrz gmachu znajdują się nie wytworne salony obwieszane fantazyjnymi malowidłami, ale gabinety i sale posiedzeń wyposażone w biurka i mapy. Ludzie w szarych mundurach przemykają tam i z powrotem po korytarzach, ale zatrzymują się, żeby nas przepuścić. Większość drzwi jest zamknięta, udaje mi się jednak zerknąć do kilku pomieszczeń. W jednym dostrzegam oficerów i żołnierzy pochylonych nad wojskowymi mapami i sprzecających się na temat rozmieszczenia legionów. Inny buzuje potężną energią i wydaje się w nim mieścić sto ekranów wideo obsługiwanych przez żołnierzy w mundurach polowych. Żołnierze siedzą ze słuchawkami na uszach i rzucają do mikrofonów komendy, które odbierają ludzie w odległych zakątkach świata. Padają różne słowa, ale wszystkie znaczą to samo.

„Utrzymać pozycje”.

Cal zatrzymuje się na chwilę przed salą z monitorami, wyciąga szyję, żeby lepiej zobaczyć, ale nagle ktoś zamyka drzwi tuż przed jego nosem. Książę obrusza się, jednak nie protestuje i wraca do Evangeline. Narzeczona szepcze mu coś na ucho, ale on zbywa ją wzruszeniem ramion, co zauważam z niemałą radością.

Uśmiech z mojej twarzy znika dość szybko, ponieważ wychodzimy na zewnątrz prosto w oślepiające światła zalewające front budynku. Na odlanej z brązu tablicy zawieszanej obok drzwi wejściowych widnieje napis: „Dowództwo generalne”. Ten gmach to centrum dowodzenia – decydują się tu losy każdego żołnierza, każdej armii, każdego karabinu. Czuję skurcz żołądka na myśl, jaką władzę mają ludzie zebrani w tym budynku, jednak nie mogę stracić panowania nad sobą, nie na

oczach tłumy. Oślepiają mnie błyskające flesze aparatów fotograficznych. Kiedy się wzdrygam, w mojej głowie rozlega się głos.

Sekretarz wciska mi do ręki kartkę. Spoglądam na nią i z trudem powstrzymuję okrzyk. W końcu wiem, dlaczego mnie oszczędzono.

„Zaczynaj na siebie zarabiać”, słyszę w myślach szept Elary. Zerka na mnie, wychylając się zza Mavena, i wiem, że najchętniej wyszczerzyłaby teraz zęby w uśmiechu.

Maven podąża za jej triumfującym spojrzeniem i zauważa kartkę w mojej drżącej dłoni. Pomału oplata palcami moje palce, jak gdyby chciał przelać we mnie swoją siłę. W tym momencie niczego nie pragnę bardziej niż przedrzeć przekłętą kartkę na pół, ale Maven powstrzymuje mnie.

– Musisz – mówi głosem tak cichym, że ledwie słyszalnym. – Musisz.

*

– Moje serce boleje nad straconymi zyciami, jednakże wiem, że nie była to próżna ofiara. Rozlana krew podsyca ogień naszej determinacji i pomoże pokonać trudności, które nas czekają. Nasz kraj toczy wojnę, walczymy od stu lat i doskonale potrafimy się uporać z przeszkodami, które pojawiają się na naszej drodze. Ci ludzie zostaną znaleźni i przykładnie ukarani. Nie pozwolimy, aby choroba, którą oni nazywają buntem, toczyła nasze państwo.

Ekran wideo zamontowany w mojej nowej sypialni jest równie przydatny, jak łódź pozbawiona dna – w kółko nadaje orędzie, które król wygłosił zeszłego wieczoru, i robi mi się od tego niedobrze. Zdążyłam już nauczyć się tych słów na pamięć, ale nie potrafię przestać oglądać. Ponieważ wiem, kto wystąpi w drugiej kolejności.

Moja twarz na monitorze wygląda dziwnie, jest zbyt blada, zbyt oziębła. Wciąż trudno mi uwierzyć, że zdołałam zachować spokój, czytając tekst mojego przemówienia. Gdy wchodzę na podium, zajmując miejsce króla, nie drżą mi nawet ręce.

– Wychowałam się wśród Czerwonych. Uważałam się za jedną z nich. Na własnej skórze doświadczyłam łaski Jego Królewskiej Mości króla Tyberiasza, sprawiedliwego traktowania ze strony Srebrnych możnowładców oraz dobrodziejstw, które przynoszą przyznane nam liczne przywileje. Mamy prawo pracować, służyć naszemu krajowi i prowadzić dobre życie. – Na ekranie Maven kładzie dłoń na mojej ręce i skinieniem głowy przytakuje moim słowom. – Teraz jestem szlachetnie urodzoną Srebrną, potomkinią domu Tytaniusz, a pewnego dnia zostanę księżniczką Norty. Otwarłam oczy. Ujrzałam świat, o którego istnieniu nigdy nie śniłam, i wiem, że jest on niezwykły. I miłosierny. Ci terroryści, najpodlejsi z podłych morderców, usiłują zniszczyć podwaliny naszego narodu. Nie możemy do tego dopuścić.

Wiedząc, że w pokoju jestem bezpieczna, pozwalam sobie na ciężkie westchnienie. Zbliża się najgorsze.

– W swojej mądrości król Tyberiasz wprowadził Środki Bezpieczeństwa, które pozwolą zniszczyć załóżki choroby zwanej buntem i ochronić prawych obywateli naszego państwa. Środki te wyglądają następująco: od dzisiaj zostaje wprowadzona godzina policyjna dla wszystkich Czerwonych. We wszystkich Czerwonych miastach i wsiach zostanie podwojona liczba strażników. Wzdłuż dróg zostaną umieszczone nowe posterunki obsadzone kompletem załogi. Każde popełnione przez Czerwonych wykroczenie, łącznie z nieprzestrzeganiem godziny policyjnej, będzie karane śmiercią. Oprócz tego... – w tym momencie po raz pierwszy mój głos drży – wiek poborowy został *obniżony* do piętnastu lat. Każda osoba, która przekaze informacje prowadzące do ujęcia członków Szkarłatnej Gwardii lub zniweczenia jej planów, będzie nagrodzona zwolnieniem od obowiązku poboru dla pięciu członków rodziny.

Jest to przerażająco genialne posunięcie. Czerwoni będą się zabijać, żeby zdobyć te zwolnienia.

– Środki Bezpieczeństwa będą obowiązywać, dopóki choroba pod nazwą Szkarłatna Gwardia nie zostanie całkowicie opanowana i zlikwidowana. – Patrzę na siebie na ekranie, widzę, jak słowa przemowy z trudem przechodzą mi przez gardło, widzę swoje szeroko otwarte oczy i mam nadzieję, że mój lud wyczyta w nich niemą wiadomość, którą usiłuję przekazać. „Słowa mogą kłamać”. – Niech żyje król.

Targa mną gniew, ekran migocze i zamiast mojej twarzy wypełnia go czarna próżnia. Ja jednak wciąż mam przed oczami nowe rozkazy. Więcej patroli krążących po ulicach, więcej ciał zwisających z szubienic, więcej matek oplakujących zabrane im dzieci. „Zabiliśmy dwunastu z nich, a oni w odwecie zabijają tysiąc naszych”. W głębi duszy wiem, że te obostrzenia sprawią, iż niektórzy Czerwoni zdecydują się przejść na stronę Gwardii, jednak dużo więcej postanowi podporządkować się królowi. Żeby ocalić życie, żeby ocalić życie swoich *dzieci*, oddadzą resztki wolności, jakie im zostały.

Sądziłam, że los marionetki nie jest taki zły. Bardzo się myliłam. Nie mogę jednak pozwolić, aby mnie złamali. Nie teraz, kiedy zbliża się mój własny kres. Muszę jak najlepiej wykorzystać te ostatnie chwile, zanim odnajdą moją próbkę krwi i gra się skończy. Zanim wyciągną mnie z pałacu i zabiją.

O tyle dobrze, że okna mojej sypialni wychodzą na południe, w stronę morza. Gdy wpatruję się w wodę, potrafię zapomnieć o przyszłości, której nie mam. Biegnę wzrokiem za wartkim nurtem rzeki ciągnącej się po sam horyzont przysłonięty smugą cienia. Chociaż niebo jest czyste, na jego południowym skraju kłębią się ciemne chmury od wieków wiszące nad zakazaną ziemią nieopodal wybrzeża. „Miasto Ruin”. Wieki temu promieniowanie i płomienie pochłonęły tę niegdyś wspaniałą metropolię i nigdy już nie zwróciły jej ludziom. Stała się ciemnym widmem unoszącym się na krawędzi naszego świata, pozostałością po dawnych czasach.

Jakaś część mnie pragnie, żeby w tym momencie do drzwi zastukał Lucas i przynaglił mnie do

wypełniania obowiązków wynikających z nowego planu dnia, jednak strażnik jeszcze nie wrócił. Przypuszczam, że lepiej dla niego, jeśli nie będzie musiał narażać dla mnie życia.

Pod ścianą stoi upominek od Juliana, kolejna pamiątka po utraconym przyjacielu. Jest to fragment wielkiej mapy, oprawiony i schowany za szkłem. Kiedy go podnoszę, coś, co leżało za ramą, z łoskotem osuwa się na podłogę.

„Wiedziałam”.

Serce zaczyna mi łomotać, gdy opadam na kolana, licząc, że znajdę jakąś tajemną wiadomość od dawnego nauczyciela. Jednak na posadzce leży tylko zwykła książka.

Choć ogrania mnie rozczarowanie, nie potrafię powstrzymać się od uśmiechu. Oczywiście, co innego mógł mi podarować Julian, jeśli nie kolejną opowieść, kolejne drukowane słowa, które przyniosą mi pociechę w chwili, gdy on już nie będzie mógł tego robić.

Otwieram okładkę, spodziewając się przeczytać początek jakiejś historii, jednak zamiast tego z tytułowej karty spoglądają na mnie trzy odręcznie napisane słowa. „Czerwony i srebrny”. Poznaję charakterystyczne pełne zawijasów pismo Juliana.

Spojrzenia kamer zamontowanych w pokoju kłują mnie w plecy, przypominając, że nie jestem sama. Julian o tym wiedział. „Genialny Julian”.

Książka wygląda zwyczajnie, jest to nudne opracowanie znalezisk archeologicznych w Delphie, jednak między słowami tą samą czcionką ukryto sekretną wiadomość. Mija wiele minut, zanim udaje mi się odnaleźć każdy dodany wyraz, i cieszę się, że obudziłam się dzisiaj wcześniej. Gdy w końcu odnajduję je wszystkie, z wrażenia zapominam zaczerpnąć powietrza.

Dane Davidson, Czerwony, żołnierz, Legion Burzy, zginął podczas patrolu, ciała nie odnaleziono. 1 sierpnia 296 roku n.e. Jane Barbaro, Czerwony, żołnierz, Legion Burzy, zginął od ognia swoich, ciało skremowano. 19 listopada 297 roku n.e. Pace Gardner, Czerwony, żołnierz, Legion Burzy, stracony za niesubordynację, ciało zaginęło. 4 czerwca 300 roku n.e.

Imion i nazwisk jest o wiele więcej, podane daty śmierci mieszczą się w okresie ostatnich dwudziestu lat, a wszystkie ciała zmarłych albo zostały skremowane, albo nie zostały odnalezione, albo „zaginęły”. Nie mam pojęcia, jak to możliwe, żeby zaginęło ciało człowieka straconego w egzekucji. Gdy czytam imię widniejące na końcu listy, oczy zachodzą mi łzami.

Shade Barrow, Czerwony, żołnierz, Legion Burzy, stracony za dezercję, ciało skremowano. 27 lipca 319 roku n.e.

Po tej informacji zaczynają się słowa spisane przez Juliana i czuję się tak, jak gdyby nauczyciel siedział koło mnie i znów powoli i spokojnie udzielał mi kolejnych nauk.

Zgodnie z prawem wojskowym wszyscy Czerwoni żołnierze są chowani na cmentarzach w Duszni. Żołnierze, na których dokonano egzekucji, nie mają prawa do pochówku i spoczywają

w zbiorowych grobach. Kremacja nie jest powszechnie stosowana. Do zaginięć ciał nie dochodzi. Mimo to znalazłem dwadzieścia siedem nazwisk, dwudziestu siedmiu żołnierzy, między innymi Twojego brata, których spotkał ten los.

Wszyscy zginęli podczas patrolu, zostali zabici przez Lakelandczyków lub przez własny oddział, albo też straceni na podstawie nieudowodnionych zarzutów. Wszystkich na kilka tygodni przed śmiercią przeniesiono do Legionu Burzy. I wszystkie ciała zostały zniszczone lub miejsce ich pochówku nie jest znane. Dlaczego? Legion Burzy to nie pluton egzekucyjny – służą w nim setki Czerwonych pod dowództwem generała Eagrie i nie spotyka ich tajemniczy koniec. Co zatem kryje się za śmiercią tych dwudziestu siedmiu żołnierzy?

Choć raz ucieszyłem się z faktu istnienia bazy krwi. Mimo że niektórzy z wymienionych na liście od dawna nie żyją, próbki ich krwi przetrwały. Teraz zaś muszę prosić Ciebie, Mare, o wybaczenie, ponieważ nie byłem z Tobą do końca szczery. Zaufałaś mi, uwierzyłaś, że Cię wyszkolę, że Ci pomogę, i chociaż wywiązałem się z danego słowa, pozwoliłem sobie zaspokajać swoją ciekawość. Jestem człowiekiem z natury ciekawym, a Ty jesteś najbardziej osobliwym zjawiskiem, na jakie kiedykolwiek się natknąłem. Nie potrafiłem się powstrzymać. Porównałem próbkę Twojej krwi z ich próbkami i odkryłem, że znajduje się w nich identyczny znacznik, który wyróżnia Was spośród innych.

Nie jestem zdumiony, że nikt tego nie odkrył wcześniej, ponieważ nigdy nie przeprowadzono analizy pod tym kątem. Teraz jednak, gdy wiedziałem, czego szukam, łatwo było mi to odnaleźć. Twoja krew jest Czerwona, ale nie jest taka sama jak u pozostałych. Jest w niej coś nowego, coś, z czym nie spotkano się nigdy wcześniej. To coś znajdowało się również we krwi dwudziestu siedmiu osób z listy. Mutacja, zmiana, która może być kluczem do Twojej tożsamości.

Nie jesteś jedyna, Mare. Nie jesteś sama. Jesteś po prostu pierwsza, której udało się przeżyć dzięki temu, że Twoje zdolności widziało tysiące osób; jesteś pierwszą, której nie mogli zabić, a ciała ukryć. Podobnie jak tamci, których zabito, jesteś zarówno Czerwona, jak i Srebrna, i silniejsza od jednych i drugich.

Sądzę, że jesteś przyszłością. Sądzę, że jesteś świtem nowego dnia.

I skoro było przed Tobą dwudziestu siedmiu Tobie podobnych, muszą istnieć inni. Musi Was być więcej.

Czuję się jak sparaliżowana, jak odrętwiała, czuję wszystko i nic. „Inni tacy jak ja”.

Po wyizolowaniu mutacji występującej w Twojej krwi przeszukałem bazę krwi, aby znaleźć ten sam znacznik w innych próbkach. Listę osób, którą sporządziłem w wyniku tych poszukiwań, załączam poniżej do Twojej wiadomości.

Wiem, że nie muszę Ci tłumaczyć, jak ważna jest ta lista, jakie może mieć znaczenie dla Ciebie i reszty świata. Przekaż ją komuś zaufanemu, znajdź pozostałych, ochroń ich i wyszkol, ponieważ to tylko kwestia czasu, zanim ktoś mniej przyjazny ode mnie odkryje to samo – i wytropi ich wszystkich.

Na tym kończą się słowa Juliana, po nich zaś zaczynają się nazwiska i miejsca. Gdy na nie spoglądam, ręce zaczynają mi drżeć. Jest ich tak wielu, wszyscy tylko czekają, żeby ich odnaleźć. Wszyscy tylko czekają, żeby włączyć się do walki.

Czuję, jak głowa mi płonie. „Inni. Więcej”. Przed oczami przewijają mi się słowa Juliana, zapadając coraz głębiej w serce.

„Silniejsi niż jedni i drudzy”.

*

Niewielką książkę chcę mieć jak najbliżej siebie, wsuwam ją więc do wewnętrznej kieszeni marynarki, do której pasuje jak ulał. Zanim jednak zdążam dotrzeć do Mavena i podzielić się z nim odkryciem Juliana, znajduje mnie Cal. Zastaje mnie samą w salonie podobnym do tego, w którym tańczyliśmy, chociaż nie wypełniają go dźwięki muzyki ani blask księżyca. Kiedyś pragnęłam wziąć od niego wszystko, co może mi dać, ale teraz na sam jego widok przewracają mi się wnętrzności. Cal dostrzega odrazę na mojej twarzy, mimo że staram się ją ukryć.

– Jesteś na mnie zła – bardziej oznajmia niż pyta.

– Nie jestem.

– Nie kłam – warczy, a w jego oczach nagle zapala się ogień. „Kłamię od dnia, w którym się poznaliśmy”. – Dwa dni temu całowałaś mnie, a teraz nie możesz nawet na mnie patrzeć.

– Jestem zaręczona z twoim bratem – odpowiadam, cofając się.

Niecierpliwym gestem zbywa moje tłumaczenie.

– Wcześniej to cię nie powstrzymywało. Co się zmieniło?

„Zobaczyłam, kim naprawdę jesteś – chcę wykrzyczeć mu w twarz. – Nie jesteś łagodnym wojownikiem, idealnym księciem czy choćby zagubionym chłopcem, którego udajesz. Chociaż starasz się z tym walczyć, jesteś taki sam jak cała reszta Srebrnych”.

– Chodzi o terrorystów?

Zaciskam szczęki, zęby zgrzytają boleśnie.

– Buntowników.

– Mordują dorosłych, dzieci, niewinnych ludzi.

– Oboje wiemy, że to nie ich wina – odwarkuję, nie zastanawiając się, jak okrutne są moje słowa.

Cal wzdryga się, zdumienie na moment odbiera mu mowę. Blednie na wspomnienie Szkarłatnej Masakry i przypadkowego wybuchu, który nastąpił zaraz potem. Jednak chwila słabości mija i

powoli zastępuje ją narastający gniew.

– Tak czy inaczej to była ich sprawka – cedzi. – To, co zrobiłem, co kazałem zrobić tej wartownicze, było pomszczeniem zmarłych, wymierzeniem sprawiedliwości.

– I co ci przyszło z tortur? Poznałeś ich imiona, dowiedziałeś się, ilu ich jest, albo usłyszałeś, czego *chcą*? Czy w ogóle słuchałeś, co mają do powiedzenia?

Wzdycha, usiłując uratować naszą rozmowę.

– Wiem, że masz swoje powody, żeby im... *współczuć*, ale ich metody są...

– Ich metody to wasza вина. To wy zmuszacie nas do pracy, do tego, żebyśmy się wykrwawiali, umierali na waszych wojnach, w waszych fabrykach za wygody i luksusy, których nawet nie zauważacie. A wszystko dlatego, że jesteśmy *inni*. I ty oczekujesz, że będziemy na to pozwalać?

Cal porusza się niespokojnie, mięsień w jego policzku drga. Nie znajduje odpowiedzi na moje pytanie.

– Nie zdycham w jakimś okopie tylko dlatego, że ulitowałeś się nade mną. I nawet teraz wysłuchujesz mnie tylko dlatego, że jakimś niepojętym cudem okazałam się jeszcze bardziej inna niż pozostali.

Powoli iskry gromadzą się w mojej dłoni. Nie wyobrażam sobie powrotu do życia, w którym mojego ciała nie wypełniała moc, ale oczywiście doskonale je pamiętam.

– Możesz to powstrzymać, Cal. Będiesz królem i możesz zakończyć wojnę, ocalić tysiące, *miliony* ludzi od czegoś, czego nie można nazwać inaczej niż niewolnictwem. Wystarczy, że powiesz: „dość”.

Coś w nim pęka, gasząc ogień, który tak bardzo stara się ukryć. Podchodzi do okna, ręce spleta za sobą. Wschodzące słońce oblewa blaskiem jego twarz, plecy jednak pozostają w cieniu i kiedy tak stoi, wydaje się rozdarty między dwoma światami. W głębi serca wiem, że tak rzeczywiście jest. Jakaś częśćka mnie nadal darzy go uczuciem i pragnie przerzucić most nad przepaścią, która wyrosła między nami, jednak daleko mi do naiwnej wiary w cuda. Nie jestem głupiotką, beznadziejnie zakochaną dziewczynką.

– Kiedyś myślałem podobnie – zaczyna cicho. – Jednak to wywołałoby bunt obydwu stron, a ja *nie* chcę być królem, który doprowadzi ten kraj do ruiny. To moje dziedzictwo, dziedzictwo mojego ojca i mam wobec niego zobowiązania. – Emanuje z niego fala gorąca, przez którą okienna szyba pokrywa się parą. – Czy ich żądania są warte milionów zabitych?

„Miliony zabitych”. Przed oczami stają mi zwłoki Belicosa Lerolana i leżące obok martwe ciało jego dzieci. Po chwili pokazują mi się inne twarze nieżyjących już osób – oblicze Shade’a, ojca Kilorna, każdego Czerwonego żołnierza, który zginął na wojnie Srebrnych.

– Szkarłatna Gwardia się nie zatrzyma – mówię cicho, choć wiem, że on właściwie mnie już nie

słucha. – I mimo że to oni są odpowiedzialni za zamachy, wy również jesteście temu wszystkiemu winni. Masz na rękach krew, księżę. – „Maven także. I ja też”, myślę.

Zostawiam go samego w nadziei, że moje słowa dadzą mu choć trochę do myślenia, ale wiem, iż szanse na to są znikome. Jest synem swojego ojca.

– Julian zniknął, prawda?! – woła za mną, a ja nieruchomieję.

Odwracam się pomału, zastanawiając się, co odpowiedzieć.

– Zniknął? – Postanawiam udąć zdziwienie.

– Wartownicy pełniący służbę w noc ucieczki mają luki w pamięci, podobne białe plamy znajdują się w zapisach kamer. Wuj nieczęsto używa swoich umiejętności, ale potrafię rozpoznać te wskazówki.

– Myślisz, że pomógł im uciec?

– Tak – odpowiada z trudem, po czym spuszcza wzrok i ogląda swoje ręce. – Dlatego dałem mu dość czasu, żeby zdążył się wymknąć.

– Co zrobiłeś? – Nie wierzę własnym uszom. Cal, żołnierz, który zawsze wypełnia rozkazy, łamie zasady, aby uratować swojego wuja.

– To mój wujek, zrobiłem dla niego, co mogłem. Naprawdę masz mnie za człowieka bez serca? – Uśmiecha się smutno, po czym ciągnie, nie czekając na odpowiedź, a mi ściska się serce. – Na tyle, na ile zdołałem, opóźniłem wydanie nakazu aresztowania, ale nikt nie może zniknąć bez śladu i królowa w końcu go znajdzie – wzdycha, opierając dłoń o szybę. – A wtedy zostanie stracony.

– Zrobiłbyś to własnemu wujowi? – Nie silę się na to, żeby ukryć odrazę, która maskuje mój strach. „Jeśli zabije Juliana, po tym jak pozwolił mu uciec, co zrobi ze mną, kiedy wszystko się wyda?”

Ramiona Cala napinają się, gdy prostuje plecy i z powrotem staje się żołnierzem. Nie chce już słyszeć ani słowa więcej o Julianie czy Szkarłatnej Gwardii.

– Maven przedstawił interesującą propozycję.

„Tego się nie spodziewałam”.

– Tak?

Przytakuje dziwnie rozbawiony wzmianką o swoim bracie.

– Mavey zawsze był sprytny. Odziedziczył to po matce.

– Chcesz mnie przestraszyć? – Wiem lepiej niż ktokolwiek inny, że Maven w niczym nie przypomina matki ani żadnego innego cholernego Srebrnego. – Co usiłujesz mi powiedzieć, Cal?

– Mają cię na widelcu – wyrywa mu się. – Po transmisji twojego przemówienia cały kraj zna twoje imię i twoją twarz. Wielu zacznie się zastanawiać, kim albo czym jesteś.

Pochmurnieję i wzruszam ramionami.

– Może trzeba było pomyśleć o tym, zanim kazaliście mi odczytać tę ohydną przemowę.

– Jestem żołnierzem, nie politykiem. Wiesz, że nie mam nic wspólnego ze Środkami

Bezpieczeństwa.

– Ale będziesz się do nich stosował. Będziesz się do nich stosował, nie pytając o nic.

Nie zaprzecza. Pomimo wszystkich swoich wad Cal nie kłamie. Przynajmniej nie teraz.

– Usunięto wszystkie twoje dane. Oficerowie, archiwiści, *nikt* nigdy nie znajdzie dowodu na to, że urodziłaś się Czerwoną – szepcze z oczami wbitymi w podłogę. – Wymyślił to Maven.

Pomimo gniewu, który wciąż mnie wypełnia, wydaję stłumiony okrzyk. „Baza krwi. Archiwa”.

– Co to oznacza? – Nie panuję nad drżącym głosem.

– Szkolne arkusze ocen, świadectwo urodzenia, próbki krwi, nawet karta identyfikacyjna zostały zniszczone. – Serce łomocze mi tak głośno, że prawie zagłusza głos Cala.

Kiedyś rzuciłabym mu się na szyję ze szczęścia. Muszę jednak zachować spokój. Nie mogę pozwolić, żeby poznał, iż znów mnie ocalił. „Nie, to nie Cal mnie ocalił”. To zasługa Mavena. Cień zapanował nad płomieniem.

– Zdaje się, że to rozsądne rozwiązanie – oświadczam, siląc się na obojętny ton.

Jednak nie potrafię długo udawać. Składam sztywny ukłon, po czym niemal wybiegam z pokoju, żeby ukryć szaloną radość malującą się na mojej twarzy.

ROZDZIAŁ 24

Prawie cały następny dzień spędzam na zwiedzaniu, chociaż myślami jestem nieobecna. Pałac Białego Ognia jest starszy od letniej rezydencji, jego mury wykonano nie z diamentowego szkła, ale z kamienia i rzeźbionego drewna. Wątpię, czy kiedykolwiek poznam rozkład całego kompleksu, ponieważ mieszczą się w nim nie tylko królewskie apartamenty, ale również kancelarie, sale posiedzeń, sale balowe, teren treningowy i wiele innych obiektów, których przeznaczenie nie do końca jest dla mnie jasne. Zdaje się, że właśnie dlatego zaaferowany sekretarz biega po pałacu niemal pół godziny, zanim natyka się na mnie w galerii posągów. Ale nie będzie więcej czasu na zwiedzanie. Czekają mnie obowiązki.

Od gadatliwego urzędnika dowiaduję się, że moje obowiązki nie będą aż tak niegodziwe jak odczytywanie Środków Bezpieczeństwa, jednak wydają się równie uciążliwe. Jako przyszła księżniczka muszę spotykać się z ludźmi podczas zorganizowanych uroczystości, przemawiać publicznie, ścisnąć mnóstwo rąk i dzielnie trwać u boku Mavena. Nie mam nic przeciwko temu ostatniemu, ale myśl, że będę musiała paradować przed tymi wszystkimi ludźmi niczym koza wystawiona na sprzedaż, nie napawa mnie radością.

Wsiadam do pojazdu, w którym już czeka na mnie narzeczony, i wspólnie wyruszamy na pierwszy występ. Chciałabym jak najszybciej powiedzieć mu o liście i podziękować za załatwienie sprawy z bazą krwi, ale wokoło nas jest zbyt wiele oczu i uszu.

Dzień mija w zawrotnym tempie, odwiedzamy różne części miasta i przez cały czas otacza mnie kolorowy wir twarzy i głosów. Targ na Moście przypomina Wielkie Ogrody, chociaż jest od nich trzy razy większy. Gdy zgodnie z planem poświęcamy pełną godzinę na witanie się z dziećmi i sklepikarzami, na każdym kroku widzę Srebrnych popychających i obrażających Czerwonych służących, którzy usiłują wykonywać swoją pracę. Strażnicy nie pozwalają, aby doszło do linczu, jednak rzucane obelgi są niemal tak samo bolesne jak ciosy. „Dzieciobójcy, zwierzęta, diabły”. Maven trzyma mnie za rękę i ścisną ją mocno za każdym razem, gdy kolejny Czerwony zostaje powalony na ziemię. Z ulgą przyjmuję informację, że następnym przystankiem jest galeria sztuki, i cieszę się, iż choć na chwilę będę mogła się schować przed tłumem. Zadowolenie jednak szybko

mija, kiedy po wejściu do galerii mój wzrok pada na kilka pierwszych obrazów. Srebrny artysta przy użyciu dwóch kolorów, srebrnego i czerwonego, stworzył przerażającą serię malowideł, na których widok robi mi się niedobrze. Każdy kolejny obraz jest gorszy od poprzedniego i przedstawia silnych Srebrnych dominujących nad słabymi Czerwonymi. Na ostatnim płótnie widnieje szarosrebrna postać podobna do ducha, a z korony na jej czole sączy się szkarłatna smużka krwi. Widząc to, mam ochotę walić głową w ścianę.

Na placu przed galerią panuje zgiełk i zamęt miejskiego życia. Wielu przechodniów przystaje i gapi się na nas, gdy wracamy do pojazdu. Maven macha na prawo i lewo z przyklepionym do twarzy uśmiechem, a zachwyceni ludzie wiwatują na jego cześć. Potrafi owinać ich sobie wokół palca, ale nic dziwnego, w końcu z nich się wywodzi. Kiedy się pochyla, żeby porozmawiać z grupką dzieci, jego uśmiech robi się jeszcze bardziej promienny. „Calowi przysługuje tytuł władcy, ale to Maven jest stworzony do tej roli. I to Maven jest gotowy zmienić świat dla nas, dla Czerwonych, którymi od kołyski uczono go pogardzać”.

Ukradkiem dotykam schowanej w kieszeni listy i moje myśli wędrują do tych, którzy mogą pomóc Mavenowi i mnie zmienić świat. Czy są tacy sami jak ja, czy może różnią się między sobą tak jak różnią się od siebie Srebrni? „Shade był jak ja. Dowiedzieli się o nim wszystkiego i musieli go zabić, mnie jednak nie mogli”. Serce pęka mi z żalu, gdy myślę o zmarłym bracie, o rozmowach, które moglibyśmy toczyć. „O przyszłości, którą moglibyśmy stworzyć”.

Shade nie żyje, ale istnieją inni, którzy potrzebują mojej pomocy.

– Powinniśmy znaleźć Farley – przykładam wargi do ucha Mavena i mówię niemal bezgłośnie szepem. On jednak doskonale mnie słyszy i unosi pytająco brew. – Muszę jej coś dać.

– Jestem pewien, że sama nas znajdzie – odpowiada równie cicho. – Możliwe, że już nas obserwuje.

– Co...?

Farley miałyby *nas* szpiegować? W mieście, którego każdy mieszkaniec udusiłby ją gołymi rękami? Wydaje się to niemożliwe. Jednak w tym momencie zauważam, że na obrzeżach tłumu Srebrnych oblegających Mavena i przy okazji mnie uwijają się Czerwoni służący. Kilku staje, aby nam się przyjrzeć, na ich rękach widnieją czerwone bransolety. Jeden z nich może pracować dla Farley. „Wszyscy oni mogą pracować dla niej”. Mimo że wokoło roi się od wartowników i strażników, Farley cały czas jest tuż przy nas.

Pozostaje jedynie znaleźć *odpowiedniego* Czerwonego, przekazać mu *odpowiednią* wiadomość, znaleźć *odpowiednie* miejsce i zrobić to wszystko w taki sposób, aby nikt nie spostrzegł, że księżę i jego narzeczona porozumiewają się z poszukiwanymi terrorystami.

Tutaj sprawy wyglądają inaczej niż na rynku w Palach, gdzie mogłam z łatwością prześlizgiwać

się w tłumie niezauważona. W stolicy wyróżniam się, jestem przyszłą księżniczką poruszającą się w eskorcie strażników i odpowiedzialną za losy buntu. „A może i za coś jeszcze większego”, przechodzi mi przez głowę, gdy przypominam sobie listę nazwisk ukrytą w kieszeni marynarki.

Zebrani wokoło Srebrni napierają, chcąc nam się lepiej przyjrzeć, korzystam więc z powstałego zamieszania i się wymykam. Wartownicy przysuwają się bliżej Mavena, wciąż jeszcze nie przywykli do tego, że mają ochraniać również mnie. Wystarcza kilka zgrabnych ruchów, aby wyslizgnąć się z ludzkiej gromady i znaleźć nieco na uboczu. Straże i gapie idą dalej beze mnie, a jeśli Maven zauważy moje zniknięcie, nie wszczyna alarmu.

Czerwoni służący nie pozdrawiają mnie, przemykają od sklepu do sklepu z nisko pochylonymi głowami. Trzymają się blisko ścian, czmychają w boczne uliczki, usiłując nie rzucać się w oczy. Jestem tak bardzo zajęta wypatrywaniem na placu twarzy Czerwonych, że nie zauważam tej, która pojawia się tuż obok mojego łokcia.

– Wielmożna pani, upuściła to pani – mówi chłopiec. Ma jakieś dziesięć lat, na rękę nosi czerwoną opaskę. – Wielmożna pani?

Dopiero w tej chwili zauważam karteczkę, którą trzyma w dłoni. Spoglądam na zwinięty skrawek papieru i nie przypominam sobie, żebym coś takiego miała przy sobie. Mimo to uśmiecham się do chłopca i biorę od niego karteczkę.

– Dziękuję ci bardzo.

Uśmiecha się do mnie szeroko, tak jak tylko dzieci potrafią się uśmiechać, po czym śmiga przez plac w boczną uliczkę, a biegnąc, podskakuje. Życie nie zdążyło go jeszcze przytłoczyć swoim ciężarem.

– Tędy, panno Tytaniusz. – Nade mną stoi wartownik, przygląda mi się beznamiętnym wzrokiem. „No i nici z mojego planu”. Pozwalam mu zaprowadzić się do pojazdu, ogarnia mnie zniechęcenie. Nie potrafię się nawet wykraść tak jak kiedyś. „Robię się miękka”.

– Co się stało? – pyta Maven, gdy siadam obok niego w pojeździe.

– Nic – wzdycham, wyglądając przez okno na plac, który powoli zostaje za nami. – Myślałam, że zobaczyłam znajomą twarz.

Dopiero gdy skręcamy i skwer znika za rogiem budynku, przypominam sobie o karteczce schowanej za mankietem rękawa. Wyjmuję ją, kładę na kolanach i rozwijam. Słowa, które na niej widnieją, są nabazgrane tak drobnym maczkiem, że z trudem udaje mi się je odczytać.

Teatr Hexaprin. Popołudniowe przedstawienie. Najlepsze miejsca.

Nie szkodzi, że rozumiem zaledwie połowę wiadomości. Z uśmiechem wciskam ją Mavenowi w dłoń.

Wystarczy jedno słowo Mavena, abyśmy skręcili w ulicę wiodącą do teatru. Mieści się on w niewielkim, ale wytwornym budynku o zielonym kopulastym dachu zwieńczonym rzeźbą czarnego łabędzia. To miejsce przeznaczone do rozrywki, odbywają się tu występy, koncerty, a nawet pokazy archiwalnych filmów urządzone przy specjalnych okazjach. Przedstawienie, jak wytłumaczył mi Maven, to widowisko, podczas którego ludzie, *aktorzy*, odgrywają na scenie jakąś historię. W domu nie starczało nam czasu i sił na opowiadanie bajek na dobranoc, a o scenach, aktorach i kostiumach nawet nam się nie śniło.

Zanim się spostrzegam, siedzimy na zabudowanym balkonie zawieszonym naprzeciwko sceny. Miejsca pod nami są zajęte co do jednego przez Srebrnych, w większości z dziećmi. W przejściach między rzędami przemykają Czerwoni, którzy są tu tylko po to, żeby roznosić napoje albo sprawdzać bilety. Nie mogą sobie pozwolić na luksus zajęcia miejsca na widowni. Tymczasem my siedzimy na wyściełanych aksamitem fotelach, z których rozciąga się doskonały widok na całą scenę. Zasunięta kotara za nami zasłania drzwi, pod którymi sterczą sekretarz i wartownicy.

Gdy światła w teatrze gasną, Maven zarzuca mi rękę na ramię i przyciąga mnie tak blisko, że czuję bicie jego serca. Zza kotary wysuwa głowę sekretarz, a wtedy Maven uśmiecha się do niego znacząco.

– Proszę nam nie przeszkadzać – oznajmia, po czym odwraca do siebie moją twarz.

Drzwi za nami zamykają się na klucz, ale my nie odsuwamy się od siebie. Po minucie, a może po godzinie, głosy na scenie sprowadzają nas z powrotem na ziemię.

– Przepraszam – szepczę do Mavena, po czym wstaję, żeby choć trochę oddalić się od niego. Nie pora teraz na pieszczoty, choćbym nie wiem jak bardzo była ich spragniona. Maven uśmiecha się tylko i patrzy na mnie zamiast na aktorów. Staram się skierować spojrzenie w drugą stronę, ale coś sprawia, że ja także spoglądam na niego.

– Co teraz robimy?

Książę wybuch cichym śmiechem, w jego oczach pojawia się figlarny błysk.

– Nie to miałam na myśli. – Ale nie mogę się powstrzymać, żeby również się nie roześmiać. –

Rozmawiałam dziś z Calem.

Maven zaciska usta i napina się.

– No i?

– Wygląda na to, że jestem uratowana.

Uśmiech, który wypływa mu na twarz, mógłby rozświetlić cały świat, i znów mam ochotę go pocałować.

– Mówiłem ci, że tego dokonam – odpowiada zaskakująco ostrym tonem. Gdy wyciąga rękę i chwyta mnie za dłoń, nie opieram się.

Zanim jednak zdążymy zrobić cokolwiek więcej, deska w suficie przesuwają się z szuraniem. Maven, jeszcze bardziej zdumiony niż ja, zrywa się na nogi, unosi głowę i wbija wzrok w czarną dziurę nad nami. Nie dobiega nas z góry nawet najcichszy szept, ale mimo to wiem, co robić. Dzięki treningom nabrałam siły, więc z łatwością się podciągamy i znikamy w ciemnym i zimnym otworze. Nie widzę nikogo ani niczego, nie odczuwam jednak strachu, jedynie podekscytowanie. Z uśmiechem wyciągam rękę w dół, żeby pomóc Mavenowi. Książę gramoli się na górę i rozgląda w mroku, usiłując rozeznaczyć się w położeniu. Zanim nasze oczy przyzwyczajają się do ciemności, deska wsuwa się z powrotem na miejsce, zasłaniając światło, scenę i widownię pod nami.

– Po cichu i szybko. Zbieramy się stąd.

Rozpoznaję nie głos, ale zapach: dławiącą woń herbaty, starych przypraw i niebieskiej świeczki.

– Will? – Głos niemal mi się załamuje. – Will Pukawka?

Powoli zaczynam przywykać do ciemności, w których dostrzegam zarys białej brody, jak zwykle splątanej. To bez wątpienia on.

– Nie pora padać sobie w objęcia, Barrow – mówi Will. – Trzeba brać się do roboty.

Nie mam pojęcia, w jaki sposób Will dotarł z Palów aż tutaj, ale jeszcze większą zagadką jest dla mnie jego gruntowna znajomość budynku teatralnego. Mój stary przyjaciel prowadzi nas przejściem nad sufitem, następnie w dół po drabinach i schodach, aż w końcu docieramy do kłapy w podłodze. Przez cały czas rozbrzmiewają wokoło niesione echem dźwięki sztuki odgrywanej na deskach teatru. Wkrótce znajdujemy się pod ziemią, w korytarzu wzmocnionym ceglаныmi słupami i metalowymi dźwigarami umieszczonymi w stropie wysoko nad naszymi głowami.

– Wy chyba kochacie dramatyzm – mruczy pod nosem Maven, omiatając spojrzeniem pogrążony w półmroku tunel. Przypomina on ciemną i wilgotną kryptę, z której zakamarków w każdej chwili może wychynąć jakaś potworność.

Will parska śmiechem i popycha ramieniem metalowe drzwi.

– Poczekacie, zobaczycie.

Wędrujemy wąskim opadającym coraz bardziej stromo korytarzem, w którym zalatuje ściekami. Ku mojemu zdumieniu kończy się on niewielkim podestem oświetlonym samotną pochodnią. Jej płomień rzuca dziwne cienie na niszczącą ścianę wyłożoną połamanymi kafelkami. Znajdują się na nich czarne oznaczenia, litery, ale inne niż te pochodzące z dawnego języka, które widziałam w księgach.

Zanim zdążę o nie zapytać, murami wokoło nas wstrząsa przeraźliwy zgrzyt. Dobiega z mrocznej czeluści okrągłego otworu widniejącego w jednej ze ścian. Wystraszony niespodziewanym hałasem Maven chwyta mnie za rękę, a ja, równie przerażona, ściskam ją mocno. Okropny dźwięk metalu ocierającego się o metal, od którego mało nie pękną nam bębenki, rozlega się coraz bliżej. Z tunelu

wyłaniają się jasne światła i czuję, że zbliża się do nas coś dużego, potężnego i napędzanego energią elektryczną.

Naszym oczom ukazuje się stalowy robak, który hamuje i zatrzymuje się przed nami. Jego kadłub jest wykonany z surowego metalu zespawanego i połączonego nitami, poznaczony oknami przypominającymi szpary. Zawieszane na przewodnicy drzwi odsuwają się ze zgrzytem i ciepły blask z wnętrza zalewa nasz podest.

Siedząca w środku Farley uśmiecha się i skinieniem ręki zaprasza nas do siebie.

– Proszę wsiadać! – Gdy niepewnie zajmujemy wskazane miejsca, mówi: – Technicy nazywają to podziemnym pociągiem. Jest niesamowicie szybki i jeździ po ułożonych wieki temu torach, których Srebrni nie odkryli, ponieważ nigdy nawet nie chciało im się poszukać.

Will zasuwa za nami drzwi, zamykając nas w czymś, co przypomina długą blaszaną puszkę. Zapewne byłabym pod ogromnym wrażeniem, gdybym nie zajmowała się teraz wyobrażaniem sobie rozmaitych sposobów, w jakie można stracić życie w tym podziemnym wehikule. Nie potrafię jednak się uwolnić od natrętnych myśli i mocno zaciskam dłonie na krawędzi siedzenia.

– Gdzie to skonstruowaliście? – Zastanawia się głośno Maven, rozglądając się szeroko otwartymi oczami po wnętrzu nieszczęsnej maszyny. – Szare Miasto jest pod nadzorem, technicy pracują dla...

– Mamy własnych techników i własne miasta, drogi książę – odpowiada Farley z dumą. – Wy, Srebrni, wiecie o Gwardii tyle, co kot napłakał.

Gwałtowne szarpnięcie pociągu niemal zrzuca mnie z siedzenia, ale nikt poza mną nawet nie mrugnie. Pojazd sunie coraz szybciej, dopóki nie osiąga prędkości, która sprawia, że żołądek przywiera mi do kręgosłupa. Pozostali cały czas rozmawiają, najbardziej gadatliwy jest Maven wypytujący o pociąg i Gwardię. Cieszę się, że nikt mnie nie zagaduje, ponieważ z pewnością zwymiotowałabym, gdybym musiała zmusić się do wysiłku większego niż kurczowe trzymanie się siedzenia. Mavenowi jednak nic nie dolega. Jest twardy.

Wygląda przez okno i najwyraźniej dostrzega coś w rozmazanej pędem skale.

– Zmierzamy na południe.

Farley rozsiada się wygodniej i potwierdza.

– Owszem.

– Południe jest napromieniowane – rzuca Maven i świdruje ją wzrokiem.

Wojowniczką nieznacznie wzrusza ramionami.

– Dokąd nas wieziecie? – pytam cicho, w końcu decydując się odezwać.

Maven nie czeka na nic, wykonuje gwałtowny ruch w stronę drzwi, ale nikt go nawet nie zatrzymuje, ponieważ nie ma dokąd pójść. „Nie ma jak uciec”.

– Wiecie, czym jest promieniowanie? Co powoduje? – W jego głosie brzmi autentyczny strach.

Farley wylicza na palcach kolejne schorzenia, a z jej ust nie schodzi uśmiech, który doprowadza mnie do szału.

– Nudności, wymioty, bóle głowy, napady drgawek, choroby nowotworowe i, no tak, śmierć. Bardzo nieprzyjemną śmierć.

Nagle czuję, że robi mi się niedobrze.

– Dlaczego to robicie? Chcemy wam pomóc.

– Mare, zatrzymaj pociąg, możesz go zatrzymać. – Maven opada na siedzenie obok, chwyta mnie za ramiona. – Zatrzymaj pociąg!

W tym momencie blaszana puszka znów nas zaskakuje, ponieważ wydaje niespodziewany pisk, ostro hamuje i jeszcze gwałtowniej staje. Maven i ja z łoskotem przewracamy się na twardą metalową podłogę i przez chwilę leżymy jedno na drugim splątani i obolali. Przez otwarte drzwi pada na nas światło pochodni zatkniętych nad kolejnym podziemnym peronem. Ten jest o wiele większy niż pierwszy, który widzieliśmy, i nie dostrzegam nawet jego końca.

Farley przechodzi nad nami i nie oglądając się na nas, zeskakuje na peron.

– Idziecie czy zostajecie?

– Ani kroku, Mare. Wysiąść w tym miejscu to samobójstwo!

Dzwonienie, które słyszę w uszach, niemal zagłusza chłodny śmiech Farley. Gdy siadam na podłodze, widzę, że wojowniczką cierpliwie czeka na nas oboje.

– Skąd wiesz, że południe, Ruiny, nadal są napromieniowane? – pyta z przebiegłym uśmiechem.

Maven odpowiada, zacinając się:

– Mamy urządzenia, detektory, one nam mówią...

Farley kiwa głową.

– A kto *konstruuje* te urządzenia?

– Technicy – chrypi Maven. – Czerwoni. – Wreszcie zaczyna rozumieć, do czego zmierza wojowniczką. – Detektory kłamią.

Farley przytakuje, uśmiecha się szeroko i podaje księciu rękę, pomagając mu wstać z podłogi. Maven, wciąż nieufny, nie odrywa od niej spojrzenia, pozwala jednak, żeby sprowadziła nas na peron i powiodła w górę po żelaznych schodach. Nad naszymi głowami pojawiają się pierwsze snopy słonecznego światła, owiewają nas podmuchy świeżego powietrza rozrzedzającego gęstą atmosferę podziemi.

Po chwili wychodzimy na otwartą przestrzeń, mrugamy powiekami i wpatrujemy się w nisko zalegające opary. Otaczają nas ściany, na których nie spoczywa już żaden strop, nad nami wiszą zaledwie jego szczątki pomalowane na złoto i niebieskawozielono. Gdy moje oczy przyzwyczajają

się do światła, dostrzegam wyrastające z murów smukłe sylwetki pni, których wierzchołki giną we mgle. Ulice, szerokie czarne rzeki asfaltu, są popękane, a ze szczelin wystają poszarzałe stuletnie zielska. Gruzowisko jest porośnięte drzewami i krzewami, które wcisnęły się we wszystkie możliwe zakamarki, widać jednak, że wiele z nich zostało usuniętych. Pod stopami chrzęści potłuczone szkło, w powietrzu wirują chmury pyłu, ale całe to zrujnowane i zaniedbane miejsce nie wydaje się opuszczone. Słyszałam o nim nie raz, czytałam o nim w księgach i widziałam je na starych mapach.

Farley obejmuje mnie ramieniem, uśmiecha się szeroko i promiennie.

– Witamy w Mieście Ruin, w Naercey – oznajmia, używając starej, dawno zapomnianej nazwy.

*

Wokół zniszczonej ziemi rozmieszczono specjalne urządzenia, które wprowadzają w błąd wykrywacze promieniowania używane przez Srebrnych do prowadzenia pomiarów na dawnych polach bitewnych. W ten sposób udało się ukryć siedzibę Szkarłatnej Gwardii. „Przynajmniej tę w Norcie”. Tak powiedziała Farley, dając do zrozumienia, że na terenie kraju znajduje się więcej baz. I wkrótce staną się one azylem dla każdego Czerwonego uchodźcy uciekającego przed karami przewidzianymi w nowo ustanowionym przez króla prawie.

Budynki, które mijamy, na pierwszy rzut oka wydają się rozpadać, pokrywa je warstwa pyłu i obrastają chwasty, ale kiedy przyjrzeć się im bliżej, można zauważyć coś więcej. Ślady stóp odciśnięte w kurzu, światło migoczące w oknie, smuzkę dymu wijącą się nad budynkiem i przynoszącą zapach gotowanego jedzenia. Ludzie, *Czerwoni*, mają tu własne miasto ukryte tuż pod nosem Srebrnych. Brakuje w nim co prawda elektryczności, ale nie brakuje uśmiechu.

Na wpół zawalony budynek, do którego prowadzi nas Farley, w przeszłości mieścił pewnie kawiarnię, po której zostały przeżarte rdzą stoliki i boksy z podartymi siedziskami. Szyb w oknach nie ma już od dawna, ale podłoga w pomieszczeniu jest czysta. Stojąca przed budynkiem kobieta zmiata pył sprzed wejścia, formując z niego zgrabne kupki na skraju popękanego chodnika. Zadanie to wydaje się beznadziejne, ponieważ wokoło jak okiem sięgnąć nie widać nic prócz grubej warstwy kurzu, jednak kobieta wykonuje je z uśmiechem i nuci coś półgłosem.

Farley pozdrawia ją skinieniem głowy, po czym prowadzi nas do środka. Ku mojej ogromnej radości okazuje się, że z boku położonego najbliżej drzwi spogląda na nas znajoma twarz.

Kilorn, cały i zdrowy. Ma nawet czelność puścić do mnie oko.

– Kopę lat.

– Nie pora na czułości – rzuca Farley, siadając obok niego. Gestem zaprasza nas, żebyśmy poszli w jej ślady, po kolei więc wślizgujemy się do skrzypiącego boku. – Rozumiem, że podczas rejsu po rzece widzieliście, co się działo w wioskach?

Uśmiech momentalnie znika z mojej twarzy, Kilorn również poważnieje.

– Tak.

– A nowe prawa? Wiem, że słyszeliście o nich. – Spojrzenie wojowniczkę twardnieje, jak gdyby to była moja wina, że zmuszono mnie do odczytania Środków Bezpieczeństwa.

– Tak właśnie się dzieje, gdy rozdrażni się lwa – oświadcza Maven, stając w mojej obronie.

– Przynajmniej wiedzą, z kim mają do czynienia.

– Przynajmniej mają powód, żeby urządzić *polowanie*. – Maven uderza pięścią w stół, wzruszając cienką warstwę kurzu, która wzbija się w powietrze niewielkim obłokiem. – Pomachałaś czerwoną flagą przed oczami byka, ale udało ci się jedynie go rozjuszyć.

– Są przestraszeni – wtrącam się. – Nauczyli się was bać. To już coś znaczy.

– Nie będzie znaczyło nic, jeśli schowacie się z powrotem w swoim ukrytym mieście i pozwolicie im się przegrupować. Dajcie królowi i jego *armii* czas. Mój brat jest już na waszym tropie i wkrótce was wywęszy. – Maven wpatruje się w swoje dłonie dziwnie rozzłoszczony. – To, że jesteście o krok przed nimi, niedługo będzie już za mało. A nawet przestanie być możliwe.

Oczy Farley migoczą w świetle, gdy przygląda się nam w zamyśleniu. Kilorn kreśli linie w warstwie pyłu i pozornie wydaje się nieporuszony. Z trudem się powstrzymuję, żeby nie kopnąć go pod stołem, dając sygnał, aby bardziej uważał na to, o czym mowa.

– Moje własne bezpieczeństwo mnie nie obchodzi, książę – mówi Farley. – Obchodzą mnie ludzie z wioski, robotnicy i żołnierze. To ich teraz spotyka kara, bardzo surowa.

Biegnę myślami do rodziny w Palach, przypominam sobie tępe spojrzenia tysięcy oczu wpatrujących się w naszą łódź.

– Co słyszeliście?

– Nic dobrego.

Kilorn gwałtownie podnosi głowę, chociaż palcami dalej wodzi po stole.

– Praca bez przerwy przez dwie zmiany, co niedziela publiczne egzekucje, zbiorowe groby. Niełatwo tym, którzy nie wytrzymują tempa. – Tak samo jak ja wspomina naszą wioskę. – Nasi na froncie mówią, że tam również nie jest źle. Do legionów zaczęli wysyłać szesnasto- i piętnastolatków. Nie przeżyją dłużej niż miesiąc.

Rysuje w kurzu znak X, dając upust swojej złości.

– Może uda mi się trochę zyskać na czasie – myśli na głos Maven. – Jeżeli przekonam radę wojenną, że należy wydłużyć szkolenie i później posyłać tych młodych do walki.

– To za mało – mówię cicho, ale stanowczo. Lista wydaje się parzyć mnie w skórę, jak gdyby nie mogła się doczekać, aż ujrzy światło dzienne. Zwracam się do Farley. – Masz ludzi wszędzie, prawda?

Mojej uwadze nie uchodzi triumfalny błysk w jej oczach.

– Prawda.

– W takim razie przekaz im te dane. – Wyciągam z kieszeni książkę od Juliana i otwieram w miejscu, gdzie zaczyna się lista nazwisk. – I każ odnaleźć te osoby.

Maven delikatnie wyjmuję mi książkę z rąk, przebiega wzrokiem po jej stronach.

– Są ich setki – mamrocze, nie odrywając spojrzenia od kartek. – Kim oni są?

– Są tacy sami jak ja. Czerwoni i Srebrni, silniejsi od jednych i drugich.

Teraz ja mogę się triumfalnie uśmiechnąć. Nawet Maven otwiera usta ze zdumienia. Farley pstryka palcami i książkę bez namysłu podaje jej książkę, choć nie przestaje patrzeć na ten niewielki przedmiot, w którym kryje się sekret o niewyobrażalnej mocy.

– Wkrótce to samo może odkryć ktoś niepowołany – dodaję. – Farley, *musimy* odnaleźć ich pierwsi.

Kilorn wpatruje się gniewnie w imiona, jak gdyby czymś go uraziły.

– To może zająć wiele miesięcy, a nawet lat.

Maven parska.

– Nie mamy tyle czasu.

– Właśnie – potwierdza Kilorn. – Musimy działać już *teraz*.

Nie zgadzam się. Rewolucji nie można przynaglić.

– Ale jeśli poczekać, jeśli dotrzecie do prawie wszystkich, możecie stworzyć armię.

Nagle Maven uderza otwartą dłońią w stół, a my podskakujemy.

– Przecież mamy armię.

– Moje oddziały są liczne, ale nie *aż* tak – przyznaje Farley, patrząc na księcia, jak gdyby podejrzewała go, że postradał zmysły.

On jednak uśmiecha się szeroko, rozświetla go wewnętrzny płomień.

– A gdybym zorganizował armię, cały legion w Archeonie, czy to by wam wystarczyło?

Wojownicza jedynie wzrusza ramionami.

– Prawdę mówiąc, niekoniecznie. Inne legiony starłyby go na proch w jednej bitwie.

Nagle jak grom z jasnego nieba spada na mnie olśnienie i już wiem, do czego zmierza Maven.

– Ale ta armia nie walczyłaby na otwartym polu – mówię cicho. Maven odwraca się do mnie i uśmiecha niczym szaleniec. – Mówisz o zamachu.

Farley marszczy brwi.

– Chcesz stworzyć armię terrorystów?

– Chodzi o zamach stanu, przewrót. Tak robiono kiedyś, w dawnych czasach – tłumaczę, usiłując rozjaśnić sprawę. – Niewielka grupa ludzi obala cały rząd. Brzmi znajomo?

Farley i Kilorn mrużą oczy i wymieniają spojrzenia.

– Mów dalej – zachęca mnie wojowniczka.

– Wiecie, w jaki sposób jest zbudowany Archeon: tu mamy most, tu część wschodnią, tu zachodnią. – Tworzę na zakurzonej blacie prowizoryczną mapę, zaznaczając palcem wspomniane miejsca. – W zachodniej części mieści się pałac, dowództwo, skarbiec, rady, cały *rząd*. I jeśli jakimś sposobem udałoby się nam dotrzeć do króla i *zmusić* go, żeby przystał na nasze warunki, będzie po wszystkim. Sam to kiedyś powiedziałaś, Maven: z placu Cezara można rządzić całym państwem. Wystarczy przejąć nad nim kontrolę.

Pod stolikiem Maven klepie mnie po nodze. Pęka z dumy. Podejrzliwość malująca się zwykle na twarzy Farley znika, a zastępuje ją nadzieja. Wojowniczka przesuwa palcem po wargach i mamrocze coś bezgłośnie, wpatrując się w narysowany przeze mnie plan.

– Mnie to pasuje – odzywa się Kilorn typowym dla siebie drwiącym tonem – ale nie bardzo wiem, jak zamierzacie wpuścić tam tylu Czerwonych, żeby dali radę Srebrnym. Na jednego z nich trzeba dziesięciu naszych. Nie wspominając o pięciu tysiącach *Srebrnych* żołnierzy lojalnych twojemu *bratu*. – Zerka na Mavena. – To wyszkoleni mordercy i na dodatek węższą za nami już w tej chwili, gdy tu sobie gawędzimy.

Ulatuje ze mnie entuzjazm, przygnębiona odsuwam się od stolika i opieram plecami o siedzenie.

– Tak, to może być trudne. – „Niemożliwe”.

Maven przeciąga dłonią po mojej mapie, kilkoma ruchami zmazując Zachodni Archeon.

– Legiony są wierne swoim generałom. A tak się składa, że znam pewną dziewczynę, która dobrze zna pewnego generała.

Kiedy nasze spojrzenia się spotykają, w jego oczach zamiast wcześniejszego ognia dostrzegam przenikliwy chłód.

– Mówisz o Calu. – O żołnierzu. Generale. Księżciu. Synu swojego ojca. Znów wracam myślami do Juliana, wuja, którego Cal zabiłby w imię czegoś, co nazywa sprawiedliwością. Cal nigdy nie zdradziłby swojego kraju, za nic w świecie.

Maven odpowiada rzeczowym tonem:

– Postawimy go przed trudnym wyborem.

Czuję na sobie spojrzenie Kilorna, który czeka na moją reakcję, i jego wzrok staje się ciężarem niemal nie do zniesienia.

– Cal nigdy nie zrobi niczego przeciwko swojemu królestwu, przeciwko *ojcu*.

– Znam swojego brata. Jeśli będzie musiał zdecydować, co ocalić: twoje życie czy własną koronę, oboje dobrze wiemy, co wybierze – odparowuje Maven.

– *Nigdy* nie wybierze mnie.

Moja skóra płonie pod jego spojrzeniem, wargi przypominają sobie smak jednego skradzionego

pocałunku. To Cal uratował mnie podczas walki z Evangeline. Cal nie pozwolił mi uciec i wyrzucić sobie jeszcze większej krzywdy. Cal ocalił mnie przed poborem. Byłam zbyt zajęta ratowaniem innych, żeby zauważyć, ile razy on ratował mnie. Ile razy okazywał mi *miłość*.

Nagle trudno mi złapać kolejny oddech.

Maven kręci głową.

– Zawsze wybierze ciebie.

Farley prycha.

– Chcecie oprzeć całą operację, całą rewolucję na jakiejś szczenięcej miłości? Nie wierzę.

Na twarzy siedzącego naprzeciwko Kilorna maluje się dziwny wyraz. Farley patrzy na niego, szukając poparcia, ale czeka ją rozczarowanie.

– A ja wierzę – szepcze Kilorn, nie odrywając ode mnie oczu.

ROZDZIAŁ 25

Gdy razem z Mavenem jedziemy przez most, zmierzając w stronę pałacu po dniu wypełnionym wizytami i spiskowaniem, marzy mi się, żeby świt nastąpił dziś wieczorem, a nie jutro rano. Znów wsłuchuję się w zgiełk miejskiego życia. Wszystko dookoła pulsuje energią, od krążących ulicami pojazdów po lampy zawieszane na stalowych i betonowych słupach. Wracam pamięcią do tak odległej już chwili, gdy w Wielkich Ogrodach przypatrywałam się Wodniakom, którzy bawili się w fontannie, i Zieleńcom, którzy pielęgowali swoje kwiaty. Wtedy ich świat wydał mi się piękny. Teraz rozumiem, dlaczego nie chcą, aby się zmieniał, i pragną utrzymać władzę nad resztą ludzi, jednak nie oznacza to, że zamierzam im na to pozwolić.

Zazwyczaj, aby uczcić powrót króla do stolicy, wydaje się huczny bankiet, jednak w związku z ostatnimi wydarzeniami na placu Cezara panuje większy spokój niż powinien. Maven udaje, że brakuje mu tej całej uroczystości, choćby dlatego, żeby zapełnić czymś ciszę.

– Sala bankietowa jest dwa razy większa niż ta w Palatium – opowiada, gdy przejeżdżamy przez wewnętrzną bramę. Przed koszarami dostrzegam odbywający musztrę legion Cala. Tysiąc żołnierzy maszeruje w równym szyku, a ich kroki dudnią niczym uderzenia bębna. – Tańczyliśmy do białego rana, a przynajmniej Cal tańczył. Dziewczeta nie kwapiły się prosić mnie do tańca, chyba że Cal namówił je do tego.

– Ja poprosiłabym cię do tańca – mamroczę, nie odrywając spojrzenia od koszar. „Czy jutro będą już nasze?”

Maven nie odpowiada, porusza się niespokojnie na siedzeniu, gdy zatrzymujemy się przed pałacem. „Zawsze wybierze ciebie”.

– Nic nie czuję do Cala – szepczę Mavenowi na ucho i wysiadam.

Uśmiecha się, ujmuje moją dłoń, a ja wmawiam sobie, że wcale go nie okłamuję.

Kiedy otwierają się przed nami pałacowe wrota, z długich marmurowych korytarzy dobiega nas przepełniony bólem krzyk. Maven i ja spoglądamy po sobie ze zdumieniem. Wartownicy stanowiący naszą eskortę prostują się, chwytają za broń, ale nie zdążają mnie powstrzymać, gdy rzucam się pędem przed siebie. Maven rusza moim śladem, starając się dotrzymać mi kroku. Rozlega się kolejny

okrzyk, a towarzyszy mu tupot maszerującego kilkunastoosobowego oddziału i znajomy brzęk zbroi.

Pędzę co tchu, Maven mknie tuż za mną. Wpadamy do okrągłego pomieszczenia, które okazuje się salą posiedzeń wyłożoną lśniąącym marmurem i wypolerowanym ciemnym drewnem. Pełno w niej ludzi i cudem unikam zderzenia z samym wielmożnym Samosem, udaje mi się jednak zatrzymać w ostatniej chwili. Za to Maven wpada na moje plecy, niemal przewracając nas oboje.

Samos uśmiecha się do nas szyderczo i obrzuca nas zimnym, twardym spojrzeniem czarnych oczu.

– Wielmożna panno, księżę Mawenie. – Nieznacznie pochyla głowę, jak gdyby ukłon przychodził mu z trudem. – Przyszłście obejrzyć przedstawienie?

„Przedstawienie”. Wokoło tłoczą się arystokraci z królem i królową na czele, a wszyscy patrzą prosto przed siebie. Przeciskam się między nimi i choć nie wiem, jaki widok ukaże się moim oczom, gdy dotrę do pierwszego rzędu, spodziewam się, że nie będzie to nic przyjemnego. Maven przepycha się razem ze mną, jedną ręką ściska mnie za łokieć. Kiedy docieramy na sam przód tłumu, cieszę się, że czuję na ręce ciepło jego dłoni, która dodaje mi otuchy – i przytrzymuje w miejscu, nie pozwalając wykonać żadnego głupiego ruchu.

Pośrodku sali stoi co najmniej szesnastu żołnierzy, na posadzce ozdobionej wizerunkiem wielkiej królewskiej pieczęci widnieją grudki błota, które odpadło z ich butów. Mają na sobie jednakowe zbroje wykonane z czarnych metalowych łusek i tylko jeden pancierz połyskuje czerwonym blaskiem. „Cal”.

Obok niego stoi Evangeline, włosy ma splecione w warkocz. Oddycha ciężko, z trudem, ale wydaje się dumna z siebie. „A tam, gdzie jest Evangeline, tam musi być jej brat”.

Zza pleców żołnierzy wysuwa się Ptolemeusz ciągnący za włosy rozwrzeszczaną kobietę. W chwili, gdy ją poznaję, Cal odwraca się i przez moment patrzymy sobie w oczy. Dostrzegam w jego spojrzeniu żal, jednak wiem, że nie zrobi nic, aby uratować pojmaną.

Ptolemeusz rzuca Walsh na wyfroterowaną podłogę, kobieta uderza twarzą o kamień. Gdy unosi głowę, zerka na mnie przelotnie, po czym przenosi zbolące spojrzenie na króla. Przypominam sobie wesołą, uśmiechniętą służącą, która wprowadziła mnie do tego świata; tej osoby już nie ma.

– Te szczury chowają się w starych tunelach – warczy Ptolemeusz, poszturchując ciało Czerwonej nogą. Walsh pomimo odniesionych ran zadziwiająco szybko cofa się przed jego kopniakiem. – Znaleźliśmy ją, gdy wlokła się za nami w pobliżu jam nad rzeką.

Wlokła się za nimi? Jak mogła być tak głupia? Jednak Walsh nie jest głupia. „Nie, to był rozkaz”, uzmysławiam sobie z przerażeniem. Obserwowała okolice tunelu, żeby zapewnić nam bezpieczny powrót z Naercey. I chociaż my bezpiecznie dotarliśmy do domu, ona nie.

Maven mocniej zaciska palce na moim ramieniu i przyciąga mnie do siebie, tak by moje plecy zatrzymały się na jego torsie. Wie, że chcę podbiec do niej, uratować ją, pomóc jej jakoś. „I wie, że

nie możemy zupełnie nic zrobić”.

– Poszliśmy najdalej, jak pozwalały nam wykrywacze promieniowania – dodaje Cal, usiłując nie zwracać uwagi na Walsh, która pluje krwią. – Sieć tuneli jest ogromna, o wiele rozleglejsza, niż początkowo sądziliśmy. Ciągnie się dziesiątkami kilometrów i Szkarłatna Gwardia zna ją lepiej niż ktokolwiek z nas.

Król Tyberiasz pochmurnieje. Gestem nakazuje, aby podprowadzić do niego Walsh. Cal chwyta kobietę za ramię i ciągnie ją w stronę monarchy. Przez głowę przelatują mi setki sposobów, w jakie mogą ją torturować, a każdy bardziej wymyślny od poprzedniego. Ogień, metal, woda, nawet moja błyskawica to świetne metody na rozwiązanie języka.

– Nie popełnię po raz drugi tego samego błędu – król rzuca jej prosto w twarz. – Elara, każ jej wszystko wyśpiewać. Natychmiast.

– Z przyjemnością – odpowiada królowa, wysuwając dłonie z ciągnących się rękawów.

Jeszcze gorzej. Walsh zacznie mówić, wyda wszystkich, zgubi nas. A potem powoli ją zabiją. Wszystkich nas zabiją powoli.

Jeden z żołnierzy wywodzący się z domu Eagrie, a przez to Dalekowzroczny, nagle rusza do przodu.

– Zatrzymajcie ją! Przytrzymajcie jej ręce!

Jednak Walsh jest szybsza od niego.

– Za Tristana – mówi, po czym przykładła dłoń do ust. Rozgryza coś, a następnie połyka, odrzucając głowę do tyłu.

– Uzdrowiciel! – woła Cal. Chwyta Walsh za gardło, usiłuje ją powstrzymać, jednak jej usta pokrywają się białą pianą, a nogi zaczynają spazmatycznie drgać: dusi się. – Uzdrowiciela, prędko!

Ciało kobiety napina się konwulsyjnie i wyszarpuje z objęć księcia. Kiedy uderza o podłogę, oczy Walsh są szeroko otwarte i wpatrują się w sufit, chociaż nic już nie widzą. „Nie żyje”.

Za Tristana.

Nie mogę nawet jej opłakiwać.

*

– Tabletką z trucizną.

Głos Cala brzmi łagodnie, jak gdyby tłumaczył coś dziecku. Zdaje się jednak, że o sprawach związanych z wojną i śmiercią wiem tyle, ile dziecko.

– Zaopatrujemy w nie oficerów na froncie i szpiegów. Jeśli zostaną złapani...

– Nic nie powiedzą – odparowuję.

„Ostrożnie – napominam się w duchu. Chociaż jego obecność przyprawia mnie o dreszcze, muszę to przetrzymać. W końcu przecież pozwoliłam, żeby znalazł mnie tu, na balkonie. – Muszę dać mu

nadzieję. Muszę sprawić, aby myślał, że ma u mnie szansę”. To pomysł Mavena, choć z trudem przyszło mu to powiedzieć. Jeśli chodzi o mnie, ciężko mi balansować na cienkiej linii oddzielającej prawdę od kłamstwa, zwłaszcza w wypadku Cala. Nienawidzę go, wiem o tym, ale coś w jego oczach i głosie przypomina mi, że uczucia, którymi go darzę, wcale nie są tak proste.

Trzyma się na dystans, stoi parę kroków ode mnie.

– To lepsza śmierć niż ta, jaką my byśmy jej zadali.

– Zamrozilibyście ją? Czy może dla odmiany spalili?

– Nie. – Cal kręci głową. – Trafiłaby do Kościńca. – Przenosi spojrzenie z koszar na rzekę. Na jej drugim brzegu między wysokościami wyrasta ogromna owalna arena, której szczytową krawędź okalają szpikulce. „Kościńec”. – Zostałaby stracona, a transmisja z jej śmierci byłaby ostrzeżeniem dla wszystkich pozostałych.

– Myślałam, że już tego nie robicie. Nie widziałam egzekucji od ponad dziesięciu lat. – Jak przez mgłę pamiętam tego typu relacje telewizyjne z dzieciństwa.

– Można zrobić wyjątek. Pojedynki w amfiteatrach nie powstrzymały Gwardii przed działaniem, może zatem coś innego ich zatrzyma.

– Znałeś ją – szepczę, usiłując trafić w jego czułą strunę. – Przysłałeś ją po mnie po naszym pierwszym spotkaniu.

Krzyżuje ręce, jak gdyby mógł w ten sposób odgrodzić się od wspomnień.

– Wiedziałem, że pochodzi z twojej wioski. Uznałem, że to pomoże ci się przyzwyczać.

– Wciąż nie wiem, dlaczego w ogóle się mną zainteresowałeś. Wtedy jeszcze nawet nie wiedziałeś, że jestem inna.

Milczenie, które zapada, zakłócają jedynie dobiegające z dołu komendy rzucane przez poruczników nieprzerywających musztry, mimo że słońce pomału zachodzi.

– Dla mnie byłaś inna – mamrocze w końcu Cal.

– Ciekawe, co mogłoby się stać, gdyby to wszystko – szerokim gestem wskazuję pałac i plac – nie stało między nami.

„Niech to sobie przetrawi”.

Kładzie dłoń na moim ramieniu, czuję gorąco jego palców przenikające materiał mojego stroju.

– Jednak to nigdy się nie stanie, Cal.

Zaglądam mu w twarz i staram się, aby mój wzrok wyrażał nieutuloną tęsknotę. Przypominam sobie rodzinę, Mavena, Kilorna, wszystko, czego próbujemy razem dokonać, i liczę na to, że Cal odczyta wyraz moich oczu po swoim. „Daj mi nadzieję, chociaż nie powinien mieć żadnej”. To okrucieństwo, ale dla dobra sprawy, dla dobra przyjaciół i po to, żeby ocalić własne życie, gotowa jestem się go dopuścić.

– Mare – szepcze Cal, nachylając się do mnie.

Odwracam się, zostawiam go na balkonie samego, żeby przemyślał moje słowa i – przy odrobinie szczęścia – utonął w nich.

– Żałuję, że nie jest inaczej – mówi cicho, ale mimo to go słyszę.

Jego słowa przenoszą mnie z powrotem do domu, do ojca, który dawno temu powiedział to samo. Świadomość, że Cal i mój tata, złamany życiem Czerwony, myślą podobnie, sprawia, że zaczynam się wahać. Nie potrafię się powstrzymać, odwracam głowę i spoglądam za siebie. Sylwetka Cala rysuje się na tle zniżającego się słońca. Księżę patrzy w dół na maszerujących żołnierzy, po czym przenosi wzrok na mnie i wiem, że cokolwiek do mnie czuje, jest rozdarty między obowiązkami a swoim uczuciem do dziewczuszki od błyskawic.

– Julian mówi, że jesteś podobna do niej – odzywa się cicho, a w jego oczach maluje się zaduma.
– Że ona była taka sama.

„Coriane. Jego matka”. Myśl o zmarłej królowej napełnia mnie smutkiem, mimo że nigdy jej nie znałam. Zbyt szybko zabrano ją od tych, których kochała, a teraz oczekuje się ode mnie, że zapełnię pustkę, która pozostała po jej odejściu.

I chociaż trudno mi to przyznać, wcale nie dziwię się Calowi, że czuje się uwięziony między dwoma światami. Sama czuję się podobnie.

*

Przed balem odczuwałam niepokój, byłam kłębkim nerwów i drżałam na myśl o zbliżającym się wieczorze. Teraz nie mogę się doczekać świtu. Jeśli tego ranka zwyciężymy, słońce zajdzie nad zupełnie nowym światem. Król odda koronę, przekaze władzę mnie, Mavenowi i Farley. Przemiana nastąpi bez rozlewu krwi, będzie łagodnym przejściem z jednej formy rządów do drugiej. Jeżeli nam się nie uda, w najlepszym przypadku czeka mnie Kościńiec. Nam jednak musi się udać. Cal nie pozwoli mi umrzeć, Maven również. Są moimi tarczami.

Gdy kładę się do łóżka, mój wzrok biegnie do mapy Juliana. To starość, właściwie bezużyteczna, ale mimo wszystko dodaje mi otuchy. „Jest dowodem na to, że świat może się zmienić”.

Z tą myślą zapadam w niespokojny, płytki sen. We śnie przychodzi do mnie brat. Stoi przy oknie, spogląda na miasto z dziwnym smutkiem, po czym odwraca się do mnie.

– Są jeszcze inni – mówi. – Musisz ich znaleźć.

– Znajdę – mamroczę zaspanym głosem.

Chwilę później wybija godzina czwarta nad ranem i czas na sny się kończy.

Kamery wyłączają się posłusznie, gdy zmierzam do pokoju Mavena, padają pod moim spojrzeniem jedna po drugiej niczym drzewa powalone uderzeniami siekiery. Wzdrygam się za każdym razem, gdy mam wrażenie, że coś porusza się w cieniu korytarzy, i spodziewam się, iż lada

moment zza zakrętu wychynie strażnik albo wartownik, jednak nic takiego się nie dzieje. Ochrona należy się Calowi i królowi, nie mnie i drugiemu księciu. My się nie liczymy. „Ale zaczniemy się liczyć”.

Maven otwiera drzwi sekundę po tym, gdy szarpnęłam za klamkę, jego blada twarz jaśnieje w ciemności. Oczy ma podkrążone, jak gdyby w ogóle nie spał, ale wygląda na zupełnie przytomnego. Spodziewam się, że weźmie mnie za rękę, że poczuję jego ciepło, ale tym razem bije od niego chłód. „Boi się”, uzmysławiam sobie.

Po kilku minutach prześlizgiwania się przez korytarze jesteśmy już na zewnątrz i przemykając pod murami budynku dowództwa generalnego, zmierzamy do wyznaczonego miejsca między dowództwem i murem wewnętrznym. To idealna lokalizacja, z której widzimy zarówno plac Cezara, jak i most, a połączony dach gmachu dowództwa osłania nas przed patrolami. Nie potrzebuję spoglądać na zegarek, aby wiedzieć, że przybyliśmy na czas.

Nad nami czerń nieba powoli przechodzi w granat. „Nadchodzi świt”.

O tej porze miasto jest niemożliwie ciche. Nawet straż patrolujące teren są ospałe i niespiesznie pokonują trasę od jednego posterunku do drugiego. Przechodzi mnie dreszcz podniecenia, zaczynają mi drżeć nogi. Mavenowi udaje się zachować spokój, wydaje się nawet nie mrugać. Spogląda przez mur z diamentowego szkła i nie spuszcza wzroku z mostu. Jest w pełni skoncentrowany.

– Spóźniają się – szepcze, nadal trwając w bezruchu.

– Ja się nie spóźniam.

Gdybym nie znała Farley, mogłabym pomyśleć, że jest Cienistą, która potrafi się stać niewidzialna. Nagle wyłania się z mroku tuż obok nas, wychodząc ze studzienki kanalizacyjnej. Podaję jej rękę, ale wojowniczką o własnych siłach wydostaje się na powierzchnię.

– Gdzie pozostali?

– Czekają. – Wskazuje ziemię pod nami.

Spoglądam w otwór studzienki, wytyżam wzrok i widzę głowy słończone u wyjścia z kanału, czekające na sygnał, aby wychynąć na powierzchnię. Mam ochotę zeskoczyć do nich, stanąć u boku Kilorna i swoich ludzi, ale moje miejsce jest tutaj, obok Mavena.

– Czy są uzbrojeni? – Maven ledwo porusza ustami. – Czy są gotowi do walki?

Farley przytakuje skinieniem głowy.

– Zawsze. Ale nie wezwę ich, dopóki się nie upewnicie, że plac jest nasz. Nie do końca wierzę w siłę uroku osobistego panny Barrow.

Ja również, ale nie mogę się przyznać do tego na głos. „Zawsze wybierze ciebie”. Nigdy wcześniej nie targały mną tak sprzeczne uczucia – jeszcze nigdy nie pragnęłam z równą mocą zarówno powodzenia, jak i klęski.

– Kilorn chciał, żebym ci to przekazała – dodaje wojowniczką, wyciągając rękę. Na jej dłoni leży mały zielony kamień, tak zielony jak jego oczy. „Kolczyk”. – Powiedział, że będziesz wiedziała, co to oznacza.

Nie potrafię wykrztusić słowa, ogarnia mnie fala wzruszenia. Kiwam głową, biorę kolczyk i unoszę go do ucha, tam gdzie tkwią pozostałe. Bree, Tramy, Shade – znam każde z tych oczek i wiem, co oznaczają. Kilorn jest teraz wojownikiem. I chce, żebym go zapamiętała takim, jaki był wcześniej. Roześmiany, dokuczliwy, wałęsający się po ulicach niczym zagubiony szczeniak. Nigdy tego nie zapomnę.

Czuję ukłucie zaostrej metalowej końcówki i ciepło krwi. Kiedy opuszczam rękę, dostrzegam na palcach szkarłatną plamkę. „Tym właśnie jesteś”.

Zerkam w tunel z nadzieją, że dojrzę jego zielone oczy, ale mrok panujący w kanale zdaje się pochłaniać Kilorna i wszystkich tłoczących się razem z nim.

– Jesteście gotowi? – pyta szeptem Farley i zagląda nam w twarz.

Maven pewnym głosem odpowiada za siebie i za mnie:

– Jesteśmy.

Jednak Farley to nie wystarcza.

– Mare?

– Jestem gotowa.

Wojowniczką powoli nabiera powietrza, po czym wypuszcza je z płuc, uspokajając emocje, a następnie stuka nogą w krawędź studzienki. Jeden, dwa, trzy razy. Wszyscy troje odwracamy się w stronę mostu i czekamy, aż świat zacznie się zmieniać.

O tej porze nie ma ruchu, nie słyhać szmeru choćby jednego pojazdu mknącego ulicami miasta. Sklepy są pozamykane, place opustoszałe. Przy odrobinie szczęścia jedynymi ofiarami tej nocy będą tony betonu i stali. Ostatni odcinek mostu łączący zachodni Archeon z resztą stolicy wydaje się spokojny.

W następnej chwili wylatuje w powietrze, rozkwitając pomarańczowym i czerwonym ogniem, zapala się niczym gwiazda rozdzierająca srebrzystą ciemność. Robi się gorąco, ale nie od wybuchu bomb – to *Maven*. Eksplozja pobudza jego moc, roznieca w nim płomień.

Przetaczający się grzmot wybuchu niemal zwała mnie z nóg, woda w rzece burzy się, a wysadzona część mostu drży i jęczy niczym konające zwierzę, gdy odrywając się od brzegu i nienaruszonej części konstrukcji, powoli się osuwa. Betonowe filary kruszą się, stalowe druty pękają i spadają do wody lub uderzają o nabrzeże. Podnoszą się kłęby pyłu i dymu, przesłaniając wschodnią część Archeonu. Zanim most zdąży się zawalić, na placu rozlega się alarm.

Nad nami strażę biegną po murach, żeby obejrzeć dzieło zniszczenia. Krzyczą coś do siebie, nie

rozumiejąc, co właściwie się dzieje. Większość potrafi jedynie wpatrywać się w most w osłupieniu. W koszarach raz po raz zapalają się światła, budząc pięć tysięcy żołnierzy, którzy zrywają się na nogi. „Żołnierze Cala. Legion Cala”. I jeśli się uda – nasz legion.

Wpatruję się jak urzeczona w płomienie i dym, ale Maven odwraca moją uwagę od mostu.

– Tam jest – syczy, wskazując ciemną postać biegnącą od strony pałacu.

Cal ma eskortę, ale wyprzedza wartowników, mknąc w kierunku koszar. Mimo że wciąż ma na sobie nocne ubranie, nigdy wcześniej nie wyglądał równie groźnie. Gdy żołnierze i oficerowie wysypują się na plac, wydaje im komendy głosem tak donośnym, że słyhać go pomimo narastającej wrzawy.

– Wzmocnić ochronę bram! Wodniaki na drugą stronę, pilnować, żeby ogień się nie rozprzestrzenił!

Jego ludzie błyskawicznie wykonują rozkazy, jak gdyby tylko na nie czekali. „Legiony są wierne swoim generałom”.

Za nami Farley przywiera do muru i krok po kroku przesuwa się w stronę studzienki kanalizacyjnej. Wskoczy w nią i zniknie, jeśli tylko zacznie się robić niebezpiecznie, aby innym razem zadać kolejny cios. „Nie będzie takiej potrzeby. Powiedzie nam się dzisiaj”.

Maven odwraca się, żeby przywołać do nas Cala, ale ja go wyprzedzam.

– Ja muszę to zrobić – szepczę, czując, jak ogarnia mnie dziwny spokój. „Zawsze wybierze ciebie”.

Wychodząc na otwartą przestrzeń placu, gdzie z łatwością dojrzą mnie legionieści, strażę i Cal, znajduję się w punkcie, z którego nie ma już odwrotu. Na szczytach murów zapalają się reflektory, niektóre kierują się w stronę mostu, pozostałe w dół, na nas. Światło jednego z nich wydaje się przeszywać mnie na wylot i muszę unieść rękę, żeby osłonić oczy.

– Cal! – wołam, usiłując przekrzyczeć przeraźliwą wrzawę. Jakimś cudem Cal mnie słyszy i odwraca głowę w moją stronę. Nasze spojrzenia się krzyżują, mimo że wokoło mrowi się od żołnierzy, którzy spieszą ustawić się w szyku.

Gdy rusza do mnie, przepychając się przez rojowisko ludzi, mam wrażenie, że zaraz zemdleję. Nagle słyszę jedynie łomot swojego serca zagłuszający alarmy i wrzaski. Boję się. Bardzo się boję. „To tylko Cal – powtarzam sobie. – Chłopak, który kocha muzykę i motory. Nie żołnierz, nie generał, nie książę. Chłopak. Zawsze wybierze ciebie”.

– Wracaj do środka, już! – Staje nade mną i przemawia surowym, władczym tonem, przed którym ugięłaby się nawet skała. – Mare, tu jest niebezpiecznie...!

Z siłą, o jaką siebie nie podejrzewałam, łapię go za kołnierz koszuli, a wtedy on nieruchomieje.

– A gdyby to była cena, którą trzeba zapłacić? – Zerkam na wysadzony most okryty chmurą dymu i

pyłu. – To tylko kilka ton betonu. A gdybym powiedziała ci tu i teraz, że możesz wszystko naprawić? Że możesz *nas* ocalić?

Oczy Cala rozbłyskują i wiem, że przyciągnęłam jego uwagę.

– Nie – protestuje słabo i chwyta mnie za rękę. W jego spojrzeniu dostrzegam lęk, więcej lęku niż kiedykolwiek widziałam.

– Kiedyś mówiłeś, że w nas wierzysz, że wierzysz w wolność. W równość. Wystarczy jedno twoje słowo, żeby to się urzeczywistniło. Nie będzie wojny. Nikt nie zginie. – Wydaje się, że moje słowa go sparaliżowały, zaparły dech w piersiach. Nie mam pojęcia, co się dzieje w jego głowie, ale przekonuję dalej. „Muszę sprawić, żeby zrozumiał”. – Teraz ty masz władzę. Armia jest twoja, całe to miejsce jest twoje, możesz je zająć i... i wyzwolić! Wkrocz do pałacu, niech twój ojciec przed tobą uklęknie i zrobi to, co słuszne. *Proszę, Cal!*

Pod palcami czuję jego skórę, słyszę krótki, urywany oddech i ta jedna chwila wydaje się prawdziwsza i ważniejsza niż jakakolwiek wcześniej. Wiem, co teraz waży: królestwo, obowiązek, ojciec. I ja, dziewczuszka od błyskawic, która prosi go, żeby to wszystko odrzucił. W głębi duszy czuję, że tak właśnie robi.

Drżąc, przyciskam wargi do jego warg. „Zawsze wybierze mnie”. Jego ciało robi się zimne niczym zwłoki.

– Wybierz mnie – szepczę mu w twarz. – Wybierz nowy świat. *Stwórz lepszy świat.* Żołnierze cię posłuchają. *Twój ojciec* cię posłucha. – Serce mi się ściska i każdy miesiąc napręża, gdy czekam na jego odpowiedź. Oblewające nas światło reflektora migocze w rytm uderzeń naszych serc. – To moją krew znaleziono w celach. Pomogłam gwardzistom w ucieczce. Niedługo wszyscy się o tym dowiedzą i zabiją mnie. Nie pozwól im. *Uratuj mnie.*

Te słowa poruszają Cala, mocniej zaciska palce na mojej ręce.

– To byłeś ty, od samego początku.

„Zawsze wybierze ciebie”.

– Powitaj świt nowego dnia, Cal. Razem ze mną. *Z nami.*

Przenosi spojrzenie na Mavena, który idzie w naszą stronę. Bracia patrzą sobie w oczy, rozmawiając bez słów. „Wybierze nas”.

– To byłeś ty, od samego początku – powtarza Cal, lecz tym razem głos ma złamany, nabrzmiały cierpieniem tysiąca śmierci, tysiąca zrad. „Każdy może zdradzić każdego”, przypominam sobie. – Ucieczka, zamach, awarie prądu. To wszystko zaczęło się od ciebie.

Próbuję coś wytłumaczyć, chcę się cofnąć, ale Cal nie zamierza mnie wypuścić.

– Ilu ludzi zabiłaś dla tego swojego świtu? Ile dzieci, ile niewinnych osób? – Jego dotyk robi się gorący, tak gorący, że parzy. – Ilu ludzi zdradziłaś?

Kolana uginają się pode mną, Cal jednak trzyma mnie mocno. Jak przez mgłę słyszę krzyk Marena, księcia spieszącego na ratunek swojej księżniczce. „Ale ja nie jestem księżniczką. Nie jestem dziewczyną, którą czeka cudowne ocalenie”. Podczas gdy w Calu narasta ogień, przeze mnie przelatuje błyskawica gniewu, która poraża nas oboje i odrzuca mnie od niego. W głowie mi huczy od żalu, gniewu i elektryczności.

Za mną słyhać okrzyk Marena. Odwracam się i widzę, jak woła do Farley i daje rękami gwałtowne znaki.

– Uciekaj! *Uciekaj!*

Cal reaguje szybciej ode mnie, krzyczy coś do żołnierzy, po czym spogląda na gestykulującego Marena. Z przenikliwością godną generała natychmiast pojmuje, o co chodzi.

– Kanały! – ryczy, wpatrując się we mnie. – Są w kanałach.

Farley znika, umykając przed ogniem, który błyskawicznie otworzyła część legionistów. Pozostali żołnierze rzucają się do rozsianych po całym placu studzienek kanalizacyjnych, zrywają kłapy, kraty i rury prowadzące do sieci kanałów i zalewają podziemne tunele niczym śmiertcionośna powódź. Pragnę zatkać uszy, aby nie słyszeć wrzasków, wystrzałów, chlustającej krwi.

„Kilorn”. Jego imię przelatuje przez moje myśli niczym niesiony wiatrem szept. Nie mogę długo przy nim się zatrzymać; nade mną stoi Cal, który drży na całym ciele. Ja jednak się go nie boję. Nie sądzę, żeby cokolwiek mogło mnie teraz wystraszyć. „Najgorsze już się stało. Przegraliśmy”.

– Ilu?! – krzyczę, znajdując w sobie tyle siły, żeby stawić mu czoła. – Ilu umarło z głodu? Ilu zamordowano? Ile dzieci zabrano na pewną śmierć? Ilu, *mój księżę?*

Wcześniej sądziłam, że wiem, czym jest nienawiść. „Myliłam się. Co do siebie, co do Cala, co do wszystkiego”. Ból rozrywa mi pierś, kręci mi się od niego w głowie, ale nadludzkim wysiłkiem udaje mi się zachować równowagę i ustać na nogach. „Nigdy mnie nie wybierze”.

– Mój brat, ojciec Kilorna, Tristan, Walsh! – wypluwam kolejne imiona niczym pociski. Dla Cala one nic nie znaczą, ale dla mnie znaczą wszystko. A takich imion są setki, tysiące, miliony. Miliony niewyrównanych krzywd.

Cal nie odpowiada i spodziewam się dostrzec w jego oczach taką samą wściekłość, jaka wypełnia mnie. Jednak zamiast tego widzę smutek. Cal znów odzywa się szeptem, a to, co mówi, sprawia, że pragnę upaść i już nigdy się nie podnieść.

– Żałuję, że nie jest inaczej.

Czekam na iskry, na wzbierającą we mnie błyskawicę, ta jednak nie przychodzi. Gdy czuję na karku zimne dłonie, a na nadgarstkach metalowe kajdany, rozumiem dlaczego. Instruktor Arven, Uciszac, ten, który potrafi uczynić z nas zwykłych ludzi, stoi za mną i tłumi moją moc, przemieniając mnie w zwyczajną zapłakaną dziewczynę. Odebrał mi wszystko, całą siłę i wszystkie umiejętności,

które miałam. „Przegrałam”. Tym razem kolana odmawiają mi posłuszeństwa i nie ma nikogo, kto mógłby mnie przytrzymać. Jak przez mgłę słyszę okrzyk Mavena, który w następnej chwili również leży na ziemi.

– Bracie! – woła, usiłując zwrócić na siebie uwagę Cala. – Zabij ją! Zabij *mnie*! – Cal jednak już nas nie słucha. Rozmawia z jednym ze swoich kapitanów, a ja nawet nie staram się pochwycić ich słów. Stoją za daleko, ale nawet gdyby znajdowali się bliżej, nie obchodziłoby mnie to, o czym rozmawiają.

Ziemia pode mną wydaje się trząść za każdym razem, gdy gdzieś w tunelach pada kolejny strzał. Ile krwi spłynie tej nocy kanałami?

Głowa mi ciąży, mięśnie wiotczeją ze zmęczenia, leżę więc bezwładnie i policzkiem przywieram do płyty. Są zimne i gładkie, ich dotyk przynosi ukojenie. Maven upadł obok mnie twarzą do dołu. „Pamiętam podobną chwilę.” Krzyk Gisy i trzask gruchotanych kości wracają do mnie niczym upiór przeszłości.

– Weźcie ich do środka, zaprowadźcie do króla. On osądzi oboje.

Nie poznaję już głosu Cala. Zmieniłam go w potwora. Przycisnęłam do muru. Zmusiłam, żeby wybierał. Byłam niecierpliwa, niemądra. Pozwoliłam sobie mieć nadzieję.

„Jestem głupia”.

Za głową Cala zaczyna wschodzić słońce, oblewając jego sylwetkę blaskiem wstającego świtu. Jest zbyt jasny, zbyt ostry, przedwczesny; muszę zamknąć oczy.

ROZDZIAŁ 26

Z trudem wytrzymuję tempo narzucane przez żołnierza, który idąc za mną i trzymając za skute kajdanami ręce, nie przestaje mnie popychać. Drugi w ten sam sposób przynagla maszerującego obok Mavena. Pochód zamyka Arven, pilnując, żebyśmy nie zdołali się wymknąć. Jego obecność jest niczym ciemna chmura przytępiająca zmysły. Korytarze, które przemierzamy, są puste, nie ścigają nas wścibskie spojrzenia dworzan, ale nawet gdyby było inaczej, nie miałabym siły się tym przejmować. Cal kroczy na przodzie, ramiona ma napięte i wygląda, jak gdyby powstrzymywał się, żeby nie spojrzeć za siebie.

W głowie cały czas słyszę wystrzały, krzyki i chlupot krwi. „Oni nie żyją. My nie żyjemy. To koniec”.

Spodziewam się, że będziemy prowadzeni w dół, do najciemniejszych lochów świata, Cal jednak wiedzie nas po schodach w górę, do pomieszczenia, w którym nie ma okien ani wartowników. Nie słychać tam nawet naszych kroków – pokój jest dźwiękoszczelny. Nikt z zewnątrz nie usłyszy tego, co tutaj się dzieje. I to przeraża mnie bardziej niż broń, ogień czy wściekłość wstrząsająca królem.

Tyberiasz stoi pośrodku sali, ma na sobie pozłocaną zbroję i koronę. U jego boku wisi paradny miecz oraz pistolet, którego prawdopodobnie nigdy nie używał. „Wszystko na pokaz. Wszystko po to, żeby zrobić odpowiednie wrażenie”.

Królowa również jest obecna, czeka na nas ubrana jedynie w cienką białą suknię. Gdy tylko stajemy w drzwiach, spogląda mi w oczy i wpija się w mój umysł niczym drapieżnik w ciało ofiary. Wydaję skowyt, usiłuję chwycić się za głowę, ale kajdany krępują moje ruchy.

Znów przed oczami przebiega mi cała historia, od początku do końca. Wóz Willa. Gwardia. Kilorn. Zamieszki, spotkania, sekretne wiadomości. We wspomnieniach pojawia się twarz Mavena, odcina się wyraźnie na tle innych zdarzeń i postaci, ale Elara go odpycha. „Nie chce oglądać moich wspomnień o nim”. Mój umysł wyje, obrazy przeskakują jeden za drugim, dopóki całe moje życie, każdy pocałunek i każda tajemnica nie zostają obnażone przez królową.

Kiedy Elara kończy, czuję się martwa. Chcę być martwa. „Przynajmniej to jedno marzenie spełni się dość szybko”.

– Wyjdźcie – rzuca Elara ostrym, władczym tonem. Żołnierze czekają, patrzą na Calą. Kiedy ten przytakuje skinieniem głowy, odmaszerowują, a po korytarzach niesie się równomierny stukot ich kroków. Arven jednak zostaje, jego moc nadal mnie obezwładnia. Gdy tupot żołnierskich butów milknie w oddali, król pozwala sobie na głębokie westchnienie.

– Synu? – Spogląda na Calę, a ja zauważam, że palce nieznacznie mu drżą, nie mam jednak pojęcia, czego mógłby się obawiać. – Chcę to usłyszeć od ciebie.

– Od dawna w tym uczestniczyli – mówi cicho Cal, z trudem wykrztuszając słowa. – Odkąd ona się tu zjawiała.

– Oboje? – Tyberiasz przenosi wzrok z ukochanego na zapomnianego syna. Wydaje się niemal smutny, minę ma pochmurną i zboląłą. Nie umie spojrzeć Mavenowi prosto w oczy, za to Maven wpatruje się z mocą w twarz ojca. „Nie waha się”. – Wiedziałeś o tym, chłopcze?

Maven przytakuje.

– Pomogłem to zaplanować.

Tyberiasz zatacza się, jak gdyby syn wymierzył mu powalający cios.

– A zamach na sali balowej?

– Wskazałem cele.

Cal zaciska powieki, nie chce dopuścić do siebie słów brata.

Maven przenosi spojrzenie z ojca na stojącą obok Elarę. Matka i syn wpatrują się w siebie przez chwilę, podejrzewam, że królowa zagląda w jego myśli, ale zaraz uzmysławiam sobie, iż Elara tego nie robi. „Nie zdobędzie się na to”.

– Powiedziałeś mi, żebym znalazł jakiś cel w życiu, ojcze. Tak właśnie zrobiłem. Jesteś ze mnie dumny?

Tyberiasz zwraca się jednak nie do niego, ale do mnie, rycząc niczym rozjuszony niedźwiedź.

– To przez ciebie! Zatrąłeś go, zatrąłeś mojego chłopca! – Gdy widzę napływające do oczu króla łzy, wiem, że jego serce, jakkolwiek małe czy oziębłe, pęka z żalu. „Na swój sposób kocha Mavena. Ale teraz już na to za późno”. – Odebrałaś mi syna!

– Straciłeś syna nie przeze mnie, ale przez to, co sam robiłeś – cedzę przez zaciśnięte zęby. – Maven kieruje się głosem swojego serca i wierzy w lepszy świat równie mocno jak ja. Jeśli ktoś kogoś tu zmienił, to twój syn mnie.

– Nie wierzę ci. Nakłoniłaś go do tego wszystkiego jakimś podstępem.

– Ona nie kłamie.

Oddech zamiera mi w piersiach, gdy słyszę, że Elara zgadza się ze mną.

– Nasz syn zawsze pragnął zmiany. – Królowa wpatruje się w Mavena, a w jej głosie wydaje się pobrzmiwać lęk. – To jeszcze chłopiec, Tyberiaszu.

„Uratuj go!”, krzyczę do niej w myślach. Musi mnie słyszeć. *Musi*.

Stojący obok mnie Maven z sykiem wciąga powietrze, czekając na rozstrzygnięcie, które może oznaczać nasz koniec.

Tyberiasz wbija wzrok w podłogę, zna prawo lepiej niż ktokolwiek z nas, i tylko Cal ma wystarczająco dużo siły, żeby wytrzymać spojrzenie brata. Widzę, że przypomina sobie wszystko, co łączy go z Mavenem. „Płomień i cień. Nie mogą istnieć bez siebie”.

Zapada długa, gorąca, dławiąca chwila milczenia, po czym król kładzie dłoń na ramieniu Cala. Kołysze głową w przód i tył, łzy spływają mu po policzkach na brodę.

– Może i jest jeszcze chłopcem, ale zabijał. Razem z tą... zmią – wskazuje mnie drżącym palcem – dopuścił się najcięższych zbrodni przeciwko własnemu ludowi. Przeciwko *mnie* i tobie. Przeciwko naszej koronie.

– Ojczy... – Cal przesuwają się, żeby stanąć między królem i nami. – To twój syn. Musi być inne rozwiązanie.

Tyberiasz nieruchomieje, w jednej chwili przestaje być ojcem i znów staje się władcą. Szybkim ruchem dłoni ociera łzy.

– Kiedy moja korona spocznie na twojej głowie, zrozumiesz.

Oczy królowej zwężają się w dwie niebieskie szparki. „Jej oczy, takie same jak Mavena”.

– Na szczęście nigdy do tego nie dojdzie – oświadcza wprost.

– Co? – Tyberiasz odwraca się do niej, ale zatrzymuje się w połowie ruchu, zastyga niczym posąg.

Widziałam coś podobnego już wcześniej. Na arenie, dawno temu, kiedy Szeptacz zwyciężył Siłacza. Doświadczyłam tego również na sobie, gdy Elara zrobiła ze mnie marionetkę. Teraz po raz kolejny to ona pociąga za sznurki.

– Elaro, co ty wyprawiasz? – syczy król przez zaciśnięte zęby.

Nie słyszę jej słów, ponieważ przemawia jedynie w głowie Tyberiasza, ale jemu nie podoba się ta odpowiedź.

– Nie! – krzyczy, a jednocześnie zmuszony szeptami opada na kolana.

Cal wybucha gniewem, jego pięści zmieniają się w kule ognia, ale Elara wyciąga rękę i zatrzymuje go w miejscu. Ma ich obu w garści.

Tyberiasz walczy, zaciska zęby, lecz nie może się poruszyć choćby o centymetr. Z trudem dobywa z siebie słowa:

– Elaro. Arven...!

Jednak mój dawny instruktor nawet nie drgnie. Stoi spokojnie i przygląda się całej scenie. Najwyraźniej sprzyja nie królowi, lecz królowej.

„Ratuje nas. Żeby ocalić życie syna, uratuje nas oboje”. Liczyliśmy, że miłość Cala do mnie okaże się wystarczająco silna, aby zmienić świat; powinniśmy byli zwrócić się do królowej. Mam ochotę uśmiechnąć się, a nawet wybuchnąć śmiechem, ale coś w twarzy Cala sprawia, że uczucie ulgi nie nadchodzi.

– Julian mnie ostrzegął – warczy Cal, usiłując się uwolnić z niewidzialnego uścisku. – Myślałem, że kłamał, mówiąc o tobie, o mojej matce, o tym, co jej zrobiłaś.

Król, który wciąż pozostaje na klęczkach, wydaje z siebie jęk, koszmarny skowyt, którego wolałabym nigdy więcej nie słyszeć.

– Coriane – zawodzi ze spuszczoną głową. – Julian wiedział. Sara wiedziała. Ukarłaś ją za to, że powiedziała prawdę.

Na czoło Elary występują krople potu. Jeszcze chwila i nie zdoła utrzymać króla i księcia naraz.

– Elaro, musisz wyprowadzić stąd Mavena – rzucam. – Nie przejmuj się mną, zabierz go w bezpieczne miejsce.

– Och, nie martw się, dziewczuszko od błyskawic – drwi. – Nie przejmuję się tobą wcale. Chociaż twoja lojalność wobec mojego syna jest dość ujmująca. Nieprawdaż, Mawenie? – Zerka przez ramię na syna wciąż zakutego w kajdany.

W odpowiedzi Maven napręży ramiona i ze zdumiewającą łatwością przerywa łańcuch. Metalowe obręcze na jego nadgarstkach topią się, krople gorącego żelaza ściekają mu z rąk i spadają na podłogę, wypalając w niej dziury. Gdy rusza przed siebie, spodziewam się, że obroni mnie, uratuje tak samo jak ja próbuję uratować jego, uzmysławiam sobie jednak, iż Arven nadal ma nade mną kontrolę. Znajome mrowienie iskier, dreszcz elektryczności nie wróciły. Instruktor więzi mnie, chociaż uwolnił Mavena.

Gdy krzyżują się spojrzenia moje i Cala, wiem, że on rozumie z tego wszystkiego o wiele więcej niż ja. „Każdy może zdradzić każdego”. Te słowa rozbrzmiewają w moich uszach coraz głośniej, aż w końcu przeradają się w ogłuszający szum przypominający wycie porywistego wiatru.

– Maven? – Muszę podnieść głowę, żeby popatrzeć mu w twarz i w pierwszej chwili nie poznać go. To ten sam chłopak, który mnie pocieszał, całował, dodawał mi sił. Mój przyjaciel. „Więcej niż przyjaciel”. Ale coś jest z nim nie tak. Coś się zmieniło. – Maven, pomóż mi wstać.

Księżę powoli porusza ramionami, żeby je rozmasować. Jego ruchy wydają się ospałe i dziwne, a gdy odwraca się w moją stronę i opiera ręce na biodrach, mam wrażenie, że widzę go po raz pierwszy. „Ma lodowate spojrzenie”.

– Niestety nic z tego.

– Co? – Mój głos brzmi obco. Jak gdyby należał nie do mnie, ale do jakiejś dziewczynki. „Jestem tylko zwykłą dziewczynką”.

Maven nie odpowiada, ale też nie odwraca wzroku. Chłopiec, którego znam, nadal tam jest, ukrywa się, czai gdzieś na dnie duszy. „Gdybym umiała do niego dotrzeć...”, ale on jest szybszy ode mnie i odpycha mnie, gdy wyciągam do niego rękę.

– Kapitanie Tyros! – grzmi Cal, który nadal może mówić. Elara nie odebrała mu jeszcze głosu. Nikt jednak nie zjawia się na wezwanie, nikt nas nie słyszy. – KAPITANIE TYROS! – Znow rozlega się wołanie, na które nikt nie odpowiada. – Evangeline! Ptolemejuszu, straż, na pomoc!

Elara z lubością wsłuchuje się w ryk Cala, Maven jednak wzdryga się.

– Musimy tego słuchać? – pyta.

– Nie, nie musimy – wzdycha królowa, po czym przekrzywia głowę. Posłuszne jej myślom ciało Cala rusza do przodu, w stronę ojca.

Oczy Cala otwierają się szeroko, widać w nich przerażenie.

– Co robisz?

Twarz króla pochmurnieje.

– Czyż to nie oczywiste?

„Nic nie rozumiem. Nie rozumiem tego miejsca ani tych ludzi. Julian miał rację. Tutaj toczy się gra, której nie pojmuję i w którą nie umiem grać”. Żałuję, że nie ma przy mnie nauczyciela, który wytłumaczyłby mi to wszystko, pomógłby mi, uratował mnie. Jednak nikt nie pojawia się z odsieczą.

– Maven, proszę – zaklinam, usiłując sprawić, żeby na mnie spojrzał. On jednak odwraca się do mnie plecami, koncentruje uwagę na matce oraz ojcu i bracie, których zdradził. „To syn swojej matki”.

Elary nie obchodziło nawet to, że Maven był w moich wspomnieniach. Nie obchodziło jej, że uczestniczył we wszystkim. Nie wydawała się tym zdziwiona. W tym momencie nasuwa mi się przerażająco prosta odpowiedź. „Ponieważ ona doskonale o tym wiedziała. Ponieważ to jej syn. Ponieważ od początku taki miała plan”. Ta myśl dotyka mnie do żywego, pali niczym rozżarzone żelazo, ale ból, który czuję, sprawia jedynie, że rzeczywistość staje się bardziej wyraźna.

– Wykorzystałeś mnie.

Maven w końcu raczy na mnie spojrzeć.

– Nareszcie się połapałaś, co?

– Wybrałaś cele. Pani pułkownik, Reynald, Belicos, nawet Ptolemejusz nie byli wrogami Gwardii, ale twoimi. – Pragnę rozerwać go na strzępy, choćby nawet gołymi rękami. Chcę, żeby cierpiał.

W końcu dociera do mnie znaczenie słów Juliana. „Każdy może zdradzić każdego”.

– A dzisiejszy zamach był kolejną intrygą. Popchnąłeś mnie do tego, chociaż wiedziałeś, że to niemożliwe, że Cal nigdy nie zdradzi ojca! Przekonałeś mnie i ci uwierzyłam. Wszyscy ci

uwierzyliśmy.

– Nie moja wina, że byliście na tyle głupi, aby tańczyć, jak wam zagram – odpowiada. – To koniec Gwardii.

Czuję się, jak gdyby uderzył mnie pięścią w brzuch.

– Byli twoimi przyjaciółmi. *Zaufali* ci.

– Byli zagrożeniem dla mojego królestwa i byli głupcami – odparowuje. Pochyla się nade mną, jego usta wykrzywia ohydny uśmiech. – *Byli*.

Elara śmieje się, słysząc okrutny żart.

– Nietrudno było się wśliznąć między was. Wystarczył jeden sentymentalny służący. Naiwność i głupota nie znają granic.

– Uwierzyłam ci – powtarzam szeptem, przypominając sobie wszystkie kłamstwa, którymi mnie karmił. – Myślałam, że chcesz nam pomóc. – Mój głos przypomina jęk skrzywdzonego dziecka. Błede rysy księcia łagodnieją, ale tylko na ułamek sekundy.

– Głupia dziewczyno – prycha Elara. – Twoja bezmyślność niemal wszystko popsuła. Wykorzystałaś własnego strażnika, żeby pomóc więźniom w ucieczce, do tego te notoryczne awarie prądu. Naprawdę miałaś mnie za idiotkę, sądziłaś, że nie wpadnę na twój trop?

Otępiała kręcąc głową.

– Pozwoliłaś mi na to. Wiedziałaś o wszystkim.

– Oczywiście, że wiedziałam. Jak inaczej udałoby ci się zejść tak daleko? Musiałam zacierać za tobą ślady, chronić cię przed każdym na tyle przytomnym, żeby rozpoznać wskazówki – warczy niczym dzikie zwierzę. – Nie masz pojęcia, ile trudu sobie zadałam, żeby cię osłonić. – Na jej policzki wypływa blady rumieniec rozkoszy, widać, że smakuje każdą sekundę. – Ty jednak jesteś Czerwona i jak wszyscy twoi pobratymcy skazana na porażkę.

Nagle wszystko rozumiem, wspomnienia układają się w logiczną całość. Powinna być wiedzieć, w głębi duszy przeczuwać, że nie mogę zaufać Mavenowi. „Był zbyt idealny, zbyt odważny i dobry. Odwrócił się od swoich, żeby wstąpić do Gwardii. Popchnął mnie w ramiona Cala. Dawał mi dokładnie to, czego chciałam, i to mnie zaślepiło”.

Mam ochotę krzyczeć i płakać, ale jedynie spoglądam na Elarę.

– Powiedziałaś mi, jak ma ze mną rozmawiać – szepczę. Królowa nie musi przytakiwać, i tak wiem, że mam rację. – Poznałaś mnie i wiedziałaś – głowa boli mnie na wspomnienie, jak plądrowała w moich myślach – doskonale wiedziałaś, jak mnie przekonać.

Nic nie rani mnie bardziej niż beznamiętny wyraz twarzy Mavena.

– Czy cokolwiek, co mówiłeś, było prawdą?

Gdy kręci głową, wiem, że teraz również kłamie.

– Nawet Thomas?

Chłopiec spotkany na froncie, który zginął, walcząc w nie swojej wojnie. „Miał na imię Thomas i widziałem, jak umiera”.

Imię przebija się przez maskę chłodnej obojętności, kruszy ją na moment, ale to za mało. Maven wzrusza ramionami, jak gdyby strzepywał z siebie zarówno to imię, jak i ból, który wywołuje.

– Kolejny martwy chłopak. Nie ma żadnego znaczenia.

– Ma ogromne znaczenie – szepczę do siebie.

– Chyba pora się pożegnać, Maven – wtrąca Elara, kładąc białą dłoń na barku syna. Trafiłam w czuły punkt i królowa nie będzie czekać, aż poruszę następną strunę.

– Nie mam z kim – mówi cicho i odwraca się do Tyberiasza. Jego niebieskie oczy ślizgają się po koronie, mieczu, zbroi, wszędzie, byle tylko nie zatrzymać się na twarzy ojca. – Nigdy na mnie nie patrzyłeś. Nigdy mnie nie widziałeś. Liczył się tylko *on*. – Gwałtownym skinieniem wskazuje Cala.

– Wiesz, że to nieprawda, Maven. Jesteś *moim synem*. Nic tego nie zmieni. Nawet ona – odpowiada król, spoglądając na Elarę. – Nawet to, co zamierza zrobić.

– Najdroższy, nie zamierzam nic robić – szczebiocze. – Ale jeśli chodzi o twojego ukochanego chłopca – otwartą dłonią uderza Cala w twarz – o idealnego następcę tronu – uderza go ponownie, tym razem mocniej – o syna Coriane... – Kolejne uderzenie przecina mu wargę, na której pojawia się krew. – Za niego nie mogę ręczyć.

Smużka gęstej srebrnej krwi spływa po brodzie Cala. Maven patrzy na twarz brata i jego rysy zdają się pochmurnieć.

– My również mieliśmy syna, Tybi – dyszy Elara z wściekłością i wpatruje się w króla. – Niezależnie od tego, co czułeś do mnie, jego miałeś obowiązek kochać.

– *Kochałem!* – woła król, nadal usiłując się wyrwać z jej niewidzialnego uchwytu. – Kocham.

Wiem, jakie to uczucie, gdy jest się odrzuconym, gdy stoi się w cieniu drugiej osoby. Ale ta potworna scena, ten wszechogarniający, niszczycielski gniew nie mieści mi się w głowie. Maven kocha ojca, kocha brata – jak może na to pozwolić? Jak może tego wszystkiego *pragnąć*?

On jednak stoi nieruchomo, przygląda się, a ja nie potrafię znaleźć słów, które go poruszą.

Mimo wszystko nie spodziewam się tego, co dzieje się w następnej chwili pod wpływem szeptów Elary. Cal wbrew sobie wyciąga do przodu drżącą rękę. Usiłuje się oprzeć woli królowej, walczy z nią ze wszystkich sił, ale na darmo. Tej bitwy nie może wygrać. Gdy zaciska palce na złoconej rękojeści ojcowskiego miecza i wyciąga ostrze z pochwy, ostatni fragment układanki wskakuje na miejsce. Łzy spływają mu po policzkach i parują w zetknięciu z gorącą skórą.

– To nie ty – mówi Tyberiasz, nie odrywając oczu od zbolalej twarzy syna. Nie traci czasu na błaganie o litość. – Wiem, że to nie ty, synu. To nie twoja wina.

Nikt na to nie zasługuje. *Nikt*. W myślach sięgam po błyskawicę, a ona przychodzi. Porażam Elarę i Mavena i ratuję księcia oraz króla. Jednak nawet ta fantazja jest skażona porażką. Farley nie żyje. Kilorn nie żyje. Koniec rewolucji. Nie potrafię tego naprawić nawet w wyobraźni.

Miecz unosi się i drży w powietrzu trzymany rozdygotaną ręką Cala. Jest to broń co najwyżej paradna, ale jej ostra jak brzytwa klinga lśni złowrogo. Rozpalona płomiennym dotykem Cala stal czerwienieje, a fragmenty zdobionej rękojeści topią się między jego palcami. Złoto, srebro i żelazo spływają po wzniesionym ramieniu niczym łzy.

Maven wpatruje się w skupieniu w ostrze, ponieważ brak mu odwagi, aby w ostatniej chwili patrzeć na ojca. „Myślałam, że jesteś dzielny. Tak bardzo się myliłam”.

– Proszę – tylko tyle potrafi wykrztusić Cal. – Proszę.

W spojrzeniu Elary nie ma żalu ani skruchy. Czekala na ten moment od dawna. Kiedy miecz, połyskując, przecina powietrze, ciało i kość, królowa nawet nie drgnie.

Ciało króla z głuchym łoskotem upada na podłogę, głowa toczy się i zatrzymuje parę metrów dalej. Srebrna krew rozlewa się po posadzce, tworząc lustrzaną kałużę, która opiera się o czubki butów Cala. Księżę upuszcza topniejący miecz, a gdy ten z brzękiem ląduje na kamieniach, Cal osuwa się na kolana i kryje twarz w dłoniach. Korona ze stukotem turla się po podłodze, przetacza przez plamę krwi i zatrzymuje u stóp Mavena, jej zaostrome umazane posoką końce lśnią srebrzyście.

Gdy Elara wydaje okrzyk, uderza w płacz i zaczyna rozpaczać nad ciałem króla, niemal wybucham śmiechem porażona niedorzecznością tej sceny. „Czyżby zmieniła zdanie? Czy może zupełnie jej odbiło?” Jednak w następnym momencie słyszę pstryknięcia kamer, które wracają do życia. Spoglądają na nas ze ścian, kierują spojrzenia na zwłoki monarchy i na królową, która wydaje się opłakiwać zmarłego męża. Stojący u boku matki Maven kładzie rękę na jej ramieniu i woła:

– Zabiłeś go! Zabiłeś króla! Zabiłeś naszego ojca! – wrzeszczy Calowi w twarz, a na jego ustach igra jedynie cień pełnego wyższości uśmiechu. Cal nie urywa bratu głowy. Jest w szoku, nie rozumie, nie chce zrozumieć, co właściwie się dzieje. Ale choć raz ja pojmuje wszystko.

Prawda się nie liczy. Liczy się tylko to, w co wierzą ludzie. Julian próbował nauczyć mnie tego już wcześniej, ale dopiero teraz dociera do mnie sens jego słów. Uwierzą w to widowisko, w to przedstawienie odgrywane przez obłudnych aktorów. I żadna armia, żaden kraj nie pójdzie za człowiekiem, który zamordował ojca dla władzy.

– Uciekaj, Cal! – krzyczę, usiłując wyrwać go z otępienia. – Musisz uciekać!

Arven w końcu mnie uwolnił, znów czuję energię pulsującą w żyłach i rozlewającą się po moim ciele niczym rzeka ognia wdzierająca się na lodową skorupę. Bez najmniejszego wysiłku uderzam w metalowe kajdany, palę je iskrami i strząsam z nadgarstków. Dobrze znam to uczucie. I dobrze znam odruch, który się we mnie wyzwala. „Uciekaj. Uciekaj. *Uciekaj*”.

Chwytam Cala za ramię, próbuję go podnieść, ale ten osiłek nawet nie drgnie. Wtedy porażam go lekko, żeby przyciągnąć jego uwagę, po czym znów wołam:

– UCIEKAJ!

To wystarcza. Cal dźwiga się na nogi i niemal ślizga w kałuży krwi. Spodziewam się, że Elara rzuci się na nas, będzie usiłowała zabić mnie lub Cala, ona jednak nie przestaje odgrywać dramatycznej sceny na użytek rejestrujących wszystko kamer. Maven stoi nad matką z zaciśniętymi, płonącymi pięściami, gotów bronić jej, jeśli zajdzie taka potrzeba. Nawet nie próbuje nas zatrzymać.

– Nie macie dokąd uciec! – woła, ale ja pędzę już w stronę wyjścia, ciągnąc za sobą Cala. – Jesteście mordercami, zdrajcami i spotka was sprawiedliwa kara!

Jego głos, głos, który znałam kiedyś tak dobrze, wydaje się ścigać nas, gdy wypadamy przez drzwi i mkniemy korytarzem. Głosy, które słyszę w głowie, rozbrzmiewają równie głośno.

„Głupia dziewczyna. Naiwna. Zobacz, dokąd zaprowadziła cię nadzieja”.

W następnym momencie to Cal ciągnie mnie za sobą, zmuszając do dalszego wysiłku. Gorące łyżki gniewu, złości i żalu napływają mi do oczu i po chwili nie widzę już nic prócz jego palców ściskających moją dłoń. Nie mam pojęcia, dokąd mnie prowadzi. Jedyne, co mogę, to biec za nim.

Z tyłu rozlega się znajomy tupot żołnierskich butów. Straże, wartownicy, żołnierze, wszyscy rzucili się w pościg, są coraz bliżej.

Podłoga pod naszymi stopami zmienia się, wypolerowane parkiety salonów zastępują lśniące marmurowe płyty sali bankietowej. Drogę tarasują nam długie stoły zastawione wytworną porcelaną, Cal jednak odrzuca je na bok ognistymi pociskami. Dym uruchamia system alarmowy, z sufitu zaczyna padać sztuczny deszcz, gasząc płomienie. Krople uderzające o skórę Cala syczą i parują, spowijając go białymi kłębamii mgły. Wygląda jak duch dręczony myślą o życiu, które nagle mu odebrano, i nie wiem, jak mogłabym go pocieszyć.

Czas wydaje się zwalniać, gdy na końcu sali dostrzegam szare mundury i czarną broń. Teraz już naprawdę nie mam dokąd uciec. Muszę walczyć.

Przechodzi mnie dreszcz energii, błyskawica tylko czeka, aż ją uwolnię.

– Nie – Cal odzywa się głuchym, zrezygnowanym głosem. Opuszcza ręce, ogień wokół jego dłoni gaśnie. – Nie damy rady wygrać.

„Ma rację”.

Nadchodzą ze wszystkich stron, wlewają się przez drzwi, wyłaniają ze sklepionych przejść, stoją nawet w oknach. Setki Srebrnych, uzbrojonych po zęby, gotowych zabijać. „Jesteśmy w pułapce”.

Cal omiata spojrzeniem otaczających nas ludzi, zatrzymuje się dłużej na twarzach żołnierzy. „Jego żołnierzy”. Wpatrują się w niego gniewnie i wiem, że widzieli przerażające widowisko stworzone przez Elarę. Przestali ufać swojemu dowódcy, złamano ich tak samo, jak złamano jego. Jeden z nich,

kapitan, drży na widok Cala. Ku mojemu zdumieniu nie wyjmuje broni, gdy wysuwa się naprzód i podchodzi do nas.

– Mamy nakaz was aresztować – oznajmia, jego dłonie się trzęsą.

Cał spogląda w oczy staremu przyjacielowi i przytakuje skinieniem głowy.

– Proszę nas aresztować, kapitanie Tyros.

„Uciekaj!”, woła każdy mężczyzna. Ale tym razem nie mogę. Stojący obok mnie Cał wydaje się równie sparaliżowany, a w jego spojrzeniu maluje się niewysłowny ból. Rany, które dzisiaj otrzymał, przeszły jego duszę na wylot.

On również coś dzisiaj zrozumiał.

ROZDZIAŁ 27

Maven mnie zdradził. „Nie, on nigdy nie był po mojej stronie”.

Oczy przyzwyczajają się do ciemności, w półmroku dostrzegam kraty. Ciężki strop wisi nisko nade mną, powietrze jest gęste, typowe dla podziemi. Nigdy wcześniej nie byłam w tym miejscu, ale mimo to poznaję je.

– Kościńiec – szepczę do siebie, myśląc, że jestem sama.

W tym momencie rozlega się czyjś śmiech.

Mrok rzędzie, widzę coraz wyraźniej. W celi obok, oparta plecami o oddzielające nas pręty siedzi skulona postać. Jej ramiona drgają od śmiechu.

– Miałem cztery lata, gdy przyszedłem tu po raz pierwszy, Maven miał zaledwie dwa. Chował się za spódnicą mamy, bał się ciemności i pustych cel – chichocze Cal, a każde słowo tnie powietrze niczym nóż. – Zdaje się, że już nie boi się ciemności.

– Nie boi się.

„Jestem cieniem rzucanym przez płomień”. Uwierzyłam Mavenowi, kiedy to powiedział, kiedy mówił, jak bardzo nienawidzi tego świata. Teraz wiem, że to był podstęp, przebiegła sztuczka. Każde słowo, każdy dotyk, każde spojrzenie było kłamstwem. „A ja myślałam, że to ja jestem oszustką”.

Instynktownie uruchamiam zdolność, usiłując wyczuć drgania elektryczności, coś, co wlałoby we mnie choć trochę energii. Wokoło jednak nie ma nic. Wyczuwam jedynie pustkę, nieobecność, bezkresną próżnię, od której przechodzą mnie ciarki.

– Czy Arven jest w pobliżu? – Zastanawiam się, pamiętając, jak stłumił moje umiejętności i zmusił, bym przyglądała się bezczynnie, podczas gdy Maven i jego matka niszczyli swoją rodzinę. – Nic nie czuję.

– To przez lochy – odpowiada ponuro Cal. Na zakurzonej podłodze kreśli palcem kształty: płomień. – Zbudowane z Cichego Kamienia. Nie każ mi tego tłumaczyć, nie mam na to siły ani ochoty.

Podnosi spojrzenie i wpatruje się w nieskończenie długi rząd mrocznych cel. Powinnam się bać, ale właściwie nie mam już czego. Najgorsze już się stało.

– Zanim rozpowszechniły się pojedynki, w czasach gdy musieliśmy przeprowadzać egzekucje na swoich, w Kościńcu kończyły potwory w ludzkiej skórze. Wielki Greco, który rozdzierał ludzi na pół i zjadał ich wątroby. Trucicielka. Była Żywiaczką z domu Viper i w noc poślubną wpuściła węże do łóża mojego stryjecznego prapradziada. Ponoć od ich ukąszeń jego krew zmieniła się w jad. – Cal wylicza osławionych przestępców z historii swojego świata, choć dla mnie to wszystko brzmi jak bajki dla niegrzecznych dzieci. – Teraz my. Zdradziecki Książę, tak mnie nazwą. Zabił ojca, żeby przejąć koronę. Nie mógł się już doczekać.

Nie potrafię się powstrzymać, żeby nie dodać czegoś od siebie do tej opowieści.

– Namówiła go do tego ta wiedźma, będą szeptać. – Już słyszę te plotki powtarzane na ulicach, nadawane z ekranów wideo. – Będą winić za to mnie, dziewczuszkę od błyskawic. To ja zatrułam twoje myśli, sprowadziłam cię na złą drogę. Namówiłam cię.

– Prawie ci się udało – odburkuje. – Prawie wybrałem cię dzisiaj rano.

„To stało się dziś rano? Niemożliwe”. Podnoszę się, opieram o kraty i siadam zaledwie parę centymetrów od Cala.

– Zabiją nas.

Cal przytakuje skinieniem głowy i znów wybucha śmiechem. Słyszałam jego śmiech już wcześniej, za każdym razem, gdy usiłowałam z nim tańczyć, ale tym razem brzmi on inaczej. Nie ma w nim odrobiny ciepła, została tylko pustka.

– Król tego dopilnuje. Zostaniemy straceni.

„Egzekucja”. Nie jestem w najmniejszym stopniu zdziwiona.

– Jak to zrobią? – Ledwie pamiętam ostatnią egzekucję. Kołaczą mi w głowie pojedyncze obrazy: srebrna krew na piasku, ryk tłumów. Pamiętam też szubienice w Palach, sznury kołysane gwałtownymi podmuchami wiatru.

Cal napręża ramiona.

– Istnieją różne sposoby. Mogą nas stracić jednocześnie lub po kolei, za pomocą mieczy, broni lub umiejętności albo przy użyciu wszystkich trzech metod. – Wzdycha, najwyraźniej pogodzony z losem. – Postarają się, żeby było boleśnie. I długo.

– Może zbryzgam krwią wszystko dookoła. To dałoby im do myślenia. – Ta ponura wizja wywołuje uśmiech na mojej twarzy. Kiedy umrę, zostawię po sobie ślad, plamę czerwonej krwi na piasku ogromnej areny. – Nie będzie mógł wtedy dalej ukrywać prawdy. Wszyscy się dowiedzą, kim w rzeczywistości jestem.

– Myślisz, że to cokolwiek zmieni?

Musi. Farley ma listę, znajdzie innych... Ale Farley nie żyje. Mogę jedynie mieć nadzieję, że przekazała spis imion komuś, kto ocalał. Istnieją inni i trzeba ich odnaleźć. Muszą podjąć walkę,

której ja nie mogę doprowadzić do końca.

– Myślę, że to nic nie zmieni – ciągnie Cal, przerywając ciszę, która na chwilę zapadła. – Myślę, że Maven wykorzysta to jako usprawiedliwienie. Zwiększy pobór, ustanowi nowe prawa, założy nowe obozy pracy. Jego matka wymyśli kolejne genialne kłamstwo i świat będzie wyglądał tak samo jak wcześniej.

„Nie. Nic nie będzie takie samo”.

– Maven będzie szukał innych takich jak ja – uzmysławiam sobie. Upadłam, przegrałam, jestem martwa. A świadomość, którą właśnie zyskałam, to ostatni gwóźdź do trumny. Głowa opada mi na piersi, zatapiam chude palce we włosach.

Cal porusza się, mocniej opiera się o kraty, które drżą pod jego ciężarem.

– Co?

– Istnieją inni. Julian to odkrył. Powiedział mi, jak ich znaleźć, i... – głos mi się łamie, nie potrafię dokończyć. – I ja przekazałam to Mavenowi. – Chce mi się wyć. – Wykorzystał mnie.

Cal odwraca się, by na mnie spojrzeć. Mimo że te przeklęte mury odebrały mu umiejętności, w jego oczach szaleje burza ogniowa.

– Jakie to uczucie? – Warczy, a jego nos niemal styka się z moim. – Jak to jest, kiedy ktoś cię wykorzysta, Mare Barrow?

Kiedyś oddałabym wszystko, żeby usłyszeć, jak nazywa mnie prawdziwym imieniem, teraz jednak wymawiając je, dotyka mnie do żywego. „Myślałam, że wykorzystuję ich obu, Mavena i Cala. Ależ byłam głupia”.

– Przykro mi – wyduszam z siebie. Gardzę tymi słowami, ale nie pozostało mi nic poza nimi. – Nie jestem Mavenem, Cal. Nie zrobiłam tego po to, żeby cię zranić. Nigdy nie chciałam cię zranić. – Po chwili wahania słyszę swój cichy, ledwie słyszalny szept: – Nie wszystko było kłamstwem.

Cal odwraca się, odrzuca głowę do tyłu i uderza nią w kraty z taką mocą, że musiało go zaboлеć, on jednak wydaje się tego nie zauważać. Tak samo jak ja przestał odczuwać ból i strach. Zbyt wiele przeszedł.

– Myślisz, że zabije moich rodziców? – „Siostrę, braci”. Choć raz cieszę się, że Shade nie żyje i Maven nie może już zrobić mu krzywdy.

Po moim ciele rozchodzi się ciepło, rozgrzewa drżące z zimna kości. Cal znów się poruszył i teraz opiera się o kraty tuż za moimi plecami. Ciepło, które od niego bije, jest delikatne, naturalne – nie wywołane gniewem czy umiejętnością. Jest ludzkie. Czuję jego oddech, bicie serca. Wali jak szalone, gdy Cal znajduje w sobie dość siły, aby mnie okłamać.

– Myślę, że będzie miał większe zmartwienia na głowie.

Wiem, że czuje, jak szloch wstrząsa moimi ramionami, ale nic nie mówi. Nie ma słów, które

mogłyby mnie pocieszyć. Nie rusza się jednak z miejsca, wlewa we mnie ostatnie krople ciepła w świecie, który owiewa zimny oddech śmierci. Opłakuję wszystkich. Farley, Tristana, Walsh, Willa. Bree, Tramy'ego, Gisę, mamę i tatę. *Wojowników, wszystkich poległych*. I Kilorna. Nie zdołałam go uratować, chociaż tak bardzo się starałam. Nie zdołałam nawet uratować siebie.

Przynajmniej mam kolczyki. – Metalowe drobiny wklute w moją skórę zostaną ze mną na zawsze. Umrę z nimi, a one ze mną.

Siedzimy oparci plecami o siebie przez wiele godzin, a przynajmniej tak mi się wydaje, ponieważ nie mamy czym zmierzyć upływającego czasu. W pewnym momencie nawet zapadam w drzemkę i wybudza mnie dopiero znajomy głos.

– W innym życiu mógłbym być zazdrosny.

Słowa Mavena sprawiają, że przechodzi mnie dreszcz, bardzo nieprzyjemny dreszcz.

Cal zrywa się na nogi szybciej, niż zdążę pomyśleć, i rzuca się na kratę z przodu celi z taką mocą, że metalowe pręty uginają się z jękiem. Nie ustępują jednak i Maven, przebiegły, odrażający, nikczemny Maven jest za nimi bezpieczny. Mimo to ku mojej uciechu wzdryga się i cofa.

– Oszczędzaj siły, bracie – zgrzyta zębami. – Wkrótce będą ci potrzebne.

Chociaż jego głowy nie zdobi jeszcze korona, przybiera iście królewską pozę. Ma na sobie mundur galowy ozdobiony nowymi medalami, które kiedyś należały do Tyberiasza; dziwię się, że nie są poplamione krwią. Maven jest jeszcze bledszy niż podczas naszego ostatniego spotkania, chociaż cienie, które miał pod oczami, zniknęły. Lepiej sypia, odkąd zaczął mordować.

– Czy to będziesz ty na arenie? – Cal nie odstępuje od krat i nadal zaciska dłonie na prętach. – Zrobisz to sam? Będziesz miał odwagę?

Chociaż w tym momencie niczego nie pragnę bardziej niż podbiec do krat, połamać metal gołymi rękami i złapać grdykę Mavena, nie znajduję dość siły, żeby wstać. Mogę jedynie przyglądać się wszystkiemu.

Maven śmieje się ponuro.

– Obaj wiemy, że nie pokonam cię umiejętnościami – odpowiada, powołując się na radę, którą dawno temu udzielił mu Cal. – Dlatego pokonam cię sprytem, drogi bracie.

Kiedyś powiedział mi, że Cal nienawidzi przegrywać. Teraz uzmysławiam sobie, iż jedyną osobą, która robi wszystko dla wygranej, jest Maven. Każdy jego oddech, każde słowo służyły tylko temu, aby przybliżyć go do krwawego zwycięstwa.

Głos Cala przetacza się niczym pomruk odległego grzmotu.

– Mavey – zwraca się do brata, ale w zdrobieniu nie słyhać już ani odrobiny miłości. – Jak mogłeś zrobić to ojcu? Mnie? Jej?

– Zamordowany król, wiarołomny książę. Tyle krwi – szyci Maven, pozostając w bezpiecznej

odległości od brata. – Całe miasto oplakuje naszego ojca. A przynajmniej udaje. – Wzrusza obojętnie ramionami. – Głupcy czekają, aż się potknę, a mądrzy wiedzą, że tego nie zrobię. Dom Samos, dom Iral od lat ostrzyły pazury, czekając na słabego króla, skorego do współczucia. Wiesz, że oblizywali się na twój widok? Tylko pomyśl, Cal. Za kilkadziesiąt lat ojciec oszczędłby pomału, spokojnie, a ty objąłbyś tron. Twoją żoną byłaby Evangeline, twarda jak stal i ostra jak nóż, a twoim doradcą stałby się jej brat. Nie przeżyłbyś dwóch dni po koronacji. Zrobiłaby to samo, co zrobiła matka, i na twoim miejscu osadziła własne dziecko.

– Nie próbuj mi wmówić, że uczyniłeś to, aby chronić naszą dynastię – prycha Cal, kręcąc głową.
– Zrobiłeś to dla siebie.

Maven ponownie wzrusza ramionami, a na jego wargi wypływa znaczący, okrutny uśmiech.

– Naprawdę tak bardzo cię to zdziwiło? Biedny Mavey, drugi książę. Cień swojego ognistego brata. Mało znaczący słabeusz, którego przeznaczeniem jest życie na uboczu, na kolanach.

Rusza przed siebie, przechodzi od celi Cala pod moją. Nie wstaję z podłogi, podnoszę jedynie spojrzenie. „Nawet pachnie jak lód”.

– Zaręczony z dziewczyną, która straciła głowę dla innego, dla tego lepszego, dla księcia, na którego zawsze wszyscy zwracali uwagę. – Jego słowa są przepełnione gniewem, zaprawione goryczą. Jednak kryje się w nich również prawda, trudna prawda, o której tak bardzo pragnęłam zapomnieć. Myśl o tym przyprawia mnie o dreszcze. – Odebrałeś mi wszystko, co powinno być moje, Cal. *Wszystko.*

W następnej chwili stoję, dygocę na całym ciele, ale mimo wszystko stoję. Okłamywał nas przez cały czas i nie mogę pozwolić, żeby znów mówił kolejne kłamstwa.

– Nigdy nie należałam do ciebie, a ty *nigdy* nie należałeś do mnie, Maven – rzucam. – I wcale nie z *jego* powodu. Myślałam, że jesteś idealny, myślałam, że jesteś silny, odważny i dobry. *Lepszy niż on.*

„Lepszy niż Cal”. Maven nie spodziewał się kiedykolwiek usłyszeć czegoś podobnego. Wzdryga się i przez sekundę widzę chłopaka, którego znałam. Chłopaka, który nie istnieje.

Wyciąga rękę i wsuwa ją między kraty. Gdy jego palce zaciskają się na gołej skórze mojego nadgarstka, czuję jedynie odrazę. Trzyma mnie mocno, jak gdybym była ostatnią deską ratunku. Coś w nim pękło i moim oczom ukazuje się zrozpaczone dziecko, żalosna, bezradna istota, która nie chce wypuścić z rąk swojej ulubionej zabawki.

– Mogę cię uratować.

Czuję, że przeszywa mnie dreszcz.

– Ojciec cię kochał, Mavenie. Nie widziałeś tego, ale tak było.

– To kłamstwo.

– Kochał cię, a ty go zabiłeś! – Potok słów wylewa się ze mnie niczym krew z rozciętej żyły. – Brat cię kochał, a ty uczyniłeś z niego mordercę. Ja... ja cię kochałam. Ufałam ci. Potrzebowałam cię. A teraz zapłacę za to życiem.

– Jestem *królem*. Będziesz żyła, jeśli zechcę. Mogę to zrobić.

– Oczywiście, o ile skłamię? Pewnego dnia udławisz się swoimi kłamstwami, królu Mavenie. Żałuję tylko, że nie dożyję tej chwili. – Teraz ja chwytam jego, przyciągam do siebie z całej siły tak, że uderza o kraty, po czym moja pięść dosięga jego kości policzkowej. Maven wydaje skowyt kopniętego szczeniaka. – Nigdy więcej nie popełnię tego błędu, żeby cię pokochać.

Ku mojemu przerażeniu Maven błyskawicznie dochodzi do siebie i przygląda włosy.

– Więc wybierasz jego?

„Tylko o to cały czas chodziło. O zazdrość. Rywalizację. O to, żeby cień pokonał płomień”.

Odrzucam głowę do tyłu i wybucham śmiechem, czując na sobie spojrzenia braci.

– Cal zdradził mnie, a ja zdradziłam jego. Ty zdradziłeś nas oboje po tysiąc razy. – Słowa są ciężkie niczym kamień, ale prawdziwe. „Prawdziwe do bólu”. – Nie wybieram nikogo.

Choć raz mam wrażenie, że to ja panuję nad ogniem, a Maven został przez niego pochłonięty. Potykając się, cofa się przede mną, przed dziewczuszką bez błyskawicy, która będąc zwykłą, zakutą w kajdany śmiertelniczką, zwyciężyła półboga.

– Co im powiesz, kiedy zacznę krwawić? – syczę za nim. – Prawdę?

Śmiech wstrząsa jego plecami. Mały chłopiec znika, a w jego miejsce znów pojawia się królobójca.

– Prawdą jest to, co ja nazwę prawdą. Mógłbym podpalić cały ten świat i nazwać pożar deszczem.

„I niektórzy w to uwierzą. Głupcy. Jednak inni nie dadzą się nabrać. Czerwoni i Srebrni, bogacze i ludzie prości, niektórzy potrafią rozpoznać prawdę”.

Głos Mavena przeradza się w groźny pomruk, na twarzy maluje się dzikość zwierzęcia.

– Zajmiemy się każdym, kto wie, że cię ukrywaliśmy, każdym, kto mógłby cokolwiek podejrzewać.

W głowie mi huczy, myśli biegną do wszystkich tych, którzy wiedzieli, że jest we mnie coś dziwnego. Maven mnie uprzedza i wydaje się rozkoszować wyliczaniem kolejnych ofiar.

– Pani Blonos oczywiście musiała odejść. Ścięcie głowy to sprawdzony sposób w wypadku Uzdrowicieli Ciała.

„Była starą, irytującą wiedźmą – ale nie zasłużyła na taki los”.

– Łatwiej poszło z pokojówkami. Ładne dziewczyny, siostry z Oldshire. Matka osobiście rozprawiała się z nimi.

„Nigdy nie poznałam ich imion”.

Opadam ciężko na kolana, ale nie czuję już bólu

– One o niczym nie wiedziały. – Moje błagania nie mają jednak najmniejszego sensu.

– Lucas również musi pożegnać się z życiem. – Na wargach Mavena igra uśmiech, białe zęby

lśnią w półmroku. – Będziesz miała okazję zobaczyć to na własne oczy.

Zbiera mi się na wymioty.

– Powiedziałaś, że jest bezpieczny, z rodziną...!

Maven zanosi się głośnym śmiechem.

– Kiedy w końcu zrozumiesz, że wszystko, co mówiłem, to *kłamstwo*?

– Zmusiliśmy go, Julian i ja. On niczego nie zrobił. – Czuję się okropnie, błagając o litość, ale nic innego nie przychodzi mi do głowy. – Należy do domu Samos. Nie możesz zabić jednego z nich.

– Mare, czy ty w ogóle mnie słuchasz? Mogę zrobić *wszystko* – odwarkuje. – Szkoda, że nie udało nam się ściągnąć Juliana na czas. Marzy mi się, żeby oglądał twoją śmierć.

Staram się stłumić szloch, przyciskam dłoń do ust. Obok mnie na wzmiankę o wuju Cal wydaje groźny pomruk.

– Znaleźliście go?

– Naturalnie. Pojmaliśmy Juliana i Sarę – chichocze Maven. – Jako pierwszą zabiję chyba ją, Uzdrowicielkę ze Skonosów, i dokończę to, co zaczęła moja matka. Znasz tę historię, prawda Cal? Wiesz, co zrobiła moja matka, jak szeptami doprowadziła Coriane do obłądu? – Przysuwa się do krat, toczy po nas szalonym, przerażającym wzrokiem. – Sara wiedziała. A twój ojciec i ty sam nie chcieliście jej wierzyć. Pozwoliłeś mojej matce zwyciężyć. I wtedy, i teraz.

Cal nie odpowiada, opiera czoło o pręty. Maven uradowany, że udało mu się pognębić brata, odwraca się do mnie i wolnym krokiem przemierza korytarz przed moją celą.

– Pozostali również umrą z krzykiem i twoim imieniem na ustach, Mare. Nie tylko twoi rodzice. Nie tylko twoje rodzeństwo. Również wszyscy tobie podobni. Znajdę ich i dopilnuję, aby konając, myśleli o tobie, wiedzieli, że to ty zgotowałaś im taki los. Jestem królem, a ty mogłaś być moją Czerwoną królową. Teraz jesteś *niczym*.

Nie staram się nawet otrzeć łez spływających mi po policzkach. Nie ma sensu. Maven rozkoszuje się tym widokiem i wsysa powietrze przez zęby, jak gdyby chciał skosztować mojej rozpacz i załamania.

– Żegnaj, Mavencie. – Chciałabym coś dodać, ale nie ma słów, którymi można by odpowiedzieć na tak potworną nikczemność. On dobrze wie, kim jest, i – co gorsza – dobrze mu z tym.

Pochyliła głowę, niemal składając nam ukłon. Cal nie patrzy na brata, jedynie chwytając za kraty i zaciska na nich palce, jak gdyby wyobrażał sobie, że obejmuje dłońmi krtań Mavena.

– Żegnaj, Mare. – Z twarzy młodego króla znika uśmiech i ze zdumieniem dostrzegam, że jego oczy wydają się wilgotnieć. Waha się, nie chce odejść. Mam wrażenie, iż nagle zrozumiał, co zrobił, i co wkrótce stanie się z nami wszystkimi. – Powiedziałem ci kiedyś, żebyś ukryła swoją prawdziwą naturę. Powinnaś była mnie posłuchać.

„Jak śmie”.

Mam trzech starszych braci, kiedy więc spluwam na Mavena, trafiam idealnie w sam środek oka.

Maven odwraca się szybko i prawie ucieka przed nami. Cał długo patrzy za bratem, nie potrafiąc wydobyć z siebie ani słowa. Ja mogę jedynie usiąść i pozwolić, żeby mój gniew ostygł. Kiedy Cal również osuwa się na podłogę i opiera się plecami o moje plecy, właściwie nie mamy już sobie nic do powiedzenia.

Wiele musiało się zdarzyć, żebyśmy znaleźli się właśnie w tym miejscu. Zapomniany syn, mściwa matka, wpływowy brat, nieznana mutacja – te i inne dramatyczne historie splotły się, tworząc prawdziwą tragedię.

*

W opowieściach, baśniach i legendach zawsze pojawia się jakiś bohater, który przybywa na ratunek. Jednak wszyscy moi bohaterowie albo odwrócili się ode mnie, albo umarli. Nikt mnie nie uratuje.

Prawdopodobnie rankiem kolejnego dnia do lochu wkraczają wartownicy prowadzeni przez samego Arvena. Trudno mi ustać na nogach w jego przytłaczającej obecności, ale strażę podnoszą mnie siłą.

– Wartowniku Provos, wartowniku Viper. – Cal pochyła głowę, gdy wartownicy otwierają jego celę. Brutalnie wyprowadzają go na korytarz, on jednak nawet teraz, w obliczu śmierci, zachowuje spokój.

Wita każdego mijanego wartownika i strażnika, zwracając się do nich po imieniu. Odpowiadają mu spojrzenia pełne gniewu lub zdumienia, a czasami jednego i drugiego. Królobójca nie powinien być tak uprzejmy. Jeszcze trudniejsze są spotkania z żołnierzami. Cal chce się zatrzymać, żeby się z nimi odpowiednio pożegnać, jednak oni na widok byłego generała sztywnieją i obojętnieją. Myślę, że to rani go nie mniej boleśnie niż wszystkie poprzednie zdarzenia. Po chwili milknie, tracąc resztkę nadziei. Idziemy cały czas w górę i gdy mrok korytarzy powoli zaczyna rzednąć, słyszymy coraz głośniejszy zgiełk zebranego w amfiteatrze tłumu. Z początku ten dźwięk jest odległy, ale z każdą sekundą zbliża się, narasta i w końcu rozlega tuż nad nami. Amfiteatr jest pełny i wszyscy czekają na widowisko.

To się zaczęło, gdy spadłam na arenę w Spiralnych Ogrodach i moje ciało roziskrzyło się po raz pierwszy, a skończy się tu, w Kościńcu, który opuszczę jako trup.

Strażnicy pilnujący porządku na arenie, Srebrni o zmętniałych spojrzeniach, obskakują nas niczym stado gołębi. Ciągną mnie za zasłonę, żeby przygotować do tego, co ma nadejść. Paroma szarpnięciami przebierają mnie w tańszą wersję kombinezonu treningowego, ale ja ledwie zwracam uwagę na ich szybkie i niedelikatne ruchy. To, że umrę w tak prostym ubiorze, ma być dla mnie zniewagą, ja jednak wolę chropowaty dotyk zwykłego płótna niż szelest wytwornych tkanin. Przypominają mi się moje pokojówki. Codziennie mnie malowały; wiedziały, że coś ukrywam. I dlatego nie żyją. Teraz nikt mnie nie maluje, nikt nawet nie kłopotczy się, żeby otrzeć mnie z kurzu, który przylgnął do mojej skóry podczas nocy spędzonej w lochu. „Znów przedstawienie”. Kiedyś zdobiły mnie jedwabie, klejnoty i wystudiowane uśmiechy, ale to nie pasuje do nowej wersji prawdy opracowanej przez Mavena. Czerwoną dziewczynę w łachmanach o wiele łatwiej zrozumieć i zabić.

Kiedy znów wypychają mnie na korytarz, widzę, że Calowi zrobiono to samo. Nie ma na sobie medali ani zbroi. Zostawiono mu jedynie bransoletę krzeszącą iskry. Ogień wokół jego nadgarstka płonie równomiernie, choć bez większego przekonania. Cal, dowódca pozbawiony armii, pogodził się ze śmiercią, nie zamierza jednak tanio sprzedać skóry.

Patrzemy sobie w oczy chociażby dlatego, że nie mamy gdzie patrzeć.

– Co nas tam czeka? – Cal odzywa się w końcu, przenosząc spojrzenie ze mnie na twarz Arvena.

Starszy mężczyzna, biały jak kreda, spogląda na swoich byłych uczniów bez cienia żalu. „Co mu obiecali w zamian za pomoc?” Ale już w następnej chwili znajduję odpowiedź na swoje pytanie. Odznaka widniejąca na piersi Arvena, korona wykonana z gagatu, diamentów i rubinów, należała kiedyś do Cala. Nie wątpię, że były instruktor otrzymał o wiele więcej niż ten klejnot.

– Byłeś księciem i generałem. Miłosierny król w swojej mądrości postanowił przynajmniej tobie darować przywilej odejścia w chwale. – Uśmiecha się, ukazując małe ostre zęby. „Zęby szczura”. – To będzie dobra śmierć, na którą zdrajcy nie zasługują. Jeśli chodzi o Czerwoną dziewczynę, oszustkę... – Wbija we mnie przerażające spojrzenie i koncentruje się. Przytłaczający ciężar jego umiejętności jest trudny do udźwignięcia i czuję, że kolana uginają się pode mną. – Nie będzie miała żadnej broni, umrze śmiercią, jaka się należy Czerwonej diablidy.

Otwieram usta, żeby zaprotestować, ale Arven zwięża oczy i pochyla się nade mną, owiewa mnie jego oddech pachnący jak trucizna.

– Rozkaz króla.

„Bez broni”. Chce mi się wyć. „Bez błyskawicy”. Arven nie wypuści mnie ze swoich szponów do samej śmierci. Słowa Mavena rozbrzmiewają mi w głowie: „Teraz jesteś niczym”. Umrę jak nikt, jak śmieć. Nie muszą ukrywać mojej krwi, jeśli przekonają wszystkich, że moje zdolności były oszustwem.

Jeszcze przed chwilą, w lochu, prawie nie mogłam się doczekać, aż wyjdę na piasek areny,

wystrzele blyskawicę prosto w niebo i zaraz potem wykrwawię się na śmierć. Teraz jednak dygoczę na całym ciele i pragnę stąd uciec, jednak nie pozwala mi na to moja przeklęta duma, jedyne, co mi zostało.

Cal bierze mnie za rękę. On również drży, boi się śmierci. „Przynajmniej będzie mógł walczyć”.

– Będę cię ochraniał najdłużej, jak zdołam – szepcze. Jego słowa niemal giną zagłuszone tupotem nóg i żalonym biciem mojego serca.

– Nie zasługuję na to – mamroczę, ale mimo to ściskam mocniej jego dłoń. „Zdradziłam go, zrujnowałam mu życie, a on odpłaca mi w ten sposób”.

Następne pomieszczenie okazuje się ostatnie. Pochyłe przejście prowadzi lekko w górę do stalowej bramy. Prześwieca przez nią słońce, zalewa nas jego blask i zgiełk dobiegający z amfiteatru. Ściany zniekształcają dźwięki – wiwaty i radosne okrzyki brzmią niczym koszmarne wycie upiorów. Zdaje się, że to nawet bardziej stosowny akompaniament do tego, co się za chwilę rozegra.

Gdy podchodzimy bliżej bramy, dostrzegam, że nie tylko my czekamy na śmierć.

– Lucas!

Żołnierz trzyma go za ramię, ale mimo to Lucasowi udaje się zerknąć do tyłu. Na jego twarzy widnieją siniaki, wydaje się również bledszy niż wcześniej, jak gdyby od wielu dni nie oglądał słońca. „Pewnie tak było”.

– Mare. – Wzdrygam się, słysząc, jak zwraca się do mnie po imieniu. To kolejna zdradzona przeze mnie osoba, wykorzystałam go tak samo jak Cala, Juliana, panią pułkownik, i jak próbowałam wykorzystać Mawena. – Zastanawiałem się, kiedy znów cię zobaczę.

– Przepraszam. – „Moich przeprosin nie wystarczy, nawet gdybym do końca życia nie robiła nic innego, tylko błagała o wybaczenie”. – Powiedzieli mi, że jesteś z rodziną, że jesteś bezpieczny, inaczej...

– Inaczej, co? – pyta powoli. – Jestem dla ciebie niczym. Czymś, co można wykorzystać i porzucić.

Oskarżenie przeszywa mnie niczym sztylet.

– Przepraszam, ale nie miałam wyjścia.

– Królowa wróciła mi pamięć. – „Wróciła mu pamięć”. Jego głos przepęlnia cierpienie. – Nie przepraszaj, ponieważ wcale tego nie żałujesz.

Chcę go objąć, pokazać mu, że nie chciałam, aby to wszystko się stało.

– Żałuję, przysięgam, Lucasi.

– Jego Królewska Mość Mawen, potomek domów Calore i Merandus, król Norty, Płomień Północy. – W amfiteatrze rozlega się tubalny głos, który przez bramę dociera również do nas. Towarzyszące mu wiwaty sprawiają, że żołądek podchodzi mi do gardła, Lucas zaś wzdryga się.

Jego koniec jest bliski.

– Zrobiłabyś to jeszcze raz? – Jego słowa kłują jak żądło. – Naraziłabyś moje życie, żeby ratować swoich przyjaciół terrorystów? – „Tak”. Nie mówię tego na głos, ale Lucas widzi odpowiedź w moich oczach. – Dochowałem twojego sekretu.

To gorsze niż jakakolwiek obelga, którą mógł mnie obrzucić. Świadomość, że ochraniał mnie, chociaż na to nie zasłużyłam, jest udręką nie do wytrzymania.

– Ale teraz wiem, że nie jesteś inna, już nie – ciągnie, niemalże wypluwając kolejne słowa. – Jesteś taka sama jak cała reszta. Bezduszna, egoistyczna, oziębła. Taka jak my. Dobrze cię wyszkolili.

Odwraca się i znów patrzy przed siebie, na bramę. Nie chce więcej mnie widzieć ani słyszeć. Pragnę podejść do niego, spróbować mu wytłumaczyć, ale strażę mnie przytrzymują. Nie pozostaje mi nic innego, jak z dumnie uniesioną głową stać i czekać na śmierć.

– Obywatele! – Głos Mavena przenika przez bramę razem ze słonecznym światłem. Młody król brzmi jak ojciec, jak Cal, ale w jego tonie jest coś ostrzejszego. „Ma dopiero siedemnaście lat, a już stał się potworem”, myślę. – Mój narodzie, moje dzieci.

Stojący obok mnie Cal prycha, ale w amfiteatrze zapada głucha cisza. Będą mu jedli z ręki.

– Niektórzy nazwaliby to okrucieństwem – ciągnie Maven. Jestem pewna, że recytuje z pamięci porywającą mowę prawdopodobnie przygotowaną przez jego niegodziwą matkę. – Ciało mojego ojca nie zdążyło jeszcze ostygnąć, na posadzkach nadal widnieją ślady jego krwi, a ja zostałam zmuszony zająć jego miejsce, rozpocząć swoje panowanie w cieniu tak tragicznych zdarzeń. Od dziesięciu lat nie dokonywaliśmy egzekucji na swoich pobratymcach i z ogromnym bólem wracam do tej straszliwej tradycji. Jednak ze względu na mojego ojca, ze względu na dobro korony i wasze dobro, muszę to zrobić. Jestem młody, ale nie jestem słaby. Potworne zbrodnie, ohydne zło, zawsze będą ukarane.

Wysoko nad nami rozbrzmiewają gwizdy i okrzyki ludzi domagających się śmierci.

– Lucasie, potomku domu Samos, oskarżony o zbrodnie przeciwko koronie i o działanie w zмовie z organizacją terrorystyczną zwaną Szkarłatną Gwardią, niniejszym uznaję cię winnym zarzucanych czynów i skazuję na karę śmierci. Przygotuj się do egzekucji.

Lucas wyrusza wznoszącym się łagodnie korytarzem na spotkanie śmierci. Nie ogląda się za siebie ani razu. Wiem, że nie zasłużyłam na ostatnie spojrzenie. Umiera, nie dlatego, że zmusiliśmy go do pomocy, ale ponieważ mnie znał. Tak samo jak pozostali wiedział, że jest we mnie coś dziwnego. I tak samo jak pozostali zapłacił za to życiem. Gdy znika w bramie, odwracam wzrok i wpatruję się w ścianę. Strzały słychać bardzo wyraźnie. Tłum wyje uradowany pełnym przemocą widowiskiem.

„Lucas to dopiero początek, wstęp. Prawdziwe widowisko urządzimy my”.

– Ruszać – rzuca Arven, popychając nas do przodu. Wspinamy się powoli, on zaś idzie za nami.

Nie puszczam ręki Cala, na wypadek, gdybym się potknęła. Czuję, że napina wszystkie mięśnie, szykując się do walki o życie. Po raz ostatni próbuję sięgnąć po błyskawicę, ale jej nie znajduję. Nie została we mnie ani odrobina mocy. Odebrał mi ją Arven – i Maven.

Spoglądam przez bramę i widzę zwlekane z areny ciało Lucasa oraz srebrną smugę krwi, która ciągnie się za nim po piasku. Ogarnia mnie fala mdłości i muszę przygryźć wargę.

Stalowa brama drży i unosi się ze zgrzytem. Światło słoneczne oślepia mnie, paralizuje i na sekundę zamieram, ale Cal ciągnie mnie za sobą na arenę.

Biały piasek, drobny niczym proszek, ślizga się pod moimi stopami. Gdy oczy przyzwyczajają się do jasności i rozglądam się wokoło, oddech zamiera mi w piersiach. Amfiteatr jest olbrzymi. Widownia przypomina szeroki, szary wylot krateru wykonany z kamienia i stali, wypełniony tysiącami gniewnych twarzy. Wpatrują się w nas w grobowej ciszy, a ich spojrzenia zalewają mnie nienawiścią. Nie widzę Czerwonych, ale też nie spodziewam się ich zobaczyć. Dla Srebrnych jest to rozrywka, kolejne widowisko, które uprzyjemnia im wolne chwile, i nie zamierzają się dzielić tym luksusem.

W kilku miejscach nad widownią wiszą ekrany wideo, z których spogląda na mnie moja własna twarz. Oczywiście wszystko nagrywają, żeby później pokazać podczas transmisji całemu narodowi, całemu światu upadek kolejnej Czerwonej. Widok mojej twarzy zaskakuje mnie; znów przypominam siebie. Jestem rozczochrana, niedomyta i zakurzona, ubrana w prosty strój. Na mojej skórze widać rumieniec koloru krwi, którą tak długo usiłowałam ukryć. Gdyby nie czekała mnie śmierć, pewnie uśmiechnęłabym się sama do siebie.

Ku mojemu zdumieniu ekrany mrugają, znika z nich obraz przedstawiający mnie i Cala, a pojawia się ziarniste nagranie pochodzące z kamer ochrony umieszczonych we wszystkich możliwych miejscach. Wstrzymuję oddech, gdy uzmysławiam sobie, jak podstępny był plan Mavena.

Ekrany pokazują wszystko, każdą skradzioną chwilę. To, jak wymykam się razem z Calem z Palatium, jak razem tańczymy, rozmawiamy, *całujemy się*. Potem zaś morderstwo króla z najmniejszymi detalami. Jeśli połączyć to wszystko, trudno nie uwierzyć w wersję Mavena. Ciąg zdarzeń wydaje się zupełnie spójny, tak samo jak opowieść o Czerwonej diablicy, która uwiodła księcia i namówiła do zamordowania króla. Po widowni przetaczają się tłumione okrzyki i pomruki, idealne kłamstwo zostaje przełknięte. Nawet moim rodzicom trudno będzie nie dać temu wiary.

– Mare Molly Barrow.

Za mną rozlega się tubalny głos Mavena, odwracamy się więc, żeby zobaczyć młodego władcę spoglądającego na nas z królewskiej łoży. Udekorowano ją czarnymi i czerwonymi sztandarami i wypełniono po brzegi możnowładcami oraz damami, których nie poznaję. Wszyscy są ubrani na czarno, zrzucili barwy własnych domów, aby uhonorować zamordowanego króla. Sonia, Elane i inni

młodzi potomkowie Szlachetnych Domów patrzą na mnie ze wstrętem. Po lewej stronie Mavena stoi wielmożny Samos, zaś po prawej królowa matka. Elara ukrywa twarz za żałobną woalką, pewnie po to, żeby zamaskować podły uśmiech. Spodziewam się dostrzec w pobliżu Evangeline, która tylko czeka, by poślubić kolejnego następcę tronu. W końcu chodzi jej jedynie o koronę. Jednak nigdzie nie widzę byłej narzeczonej Cala. Sam Maven wygląda niczym upiór, blada twarz odcina się od czarnej galowej zbroi, u pasa wisi paradny miecz – ten sam, którym zabili króla – na głowie zaś spoczywa lśniąca w słońcu korona ojca.

– Kiedyś uwierzyliśmy, że jesteś zaginioną Mareeną Tytaniusz, córką zamordowanego generała. Z pomocą twoich Czerwonych braci, przy użyciu technicznych sztuczek i podstępów oszukałaś nas i wniknęłaś do mojej rodziny. – „Techniczne sztuczki”. Ekran pokazuje scenę ze Spiralnych Ogrodów, gdy nagle otacza mnie błyskawica. Na relacji filmowej wygląda to nienaturalnie. – Daliśmy ci wykształcenie, pozycję społeczną, siłę, potęgę, nawet naszą miłość. Ty odpłaciłaś nam za to zdradą, zwiodłaś mojego brata i obróciłaś go przeciwko jego własnej rodzinie. Wiemy, że jesteś członkiem pokonanej Szkarłatnej Gwardii i jesteś bezpośrednio odpowiedzialna za śmierć wielu osób. – Pojawiają się kolejne obrazy, tym razem z sali balowej przesiąkniętej krwią i śmiercią. Na tle ogólnego chaosu widać sztandar Farley, kawałek czerwonego materiału z namalowanym rozdartym słońcem. – Razem z moim bratem, księciem Tyberiaszem Siódmym, potomkiem domów Calore i Jacos, jesteś oskarżona o najcięższe przestępstwa przeciwko koronie, między innymi o oszustwo, zdradę, terroryzm i zabójstwo. – „Twoje ręce nie są czystsze od moich, Mavenie”. – Zabiłaś króla, mojego ojca, nakłaniając do tego czynu jego syna. Jesteś Czerwoną diabolicą – przenosi spojrzenie na Cala i niemal płonie od gniewu – a ty jesteś słabym człowiekiem. Zdradziłaś koronę, swój lud i dom. – Aby przypieczętować kłamstwa Mavena, znów zostaje wyświetlone nagranie przedstawiające śmierć króla. – Niniejszym uznaję was za winnych zarzucanych czynów. Przygotujcie się do egzekucji. – W amfiteatrze rozlegają się gwizdy i szyderstwa przypominające wycie watahy dzikich psów spragnionych krwi.

Na ekranach pojawiają się Cal i ja, i zapewne wszyscy liczą na to, że będziemy błagać o litość. Jednak żadne z nas nawet nie drgnie. „Nie sprawimy im tej przyjemności”.

Maven przechyla się lekko przez barierkę łoży i wpatruje się z wyczekiwaniem w arenę, sądząc, że któreś z nas się załamie.

Jednak zamiast tego Cal przykłada dwa palce do brwi i salutuje. Zyskuje tym więcej, niż gdyby uderzył Mavena prosto w twarz i młody król cofa się rozczarowany. Odwraca od nas głowę, po czym przenosi spojrzenie na drugi koniec areny. Podążam za jego wzrokiem, spodziewając się zobaczyć pluton egzekucyjny, który wykonał wyrok na Lucasie, jednak moim oczom ukazuje się zupełnie inny widok.

Na ubitym piasku areny stoi pięć postaci, które zjawiły się nie wiadomo skąd ani kiedy.

– Mogło być gorzej – mruczę pod nosem, ściskając dłoń Cala. „Jest wojownikiem, żołnierzem.

Pięć na jednego w tym wypadku to dość sprawiedliwe rozwiązanie”.

Cał jednak marszczy brwi, koncentruje się na naszych przeciwnikach. Gdy podchodzą nieco bliżej, przeszywa mnie zimny dreszcz strachu. Znam ich imiona i zdolności, o mocy niektórych przekonałam się na własnej skórze. Stoją jeden obok drugiego, silni i pewni siebie, w zbrojach i mundurach przeznaczonych do walki na polach bitewnych.

„Siłacz z domu Rhambos może rozerwać mnie na pół, potomek rodu Haven zniknie, aby mnie podejść i udusić niewidzialną ręką, a wielmożny Osanos strumieniami wody ugasi ogień Cala. Arven również nie będzie próżnował”, przypominam sobie. Dawny instruktor stoi przy bramie i cały czas obezwładnia moją moc.

„No i jeszcze ci dwoje. Żeleźcy”.

Wygląda to doprawdy malowniczo. W jednakowych zbrojach, z jednakowo nachmurzonymi minami Evangeline i Ptolemeusz piorunują nas spojrzeniem, a ich pięści są najeżone długimi, cienkimi ostrzami.

Gdzieś w głowie słyszę ciche tykanie zegara odliczającego ostatnie minuty mojego życia. „Nie zostało ich wiele”.

Nad nami rozlega się chrapliwy głos Mavena:

– Niechaj giną.

ROZDZIAŁ 28

Nad nami wystrzela tarcza, gigantyczna przezroczysta fioletowa kopuła pokryta białymi żyłkami, taka sama jak ta w Spiralnych Ogrodach. Ma za zadanie bronić nie nas, ale widzów. Iskry pulsują, przelatują tam i z powrotem po olbrzymim sklepieniu, drażniąc mnie i przyzywając. Gdyby nie Arven, błyskawica byłaby moja i mogłabym walczyć. Mogłabym pokazać całemu światu, kim jestem. Tak się jednak nie stanie.

Cał porusza się, wyciąga rękę. Powietrze wokół niego drga zniekształcone falami gorąca bijącego z jego ciała. Staje bokiem do naszych przeciwników, tak aby mnie ochronić.

– Trzymaj się z tyłu najdłużej, jak zdołasz – mówi, pozwalając, aby ciepło odepchnęło mnie od niego. Bransoleta krzesze iskry, między palcami Cala pojawia się płomień, który szybko wspina się wzdłuż jego ramion, i choć dociera do koszuli, nie spopiela jej, ponieważ uszyto ją z ognioodpornego materiału. – Gdy przedrą się przez zaporę, będziesz musiała uciekać. Evangeline jest najslabsza, ale Siłacz jest najwolniejszy. Możesz go prześcignąć. Będą chcieli przeciągnąć walkę, żeby zrobić dobre widowisko. – Po czym dodaje ciszej: – Nie pozwolą nam umrzeć szybko.

– A co z tobą? Osanos...

– Osanos to moje zmartwienie.

Przeciwnicy poruszają się powoli niczym stado wilków osaczające ofiarę. Rozproszyli się po placu i czekają, gotowi w każdej chwili rzucić się do ataku. Rozlega się zgrzyt metalu i część areny odsuwa się, ukazując zbiornik wody, z którego może czerpać wielmożny Osanos. Mężczyzna uśmiecha się, sięga po wodę i tworzy z niej groźną tarczę. Przypomina mi się jego córka Tirana, która podczas treningu stanęła do pojedynku z Mavenem. Rozgromiła go.

Tłum w amfiteatrze ryczy. Ptolemeusz wyje razem z nimi, dając się ponieść swojemu słynnemu temperamentowi. Uderza pięścią w zbroję, która dźwięczy niczym dzwon. U jego boku Evangeline bawi się nożami, z uśmiechem przesuwając je między palcami.

– Będzie inaczej niż wcześniej, Czerwona diablo – rechocze. – Nie uratują cię żadne sztuczki.

„Sztuczki”. Evangeline poznała moje umiejętności lepiej niż większość Srebrnych; wie, że nie były sztuczkami. „Mimo wszystko wierzy w wersję Mavena. Lekceważy prawdę i wybiera kłamstwo,

które łatwiej zrozumieć”.

Potomek domu Haven, Stralian, uśmiecha się do siebie. Tak samo jak siostra, Elane, jest Cienistym. Gdy nagle jego sylwetka migocze nam przed oczami, by po sekundzie rozpląnąć się w powietrzu, Cal porusza się szybciej niż myśl, kreśli ręką szeroki łuk, jak gdyby brał zamach kosą.

W ślad za jego ramieniem pojawia się hucząca ściana ognia spalająca piach i oddzielająca nas od przeciwników. Jednak płomienie są zdumiewająco słabe. „Piasek nie będzie się dobrze palił”.

Nie mogę się powstrzymać, żeby nie zerknąć na Mavena, mam ochotę wrzasnąć mu prosto w twarz. Nasze spojrzenia krzyżują się i dostrzegam, że na jego wargach igra ten nieznośny, krzywy uśmiezek. Nie dość, że odebrał mi umiejętności, to jeszcze ogranicza zdolności Cala.

– Drań – przeklinam pod nosem. – Piasek...

– Wiem – odpowiada Cal, ruchem dłoni podpalając kolejne skrawki ziemi.

Naprzeciwko nas ściana ognia rozdziela się na sekundę, po czym rozlega się przenikliwy okrzyk bólu. Po jej drugiej stronie materializuje się Stralian, który uderzeniami dłoni próbuje stłumić płomienie skaczące po jego rękach. Osanos leniwym gestem kieruje na niego strumień wody. Następnie przenosi zdumiewająco niebieskie oczy na nas, na zaporę stworzoną przez Cala, i jednym ruchem zalewa słaby ogień chlupoczącą falą. Woda syczy, bulgocze, gotuje się i zmienia w gęste białe obłoki. Uwięziona pod przezroczystą kopułą para kłębi się nad areną, spowijając nas upiorną mgłą. Nagle znajdujemy się w świecie zasnutym białymi oparami, z których w każdym momencie może wychynąć cień będący naszą zagładą.

– Uwaga! – woła Cal, wyciąga do mnie rękę, ale w tym samym momencie z mgły wypada Ptolemeusz, nacierając na nas z rykiem niczym rozjuszony stalowy byk.

Uderza Cala w tułów, powala go na ziemię, jednak Cal podnosi się za szybko, żeby mogły go przygwoździć ostrza wroga. Noże zakopują się w piachu sekundę po tym, gdy Cal zrywa się na nogi i łapie przeciwnika za pancerz. Pod jego dotykiem stalowa zbroja topi się, a zakuty w nią Żeleziec zaczyna wrzeszczeć. W chwili, gdy Cal gotuje Ptolemeusza żywcem, robię jedyną rzecz, która mi pozostaje – rzucam się do ucieczki.

– Nie chcę cię zabić, Ptolemejuszu! – Cal usiłuje przekrzyczeć wrzaski przeciwnika. Każde ostrze, każdy kawałek metalu, którym Żeleziec próbuje pociąć Cala, topi się, zanim zdoła dotrzeć do celu. – Nie chcę tego robić.

Gęste od mgły powietrze przecinają trzy lśniące noże, które lecą z taką prędkością, że wydają się zaledwie migoczącymi promieniami światła. „Są za szybkie, nie zdążą się stopić w locie”. Trafiają Cala w plecy, przebijają cienki materiał koszuli, zanim w zetknięciu ze skórą zmieniają się w płynną stal. Cal wydaje okrzyk bólu i na chwilę traci koncentrację, gdy na ciemnej tkaninie pojawiają się srebrne plamy krwi. Ostrza były zbyt małe, żeby zadać głębokie rany, ale mimo wszystko osłabiają

Cal. Ptolemejusz wykorzystuje sytuację i w mgnieniu oka tworzy ze swoich noży gigantyczny miecz. Uderza nim, zamierzając rozplątać przeciwnikowi brzuch, ten jednak odskakuje i olbrzymia klinga zostawia na jego ciele jedynie draśnięcie.

Wciąż żyje. „Ale to nie potrwa długo”.

Z oparów wyłania się Evangeline, wokół niej błyskają i wirują ostrza. Cal pochyla się, żeby umknąć przed jej nożami, i wystrzela płomienny pocisk, chcąc zmusić ją do uniku. Walczy z nimi obojgiem, wpada w szaleńczy rytm, który pozwala mu mierzyć się z dwojgiem silnych i potężnych Żeleźców jednocześnie. Jednak z każdą sekundą przybywa na jego koszuli rozcięć i srebrnych plam. Ptolemejusz zmienia broń, przerzuca się z miecza na topór, który chwilę później wymienia na ostry jak brzytwa metalowy bicz, natomiast Evangeline upodobała sobie śmiertelnie kąśliwe gwiazdki. „Chcą go zmęczyć. Powoli, ale konsekwentnie”.

„Błyskawica”, myślę z żalem i spoglądam na Arvena stojącego przy bramie. Wciąż tam jest, jego dusząca obecność dławi mnie od wewnątrz. Za pasem ma zatkniętą broń; nie mam szans w starciu z nim. „Nic nie mogę zrobić”.

Gdy ogromny kawał betonu wyłania się z mgły i leci prosto na mnie, ledwie zdążam przed nim uskoczyć. Roztrzaskuje się w miejscu, gdzie stałam sekundę wcześniej, ale nie mam czasu zastanawiać się nad tym dłużej, ponieważ w tym momencie ze świstem spada na mnie kolejny. Z nieba sypią się na mnie betonowe odłamki. Podobnie jak Cal łapię szaleńczy rytm i przemykam po piasku tam i z powrotem niczym szczur, dopóki coś mnie nie zatrzyma.

„Ręka. Niewidzialna ręka”.

Palce Straliana zaciskają się na moim gardle, duszą mnie. Słyszę jego oddech tuż przy uchu, chociaż nikogo nie widzę.

– Dobry Czerwony to martwy Czerwony – chrypi, zacieśniając uścisk.

Biorę zamach i z całej siły wbijam łokieć w miejsce, gdzie powinny się znajdować jego żebra, ale Stralian nie wypuszcza mnie z rąk. Nie mogę zaczerpnąć powietrza, przed oczami latają mi mroczki, robi się ich coraz więcej, ale ja się nie poddaję. Przede mną majaczy niewyraźna postać Siłacza z domu Rhambos, który idzie prosto na mnie. „Rozerwie mnie na strzępy”.

Cal walczy z rodzeństwem Samosów i robi, co może, żeby nie dać się zadźgać. Nie zdołałabym go zawołać, nawet gdybym chciała, ale mimo to nagle pojawia się ognisty pocisk, który leci prosto w stronę Siłacza. Rhambos musi odskoczyć, potyka się o swoje potężne stopy, a ja zyskuję kilka sekund. Sapiąc i charcząc, sięgam za siebie i próbuję chwycić niewidzialną głowę. Jakimś cudem udaje mi się wymacać twarz i oczy Cienistego, a wtedy wydaję z siebie stłumiony okrzyk, po czym wbijam kciuki w oczodoły Straliana. Oślepiony przeciwnik ryczy, puszcza mnie z objęć. Osuwa się na kolana i znów staje się widzialny. Srebrna krew ścieka mu po policzkach niczym smugi łez.

– Miałeś być mój! – Słyszę czyjś głos, a gdy się odwracam, widzę Evangeline stojącą nad Calem ze wzniesioną ręką, w której połyskuje ostrze. Cal walczy z Ptolemeuszem: spleceni w uścisku przetaczają się po piasku, Evangeline zaś wisi nad nimi, zasypując arenę nożami. – *Mój!*

Dopiero gdy zderzam się z metalowym pancerzem, przechodzi mi przez myśl, że rzucenie się głową naprzód na Żeleźczynię to nie najlepszy pomysł. Obydwie upadamy na ziemię, jej zbroja ociera mi twarz. Czuję, że zaczyna mnie piec i szczypać. *Krwawię*, a wszyscy mogą zobaczyć kolor mojej krwi. Chociaż nie widzę ekranów, wiem, że każdy z nich, tak samo jak każdy ekran w kraju, pokazuje teraz moją umazaną na czerwono twarz.

Evangeline wrzeszczy, rzuca się na mnie z ostrzami. Za nami Cal ognistym uderzeniem zmiata z siebie Ptolemeusza i podnosi się z ziemi, podczas gdy Żeleziec wpada na siostrę i zwała ją z nóg, zanim jej noże zdołają mnie dosięgnąć.

– W dół! – woła Cal, popychając mnie na piasek, gdy kolejny betonowy odłamek przelatuje nad nami i roztrzaskuje się o ścianę po drugiej stronie areny.

„Dłużej nie damy rady”.

– Mam pomysł.

Cal spluwa na ziemię i wydaje mi się, że dostrzegam kilka zębów zmieszanych z krwią i śliną.

– Dobrze, bo mi pomysły skończyły się pięć minut temu.

Następna bryła betonu przecina powietrze, zmuszając nas, żebyśmy odskoczyli od siebie, i robimy to w samą porę. Evangeline i Ptolemeusz wracają do walki, ze zdwojoną siłą zasypując Cala gradem noży i metalowych odłamków. Ich zdolności wstrząsają całym amfiteatrem, gdy rodzeństwo przyzywa metalowe elementy spod areny, zmuszając Cala, żeby uważał również na to, co pod nogami. Kawałki rur i drutów przebijają się przez piasek, tworząc śmiertelnie niebezpieczny tor przeszkód.

Jeden z przewodów trafia oślepiętego Straliana, który cały czas klęczy na arenie i wrzeszczy z bólu. Rura przeszywa go na wylot i wychodzi przez usta, uciszając go na dobre. Po widowni przebiega szmer stłumionych okrzyków. Srebrni, pomimo całej swojej brutalności i siły, tak naprawdę są tchórzami.

Z tupotem biegnę po piasku i okrążam Siłacza, wyzywając go na pojedynek. Cal miał rację, „jestem szybsza”, i chociaż Rhambos to umięśniony potwór, potyka się o własne nogi, gdy próbuje mnie dogonić. Wrywa kawałki drutów sterczące z ziemi, rzuca je w moją stronę jak włócznie, ale z łatwością wykonuję kolejne uniki. Widząc to, Siłacz ryczy z wściekłości. „Jestem Czerwona, jestem niczym, a mimo to mogę wyprowadzić was w pole”.

Szum wody przypomina mi o piątym przeciwniku. „Wodniak”.

Odwracam się w samą porę, żeby zobaczyć wielmożnego Osanosa, który wysysa z powietrza

parę wodną, oczyszczając arenę z mgły. Kilka metrów dalej walczy Cal. Buchające z niego dym i ogień zmuszają Żeleźców do odwrotu, jednak w miarę jak zbliża się do niego Osanos i wirujące potoki wody, płomień Cala maleje. Oto nasz prawdziwy pogromca. Widowisko dobiega końca.

– Cal! – krzyczę, ale nie mogę nic więcej dla niego zrobić. *Nic*.

Kolejna rura przelatuje obok mojego policzka, mija mnie tak blisko, że czuję ukąszenie zimnej stali, okręcam się i upadam. Brama, przez którą weszliśmy na arenę, znajduje się zaledwie parę metrów dalej, u jej wylotu, w pogrążonym w półmroku korytarzu nadal stoi Arven.

Cal ciska w Osanosa płomienną kulą, ale ten szybko ją gasi. Kłęby syczącej pary na moment przesłaniają pojedynek wody z ogniem, jednak po chwili wyraźnie widać, że woda wygrywa.

Rhambos zbliża się do mnie, spycha mnie w stronę bramy. Przypiera mnie do muru. „Pozwoliłam, żeby przyparł mnie do muru”. Betonowe i metalowe pociski roztrzaskują się o stojącą za mną ścianę. Wystarczy, że jeden z nich mnie trafi, i pogruchocze mi kości. „Błyskawica! – wołam w myślach. – BŁYSKAWICA!”

Nic jednak nie przychodzi. Czuję jedynie dławiącą niemoc otepiionych zmysłów.

Widzowie podnoszą się z miejsc, przeczuwają, że zbliża się koniec. Słyszę głos Mavena, który wznosi okrzyki razem ze wszystkimi.

– Dobić ich! – woła. Nadal nie mogę uwierzyć w jego niegodziwość, kiedy jednak spoglądam w górę i pomimo tarczy ochronnej, pomimo pary, nasze spojrzenia się krzyżują, nie dostrzegam w nich nic prócz gniewu, złości i zła.

Rhambos przymierza się do rzutu, w dłoni ściska długą ostrą rurę. „Nadchodzi śmierć”.

Przez wrzawę na trybunach przebija się okrzyk triumfu: Ptolemeusz. Razem z Evangeline cofają się przed wirującą kulą wody, wewnątrz której widać zamgloną postać. „Cal”. Woda się gotuje, Cal szamocze się, usiłując się wyrwać na wolność, ale na próżno. „Utonie”.

Z tyłu, niemal tuż przy moim uchu, rozlega się śmiech Arvena.

– Kto ma przewagę? – szyci instruktor, powtarzając pytanie, które zadawał na treningu.

Napięte do granic wytrzymałości mięśnie bolą i drżą, nie mogąc się doczekać końca. Pragnę jedynie położyć się, przyznać do porażki, umrzeć. Nazwali mnie kłamcą, oszustką i mieli rację.

Nie została mi w zanadrzu żadna sztuczka.

Rhambos celuje, rozstawia szeroko nogi, a ja już wiem, co muszę zrobić. Siłacz rzuca włócznię z taką siłą, że metalowy pręt niemal zajmuje się ogniem w trakcie lotu. Padam na piach. Obrzydliwy chlupot, który słyszę, oznajmia, że mój plan się powiódł, a ryk energii, która we mnie wzbiera, oznacza, iż mogę wygrać.

Za mną na ziemię osuwa się Arven przeszyty metalowym prętem.

– Ja mam przewagę – rzucam w stronę zwłok.

Gdy wstaję, z mojego ciała wystrzelają pioruny, błyskawice, iskry, prąd i wszystko, czym władam. Tłum ryczy, a najgłośniej grzmi Maven.

– Zabić ją! ZABIĆ JĄ! – wyje, celując palcem we mnie. – ZASTRZELIĆ JĄ!

Z trybun sypią się pociski, wbijają się w pole ochronne, które iskrzy, drży, ale nie przepuszcza kul. Kopuła miała osłaniać widzów, ale jest stworzona z elektryczności, z błyskawicy, a zatem jest moja i teraz ochrania mnie.

Widzowie wydają stłumione westchnienie, nie wierzą własnym oczom. Czerwona krew kapie z moich ran, a po mojej skórze pełza błyskawica, obwieszczając wszem i wobec, kim jestem. Ekran nad naszymi głowami gasną, ale świat już mnie zobaczył. Nikt nie zatrzyma tego, co się stało.

Rhambos niepewnie cofa się o krok, oddech zamiera mu w piersiach. Nie daję mu szansy na zaczerpnięcie kolejnego.

„Srebrna i Czerwona, silniejsza od jednych i drugich”.

Uderzam, błyskawica gotuje mu krew, smaży nerwy, aż w końcu na ziemię zwała się drgająca góra spalonego mięsa.

Osanos pada jako następny, gdy porażam go iskrami. Wodnista kula rozbryzguje się na piasku, Cal osuwa się na ziemię, kaszle i pluje wodą.

Mimo że spod areny wysuwają się kolejne poszczerbione rury, które usiłują mnie przebić na wylot, puszczam się pędem przed siebie, przeskakując i omijając przeszkody. „Wyszkolili mnie. Sami są sobie winni. Przyczynili się do własnego końca”.

Evangeline macha ręką i na jej znak stalowa belka leci prosto w moją głowę. Opadam na kolana i prześlizguję się pod nią, a sekundę później zrywam się na nogi tuż obok Evangeline, wokół dłoni skaczą mi błyskawice.

Żeleźczyni w okamgnieniu z poskręcane go metalu tworzy miecz, którym przypuszcza atak. Błyskawica poraża stalowe ostrze, unieruchamia je, jednak Evangeline nie poddaje się. Klinga rozpada się na kawałeczki, które otaczają mnie groźną chmurą. Wracają nawet pająki, ponownie próbując pociąć mnie na plasterki, ale tym razem to nie wystarczy. Zdolności Evangeline nie wystarczą.

Kolejne uderzenie błyskawicy odrzuca jej ostrza i zwała ją z nóg. Żeleźczyni próbuje się podnieść, uciec przed moim gniewem. „Nie zdoła”.

– To nie są sztuczki – dyszy zdumiona. Wpatruje się w moje dłonie i powoli się wycofuje, chroni ją naprędce sklecona tarcza wirujących metalowych odłamków. – To nie jest oszustwo.

Na języku czuję smak czerwonej krwi, ostry, metaliczny i niespodziewanie rozkoszny. Spluwam, aby wszyscy mogli zobaczyć, co płynie w moich żyłach. Nad fioletową kopułą niebo zaczyna ciemnieć. Nadciągają czarne chmury, ciężkie i obrzmiałe od deszczu. „Nadchodzi burza”.

– Powiedziałaś, że zabijesz mnie, jeśli kiedykolwiek wejdziesz ci w drogę. – Z niewysłowioną przyjemnością przypominam jej własne słowa. – Teraz masz okazję.

Pierś Evangeline faluje, podnosi się i opada z coraz większym trudem. Żeleźczyńni jest zmęczona. Ranna. Po stalowym spojrzeniu nie zostało ani śladu, teraz w jej oczach czai się strach.

Rusza przed siebie, wykonuję więc ruch, żeby powstrzymać jej atak, ale ten nie nadchodzi. Evangeline *biegnie*. Ucieka *ode mnie*, mknie do najbliższej bramy. Rzucam się w pogoń za nią, zatrzymuje mnie jednak ryk wściekłości Cala.

Osanos ocknął się i wrócił do walki ze zdwojoną siłą. Wokół niego i Cala kręci się również Ptolemeusz, czekając na sposobność, by wyprowadzić cios. „Ogień Cala jest do niczego w starciu z Wodniakami”. Pamiętam, z jaką łatwością Maven uległ Wodniaczce podczas pojedynku na treningu.

Chwytam Osanosa za nadgarstek, porażam go i zmuszam, żeby skierował swoją złość na mnie. Wodna masa przygważdża mnie do piachu niczym potężny młot. Uderza we mnie raz po raz, uniemożliwiając nabranie oddechu. Po raz pierwszy, odkąd weszłam na arenę, strach ściska mi serce. Teraz, gdy mamy szansę wygrać, przeżyć, potwornie boję się porażki. Płuca domagają się powietrza, nie mogę się dłużej powstrzymać i otwieram usta, ale wtedy zalewa je woda. Dławi mnie, parzy niczym ogień, paraliżuje jak śmierć.

Przebiega przeze mnie niewielka iskra, ale ona wystarcza, wskakuje w wodę i poraża Osanosa. Wodniak wydaje skowyt i odskakuje, a wtedy dzwigan się na nogi, ślizgając się w wilgotnym piachu. Powietrze wdziera się do moich płuc, zachłystuję się nim, ale nie mam czasu odetchnąć z ulgą. Osanos znów na mnie naciera, tym razem łapie mnie za szyję i chlusta wodnym wiryem prosto w twarz.

Ja jednak jestem już przygotowana. Wodniak okazał się na tyle głupi, by mnie dotknąć. Gdy wypuszczam błyskawicę, a ta – wzmocniona wodą ściekającą po mojej i jego skórze – przesywa jego ciało, Osanos wyje jak czajnik z gotującą się wodą, po czym osuwa się na arenę. Gdy woda opada i wsiąka w piach, wiem, że przeciwnik nie żyje.

Podnoszę się, jestem przemoczona, a adrenalina, strach i *siła* wypełniające moje ciało sprawiają, że cała drzę. Spoglądam na Cala. Jest pocięty, posiniaczony i zakrwawiony, ale jego ręce płoną jaskrawoczerwonym ogniem, zaś u jego stóp kuli się Ptolemeusz. Żeleziec unosi ramiona, poddaje się i błaga o litość.

– Zabij go, Cal – warczę spragniona widoku krwi Ptolemeusza. Nad nami tarcza z błyskawicy znów pulsuje, jej moc rośnie wraz ze wzbierającym we mnie gniewem. Szkoda, że to nie Evangeline. Szkoda, że nie mogę tego zrobić sama. – Chciał nas zabić, skończ z nim.

Cal nie porusza się, ciężko dyszy przez zaciśnięte zęby. Wygląda na rozdartego, wciąż buzuje w nim żądza zemsty i szal bitewny, ale powoli wraca mu panowanie nad sobą i na chwilę znów staje

się człowiekiem pełnym troski o innych. Człowiekiem, jakim *nie powinien* już być.

Jednak trudno zmienić własną naturę. Cał cofa się, płomienie słabną.

– Nie zrobię tego.

Wokoło panuje cisza, cudowna odmiana po hałasie, który jeszcze przed chwilą czynił szydzący tłum pragnący naszej śmierci. Kiedy jednak podnoszę wzrok na trybuny, okazuje się, że nikt na nas nie patrzy. Nikt nie podziwia miłosiernego gestu Cala ani popisu moich umiejętności. Ponieważ nikogo tam nie ma. Olbrzymi amfiteatr opustoszał, nie został w nim ani jeden świadek naszego zwycięstwa. Król wszystkich odesłał, żeby ukryć prawdę o tym, czego dokonaliśmy, i zastąpić ją następnymi kłamstwami.

Stojący w swojej łoży Maven zaczyna klaskać.

– Wspaniale! – woła, podchodząc do barierki. Spogląda na nas przez tarczę, jego boku nie odstępuje matka.

Odgłos braw zadaje mi niemalże fizyczny ból, sprawia, że się wzdrygam. Niesie się echem po pustym amfiteatrze, dopóki nie zagłusza go tupot nóg wybijających równy rytm najpierw na kamieniu, a po chwili na piasku.

Strażnicy, wartownicy, żołnierze wylewają się na arenę ze wszystkich bram. Są ich setki, tysiące – zbyt wielu, żeby można było z nimi walczyć. Zbyt wielu, żeby można uciec. Wygraliśmy bitwę, ale przegraliśmy wojnę.

Ptolemeusz podnosi się z trudem i znika w tłumie żołnierzy. Zostaliśmy sami, okrążeni zacieśniającym się pierścieniem wojowników.

„To niesprawiedliwe. Wygraliśmy. Pokazaliśmy im. To niesprawiedliwe”. Chcę krzyczeć, walczyć, ciskać iskrami i błyskawicami, ale kule dopadłyby mnie, zanim zdążyłabym wykonać ruch. Gorące łzy wściekłości napływają mi do oczu, ale nie będę płakać. Nie w tych ostatnich sekundach.

– Przepraszam, że ci to zrobiłam – szepczę do Cala. Niezależnie od tego, co sądzę o jego poglądach, to on jest największym przegranym. Ja wiedziałam, co ryzykuję, ale on był zaledwie pionkiem w niewidzialnej grze, którą prowadzili inni.

Cał zaciska szczęki, obraca się i rozgląda, szukając drogi ucieczki. Nie istnieje jednak żadne wyjście z tej sytuacji. Nie spodziewam się, że mi wybaczy, i wiem, że nie zasługuję na wybaczenie. Mimo to czuję, że chwyta moją dłoń – dłoń ostatniej osoby, która została przy jego boku.

Po cichu zaczyna coś nucić. Poznaję tę smutną melodię, całowaliśmy się przy niej w salonie zalanym księżycowym blaskiem.

Po niebie przetacza się grzmot, wydaje się, że napęczniałe chmury lada chwila pękną. Pierwsze krople spadają na fioletową kopułę nad nami. Pole ochronne skwierczy i tryska iskrami, ale deszcz nic sobie z tego nie robi, powoli przemienia się w ulewę. „Nawet niebo nas opłakuje”.

Maven stoi w swojej łóży i lekko przechylając się przez poręcz, spogląda w dół, na nas. Rozbłyskująca iskrami tarcza zniekształca jego twarz, nadając jej wygląd potwora, którym młody król w rzeczywistości się stał. Woda ścieka mu po nosie, ale on tego nie zauważa. Matka szepcze mu coś na ucho, a wtedy Maven wzdryga się, jak gdyby słowa Elary wyrwały go z zamyślenia.

– Żegnaj, dziewczuszko od błyskawic.

Gdy unosi rękę, wydaje mi się, że drży.

Jak dziewczynka, którą tak naprawdę jestem, zaciskam powieki, czekając na przejmujący ból spowodowany przez setkę pocisków przeszywających moje ciało. Myślę nie o tym, co tu i teraz, ale o chwilach, które dawno minęły. O Kilornie, rodzicach, braciach, siostrze. „Czy wkrótce znów ich spotkam?” Serce podpowiada mi, że tak. Gdzieś tam wszyscy oni na mnie czekają. I podobnie jak wtedy, w Spiralnych Ogrodach, gdy myślałam, że spadam w objęcia śmierci, ogarnia mnie obojętność i godzę się ze swoim losem. „Umrę”. Czuję, iż życie mnie opuszcza, a ja mu na to pozwalam.

Nad naszymi głowami rozpętuje się piekło burzy, ogłuszający ryk grzmotu wstrząsa powietrzem. Ziemia pod naszymi stopami drży i nawet pomimo zamkniętych powiek widzę oślepiający błysk pioruna. Jest fioletowo-biały i niezwykle silny, silniejszy niż te, które do tej pory widziałam. Przez ułamek sekundy zastanawiam się, co się stanie, jeśli we mnie trafi. Zginę czy przeżyję? Czy będę niczym rozżarzony kawałek żelaza, z którego zostanie wykuta nowa, przerażająco ostra klinga?

Nigdy się tego nie dowiem.

Cal chwyta mnie za ramiona i spycha nas na bok, podczas gdy olbrzymia błyskawica uderza prosto w pole ochronne i je roztrzaskuje. Tarcza pęka, a jej fioletowe odłamki sypią się na nas niczym płatki śniegu. Z sykiem oblepiają moją skórę, a ja odczuwam niewysłowioną rozkosz, wstępuje we mnie moc, która przywraca mnie do życia.

Wokół nas żołnierze kulą się ze strachu. Nie zwracając na nas uwagi, rozpierzchają się na wszystkie strony, by umknąć przed szalejącą burzą. Cal odciąga mnie na bok, ale ja ledwie to zauważam. Wszystko we mnie huczy, przebiega mnie dreszcz energii, która kłębi się nade mną. „Jest moja”.

Kolejny piorun uderza w piasek, strażnicy rozbiegają się i co tchu pędzą do bram. Jednak wartowników i żołnierzy nie tak łatwo przestraszyć i szybko odzyskują panowanie nad sobą. Cal cały czas mnie ciągnie, usiłując ocalić nas oboje, ale nie mamy dokąd uciec.

Chociaż burza sprawia mi przyjemność, wyczerpuje mnie, osłabia. Kontrolowanie energii szalejącego żywiołu przerasta moje siły. Kolana uginają się pode mną, serce wali mi młotem i mam wrażenie, że za chwilę wyskoczy mi z piersi. „Jeszcze jeden piorun, jeszcze jeden i możemy mieć szansę”.

Idąc do tyłu, nagle zaczynam się chwiać, ponieważ moje pięty nie znajdują oparcia. Uzmysławiam sobie, że znalazłam się na krawędzi rozpadliny, w której wcześniej zgromadzono wodę dla Osanosa, i wiem, że to koniec. Nie mam już dokąd biec.

Cał trzyma mnie mocno, odsuwa nas od rozpadliny, którą wypełnia mrok i dobiegający z głębokości pomruk wzburzonej wody. Z góry jednak nie widać nic poza rurami, przewodami i czarną pustką. Przed nami stoi szereg wytrawnych, bezlitosnych żołnierzy. Mechanicznie unoszą strzelby i celują.

Pole ochronne przestało istnieć, burza cichnie, a my przegraliśmy. Maven wyczuwa moją klęskę i spoglądając na mnie z łoży, wykrzywia usta w przerażającym uśmiechu. Nawet z tej odległości dostrzegam lśniące ostrza jego korony. Krople deszczu spływają mu po czole i zalewają oczy, ale on nawet nie mrugnie. Nie chce przegapić chwili, w której umrę.

Widzę podniesione lufy i wiem, że tym razem nikt nie będzie czekał na rozkaz Mavena.

Odgłosy wystrzałów przetaczają się echem po opustoszałym amfiteatrze niczym kolejny grzmot. Ja jednak nic nie czuję. Gdy pierwsza linia wartowników i żołnierzy pada, a na ich piersiach pojawiają się dziury po kulach, nic nie rozumiem. Zerkam w dół i widzę rząd dziwnych karabinów wystających znad krawędzi rozpadliny. Lufy dymią, a sekundę później z szarpnięciem wypluwają kolejne pociski, zwalając z nóg następną linię uzbrojonych Srebrnych.

Zanim zdążę pojąć, co właściwie się dzieje, ktoś chwyta mnie za tył koszuli i ciągnie do dołu, w mrok. Po kilku sekundach lądujemy w wodzie, ale czyjeś ręce nadal mnie trzymają.

Woda zamyka się nade mną, pochłania mnie ciemność.

EPILOG

Czarna próżnia snu ustępuje miejsca przejawom życia. Moje ciało kołysze się w rytm jednostajnego ruchu, wyczuwam pracę silnika. Dobiega mnie zgrzyt metalu przesuwanego się z olbrzymią prędkością po jakimś innym metalu i jak przez mgłę przypominam sobie ten dźwięk. „Podziemny pociąg”.

Siedzenie pod moim policzkiem wydaje się dziwnie miękkie, a jednocześnie napięte. Uzmysławiam sobie, że nie jest to skóra, materiał ani beton, ale ciepłe *ciało*. Przesuwa się pode mną, poprawia, gdy się poruszam i otwieram oczy. Widok, jaki mi się ukazuje, sprawia, że mam wrażenie, iż nadal śnię.

Naprzeciwno mnie w pociągu siedzi Cal, jest sztywny i napięty, zaciśnięte pięści trzyma na kolanach. Patrzy prosto przed siebie na osobę, która mnie tuli, a w jego oczach płonie ogień, który znam aż nazbyt dobrze. Pociąg go fascynuje i raz po raz obrzuca spojrzeniem światła, okna i druty. Nie może się doczekać, żeby przyjrzeć się wszystkiemu z bliska, ale obok niego stoi ktoś, kto pilnuje, aby nawet nie drgnął.

„Farley”.

Na pokrytej bliznami twarzy wojowniczkii maluje się pełen napięcia wyraz. Jakimś cudem przeżyła masakrę pod placem. Chcę się uśmiechnąć, powiedzieć coś do niej, ale ogarnia mnie słabość i nie potrafię wydobyć z siebie ani słowa. Przypominam sobie burzę, bitwę na arenie i wszystkie koszmarnie zdarzenia, które do niej doprowadziły. „Maven”. Na myśl o nim serce ściska mi się z żalu i wstydu. „Każdy może zdradzić każdego”.

Na piersiach Farley wisi broń, gotowa do wystrzału, wycelowana w Cal. Gwardzistów jest więcej, wszyscy bacznie strzegą księcia. Są przygnębieni, ranni i wiem, że została ich zaledwie garstka, ale mimo to wyglądają groźnie. Nie spuszczają wzroku z Cala, obserwują go jak myszy kota. Wtedy dostrzegam, że Cal ma ręce zakute w żelazne kajdany, które z łatwością mógłby roztopić. Nie robi tego jednak. Siedzi spokojnie, jak gdyby na coś czekał.

Gdy czuje na sobie mój wzrok, spogląda na mnie. Ożywia się.

– Mare – szepcze, a gniew płonący w jego oczach zdaje się przygasać. Ale nie znika całkiem.

Próbuję usiąść, kręci mi się jednak w głowie, a wtedy czyjaś dłoń delikatnym ruchem pomaga mi z powrotem się położyć.

– Leż spokojnie – słyszę znajomy głos.

– Kilorn – mamroczę.

– Jestem tutaj.

Ku mojemu zdumieniu mój dawny przyjaciel przepycha się obok innych gwardzistów i staje przy Farley. Teraz on również ma blizny, jego ręka jest owinięta brudnym bandażem, ale głowę trzyma dumnie uniesioną. I przede wszystkim żyje. Sam jego widok sprawia, że ogarnia mnie ulga. Skoro jednak Kilorn stoi przede mną razem z gwardzistami, to...

Odwracam gwałtownie głowę, spoglądam w twarz, która pochyla się nade mną.

– Kim...?

Znam te rysy, znam je bardzo dobrze. Gdybym nie leżała, pewnie w tym momencie upadłabym z wrażenia. Doznaję wstrząsu, z którym nie umiem sobie poradzić.

– Umarłam? Nie żyjemy?

„Przyszedł po mnie. Umarłam na arenie. To wszystko jest złudzeniem, snem, marzeniem, ostatnią myślą przed śmiercią. Wszyscy nie żyjemy”.

Jednak mój brat powoli kręci głową, wpatrując się we mnie oczami w kolorze miodu. Shade zawsze był zabójczo przystojny i śmierć tego nie zmieniła.

– Nie umarłaś, Mare – odpowiada łagodnym głosem, który doskonale pamiętam. – Ja również nie umarłem.

– Jak to? – tylko tyle potrafię z siebie wydusić, gdy siadam, żeby lepiej przyjrzeć się bratu. Wygląda tak samo, jak go zapamiętałam, nie jest poznaczony bliznami, z którymi zwykle wracają żołnierze. Nawet brązowe włosy mu odrosły i nie ma ani śladu po przepisowej wojskowej fryzurze. Dotykam ich, aby się upewnić, że istnieje naprawdę.

„Ale nie jest taki sam. Podobnie jak ja – też nie jestem taka sama”.

– Mutacja – mówię, gładząc go palcami po rękę. – To przez to cię zabili.

W jego oczach migocze szelmowski uśmiech.

– Próbowali.

Nie zdążam nawet mrugnąć, nie mija nawet ułamek sekundy, a Shade, przemieszczając się z prędkością przekraczającą wszelkie wyobrażenie, przekraczającą nawet zdolności Zwinnych, siedzi naprzeciwko mnie obok zakutego w kajdany Cala. Wygląda to tak, jak gdyby poruszał się na jakiejś innej przestrzeni, przeskakiwał z miejsca w miejsce, zatrzymując upływ czasu.

– I nie udało im się – kończy, spoglądając na mnie z siedzenia naprzeciwko. Uśmiecha się szeroko, rozbawiony moim zbaraniałym wzrokiem. – Powiedzieli, że mnie zabili, powiedzieli

kapitanom, że nie żyję, a moje ciało zostało spalone. – Ostatnie słowo dokańcza, znów pojawiając się obok mnie dosłownie znikąd. „Teleportacja”. – Jednak byli za wolni. Wszyscy są dla mnie za wolni.

Usiłuję przytaknąć skinieniem głowy, pojąć jego zdolność, przetrwać sam fakt, że żyje, ale rozumiem niewiele więcej niż to, jak wspaniale być znów w jego ramionach. „Shade. Żyje i jest taki sam jak ja”.

– Co z pozostałymi? Mama, tata... – zaczynam, ale brat uspokaja mnie uśmiechem.

– Są bezpieczni i czekają – odpowiada. Głos mu drży, przepełnia go wzruszenie. – Niedługo się z nimi zobaczymy.

Ogarnia mnie euforia na samą myśl o spotkaniu. Jednak jak zwykle moja radość, szczęście i nadzieja nie trwają długo. Spoglądam na uzbrojonych gwardzistów, na blizny Kilorna, napiętą twarz Farley i skute kajdanami ręce Cala. Cala, który tyle wycierpiał i wywalczył wolność tylko po to, by znów wpaść w niewolę.

– Puśćcie go. – Zawdzięczam mu życie, dużo więcej niż życie. Choć w ten sposób mogłabym mu się odplacić. Jednak nikt nie porusza się na dźwięk moich słów, nawet Cal.

Ku mojemu zdumieniu to on odzywa się pierwszy, uprzedzając Farley.

– Nie zrobią tego. I nie powinni. Prawdę mówiąc, powinniście zawiązać mi oczy, jeśli chcecie przeprowadzić to wszystko jak należy.

Mimo że został wyklęty, pozbawiony swojego dawnego życia, nie potrafi zmienić tego, kim jest. Nadal tkwi w nim żołnierska natura.

– Cal, zamknij się. Nie stanowisz przecież żadnego zagrożenia.

Cal prycha i skinieniem głowy wskazuje uzbrojonych gwardzistów wypełniających pociąg.

– Oni są chyba innego zdania.

– Chodzi mi o to, że nie stanowisz zagrożenia dla nas – dodaję, poprawiając się na siedzeniu. –

Tam, na arenie, on mnie ocalił, mimo tego, co zrobiłam. A po tym, co zrobił ci Maven...

– Nie wymawiaj jego imienia. – Jego pomruk jest przerażający, przeszywa mnie zimnym dreszczem.

Farley mocniej ściska broń, po czym cedzi przez zaciśnięte zęby:

– Niezależnie od tego, co dla ciebie zrobił, książę nie jest po naszej stronie. I nie zaryzykuję tego, co mi zostało, dla waszego romansu.

Romans. Wzdrygam się, słysząc to słowo. Nie ma już żadnego romansu. Nie po tym, co zrobiliśmy sobie nawzajem i co nam zrobiono. Choćbyśmy nie wiem jak tego chcieli, nie ma między nami tego, co było.

– Będziemy dalej walczyć, Mare, ale Srebrni już raz nas zdradzili. Nie zaufamy im ponownie. –

Słowa Kilorna są łagodniejsze, kojące jak balsam, i wiem, że chce pomóc mi to wszystko zrozumieć. Ale mówiąc je, jednocześnie spogląda na Cala. Oczywiście pamięta tortury, jakim poddawano ich w celach, i potworny widok zamrożonej krwi. – On może się okazać cennym więźniem.

Nie znają Cala tak dobrze jak ja. Nie wiedzą, że mógłby zniszczyć ich wszystkich w jednej sekundzie i uciec, gdyby tylko zechciał. Dlaczego więc został? Kiedy nasze spojrzenia się krzyżują, znajduję odpowiedź w jego oczach. Ból, który się w nich maluje, sprawia, że serce pęka mi z żalu. „Jest zmęczony. Złamany. I nie chce już walczyć”.

Jakaś część mnie również tego nie chce. Część mnie pragnie się pogodzić z niewolą, z życiem w kajdanach i milczeniu. Ja jednak już znam smak takiego losu, wiem, jak wygląda życie w błocie, w mroku, w lochu i w pałacu. I nigdy więcej się nie poddam. Nigdy nie przestanę walczyć.

Kilorn również nie złożył broni. Ani Farley. Nie zatrzymamy się.

– Są inni tacy jak my – głos mi drży, choć nigdy wcześniej nie czułam się tak silna. – Inni tacy jak ja i Shade.

Farley przytakuje skinieniem głowy i klepie się po kieszeni.

– Cały czas mam listę. Znam ich imiona.

– Maven również – odpowiadam natychmiast. Cal krzywi się, słysząc imię brata. – Znajdzie ich w bazie krwi i wytropi.

Mimo że pociąg kołysze się i trzęsie, mknąc po krętych szynach, dźwigam się na nogi. Shade chce mnie podtrzymać, ale odtrącam jego rękę. Muszę stanąć o własnych siłach.

– Nie może ich znaleźć przed nami. – Unoszę brodę, czując elektryzujące pulsowanie pociągu. – Nie może.

Gdy Kilorn postępuje krok w moją stronę, na jego twarzy maluje się zdecydowanie i upór, a ja nie zauważam już siniaków, blizn ani bandaży. Widzę tylko jego oczy i płonący w nich blask świtu.

– I nie znajdzie.

Ogarnia mnie dziwne ciepło i choć znajdujemy się głęboko pod ziemią, mam wrażenie, że czuję na skórze pieśczołą promieni słonecznych. Znam ten dotyk równie dobrze, jak dreszcz wzbierającej we mnie mocy. Ciepło obejmuje mnie niczym ramiona, które nie mogą mnie przygarnąć. Chociaż oni nazywają Cala wrogiem, chociaż boją się go, pozwalałam, aby zalała mnie fala jego gorąca, a jego płonące spojrzenie skrzyżowało się z moim.

Przed moimi oczami przesuwają się obrazy z przeszłości, przypominam sobie każdą wspólnie spędzoną sekundę. Teraz jednak nie ma miejsca na naszą przyjaźń, zastąpiło ją jedyne uczucie, które nas łączy.

Nienawiść do Mavena.

Nie muszę być Szeptaczem, aby wiedzieć, że ta sama myśl krąży nam po głowie.

„Zabiję go”.

PODZIĘKOWANIA

Postaram się w porządku chronologicznym objąć podziękowaniami tę rzeszę ludzi, którym się one należą. Przede wszystkim dziękuję nedorzecznie oddanym mi rodzicom, którzy zawsze zachęcali mnie, abym robiła to, czego pragnę. Pozostaną moimi najwspanialszymi nauczycielami i jestem im wdzięczna za wszystko, co od nich dostałam, a zwłaszcza za to, że pozwolili mi obejrzeć *Park Jurajski*, gdy miałam trzy lata. Dziękuję mojemu bratu Andrew, który był wiernym towarzyszem wszystkich moich zabaw i psikusów, przez co wymyślone przeze mnie światy stawały się większe i barwniejsze. Dziękuję moim dziadkom – George’owi i Barbarze, Mary i Frankowi – którzy obdarzali mnie i nadal obdarzają większą miłością i troską, niż jestem w stanie pojąć. Dziękuję wszystkim ciociom, wujkom i kuzynom, a także przyjaciołom i sąsiadom, którzy znosili moją obecność w swoim życiu i ogródkach. Dziękuję Natalie, Lauren, Teressie, Kim, Katrinie i Sam, które trwały przy mnie w ciężkim okresie dorastania i modowych eksperymentów. Oczywiście dziękuję wszystkim moim nauczycielom języka angielskiego i nauki o społeczeństwie, którzy bez przerwy prosili mnie, abym przestała pisać powieści, a zaczęła wypracowania. Muszę również podziękować tym, którzy wywarli na mnie niewyobrażalny wręcz wpływ, mimo że nie poznaliśmy się osobiście: Stevenowi Spielbergowi, George’owi Lucasowi, Peterowi Jacksonowi, J.R.R. Tolkienowi, J.K. Rowling i C.S. Lewisowi. Wychowałam się w małym mieście, ale dzięki tym ludziom mój świat nigdy nie był mały.

Uniwersytet Południowej Kalifornii i jego niezrównana Szkoła Filmowa całkowicie odmieniły bieg mojego życia. Profesorowie scenopisarstwa ukształtowali mnie jako autorkę i nauczyli wszystkich sztuczek, które znam. Nie tylko zaczęłam wierzyć, że drzemiący we mnie przymus wymyślania różnych historii może być opłacalnym zajęciem, ale i w końcu mogłam się stać kimś, kim zawsze chciałam być. To dzięki nim i kursowi scenopisarstwa miałam szansę zostać aktywną pisarką i nigdy nie przestanę im być za to wdzięczna. Jestem szczęściarą również dlatego, że w Szkole Filmowej poznałam niesamowitych ludzi – Nicole, Kathryn, Shaynę, Jen L., Erin, Angełę, Bayan, Morgana, Jen R., Tori, chłopców Chez, Traddies, itd. – z których część stała się moimi bliskimi przyjaciółmi. Dzięki tym osobom niechętnie stawałam się coraz lepsza (a czasami gorsza, co przychodziło mi z większą ochotą).

Po studiach stanęłam przed niesłychanie trudnym wyborem drogi zawodowej. Na szczęście czuwali nade mną pracownicy wytwórni Benderspink, a zwłaszcza mój pierwszy menedżer Christopher Cosmos, który zachęcił mnie do napisania *Czerwonej Królowej*. Kiedy skończyłam pierwszy szkic, Christopher przesłał go agencji literackiej New Leaf Literary, co spowodowało kolejną zmianę kursu w moim życiu. Trafiłam do czołówki świata wydawniczego. Pod swoje skrzydła przyjęli mnie Pouya Shahbazian, który nieustannie prowadzi mnie i *Czerwoną Królową* przez odmęty świata rozrywki; Kathleen Ortiz, moje okno na świat i osoba, dzięki której *Czerwona Królowa* odwiedza różne zakątki naszego globu; Jo Volpe, nasza nieustraszona kapitan i wspaniała przyjaciółka; Danielle Barthel, Jaida Temperly, Jess Dallow i Jackie Lindert, które tolerują moje dziwaczne prośby i są absolutnie niezastąpione; Dave Caccavo, podobnie jak ja entuzjasta George'a Washingtona i futbolu amerykańskiego, a do tego ponoć zdolny matematyk. I wybaczcie mi, kochani, że najlepsze zostawiłam na deser – Suzie Townsend cały czas jest dla mnie Gwiazdą Polarną na literackim firmamencie. *Czerwona Królowa* stała się prawdziwą książką dzięki wysiłkom wielu osób, ale przede wszystkim dzięki niej. To Suzie zawsze dodawała mi zachęty, motywacji i otuchy, których zawsze będę potrzebować.

Gdy Suzie zadzwoniła, aby mi przekazać, że przyszła propozycja wydania *Czerwonej Królowej*, odpowiedziałam, że prowadzę samochód i chyba zaraz wjadę w jakieś drzewo. W nic jednak nie wjechałam i mogłam przyjąć ofertę wydawniczą od Kari Sutherland z oficyny HarperTeen. Jako moja pierwsza redaktorka Kari towarzyszyła mi w podróży przez świat wydawniczy i przemieniła rękopis w powieść. Nie sposób wyrazić niezmiernej wdzięczności, którą odczuwam do niej, do Alice Jerman i całego zespołu wydawnictwa Harper. Dziękuję Jen Klonsky, mistrzyni smaku i fantastycznej kierownik redakcji. Dziękuję redaktorom produkcyjnym Alex Alexo i Melindzie Weigel; adiustatorce Stephanie Evans, która jak nikt inny potrafi uporać się z moimi przecinkami; kierownik produkcji Lilian Sun; czarodziejom grafiki Sarze Kaufman, Alison Klapthor i Barb Fitzsimmons, a także projektantowi okładek Michaelowi Frostowi. Stworzyliście naprawdę piękną książkę. Dziękuję zespołowi marketingowemu, Christinie Colangelo i Elizabeth Ward, które nadały rozgłos *Czerwonej Królowej*; niezrównanym Ginie Rizzo i Sandee Roston, specjalistkom od promocji, które pracowały dwadzieścia cztery godziny na dobę, żeby rozpowszechnić wiadomość o książce; zespołowi Epic Reads, Margot i Aubry, które zjednały sobie moje oziębłe serce; Elizabeth Lynch(pin), jednej z najbardziej pracowitych osób, jakie znam, oraz iskierce radości, Kristen Pettit, która dzielnie prowadzi *Czerwoną Królową* i dalszą część serii przez tę całą podróż.

Nie powiem, że jestem wdzięczna niezliczonej masie ludzi, ponieważ to byłaby przesada (choć tak naprawdę ludzi, którym jestem wdzięczna, jest niezliczona masa). Do tego grona zalicza się moja rozrywkowa ekipa – wszyscy z Benderspink: Jake'owie, JC, Daniel, nieustannie spierający

się David i mnóstwo stażystów; mój prawnik Steve Younger, znany również jako mój tata na Zachodnim Wybrzeżu; Sara Scott i Gennifer Hutchinson, waleczne księżniczki, które przy odrobinie szczęście doprowadzą do ekranizacji *Czerwonej Królowej*. Poza tym chcę podziękować osobom, których nigdy nie poznałam w realnym świecie, ale które codziennie tweetują, e-mailują i przesyłają mi wiadomości przez Instant Messenger. Środowiska wydawnicze i świat rozrywki prowadzą aktywne życie w mediach społecznościowych, dzięki czemu poznałam wielu inspirujących ludzi, którzy zechcieli przyjąć mnie do swojego grona i dodawać zachęty. Każdy autor, bloger, pisarz i fan jest dla mnie kimś bezcennym i dziękuję wam wszystkim za słowa pełne otuchy i wsparcia. W szczególności dziękuję Emmie Theriault, mojej kanadyjskiej siostrze bliźniaczce, czytelniczce, krytyczce i przyjaciółce.

Jestem pisarką, a to oznacza, że zwykle pracuję sama, jednak nigdy nie jestem samotna. Ogromnie dziękuję wszystkim, którzy trwają przy mnie i akceptują moje dziwactwa – Culverowi, Morganowi i Jen, Bayan, z którą nadajemy na tych samych falach, nieprzeniknionej Erin oraz Angeli, która nigdy mnie nie ocenia (głośno). Dziękuję również ludziom i rzeczom, bez których nie funkcjonuję na co dzień – sklepowi Jackson Market, bariście, który nie zwraca uwagi na mój obszarpany wygląd, Targetowi, opadłym liściom, Pottery Barn, księgarniom, spodniom do jogi, tandetnym T-shirtom, parkom narodowym, Patriotom (mam na myśli zarówno drużynę futbolową, jak i twórców naszej konstytucji), George'owi R.R. Martinowi oraz Wikipedii. Muszę również podziękować stanowi Montana, gdzie napisałam drugi rozdział i postanowiłam pójść na całość z tą literacką historią.

Przepraszam za wylewność, ale już prawie skończyłam. Raz jeszcze dziękuję Morganowi, najlepszemu przyjacielowi, który zawsze daje mi kopa w tyłek, gdy tego potrzebuję, chociaż może niekoniecznie chcę. Nadal będę zostawiać zapalone światło w przedpokoju. I raz jeszcze dziękuję rodzicom, Heather i Louisowi. Pozwolili mi wprowadzić się do domu i skupić na pisaniu książki, co było szaleństwem. Pomogli mi studiować na wspaniałym, ale horrendalnie drogim uniwersytecie na drugim końcu kraju, co było szaleństwem. Wychowali dziwadło, którym jestem, na istotę mniej więcej przystosowaną do funkcjonowania w społeczeństwie, co było szaleństwem. I nadal obdarowują mnie miłością, wsparciem i poświęceniem, a jednocześnie próbują utrzić mi nosa. Sprawili, że doszłam do tego miejsca, że ta książka, ta przyszłość, to życie urzeczywistniło się. Co jest czystym szaleństwem.